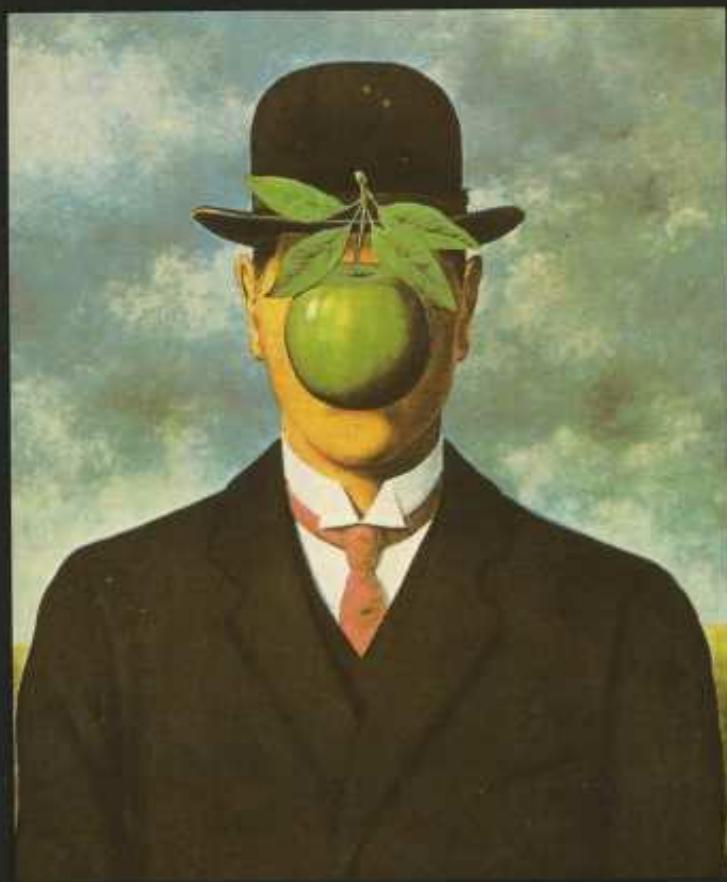


**WALDEMAR ŁYSIAK**

**KONKWISTA 2**



**NAJLEPSZY**

**WALDEMAR  
ŁYSIAK**

# **NAJLEPSZY**

**(KONKWISTA 2)**

WYDAWNICTWO

  
**OFFICINA**

Projekt okładki:  
Waldemar Łysiak

Na okładce wykorzystano dwa obrazy René Magritte'a:  
„Wielka wojna ” (I str.) i „Wielki stół” (IV str.)

© Waldemar Łysiak, 1992

ISBN 83-85208-12-7

Wydawnictwo OFFICINA, Warszawa 1992 Wydanie I  
Wydawnictwo OFFICINA  
00-143 Warszawa,  
ul. Orła 11/15  
tel: 20-2519

„Bezpieka to mafia alfonsów, której dziwki to konfidenci (...) Nawet w wewnętrznej terminologii KGB konfident bezpieczeństwa jest obiektem seksualnym: kagiebowcy określają swoich szpicli terminem «seksot». Ów termin stanowi skrót od «sekretnej sotrudnik» — tajny współpracownik (...)

Być może z punktu widzenia Mojżeszowych tablic robota «se-ksotów» nie jest moralna, gdyż oni cudzolożą, ale z punktu widzenia tablic Darwinowskich i Freudowskich daje się ona usprawiedliwić, gdyż popędy i słabości zwierząt będących dopiero we wczesnej fazie ewolucji są jeszcze bardzo silne. Nasz gatunek (tak jak i inne gatunki) wyszedł podobno z morza. Kiedy wyjdzie z rynsztoka — będzie można mówić, że ewolucja jest bliska kresu. Do tego jeszcze daleko, lecz nadzieję trzeba mieć.

Jak powiedział Oscar Wilde: «Wszyscy leżymy w rynsztoku, ale niektórzy spoglądają w gwiazdy». Ludzie nie dzielą się na białych i kolorowych, obrzezanych i nieobrzezanych, cywilizowanych i dzikusów. Są tylko dwa rodzaje ludzi: owi **niektórzy** i reszta. Jeśli w toku naturalnej selekcji **niektórzy** przeważą liczbowo «seksotów», sadystów, oszustów, fanatyków i wszelakich innych zjadaczy gówna — wówczas powstanie gatunek, o którym będzie można wreszcie mówić nie bredząc: «Człowiek — to brzmi dumnie!». Nie wiem, czy taka mutacja kiedykolwiek nastąpi. Wiem, że ja nie dożyję tego. Gdy słyszę: «Człowiek — to brzmi dumnie!», odpowiadam: człowiek — to tylko brzmi dumnie”.

## Tak zwane słowo wstępne od autora:

„**Najlepszy**” tylko pozornie (dzięki tytułom) jest trzecią częścią „trylogii”, której część pierwsza („**Dobry**”) i część druga („**Lepszy**”) ukazały się w 1990 roku. Jednakże „**Lepszy**” to rzecz nie beletrystyczna — „**Lepszy**” jest pamiętnikiem; wspominam w nim Cenzora, który kaleczył moje książki za czasów komunizmu. Prawdziwa trylogia składa się z „**Dobrego**” (tom I), „**Konkwisty**” (tom II) i „**Najlepszego**” (tom III). Co łączy treść tych trzech tomów? Po pierwsze niektórzy bohaterowie „**Dobrego**” (np. Drozd i Heldbaum) oraz „**Konkwisty**” (np. Fosterman, Krzysztofeczko, Korm i Farloon) występują w „**Najlepszym**”<sup>1</sup>. Po drugie — główną bohaterką tej trylogii jest „spiskowa teoria dziejów”.

Ci, którzy wierzą w „spiskową teorię dziejów”, od dawna stanowią ukochanych „chłopców do bicia” dla dwóch rodzajów ludzi: dla tych, którzy ją praktykują, i dla tych, którzy niczego nie rozumieją, ale wiedzą jedno — że należy negocjować „spiskową teorię dziejów” i krytykować jej głosicieli, bo takie negocjowanie i krytykowanie to bardzo dobry bilet do grona intelektualistów, humanistów i w ogóle ludzi światłych pełną gębą czyli najdalej wysforowanych w łańcuchu Karola Darwina.

Mój stosunek do głoszenia „spiskowej teorii dziejów” jest ambiwalentny. Negatywny jest wówczas, gdy ktoś chrzani o spiskach na bazie wyznaniowej, rasowej i tym podobnej, obwiniając jezuitów, masonów, Żydów, cyklistów i pedałów o mafijne

---

<sup>1</sup>„Najlepszy” ma podtytuł „Konkwista 2”, gdyż tak jak i pierwsza „Konkwista” opisuje próbę podboju wolnego państwa przez ZSRR.

kręcenie światem. W taką „spiskową teorię dziejów” nie wierzę, jej wyznawanie uważam „tout court” za objaw ksenofobicznego kretynizmu, a jej propagowanie za działalność prowokacyjną (tak właśnie Heldbaum judził Karśnickiego w **„Dobrym”**, ale bez skutku — „Książę” nie dał się na to wziąć).

Pozytywny stosunek do głoszenia „spiskowej teorii dziejów” mam wówczas, gdy mowa o spiskowych działaniach grup politycznych, czyli o tajnych knowaniach zawodowców, które owocują później rozdziałami w podręcznikach. Wstąpiłem do mojej powieści **„Milczące psy”**, w której zbeletryzowałem wielki antypolski (zakńczony wymazaniem Polski z mapy kontynentu) spisek na linii Petersburg Warszawa—Berlin, dałem jako motto słowa Brytyjczyka Disraeliego:

„So you see... that the world is governed by very different personages to what is imagined by those who are not behind the scenes”(„Widzisz więc... świat jest rządzony przez całkiem inne osoby niż sobie wyobrażają ci, którzy nie znają kulis”).

Ci, którzy nie znają kulis i nie chcą przyjąć do wiadomości, że kulisy istnieją, a także ci, którzy w nie wierzą, ale wolą udawać, że nie wierzą, bo wydaje im się, że tym sposobem zasłużą na miano światowców i postępowców, otóż tacy ludzie mają cudowne rozdwojenie jaźni. Jeśli na przykład taki facet wyklada historię, to z wysokości uniwersyteckiego pulpitu głosi, iż „spiskowa teoria dziejów” jest kompletną bzdurą, po czym wraca do domu i skarży się żonie, że kolega-profesor X oraz kolega-docent Y chcą go wysiudzić z katedry i w tym celu namotali za jego plecami intrygę u rektora. Albo jeśli taki gość redaguje gazetę, to na jednej stronie zamieszcza felieton o głupocie ludzi wierzących w „spiskową teorię dziejów”, a na stronie sąsiedniej epatuje czytelników artykułem o układzie Ribbentrop—Mołotow, lub o kulisach zamachu na jakiegoś króla, lub o kłamstwie katyńskim, lub o „rewolucji narodo-

wowyzwoleńczej” sterowanej przez GRU, lub o jakiejś innej z tysięcy podobnych machinacji, na których Historia jedzie od czasów Paleolitu. Felieton o wierze w Boga jako o klinicznym przejawie niskich lotów mózgowych, sąsiadujący z artykułem biograficznym na temat Karola Wojtyły (lub z biografią wierzącego laureata Nobla, wynalazcy, mistrza renesansu itp.) — spowodowałyby u mnie reakcję analogiczną, będącą koktajlem śmiechu i politowania.

Za „**Najlepszego**” oberwę w taki sam sposób, w jaki oberwałem za „**Dobrego**” na łamach tygodnika „Wprost”; tu żadnych wątpliwości nie mam. Tygodnik „Wprost” przejął się „**Dobrym**” dubeltowo w ciągu dwóch tygodni, co mnie przyprawiło o euforię i podsunęło myśl, że należy o tym zawiadomić firmę Guinnessa, tę od światowych rekordów (czyż jakiejś innej książce poświęcono w jednym tygodniku dwie recenzje w ciągu zaledwie dwóch tygodni?). Pierwszą recenzję napisał mężczyzna, Andrzej Chylewski, i była to recenzja pozytywna, należała do nurtu laurowych recenzji z „**Dobrego**”. Czytelnicy „Wprost” dowiedzieli się dzięki temu, że jestem „**pisarzem wyjątkowym**”, i że recenzowana książka „**jest tego dobitnym dowodem**”, i że książka ta stanowi swoistą, powieściową „**encyklopedię władzy**”, a na końcu recenzent dodał, że ja również, jako pisarz, sprawuję władzę — władzę nad Czytelnikami (pożegnalne zdanie recenzenta brzmiało: „**Tej władzy, władzy Waldemara Łysiaka — ulegam**”).

Przeczytawszy owe pochlebne strofy miałem rajski „odlot”, czyli wniebowstąpiłem bez chlania, wążania i szprycowania, ale „Wprost” ściągnęło mnie na ziemię terapią błyskawiczną, w terminologii medycznej zwaną szokową lub elektrowstrząsową: wkrótce po pierwszej zamieściło recenzję drugą, negatywną. Widocznie musiało to zrobić, a mus, wiadomo, to mus, tak jak sługa to nie pan. Myślę, że musiało nie dlatego, aby zachować recenzentką (opiniotwórczą) równowagę, lecz aby samemu się nie przewrócić,

co oznacza, że popychający (rozeźleni pierwszą recenzją) mieli silne i baaaaaaardzo smukłe ręce (oto jak mi się znowu czkawką odbija nieszczęsna „spiskowa teoria dziejów“!). Gdyby ta druga recenzja zjechała formę artystyczną (styl, konstrukcję, umiejętność prowadzenia wątków, budowania nastrojów, przykuwania uwagi czytelnika, etc.), mógłbym tylko podziękować, ale jej krytyczna zawartość tyczyła rzeczy całkiem innych — spisku, jaki rzekomo uknułem przeciw niewinnym ludziom, czym się odczłowieczyłem do imentu.

Ta druga recenzja była sygnowana przez damę, Mariolę B. Mariola B. postąpiła ze mną jak rasowa kobieta: najpierw zabrała do raj, wyczuła i wypieściła, a później strąciła do piekieł, wymierzając kilka ciężkich kopów podzielowanymi szpilkami. Z pierwszej strony recenzji (recenzja jest duża, na dwóch stronach „Wprost”) dowiedziałem się, że za czasów komuny miałem łapy bardzo czyste, więc w przeciwieństwie do licznych kameleonów nie muszę teraz **„dosztukowywać czegokolwiek do swego życiorysu”**. Dalej stoi tam, że Łysiak to **„magiczna sprawność pióra”**, dzięki której **„był dobry, bardzo dobry, a często najlepszy”**, co **„zapewniło mu sukces czytelnicy, jaki bodaj nie był udziałem żadnego polskiego pisarza w tym okresie”**. Na drugiej stronie recenzji Mariola B. ujawniła, co się stało ze mną później. Otóż później wydałem książkę pt. **„Dobry”**, która jest dowodem mojej autodestrukcji, i od tego samobójstwa **„nie ma już żadnego odwołania”**. Ten ostateczny (bezrewizyjny) wyrok sędzina Mariola B. oparła na własnej umiejętności czytania po polsku, przypisując mi intencje dokładnie odwrotne niż te, które zawiera **„Dobry”**. Miast pochwalić mnie za treść wymierzoną w esbeckie prowokacje (m.in. prowokacje o charakterze antysemickim) — sędzina przypisała mi nikczemność, zakłamanie, nietolerancję i rasizm, i podsumowała to jako **„kabotyństwo”** oraz **„patologię”**, od których jej **„włos się na głowie**



**jeży**”, czuje „**niesmak**” i ma „**lekkie uczucie mdłości**”. Chyba nigdy w życiu nie byłem tak z kobietą zgodny — poczułem to samo. Zwykła rzecz — na widok kabotyństwa i patologii w przesadnym stężeniu reakcją musi być mdlenie żołądka.

Po przeczytaniu „**Najlepszego**” sędziwą będzie jakaś inna pani, tym razem Conchita, Inez, Dolores bądź podobna „muchachita” z analfabetycznego peruwiańskiego szczepu, która oskarży mnie o to samo, i znowu będziemy mieli jednocześnie szczytowanie na poziomie Andów dzięki uczuciu mdłości wzajemnej, silnej jak miłość i śmierć, które są wiecznym przeznaczeniem literatury.

Mam tylko jedną prośbę do Czytelników: nie czytajcie „**Najlepszego**” zanim nie poznacie „**Dobrego**”, „**Lepszego**” i „**Konkwisty**”. Jeśli ktoś zacznie od „**Najlepszego**”, to lektura tamtych książek (zwłaszcza lektura „**Dobrego**” i „**Konkwisty**”) będzie bez sensu, gdyż ich niespodziewane zakończenia będą już znane takiemu Czytelnikowi. A więc najpierw „**Dobry**” (akcja kończy się w 1981 roku), potem „**Konkwista**” (akcja toczy się w 1987 roku), „**Lepszy**” i wreszcie „**Najlepszy**” — oto właściwa kolejność.

## Część I

1980 – 1981

### KREW NA ŚNIEGU

Śnieg padał dwa dni. Sportowy, suchy śnieg, który daje skrzydła nartom i tworzy kołdrę kryjącą każdy brud i każdy zawstydzający detal. Od wierzchołków gór pod niebem aż do spławnych rzek skutych lodem, wszystko było białe, przez co świat, jak okiem sięgnąć, nabrał cech majestatycznych i szlachetnych - dziewiczych w nieomal sakralny sposób. Ten śnieg, który przykrył wszystko, miał jeszcze jedną zaletę - nawet ślina będąca erupcją szczególnego obrzydzenia do zamieszkujących tę ziemię ludzi, splunięta na ów biały tren, wbiłaby się głęboko w puch, nie zostawiając śladu na zelaznej powierzchni. Chyba żeby ktoś splunął krwią - wówczas drobina śniegu zabarwiłaby się, ukazując odwieczny, dwukolorowy symbol męki tego krajobrazu.

\*\*\*

Pierwszego grudniowego dnia Anno Domini 1980 słońce wyszło spoza chmur i uczyniło przyrodę roześmianą panną młodą w stroju ceremonialnym. Gdzie nie spojrzeć widniała pokusa do spacerów, ślizgów i rzucania kulami ze śniegu. Lecz wokół górskiego schroniska było pusto i cicho. Wewnątrz rozgrywał się dramat. Nie używano tam śnieżnych kul.

Na piętrze, pod skośnym sufitem mansardowego pokoju, leżał

człowiek. Cały był zakutany w śpiwór, wystawała tylko głowa z włosami lśnącymi od pomady. Chrapał i świstał przez nos. Drzwi uchylały się bezszelestnie. Ten, kto je uchylił, stąpał jak kot na polowaniu. Miał w ręku pistolet. Zatrzymał się przy leżącym i wyjął tłumik. Wkręcał do lufy wolno, nie spuszcżając z leżącego oczu. Potem włożył mu tłumik w ucho, trzymał tak przez sekundę, i nacisnął spust. I wyszedł jak kot. Wówczas instruktor zabrał przestrzeloną głowę, położył na jej miejsce nową (też od manekina domu mody), cofnął taśmę z chrapaniem (w magnetofoniku leżącym obok śpiwora), wcisnął klawisz, schował się za kotarą i rzekł do podręcznego mikrofonu:

- Następny!

Następny morderca wszedł bezszelestnie jak kot. Dwie godziny później był obiad. Przy stole siedziało dwudziestu kilku mężczyzn, sympatycznych chłopaków, takich, jakich wypatrują dziewczęta nudzące się w sobotnią noc. Gdy kończyli jeść, przyjechał obcy - niski facet o spokojnym wzroku, w którym było coś kałmuckiego i zarazem coś pięknego, jakaś melodia znad Amuru. Instruktor go przywitał, podrywając elewów na baczność, a kiedy goście wniesiono jedzenie, odesłał ich i został z nim sam na sam. Nic nie mówił, czekał, aż tamten zacznie dialog. Rozmawiali nietutejszym językiem. Był to język człowieka o źrenicach znad dalekiej rzeki.

- Jak idzie? - zapytał, gryząc wołowe mięso.

- Dobrze - odparł instruktor, sięgając po papierosa.

- Co dzisiaj ćwiczyli?

- Rutynę w eliminacji stresu. Testy na nieczułość i na odporność psychiczną.

- Jakie testy?

- Przedszkolne. „Królik” i „Ucho”.

Testy „Królik” i „Ucho” były testami „przedszkolnymi”, gdyż były propedeutyką kursu. Pierwszy polegał na chwyceniu żywego królika

za tylne nogi i rozdarcie go, lecz nie można było przepoławiać zwierzęcia w gwałtowny sposób, tylko bardzo delikatnie, centymetr po centymetrze (trudniejszą odmianą owego testu, trudniejszą ze względu na silny efekt dźwiękowy, było rozdzieranie żywego psa lub kota - to były już testy „szkolne”). Drugi sprawdzian nosił w branży żartobliwą nazwę „Ojciec Hamleta”, gdyż polegał na śmiertelnym zatruciu ucha kupką ołowiu.

- I jak? - zapytał człowiek delektujący się wołowiną.

- W porządku, ale będziemy to jeszcze ćwiczyć, aż zrobi się dla nich równie naturalne jak szczanie, bieganie lub cokolwiek innego.

- A gdybyś kazał im tak samo rąbnąć Wałęsę, to też nie drgnie im łapa?

Instruktor spojrział zdziwiony i wyjął papierosa z ust:

- Najpierw sam musiałbym mieć rozkaz od kogoś. Od kogoś z naszych, nie z waszych, Mitia!... Daj spokój!

- Tylko zapytałem, bracie, czemu ty taki nerwowo?

- Mitia... stąd głos rozchodzi się bardzo daleko...

- Nu, ja znaju, i szto?

- Nie chcę, żeby generał usłyszał, iż rozmawiam na takie tematy, tego mi nie wolno, panie pułkowniku.

Gość odłożył widelec, wziął zapałkę i wydłubując ćwierć kilo mięsa z zębów, burknął:

- Ty cziewo bezpokoiszsia? Twój gienierał eto charoszyj, pryncypialnyj tawariszcz... Daj zakurit', bratiec, a patom ja tiebie skażu z cziem prijechał.

\*\*\*

Współczesna technika wojenna jest tak precyzyjna, jak dobry zegar z kukułką. Rakiety o inteligencji elektronicznej mogą fruwać tysiące kilometrów, omijać przeszkody, robić dowolne piruety i o wyznaczonej porze zapukać w wyznaczone okno na wyznaczonym pię-

trze wyznaczonego przez ogniomistrza gmachu, po czym wlecieć do wnętrza owego gmachu i trafić w ubikację damską lub męską, zależnie od tego, która jest celem. Podobnie ma się sprawa z satelitami szpiegowskimi - bujają w kosmosie i fotografują stamtąd łąn zboża, a na zdjęciu widać nie tylko parę bujającą się w tym zbożu, lecz nawet małe serduszko z inicjałem wytatuowane pod łopatką tego pana i treść metki fabrycznej na figach leżących obok tej pani. Tym bardziej więc nie mogą przeoczyć czegoś, co zajmuje setki hektarów.

2 grudnia zdjęcie tego czegoś przyniósł do Owального Pokoju dyrektor CIA. Pokój Owalny to najgłośniejsza komnata globu, gdyż jest to gabinet prezydencki najpotężniejszego państwa globu, lecz chociaż każdy o tej komnacie słyszał, zna ją mało kto. Często bywają tam tylko członkowie rządu Stanów Zjednoczonych, doradcy i zagraniczni goście prezydenta oraz sprzątaczkę Białego Domu, czasami zaś osoby wyjątkowe, które Amerykanie przezywają terminem „celebrity”. Termin ów oznacza człowieka sławnego z nadzwyczajnych dokonań w jakiejś dziedzinie, lub osobę, która jest znana z tego, że jest znana, czyli wiecznie obecna w telewizyjnych „talk-shows” i na ekskluzywnych „parties”. Szef amerykańskich szpiegów nie był taką gwiazdą, lecz był członkiem elitarnego sztabu prezydenta i dlatego Pokój Owalny nie był mu obcy, wprost przeciwnie.

Fotografia, którą rzucił na prezydenckie biurko, była biało-czarna, lecz gdyby była barwna, też zawierałaby tylko dwa kolory. Ukazywała kilka czarnych plam na białym tle, jakby ktoś poplamiał atramentem prześcieradło. Prezydent Carter wpatrywał się w nią kilka sekund, obrócił dookoła i zakpił:

- Proponujesz mi kupno nowoczesnego obrazu? Abstrakcjonizm nie jest moim ulubionym rodzajem malarstwa, a ty nie jesteś dyrektorem agencji handlującej sztuką, Bill.

- Tak - powiedział dyrektor Centralnej Agencji Wywiadowczej. -

Gdybym handlował sztuką, stać by mnie było na nowy samochód.

- Co to jest?

- Wschodni kawałek Polski oraz zachodnie połacie Ukrainy i Białorusi pod śniegiem. A te czarne plamy to nietypowe zgrupowania wojsk rosyjskich, zwłaszcza wozów opancerzonych i czołgów, których spaliny utworzyły chmurę przesłaniającą tam niebo.

- Chcą zaatakować Polskę?... Jeśli tak, to trzeba im zagrozić, że Ameryka nie pozostanie obojętna wobec gwałtu!

- Może i chcą, ale nie wiem czy to zrobią. Przymierzają się, stąd ta koncentracja oddziałów. Mamy też informacje z Pragi, gdzie sztab szykuje armię czeską do uderzenia od flanki południowej. W czeskiej strefie nadgranicznej opróżniono połowę łóżek w szpitalach, żeby było gdzie kłaść rannych żołnierzy z oddziałów interwencyjnych.

- Więc jednak!

- To tylko rutynowe zabezpieczanie środków na wypadek, gdyby jednak.

- A jakie masz informacje z Moskwy?

- Gówniane. Mój agent w GRU na własne uszy słyszał generała mówiącego do drugiego generała: „Szkoda, że taki piękny kraj trzeba będzie rozpieprzyć”. A ten drugi odrzekł: „W tym cała przyjemność”.

Prezydent był baptystą nieomal dewocyjnym i unikał brzydkich wyrazów, lecz czasami musiał zademonstrować, że jest tym, kim nie jest, twardzielem, i teraz to zrobił, powtarzając brzydkie słowo:

- Chcą rozpieprzyć wolny związek zawodowy, ten z Gdańska, który klinczuje polskich komunistów... Czy Warszawa zwróciła się do Kremla o interwencję?

- Nie mam takiej informacji. Wiem tylko, że szef sowieckiego PGU...

- Czego?

- Departamentu wywiadu w KGB. Otóż szef PGU, generał Kriuczukow, jeździ do Warszawy, gdzie ma tajne spotkania z generałami Jaruzelskim i Kiszczakiem.

- Na ile procent obliczasz prawdopodobieństwo ataku?

- Nie jestem wróżką, samym węchem niczego nie będę obliczał, potrzebne mi są ich decyzje oraz fakty.

- Więc zdobądź te decyzje.

- Najpierw oni muszą je podjąć.

- Jacy oni? Politbiuro czy Breżniew z grupą doradców?

- Biuro nie ma tu nic do gadania. Na Kremlu utworzono specjalny sztab kryzysowy dla sytuacji w Polsce.

- Kiedy utworzono?

- Chyba miesiąc temu, ale pewną informację otrzymałem dopiero wczoraj. Wiem, że w jego skład weszli Gromyko, Susłow, Andropow, Ustinow, Rusakow i Gorbaczow.

- A Czemienco?

- Czemienco był tylko na jednym posiedzeniu.

- Moglibyśmy ich uznać za kółko gerontologiczne, gdyby nie Gorbaczow! - parsknął prezydent, gdyż prawie każdy z wymienionych sowieckich dostojników miał ponad siedemdziesiąt lat. - Czy któryś z tego klubu starców różni się sprawnością od Breżniewa. Bill?

- Tak - odparł szef CIA. - Oni mają w ciałach mniej niż połowę części sztucznych, a u niego jest na odwrót. Gensek to plastik i platyna, i trzeba mu zmieniać co tydzień komplet baterii. Aha, powiedział pan, panie prezydencie: klub starców. Oni też lubią się nazywać klubem w rozmowach między sobą. Nazywają ten sztab kryzysowy „**Polskim Klubem**”.

- Jeśli nie brakuje im dowcipu, to nie tak źle z nimi - westchnął prezydent.

- Nie brakuje im dowcipu. Mogę panu powtórzyć świeżuteńki

kremłowski kawał, który robi tam karierę wśród członków Biura Politycznego.

- Startuj!

- Gromyko i Gorbaczow na bankiecie u królowej Anglii. Gorbaczow zauważa, że Gromyko schował do kieszeni dwie łyżeczki srebrne. Szybka wymiana sekretnych znaków; Gorbaczow: „*Jedna dla mnie!*”, Gromyko: „*Weź sobie sam!*”. Wówczas Gorbaczow wstaje i mówi: „*Proszę państwa o uwagę! Chcę zademonstrować sztuczkę magiczną. Oto biorę dwie srebrne łyżeczki i wkładam je do kieszeni. A teraz towarzyszy Gromyko wyjmie je ze swojej kieszeni*”.

Prezydent zatrząsł się od śmiechu i powiedział:

- Dobrze! Ale nielogiczne.

- Dlaczego, panie prezydencie?

- Bo Gorbaczow, jako najmłodszy wśród nich, nie ośmieliłby się wyciąć Gromyke takiego numeru. Gromyko to gigant, a Gorbaczow jest efemerydą, gwiazdą jednego sezonu, to kelner.

Główny szpieg Ameryki nic nie odrzekł. Patrzył na prezydenta, któremu została już tylko krótka końcówka prezydentury[- Carter przegrał wybory prezydenckie w listopadzie 1980 roku, ale w grudniu wciąż sprawował urząd, gdyż Reagan nie był jeszcze zaprzysiężony.], i pomyślał: „*Mylisz się, naiwniaku. Ci, którzy niedługo zastąpią ciebie i mnie, będą musieli uważać przede wszystkim na Gorbaczowa i na jego magiczne sztuczki, a jeśli zabraknie im rozumu, to w ich kieszeni wyląduje piekielna łyżeczka...*”.

Wracając do swojego gabinetu w Langley myślał o kimś zupełnie innym, mającym więcej włosów na głowie i lepiej rozwinięty biust niż Michaił Gorbaczow.

\*\*\*

Linia prosta tnąca mapę między bałtyckim portem Gdańsk (na północy Polski) a górską miejscowością Cieszyn (na południu Polski)



jest linią idealnie prostopadłą do równika. Zimą A. D. 1980/81 oba te miasta przyciągały wielu Polaków. Gdańsk był celem pielgrzymek Polaków pragnących obalić komunizm, gdyż dopiero co powstała tam „Solidarność”, antykomunistyczny związek zawodowy, którym kierował mieszkaniec Gdańska, ludowy trybun, wąsaty elektryk ze stoczni gdańskiej, Lech Wałęsa. Cieszyn zaś był miejscem pielgrzymek Polaków pragnących podnieść swą stopę życiową nielegalnym handlem międzynarodowym, gdyż dzieliła to miasto granica polsko-czeska i znajdował się tam punkt graniczny na starej przemytniczej trasie Wiedeń-Ostrawa-Warszawa-Gdańsk. Punktem tym solidarnie kierowali celnicy polscy i czescy, podnoszący swoją stopę życiową dzięki łapówkom brany od przemytników. Takich jak Zenon Tolik (pseudo: „Góral”), trzydziestodwuletni facet, który mieszkał w Gdańsku, a ksywkę miał od tego, że często jeździł przez Beskidy Zachodnie.

Zenon Tolik nie był rekinem kontrabandy. Był płotką, ale płotką dobrze sobie radzącą i na tyle przytomną, by nie dawać się ponieść ambicji, której rachunek płaci się między szczękami rekinów. Miał wszystko to, co lubią kobiety (słuszny wzrost, czarną fryzurę, romantyczny wyraz oczu, dorodne genitalia, złoty sygnet na wysmukłym palcu i samochód marki zachodniej), jak również wszystko to, co lubią partnerzy od trzeciorzędnych interesów (zawsze trochę wolnej gotówki do inwestowania, szybki umysł, bezbłędną znajomość rynku walutowego i celnika na punkcie granicznym w Cieszynie). A poza tym miał jeszcze coś - coś, co lubią i kobiety, i partnerzy - tak zwany fart. Zenon Tolik nie był pechowcem.

W Cieszynie zameldował się 30 stycznia 1981 roku i tego samego dnia dotarł do Ostrawy, gdzie chciał wymienić trochę złotych dwudziestodolarówek na papierową walutę amerykańską. W punkcie kontaktowym, u brata-Czecha, też przemytnika i cinkciarza, poinformowano go, że wiedeński łącznik zjawi się z czterodniowym

opóźnieniem. Nie było sensu wracać nad Bałtyk, sam przejazd zabrałby połowę tego czasu - Tolik musiał spędzić w górach cztery dni i cztery noce. Postanowił spędzić je jak panisko, w ojczystych górach, a dokładnie w Szczyrku, leżącej niedaleko Cieszyna stolicy narciarskiej Beskidów Zachodnich.

Droga z Cieszyna do Szczyrku prowadzi przez Ustroń, Wisłę i Malinkę. Minąwszy Malinkę Zenon ujrzał rozkraczony autobus: kierowca zbyt gwałtownie wcisnął gaz na oblodzonej górskiej drodze, wpadł tylnymi kołami do zaśnieżonego rowu i klnąc starał się wyjechać z pułapki. Wszyscy pasażerowie pchali tył samochodu, pokrzykując w rytm pchnięć. Wszyscy, prócz ładnej kobiety, która miała brzydki zimowy płaszcz i stała z boku, trzymając za rękę kilkuletnie dziecko. Tolik wyhamował swój wóz i zapytał:

- Podwieźć panią?

Skrzywiła zmarznięte policzki w uśmiechu:

- Jeśli pan tak dobry... Byłabym bardzo wdzięczna, Piotrusz przemarzył na tym wietrze...

Jechała do Szczyrku, gdzie miała pokój w domu wczasowym. Była młodą mamą na urlopie, i był to typowy urlop matczyno-dziecięcy bez tatusia, któremu sprawy zawodowe nie pozwoliły wziąć urlopu. Pod każdą szerokością geograficzną młoda matka zażywająca wczasów bez męża to znakomity przepis na nieszczęście - na małe jak rogi lub na duże jak krach ogniska domowego. Lecz w tym przypadku los miał nietypowy kaprys - wymyślił „*qui pro quo*” jako prezent dla Mefistofelesa...

\*\*\*

Wieczorem tego samego dnia, w gdańskim kościele pod wezwaniem świętej Brygidy, celebrowano ostatnią mszę. Gdy ją ukończono i wierni rozeszli się do domów, kościelny zamknął drzwi, a kapłan, ksiądz Jankowski, wkroczył do konfesjonału, przy którym już czekał,

klęcząc, trzydziestoosmioletni mężczyzna. Od pół roku twarz tego mężczyzny była znana wszystkim Polakom, ale nawet gdyby ów mężczyzna chodził w karnawałowej masce, w kominiarce terrorystów lub w kuble wsadzonym na łeb, każdy rozpoznałby go bez trudu, gdyż ten człowiek miał zwyczaj przypinania sobie do kłapy garnituru lub do wyłogu kurtki znaczka z Madonną Polaków, Bogurodzicą Częstochowską. Nigdzie nie pojawiał się bez Niej, a zdejmował ów „medal” tylko w nocy, choć niektórzy podejrzewali, że do pizamy również go przypina. Nie robił tego, odkładał Bogurodzicę przed wejściem do małżeńskiego łóża, w którym płodził dzieci z częstotliwością zatrważającą nawet jego rodaków, mieszkańców najbardziej katolickiego kraju w Europie.

Mężczyzna noszący na piersi Panią Jasnogórską, w sercu nosił gromadkę Ziemiaków. Kochał swoje nieprzeliczone potomstwo i trzy dorosłe osoby: małżonkę Danutę, papieża-Polaka Karola Wojtyłę (Jana Pawła II) oraz samego siebie, choć niekoniecznie w tej kolejności. Danuta była jego miłością jako dobra żona, papież jako najwyższy moralny autorytet, a swoją osobę kochał z tego samego powodu, dla którego każdy, kto wie, że trzeba kochać bliźniego swego, zaczyna realizację tej chrześcijańskiej wskazówki od samego siebie, przy czym wielu poprzestaje na tym. A więc ów mężczyzna o pojemnym sercu był lepszy niż wielu ludzi, co zresztą doceniono - kilka miesięcy wcześniej polska „klasa robotnicza”, wkurzona na rządzących krajem komunistów, obrała go przewodniczącym Niezależnego Samorządnego Związku Zawodowego „Solidarność”. Ksiądz Jankowski wymamrotał rytualne zaklęcia i rzekł:

- Mów, Lechu.

Lech Wałęsa spowiadał się regularnie i często. Jego spowiedzi były urozmaicone niczym jadłospis biedaka - zrzucał ciężar dwóch zawsze tych samych grzechów, od których nie umiał się wyzwolić, co sprawiało, że mógłby raz to nagrać, zostawić w konfesjonale

magnetofon, a ksiądz Cybula (lub ksiądz Jankowski) przyciskałby klawisz w umówionym dniu i nudziłby się w identyczny sposób. Chodziło o nieskromne myśli i nieskromne słowa. Będąc małżonce wiernym czasami, wódz „Solidarności” nigdy nie potrafił się ustrzec tego, czego nie potrafi się ustrzec żaden w miarę zdrowy mężczyzna - na widok ładnej dziewczyny miał zawsze głupią myśl. A gdy ogarniała go złość, nie potrafił się ustrzec proletariackiego nawyku - rzucał wyrazami spoza słownika polszczyzny salonowej. Tym razem przyznał się do wyrazu szczególnie brzydkiego. Odpowiedział tym słowem, gdy agenci Służby Bezpieczeństwa próbowali go kaptować (dokładnie: rekaptować), roztaczając przed nim wizję majętności i splendorów w zamian za ponowną kolaborację z bezpieczeńką. Ksiądz Jankowski wysłuchał i mruknął gniewnie;

- „Wziął go znów diabeł na górę wysoką bardzo i ukazał mu wszystkie królestwa świata i chwaleń ich, i rzeki mu: To wszystko dam tobie, jeśli upadłszy, oddasz mi pokłon...”.

- Co ksiądz mówi? - spytał Wałęsa.

- Powtarzam za świętym Markiem, synu.

- Oni nie powtarzali za świętym Markiem, nie dają tak dużo. Gdyby dawali tyle samo, to może...

- Nie żartuj, Lechu, jesteś tu na spowiedzi! - skarcił go ksiądz. - Ważne, iż ty odpowiedziałeś kusicielom tak samo, jak czytamy u świętego Marka: „Idź precz, szatanie!”, choć innych użyłeś słów, zgoła nieprzystojnych! Lecz ja, synu, cytując to, co nam mówi ewangelista, nie tylko kuszenie sumienia twego przez agentów na myśli miałem, ale i pokusę twoją wewnętrzną...

- Jaką pokusę, proszę księdza?

- Pychą się ona zowie, synu. Pychą, którą najsamprzód trza odgonić, bo ją nam szatan podsuwa dnia każdego! Gorsza ona od myśli bezbożnej o niewieście, synu. Wyznaj, czy nie ma w tobie pychy, kiedy pniesz się wzwyż po szczeblach łaski Bożej, i jeden Bóg

wie, jakie szczeble za tobą, a jakie przed tobą? To nie sport, synu, gdzie dalej, szybciej, wyżej, jest celem głównym. Twoja droga jest służbą ofiarną...

Ksiądz się mylił, gdy odrzucił sport jako porównanie. Lech Wałęsa, wykonując swego czasu skok przez płot na teren strajkującej stoczni im. Lenina w Gdańsku, by objąć tam przywództwo, tylko się odbił do lotu ku rekordowi świata w skoku wzwyż. Lecz A. D. 1981 nikt nie zdawał sobie sprawy, jak wysoko zawieszoną poprzeczkę przefrunie ten „*robot*” w ciągu najbliższych dziesięciu lat, bo pod koniec drugiego milenium nawet u dzieci i u wieśniaków zanikła wiara w bajki spełniające się na jawie. Co prawda właśnie wtedy pewien polski duchowny objął stanowisko ziemskiego zastępcy Jezusa Chrystusa, ale wiadomo, że cud zdarza się tylko raz, a wyjątek tylko potwierdza regułę. Żaden wróżbita nie mógłby przewidzieć, iż gdański robotnik stanie się polityczną Marylin Monroe końca wieku XX. Pycha nie miała tu nic do rzeczy; A. D. 1981 Wałęsa nie roił o tym w najodważniejszym ze snów.

Pokuta, którą wyznaczył mu ksiądz Jankowski, była rytualnie łagodna, i między kratkami konfesjonału przepłynęło:

- Ego te absolvo in nomine...

Wałęsa cmoknął haftowany krzyż, po czym obaj wstali, pierwszy z kolan, a drugi z siedzenia.

- Nie musisz się bać tych esbeków, którzy dybią na twoją duszę - rzekł ksiądz - lecz tych, którzy są w twoim otoczeniu, mój drogi. Jeden na spowiedzi mi się przyznał...

- Który?!

- Tego ci nie powiem, bo mi nie wolno. Kazałem mu odejść ze stoczni i rzucić diabelskie zajęcie...

- To jak go poznam? Ze stoczni odchodzi kilkunastu na miesiąc!

- Dałby Bóg, żeby odeszli wszyscy, którzy tam u was za Judaszowe srebro pracują przeciwko tobie. Ten, co mi się spowiadał, rzekł, iż

zna jeszcze dwóch, którzy to robią, synu...

Wałęsa chciał chyba wygłosić jakieś dłuższe zdanie, ale gniew tak mocno zwarł mu szczęki, że tylko jeden wyraz zdołał się precyzyjnie przedrzeć na zewnątrz. Ksiądz Jankowski drgnął jak rażony prądem, po czym spojrzał pełen strachu na Matkę Boską w klapie marynarki Lecha i na Chrystusa z krucyfiksu ołtarzowego. Półmrok wypełniała woń zgaszonych świec, słychać było milczenie śpiących Bogów. Westchnął głęboko, policzkując towarzysza wzrokiem, i zawarczał:

- Ego te absolvo!!

\*\*\*

Barbara Brodziuch, de domo Zarębska, miała inicjały Brigitte Bardot (dzięki zamążpójściu), kolor włosów Brigitte Bardot (dzięki rozjaśnianiu) i trzy czwarte urody Brigitte Bardot, ale poza tym wszystko było u niej inne, zwłaszcza to, co się liczy i co każdego dnia czyni głupim powiedzonko, że pieniądze nie dają szczęścia.

Jej familia od pokoleń rozmnażała się i umierała w Rudniku, jednym z tych sennych polskich miasteczek, gdzie burmistrz, proboszcz, lekarz i stara panna-właścicielka sklepu poruszają się utartymi ścieżkami, niczym figury na szachownicy, a mieszkańcy żywią respekt dla wyżej postawionych osób i nie ufają przybyszom z dużego miasta. Ten mityczny grodek długo był oazą patriarchalnego spokoju i prowincjonalnej dziewiczości, kryjąc naturalne ludzkie szamba w podskórnym, niewidocznym strumieniu. Dopiero druga wojna odmieniła wszystko. Najpierw weszli Niemcy, a potem komuniści, i szambo zaczęło rządzić Rudnikiem, powiatem, województwem i całym krajem. W 1945 roku bohaterscy żołnierze Armii Czerwonej, wyzwalającej z samostanowienia dużą część Europy, parli na zachód ogarnięci podwójną ambicją: pragnęli każdemu wyzwalanemu mężczyźnie „rekwizytować” zegarek, a wszystkie wyzwalone kobiety „pieriejebać”. Nie udało się im to w

pełni, ale matka Barbary należała do owych tysięcy pogwałconych kobiet, z którymi się udało, i dzięki temu w roku 1946 urodziła się Barbara.

Jej formalny ojciec był synem urzędnika przedwojennego magistratu. Wychowano go w zgodzie z tradycją, że nazwisko przyzwoitego człowieka może pojawić się w prasie tylko trzykrotnie - z okazji urodzin, ślubu i zgonu - więc on też starał się wychować swoje potomstwo na przyzwoitych ludzi. Jego syn Rafał ukończył zawód jako technik spawalnictwa, a córka Barbara została nauczycielką. Oboje wyemigrowali z rodzinnego domu: Rafała zatrudniono w stoczni gdańskiej; córka osiadła w Warszawie, gdzie żył jej mąż.

Rafał Zarębski komunistów nienawidził, ale pracował dla nich, bo w Polsce przez czterdzieści kilka lat miało się ograniczony wybór - komuniści byli jedynym pracodawcą. Gdy tylko zawiązała się w stoczni podziemna organizacja antykomunistyczna, wstąpił do niej, żeby zwalczać „komuchów”, i później formował gdańską „Solidarność” razem z kumplami. Mąż Barbary, warszawski brygadzysta Stefan Brodziuch, robił to samo (nienawidził, pracował i spiskował przeciw „komuchom”) na terenie „Ursusa”, wielkiego zakładu, gdzie budowano XIX-wieczne traktory. Barbara, jako jego żona, też była niezłomną antykomunistką w oczach mężczyzn-antykomunistów, którzy nie mieli pojęcia, że kobiety biologicznie, a więc psychicznie, trochę się od mężczyzn różnią, i że antykomunizm jest dla tych patriotek z kręgów polskiej inteligencji, polskiej pseudoburżuazji i polskiego proletariatu oświeconego pseudomaturami, sposobem na zabicie nudy, na dowartościowanie towarzyskie i na realizację popędu emancypacyjnego, a także modą, jak dla zachodnich Europejek Dior, Chanel czy Yves Saint Laurent. Podczas sezonu 80/81 twarzowy był nad Wisłą krój: Polka zwalczająca sierp i młot, co w patriotycznym slangu, który wywodził

się z ubiegłego stulecia antycarskich rebelii, nosiło nazwę: Matka-Polka, a praktycznie oznaczało również: Córka-Polka, Ciotka-Polka, Żona-Polka, Kochanka-Polka etc.

Brodziuch z żoną dorobili się w czerwonej ojczyźnie tego samego, czego dorobiła się większość Polaków - tylko potomstwa. U nich był to syn Piotr, dziecko bardzo późne, które przyszło na świat, kiedy już dawno zwątpili, że mogą mieć potomstwo, gdyż ona nie zachodziła w ciążę, może dlatego, iż seks nie sprawiał jej przyjemności. Przyjemność sprawiały jej filmy amerykańskie o pięknych i bogatych ludziach, i tandetne ciuchy, które mogła kupić sobie raz czy dwa do roku. Początkowo kupowała z przyczyny, dla której robi to co druga młoda żona - w przekonaniu, że dzięki nowej sukience mąż pokocha ją bardziej niż piwo. Potem robiła to już wyłącznie dla uwodzenia luster we własnym domu. Bo nawet wówczas, gdy mąż stał się Barbarze Brodziuch obojętny i był ważny tylko jako ojciec ich syna, Barbara nie przestała być kobietą przyzwoitą (które to pojęcie, według znawców życia, jest najgłępszym używanym sofizmatem czyli, słownikowo rzecz biorąc, „*określeniem nadającym pozory prawdziwości fałszywemu twierdzeniu*”, lecz ponieważ tak się mówi, ja też mam prawo).

Gdy Stefan Brodziuch brał ją za żonę, Barbara była przyzwoitą dziewczyną, bo miała w sercu zbożne nauki rodziców i zaledwie dwadzieścia cztery lata, wiek jeszcze odległy od tego, kiedy seks rzuca się przyzwoitym kobietom na mózg w taki sposób, że stają się niebezpieczne dla otoczenia. Lecz A. D. 1981, gdy Stefan Brodziuch został wielką figurą „*solidarnościową*”, Barbara miała już lat trzydzieści pięć, to jest była w tym wieku, kiedy natura daje kobiecie sygnał alarmowy, iż jej ciało ma przed sobą ostatnią młoda dekadę, co u wszystkich pań objawia się większym rozmachem filmów erotycznych, jakie mózg wyświetla podczas snu, a u niektórych zmniejszeniem stopnia tak zwanej przyzwoitości na jawie, w



kontaktach międzyludzkich. Nikt nie jest temu winien prócz molekuł kwasu dezoksyrybonukleinowego.

Z Funduszu Wczasów Pracowniczych, czyli z kurortów proletariackich Barbara korzystała kilkakrotnie, lecz jeździła do podłych ośrodków. Ekskluzywne były nie dla takich jak ona, do ekskluzywnych jeździli członkowie PZPR-u, „*crème*” artystyczny PRL-u i osobnicy mający szmalec nie wiadomo skąd. Jednakże A. D. 1980 stał się cud - przyznano Brodziuchom miejsce w Szczyrku na czas zimowych ferii małego Brodziucha.

Sam Szczyrk podobał się jej bardzo, ale było w nim gorzej niż w ośrodkach trzeciorzędnych, gdzie pasowała do tłumu. Tutaj odstawała od tłumu. Po deptakach i stokach górskich kręciło się mnóstwo eleganckich mężczyzn i kobiet, zwłaszcza kobiet, bo kobieta ocenia swój wygląd na tle kobiet, i w ogóle był to dziwny świat, jak z kolorowych zachodnich tygodników, które przeglądała u swojej fryzjerki - świat bez starców, bez kalek, bez ludzi nie opalonych i bez ludzi nie ubranych luksusowo. Być może te kobiety miały kilka ludzkich kłopotów, ale na pewno nie miały kłopotów z dużymi banknotami. Zrozumiała to mijając publiczny szalet, do którego wchodziło akurat dwóch młodych sportsmenów, jakby wyciętych z kolorowego pisma, i jeden narzekał, gestykułując manierą włoską:

- Wiesz, stary, życie jest nudne, telewizja oglupia, pieprzenie to żadna przyjemność, powiedziałem jej, żeby mi kupiła nowy wóz, ferrari albo porsche, bo jak nie, to odfruwam i koniec balu!

W pobliskiej Wiśle teatrzyk grał „**Pinokia**”. Zawiozła dziecko. Gdy wracała, autobus miał poślizg i nie można go było wydobyć z rowu. Obok niej zatrzymał się mężczyzna w cudzoziemskim samochodzie. Był tak samo przystojny, jak ci z pism i spod szaletu, tylko nie tak elegancki, co miało swój plus - mniej deprimowało kobietę w płaszczu sprzed kilku lat. Uśmiechnął się:

- Podwieźć panią?

\*\*\*

Szef jednej z najpotężniejszych i budzących największą grozę policji tego świata, Jurij Władymirowicz Andropow, poczuł się człowiekiem starym szybciej niż zamierzał, gdyż choroby (w tym rak) prześcignęły wyliczenia oparte na kalendarzu. A. D. 1981 był już świadom, że długo nie pożyje, i że jako jednostka biologiczna jest niepotrzebny, ale wiedział również, że jest bardzo potrzebny jako jednostka polityczna - potrzebny Partii, ojczyźnie i ruchom internacjonalistyczno-proletariackim całego globu (według hasła: „*Terrorysti wszystkich krajów, łączcie się!*”). Owa dialektyczna wiedza była następstwem jego filozoficznych ciągot, do których nie miał powołania, lecz takie upodobanie bez powołania też jest siłą wznoszącą ku transcendencji. Była to u niego, zawodowego komunisty, transcendencja materialistyczna.

Jako domorośli filozof stary Jurij rozumiał wybornie, że motorem wszechświata, głównym prawem kosmosu, jest ruch, a głównym prawem gatunku ludzkiego reprodukcja, więc starość oznacza zbędność. Zrobiłeś swoje i spadaj, nie jesteś już potrzebny! Tę prawdę biologiczną równoważyła jednak prawda nomenklaturowa obowiązująca w kompartiach na całej kuli ziemskiej (kompartie Związku Radzieckiego i Chin świeciły tu przykładem braciom z pomniejszych czerwonych partii); według niej zgrzybiała starość jako predyspozycja do rządzenia była regułą państwową, a elity rządzące winny się składać z samych pierników. Szef radzieckiego aparatu bezpieczeństwa widział wszakże niebezpieczeństwo w bliskim już zderzeniu się praw biologii z prawami nomenklatury. Cała wielka szóstka dyrygująca Krajem Rad w 1981 roku - on, Susłow, Ustinow, Gromyko, Czemienco i przewodzący im Breżniew - biologicznie nadawała się na śmietnik, a politycznie była monopolem bez zaplecza kadrowego, które mogłoby wypełnić lukę po serii zgonów

w najbliższych latach. Groziło to zapaścią na najwyższym szczeblu władzy i kompromitującą Związek Radziecki w oczach świata walką o tę władzę między kacykami podrzędnego sortu. Tylko on, szef KGB, rozumiał, że sukcesja nie może być loterią, co oznacza konieczność przygotowania silnej kadrowej rezerwy na kremlowski stolec. I znalazł kogoś - młodego stawropolskiego wilka, Michaiła Gorbaczowa.

Gorbaczow był rzutki, chytry, wygadany i „pryncypialny”, lecz umiejących robić dobre wrażenie aparatczyków o takich zaletach znalazłoby się wielu między Kamczatką a Bugiem. Ta cecha Gorbaczowa, która sprawiła, że Andropow zwrócił uwagę na niego - to była wysoka etyka. Andropow zauważył swoje pokrewieństwo etyczne z owym młodzikiem, wyróżniające ich w świecie zepsutych sukinsynów. Etyka tej dwójki była etyką szewca, który odpowiada synowi na pytanie: „Co to jest etyka, tato?": - *No, na przykład, klient przychodzi do mojego warsztatu i płaci za nową zelówkę. Potem bierze buty i idzie do domu. Patrzę ja, a on przez roztargnienie zostawił portfel z pieniędzmi. I tu zaczyna się etyka: mam oddać czy nie oddać mojemu wspólnikowi połowę szmalu?*

Jako protegowany Andropowa Gorbaczow stał się członkiem Biura Politycznego w wieku szczenięcym (miał zaledwie pięćdziesiąt lat), lecz nie mógł tam rozwinąć skrzydeł, gdyż bruździł mu marszałek Dymitrij Ustinow. Ustinow i Andropow, tak pod względem charakterów, jak i pod względem stanu wzajemnych uczuć, mieli dużo z psa i kota, co było następstwem boju o trzecie miejsce w hierarchii. Niekwestionowane drugie zajmował główny partyjny ideolog, Michaił Susłow, bez którego Leonid Iljicz nie mógł się obejść. Gdy grupa „murzynów” pichciła w rezydencji Breżniewa w Zawidowie (styczeń roku 1981) jego referat sprawozdawczy na XXVI Zjazd, przy każdym punkcie Breżniew pytał z troską: „A co powie na to Misza?”, myśląc o Susłowie i o nikim innym. Wojna podjazdowa

między Andropowem i Ustinowem, czyli między KGB i armią, wcale go nie martwiła, gdyż zasada „*dziel i rządź*” jest pierwszym credo nawet tępych monarchów - to kwestia instynktu, a nie mądrości.

Ustinow pragnął rozwiązać „*polski kłopot*” za pomocą argumentów na gąsienicach. Szef KGB był przeciwny temu i blokował żądania marszałka dowodząc, że interwencja zbrojna oznacza katastrofę polityczną na arenie międzynarodowej. Chodziło mu nie tylko o sam fakt agresji, lecz przede wszystkim o to, że do Warszawy i Gdańska nie da się wejść bez strzału (jak w sześćdziesiątym ósmym na praskie ulice), ani z krótką wymianą ognia (jak do Budapesztu w pięćdziesiątym szóstym), gdyż Polacy to zupełnie inny naród, będą się bić, a historia uczy, że biją się ze straszną zaciętością. Morze krwi rozstrzygnęłoby sprawę, lecz w tym morzu Kreml by utonął jako partner polityczny na forum ONZ i w stosunkach bilateralnych z każdym państwem zachodnim, zwłaszcza z Ameryką, gdzie jest ogromny polski elektorat, czego nie śmie lekceważyć żaden amerykański mąż stanu.

- Czy nam to potrzebne, gdy bez ich zboża grozi nam głód, a bez ich pożyczek grozi nam jeszcze większy kryzys? - zapytał Andropow.

I to pytanie, które powstrzymywało Breżniewa, Ustinowa doprowadzało do furii. Na pytanie, co proponuje w zamian, żeby ugasić polski bunt, Andropow odpowiadał:

- Cierpliwość, towarzysze, cierpliwość.

Wiedział, że nie potrzeba tu tysięcy Polaków zabitych w Polsce; wystarczy zabić jednego, wcale nie mieszkającego w Polsce. Gdy owa myśl przyszła mu do głowy, drugą myślą było tamto pytanie, które jak papuga klepał Leonid Iljicz Breżniew: „*Ciekawe, co by Misza o tym powiedział?*”. Ale w pytaniu szefa KGB „*Misza*” to nie był Michaił Susłow, lecz Michaił Gorbaczow.

Nie ma kobiet, których nie można uwieść, biologia się nie myli. Bywają tylko takie, których nie uwiedziono. Takich, których nie trzeba uwodzić, gdyż same pragną się jak najszybciej oddać, jest legion nieprzeliczony. Drugi legion to te, które zamiast czekać - same molestują chłopów. I wreszcie są takie, nad którymi trzeba jednak popracować.

Głupcy wśród mężczyzn (ich też jest legion) twierdzą, że kobietę, którą niełatwo uwieść, bo dotąd się nie puszczała w przekonaniu, że jej godność i jej wierność dla jakiegoś faceta to jedno i to samo - że taką kobietę należy uwodzić słowami. Metoda „na piękne słówka” (komplementy, przysięgi, obietnice, hamletyzowanie itp.) sprawdza się bardzo często i to służy owym facetom za dowód, że mają rację - metoda jest skuteczna. Mylą się. Metoda, owszem, była skuteczna, ale kobieta, którą wzięli tą metodą, nie należała do trudnych - tarła udem o udo nie mogąc się doczekać, kiedy on skończy głądzić i zabierze się do roboty. Albo grała k....ski teatr dla dobrze wykalkulowanych celów, to stare jak świat.

W przypadku kobiety trudnej, sztuka uwodzenia polega na czymś innym. Nie na mówieniu - na słuchaniu. Na wzbudzeniu odrobiny zaufania i na zamknięciu ust, a otwarciu uszu. Taka kobieta nosi w sobie całą rozpacz gatunku ludzkiego i nie ma z kim podzielić się owym bagażem, aby jej ulżyło. Wystarczy słuchać. Ten, kto umie milczeć i słuchać, wzbudza wdzięczność, która wytwarza miłość.

Jest tu i szansa dla kabotynów, którzy nie potrafią mówić. Ale tylko dla przezornych kabotynów, takich, co o tym wiedzą i mało się odzywają, podczas gdy dla człowieka, który ma język w gębie, umiejętność cierpliwego wysłuchiwania bliźnich to niełatwa rzecz - to jedna z najtrudniejszych sztuk i ten, kto już to umie, dysponuje magnetyczną siłą przyciągania. Dlatego największy milczący słuchacz - Wielki Powiernik - jest Bogiem.

Zenon Tolik nie miał w sobie nic z myśliciela, filozofa czy spo-

wiednika, ale gdy zamienił kilkadziesiąt zdań z Barbarą Brodziuch - instynktownie (psim węchem, czy jak kto woli sprytem lub cinkciarskim intelektem) wyczuł to samo, co tłumaczyłem u góry i na co potrzebowałem wielu słów. Nie musiał jej zaliczać. Miewał tyle dziewczyn, ile pragnął, nie było w nim zwierzęcego głodu. Lecz spostrzegł, jakim typem jest ta kobieta. I zagrało w nim coś, co Anglicy nazywają „challenge” - wyzwaniem. Na tym polega sport.

Już w samochodzie dowiedział się wszystkiego: że przyjechała z synkiem do ośrodka FWP w Szczyrku, że ma pokój bardzo piękny, i że Szczyrk jest bardzo piękny, i że na szczęście pogoda jest cudowna, a ona bała się, że może nie być cudowna, i że w ośrodku bardzo dobrze ich karmią, i że mieszka w Warszawie, i że on jest bardzo uprzejmy, a ona przeprasza, iż nie przedstawiła się dotąd, nazywa się Barbara Brodziuch.

- Ja też się nie przedstawiłem - odparł. - Stefan Kaliński, prawnik.

Życie nauczyło go, że trzech szczegółów nie należy damie zdradzać: autentycznego nazwiska, stałego adresu i numeru telefonu (zwłaszcza tego ostatniego - telefon to broń, którą każda z nich posługuje się po mistrzowsku, jak miotaczem harpunów). Dodał:

- Mieszkam w Szczecinie. Przyjechałem tu, żeby się zrelaksować, rozumie pani... A pani nazwisko... gdzieś już słyszałem to nazwisko...

- Mój mąż jest jednym z przywódców warszawskiej „Solidarności”.

- Więc to ten głośny Stefan Brodziuch!

- Tak, to on.

- Gratuluję! Ma pani wspaniałego męża!

Zamilkła. Po chwili szepnęła, jakby do siebie:

- No tak, mam... Mam i nie mam.

- Dlaczego?

- W domu coraz rzadziej go widuję odkąd zaczęły się strajki. Wpada niczym po ogień i gna do zakładu, albo jeździ w teren orga-

nizować nowe komórki Związku... Kilka miesięcy już tak jest, Piotruś niedługo zapomni jak ojciec wygląda...

Tolik zrozumiał jak to wygląda. Odwiózł kobietę pod dom wczasowy i nie spłoszył żadną propozycją. Następnego dnia przed południem kupił w Bielsku-Białej elegancki garnitur, kilka koszul i nowe buty, a po południu przypadkowo wpadł na mamę z dzieckiem w centrum Szczyrku i spacerował z nimi aż zaczęło się zmierzchać. Gdy mały Brodziuch dołączył do grupki dzieci toczących wielką kulę śnieżną, jego matka usłyszała propozycję spotkania w kawiarni i przyjęła ją. Spotkanie nastąpiło późno, bo Piotra Brodziucha musiał najpierw zmorzyć Morfeusz. Kawiarnia miała cygańską orkiestrę, a Zenon Tolik tańczył jak bóg tańca - Barbara nie wiedziała dotąd, że taniec to jedna z rozkoszy. I nigdy dotąd nie była w towarzystwie mężczyzny, wokół którego kelnerzy tańczą jak wokół króla Midasa, więc kobieta jest przy nim królową balu. Odwiózł ją samochodem, wysiadł, towarzyszył do drzwi domu wczasowego, ucałował w dłoń i zawrócił do samochodu z miną Byrona, któremu serce spuchło od uczuć. Następny wieczór był podobny, tylko dłużej siedzieli w samochodzie, bo miała więcej do powiedzenia o swoim życiu, swoim smutku, o szkolnej harówce i o codziennych kłopotach przeplatających się z marzeniami. Kolejnego dnia to się nie powtórzyło, bo on musiał wyjechać na jedną dobę do braci Czechów.

Ta doba jego nieobecności miała kluczowe znaczenie, o czym Tolik wiedział, chociaż psychologiem nie był. Wiedział, że jeśli choć raz targnie tą kobietą niepokój, iż on już nie wróci - to ją ma, jak upieczoną kaczkę, która leży na półmisku i zejść z niego może tylko przez zęby kogoś, kto trzyma nóż i widelec. Ale pewności nie miał. Tak jak nie miał pewności, czy fakt, że dziwnym zrządzeniem losu wymyślił sobie imię będące imieniem jej męża, działa na nią podniecająco, czy hamująco.

Załatwił interes, wrócił, przetańczył z nią tango cygańskie, które

rozkroiłoby serce betonowego pomnika, wziął ją do hotelu i poczuł się strażakiem, gdyż jej długo tłumiony seks eksplodował na kształt długo śpiącego wulkanu. Kolejnej nocy strażak zamienił się w nauczyciela, bo ten jej seks był prymitywny niczym kijanka lub tarka w ręku baby piorącej. Nauczył ją, że kobieta ma wiele miejsc erogennych, i wcale go nie zdziwiło, że surowa uczennica odrabia pierwszą lekcję bez cienia wstydu - nie mogło go zdziwić, nie był już chłopcem, był mężczyzną i to mężczyzną doświadczonym. W tych sprawach człowiek przestaje być chłopcem, a staje się mężczyzną, nie wtedy, kiedy zaliczył pierwszą kobietę, i nie wtedy, kiedy przeleciał dwudziestą, lecz dopiero wtedy, gdy zrozumie, że kobiety nie wstydzą się niczego, że nic nie powstrzyma kobiety przed jej własnym szaleństwem i że nie ma na świecie takiej kobiety, która nie chciałaby być k...ą, choćby tylko od czasu do czasu. A ponieważ najlepszy sposób zwalczania pokusy to ulec jej...

Wyjeżdżając ze Szczyrku obiecał, że będzie wpadał do Warszawy i że zadzwoni przed wizytą. Dała mu szkolny numer telefonu, lecz nie uwierzyła w obietnicę. Cały czas miała świadomość, iż trzyma w ręku wędrownego ptaka, który nigdy nie będzie należał do niej, odleci i jeśli nawet kiedyś powróci, to tylko na mgnienie oczu. Ale to mgnienie oczu było wspanialsze niż nuda małżeństwa, gdyż jak powiedział stary mędrzec George Bernard Shaw: **„Kobiety zawsze będą wolały dziesiątą część mężczyzny pierwszej klasy niż wyłączne posiadanie mężczyzny trzeciorzędowego”**.

\*\*\*

Jurij W. Andropow jak nikt inny w ZSRR znał każdą słabość członków sędziwego areopagu rządzącego Krajem Rad, członków Politbiura, członków Komitetu Centralnego i Sztabu Generalnego, oraz wszelkich innych członków, od pułkownika, dyrektora departamentu i sekretarza rejonowego wzwyż. Wiedział, któremu z nich



potrzebna jest Kreolka lub jasna Murzynka (a jeśli już Europejka, to pięknie opalona), który z nich preferuje delikatne, mlecznobiałe, wprost mączne ciało (koniecznie z czarnymi włosami i bielizną w kolorze szkarłatu), który woli jasnowłosych cherubinków, który jest niezdolny gdy dziewczynka ma powyżej czternastu lat i nie ma na sobie pionierskiego mundurka, a któremu nie staje z żadną dziewczynką i z żadnym chłopcem za żadne skarby.

Sam miał w późnym wieku tylko jedną słabość - lubił się otaczać rzeczami klasy pięciogwiazdkowej, od antyków z Ermitażu po zachodnie gadzety, sprzęty i mechanizmy. Jego dom, jego dacza, jego gabinet w Komitecie, jak również wszystkie jego łazienki, pełne były przedmiotów i kosmetyków z napisami: „*Made in ...*”; twórców z napisem: „*Zdielano w SSSR*” Jurij Andropow się wystrzegał, wiedząc, że są do d..y (tu funkcja szefa bezpieczeństwa nie była konieczna, bo identyczną wiedzę posiadał każdy z jego rodaków). Świadomość, iż spośród wszystkich mieszkańców ZSRR jedynie ryby spisują się na medal, produkując pierwszorzędny kawior, byłaby wieczną zadrą w sercu prawdziwego radzieckiego komunisty, gdyby jeszcze żył gdzieś w Związku Radzieckim prawdziwy komunist, to jest człowiek autentycznie wierzący, że komunizm stanowi najwyższą formę ludzkiego bytu. Ale ludzie wyznający taką wiarę zdarzali się już tylko w kapitalistycznych krajach oraz w dziewiczej dżungli.

Miłość Jurija Andropowa do „*Made in France*” lub „*Made in England*” była efektem jego pragmatyzmu, ukochania luksusu, a wreszcie i obrzydzenia do tego wszystkiego, co go oblepiało jak Kraj Rad długi i szeroki, zwłaszcza zaś wstrętu do ludzi na każdym szczeblu, ludzi o źle skrojonych lub pocerowanych ubraniach, o tanich charakterach i rozbieganych oczach, ludzi zawsze gotowych skłamać niepotrzebnie bądź ukraść cokolwiek dla kilku groszy. Ludzi sytych chwałą, gdy radio podaje, że Bagdad jest oświetlony żarówkami z napisem: „*Made in USSR*”.

Odkąd Breżniew kazał zintensyfikować politykę proeksportową, zaczęto w radzieckich fabrykach umieszczać angielskie wyrazy na sprzęcie ekspediowanym do Muzułmanów, Murzynów i Wietnamczyków: „*Made in USSR*”. Te plakietki i nalepki z imperialistycznym napisem wbijały w dumę partyjny aparat; pieścili je opuszkami palców i wtedy ich ciała przechodził rozkoszny prąd. Pokazywali je w telewizji milionom ludzi, żeby i lud mógł urosnąć w dumę. Wielu radzieckich ludzi rosło. Albowiem różnica między bogatymi narodami a małymi na ciągłym dorobku Syzyfa, leży w tym, że u tych pierwszych produkuje się wiele rzeczy dobrych, lub lepszych bądź gorszych od dobrego poziomu, i nikt nie zwraca uwagi na miejsce produkcji, tylko na jakość i cenę, gdyż rzeczy są po to, by z nich korzystać, a nie by czytać etykiety (dobre zapamiętuje się i utwierdza na rynku popytem, złe ruguje ze sklepów obojętnością), zaś w kraju lichym, kiedy uda się tam wyprodukować coś choćby średnio dobrego, ludzie z dumą oglądają napis: „*Made in...*”. Może dlatego zostaje im mniej miejsca na dumę ważniejszego rodzaju. I może właśnie o to chodzi. Jurij Andropow wiedział, że właśnie o to chodzi. Tak jak Karol Marks wiedział, że byt kształtuje świadomość.

Wśród wszystkich radzieckich eksporterów najlepsze wyniki eksportowe osiągała fabryka pod nazwą: Komitet Gosudarstwiennoj Biezopasnosti (KGB - Komitet Bezpieczeństwa Państwowego). Drugą pozycję w tym rankingu zdobył ciężką pracą wojskowy kombinat: Głównoje Razwiedywatielnoje Uprawlienije (GRU - wywiad wojskowy, konkretnie: II Zarząd Sztabu Generalnego Sił Zbrojnych ZSRR). Oba przedsiębiorstwa nie ograniczały się do eksportu tysięcy agentów komunistycznych na całą kulę ziemską. Prowadziły też działalność typu „*joint-venture*” kaptując we wszystkich krajach obywateli tych krajów do obopólnie korzystnej współpracy z Krajem Rad. KGB przewodził, a GRU było konkurentem-kooperantem KGB, więc szefa KGB cały glob uważał za diabła, który ma największe

ziemskie oko i ucho. W powszechnym przekonaniu: gdyby należało infiltrować Antarktydę, część pingwinów i pingwinie pracowałyby dla tego człowieka.

Juńj Andropow chciałby, żeby owa legenda była prawdą. Ale nie była, tak już jest z legendami odkąd powstała pierwsza z legend. Na stanowisko szefa bezpieki wspiął się w 1967, akurat wówczas, gdy dobiegał końca „złoty wiek” londyńskiej super-agentury radzieckiego wywiadu. Historia zna niewiele podobnych zwycięstw - przez dwie dekady cały angielski wywiad (MI 6) i kontrwywiad (MI 5) były dyrygowane przez tzw. „Apostołów z Cambridge” i innych „kretów” pracujących dla Związku Radzieckiego. Kilku z tych „kretów” piastowało najwyższe funkcje w brytyjskiej Informacji, więc gdy świat się o tym dowiedział, uznano KGB za czempiona wśród wywiadów. Pod koniec lat sześćdziesiątych nadeszły jednak gorsze czasy. W połowie siedemdziesiątych, przy ogromnym wysiłku, sukcesy i porażki zostały zrównoważone, ale prawem sinusoidy końcówką tych lat znowu była równińa pochyłą.

Sama nazwa KGB wskazuje, iż do jego zadań należał problem państwowego czyli również publicznego bezpieczeństwa w Związku Radzieckim. Był to problem pacyfikowania przestępców, z którym milicja by sobie nie poradziła. Problem ów Andropow rozwiązał radykalnie, biorąc wszystkie duże gangi ZSRR na smycz (w tym cztery główne mafie moskiewskie - Luberecką, Emiracką, Bałmańską i Słonecznogórską): w zamian za współpracę dał im dyskretną ochronę i kontrolował ich działalność. Do tego samego - do wzięcia na służbę podziemi kryminalnych - przekonał bezpieki w satelickich państwach. I to się udało, z obustronnym pożytkiem, czyli z korzyścią dla jednych i drugich bandziorów. Ale w dziedzinie wywiadu i kontrwywiadu stan nie był satysfakcjonujący. Coraz większa liczba Rosjan-agentów KGB i GRU „wybierała wolność”, ujawniając się na Zachodzie, zaś CIA coraz łatwiej werbowała ludzi

już nie tylko w Kraju Rad, lecz w centralach KGB i GRU. Czymś szczególnie bolesnym dla Andropowa była okoliczność, że największą liczbę zdrajców ujawniono w PGU (Pierwoje Gławnoje Uprawlieniye - Pierwszy Zarząd Główny - pion wywiadu i kontrwywiadu KGB) i że nie byli to porucznicy, lecz grono pułkowników i generałów obdarzanych największym zaufaniem i mających dostęp do największej liczby tajemnic. A kto mógł wiedzieć ilu nie zdemaskowano? Na korytarzach i w ubikacjach centrali moskiewskiej oficerowie młodszych szarż śmiali się do łez powtarzając sobie dowcip:

*„W Moskwie są trzy rezydentury CIA - w ambasadzie USA, w PGU-KGB i w GRU”. I drugi kawał, o tym, że na zebraniu partyjnym PGU-KGB przewodniczący tak rozsadza członków: „Agenci CIA proszeni są o siadanie po lewej stronie sali, a po prawej agenci wywiadów innych państw”.*

Wszystko to było jak zły sen. Potrzebował sukcesu. Sukcesu historycznego, który przyćmiłby cały ten koszmar. Takim złotym sukcesem mógł być jakiś wielki cios wymierzony buntującym się Polakom. Na początku lutego A. D. 1981 nie sypiał dobrze, gdyż myślał tylko o tym. I wymyślił, a gdy już wymyślił, pomyślał, że nie tylko milczenie, lecz i myślenie to złoto. Uwielbiał czuć się filozofem.

\*\*\*

Clint Farloon uwielbiał dawać nogę z domu i ze szkoły, bo nie cierpiał, by nim dyrygowano. Młodzież nigdy nie lubiła, by nią dyrygowano i nigdy tego nie polubi, ale u Clinta owa niechęć przybierała formy agresywne, czego z kolei dorośli bardzo nie lubią. W sumie dorośli nie akceptowali Clinta takim, jakim był, on zaś nie akceptował świata dorosłych wszechstronnie, to jest we wszystkich aspektach (od ubiorów do ukłonów), bo go nie rozumiał. Można rzec, iż znajdowała tu potwierdzenie słynna zasada nieoznaczoności Heisenberga, zgodnie z którą - im dokładniej się coś obserwuje, tym

mniej się rozumie przedmiot obserwacji. Istnieje opinia, że Heisenberg formułując to prawo miał na myśli kobiety jako przedmiot badań, ale w stosunku Clint'a do „zgreków” występował podobny efekt - im dłużej obserwował pokolenie swego starego, tym mniej je rozumiał i tym bardziej nim pogardzał. Z rówieśnikami zresztą też nie miał wyłącznie dobrych układów. Zaprzyjaźnić się z nim było równie łatwo jak z psem szeryfa, natomiast mieć rozbity przez Clint'a nos było równie trudno jak wypić coca-colę.

W lutym 1981 roku Clint Farloon wyglądał na mężczyznę pełnoletniego, chociaż ledwo ukończył szesnaście lat. Mieszkał w Calais, lecz nie w tym historycznym francuskim, tylko w amerykańskim, nad granicą kanadyjską (stan Maine). Przedpołudnia spędzał w murach szkoły lub wagarował. Do owej szkoły uczęszczało wiele dziewcząt pragnących spędzać popołudnia z Clintem Farloonem, przy czym kilka z tych dziewcząt miało tak ślepy rozum, że popołudnia myliły się im z tą porą doby, kiedy księżyc wychodzi na niebo. Jednym zdaniem ujmując obraz tego chłopca: był to „teenager” z Calais, bardzo przystojny, bardzo umięśniony i bardzo wysportowany, nie uznawał żadnych autorytetów, kochał „heavy-metal”, okropnie grzeszył już jako szesnastolatek i bezczelnie nie bał się śmierci, więc włączyć mu w drogę nie należało.

Tego dnia, o którym chcę powiedzieć, Clint wyszedł wcześniej ze szkoły niż powinien był wyjść. Nie planował wagarów, ale plany mają to do siebie, że ulegają niespodziewanym zmianom. Inny uczeń tej samej klasy, syn pastora murzyńskiego, Tom Tubbs, włożył nagle swą czarną dłoń pod spódnicę białej Betty Callaghan i zanim zdążył ją wyjąć, pięść Clint'a rozkwaślała mu wargi. Farloona wezwano do gabinetu dyrektora Mendeza i tam usłyszał, że rasizm to ohydna rzecz.

- Farloon, czy twój ojciec jest rasistą? - zapytał Mendez.
- Nie, sir - odparł Farloon.

- A widzisz!... Więc czemu ty jesteś rasistą?

- Bo ja nie czytałem „Chaty wuja Toma”, sir.

Dyrektor poczuł się bardzo obrażony i ryknął najgłośniejszym głosem:

- Bezzwłocznie przeprosisz Tubbsa, Farloon, **bezzwłocznie!!**

Clint wyszedł z gabinetu dyrektorskiego i bezzwłocznie opuścił budynek szkolny, bo nie zamierzał nikogo przeproszać. Wsiadł w autobus i wysiadł na końcowym przystanku, skąd było blisko do zatoki Fundy. Brnął przez głęboki śnieg, aż dotarł do składowiska samochodowych wraków. Tam ujrzał scenę bardzo zabawną: trzech żule oblepiali śniegiem Murzyna, który pokornie stał, trząsł się ze strachu i z mrozu, a lzy na jego policzkach krzepły i zamieniały się w długie cieniutkie sople.

- Czego tu szukasz?! - warknął do Clinta jeden z łobuzów.

- Niczego - odparł Clint. - Niczego specjalnego, ale zgubiłem tu wczoraj dychę i myślałem...

- To masz ją z głowy, chyba że chcesz odkopać cały ten śnieg, idioto! A może chcesz nam pomóc?

- Jasne, chłopaki! W co się gra?

- Nie kapujesz? Złapaliśmy czarnego i chcemy go przerobić na białego, wszyscy czarni marzą o tym! To będzie najpiękniejszy bałwanek, jakiego widziano w Stanach!

Dwaj pozostali wybuchnęli śmiechem, a ten, z którym rozmawiał Farloon, zapytał:

- No to jak, pasuje, kolego?

- Bomba! - rzekł Clint.

Murzyn był już oblepiony do pasa, miał wokół siebie kupę śniegu.

- Jak oblepimy całego, to damy mu garnek na łeb i marchewkę w pysk - rzekł łobuz.

- A miotła? - zapytał Clint.

- Jaka miotła?

- Prawdziwy bałwan musi trzymać kij lub miotłę.

- Cholera, nie mamy miotły...

- W porządku, wy lepcie dalej, a ja będę szukał czegoś takiego.

Ruszył na złomowisko, urwał żelazny drąg we wraku ciężarówki i przyniósł.

- Fajna rura! - wyseplenił jeden z tria oblepiaczy, krostowaty trzydziestolatek.

- Zaraz się przekonamy, czy fajna - odparł Clint i zdzielił krostowatego rurą w bark.

Usłyszał trzask pękającej kości i zwierzęcy ryk. Drugiego dźgnął w pierś. Trzeci wyjął nóż. Żaden nóż nie jest tak długi jak solidna rura - trzeciemu Clint przetrącił dłoń. Uciekli wyjąc z bólu, a Clint zaczął odkopywać Murzyna, rozbijając śnieg butem. Murzyn patrzył nań zdziwiony i dalej płakał; z jego zmarzniętych ust wypłynął zmarznięty głos:

- Dlaczego to robisz?

- Szukam moich dziesięciu dolców.

Gdy już odkopał całego. Murzyn nawet nie powiedział: „*thanks*”, tylko zapytał drugi raz:

- Czemu to zrobiłeś?

- Bo mój stary opowiada mi każdego dnia na dobranoc „Chatę wuja Toma”. Spieprzaj, gnoju!

Murzyn pobiegł w kierunku zatoki i tak się to zakończyło, bez żadnych ważnych następstw. Któż mógł przypuszczać, że to tylko preludium, które sprawił dowcipny los, i że kiedy kilka lat później ten sam Clint uratuje całą murzyńską wieś, następstwa będą o znaczeniu politycznym.

\*\*\*

Intensywne myślenie Jurija Andropowa w poszukiwaniu sukcesu nie obracało się dookoła tego, co zrobić (to wiedział już od końca 1980 roku), lecz jak.

Co i jak zrobić z polskim buntem, to nie był problem trudny - Polskę w odpowiednim czasie należy spacyfikować rękami Polaków, i taką radę dał Breżniewowi, przeciwstawiając się militarnym ambicjom Ustinowa. Rozumiał jednak, że stłumić bunt a osiągnąć głębsze zwycięstwo, to są dwie różne sprawy. Aby osiągnąć głębsze zwycięstwo należało wyciąć korzenie psychicznej siły buntowników. Ta ich moc pochodziła z Rzymu, co do tego nie miał wątpliwości żadnej. Kościół władał duszą narodu polskiego, więc gdy Polak zasiadł na tronie Piętrowy m, Polacy zmartwychwstali duchowo i jako pierwsi z radzieckich niewolników unieśli hardy łeb, a gdy odwiedził swój kraj, uruchomił tą pielgrzymką mechanizm buntu - powstała „Solidarność”. Dla Wałęsy Jan Paweł II był ikoną ważniejszą od Jezusa Chrystusa. Andropow widział swój sukces w zlikwidowaniu tej pierwszej ikony.

Uśmiercić Karola Wojtyłę nie było trudno, gdyż ochroniarze Watykanu byli dyletantami tout court - ich robota mogłaby zabić śmiechem nawet drugorzędnych bezpieczeniaków. Wszelako Andropow znał życie i wiedział, że praktyka spiskowa ma jedną cechę wspólną z kulką ruletki, z ukochaną kobietą i z faworyzowanym arabem na torze wyścigowym. Wiedział również, że nawet wielkim chirurgom zdarza się zabić pacjenta przy usuwaniu wyrostka robaczkowego. Nie mógł więc całkowicie odrzucić możliwości, że zabójcy wpadną i że jakaś policja ustali rozkazodawców. A gdyby bezpośrednim rozkazodawcą okazał się KGB, byłby to dla Kremla cios potwornie ciężki, on zaś, Jurij Andropow, przeszedłby do historii jako Kaligula. Problem polegał na tym, co zrobić, by w przypadku ujęcia zabójców Kreml i KGB pozostały dziewicą. Łamał sobie głowę każdej nocy i każdego dnia, do momentu, gdy jego anioł stróż, któryś z dwóch wielkich filozofów minionych epok, demiurgów świata oznakowanego sierpem i młotem - Lenin lub Stalin - zesłał mu myśl godną burżuazyjnego filozofa Makiawela. Makiawel był



„Made in Italy”, a „*gospodin papa*” mieszkał w Rzymie i tam miała się odbyć egzekucja, więc wszystko grało. Istotę owej myśli rodem z czerwonego Hadesu można ująć w kilku słowach: zabójstwo nie polityczne, lecz religijne! Dokonane przez fanatyka islamskiego (najlepiej z jakiejś terrorystycznej organizacji), którego Włosi złapią i rozszyfrują bez trudu. Zabójstwo w imię Allaha i Proroka, oraz w imię muzułmańskiego terroryzmu, który Żydów i chrześcijan szlachtuje gdzie tylko może; wystarczy znaleźć i ukierunkować takich fanatyków, nie obciążonych nigdy współpracą z ZSRR. KGB nie mógł ich szukać, chociażby dlatego, iż PGU był stałym źródłem wycieku informacji. Musiał to zrobić ktoś z zewnątrz. Wśród państw satelickich największa liczba muzułmanów zamieszkiwała Bułgarię. Pomyślał o Bułgarach...

Gardził brudną Bułgarią i jej satrapą, głupim nad wszelki podziw. Tępota i pazerność Żiwkowa przewyższały głupotę i złodziejstwo innych czerwonych wodzów, tylko Ceausescu dorównywał mu w jednym i drugim, ale przewyższał sprytem. Na przywódczych spotkaniach „*państw-stron Układu Warszawskiego*” Żiwkow robił wrażenie człowieka mądrego, bo dużo milczał. Czasami jednak zabierał głos w miejscu najbardziej nieodpowiednim, dając dowód, że kompletnie nie rozumie o czym koledzy pierwsi sekretarze akurat mówią, a wówczas Breżniew przerywał mu z drugiego końca stołu: „*Zamknij się, Todorfi*”, i uradzano dalej, a on dalej niczego nie pojmował. Tę anegdotę sprzedali francuskim dziennikarzom chyba Węgrzy, lecz Andropow nie był tego pewien.

Pamiętał swą pierwszą wizytę u Bułgarów, gdy miał ledwie pięćdziesiąt pięć lat. Zawieziono go do rezydencji o nazwie Mała Sofia, której styl architektoniczny był ciekawym koktajlem gmachu ONZ, Tadź Mahalu, kancelarii Rzeszy i dworca lotniczego w Abu Dabi, z niewielką dokładką motywów japońskiej Świątyni Słońca w Ise oraz hiszpańskiej katedry Sagrada Familia Gaudiego. Po mieszanym

bulionie (baranina plus płetwy rekinów), po pstrągu szpikowanym kuropatwami nadziewanymi owocem mango, i po francuskim szampanie, Żiwkow wziął gościa do jednego z cudaczych budynków flankujących centralny plac. Tam Jurij Andropow zaniemówił. Wydawało mu się, że jest chłopcem o pięćdziesiąt lat młodszym, którego mama przyprowadziła do zoologicznego panoptikum. Na podłogach, ścianach i sufitach, na meblach i specjalnych konstrukcjach z ramiaków, w każdym kącie - tłoczyły się gromady zwierząt. Kaczki obok lampartów, jelenie i sarny obok nóg i kłów słonia, cietrzewie, orły i wszelakie inne ptactwo, szablaste ryje dzików, skóry lwów i tygrysów, niezliczone poroża, zające gotowe do kicania, lisy przyczajone za krzakiem, i wszystko to pachniało w odpowiedni sposób. Andropow zbliżył nos ku olbrzymiemu basiorowi z imponującym uzębieniem - wilk pachniał wodą kolońską Old Spice. Chciało się mieć trzecią dłoń do zatykania nozdrzy, już po zatkaniu uszu. Przestrzeń między wypchaną menażką falowała świergotem, piskiem, chrząkaniem, tokowaniem i echem miłosnej rui dobywającym się z głośników ukrytych w ścianach.

- To muzeum moich trofeów łowieckich - wyjaśnił Żiwkow.

„*To obłąd!*” - pomyślał Andropow. Gospodarz dał mu się napawać przez kilka minut widowiskiem, bukietem zapachów i Darwinowskim koncertem, a sam pęczniał od dumy.

Wyszli na zewnątrz i Żiwkow zwierzył się gościowi z marzenia, jakie hołubił od pewnego czasu - chciałby przyłączyć Bułgarię do Kraju Rad! Żeby stała się republiką związkową! Czy drogi gość nie mógłby porozmawiać o tym z Leonidem Iljiczem? Drogi gość mruknął, że może o tym wspomnieć towarzyszowi Breżniewowi, i pomyślał, że gospodarz jest klinicznym idiotą, a więc wstępna diagnoza, ta z sali myśliwskiej, była trafna.

Gdy Żiwkow pobiegł uwolnić się od nadmiaru moczu, Jurij został

sam na sam z oficerem bułgarskiej bezpieki. Spojrzał mu w twarz - wzrok tego pułkownika żył! Facet stał wyprężony jak struna, a było w jego oczach coś dziwnego, ludzkiego, wbrew regule szklanych oczu u wartowników i strażników asystujących wielkim figurom.

- Co o tym myślisz, pułkowniku? - zapytał, podchodząc bliżej.

- O czym, towarzyszu przewodniczący?

- O marzeniu towarzysza Żiwkowa.

- To samo, co wy, towarzyszu przewodniczący.

- A o nim samym też to samo?

- Dokładnie to samo, towarzyszu przewodniczący.

- Jak się nazywasz?

- Petyr Czelew, towarzyszu przewodniczący.

Andropow odwrócił się w stronę ogrodu, położył dłonie na marmurowej balustradzie i zastygł patrząc w niebo.

Nazajutrz wracał do Moskwy. Żegnając Żiwkowa przy schodkach samolotu, poprosił o drobną uprzejmość:

- Towarzyszu, chciałbym jutro zobaczyć pułkownika Czelewa w centrali KGB. Rano, jeśli łaska!

Żiwkow wybałuszył wzrok i kiwnął głową jak rekrut.

Petyr Czelew wrócił z Moskwy do kraju ojczystego po kilku miesiącach. Wrócił jako szef Derżawnej Sigumosti (bułgarskiej bezpieki) i w generalskim mundurze. Przez kilkanaście lat nie zawiódł i okazał się człowiekiem bardzo pomysłowym. To on wynalazł „*bułgarski parasol*” (parasol zakończony igłą wstrzykującą truciznę), który przeszedł do legendy i do szpiegowskiej literatury.

11 lutego 1981 roku Andropow spotkał się z Czelewem w małym chutorze gdzieś w ukraińskich stepach i wyjaśnił o co chodzi, a Czelew powiedział bez namysłu:

- Znam kogoś właściwego. Jest taka turecka organizacja pod nazwą „*Szare Wilki*”. Turecka, a więc muzułmańska, i turecka, a więc z NATO, a nie z Układu Warszawskiego. Alibi dubeltowe.

- Lewicowa?
- Prawicowa. Potrójne alibi.
- Twoja?
- Nie moja, ale mam tam kogoś.
- I ten ktoś wystarczy, towarzyszu Czelew?
- Towarzyszu Andropow, pamiętacie swoją wizytę w Małej Sofii kilkanaście lat temu? Na sali łowieckiej Żiwkova stał basior uperfumowany jak kurwa.
- Tak, pachniał Old Spicem.
- To ja go pokropiłem przed waszą wizytą, takie miałem rozkazy. A wcześniej to ja zastrzeliłem wilczycę i jej miot, prócz niego. Jego tresowałem, służył jak pies. Gdy się zestarzał, został wypchany. Jestem specjalistą od układania i perfumowania wilków...

\*\*\*

W lutym roku 1981 Andropow miał już nowego przeciwnika na stanowisku szefa CIA, bo w Stanach Zjednoczonych zmienił się prezydent i cały rząd. Nowym prezydentem został były gubernator Kalifornii Ronald Reagan, a nowym szefem CIA James Millberg, z wykształcenia prawnik.

Millberg po ukończeniu studiów spędził kilka lat na placówkach dyplomatycznych w Brukseli, Paryżu i Bonn jako młodszy sekretarz-zastępca radców prawnych, czyli agent CIA. Kiedy wrócił do USA, otworzył biuro maklerskie i kancelarię adwokacką w Hollywood. Posiadał dużo pieniędzy, gdyż doradzał innym ludziom z pieniędzmi, co mają z nimi zrobić, żeby mieć ich więcej. Wśród jego klientów był także pewien aktor, który grał pierwszoplanowe role w drugorzędnych westernach, a później został kolejno szefem związku zawodowego aktorów, gubernatorem z ramienia republikanów i prezydentem z wyboru Amerykanów, na czym musiał poprzestać niestety, gdyż najbardziej pierwszoplanowa rola, rola Pana Boga,

była już zajęta od dłuższego czasu i to dożywno. James Millberg towarzyszył mu przez całą tę polityczną drogę.

Millberg i Andropow mieli dwie wspólne cechy. Każdy miał pod sobą wielki kombinat produkujący informacje dla własnego rządu, a dezinformacje dla wrogów i dla całego świata (oraz dla własnego społeczeństwa, lecz tu KGB zdecydowanie przodowało). I każdy z nich kochał luksus. Millberg był arbitrem elegancji w administracyjnych kręgach Białego Domu i Waszyngtonu, nikt nie potrafił się ubierać tak jak on. Gdy 15 lutego A.D. 1981 przyjechał do rezydencji prezydenta w Camp David, wyglądał jak zwykle, to jest jak bóg mody na pokazie w Paryżu. Prezydent, który wyglądał przy nim jak tandeciarz, pocieszył się mówiąc głośno:

- Przy tobie każdy wygląda jak tandeciarz!

- Czy ja coś mówię, Ron?

- Twoje łachy mówią za ciebie!

Millberg wyciągnął dłoń do powitania i rzucił okiem na prezydencki strój.

- Garnitur może być. Co prawda ten nie jest z Saville Row, ale ujdzie w tłoku. Natomiast większą uwagę musisz zwracać na dodatki, Bóg jest w dodatkach, pamiętaj, w dodatkach!

- Cholera z tobą, James! Za ten krawat Nancy wybuliła sto dolców!

- Kobiety lubią wyrzucać pieniądze.

- Psiakrew, to co mam robić?

- Krawat od Pierre Cardina lub od Yves Saint Laurenta. Tylko. Koszula z Jermyn Street, Burberrys są niezłe. No i musisz zainwestować trochę w buty i w zegarek, jakieś pięćdziesiąt tysięcy dolców. Zegarek Patka, a jak cię nie stać, to Longinnes, nigdy Rolex, to dobre dla nowobogackich. Buty Guccio. Aha, i długopis, to ważne, może być od Cartiera. Albo pióro Mont Blanc.

- Wtedy wreszcie będę mógł się pokazać w Białym Domu?

Millberg zrozumiał, że to kres pogawędki z przyjacielem, odtąd

będzie wymiana zdań z szefem państwa, i wybrnął dworsko:

- Pan jest tam zawsze mile widziany, panie prezydencie. Ale ja muszę się ubierać jak fircyk, inaczej nawet do chińskiej knajpy mnie nie wpuszczą.

Weszli do salonu. Reagan rozlał drinki i usiadł. Millberg też usiadł i zrobił minę wyczekującego na Słowo Boże. Prezydent skończył pić i przemówił:

- Wiem, że miałeś mało czasu, by zorientować się we wszystkich sprawach Agencji, ale na główne chyba wystarczyło?

- Na wszystko wystarczyło, panie prezydencie.

- Czy jesteś już zorientowany w szczegółach?

- We wszystkich szczegółach i w dwóch sprawach ważniejszych od szczegółów, panie prezydencie.

- Jakie są te dwie sprawy?

- Pierwsza jest taka, że kieruję najbardziej znienawidzoną instytucją w kraju. Nasi obywatele ignorują fakt, że CIA broni tego kraju, uważają Agencję za wrzód na ciele demokracji...

- Zawsze tak było.

- Chciałbym to zmienić, panie prezydencie.

- To każ swoim ludziom zawiesić sobie plakietki z godłem CIA na szyjach i pogoń do prowadzenia staruszek przez jezdnie, do wyławiania tonących i do karmienia dzieci piersią! A mnie nie zwracaj tym dupy! Jaka jest ta druga sprawa?

- Identyczna w psychicznym odbiorze. Żyjący szef Agencji to dla obywateli król szpiegów i skrytobójców. A historycy ocenią go jako kłamcę lub co gorsza niedołęgę, fuszera. Każdego wodza CIA!

- Dlaczego?

- Z powodu zatajania i przekłamywania informacji wywiadowczych. Chodzi o zawyżanie sił naszego głównego wroga. Ruski kolos to gliniany kolos, a CIA nieodmiennie straszy, że to potęga równa naszej. Dzieje się tak pod naciskiem Pentagonu, który robi w portki,

że ujawnienie prawdziwych danych zmniejszyłoby budżet na obronność. Wczoraj szef Kolegium Połączonych Sztabów wrzeszczał do mnie niczym do swojego adiutanta...

- Nie może być! - przerwał mu prezydent, załamując ręce w teatralny sposób. - To okropne!... I byłoby to dla mnie naprawdę wzruszające, James, gdybym tylko umiał się wzruszać łzami frajerów! Czy ty naprawdę nie rozumiesz, o co chodzi?

- Chodzi o szmal na wojskowy złom, którego mamy już i tak za wiele!

- Gówno prawda! Owszem, jest prawdą, że gdy Agencja ujawni faktyczny stan Armii Czerwonej, to Kongres obetnie budżet Pentagonu. Byłoby to klęską wielkiej idei, James. Rzecz w tym, iż pakując miliardy w zbrojenia, zmuszamy Rosję do tego samego, czyli do wyścigu. Tylko, że nas stać na to, a ich nie. Przez ten wyścig ich gospodarka jest średniowieczna, ich ludność jest hordą żebraków, i cały ten kram płynie w dziurawej balii, jednak wciąż płynie. Ta zabawa trwa już wiele lat, ale każdy mecz musi się kiedyś skończyć. Otóż ja chcę być tym prezydentem, który go skończy! Podejmę taki program uzbrojenia kosmosu, że Ruscy się zesrają, James! I to będzie koniec gry, przyjacielu! Gliniany kolos popęka i rozsypie się na gliniany gruz, chcę, żeby to się stało przed upływem mojej drugiej kadencji. I chcę, żebyś ty mi w tym pomógł, James!

Dyrektor James Millberg, który był inteligentnym człowiekiem i zawsze uważał, że jego inteligencja góruje nad inteligencją kowboja z Hollywoodu - zawstydział się. Pomyślał, że pycha to nie tyle przejaw pychy, ile głupoty, i że czasami trzeba sobie zafundować skromność tego samego gatunku, co garnitur z Saville Row. Powiedział krótko:

- Może pan na mnie liczyć, panie prezydencie.

- Dobra, a teraz powiedz mi jak tam u Polaków. Czy Rosjanie wejdą?

- Myślę, że nie, zostali przez nas ostrzeżeni. Raczej rzucą Polaków na Polaków. O ich decyzji dowie się pan ode mnie tego samego dnia,

gdy zostanie podjęta, lub w najgorszym przypadku tego samego dnia, gdy rozkaz trafi do Warszawy.

- A ty dowiesz się od kogo?

- Jeśli nie od rosyjskich agentów, to od oficera sztabu polskiego, z samej góry tego sztabu, panie prezydencie.

\*\*\*

Jest takie francuskie powiedzonko: „*l'extrêmes se touchent*”, które znaczy: „*przeciwności (skrajności) się przyciągają (stykają)*” i które wybornie tłumaczy, dlaczego ród ludzki zamiast wyginąć doszczętnie, wciąż się rozmnaża, mimo że prawdziwą miłość można znaleźć już tylko u pederastów.

Jedynym przyjacielem Clinta Farloona w szkole i poza szkołą był uczeń tej samej klasy, Lowa Abelman. Clint i Lowa różnili się tuszą i wzrostem jak Don Kichot i Sancho Pansa, charakterami jak kogut i miś koala, a pociąganiem do kobiet jak Casanova i niewolnik strzegący haremu (Lowa, na skutek wieloletniego przebywania ze swoimi siostrami, był pewien, że kobiety służą wyłącznie do zagłuszania człowieka). Nawet hobby każdy z nich miał różne. Konikiem Clinta (oprócz „*hard-rocku*”) były bardzo proste mechanizmy bębenkowe z lufą, a konikiem Lowy (oprócz Mozarta) bardzo skomplikowane mechanizmy elektroniczne, dzięki którym lalki jego sióstr mówiły i biegały po domu. Lowa miał taki system: puszczał płytę długogrającą i otulony w dźwięki Amadeusza pakował obwody scalone do kolejnej szuflady w kolejnym meblu, żeby i ją można było otwierać nie zbliżając się do niej, tylko zdalnie ją sterując, albo przerabiał mikser na radio, maszynkę do golenia na mikrofon, etc. - gdyby mógł, nafaszerowałby elektroniką psa siostry Ethel, ale nie mógł, bo na to Ethel nie chciała wyrazić zgody.

Ponieważ w każdej normalnej klasie szkolnej ktoś musi być ofiarą klasową czyli chłopcem do poniewierania dla reszty kolegów - w



klasie, do której uczęszczał Clint, wytypowano Lowę, gdyż był cichy i słaby. Ten numer jednak nie przeszedł, gdyż Clint Farloon był głośny i diabelnie silny i za Abelmanem się ujął. Tak wystartowała ich przyjaźń, wcale zresztą nie wolna od konfliktów. Clint, który z Mozartem nie chciał mieć nic wspólnego, znalazł w jakimś piśmie „*pop-music*” opinię pianisty Glenna Goulda, że Mozart jest najbardziej przecenionym kompozytorem na świecie i że „*jego symfonia G-dur zawiera siedem wybitnych pasażów otoczonych trzydziestoma minutami banału*”. Pokazał to przyjacielowi, a ten rzekł:

- W piśmie o wiele sensowniejszym niż to kolorowe gówienie możesz przeczytać, że kto rewolwerem wojuje, ten zginie od rewolweru.

- Co to ma wspólnego z Mozartem? - zdziwił się Clint.

- To ma wiele wspólnego z twoim umiłowaniem ciężkiego rocka i spluwy, bo spluwa to zabawka, która ma siedem wybitnych dziur, sześć w bębnie i jedną w lufie, otoczonych „*heavy-metalem*” dla supermenów o umysłowości troglodytów.

Konflikty między nimi nie wykraczały poza takie drobne starcia, których jedynym efektem było to, że Clint coraz bardziej nie lubił autora symfonii G-dur, a Lowa coraz bardziej gardził „*heavy-metalem*”. W innych sprawach byli zgodni, więc gdy Clint zapisał się do szkolnego teatryku, Lowa spełnił jego prośbę i zrobił to samo.

Dyrektorem tej amatorskiej sceny był nauczyciel ojczystego języka, pan Simpson, niewyżyty aktor, którego usunięto z profesjonalnego teatru za brak powołania do występów scenicznych. A jednak ten człowiek był aktorem, nieuleczalnym pozerem, co zresztą robi większość ludzi, lecz on to robił z taką pasją, jakby to robiło pięciu ludzi naraz. Ze swym krzywym uśmiechem i swą samochwalczą miną wyglądał na sprytniejszego niż był w rzeczywistości. Wszystko było oszustwem w tym człowieku - nawet jego olśniewająco białe zęby, sprawiające wrażenie sztucznych, były prawdziwe. Jako

„szekspiolog” założył szkolny teatr, a swoje drugie hobby uprawiał podczas lekcji: przedrzeźniał uczniów z sadystyczną perfekcją. Gdy mówił do Abelmana, to żydłaczył, a kiedy strofował Farloona, robił to kalifornijskim akcentem, gdyż Farloon nie umiał się pozbyć tego akcentu (jego rodzice przybyli na wschodnie wybrzeże z Kalifornii).

W połowie roku szkolnego teatrzyk pana Simpsona dał galowe przedstawienie dla pedagogów, dla uczniów i dla ich tatusiów oraz mam. Sala był pełna; tylko na mecze szkolnych drużyn hokejowych przychodził liczniejszy tłum. Wystawiono składankę głośnych fragmentów z wielkich tragedii i komedii. Na zakończenie - jako „clou” programu - prezentował się pan Simpson w boskim monologu Hamleta. Zrobił sobie do tego przepiękny czarny strój obsyty białymi koronkami i wyglądał imponująco. W lewej dłoni trzymał tradycyjną czaszkę, zaś prawą dłonią gestykulował w takt wypowiedzianych wersów. Na sali makiem zasiało. Gdy pan Simpson uniósł głos do krzyku rozdzierającego serca, w oczodołach czaszki pojawiły się gałki oczne i jedna z nich zaczęła robić „perskie oko”, a pomiędzy zębów wydobył się wielki szkarłatny jęzor, który falował jak żmija. Salą zatrzęsło od śmiechu. Gdyby Simpson spojrział na czaszkę, zrozumiałby czemu się śmieją, lecz on patrzył to na publiczność, to w górę, na sufit, i kontynuował monolog przy pomocy coraz bardziej drżących ust. Ale nie trwało to długo, gdyż stojący za kulisami Abelman nacisnął trzeci guzik w pilocie i wówczas zdalnie sterowana czaszka kopnęła Hamleta siłą tyłu woltów, że zawył i upuścił ją.

- Dobrze się spisałeś, stary - rzekł po spektaklu Clint do przyjaciela, i nie mówili o tym więcej.

Clint Farloon, choć nigdy nie czytał Dumasa, miał coś z hrabiego Monte Christo - nie lubił, by traktowano go wrednie i nie lubił tak go traktującym odpuszczać win. Słowem: nie lubił nie wyrównanych rachunków.

\*\*\*

W tym samym mniej więcej czasie, gdy James Millberg obejmował stanowisko dyrektora CIA, dwudziestoczteroletni Rick Korm był przyjmowany do CIA.

Pracę w CIA może próbować uzyskać każdy młody obywatel Stanów Zjednoczonych. Gazety amerykańskie drukują ogłoszenia werbunkowe CIA, na których widać godło Agencji z charakterystycznym orłem pośrodku. Chętni wysyłają list. Adres to numer skrzynki pocztowej w Waszyngtonie, z dopiskiem: „*Dla Jaya Collingwooda, Departament S., pokój 4N20*”. Ale do najlepszych absolwentów amerykańskich wyższych uczelni komórki rekrutacyjne CIA trafiają bezpośrednio.

Rick był właśnie takim absolwentem - Amerykanie prymusów jego pokroju nazywają: „*brilliant*”. Gdy w roku 1980 kończył wydział stosunków międzynarodowych Uniwersytetu Yale, zaczął go przy wejściu do campusu piegowaty facet z dyplomatką i zapytał:

- Panie Korm, czy mogę prosić o rozmowę?

Rick skinął głową, a facet zaczął rozmowę od drugiego pytania:

- Czy zastanawiał się pan kiedykolwiek nad pracą w CIA?

I Rick ponownie skinął głową, bo zastanawiał się od dłuższego już czasu. Co prawda jego stary chciał mieć syna dyplomate, ale ów stary szmat życia przepracował w mieście Sajgon (w domu przy ulicy Pasteura 137, gdzie mieścił się sztab CIA koordynujący wszystkie tajne operacje na Półwyspie Indochińskim), a gdy został emerytem, lubił opowiadać przy kominku, i te wspomnienia bardzo się podobały Rickowi. Werbunkowiec z CIA dobrze o tym wiedział.

Jego pierwszy dialog z Kormem juniorem (zwany w terminologii werbunkowej CIA: „*screening interview*”) nie zakończył się jeszcze decyzją. Decyzję Rick podjął sam w grudniu 1980 roku i udał się do miejscowości Rosslyn w stanie Wirginia, gdzie jest gmach zwany

Ames Building, mieszczący biuro zatrudnieniowe CIA. Tam dano mu do wypełnienia dwunastostronicową ankietę personalną. Trzy tygodnie później przeszedł całodniowy sprawdzian, pełen testów, na które odpowiedział równie błyskotliwie jak studiował. Wobec tego zaproszono go do innego budynku w stanie Wirginia. Był to sześciopiętrowy, o piaskowej elewacji i niczym nie oznakowany gmach w miejscowości Tyson Comer, położony cztery mile od Langley czyli od głównej siedziby Agencji.

W hallu stała uzbrojona straż. Przeszukano Ricka wykrywaczem metali, zaprowadzono na czwarte piętro i zostawiono samego w pokoju 4N20 (pokój wicedyrektora do spraw zatrudnienia), każąc poczekać kilka minut. Biurko w tym gabinecie dźwigało telefon i dwie kolorowe teczki; jedna z nich, czerwona, miała nadruk „Ścisłe tajne”, lecz Korm nie przypuszczał, by badali go w tak prymitywny sposób.

Wszedł wicedyrektor i poinformował Ricka, że Agencja, z grubsza biorąc, dzieli się na dwie części, analityczną i operacyjną, a od sprawdzianów, które przejdzie Korm, będzie zależało, gdzie dadzą mu etat. Musi także przejść badania lekarskie (w tym psychiatryczne) oraz sprawdzian prawdomówności na „wykrywaczu kłamstw”.

To ostatnie rozśmieszyło Ricka (ale się nie uśmiechnął), bo równie dobrze jak większość normalnych ludzi wiedział, iż szczerowość to nie jest sposób na życie, zaś u tajnego agenta jest to genialny sposób na szybki zgon. Dopiero później, gdy już przeszedł ów sprawdzian, pojął, że „detektor kłamstw” nie jest zabawką do śmiechu, lecz maszyną, którą trzeba zwyciężyć, by udowodnić tym swoją przydatność na tajnego agenta, czyli faceta, który lżąc robi wrażenie bardziej wiarygodnego niż człowiek, który mówi prawdę.

Urzędnik wymienił mu wszystkie rodzaje sprawdzianów, tylko zapomniał napomknąć o „clearance process” (dokładne rozpoznanie, „prześwietlenie” rekrutowanego; zajmuje się tym pion weryfikacyjny Agencji, jej bezpieczeństwa wewnętrzna), i dodał, że po zdaniu egzaminów

Rick otrzyma status EOD („*Entered on Duty*”) czyli przyjętego do służby w CIA.

O pracę w CIA corocznie ubiega się ponad dwieście tysięcy Amerykanów, lecz tylko niewielki odsetek spośród nich zdobywa status EOD. Rick Korm i tu okazał się „*brilliant*” - przeszedł wszystkie sprawdziany tak brawurowo, że najpierw zdobył EOD, a później drugi, elitarny status CT („*Kursant szkolenia zawodowego*”) i mógł sam wybrać sobie rodzaj służby, gdyż nadawał się do każdej. Wybrał pion zwany eufemistycznie Dyrektoriatem Planowania lub Sekcją Planów, będący pionem operacyjnym CIA, tym od misji tajnych i od przygód znanych każdemu dzięki hollywoodzkim wytwórniom. W roku 1977, za czasów Jimmiego Cartera (najgorszego prezydenta USA po II wojnie światowej), pion operacji specjalnych przeszedł czystkę zwaną „*masakrą w wigilię Wszystkich Świętych*” - zwolniono wówczas 820 ludzi w ramach „*kompresji etatów*”. Prezydent Reagan miał dużo więcej politycznego oleju w głowie, dlatego zdolniaków pokroju Ricka Korma przyjmowano w Dyrektoriacie Planowania z otwartymi rękami. Ale na stałe dopiero po trzyletnim okresie próbnym i po intensywnym cyklu szkolenia.

Miejscem, gdzie CIA szkoli swoją elitę operacyjną tajnych służb jest licząca 10 tysięcy akrów „*Farma*” Camp Peary koło Williamsburga (stan Wirginia), jeden z najpilniej strzeżonych obozów na terenie Stanów Zjednoczonych. W informatorach armii USA nosi on nic nie mówiącą nazwę: „*Eksperymentalna Placówka Szkolenia Zawodowego*” lub: „*Obiekt Wojskowy o Niejasnym Przeznaczeniu*”. W wewnętrznym slangu CIA używane są terminy: „*Farma*” lub „*Isolation*” (separatka, odosobnienie). Rzecznik CIA na pytania dziennikarzy o „*Farmę*”, odpowiada zawsze z tą samą godnością: „*Jaka farma?*”

Rick Korm miał się stawić w Camp Peary 1 kwietnia 1981 roku. Dwa dni wcześniej przybył do Tyson Comer po ostatnie dokumenty i

wrócił do Chicago, by w rodzinnym domu przespać ostatnią cywilną noc. Lecz gdy na niebie ukazały się gwiazdy, zmienił zdanie. Poszedł w miasto, tam wybrał sobie prostytutkę, zawiózł ją do motelu i namówił, żeby się rozebrała. Wszystko dlatego, iż miał niejake obawy, że w „Farmie” spotka tylko ludzi używających bardzo niskich obcasów.

\*\*\*

Około połowy lat siedemdziesiątych na najwyższym szczelbu warszawskiego podziemia kryminalnego dokonana się gwałtowna zmiana warty: stara hierarchia została rozbita i władzę przejął Stefan Karśnicki („Samuraj” vel „Książę”) (- *Patrz W. Łysiak, „Dobry”, Warszawa 1990 i 1996.*)

Motorem owego zamachu stanu był pięćdziesięciodwuletni pułkownik Służby Bezpieczeństwa Mieczysław Heldbaum alias Mieczysław Żendziakiewicz („Petro”).

Heldbaum, będący etatowym oficerem MSW, nie należał jednak do zwyczajnych pułkowników, jakich wielu pracowało w tym resorcie, lecz do elitarnej grupy, zakonspirowanej nawet przed władzą państwową (to jest przed czerwoną partią i czerwoną Radą Ministrów), a rozkazy przyjmującej bezpośrednio od KGB. W tej wewnątrzresorcyjnej mafii grał rolę bardzo ważną.

Iloraz inteligencji Heldbauma był bliski geniuszu, na co składała się nie tylko ogromna wiedza (życiowa pluserudycyjna), lecz i błyskotliwość oraz znakomite poczucie humoru. Językiem operował równie dobrze jak mózgiem, czyli jak Herbert von Karajan batutą, Rubinstein klawiaturą, a Maradona piłką; któryś z jego podwładnych słusznie zażartował, iż ten człowiek „namówiłby psa do wyjścia z wędliniarni”. Miał też cechę rzadką: gust; świetnie się znał na starym malarstwie, przepadał za dobrą literaturą, rozpoznawał stare wina po zapachu, a kiedy kłamał, kłamstwo przestawało być

łgarstwem, miało styl, jak każda wielka twórczość. Reasumując: był współczesnym wydaniem Mefistofelesa w najlepszym gatunku.

Gdybym zamiast tego użył określeń: „diabeł” lub „szatan”, zdemonizowałbym Helldbauma przesadnie - Mefisto jest tu terminem właściwszym. Mefistofeles bowiem, chociaż zalicza się do złych duchów, naturę ma skomplikowaną. Jego pierwotną postać odnajdujemy w późnośredniowiecznej klechdzie ludowej (po raz pierwszy przerobionej literacko w 1587 roku), gdzie występuje jako usługowy i poufały gadatliwiec, bardziej „*duch domowy*” niżli demon. Dopiero wielki rywal Szekspira, Marlowe, nadał Mefistofelesowi (w 1588 roku) cechy demoniczne, nazywając go diabłem szybkim niby myśl. Odtąd imię to tłumaczono z grecka jako „*Mephoto-philes*” („*Nieprzyjaciel światła*”, duch ciemności) lub „*Megist-ophiel*” (z greckiego „*ophis*” wąż). Inni badacze podają etymologię hebrajską: „*Mephitofel*” („*Usta apostazji*”). U Goethego Mefisto nie jest demiurgiem zła, lecz na wespół świadomym narzędziem woli wyższej, tak jak samo zło nie jest dzieckiem przypadku, gdyż musiało należeć do planu stworzenia. Kimże więc jest Mefisto? Mefistofeles to łotr, ale i dowcipny sceptyk, który rzadko ujawnia swój prawdziwy charakter, częściej przybierając oblicze ponętnego kusiciela, a gdy ma napływ szczerości kpi z samego siebie. To manipulator, i szyderca drwiący z tego, że manipulując, sam jest manipulowany. To wcielona amoralność i zarazem niewinność wynikająca z przekonania, że każdy człowiek i każdy demon jest tylko trybem bezwzględnej maszyny losu.

Rzecz osobliwa - Helldbaum był też fizycznie podobny do najwcześniejszego wizerunku Mefistofelesa, jaki zna ludzkość. Wizerunek ów pochodzi z „**Hollenzwangu**”, starej księgi magicznej przypisywanej Faustowi, i ukazuje niskiego, krągłego typka z łysą głową, flankowaną przez parę wielkich, odstających uszu. Spojrzenie ma łagodne, lecz chytne, a wargi cierpkie i nawykłe do zwodzenia. Błąka

się w nich cień uśmiechu, jakby pomalował je zatrutą szminką. Heldbaum, patrząc na ów rysunek, patrzyłby w lustro, gdyż ujrzałby swoją fizys.

Nie można wykluczyć, że byłby kimś innym i myślałby inaczej, gdyby życie potraktowało go inaczej. Oznacza to, że jakaś liczba kobiet i jakaś liczba mężczyzn pozbawiła go złudzeń, a później nawet marzeń o ciepłej prawdziwej czułości i prawdziwej przyjaźni, w sumie - o rozkoszach wierności, lojalności i takich tam. Rzecz typowa i znana prawie każdemu - czekamy na ludzi, którzy wyzwolą w nas to, co najlepsze, a spotykamy tych, którzy prowokują do pójścia w innym kierunku. Dlatego miał wyłącznie jednego przyjaciela, któremu wierzył - Mieczysława Heldbauma. Gdyby go ktoś spytał o innych przyjaciół, tych z młodości i z wieku dojrzałego, odparłby: - Posypałem azotem insekty kręcące się koło mnie! Wolał mieć tylko przełożonych, podwładnych, kontrahentów i wrogów, z którymi - według starego powiedzonka - radził sobie sam, bez życzliwej ingerencji niebios. I jeszcze ofiary, które zwabiał w swą sieć.

Pisząc, iż życie nakłoniło Heldbauma do wyboru zła, nie usprawiedliwiam go. Krzywdy, których doznajemy, i klęski, które ponosimy w życiu, nie są wystarczającym powodem, aby niskie instynkty tkwiące w każdym z nas otrzymywały dyplom - by uprawnione i wystrojone zasiadały bezczelnie przy stołach, zakładały buty na blaty, paliły cygara i wtrącały się w życie innych osobników. Wolna wola człowieka winna służyć właśnie do tego, by media nikczemne - takie jak sadyzm, mord, szalbierstwo, kłamstwo, perfidia czy złośliwość interesowna bądź odarta z motywów (tzw. bezinteresowna) - nie zwyciężały. Heldbaum nie musiał stać się Mefistem - dokonał wolnego wyboru. Stał po jednej ze stron na polu bitwy, którą herezja manichejska zwie odwieczną bitwą między Bogiem a Szatanem, między boskim światłem stwarzania dobra, owym



„prima luce”, iskrą Bożą, a diabelską siłą negacji, ciemnością, zdmuchiowaniem świec. Wybrał królestwo zła. Nie był to wybór odmóżdżony, bezwiedny, sterowany najpotężniejszą z sił tkwiących w gatunku ludzkim - wszechpotężną głupotą. Była to decyzja pragmatyczna, rozsądna na swój sposób. Lance Marrow ma słuszność, gdy twierdzi: *„Zło jakoś perwersyjnie fascynuje, a dobro jakoś nie. Zło potrafi zabawić. Dobro, medium szlachetniejsze, nuży nas”*. Gdyby praca w bolszewickim MSW była nudna, Heldbaum nie podjąłby jej za nic.

Kariera esbecka Heldbauma doznała uszczerbku około roku 1968, lecz z początkiem lat siedemdziesiątych zmienił się niekorzystny dlań układ. Najpierw został kontrolerem TW (Tajnych Współpracowników bezpieczeństwa) na Pragę Północ, a później na całą prawobrzeżną Warszawę. Zbierał pochwały i premie od kierownictwa, gdyż dobrze musztrował i sukcesywnie rozbudowywał ową siatkę, którą tworzyły trzy rodzaje konfidentów: „informatorzy” (donosiciele węszący gdzie się dało, od własnej rodziny po fabrykę, urząd i tramwaj), „agenci” (wykonujący określone zadania, w tym akcje prowokacyjne), wreszcie „rezydenci” (ludzie trzeciego stopnia wtajemniczenia - właściciele mieszkań kontaktowych, zbierający, segregujący, opracowujący i przekazujący wyżej materiały „agentów” oraz „informatorów”).

Decydujący w karierze skok, uwieńczony awansem na pułkownika, wykonał w roku 1975, podczas walki frakcyjnej wewnątrz MSW. W centrali SB na ulicy Rakowieckiej istniał od roku 1967 zespół zajmujący się tropieniem, aż do trzeciego pokolenia, żydowskich przodków każdego ze znaczących obywateli PRL. Ten właśnie zespół sfabrykował w roku 1974 dokumenty, z których wynikało, że czołowy hitlerozerca świata, niezmordowany „łowca (nazistowskich) głów”, człowiek, który znalazł Eichmanna w Argentynie, sławny szef wiedeńskiego Judisches Dokumentationszentrum, Szymon

Wiesenthal - to były agent Gestapo. Fałszywe papiery przesłano do Wiednia i gdy w roku 1975 Wiesenthal ujawnił, że bliski współpracownik kanclerza Kreisky'ego, Friedrich Peter, ma za sobą służbę oficerską w Waffen SS - Kreisky zwołał konferencję prasową, na której oskarżył Wiesenthala o kolaborację z Gestapo. Wybuchł skandal, dla Wiesenthala był to koszmarny sen. Szybko jednak przyfłmnęły nad piękny modry Dunaj (też znad Wisły) inne papiery, ukazujące kto i dlaczego sfabrykował fałszywe oskarżenie. W ten sposób Heldbaum obalił intrygę przeciw Wiesenthalowi, zadając cios swoim przeciwnikom w MSW.

Nie grał samotnie, grał w jednym z esbeckich gangów żrących się między sobą o wpływy, w tym także o kontrolę nad przestępczym podziemiem PRL. Dzięki misternej intrydze Heldbauma warszawski „*cour de miracle*” stał się własnością gangu, do którego on należał, i było to wielkie zwycięstwo, gdyż dawało wymierne korzyści w walutach respektowanych przez każdego bankiera globu. Kłopoty zaczęły się wówczas, kiedy powstała „*Solidarność*” i trzeba ją było zdusić. Heldbaum otrzymał polecenie rozbijania demonstracji antykomunistycznych przy pomocy kryminalistów, na czele których stał „*Książę*”. Uważał ten pomysł za błąd, ale musiał słuchać, więc wydał rozkaz „*Książciu*”. „*Książę*” zbuntował się jednak i miał rzucić oddziały swoich bandziorów przeciw robotnikom - rzucił je przeciw milicji pałującej proletariatu!

3 maja 1981 roku, gdy niewidoczne jeszcze słońeczko zamieniło noc w szary świt, na placu Dzierżyńskiego wczesny przechodzień ujrzał trupa i wezwał milicję. Trup był kupą pogruhotanych ludzkich członków - wypadł z okna na najwyższym piętrze jednego z najwyższych gmachów Warszawy. W prosektorium rozwiązano kłopot z identyfikacją - dowód osobisty nieboszczyka leżał wewnątrz jego klatki piersiowej, gdzie tę książeczkę wbiło uderzenie o bruk. Prosektor za pomocą płátka ligniny wytarł krew i przeczytał

sylabizując: „*Karśnicki Stefan Aleksander. Rysopis: wzrost - wysoki, oczy - piwne, znaki szczególne - blizna na prawym ramieniu...*”, itd. Z fotografii ubranej krwią patrzył nań smutny, młody jeszcze mężczyzna, który mógłby długo żyć. Prosektor nie wiedział, że ten mężczyzna to „*Książę*” - Faust Heldbauma, zdetronizowany król warszawskich przestępców.

\*\*\*

Do Rzymu prowadzą wszystkie drogi tych, którzy chcą ujrzeć papieża żywego. Zawsze tak było. Lecz w roku 1981 do Rzymu przybywali również ci, którzy pragnęli zobaczyć papieża martwego. Agent „*X- 42*” vel „*Taurus*” był ich „*rozprowadzającym*”.

Gdyby ktoś za nim chodził przez pierwsze miesiące owego roku, gotów byłby pomyśleć, że „*X- 42*” to dewot. Ile razy bowiem można brać udział w generalnej audiencji na placu św. Piotra? „*Taurus*” uczestniczył prawie w każdej. W kwietniu kilkakrotnie przyszedł z dwoma towarzyszami. Byli to zawodowi mordercy z tureckiej grupy „*Szarych Wilków*”, Oral Celik i Mehmet Ali Agca. Pakował ich w ludzką gęstwę, aby stojąc kilka godzin w tym ścisku i widząc przejeżdżającego papieża, oswajali się z tłokiem, z czasem i z odległością. Z zabijaniem ajatollaha giaurów oswajali się w piwnicy, strzelając do zdjęcia powiększonego tak, że Wojtyła był na nim „*pełnowymiarowy*”. „*Taurus*” miał proste zadanie - uczynić wszystko, by ci dwaj nie zawiedli w wyznaczonym dniu.

Dniem wyznaczonym był 13 maja. Rano „*Taurus*” dał im nabitą broń, którą znali jak własne ręce — dwa identyczne pistolety Parabellum. Belgijski automatyczny Browning F. N. Parabellum (9 mm) to faworyt wszystkich zabójców świata. Jest doskonale wyważony, zrasta się z dłonią, kopie bardzo delikatnie, chyba rzadko. A i tak, dla własnego spokoju, „*X- 42*” powtórzył im to, co powtarzał im już wielokrotnie:

- Celujcie w brzuch! Pierwszy pocisk w brzuch! Następne i tak pójdą wyżej, odrzut to sprawi. Pierwszy - w brzuch!

Przybyli na plac rano, żeby zdobyć pozycje obok barierki, w miejscu, które „*Taunus*” wybrał wcześniej uwzględniając kierunek i kąt padania słońca między siedemnastą a siedemnastą i pół. Rozstawili się w odstępach kilkumetrowych. On pośrodku, Ali z prawej. Oral z lewej. Wszystko, co im teraz zostało, nie licząc zabijania - to czekać przez wiele godzin.

Przez te trudno upływające godziny oblepiał ich coraz większy tłum. Tysiące Włochów, Polaków, Czechów, Francuzów, Niemców, Hiszpanów, Argentyńczyków i Portugalczyków, Jugosłowian i Amerykanów, Irlandczyków i Brazylijczyków, obywatele Kongo i Singapuru, radosne gęby ze wszystkich stron świata, białe, żółte, czarne i brązowe, całe procesje odświętnie ubranych, dźwigających transparenty i flagi, baldachimy i krucyfiksy, kwiaty i palemki, gadających kilkudziesięcioma językami globu, wznoszących nabożne okrzyki, modlących się na komendę lub na komendę śpiewających hymny do Boga, do jego Matki i do całego Panteonu ludzi, których niegdyś kanonizowano. Obok „*Taunusa*” stał szereg małych dziewcząt i kilka zakonnice. Czerń owych kilku habitów kontrastowała z bielą sukienek do komunii, rękawiczek i wianków na głowach. Mniszki co kilka minut intonowały psalm lub litanie i dziewczęta zamieniały się w chór. Nagle „*Taunus*” usłyszał, że dwie, które depczą mu buty, nie otwierają już ust do śpiewu, tylko wiodą sprzeczkę; usłyszał, gdyż jazgotowały podniecone kłótnią:

- Kłamiesz, wcale tego nie widziałaś!

- A właśnie, że widziałam!

- Nie widziałaś!

- Widziałam! Byłam na tarasie i tam były otwarte drzwi i on włożył jej swojego siusiaka do brzuszka!

- Przysięgnij na... na słowo honoru!

- Przysięgam na słowo honoru!
- Ojej, to musiało być straszne!
- Nooo... Mówię ci, bałam się, że mnie zobaczą, albo że mnie usłyszą, więc starałam się nie oddychać, ale zabrakło mi oddechu...
- Dlaczego on to zrobił? Przecież to musiało ją strasznie boleć, prawda?
- Najpierw wcale jej nie bolało.
- Skąd wiesz?
- Bo się śmiała i mówiła: **tak mi rób!** Ale potem bardzo ją rozboleło, okropnie jęczała i nawet krzyczała, i wtedy uciekłam, bo przestraszyłam się.

Kiedy indziej i gdzie indziej krztusiłby się od śmiechu, lecz teraz miał nerwy napięte niczym cięciwa Tella celującego w jabłko. Bo to nieprawda, że wielcy profesjonaliści nie mają nerwów. Trema jest zawsze taka sama, a czasami jeszcze większa. Teraz była właśnie ta większa. Większa od tej, którą czuł, gdy zabijał po raz pierwszy. Największa w jego dotychczasowym życiu, choć już tylu ludzi odebrało śmierć z jego rąk. Nie wierzył w Boga, a czuł majestatyczny strach kogoś, kto szykuje się do zabicia Pana Boga.

Kilkanaście minut przed siedemnastą samochód Jana Pawła II („papamobile”) wyjechał z Bramy Dzwonów na plac Świętego Piotra i dziesięć tysięcy gardeł zawyło w uniesieniu. „*Taurus*” spojrzął w lewo - Celik trzymał się barierki. Spojrzął w prawo i zadrżał - falujący tłum wypchnął Agcę z pierwszego szeregu! Mehmet rozpaczliwie próbował przebić się do barierki, choć teraz była to już walka beznadziejna. „*Papamobile*” sunął wolno, lecz minuty poczęły biec szybko.

O siedemnastej Agca wciąż walczył, tak jak walczył każdy, kto był za plecami szczęśliwców przy barierce, i nie znajdował ani centymetra, by wsunąć między nich łokieć czy dłoń. A papież był już bardzo blisko. Odziany w jasnokremowy strój, stał na samochodzie

z ramionami błogosławiącymi wiernych i wyglądał jak biały ptak płynący ponad głowami tłumu.

Dochodziła siedemnasta siedemnaście, gdy papieski pojazd znalazł się obok Agcy. Mehmet wyszarpnął broń i z trzeciego szeregu, mierząc w brzuch, trafił za pierwszym razem, i za drugim, i za trzecim też! Oral nie zdążył nawet wyciągnąć żelaza. Biały ptak zwałił się w ramiona towarzyszących mu kapłanów i przymknął oczy. Na jedną sekundę umilkło dziesięć tysięcy ust. Cisza była tak straszna, iż sekunda zamieniła się w wieczność. Gdy placem wstrząsnął rozpaczliwy jęk z dziesięciu tysięcy warg - mała plamka krwi czerwieniała na białej szacie jak pąsowa róża na śniegu, a papieski szofer dociskał gaz z furją, modląc się o cud.

\*\*\*

Tuż przed osiemną doktor Francesco Crucitti rozciął brzuch papieża na stole sali operacyjnej D w poliklinice Gemelli, zaś Lech Wałęsa w jednej z sal stoczni gdańskiej próbował zrozumieć to, co klarował mu chór intelektualistów, którzy przybyli doń z Warszawy, by umocnić antykomunistyczny sojusz między klasą mózgową a klasą robotniczą. Generalnie rozumiał, o co im chodzi, częściowo rozumiał nawet ich mowę, tylko nie rozumiał dlaczego potrzebują tak wielu obcych słów i powikłanych zdań, żeby wyrazić kilka rzeczy prostych jak wędzisko. Zdrajców, których on nazywał po ludzku wtykami lub kablami, oni zwali „*renegatami*” lub „*apostatami*”, perorując o „*renegackich apatach*”. Gdy on mówił o swoim obrzydzeniu do sukinsyństwa i o swoim zaufaniu do Matki Boskiej (zwłaszcza tej z Częstochowy), oni przytakiwali mu, lecz inaczej to ujmując - mówili o „*etyce*” i o sile „*transcendentalnej*”. A gdy poruszano temat komunizmu i kapitalizmu, on sprowadzał ich uczone dywagacje do prostego rozróżnienia;

- Dla mnie to komunizm i kapitalizm tym się różnią, że w ko-

munizmie Polak, Węgier albo Jugosłowian to leń, robić nie chce, nie potrafi, i już! Ale jak na Zachód zwieje, to w zapale do roboty prześcignie mrówkę i Japońca! Tu - urodzony obibok, tam - urodzony pracuś, a człowiek ten sam. Znaczy różnica jest! I dlaczego cały świat zwiewa tylko w jedną stronę, co?

Na sali nie było telefonu, więc gdy zadzwonił ktoś ważny ze Śląska, Lech musiał wybiec do pokoju, gdzie telefon był. Wracając zderzył się w korytarzu z przyjacielem.

- Czego chcą? - zapytał przyjaciel.

- Kto, górnik?

- Nie! Te profesory, redaktory i mecenasy.

- Tego samego, co dotąd. Żeby uważać i za bardzo nie podskakiwać, bo komuch tylko czeka na okazję, z paluchem na cynglu. I to jest prawda.

- Prawda, stary, jest taka, że te warszawskie cwaniaczki, co tu do ciebie ciągle pukają, włożą nam w dupę, bo przedtem najpierw włożyli w dupę komuchom, potem mieli zabawę w konspirację przy pomocy esbeków, a teraz chcą się podczepić do nas!

- To ja wiem lepiej od ciebie, ale co mam zrobić, mam ich wyrzucić wónt? Niech gadają swoje, i w porządku, nigdy nie wiadomo, już raz się przydali jak była przepychanka w detalach porozumień, mogą się jeszcze kiedyś znowu przydać.

- Co dzisiaj trują?

- Wszystko, co chcesz, od wolnych sobót do wolnych wyborów. Nawet o regenerowanych apostołach gadaliśmy. I o tej, no... etę... etykicie transpa... nie, transkontynentalnej. Tak, o etykicie transkontynentalnej!

- A co to za cholera?

- A nie wszystko ci jedno? Taką mają kminę, ich ból, nie nasz, stary. Trzymaj się, lece, bo czekają już kilkanaście minut, miałem telefon ze Śląska.

Dobiegając, usłyszał przez zamknięte drzwi dramatyczny wielogłos, pełen przekleństw i krzyków, tupiących butów i jęczenia, ktoś nawet szlochał histerycznie, dławiąc się od tego płaczu. Wszedł zdumiony i nim zdążył zapytać, co się stało, pierwsza osoba z brzegu rzuciła mu w twarz:

- Zabili Ojca Świętego, za-bi-li!!!

Waleśa był twardym facetem, a ugięły się pod nim kolana.

- Że co?! - wykrztusił.

- Radio podało przed chwilą - odpowiedział mu spokojniejszy z profesorów. - Strzelano do Jana Pawła na audiencji generalnej. Jest ciężko ranny...

- Będzie żył?

- Dostał kulę w brzuch, mała szansa...

- Kto?

- Muzułmanie. Złapano jednego, jakiś Mehmet Ali...

Powlókł się do krzesła, siadł i na parę minut utracił słuch. Wokół był harmider, rój os, a on tkwił w kompletnej ciszy. Później dźwięki zaczęły docierać do niego i usłyszał, że tamci mówią o „*terrorystach islamskich*”, o „*muzułmańskim fanatyzmie*”, o „*Arafacie*”, o „*FWP*” i o „*Abu Nidalu*”. Wstał i powiedział jak Cambronne:

- Gówno!

Tym jednym słowem zgasił wrzask i płacz. Umilkli i wpatrywali się w niego, nie pojmując, o co mu chodzi. Zaspokoił ich ciekawość:

- Nie mam dyplomów i tytułów, panowie, nie chodziłem do waszej budy, gdzie uczono jak być bardzo mądrym i wybitnym inteligentem. I może dlatego nie jestem idiotą. Zostawcie w spokoju Arabusów, to tylko brudna łapa. Kierował nią Kreml! A spluwa została wymierzona w serce Polski!

Dalej było cicho. Ktoś jednak przerwał milczenie:

- Oni by się nie odważyli na taki zamach, na wysyłanie morderców do Watykanu, to przecież szaleństwo! Takie wariactwa robią tylko



terroryści muzułmańscy.

Wałęsa popatrzył mówiącemu w twarz i mruknął:

- To wy nie odważacie się! Nie odważacie się myśleć inaczej jak po profesorsku. Nie odważaliście się przez wiele lat, dlatego komuchom tak łatwo szło z wami. Nawet wtedy, kiedy kłóciliście się z partią. Trzeba było dopiero, żeby robotnik pomyślał za was, chociaż nas nie uczono myśleć, my byliśmy od zapieprzania na głodno, chłodno i milcząco, proszę panów!

I znowu sala utonęła w ciszy. Tylko za oknami rozległ się dziwny dźwięk, jakby czyjś przeklęty duch uderzył o szybę, odbił się i poszybował ku wieczności klnąc, płacząc lub gwizdząc nieprzyzwoitą melodię.

\*\*\*

Polscy robotnicy, wybierając sobie przywódcę A. D. 1980, nie mieli wyboru, bo Lech nie miał żadnego poważnego konkurenta, i tak samo pułkownik Mieczysław Heldbaum nie miał wyboru, gdy powstał problem sukcesji, to jest gdy zginął „Księżę”. Jedynym poważnym pretendentem do osieroconej korony króla przestępczego świata był Ludwik Drozd (pseudo „Bankier”), eks-zastępca „Księcia”, mózg finansowy całej podziemnej struktury nadwiślańskich kryminalistów.

Drozd był ciekawą postacią. Wywodził się z bardzo bogatej warszawskiej rodziny lekarzy, ukończył śpiewająco studia matematyczne, a z zamiłowania był poetą, chociaż niczego nie publikował - tworzył tylko „do szuflady”. Gdy oznajmiono mu ile wynosi pensja profesora na wydziale matematyki i ile wydawca płaci wieszczom za strofy rymowane lub białe, postanowił inkasować dużo więcej, chociaż w nielegalny sposób. Legalnie mógłby dużo inkasować z majątku rodzinnego, lecz był ambitny. Zaczął od cinkciarstwa i krupierstwa na Różycu, i zrobił tam - dzięki umysłowym walorom -

błyskawiczną karierę.

Punktem zwrotnym owej kariery był przyjazd nad Wisłę młodych azjatyckich komunistów. Takie podróże aktywu partyjnego (w ramach festiwali kultury, towarzystw przyjaźni, „pociągów przyjaźni”, sympozjów, szkoleń, posiedzeń etc.) światowy komunizm uprawiał na okrągło. Służyły one łączeniu się proletariuszy wszystkich czerwonych krajów więzami alkoholowymi, seksualnymi i przemytniczymi, które zwano (całkowicie słusznie) „wymianą doświadczeń” i „współpracą ludu pracującego miast i wsi”.

A. D. 1976 do Warszawy przybyła duża grupa czerwonych Wietnamczyków - byli to sekretarze i komisarze z Wietnamu Północnego. Pierwszy dzień zszedł im na zwiedzaniu grodu i na spiczach o „niezlomnym braterstwie”. Drugiego dnia wstali z kurami, udali się na Bazar Różyckiego, zajęli centralny plac i wyłożyli tam wszystko, co przywieźli dla zarobku. Bazarowi handlarze, których miejsca zajęto, stawili się do pracy normalnie, czyli o siódmej, i trafił ich szlag, bo nie mieli gdzie uprawiać swego powołania. Rwetes, „mięcho”, przepychania, błysnęły nawet sprężynowe „kosy”, lecz Heldbaum, którego już zawiadomiono, nie zezwolił ruszać „Wietnamców” - nie chciał afery politycznej. Dostał cynk, że o dwunastej Wietnamczycy jadą z wizytą do pierwszego sekretarza PZPR-u, więc swoim ludziom powiedział:

- Wytrzymacie te kilka godzin! Niech handlują, za kilka godzin plac będzie nasz.

Tymczasem do Wietnamczyków podszedł Ludwik Drozd. Kilku znało język francuski, który królował w Wietnamie przed Dien Bien Phu, więc gdy Drozd zagaił językiem Moliere'a, ucieszyli się bardzo. Drozd nauczył ich jak mają reklamować swoje towary, żeby szybko zostały sprzedane. Przeciwiczył z nimi kilka zdań. Wietnamczyk jest człowiekiem lotnym: w efekcie paru chóralnych powtórek goście wymawiali tych kilka zdań bez zarzutu. I gdy na Bazar Różyckiego

wlaził codzienny tłum kupujących, rój Wietnamczyków zaczął zachęcać klienta:

- Mami torbi do dupi! Mami naszyniki do dupi! Mami mati do dupi! Mami kremi do dupi! Mami kapelusi do dupi! Mami biziuterii do dupi! Wszystko, co mami, jest do dupi!

Handel Wietnamczykom się nie udał; po jedenastej jak niepyszni wynieśli się z bazaru. Heldbaum wezwał Drozda i zapytał go:

- Masz ksywkę „Bankier”?

Drozd skinął głową, że tak.

- I pracujesz w „change money”?

Drozd wykonał ten sam ruch.

- I trzeba ci płacić za każde słowo, czy też ktoś już mnie wyręczył, obcinając ci twój francuski ozór?

- Umie mówić, proszę pana.

- Więc mów dlaczego zrobiłeś ten numer!

- Nie mieli koncesji.

- A ty nie miałeś rozkazu. Rozkaz był: spokój, niech handlują! Złamałeś rozkaz!

- Za takie złamanie rozkazu, które przynosi zwycięski efekt, cesarzowa Maria Teresa ustanowiła order specjalny - burknął Drozd.

Heldbaum zgasił papierosa i zlustrował „Bankiera” uważnie.

- A pomysł miałeś skąd?

- Ze łba.

- No to dobry masz łeb, spryciarzu.

- Mam dobrą pamięć. Przypomniałem sobie coś i wpadłem na ten pomysł.

- Co sobie przypomniałeś?

- Jak Libijczycy obwozili po Libii naszą delegację rządową. Zawieźli naszych do nowoczesnego szpitala. Dyrektor szpitala, Libijczyk, żeby zrobić gościom przyjemność, powitał ich po polsku. Wymówił jedyne polskie słowa, jakie znał: „**Kurwa mać, co ja tu robię wśród tej**

**hołoty!**". Znał je dlatego, bo w szpitalu pracował polski chirurg na kontrakcie.

- Skąd ty je znasz?

- Ten chirurg to był mój stary.

Heldbaum polecił Drozda „Księciu”, a ten tak się zachwycił inteligencją i przedsiębiorczością „Bankiera”, że błyskawicznie wydzwignął go na szczyt hierarchii w swym królestwie. Ów szczyt był jak sportowe podium, miał miejsca dla trzech ludzi: dla numeru pierwszego czyli dla „Księcia”, dla numeru drugiego czyli dla Heldbauma, i dla numeru trzeciego czyli dla Drozda, co oznaczało, że Drozd jest drugim zastępcą szefa i drugim mózgiem finansowym organizacji. Gdy „Książę” opuścił ten padół przez okno drapacza chmur, Heldbaum mógł rządzić bandyckim światem już nie tylko jako praktyczny, lecz i jako formalny numer jeden, ale sytuacja tak się pogmatwała w kraju, iż esbecy zwierzchnicy zwalili mu na łeb większy ciężar. Rozkaz był lapidarny:

- Zajmiesz się Wałęsą.

- Czy to znaczy, że mam się przenieść do Gdańska, panie generale?

- Nie, to tylko znaczy, że masz się zająć Wałęsą.

- Jako grabarz?

- Jako podglądacz.

- Dlaczego właśnie mnie spotyka ten zaszczyt?

- Bo jesteś mądry, a on też nie należy do głupców.

- Czy ta druga teza jest sprawdzona, panie generale?

- Mieciu - rzekł generał - to wbrew pozorom i wbrew temu, co się wydaje niektórym, nie jest głupi facet. Wiesz jak przedwczo-  
raj nazwał tych mądrali warszawskich, którzy się przy nim kręcą w charakterze doradców? Notabene to oni uważają go za durnia. Otóż nazwał ich: *regenerowanymi apostołami!* Genialnie to ujął, bo cała ta banda głosiła niegdyś komunizm, a teraz się zregenerowała!

Mając do wypełnienia misję tak absorbującą, Heldbaum postano-

wił, że Drozd obejmie formalną schedę po „Księciu”.

Przyjmując tron z rąk pułkownika Heldbauma, Drozd jedno sobie zastrzegł: iż nie powtórzą się próby przerabiania jego chłopców na bojową rezerwę MO. Heldbaum mu to obiecał, i sam również zażądał jednej rzeczy: absolutnej lojalności.

- Jeśli nie ma pan do mnie pełnego zaufania... - rzekł Drozd.

- Pełnego zaufania nie mam do nikogo, „Bankier”. Zrobiłem cię monarchą dlatego, że mam do ciebie bardzo dużo zaufania. Ale człowiek może się zmienić, „*you never know*”. Więc chcę, żebyś pamiętał o tym zaufaniu, „Bankier”. I o tym, że jeśli ono się zachwieje choć raz, wyrzucę cię na bruk, dostaniesz dymisję Chopinowską.

- Jaką?!...

- Taką, jak fortepian Chopina, przyjacielu.

\*\*\*

Ustawowo CIA podlega prezydentowi Stanów Zjednoczonych i Krajowej Radzie Bezpieczeństwa (NSC), ale ta druga podległość jest o tyle formalna, że Radzie przewodniczy dyrektor CIA. Jedynie kilka komisji może kontrolować Agencję; najważniejszą z nich jest Komitet Doradczy do spraw Wywiadu (FIAB), którego członkowie są w zasadzie anonimowi i słuchają tylko prezydenta, lecz ich anonimowość oraz ich skuteczność wzbudza pobłażliwy uśmiech w CIA. Stan faktyczny wygląda tak, że dyrektor CIA - na ogół zaufany przyjaciel prezydenta Stanów - ma w nosie każdego, prócz przyjaciela, który go zrobił dyrektorem.

System przekazywania „górze” informacji zawiera kilka stałych reguł. Każdego ranka prezydent znajduje na swoim biurku świeży raport CIA sporządzony tylko dla niego, zaś raz w tygodniu dyrektor CIA przedstawia Krajowej Radzie Bezpieczeństwa (na posiedzeniu, w którym uczestniczy prezydent) „Kompleksową ocenę danych wywiadowczych”. W nagłej sprawie dyrektor może się udać do pre-

zydenta o każdej porze dnia (a jak mus, to i nocą). W nagłych sprawach o skali globalnej (ważny zamach stanu, kryzys międzynarodowy, zagrożenie USA, itp.) dyrektor CIA przedstawia prezydentowi i Radzie „Specjalną analizę danych wywiadowczych”, która jest bazą dyskusyjną alarmowego posiedzenia członków rządu i członków Rady mających podjąć decyzję. W istocie decyzja ta jest tylko sugestią, gdyż według konstytucji Stanów Zjednoczonych ostateczną decyzję podejmuje jeden człowiek, wybierany raz na cztery lata w głosowaniu powszechnym przez tych dorosłych wyborców, których sąd nie pozbawił prawa wyborczego.

9 grudnia 1981 roku Ronald Reagan zwołał specjalne posiedzenie swych notabli. Chodziło o Polskę, w której czerwona partia, krytykowana przez naród, postanowiła wziąć naród za pysk, to jest wprowadzić represyjny stan wyjątkowy siłą milicji i wojsk. Przygotowania do tego zamachu na społeczeństwo byłyby ściśle tajne, gdyby w sztabie przygotowującym „stan wojenny” nie znajdował się agent CIA, pułkownik Kukliński. Kontrwywiad miał go już na muszce, lecz CIA dała popis prawdziwego kunsztu - pułkownika sekretnie wywieziono z Polski, co ośmieszyło czerwone służby specjalne. Dzięki Kuklińskiemu Amerykanie znali każdy detal szykowanej operacji i dokładną datę ataku - 13 grudnia, godzina zero (północ). Do 13 grudnia zostały cztery dni, ale na decyzję, co robić, Ronald Reagan miał dużo mniej czasu.

Problem: co robić? - był dylematem: czy zawiadomić „Solidarność”? Wśród obradujących większość mówiła: **tak!** Tak - bo nie zawiadomić, znaczy zdradzić polski naród, ułatwić robotę komunistom i skompromitować amerykański wywiad. Oponenci mówili: **nie!** Nie - bo polskich komunistów, którzy są kundlami Kremla i mają rozkaz z Kremla, nie powstrzyma nic. Nie - bo zawiadomiona „Solidarność” przystąpi do z góry przegranego boju, a „Solidarność” to dziesięć milionów patriotów, więc popłynie rzeka krwi polskiej.

Wreszcie nie - bo na dwoje babka wróżyła: w tej krwi „Solidarność” może się tylko skąpać, ale może i utonąć, podczas gdy więzienne represje „stanu wojennego” wzmocnią jej nimb. Zwolennicy zawiadomienia argumentowali, że jest na odwrót: w tej rzece utonęłaby czerwona partia, której bonzowie o tym wiedzą, więc nigdy nie zaryzykują rzezi ogólnonarodowej i cofną wojsko widząc zmasowany opór, zwłaszcza, że część wojska mogłaby przejść na stronę tłumu, a inna część nie chciałaby strzelać do swoich. Należy zawiadomić „Solidarność”, dając jej szansę przygotowania oporu.

Ta koncepcja zwyciężyła w dyskusji, podczas której prezydent posługiwał się tylko słuchem. Gdy wreszcie umilkli i spojrzeli na niego, zawyrokował:

- Nie informujemy Polaków! Macie, panowie, dużo racji, i gdyby nie pewna wiadomość, którą otrzymałem wczoraj, przychyliłbym się do tego, co proponujecie. Ale ponieważ otrzymałem tę wiadomość, nie mogę wyrazić zgody.

Millberga zatkało. Nie on był tym, który dał prezydentowi ową super-ważną informację, a więc musiał to zrobić jakiś inny z wywiadów! Wywiad wojsk lądowych (G-2), lub sił powietrznych (IDAS), lub marynarki wojennej (ONI), a może służby wywiadu technicznego i biura szyfrów Narodowej Agencji Bezpieczeństwa (NSA), bądź wywiad Departamentu Stanu (BIR), albo Korpus Kontrwywiadowczy (CIC), lub - co najgorsze - sekcja wywiadu Federalnego Biura Śledczego!

*„Sukinsyny - pomyślał - to wszystko winno przechodzić przez moje ręce, ale jakiś gnój ominął drogę służbową, żeby wyłudzić premię, gwiazdkę lub awans!”.*

Gdy towarzystwo rozchodziło się, on dalej siedział na swoim miejscu. A kiedy drzwi się zamknęły, spytał prezydenta:

- Czy mogę się dowiedzieć od kogo jest ta wiadomość?
- Przykro mi, ale nie.

- Komu tu powinno być przykro? Jeśli za plecami szefa CIA trafiają do szefa Stanów Zjednoczonych najważniejsze informacje wywiadowcze, to znaczy, że albo szef CIA jest nic nie wart, albo szef Stanów Zjednoczonych uważa, iż jest on nic nie wart! Proszę mi wybaczyć, panie prezydencie, ale ostatnie zasłużone klapsy dawała mi mama. Pisemną prośbę o zwolnienie ze stanowiska złożę jeszcze dziś, ustną ma pan już.

Był to bezczelny szantaż, Millberg zagalopował się zbyt, lecz Reagan wiedział, iż wycofać się z tej galopady Millberg nie może, by nie utracić honoru. Poczul złość i zaczął się wahać.

- James, widzisz...

Millberg widział i nacisnął:

- Od kogo jest ta informacja, panie prezydencie?

- Ale dasz mi słowo, że nawet na torturach...

- Przysięgam, że nikomu!

- No więc... tym kimś jest astrolog mojej żony.

- Kto?!

- Ogłuchłeś?... Astrolog!

Millberg wiedział, że prezydent dysponuje kapitalnym poczuciem humoru, ale w takiej chwili?

- To oczywiście żart, Ron?

- Nie! Nancy ma świetnego astrologa i to nie jest gość, który wróży z fusów! On korzysta z przepowiedni największego jasnowidza, Nostradamusa, autora sławnych „centurii” z jakiegoś tam wieku. Nostradamus przewidział wszystko, co się zdarzy do końca naszego tysiąclecia. I to się wszystko sprawdza, James! Mam ci to udowodnić? Czy pamiętasz kiedy strzelano do papieża na watykańskim placu?

- To był maj.

- Dokładnie, którego maja?

- Nie pamiętam, panie prezydencie.



- Trzynastego! U Nostradamusa możesz przeczytać: „*Kiedy róże zakwitną we Francji, w Watykanie poleje się krew*”. Trzy dni przed zamachem na papieża były wybory we Francji. Zwyciężyli socjaliści Mitterranda czyli róże, bo czerwona róża jest symbolem francuskich socjalistów! Co ty na to?

- A co Nostradamus mówi o Polsce? - spytał Millberg, starając się zachować normalny wyraz twarzy.

- Mówi, że rozpad „*szatańskiego imperium*” zacznie się w Polsce, ale że przedtem szatan odniesie triumf, który będzie jego porażką. Teraz ma mieć ów fałszywy triumf, a upadek ostateczny trochę później, „*za kilka Bożonarodzeniowych świąt*”. Szatańskie imperium, imperium zła, James! To niewątpliwie komunizm! Posłuchaj, James! Być może nie dożyję roku dwutysięcznego, bo Nostradamus przepowiedział, iż koniec świata nastąpi 31 lipca 1999 roku. Ale chcę dożyć upadku czerwonych w Polsce i na całym świecie! I zrobię, co trzeba, by sprawdziło się proroctwo o szatańskim imperium, mój drogi!

Logiczne byłoby pytanie: jaki sens walczyć o upadek komunizmu, jeśli zaraz potem cały świat ma mieć zgon, ale byłoby to pytanie niezręczne (patrząc z karierologicznego punktu widzenia), więc prezydencki rozmówca nie wypuścił tej myśli ze swego mózgu.

Tak oto dyrektor CIA, James Millberg, dowiedział się o jednym z najlepszych prezydentów w historii USA czegoś, co brzmi jak głupi dowcip, a co było prawdą (kilka lat później, dzięki niedyskrecjom przyjaciół Nancy Reagan i samej Nancy Reagan, dowiedzieli się o tym wszyscy). Gdy wyszedł z gabinetu i stąpał pustym korytarzem, w głębi Białego Domu coś skrzypnęło. Drgnął i odwrócił się z obawą, że ujrzy zielonego typha, który ma trzecie oko i czułki na głowie, lub krasnoludka, lub jakąś inną cholereę z czwartego wymiaru, ale wokół było pusto, więc ruszył dalej, tylko trochę przyspieszając krok.

\*\*\*

Wieczorem 12 grudnia srożył się mróz. W stoczni gdańskiej kierownictwo „Solidarności” kłóciło się na temat daty strajku generalnego: 17 grudnia czy dopiero w styczniu. Delegaci ze Śląska mieli inne zdanie niż oligarchowie z Gdańska, postanowili więc zadzwonić na Śląsk i spytać sztygarów, czy kupią kompromisową propozycję delegacji warszawskiej. Lecz telefon nie działał. Drugi tak samo. Głuche okazały się wszystkie aparaty.

Łączność telefoniczną zaczęto kasować około godziny dwudziestej drugiej. O północy w całej Polsce nie działał już żaden telefon, który nie był telefonem partyjnym, milicyjnym lub wojskowym. Jednocześnie zaczęły się aresztowania. Aresztowano tysiące ludzi — nigdy dotąd, nawet za Hitlera i Stalina, nie aresztowano tylu Polaków w jedną noc. Według list przygotowanych dużo wcześniej, zaskakiwano w łózkach, pakowano do „*suk*” i odstawiano na komendy milicyjne, do koszar lub od razu do więzień bądź do specjalnych „*internatów*”, które również wcześniej przygotowano. Logistyka tych łapanek była zapięta na ostatni guzik.

Każda grupa aresztujących tworzyła sekstet, kwintet, kwartet lub tercet. Jeśli był to tercet, to składał się z esbeka i dwóch żołnierzy, ale nie starczyło esbeków, więc zastępowano ich oficerami ZOMO lub politrukami wojskowymi. I takiej właśnie trójce, którą dowodził zomowiec Lutoń, przyszło zwijać Stefana Brodziucha.

Lutoń, choć był zomowcem, nie był człowiekiem złym. Był to chłop w średnim wieku, wesoły, gadatliwy, beztroski i pełen dobrych chęci nie znajdujących oparcia w jasności myśli i słów. Jadąc po Brodziucha uważał, że jest szczęściarzem. Nie dlatego, że miał aresztować tak ważną figurę „Solidarności”, bo nie interesował się polityką i nie znał tych zbuntowanych facetów; chociaż truto mu na szkoleniu politycznym (według wzoru: „*cepnyje sobaki amerykańskowo imperializmu*”), że „Solidarność” to wraza organizacja

założona przez CIA i Pentagon dla szerzenia dywersji w Polsce, nie zapamiętał nazwiska żadnego z dywersantów, prócz oberdywersanta Lecha Wałęsy. Uważał, że jest szczęściarzem, z trzech innych powodów. Po pierwsze dlatego, iż nie będzie musiał rozmawiać przez drzwi lub wylamywać drzwi, bo klucze do mieszkania Brodziucha zostały skopiowane dzięki esbekowi, który był kolegą Brodziucha w „Ursusie”. Po drugie dlatego, że nie będzie musiał zabierać ojca na oczach dziecka (lub, co gorsza, płaczącego dziecka), bo mały Brodziuch wylądował przed tygodniem w sanatorium dla astmatyków. I po trzecie dlatego, że Brodziuchowie nie mieli psa.

Brakowało kilku minut do drugiej w nocy, gdy tercet, na czele którego stał Lutoń, zajechał pod blok, w którym mieszkali Brodziuchowie. Dowódca wyjął kartkę i sprawdził: „*Aleja Obrońców Leningu 37, piąta klatka, jedenaste piętro, mieszkanie numer 424*”. Winda była w remoncie od pół roku, więc musieli drałować po schodach. Zdawało się im, że skrzyp ciężkich butów słyszy cały blok. Na przedostatnim podeście zrobili odpoczynek, by uspokoić płuca. Aż doszli i otworzyli pierwszy z zamków. Później drugi i mogli nacisnąć klamkę. Drzwi uchyliły się bez szmeru. Miały łańcuch od wewnątrz, lecz oni byli na to przygotowani - dano im specjalne nożyce. Dano im też latarki, nie musieli zapalać żyrandolów.

Krąg światła przejechał po łóżku małżeńskim, bezwstydnie liżąc śpiącą parę. Kobieta miała zarumienioną twarz i włosy zlepione od potu; mężczyzna leżał tyłem do niej, używając śródreżca i nadgarstka zamiast poduszki. Lutoń przykrył mu usta dłonią, obudził i pokazując pistolet w drugiej dłoni, szepnął:

- Wstawaj, Brodziuch! Ubieraj się, raz-dwa! Nie budź żony, chyba że koniecznie chcesz.

Brodziuch wstał i zrobił to, o co go poproszono. Przyświecali mu. Milczał do chwili, kiedy spytał:

- Co jest grane?

- Stul pysk! - odrzekł regulaminowo Lutoń, pokazując nakaz aresztowania.

Brodziuch spojrział i przestał się dziwić. Milczał też w samochodzie i w siedzibie Służby Bezpieczeństwa, dokąd go zawieziono. Było tam już wielu świeżych aresztantów. Lutoń zdał jego dokumenty oficerowi dyżurnemu, a ten przyniósł je do pułkownika Heldbauma i zameldował:

- Jest Brodziuch!

- Okey. Połóż na biurko - rzekł Heldbaum.

Blat biurka dźwigał kilkadziesiąt dowodów osobistych, których właścicielami byli warszawscy baronowie NSZZ „Solidarność”.

Heldbaum odhaczał ich nazwiska na liście „internowanych”. Gdy oficer przyniósł mu Brodziuchowy dowód, do odhaczenia zostało zaledwie trzech. Heldbaum zrobił trzy ptaszki obok trzech nazwisk, po czym odszukał nazwisko: Brodziuch Stefan, wziął do ręki dowód, ujrzał nazwisko: Zenon Tolik, i zbaraniał. Wezwał oficera dyżurnego.

- Mówiłeś, że jest Brodziuch.

- No tak.

- A co to jest? Jakiś gdańszczanin, Zenon Tolik!

Oficer też zbaraniał.

- Panie pułkowniku, porucznik Lutoń dał mi ten dowód! On miał aresztować Brodziucha.

- Wezwij go!

- Kogo, Brodziucha?

- Lutonia!

Lutoń był trzecim, który zbaraniał na widok wpisu w dowodzie.

- Nie zajrzałeś do dowodu biorąc faceta? — spytał pułkownik.

- Nie, panie pułkowniku... To była jego chałupa, panie pułkowniku, myślałem...

- Won!..... Wróć!... Dawaj tu aresztowanego, durniu!

Gdy Zenon Tolik stanął przed pułkownikiem Heldbaumem, był pewien, że zaraz wszystko się wyjaśni i odzyska wolność. Pułkownik zapytał:

- To twój dowód?

- Mój.

- Nazwisko!

- Tolik.

- Pseudonim!

- „Góral”.

- Ślicznie. W którym mieszkaniu zostałeś aresztowany?

- U Brodziuchów.

- No to okey! Teraz powiedz mi, gdzie jest Brodziuch?

- Wyjechał do chorego syna, ma wrócić pojutrze.

- A ty co robiłeś tam?

- Byłem z wizytą.

- Z wizytą?... Z bibułą! Albo z inną przesyłką od gdańskich führungów! Specjalny kurier od pana Wałęsy do pana Brodziucha, pięknie!

Tolik jako czwarty zbaraniał.

- No dobra, chłopysiu! - wycedził pułkownik. - Porozmawiamy sobie teraz! Ty mi zaśpiewasz bałtycki song, a ja w nagrodę dam ci rządowe papu w rządowym ośrodku, gdzie bardzo lubią wilków morskich... Zaczнеш śpiewać sam, czy mam wezwać kolegę, żeby ci pomógł?

- O co panu chodzi?! - krzyknął „Góral”.

- O to, żeby mój kolega nie musiał dołączyć do nas, „Góralu”. Bo jak już dołączy, to pożalujesz! Będziemy mieli wówczas dwugłos. Ty będziesz śpiewał gdańskie ballady, a ja „Góralu, czy ci nie żal?”.

- Kiedy ja naprawdę nie przyjechałem do Warszawy z bibułą!

- Znaczy wolisz mojego kolegę... Ale którego, bo mam tu trzech

kolegów: kolegę-oprawcę, kolegę-sadystę i kolegę-zwyrodnialca. Żyjemy w demokracji, wybierzcie sobie, gazdo...

\*\*\*

Wieczorem 16 grudnia 1981 roku młoda polska dziennikarka przebywająca na stażu we Francji piła świetne francuskie wino w towarzystwie równie młodych kolegów z „**L'Humanite**” (wyraz ten znaczy: ludzkość - w obu znaczeniach). Ci młodzi Francuzi byli antyburżuazyjni i przekonywali ją, że wojsko polskie dobrze zrobiło likwidując „Solidarność”, bo gdyby „Solidarność” obaliła komunistów, to zaprowadziłaby nad Wisłą kapitalizm.

- I wtedy Polska skończyłaby tak, jak Francja! - zawyrokował ze smutkiem Jean-Paul.

Młoda polska dziennikarka odparła, że nie życzy im zwycięstwa komunistów nad Sekwaną.

- A czego miałbym się wówczas bać? - zapytał Jean-Paul.

- Tego, że ktoś przyjdzie po ciebie o drugiej w nocy!

- Nie jestem głupkiem, nie otwarłbym drzwi takiemu! - prychnął Jean-Paul.

Francoise włączyła telewizor. Spiker mówił:

- ... na terenie katowickiej kopalni „Wujek” milicja polska dokonała masakry, strzelając w bezbronny tłum górników. Jak podaje AFP liczba zabitych na miejscu sięga...

Młoda polska dziennikarka rąbnęła Jean-Paula w twarz otwartą dłonią i wybiegła z domu. Wokół leżał śnieg, taki sam jak w Katowicach. Szła nie wiedząc gdzie idzie, a przed oczami migotało jej mnóstwo czerwonych plam, jakby ten paryski śnieg był również zboczony krwią.

## Część II

1982

### KREW NA PROGU

Krew jest na progu wszystkiego.

Wiem, że to banalne, ale wszystko, co prawdziwe, staje się banalne, gdyż zbyt często się powtarza. Nie ma od tego ucieczki.

Krew jest na progu życia i na progu inicjacji seksualnej. Na progu żarcia (co nie dotyczy jaroszów) i na progu objawienia mszalnego („*Chrystusowa krew*”). Na progu ceremonii zawierania braterstwa (u wielu ludów) i na progu wyrównywania rachunków klanowych (u wielu plemion). Bez krwi nie byłoby Homerów i Szekspirów, faraonów i cesarów, herosów i bogów. Z krwi powstają systemy i religie, triumfy i klęski, bogactwo i władza, jęk i krzyk, aneksje i agonie - krew jest na progu wszystkiego.

Płynne osocze plus erytrocyty plus leukocyty plus płytki Bizzozera - podwórko hematologów, które kapłani, artyści, samobójcy i mordercy uwznioślają, nadając mu wymiar dramatycznego imperium historii ludzkiej.

\*\*\*

Gdy Spartakus i królowa Amazońki połączyli swoje ciała, z miłosnej gliny wziął się Adam tego dziwnego narodu, co żyje między Bałtykiem a wierzchołkami Tatr i ma w herbie białego orła - ptaka, którego nie można oswoić. Ptak był w klatce od drugiej połowy

XVIII wieku, z małą przerwą (przepustką na wolność), jaką dała mu historia między 1918 a 1939 rokiem. Żaden inny naród nie wyprawiał tylu wielkich powstań i nie upuścił tyle krwi swoim ciemieżcom, co ów naród. Członkowie żadnego innego narodu nie wspomagali tak często cudzych powstań, jak członkowie tego narodu. Notoryczni buntownicy. W 1944 roku podnieśli kolejną rebelię, by wyrzucić z Warszawy niemieckiego okupanta.

Ona była jedną z tych młodziutkich dziewcząt, które wzięły udział w Powstaniu Warszawskim, marnując swój najlepszy czas - czas, gdy kobieta winna marzyć nie o wolności narodu, lecz o własnej niewoli i o braniu w niewolę magią swego ciała. Ich ciała darł ogień kulomiotów, miażdżył chrząst czołgów i wbijał w barykady grad lecący z niebios, bo pod niebieskim sklepieniem krzyż Pana ustąpił krzyżom na skrzydłach Luftwaffe. Wiedziały, że marnują swój najlepszy czas, czas motyli, kwietny i wiosenny, i być może wiedziały, że ich śmierć nie ma większego sensu, ale były szczęśliwe, mimo iż Bóg nie zauważał ich poświęcenia. Zupełnie jak w tym pięknym wierszu Rabindranatha Tagore, w którym dziewczyna rzuca przed księżący powóz sznur swoich rubinów, które zerwała z szyi. Kopyta rumaków i koła powozu miażdżą ów dar serca, rubiny rozsypują się w proch i mieszają z pyłem drogi, lecz dziewczyna promienieje szczęściem. Nieważne, iż nikt nie zauważył, co zrobiła - ważne jest tylko to, że księżę przejechał obok drzwi jej domu, a ona podarowała mu swoje serce.

Była jedną z tych dziewczyn. Tajemniczy los sprawił cud - przeżyła warszawskie interno. Gdy Warszawę wziął „wyzwoliciel”, komuniści, warszawskich powstańców zaczęto bić, zabijać i tysiącami pakować do lochów, bo walczyli przeciw Niemcom bez czerwonej gwiazdy i bez sierpa i młota na sztandarze. Zimą 1948 została aresztowana. Spędziła miesiąc w celi; dopiero później wzięto ją na pierwszy „przesłuch”. Ale nie bezpośrednio. Zostawiono ją w poczekalni



gabinetu przesłuchań, by zaczekała na swoją kolej. Drzwi do gabinetu były z cienkiej dykty, słyszała każde słowo. Młody oficer UB przesłuchiwał akowca. Pytał: „Gdzie jest «Barry», skurwielu?!”, bił, znowu pytał: „Gdzie jest « Barry »?!”, i znowu tłukł. Słysząc było każde uderzenie, każdy jęk i każdy grzmot walącego się na podłogę ciała.

„Barry”... „Barry” był czarną legendą ostatnich dni na Starówce i właśnie wtedy ona ujrzała go. Stało się to owego dnia, kiedy inferno sięgnęło apogeum. Niemcy lawiną bomb zamienili Stare Miasto w gigantyczną ruinę, odcięli od reszty miasta i poczęli likwidować kocioł. Chłopcy na ostatnich barykadach desperacko powstrzymywali szturm, morze płomieni i dymów przelewało się po ulicach, świat stał się pandemonium, jakiego człowiek - póki nie zobaczy - nie ujrzy, choćby miał wielką wyobraźnię. Próba przebicia niemieckiej obręczy zakończyła się klęską i wówczas oszalały, wyjący tłum cywilów runął na Plac Krasińskich. Tam, przy rogu Długiej, znajdował się wylot kanału biegnącego do Śródmieścia. Nie było już innej drogi ewakuacji. W dantejskim ścisku, w huku wystrzałów, w świetle pożogi, walczone o pierwszeństwo. Gdyby nie posterunek żandarmerii AK pilnujący wjazdu, ten chaos zatkałby jedyną drogę; odbezpieczone pm-y wstrzymywały napierający tłum. Żandarmów błagano o puszczenie poza kolejką, grożono, wyklinano od najgorszych, lecz to nie robiło na nich wrażenia.

Wtem oddział AK przyprowadził grupę niemieckich jeńców; kilku z nich było rannych, oficer krwawił mocno. Założono mu bandaż. Ona, jako przewodniczka dobrze już z kanałem obeznana, miała tę grupę poprowadzić. Tłum na ich widok dostał amoku. Krzyczano:

- Bydlaki! Przeklęte łapsy! Zabić by was! Szkopów wyprowadzacie, a my zostaniemy tu! Ludzieeee! Żandarmskie ścierva Niemców ewakuują, a my już nie zdążymy!!

Słyszała ów krzyk nawet wtedy, gdy zeszła w głąb kanału.

Żaden opis nie może dać wyobrażenia o tej drodze, na której nogi

ślizgają się w ekskrementach, a spienione fekalia podchodzą wyżej brody; gdzie na niektórych odcinkach trzeba się zgiąć, bo kanał ma wysokość stu dziesięciu centymetrów, a gdzie indziej modlić o łut szczęścia, bo Niemcy wrzucają granaty do studzienek. Godzina za godziną, pod wieloma ulicami, w odorze, od którego umierają płuca, aż do rogu Nowego Świata i Wareckiej. A potem długie obmywanie się z kału w kawiarni „Napoleonka” zamienionej na łaźnię polową. A potem mycie rannych jeńców...

Myła rannego oficera. Niemiec patrzył na tę piękną dziewczynę, która zamiast obmywać go z gówna i uryny winna była poderżnąć mu gardło, i robił dwie rzeczy: wstydził się i marzył. Wstydził się nie swej nagości, lecz tego, że jest Niemcem, a roił to, że przeżyje, że po wojnie spotka ją w parku, weźmie do kawiarni nie zamienionej na łaźnię i przekona, że Niemcy też są ludźmi.

Ona marzyła wtedy tylko o tym, że pozwolą jej odpocząć. Ale to nie był piknik - to było dorzynane powstanie i brakowało już łączników. Spytano ją:

- Pójdiesz znowu, mała?
- Tak jest! Kiedy, panie kapitanie?
- Za pół godziny.

Gdy wchodziła do włazu na Nowym Świecie, poczynano zmierchać. A gdy wychyliła się z włazu na Długiej, oblepiona i cuchnąca tym, co wydała ludzkość - ujrzała czarne niebo płonące niczym żagiew i ten sam oszalały tłum. To samo piekło było jednak teraz bardziej widowiskowe, bo „*son et lumière*” najlepiej wypada nocą; ujrzała pandemonium podniesione do wyższej potęgi w skali Dantego.

Zameldowała się nie wychodząc z włazu; usiadła na jego krawędzi i czekała.

- Nie wychodzisz? - spytał żandarm stojący nad wjazdem.
- Mam natychmiast zabrać chłopców z batalionu „Bończa” i rannych.

- Są gotowi, przyprowadzę ich tu.
- Mam też list z komendy do pułkownika Wachnowskiego.
- Dawaj.
- Mam go oddać dowódcy posterunku przy władze.
- To major „Barry” - odpowiedział żandarm i krzyknął: - Panie majorze, proszę tu!

Do wjazdu zbliżył się postawny oficer, a może tylko wydawał się jej postawny, bo patrzyła unosząc głowę i mając oczy tam, gdzie on miał kolana. Na tle kłębiącego się szaleństwa, ognia, kurzu i dymu wyglądał niczym bajkowy książę lub generał z operetki, którego publiczność widzi od dołu - posągowo. Był w nieskazitelnym mundurze i nosił wysokie, kawaleryjskie buty, lśniące tak, jakby wciąż je pucował przyboczny czyścibut - w tych butach-lustrach odbijały się płonące ruiny i ludzkie twarze wykrzywione męką. Twarz oficera lizwały reflektory pożaru, czyniąc z niej posępną, antyczną maskę.

Wyjęła z gumowej torebki list i wręczyła, a on spojrzał na nią i w kąciku ust zadrgało mu coś ciepłego, współczującego, czy może tylko sarkastycznego, kiedy skonstatował lub spytał, jakby mimochodem:

- Znowu, kwiatuszku, zapierdalasz?

Nigdy więcej nie widziała majora o pseudonimie „Barry”, lecz tę chwilę i tę twarz pamiętała dobrze.

Za drzwiami bicie ustało. Jeśli numer z siedzeniem przy drzwiach miał ją zmiękczyć, pokazać, że złamię każdego, więc lepiej mówić od razu, to nie wyszło im, bo akowiec mdlał, lecz nie sypał, w ogóle nic nie mówił. Dwóch młodych zbirów wyprowadziło go, trzymając pod ramiona. Z ust lała mu się krew, jedno oko miał czerwone od opuchlizny, ale drugim przejechał po niej, jakby chciał przypomnieć sobie lub zapamiętać jej twarz.

Teraz ona weszła do pokoju. Ubek, wnerwiony już przez akowską

zatwardziałość, owinął dłoń miękką czapką wojskową typu „kościuszkówka”, i tak zmajstrowaną rękawicą walnął dziewczynę między oczy, mówiąc:

- To na przywitanie!

Grzmotnęła głową o drzwi i upadła. Z czoła, które rozorał polski orzełek, taki, jaki ma czapka każdego żołnierza polskiego, krew kapiała na próg, a w jej uszach wciąż brzmiało tamto spokojne, ojcowskie:

- Znowu, kwiatuszku...

\*\*\*

Obóz internowanych w Bolkowie pod Warszawą, tak jak wiele innych abozów, przyjął pierwszych „gości” nocą 13 grudnia A. D. 1981. Należał do obozów „zaadaptowanych”, co oznaczało, że nie był starym „pierdlem”, tylko jakimś innym zespołem, który przerobiono na potrzeby „stanu wojennego”. Dawniej mieścił się tu wielki kombinat rolny (PGR), ale jako wytwórca płodów corocznie bankrutował, bo przy „kolektywnej” opiece nad płodami ziemia zapałała się i rodzić nie chciała, mimo że była ziemią bardzo żyzną, a płody, jeśli nawet gdzieś wzeszły nie wiadomo dlaczego, zbierano tak sprawnie, iż gniły nim zdążono je zebrać. Ten cyrk trwał lat trzydzieści i w końcu nawet komunistom odechciało się finansować wielką dziurę (odechciało się wtedy, gdy Zachód odmówił nowych kredytów, a starych nie było czym spłacać, więc niektóre „inwestycje” przyhamowano). W 1980 roku zamknięto bankruta na klucz.

Roku Pańskiego kolejnego, gdy trzeba było przygotować miejsca dla wielu ludzi przewidzianych do zmiany zakwaterowania kiedy wszędzie grudniowa noc - Belków wpadł w oko sztabowi logistycznemu operacji. Był jak znalazł na to święto. Szeregi długich parterowych budynków (w których niegdyś krowy nie chciały dawać mleka, kury znosić jaj, a świnie nie „przybierały”, hodowcom na

złość) - to było coś pięknego, co już z samego wyglądu przypominało Oświęcim; nic tylko wyremontować, pobielić, wstawić sracze, prycze i na końcu zrobić solidny parkan przy pomocy solidnego drutu. Budynku administracyjnego nie trzeba było nawet przerabiać - administracja wszędzie jest administracją, a gabinet dyrektorski dyrektorskim gabinetem. Się uwinęto i do listopada 1981 roku wszystko było „fertig”.

W ciągu pierwszej doby wylądowało na „internie” belkowskiej dwudziestu siedmiu aresztantów. Kolejne grupy przywożono każdego dnia. Z biegiem czasu grupy malały i dostarczano już tylko pojedynczych opozycjonistów. Wszyscy debiutowali identycznie. Czy to grupa, czy pojedyncza sztuka - każdy nowicjusz, gdy stawał w progu celi, jeszcze nim się przywitał zadawał sakramentalne pytanie, żywcem ukradzione z filmu Marka Piwowskiego:

- Przepraszam, czy tu biją, proszę panów?

Dopiero gdy usłyszał, że nie biją i w ogóle obchodzą się po ludzku, a nawet można rzec, iż „jak z jajkiem” - wzmacniał głos i zadawał pytanie numer dwa:

- Nie damy się, co, chłopaki?

Odmienne to wyglądało w przypadku weteranów. Kiedy więzień z innego obozu pojawiał się w Belkowie, lub gdy z Belkowa przeniesiono kogoś do innego obozu, to, po przywitaniu takiego weterana, jego pytano:

- Czy ciężko tam jest?

Było to pytanie równie inteligentne, jak pytanie, które większość Polaków zadaje ekspedientkom w sklepach mięsnych: „Czy to dobra kiełbasa?”, tak jakby każdy nie wiedział, iż ekspedientka jest tu po to, żeby sprzedać kiełbasę, więc nawet kiełbasę z padliny zareklamuje jako wyborną. Nigdy w historii Polski nie słyszano, by ekspedientka określiła swój towar jako towar do kitu, i nigdy w „stanie wojennym” weteran z innego obozu nie wyznał, że „tam” było lekko.

Część internowanych już wcześniej się znała, inni zaprzyjaźniali się po pierwszym dniu, panowała więc nie tylko „Solidarność”, lecz i solidarność. Licytowano się w minionych przewagach nad „komuchem”, wspomniano, wyśmiewano, grożono, wróżono i zapowiadano odwet - każda przechwałka była dobra, żeby samopoczucie rosło na kształt drożdży. Biadolącego uciszano i migiem reedukowano. Wprawdzie masakra szesnastogrudniowa w Katowicach wlała do gardeł gips, ale strach się rozplynął, gdy zobaczyli, że „klawisze” dalej są dla nich jak pielęgniarze dla pacjentów. I znowu bohaterstwo królowało w Belkowie.

27 stycznia 1982 ze szpitala w pobliskim miasteczku wróciło do obozu dwóch mocno zagrypiionych. Obozowa izba sanitarna nie różniła się zbyt od apteczki podręcznej harcerza zdobywającego „sprawność” felczerską, więc gdy ktoś zachorował, targano go do miejskiego szpitala na badanie lub kurowanie. I ci dwaj przywieźli okropną wiadomość: w szpitalu leży skatowany facet, który ma „przydział” do Belkowa, ale najpierw „komuchy” chcą go podleczyć, bo wygląda jak trup. Grypiarze nie znali jego nazwiska, nie wiedzieli czemu go bito, gdzie bito i kto go bił. Zapytano strażników. Strażnik „Toluś” coś wiedział, ale nie chciał mówić póki nie dano mu kilograma mandarynek, czterech czekolad „Van Houten” oraz innej stołowej galanterii z paczek przysyłanych więźniom. Kiedy już to zainkasował, rzekł:

- Kurier Wałęsy, z Gdańska. Wpadł w stolicy i stawiał się, więc dostał na Rakowieckiej łomot.

- Jak to: się stawiał?

- Na przesłuchu.

- To znaczy co, pyskował?

- Najpierw pyskował, a jak zaczęto go lać, to odwinął.

- Co!?!...

- Ano tak. Ma kopyto jak Cygan nogę! Poradził jednemu, poradził

dwóm, ale czterem chłopu nie poradził, to teraz liże siniaków i zrasta mu kość.

- Jaka kość?

- Któraś graba, nie wiem która. I żeberko też mu pierdyknęło. Chojractwo nie popłaca, proszę panów.

Gdy informacje udzielone przez „Tolusia” rozeszły się po całym obozie, gromkim chórem zaintonowano antybolszewicki hymn:

*„Nie chcemy komuny, nie chcemy i już!  
Nie chcemy ni sierpa ni miota!  
Za Katyń, za Grodno, za Wilno i Lwów,  
zapłaci czerwona hołota!  
Za Katyń, za Grodno, za Wilno i Lwów,  
zapłaci czerwona hołota!”.*

„Tolus” słuchał tego ze znudzeniem (ile razy w ciągu tygodnia można słuchać tej samej melodii? Wnerwiało go tylko to, że dwie mandarynki okazały się zepsute, a jedna czekolada miast czekolady zawierała bibułę „solidarnościową”. Postanowił nie darować. Wrócił do celi, w której ubito interes, i złożył reklamację. Reklamację uwzględniono: bibułę wymienili mu na nowego „Van Houtena”, sprawdzając przedtem, co jest w środku.

\*\*\*

Ludwik Drozd (pseudo „Bankier”) nie należał do abstynentów tak alkoholowych, jak i seksualnych, lecz kozactwa seksualnego nie lubił. Chociaż znał dobrze płć odmienną - wszelakiego cynizmu, chamstwa czy gruboskórności wobec niej unikał, co w praktyce oznaczało unikanie mężczyzn, którzy przy „kawalerskim” kieliszku lubią brać na kobietach odwet rynsztokową „złotą myślą”, lub wulgarną grą słów, lub zagadką typu: „Jaka jest różnica .....? Żadna,

*zlewozmywak też ma dwa wlewy!*". Będąc na studiach zerwał kilkuletnią przyjaźń z kumplem tylko dlatego, że gdy opuścili w stanie „wskazującym” lokal o nazwie „Krokodyl”, wyposzczony kolega, idąc Krakowskim Przedmieściem, podchodził do każdej ładnej, kłaniał się elegancko i pytał: „Przepraszam uprzejmie, czy pani jest rurą?”.

W 1982 roku miał trzydzieści pięć lat i wciąż nie był żonaty. Wiele dziewcząt i dojrzałych kobiet pragnęło zaprowadzić go do ołtarza, gdyż stanowił partię wymarzoną: był przystojny, zdrowy, inteligentny i tak bogaty, jak bardzo mała liczba obywateli PRL-u, a nadto poruszał się sportowym modelem mercedesa, co w PRL-u robiło zaledwie kilku lub kilkunastu ludzi. Ale „Bankier” nie pragnął zmieniać swego stanu cywilnego. Nie dlatego, że lubił kawalerskie życie, lecz dlatego, że naokoło widział imponujące poroża znajomych oblubieńców i nie chciał stać się identycznym pośmiewiskiem za sprawą którejś z tych używanych dziewic próbujących ofiarować mu swój wianek dożywotnio. Niczym lis wymykał się małżeńskim sidłom, omijał „honorowe” pułapki (z ciężowymi włącznie, dzięki przemysłowi gumowemu), a gdy znalazł kobietę na tyle wyzwoloną, iż małżeństwo budziło w niej równy wstręt, co macierzyństwo i smażenie kotletów - uczynił z niej swą stałą konkubinę.

Metresa „Bankiera” (pani redaktor polskiej telewizji) była nowoczesną Europejką, to znaczy kobietą intelektualnie rozpasaną (jak każda niewiasta, której za przychodzenie do gmachu wyższej uczelni dano dyplom mówiący, że ukończyła studia wyższe). Ale była dobrą partnerką - często organizowała mu jego ulubiony sposób spędzania czasu, pozwalając towarzyszyć sobie w zakupach, i on to robił, gdyż sądził, że poświęcanie się uszlachetnia człowieka, a gdy nie mógł zapalić lub podrapać się w nos, bo ręce miał obciążone toną już kupionych ciuchów, przypominał sobie pocieszająco, że



buddyzm naucza, iż człowiek jest wolny tylko przez rezygnację.

Czasami jednak - gdy on miał obowiązki, o których ona nie miała pojęcia (uważała go za adwokata; nawet by się jej nie przyśniło, że to król warszawskich bandziorów) - musiał rezygnować z towarzyszenia swej damie. Przy najbliższym spotkaniu starał się to wynagrodzić wzmożoną gorliwością intelektualną i fizyczną, a wówczas jej kobiecy instynkt zapalał alarmowe światelka:

- Jesteś dzisiaj bardzo miły, co się stało? Poznałeś inną kobietę?...

- A to są inne kobiety? - pytał tonem nowonarodzonego dziecka.

Kobiety takie słowa uwielbiają (po takich słowach chcą już tylko długo nie otwierać oczu, i nie stać, i nie siedzieć, tak jak mężczyźni uwielbiają, gdy kochanka pragnąca ślubu, a odsyłana z tą potrzebą do innych znajomych mężczyzn, pyta zła niczym osa:

- Mam wyjść za mąż za którąś z tych panienek?!...!

Cieleśnie oraz intelektualnie Drozd dowartościowywał panią redaktor w swej willi na Żoliborzu, lecz posiadał również mieszkanie na ulicy Krasińskiego, o którym pani redaktor nie wiedziała. Było to stare, przedwojenne mieszkanie jego dziadków i jego rodziców, i tam ojciec wychowywał go po śmierci matki. Pewnego razu, gdy Ludwik miał naście lat (nie pamiętał dokładnie ile), półślepa, lecz absolutnie wszystko zauważająca babcia, krzyknęła do jego ojca, a swojego syna, stojącego rano przy oknie:

- Znowu czekasz na nią, synku? Że też ci się nie znudzi!

Drozda zainteresowało, kogo stary tak wypatruje, na kogo - wedle babcinych słów - „czeka”. Czekał na kobietę, która co rano przechodziła obok parterowych okien ich mieszkania - szła po mleko i po bulki, do sklepu. Była trzydziestokilkuletnią damą ubraną w szarość i w czerń, jakby wybierała się na cmentarz, i miała piękne rysy twarzy - tę ściszoną urodę, którą widać u modelek Vermeera Delftyjskiego.

- Kim jest ta pani? - spytał mały Drozd.

A duży Drozd odrzekł:

- To łączniczka, walczyła w powstaniu. Jej chłopak zginął wtedy i ona żyje samotnie, bo ślubowała mu wierność. Twój stryj ją zna, robił do niej podchody, chciał się żenić, ale bez skutku, ona nie wyjdzie za nikogo.

W słowach ojca brzmiała dziwna gorycz. Młody Drozd zadał jeszcze jedno pytanie:

- Tato, czemu tyle razy przyglądasz się tej pani? Dlatego, że stryj Olo...?

- Nie, synku. Dlatego, dlaczego lubimy patrzeć na „Monę Lizę” Leonarda. Dzisiaj już nie ma takich kobiet. I może nie było nigdy.

Potem ojciec umarł, a kobieta codziennie rano (wyjąwszy święta), zawsze o tej samej porze (między ósmą a ósmą piętnaście), szła do sklepu. I dalej była podglądana przez mężczyznę stojącego za tą samą szybą. Od śmierci ojca Ludwik - kiedy spędzał noc w starym mieszkaniu - podchodził rano do okna i przyglądał się jej. Mijały lata (lata studiów, lata późnej młodości, wczesne lata dojrzałe i wszystkie inne lata), a jemu weszło to w nawyk. Obserwował jak kobieta się starzeje, i to, że starzeje się szybciej niż jej uroda, i że ma coraz wolniejszy krok, i że jej włosy już nie błyszczą - i przez nią nie pozbył się tego starego mieszkania, i nie przyprowadził tam żadnej kobiety prócz sprzątaczk, i tu pisał swoje wiersze w stylu Audena, którego nie próbował doścignąć, był rozsądnym człowiekiem. Własne rymy szybko wyrzucał z pamięci, wartość miało pisanie ich, a nie powtarzanie, zaś Audena z pamięci cytował. „*Pani płacząca na rozstaju...*”. Jak to szło dalej? „*Nocne podróże są bez gwiazd, Wiatr w zimie barwę ma cynową, A wielki strach przed sobą pędź, A żal pozostaw za sobą...*”. Boss kryminalnego podziemia zakochany w Audenie, to świat do góry nogami, coś bez sensu - to jakby szczur grający na flecie uprowadzał z Hamein całą dorosłą ludność. Ale życie czasami bardzo się wygłupia.

Gdyby nie ten widok przez szybę - „Bankier”, zamiast się wygłupiać, od dawna już nosiłby złotą obrączkę na palcu.

\*\*\*

Tajemniczy proces rozwoju biologicznego sprawia, że na ogół stosunki między tatusiom a synem są bardzo dobre lub dobre lub przynajmniej niezłe do czasu, gdy syn z chłopczyka zaczyna się przepoczwarzać w młodzieńca. Potem się psują i zjawisko to określane jest przez naukę terminem: „konflikt pokoleniowy” alias „bunt wieku młodzieńczego”. U jednych kataklizm ten ma formy łagodne, u innych dramatyczne, a jeszcze u innych nieprzyzwoite tak bardzo, że rany nie zablźniają się nigdy. U Clinta Farloona i jego starego forma rozvodu była jeszcze gorsza - cicha jak grób, całkowite milczenie, na które nauka również ma uczony termin. Termin ów brzmi: „brak porozumienia”.

Brak zrozumienia między starym a młodym Farloonem polegał na niezrozumieniu przez młodego Farloona sensu chodzenia do szkoły, oraz na niezrozumieniu przez starego Farloona, iż muzykę „heavy-metal” trzeba puszczać na cały głos, tak, aby decybele ogłuszały wszystko, co żyje w promieniu wielu jardów, łącznie z psem sąsiada mieszkającego po drugiej stronie ulicy. Jako że Clint nie był ojcem, lecz synem, obie batalie przegrał - zmuszono go do odwiedzania „budy” i do słuchania „hard-rocka” za pomocą słuchawek a nie głośników. W efekcie uznał, że jego rodzony „zgrad” jest kompletnie zwapniały, złośliwy i nie nadaje się do niczego prócz zarabiania forsy na kieszonkowe dla swego syna.

Doktor Farloon był rzeczywiście człowiekiem na swój sposób złośliwym. Przykładowo: gdy jego kumpel ze szpitala, chcąc chyba pokazać mu, że jest dadaistą, modernistą lub kimś awangardowym jeszcze bardziej, zaprosił go do swej kawalerki i tam honory pani domu pełniła golusieńka dama z wąsami i z brodą - Farloon nie

otworzył ust ze zdumienia, nie bił braw, ani nie zżymał się, w ogóle nie zwrócił na jej wygląd żadnej uwagi, jakby była ubrana pod szyję i ogolona niczym eunuch. Kolegę ta złośliwość ubodła do żywego.

Równie złośliwie zachowywał się stary Farloon wobec swego syna. Clint od dziecka uwielbiał rewolwery, więc gdy plastikowe rewolwery przestały mu już wystarczać, sprzedał buty narciarskie, pokątnie nabył autentyczną broń i schował za książkami w swoim pokoju. Pech chciał, iż doktor Farloon po którąś z tych książek sięgnął, i kiedy Clint wrócił ze szkoły, spluwy już nie znalazł; na półce, w tym miejscu, gdzie miał „*schowanko*”, zobaczył samoprzylepca z czerwonym sercem i z napisem: „*Make love, not war!*”. ( *Czyńcie miłość, zamast wojny!*) Nie powiedział nic. Następnego dnia kupił „*Hustlera*” (pismo zwane „*rzeźniczym*” przez kwaków), wyrwał zdjęcie z damą uprawiającą akrobatyczny seks, przypiął je pineską obok nalepki i zawołał ojca.

- Chciałeś, żebym robił miłość, a nie wojnę? W porządku, dad! Tak może być?

Stary przyjrzał się i ku zdumieniu Clinta uśmiechnął:

- Fantastyczna dziewczyna, na olimpiadzie zakosiłaby złoto w gimnastycznym wieloboju! Mamie już pokazałeś?

- Nie... - wybąkał Clint, czując gęsią skórkę na plecach.

- No to trzeba koniecznie, synku! Czegoś takiego matka nie widziała nigdy. Poczekaj, przyprowadzę ją.

Nim ojciec dosięgnął progu, Clint zerwał fotografię, podarł na strzępy i cisnął do kosza, wiedząc, że przegrał jeszcze raz. Czuł bezsilną złość, a bezsilna złość każdego mężczyznę doprowadza do szału, nawet kiedy temu mężczyźnie jeszcze trochę brakuje do pełnoletności.

Aż przyszedł ów dzień, kiedy poczuł dumę.

Był to dzień, w którym dyrekcja szkoły zwołała zebranie grona pedagogicznego, rodziców i uczniów. Dyrektor Mendez oznajmił na

tym zebraniu, że w ramach realizowania stanowego „Programu praw dla mniejszości” szkoła musi zatrudniać odpowiednią liczbę kolorowych pedagogów, co oznacza, że dwóch białych trzeba pożegnać, a dwóch kolorowych przyjąć i wtedy procentowo wszystko będzie okey. Sala zatrzęsa się od głośnego szmeru; zbulwersowani byli nauczyciele i rodzice, których skóra nie dawała się nazwać kolorową; ojciec Lowy, stary Abelman, nawet zaklął cicho żydowskim slangiem. Ale tylko jeden człowiek wstał i powiedział głośno, że ta koncepcja, wbrew pozorom, jest obrzydliwa, bo o przyjęciu do pracy winny decydować umiejętności zawodowe, a nie przesłanki rasowe, więc to jest rasizm realizowany pod płaszczykiem zwalczania rasizmu. Tym odważnym był ojciec Clint Farloona.

- Doktorze Farloon - odpowiedział Mendez - nasz kraj szczyli się tym, że...

- Nasz kraj - przerwał mu Farloon - to na skutek różnych kampanii politycznych zwariowany kraj, w którym wszelakiego rodzaju mniejszości stały się większością, a biały heteroseksualny facet to „chłopiec do bicia” dla każdej z nich!

Dyrektor podniósł się i warknął:

- Jakim prawem pan tak mówi, panie Farloon?!

- Prawem obywatela kraju, w którym najlepiej być czarną lesbijką o nazwisku Femandez, wyznania konfucjańskiego, bo wtedy ma się pięć dodatkowych punktów w każdym układzie, od przyjmowania na studia aż do przyjmowania do roboty: dwa za mniejszości narodowe, jeden za mniejszość płciową, jeden za mniejszość seksualną i jeden za mniejszość religijną.

Tym razem sala zatrzęsa się od oklasków bitych białymi rękami. Lecz Mendez trząsał się z gniewu:

- Widzę, że pan doktor jest nieodrodnym tatusiom swego synka!

- Pan ma jakiś kompleks na punkcie własnych praw ojcowskich, że tak mi pan zazdrości tego, dyrektorze? - spytał Farloon.

Salą potrząsnęło jeszcze raz - tym razem od śmiechu. Lova siedzący obok Clinta szepnął:

- Twój zgred to bombowy gość, pierwsza klasa, Clint!
- Słyszałeś, że wdał się we mnie - odparł młody Farloon.

Wszyscy koledzy spoglądali na niego z zazdrością, nawet czarni i żółci, więc robił obojętną minę, choć rozpieiała go duma.

Dwa dni później ojciec podpatrzył go i zabrał mu drugi rewolwer, ze skrytki, którą Clint urządził w kącie ogrodu. I obiecał, że po kupnie trzeciego zleje go pasem tak, jak w starych dobrych czasach ojcowie bili synów marnotrawnych. Od tej pory zapanowało między nimi bardzo długie milczenie.

\*\*\*

Ponieważ Zenon Tolik w swoim dotychczasowym życiu zajmował się nie tylko wyciskaniem łez z oczu dam, lecz również cinkciarstwem, paserstwem, złodziejstwem, sutenerstwem i kontrabandą - winien był jako człowiek trzydziestotrzyletni mieć już w życiorysie kilka odsiedzianych wyroków i kilka zakładów penitencjarnych poznanych od środka. Należał jednak do ludzi „urodzonych w czepku”, afery milicyjno-sądowo-więzienne ominęły go. Trudno wykluczyć, iż nawet wrodzony fart by tu nie pomógł, gdyby „Góral” żył w kraju, w którym policja służy do bruźdzenia kryminalistom a nie opozycjonistom, lecz w jego kraju było na odwrót i właśnie ta okoliczność, plus wspomniany fart, pozwoliły mu zachować dziewicze konto w kategorii odsiadek. Co nie znaczy, że nie wiedział, jak wygląda życie „pod celą”; w jego środowisku każdy znał je detalicznie, niektórzy z autopsji, a inni z opowiadań pechowców. Dlatego gdy znalazł się w Bolkowie - „ocipiał” (mówiąc gwarowo).

To, co tu zobaczył, było więzieniem w takim (albo w mniejszym) stopniu, w jakim szpital jest więzieniem dla pacjentów obłożnie

chorych - gdyby nie kraty na oknach i zamknięte drzwi baraków (drzwi cel były otwarte). Belkowie niczym nie przypominałoby „*pierdla*”, prędzej hotel dla robotników, kolonię szkolną lub kwaterę junaków z Ochotniczego Hufca Pracy. Cella Tolika, mieszcząca swobodnie trzydzieści osób, stanowiła zbiorowisko metalowych łóżek (których słania nikt nie wymagał), krzesel, stolików z jakąś pisaniną i z popielniczkami pełnymi niedopałków, książek, gazet, butelek z wodą mineralną lub sokami, kartonów z luksusową wyzerką, wieszaków, kolorowych ciuchów, czajników, słoików, talerzyków, kubków, sztućców, szachów, warcabów, kart do gry i zdjęć przyklejonych do ścian - gdyby znał to słowo, nazwałby ów widok surrealistycznym. Nie było mowy o więziennych „*pasiakach*”, o nocnej ciszy, o przepisowym stawaniu na baczność czy o jakiegokolwiek dyscyplinie. „*Klawisz*” odzywał się do więźnia w sposób grzeczny, a więzień do niego w zależności od humoru. „*Paranoja!*” - pomyślał Tolik.

Paranoją było również samopoczucie internowanych. Przepelniał ich duch martyrologii, mieli ewidentny orgazm spowodowany katorgą. Nienawidzili „*junty wojskowej*”, która ich uwięziła, chociaż tym uwięzieniem wyciągnęła im szczęśliwy los, zrealizowała ich cudowny sen, spełniła marzenie czerpane z lektur narodowych, bo dotychczasowa literatura Polaków, za wyjątkiem romansu o Stefci „*trędowatej*”, składała się z samych eposów o rycerzach, brańcach i skazańcach, o powstańczych mogiłach, szubienicach, plutonach i łagrach syberyjskich, o nagich piersiach mężczyzn i stalowych sercach kobiet, i o facecie, który zginął bohaterską śmiercią, wysadzając swą redutę za pomocą prochu (wraz ze szturmującymi wrogami), po czym wyjechał na Zachód i umarł pięćdziesiąt pięć lat później we Włoszech. A teraz oni cierpieli identycznie jak pokolenia pradziadów, dziadów i ojców! - ta myśl przepelniała ich dumą. Prawie wszystkich, Tolik miał to gdzieś.

Jego pojawienie się w celi wywołało towarzyski skandal. Jako jedyny fizycznie skatowany przez czerwonych oprawców, i do tego „kurier Wałęsy” - miał uwiarygodnić belkowską martyrologię, nadać jej cielesny kształt. Oczekiwali na niego jak poddani na króla; jednym gestem mógłby sobie rzucić całą tę zbieraninę do stóp. Przyproceedził go „Toluś”, mówiąc:

- To jest Zenon Tolik, będzie z wami, panowie.

Po czym zażartował:

- On jest Tolik, a ja „Toluś”, prawie tak samo! Ha, ha, ha, ha, ha, ha, ha, ha, ha...!

I podreptał do dyżurki, kaszląc śmiechem.

Tolik rozejrzał się wokół.

- Które jest moje wyro?

Dopiero teraz zauważył, że wszyscy patrzą na niego jak na kapłana, co wchodzi na ambonę - w milczącym uwielbieniu. Starszy brodaty okularnik podszedł doń, ścisnął Tolikowi pięć palców, przedstawił się jako profesor czegoś tam i wygłosił z emfazą:

- Panie Tolku, witam pana w imieniu...

- Nie jestem Tolek, jestem Zenek! - oświecił go „Góral”. - A dla was pan Tolik!

Znowu rozejrzał się.

- No to gdzie mam kimać, co?

- Panie Tolik - rzekł profesor. - Chciałbym w imieniu obecnych tu członków „Solidarności” warszawskiej...

- Olewam tę pańską „Solidarność”. - burknął Tolik i sam zaczął szukać wolnego łóżka.

Posiało grobowym milczeniem, jakby przy pomocy jednego ciosu uderzył w twarz każdego z nich. Ktoś wreszcie się przemógł i za-pytał:

- „Solidarność” w ogóle, czy tylko warszawską?

- A przez kogo wpadłem, jak nie przez warszawską?! -



zdenerwował się Tolik. - Zwinęli mnie w trefnym lokalu jak barana!  
Gdybym wiedział, co się tu dzieje, kurde mol!...

- Został pan zadenuncjowany?! - wyszeptał jeden z więźniów.

- Kocioł? - spytał fachowo drugi.

Tolik popatrzył nań ukosem i warknął:

- Przesłuch?!... Mam już dość przesłuchów. Od tego oni są, ale nawet im się nie wypowiadałem, to i wam nie będę. Konspiratorzy, psia mać!

Ktoś się zachnął:

- Panie Tolik, proszę nie...

- Spadaj, frajerku! - rzucił Tolik i znalazłszy wolne łóżko, legł twarzą do ściany, a plecami do frajerów. To „wejście smoka” było dla więźniów jak zimny prysznic. Rozeszli się po kątach, patrząc w ziemię i przeżuwiąjąc złe myśli o chacie z Gdańska plującym na warszawską „Solidarność”. Widocznie jednak nie byli solidarni w tym myśleniu - któryś bąknął ponurym głosem:

- On nie gada dla hecy! Ma słuszność, związek jest pełen prowoków i konfidentów!

- Racja! - przytaknął inny. - Dlatego WRON nakrył „Solidarność” hełmem jak gajowy pisklaki czapką! Cholera wie, czy i wśród nas...

- Co??? - krzyknęło kilku znieważonych.

Skoczyli sobie do oczu, argumentując, gestykulując, wrzeszcząc, a gdy po godzinie zamilkli, zmęczeni kłótnią - jedynym w całej celi punktem, z którego emanował niezłomny spokój, jedynym solidnym oparciem dla spłoszonych źrenic, były Tolikowe plecy, falujące lekko w rytm chrapania przez sen.

\*\*\*

Na świecie jest wielu ludzi, którzy nigdy w życiu nie zagrają w „Trzy lusterka”, nigdy nie wyemigrują z Paryża do Moskwy, nigdy nie przepłyną w zimie kanału La Manche, nigdy się nie ożenią, nigdy

nie pójdą na polski film i nigdy nie wstąpią do partii nudystów-feministów. Ale nie ma, nie było i nie będzie takiego człowieka, który nigdy nie zachował się (zareagował, postąpił, odezwał etc.) jak kabotyń. Można mieć doskonałą kindersztubę, znakomite wykształcenie, olśniewającą inteligencję i wzorową niechęć do kabotyństwa, lecz jeśli żyje się kilkadziesiąt lat - zupełnie uniknąć kabotyństwa nie sposób. Ktoś, kto twierdzi, że nigdy nie postąpił jak kabotyń, jest kłamcą.

Stryj Ludwika Drozda, Olgierd (Olo) Drozd, zachował się jak kabotyń w obliczu damy, na której mu zależało bardziej niż na kimkolwiek. Kochał ją, lecz owa miłość miała coś z miłosnego ideału trubadurów prowansalskich, według których prawdziwa miłość to uczucie do kobiety niedosiężnej - w marzeniu, w cierpieniu i w pożądaniu bez nadziei spełnienia. Dla Olgierda Drozda ta kobieta, choć często się widywali, była snem, nie miał żadnych szans.

Po raz pierwszy ujrzał ją przy władzie do kanału, gdy Stare Miasto płonęło jak heretyk osądzony przez inkwizytorów Pana Boga. Był akowskim żandarmem, służył u legendarnego majora Kozakiewicza, noszącego pseudonim „Barry”. Siedziała na krawędzi wjazdu, czekając, aż podejście nowa grupa do przeprowadzenia tym cholernym burzowcem. Nie chciała oddać dokumentów, więc zawołał „Barry'ego”. „Barry” wziął przesyłkę i mruknął do dziewczyny:

- Znowu, kwiatuszku, zapierdalasz?

Myślał, że nie zobaczy jej nigdy więcej. Ale zobaczył. Czekwała w przedpokoju katowni, gdy UB go obrabiało chcąc wycisnąć zeznania. Poznał ją od razu. I chociaż był zmaltretowany solidnie, miał przetrącone żebra i wybite oko, poczuł gorszy ból na myśl, że teraz wezmą się za nią w ten sam sposób. Gdyby mógł, poprosiłby o jeszcze jeden taki łomot w zamian za oszczędzenie tego „kwiatuszka”. Ale nie mógł, nie on tu ustalał warunki gry.

Nie on tam ustalał warunki gry, lecz w jego przypadku nic im to

nie dało, bo on ustalił efekt - nie sypał. Słuchał „*łbskich*” gróźb, od: „*Albo śpiewasz, albo kula w łeb!*”, do: „*Waszymi łbami będziemy brukować ulice, skurwysynu!*”, mdlał, krzyczał z bólu, znowu mdlał, i nie sypał. Taki miał dziwny charakter. Tylko raz w życiu sypnął i to był ostatni raz. Starsza siostra uderzyła go w złości, więc pobiegł na skargę do rodziców. Ojciec najpierw zrugął siostrę i dał jej klapsa, a potem jego przełożył przez kolano i wałąc w tyłek wymawiał słowa powoli, jedno przy każdym uderzeniu:

- Kablowanie to charakter, więc ja zamierzam połamać ci ten charakter! Możesz pracować kiedyś jako alfons, ale nie pozwolę, żebyś miał charakter dziwki!

Zapamiętał. I przeżył, bo czerwoni - chociaż zmuszali biciem do fałszywych oskarżeń i samooskarżeń - uprawiali swoistą moralność przy skazywaniu: zabijali tylko tych, których udało się złamać. Gdy nie udało się im kogoś złamać, to choćby inni kablowali na niego wściekle - facet nie dostawał czapy; tych, którzy wytrzymali wszystko i nie przyznali się do niczego, skazywano na więzienie. Gomułka otworzył więzienia w 1956 roku i Olo wyszedł na wolność - został „*amnestionowany*”.

Nie miał żalu do komunistów, tak jak nie miał żalu do chmur, gdy padał grad, i do kocicy sąsiada, która zagryzała wróble - czerwoni byli dlań rodzajem Bożego dopustu lub gatunkiem dzikich zwierząt. Żal miał tylko do kolegów-akowców, za to, że w ich wspomnieniach (także drukowanych) major Włodzimierz Kozakiewicz jawił się pod postacią diabła. Nawet bratu musiał tłumaczyć:

- Wielki bunt to nie „*Jezioro łabędzie*”, którym rządzi choreografia - to wielki chaos! A przecież trzeba zadbać o minimum ładu, o elementarne rygory, więc ktoś musi operować batem! W czasie pokoju jest to zadanie policji, a na wojnie sprawa żandarmów.

- Ale jemu zarzucano okrucieństwo...

- Bo nie puszczał do włazów każdego, komu zachciało się spie-

przać! Bo łapał cwaniaczków robiących różne numery, o których w pamiętnikach się nie pisze! Nie był okrutny, był twardy, ale sprawiedliwy. Pamiętam, jak przyprowadziliśmy mu czterech złapanych Szkopów, a właściwie trzech i jednego Łotysza. Przesłuchiwał ich.

Niemcy gadali. Łotysz ani mru-mru. Daliśmy mu dobrze w kość, a on dalej nic, nawet nie jęknął. „Barry” powiedział: „*Cholera, czy on w ogóle nie ma strun głosowych? Wbijcie mu bagnet w dupę, może wreszcie da jakiś głos!*”. Dźgnęliśmy tego Łotysza bagnetem, a on nawet nie syknął. Poszedł pod ścianę. Chłopcy chcieli rozwalić i tych trzech SS-manów, ale „Barry” spytał: „*Złapani na rabunku, na okrucieństwie, na gwałcie?*”. Powiedzieliśmy, że nie, że podczas walki. „*No to jeńcy! Odstawcie ich do jeńców*”. Był sprawiedliwy.

- Kochałeś go - zrozumiał ojciec Ludwika.

A Olo rzekł:

- Szanowałem go. Szanowałem go jak nikogo innego po śmierci Wieniawy, nie mogło być inaczej. Takich jak on i jak Wieniawa biega po świecie niewiele.

- Jesteś tego pewien?

- Jestem tego pewien. Świat składa się z kobiet, pedałów i wyrośniętych chłopców czyli mniej lub bardziej sympatycznych kutasów, więc kiedy gdzieś pojawi się mężczyzna, trudno go przeoczyć.

Któręś ranka poczuł się kiepsko i przybiegł do brata prosząc o EKG. I wtedy ujrzał ją przez okno. Wybiegł z mieszkania, dogonił na ulicy i spytał jak zakończyło się jej ubeckie przesłuchanie. Pokazała mu na czole bliznę w kształcie orzełka - tak się ono zaczęło. Potem przebiegało już rytualnie, to jest tak, jak w radach Hitchcocka dla reżyserów: „*Film powinien się zaczynać od trzęsienia ziemi, a później napięcie musi stopniowo wzrastać*”. Rozmawiali długo. I od tej pory spotykali się często, na ogół w gronie kolegów z AK, z WIN-u i NSZ-u. Po dwóch latach Olo kupił bukiet pąsowych róż i oświadczył się, ale dostał kosza - ona ślubowała chłopakowi, który zginął na

Starówce. Prosbą ani perswazją nie można jej było zmiękczyć - musiał zaakceptować zwykłą przyjaźń. To znaczy jej przyjaźń, bo on ją kochał przez wszystkie następne lata tak samo. Przez wiele mijających lat.

W marcu 1982 roku oboje byli już staruszkami. Pewnego dnia odwiedził ją i zastał drzwi zamknięte. Sąsiadka powiedziała mu, że „*panią Danusię napadnięto na ulicy*”. Pognał do szpitala. Wszystko było okey - nawet nie wstrząs, tylko „*wstrząśnienie*” mózgu, nic złamanego. Jakiś młody nygus zrobił to, co nagminnie robiono z samotnymi staruszkami - podskoczył i chciał jej wyrwać torebkę, ale trzymała mocno, więc spytał:

- Oddasz sama, czy mam cię zap.....lić w łeb?!

Nie oddała, a żul zrealizował swoją groźbę pięścią.

- Wiesz, to było okropne - powiedziała Ołowi. - Nie sam fakt rabunku, ale ten wyraz!... Nikt dotąd nie odezwał się do mnie takim wyrazem.

Chcąc poprawić jej humor, kłapnął bez zastanowienia: '

- Danusiu, pamięć cię zawodzi! Ktoś już wcześniej powiedział ci to słowo. Siedziałaś na krawędzi włazu, a „*Barry*” rzekł: „*Znowu, kwiatuszku...*”.

Spojrzała na niego ze zdziwieniem i powtórzyła:

- Nie, mój drogi. Takie słowo skierowano do mnie przedwczoraj pierwszy raz w moim życiu.

I wtedy Olo pojął, że zrobił z siebie kabotyńca. Zrobił, bo zapomniał o czymś, co wszyscy Francuzi i wszyscy inteligentni ludzie na świecie uświadomili sobie po Waterloo - iż ten sam wyraz może być święty lub plugawy, zależnie od kontekstu.

\*\*\*

Jako bardzo młody człowiek Heldbaum uważał się za zbroczeniśca, gdyż ciągle mu się śniły rozpasane dziewice. Sądził, że śnią mu się

same prostytutki, bo normalne kobiety umarłyby ze wstydu, gdyby im zaproponowano coś podobnego. Lecz później normalne dziewczęta zaczęły bardzo chętnie przemieniać owe sny w jawę i to go najpierw zdumiało, a kiedy kumple potwierdzili jego doświadczenia streszczeniami własnych przygód - uczyniło szczęśliwym, że nie jest zboczony. Gdy zaś pewien psycholog-seksuolog wyjaśnił mu, że ekshibicjonizm seksualny i popęd orgiastyczny są tak u mężczyzn, jak i u kobiet, zaprogramowane w genach i hormonach, a tłumione mniej lub bardziej skutecznie przez mózg - Heldbaum odblokował swój mózg całkowicie czyli „poszedł na całość”. Odtąd kobiety grały bardzo intensywną rolę w życiu Mieczysława Heldbauma, zaś Mieczysław Heldbaum grał bardzo ważną rolę w życiu wielu kobiet. Początkowo była to jedna rola, a później rola podwójna, ze słabnącym udziałem początkowej roli. Wykładając to bardziej precyzyjnie: na trzech etapach jego życia - gdy Heldbaum był człowiekiem młodym, jeszcze młodym i jeszcze nie starym - kobiety interesowały go bardziej z punktu widzenia użyteczności w łóżku niż z jakiegokolwiek innego punktu widzenia, ale później, na etapie czwartym, te proporcje uległy odwróceniu. Gdy się postarzał, silniej interesowało go wykorzystywanie dam w celach esbeckich, a seksualnie już tylko bardzo dorywczo.

Dla podstarzałego Heldbauma kobiety nie stanowiły zagadki w najmniejszym stopniu, ani biologicznie, ani psychicznie. Jak każdy dobry biolog uważał kobietę za monstrum kierujące się wyłącznie popędem biologicznym, i jak każdy dobry psychiatra uważał ją za zjawisko ulepione z księżycowej schizofrenii, kalectwa logicznego oraz kilku określonych i nieokreślonych instynktów. A jako oficer bezpieczeństwa - za instrument lepszy od laserów, elektronicznych systemów podsłuchowych i pocisków zdalnie sterowanych.

W 1982 roku (i przez kilka następujących lat) trzonem Ministerstwa Spraw Wewnętrznych (MSW) były cztery departamenty: departa-

ment III - do walki z opozycją; departament IV - do walki z Kościołem; departament V - do walki z „Solidarnością” (w latach osiemdziesiątych działalność departamentów III i V dublowała się na sporym odcinku); departament VI - do walki z chłopstwem. Cała ta esbecja nie wyobrażała sobie inwigilacji narodu bez pomocy obywaterek skaptowanych do współpracy, ale nie każdy departament miał tu równie obfity połów. Najgorzej szło departamentowi IV, czemu winne było papieństwo, tępo obstające przy celibacie księży i przy nie zatrudnianiu kobiet jako duchownych (zakonnice, gospodynie parafialne i kochanki kapłanów dawały bardzo ograniczone pole działania). Departament VI też nie błyszczał, gdyż wieśniacza piękna płeć była materiałem opornym i słabo komunikatywnym. Natomiast departamenty wymierzone w artystów, intelektualistów, biurokratów, kupców, rzemieślników, robotników i wszelakiego rodzaju „wolne zawody”, zbierały obfite żniwo, gdyż kobiety z tych sfer łatwiej było „przekręcać” niż panów.

Werbowanie żeńskiej psiarni nie wyciskało potu Służbie Bezpieczeństwa z tej samej przyczyny, dzięki której proceder ów nie był trudny dla każdej służby wywiadowczej odkąd tylko istnieją wywiadowcze służby. Ta generalna przyczyna zasadza się na nieśmiertelnej rywalizacji między płcią a płcią; dokładniej rzecz biorąc - na zbiorowisku kompleksów żeńskich funkcjonujących od końca matriarchatu, i na znanym syndromie, którego symbolem jest fakt, że sługa czy niewolnik (bądź ktoś, kto się ma za tak upośledzonego) pluje do wazy z zupą swego pana. Wszystkie inne przyczyny - głód pieniędzy, sekretnych emocji i dreszczyków, upodobanie do podglądactwa i do szeptania na ucho, niewyżyta przedsiębiorczość, tęsknota do głównych ról, wreszcie strach (w przypadku szantażu), etc. - są już tylko pochodnymi owej przyczyny generalnej (natomiast u mężczyzn-konfidentów głównym motorem jest wyszantażowany strach lub zyskowna podłość). Gdyby samiec i samica gatunku

„*homo sapiens*” niczym się psychicznie nie różnili - kobiety nie tak łatwo przyjmowałyby Judaszową rolę. Lecz nie można tu winić tylko biologii czyli psychiki jako takiej - jest to również wina zdradzanych samców.

Samiec gatunku „*homo*” to brzmi dumnie z tego choćby powodu, że jest on „*sapiens*” jeśli chodzi o zdobywanie samic. Samce jeleni na przykład tłuką się przez kilka godzin łbem o łeb, żeby ustalić, który będzie kopulował samicę (czekającą obok, piłującą sobie paznokcie i zastanawiającą się w duchu, dlaczego los związał ją z tak kretyńskim gatunkiem), podczas gdy u „*homo*” tego typu zachowania wyginęły wraz z XIX-wiecznymi tawernami dla okrętowych majtków i zostały odesłane raz na zawsze do świata fantazji sztubaków, gdzie znajdują swój jedyny azyl. Natomiast w kwestii utrzymania zdobytej samicy przy sobie, to jest właściwego obchodzenia się z nią, samiec ludzki jest tak głupi, że nawet jeleni pospolity wygląda przy nim na intelektualistę. Z powodu złożonych procesów hormonalnych i reakcji chemicznych zachodzących w ich mózgach mężczyźni chcą odkobiec kobietę wymuszając na niej takie widzenie świata, takie reagowanie na każde zjawisko i takie odczuwanie wszystkiego, jakie wydaje się im jedynie logiczne czyli po prostu prawidłowe. Ma to tyle samo sensu, jakby bocian zmuszał wiewiórkę do jedzenia żab. Dlatego wiewiórki się buntują, a bociany uważają je za idiotki, i tak się to kręci od stworzenia świata.

Najprostszą i dlatego najczęstszą formą buntu samicy są zdrady seksualne. Formą kontynuacyjną (rzadszą) jest ta nielojalność, która dostarcza bezpośredniego żeru służbom specjalnym. Zwykle zresztą zdrada łóżkowa stanowi prolog do tej drugiej, gdyż daje werbownikom instrument nacisku za pomocą szantażu. Heldbaum był mistrzem w takich polowaniach na kobiety - na damy sfrustrowane, przyłapane lub tylko ścigające się z mężczyzną, przegrywające ten wyścig i dyszące chęcią jakiegokolwiek odwetu. Podziwiano go w



resorcie, gdy złowił żonę głośnego malarza, który często wyjeżdżał do zachodniej Europy, rzekomo w celach artystycznych, a w istocie politycznych. Ów malarz był łącznikiem między grupą warszawskich konspiratorów i polską emigracją; jego żona uchodziła za wzór matki i żony. Nikt nie wiedział, że rosnąca sława męża doprowadza ją do szału i że ta pani marzy o takich samych laurach - pragnie zostać wielką poetką. Swoje niezdarne wierszyki słała na wszystkie konkursy poezji, jakie tylko ogłoszono w kraju, z wiejskimi, górskimi, morskimi i leśnymi włącznie. A że nigdy nie zdobyła nagrody lub choćby tylko piątego wyróżnienia, jej gniew przeciw poślubionemu mężczyźnie rósł lawinowo. Heldbaum dowiedział się o tej ambicji i odtąd dowiadywał się na bieżąco o każdym nielegalnym kroku malarza.

Udany werbunek to nierzadko efekt długiego, mozolnego wysiłku, a czasami jest on szybki i łatwy jak złożenie dziecinnego „puzzla”, trzeba mieć tylko przysłowiowe głupie szczęście, rzecz w pracy szpiclowskiej (w każdej pracy) bardzo pożądaną. Taki właśnie głupi fart ułatwił Heldbaumowi grę z Barbarą Brodziuch.

Metoda, którą Heldbaum postanowił zastosować wobec tej kobiety, była najprostsza, najbardziej oklepaną ze wszystkich - był to szantaż. Kiedy ma się w ręku silną kartę, szantaż jest łatwy, gdyż wywołuje silny strach, a strach to (obok głodu) najpotężniejszy budowniczy - ze strachu przed śmiercią wymyślono tamten świat i wszystkie religie. Karta, jaką dysponował Heldbaum, była piekielnie mocna dzięki głupiemu przypadkowi, którego istotę stanowił fakt, że porucznik Lutoń wyjmując Tolika z małżeńskich betów państwa Brodziuch i wyprowadzając go z ich mieszkania nie obudził Barbary Brodziuchowej. Na tym polegał ów fart łowczego.

\*\*\*

W kwietniu 1982 roku zwolniono „do cywila” dwóch pierwszych

rezydentów belkowskiej „interny” (księdza i dziennikarza). Kilkunastu przeniesiono do innych więzień, a kilkunastu nowych zasiliło Belków. Odtąd rozszady były już nieustanne, garnitur personalny wewnątrz cel ciągle się zmieniał, za to dobowy tryb życia ostatecznie się unormował, nabierając cech rytuału. Głównymi jego punktami były szkolenia, przepiórki, posiłki, modlitwy i gry hazardowe, oraz kłótnie zwane dyskusjami lub wymianami poglądów.

Każdy dzień zaczynano chóralną modlitwą lub śpiewaną litania, ale ponieważ mieszkańcy jednych cel ustalili termin na godzinę ósmą, a innych na ósmą trzydzieści bądź dziewiątą, śpiochy wściekały się słuchając pobudki sąsiadów i to rodziło niechrześcijańskie scysje. W końcu wynegocjonowano kompromis: za kwadrans dziewiąta - lecz wtedy, z powodu zbyt cienkich ścian, sąsiadujące chóry zderzały się kakafonicznie, co niektórym dobywało z ust (między „zmituj się nad nami” a „jako i my odpuszczamy naszym winowajcom”) słowa mało podobne do „amen”. W celi Zenona Tolika podział na modlących się i nie modlących był klarowny: do modlących się należeli prawie wszyscy, a do nie biorących udziału w porannym i wieczornym chórze należał tylko Zenon.

O wiele ważniejszy był podział klasowy; biegł on przez każdą celę, w każdej bowiem perfidia komunistów zmajstrowała kastowy koktajl: facetów, których codzienny wysiłek fizyczny ograniczał się do wciskania pióra kulkowego lub walenia palcami w jakąś klawiaturę, programowo pomieszano z facetami, którym najwyższy wysiłek umysłowy zezwalał zrozumieć puentę salonowego dowcipu jeśli powtórzono ją trzykrotnie i wzbogacono frazą objaśniającą. Ten zamysł ucieleśnienia marksistowskiej „walki klas” przyniósł rezultat od razu: klasa robotnicza „wyszła z nerw” słuchając jak klasa inteligencka mówi na Lecha Wałęsę: „Walezy”. Co prawda inteligenci przysięgli kolegom proletariuszom, że to wcale nie jest ksywka ubliżająca, bo Henryk Walezy był królem Polski kilkaset lat temu,

lecz owo relanium działało tylko przez jeden dzień. Później któryś inteligent się wyłamał i zakablował któremuś proletariuszowi, że król Henryk był największym sukinsynem na tronie Sarmatów, przywłókł z Francji syfilis, a po kilku dniach rządzenia Polską ukradł skarb koronny i zwał nocą do Paryża, tak bardzo nie cierpiał Polaków. Robotnicy znowu wpadli w gniew; inteligentom nie pozostało nic innego jak skończyć z przezywaniem proletariackiego idola.

Idol jajogłowych też stał się zarzewiem konfliktu klasowego, gdy do Belkowa trafił robotnik-weteran z „interny” białoleckiej. W Białolece siedziała elita „Solidarności”, więc cały Belków był ciekaw jak te asiory tam sobie radzą. Przeniesiony opowiedział dziwną rzecz: wszyscy wielcy - Kuroń, Rulewski, Onyszkiewicz, Gwiazda i kilku innych - siedzą w białoleckim wewnętrznym pawilonie, który ma zaostrzony rygor. Wszyscy oprócz Adama Michnika, którego umieszczono w tak zwanym wolnościowym baraku, gdzie jest duży luz i gdzie „Adaś” rządzi kolegami i klawiszami, gada co chce i pisze przeciw komuchom też co chce.

- Widać komuchom nie przeszkadza, że pod ich celą wysmaży przeciw nim jakąś ostrą książkę! - parsknął jeden z robotników.

- A panu ktoś tutaj przeszkadza pisać? - oburzył się magister historii.

- Ja, panie młody, umiem się tylko podpisać - odparł stary proletariusz. - Ale nie podpisałem im niczego.

- A kto według pana podpisał?!

- Twardowski duszę diabłu, panie magister, to ja ze szkoły pamiętam, chociażem się w wiejskiej szkole uczył.

Uczenie się i nauczanie w celach, czyli tak zwane szkolenie, miało być - wedle pomysłu inteligentów - działalnością trójwymiarową: integrującą (miało zasypywać rów międzyklasowy, żeby nie dochodziło do brzydkich pyskówek na temat „Michników”), oświatową

(miało podciągać proletariat erudycyjnie) i rozrywkową (miało pożytecznie zabijać czas). Sporządzono grafik wykładów - codziennie jeden, prócz świąt. W celach nie brakowało specjalistów z różnych dziedzin, więc wykłady były urozmaicone. Rowu do końca nie zasypały, natomiast wykopały mnóstwo rowów wewnątrz klasy wyższej - skłóciły inteligentów na kształt kundli walczących o kość.

Już wykład inaugurujący szkolenie okazał się czerwoną płachtą, którą torreador rozdrażnił - zamiast byka - publiczność i nabawił ją furii. Prelegentem był docent Uniwersytetu Warszawskiego, a tematem: „*Pro faszystowska socjotechnika władzy od czasów starożytnych do komunizmu*”. Faszyci starożytni, średniowieczni i renesansowi, łącznie z Borgiami, Medyceuszami i Sforzami, nie poruszyli nikogo, wywołali ledwie kilka uśmieszków, sprytnie maskowanych ziewaniem. Pierwsi z nowożytnych faszystów. Ludwik XIV, Fryderyk Wielki i Piotr Wielki, też nie obudzili nikogo. Gdy prelegent dosunął korsykańskiemu faszycie, zagrzmiało kilka gniewnych głosów, które jednak uciszono przypominając regulamin („*Panowie, dyskusja po skończeniu wykładu, proszę nie przerywać!*”). Ale gdy prelegent znalazł się w roku 1918, celą zatrzęsło. Zwolennicy Dmowskiego i wielbiciele Komendanta rzucili się ku sobie tak gwałtownie, jakby obaj święci czekali za drzwiami na wynik tego meczu. Przez półtorej godziny argumenty obu stron raziły uszy nic nie pojmujących robotników i dopiero kiedy z ust któregoś harcownika padł argument bardziej życiowy niż merytoryczny, proletariat zrozumiał ów argument. Argument brzmiał:

- Cóż, szanowny pan docent ma za sobą długi staż w PZPR...

„Szanowny pan docent” zsiniał i nastroszył się jak kogut:

- To świństwo! Wystąpiłem z partii w 1976 roku i odtąd...

- Jasne! - splunął adwersarz. - Kiedy z referatu Chruszczowa dowiedział się pan, że Stalin nie był największym filozofem wszystkich czasów, to jeszcze nie był powód do rzucenia legitymacji,

ale gdy z książki *Solżenicyna* dowiedział się pan, że w radzieckich obozach pracy przymusowej zdarzały się wypadki łamania praw człowieka, to się pan nawrócił na antykomunę!

Mistrz drukarski, wsadzony za drukowanie „*po godzinach*” bibuły antybolszewickiej w drukami bolszewickiej, szepnął Tolikowi do ucha:

- No i mamy własny „*stan wojenny*”, panie Zenku! Jak to żabojady mówią: „*drôle de guerre*”! (niepoważna (komiczna) wojna.)

Tolik poliglotą nie był, więc nie zrozumiał. Ale to nie zasmuciło go wcale, bo i tak awantura „*wisiła mu jak kilo kitu*”. Ta i poprzednia i następna. On jeden w tej celi milczał niczym kamień, kiedy u innych gardła zagłuszały korę mózgową. I gdy po takiej szarpaninie celę ogarniała ciężka cisza, wszyscy ukradkiem spoglądali w jego kierunku, jakby zawstydzeni, jakby dopiero teraz pojmujący, że mężczyzną można być na głośno i na bardzo cicho, ale prawdziwa męskość jest chyba bliższa drugiemu z tych sposobów. Każda taka refleksja podnosiła jego znaczenie w oczach wszystkich, choć formalnie dalej boczoło się na niego. Z tym jest tak, jak ze sztuką - aby być, wystarczy być tylko innym niż reszta.

\*\*\*

Fotografię wynaleziono w XIX wieku i uznano za środek przekazu, który najlepiej, bo najwierniej, odzwierciedla rzeczywistość, co stało się gwoździem do trumny realistycznego malarstwa. W następnym stuleciu wynaleziono komputer, a wówczas teza: „*fotografia prawdę ci powie*” przestała mieć ręce i nogi. Kolejne generacje komputerów potrafiły coraz sprawniej manipulować fotografią: łączyć elementy z różnych fotek, żonglować cieniami, tłem, wszystkim. Nie miało to nic wspólnego z prymitywną sztuką fotomontażu, uprawianą przez fałszerzy od dawna. Na początku lat osiemdziesiątych wyprodukowano urządzenia elektroniczne mogące „*stwarzać*”

falszywe fotografie w genialny sposób. Wspomniane urządzenia - takie jak „Scitexy” firmy Scitex America Corporation - czytają obraz fotograficzny z odbitki lub negatywu, przerabiają go na kod cyfrowy, po czym przy użyciu specjalnego oprogramowania robią dowolne rzeczy z dowolnymi fragmentami zdjęć, żeniąc je lub rozdając. „The New York Times” streścił to wszystko w jednym zdaniu: *„Technika komputerowa pozwala produkować obrazy fotograficzne jakie się tylko zamarzą, a fałsz jest praktycznie nie wykrywalny”*.

Gdy grudniową nocą A. D. 1981 w ręce Służby Bezpieczeństwa zamiast Stefana Brodziucha wpadł Zenon Tolik, pułkownik Heldbaum spytał porucznika Lutonia o reakcję Brodziuchowej.

- Nie budziliśmy jej, panie pułkowniku - odparł Lutoń.
- W ogóle się nie obudziła?
- W ogóle, panie pułkowniku.
- I kiedy wychodziłeś stamtąd, dalej spała?
- Tak jest, panie pułkowniku.

Heldbaum spojrział na zegarek: brakowało dwudziestu minut do trzeciej w nocy. Zwariowana iskierka błysnęła mu pod czaszką - jedna z tych, dzięki którym ludzie otrzymują wyrok śmierci lub nagrodę Nobla. Wcisnął guzik i powiedział do mikrofonu:

- Dajcie mi tu majora Grabowskiego. Migiem!

O godzinie czwartej zero cztery SB złożyła drugą tej nocy wizytę w mieszkaniu Brodziuchów. Przyszło trzech panów: major Grabowski, lekarz i fotograf. Weszli bezszelestnie. Barbara Brodziuch spała ciężko, zmęczona gimnastyką sprzed paru godzin. Lekarz przytknął jej do nosa watkę z tak dowcipnym specyfikiem, że wystarczyło raz powąchać i nawet armaty lub kopniaki nie obudziłyby człowieka. Potem zdjęto jej koszulę nocną, lekarz rozebrał się, położył obok Barbary, wziął ją w ramiona i do roboty przystąpił fotograf, pstrykając raz za razem. Ze względu na bezwład uśpionego ciała

pstrykane sploty miały biblijną godność, lecz i tak było w tym dużo bezwstydu. Medyk w pewnym momencie nie wytrzymał i przestał udawać, co rozbawiło majora i podnieciło mistrza fotografii, ale Grabowski nie zezwolił mu na nic innego jak rytmiczne operowanie migawką aparatu.

W ciągu stycznia, lutego i marca Heldbaum miał orkę z ewidencją i wysyłką wrogów generała Jaruzelskiego do miejsc dla internowanych, nie zapomniał jednak o Barbarze B. Odnalazł w Szczyrku hotel, w którym mieszkał Tolik, upewnił się, że wszystkie sprzęty w pokoju gdzie utraciła przyzwoitość - od reprodukcji na ścianie do lampki na stoliku - są identyczne jak wtedy, i kazał sfotografować łóżko. Reszty dokonał komputer, który „zdielano” dzięki nie zakupionej przez Kraj Rad licencji amerykańskiej: wyprodukował zbiór falsyfikatów godnych fałszerskiego Oscara. Dla bezpieczeństwa były one nieco przymglone, ale szczegóły działania tandemu widocznego na każdej fotografii były oczywiste.

Z początkiem kwietnia pułkownik złożył dzienną wizytę Barbarze Brodziuch. Przyszedł sam. Zapytał grzecznie, czy Barbara ma jakieś trudności z odwiedzaniem męża w więzieniu lub z wysyłaniem mu paczek żywnościowych. Równie grzecznie zapytał o zdrowie małego. A potem grzecznie poprosił, żeby wyprowadziła dziecko do dzieciennego pokoju, wróciła i zamknęła drzwi, bo chciałby z nią rozmawiać bez świadków.

- Krępuje pana dziecko?! - warknęła Barbara. - Ja się przed nim niczego nie wstydzę!

- To kwestia złej pamięci, droga pani - rzekł Heldbaum i rozłożył na stole kilka fotogramów.

Droga do pokoju dzieciennego i z powrotem była najdłuższą i najcięższą drogą w życiu Barbary - podczas takich wędrówek człowiek ma nogi z waty i jest na granicy zemdlenia lub samobójstwa. Heldbaum nic nie mówił, czekał, co ona powie. Drżała tak bardzo, iż

nie mogła utrzymać fotografii w palcach. Podeszła do komody, naląła sobie kieliszek alkoholu i golnęła haustem, by nalać drugi. W końcu spytała:

- Czy ten człowiek to...

- Tak, proszę pani - skłamał spokojnie. - To nasz funkcjonariusz, porucznik Służby Bezpieczeństwa. Mam tu jego legitymację służbową.

I dał jej obejrzeć legitymację MSW ze zdjęciem Tolika.

- Czy pan to już pokazał mojemu mężowi?...

- Nie, gdyż bardzo liczę na pani mądrość. Pokażę mu, jeśli pani mi udowodni, że jestem kiepskim matematykiem i nie umiem liczyć. Gdyby tak się stało, to Piotruś mógłby się zrazić do mamy wcześniej niż tatuś Piotrusia.

- Pokazałby pan te zdjęcia dziecku?! - szepnęła, patrząc nań ze wstrętem.

- Nigdy! - odparł. - Nigdy nie zrobiłbym czegoś takiego, nie chcę, by moja matka przekłęła mnie zza grobu. Mam jednak niejaką obawę, że pani syna oświeciliby jego szkolni koledzy.

- Co?!

- Chyba pani pojmuje, że gdyby w gazetach ukazał się artykuł o romansie, jaki ucięła sobie z esbekiem żona „solidarnościowej” szychy, to w każdym polskim domu byłoby o tym głośno. Obawiam się, że także w domach kolegów pani syna. I na ulicach, gdyby te zdjęcia zaczęły krążyć między ludem...

Wstrzymał głos. Ale trwało to tylko parę sekund, teraz już nie mógł pozwalać jej na zbieranie myśli.

- Zaczniemy od tego, gdzie twój mąż trzymał swoją dokumentację. W domu?

- Poza domem.

- W „Ursusie”?

- Tak.



- Gdzie?
- Mają tam skrytki.
- Znasz te skrytki?
- Znam tylko jedną...
- I tylko jedną radiostację. I tylko jeden adres drukami prohibitów.
- Dobrze.
- Grzeczna dziewczynka!

Przedstawił krótko reguły współpracy, a potem rzekł, iż będzie musiała zmienić meldunek - zamieszka w Gdańsku.

- Jak to wytłumaczę ludziom? - spytała.

- Bez trudu, będą aż trzy powody. W stolicy utracisz etat, za „Solidarność”, a w Gdańsku któraś odważna szkoła cię przygarnie, tam też potrzebują nauczycieli angielskiego. Secundo: tam mieszka twój brat, a ty potrzebujesz męskiego wsparcia w czasach tak okrutnych...

- Mojego brata internowano w Strzebielinku!

- Wiem. Wkrótce wyjdzie na wolność. Powód numer trzy: lekarze orzekną, iż tylko stałe wdychanie jodu może uleczyć Piotrusia, więc dziecko musi mieszkać nad Bałtykiem. Chyba dość?... Zamienisz się na mieszkanie z kimś, kto mieszka w Gdańsku, ale marzy o grodzie stołecznym.

- Nie wiem, czy mój mąż...

- Twój mąż kocha Piotrusia, nie odmówi mu stałej dawki jodu.

- Do czego wam to potrzebne?

- Nam do niczego, zupełnie do niczego, tylko twojemu synowi do zdrowia. Tak do fizycznego zdrowia, jak i do psychicznego zdrowia, bo zawsze lepiej mieć przyzwoite mniemanie o mamusi. Matkę ma się tylko jedną...

Gdy została sama - została sama na całym świecie. Wszystko, co było na zewnątrz, opustoszało, umarło, popadło w niebyt. A to, co było dotąd w jej wnętrzu, ukryte przed wzrokiem innych, lecz dla

niej widoczne jako jedyna przystań - bogactwo marzeń - zatrzasnęło się niczym wieko trumny i zniknęło, stało się niewidoczne jak lzy podczas deszczu.

\*\*\*

Ludwik Drozd bardzo lubił mieszkanie swego stryja, ale bywał tam rzadko. Może właśnie dlatego je lubił, bo codzienna przyjemność - wiadomo - traci smak i nabiera cech banału. Było to mieszkanie ze starej legendy lub ze snu historyka sztuki, którym zresztą Olo został z wykształcenia i pozostał z zamiłowania. Jako historyk sztuki przez kilka lat robił gustowne gazetki ściennie w więzieniu, w którym siedział za to, że kiedyś próbował uwolnić Polskę od Niemców nie uzgodniwszy tego wcześniej z towarzyszem Stalinem. Potem dano mu etat w Instytucie Historii Sztuki, gdzie po dwudziestu latach zajmowania się gotycką rzeźbą sakralną zdobył emeryturę A. D. 1980. Przez wiele lat zbierał stare książki i grafikę - pochłaniało to większość jego zarobków. Ściany jego mieszkania pełne były półek bibliotecznych, na których tłoczyły się ozdobne grzbiety płócienne i skórzane. Kochał to wszystko, i tak jak u każdego kolekcjonera - to wszystko było ersatzem, było miłością zastępczą, było brakiem w mieszkaniu tego człowieka, jedyne, któremu oddałoby się całe serce i poświęciłoby się cały swój czas, gdyby on tu **był**, ale ponieważ nie zjawił się, lub uciekł, lub został wyrzucony, lub jest, ale lepiej by zrobił, gdyby nie istniał - tę bezpańską miłość, przeznaczoną dla ludzi, ofiarowuje się przedmiotom. I to jest zasługa przedmiotów - że potrafią przyjmować miłość samotnych serc, wypełniając pustkę i ciszę między ścianami komnat. Może nie w pełni, ale jednak leczą.

5 kwietnia 1982 roku Ludwik Drozd zapukał do tego mieszkania. Przyniósł prezent. Prezentem był cudowny XIX-wieczny wolumin „Bajek” Lafontaine’a, ze sztychami Gustawa Doré. Powodem wizyty było coś zupełnie innego: dama, którą Ludwik czasami obserwował

przez szybę, zniknęła. Być może umarła lub wyjechała; spytał o to. Stryj odpowiedział pytaniem:

- Dlaczego mnie pytasz?

- Dlatego, że ty znasz tę panią, stryju.

- Skąd ta pewność?

- Ojciec mi mówił.

- Co jeszcze mówił ci ten pleciuch, chłopcze?

- Że w powstaniu była łączniczką. Nic więcej nie mówił, nawet nie wiem jak ona się nazywa.

- Nazywa się Danuta Smoszevska, z rosyjskich księżąt Worońcowych-Daszkowych. W powstaniu nazywała się „Halszka”. I nie truj mi, że mój kochany braciszek nic ci nie powiedział, musiał coś pleść, inaczej nie mówiłby o niej w ogóle, synku!

- Mówił, że to kobieta wyjątkowa.

- Prawidłowo mówił, bo ona w istocie nie należy do tej większości, u której duma to rodzaj kiepskiego teatru, a godność to słomiana budowla udająca gmach z granitu dzięki fasadzie firmy Dior lub Max Factor. Dlaczego się nią interesujesz?

- Z tego samego powodu.

Stryj popatrzył nań jak uczony na dziwnego robaka.

- Mógłbyś być jej synem, chłopcze!

- To nie ma nic do rzeczy, stryju.

- Akurat! Biedny idioto!... Ona nie urodzi ci dziecka, ja też nie jestem do tego zdolny, i ty sam też nie dasz rady, konieczna jest tu spółka z młodą damą!

- Co ci chodzi po głowie, stryju?

- Cykor, że na tobie wyginie ród Drozdów.

- Mówisz to jako ornitolog?

- To wcale nie jest śmieszne. Dlaczego się nie żenisz?

- Jeszcze raz: z tego samego powodu.

- A tak na serio?

- A tak na serio to wolę być drozdem niż jeleniem, grzebień nie łamie się o nic, gdy zaczynam się czesać.

- Mnie się zęby łamią, gdy zaczynasz dowcipkować, twój ojciec miał lepsze poczucie humoru!

- Wszystko było kiedyś lepsze, tak jest od stworzenia świata, stryju  
- skomentował filozoficznie Ludwik. - Mój stary był dowcipniejszy niż ja i ty razem, bo spłodził Drozda, co żadnemu z nas się jak dotąd nie udało.

Stryj przez cały czas czyścił fajkę. Teraz napchał ją, ubił tytoń przyrządem do ubijania, podpalił, rozżarzył i zaczął puszczać z ust krążki dymu. Odtąd w pokoju pachniało „*Amforą*” i ten zapach dobrze się zestrajał z milczeniem. Ale trwało ono zbyt długo, więc Ludwik powiedział dla zgody:

- Świetny tytoń, stryju!

- Prosto z Rotterdamu, chłopcze. Kumpel mi dostarcza. A propos: masz przyjaciół, lub choćby jednego?

Zdziwiony „*Bankier*” odparł:

- Mam wielu znajomych...

- Nie udawaj, synku! Wiesz o czym myślałem! O prawdziwej przyjaźni, tej rzadkiej jak skarb. Niewielu spotyka się mężczyzn, z którymi można by założyć tajne bractwo.

- Mam jeszcze czas, stryju.

- Nie, synku, to czas ma ciebie. Pustynia jest ziemią bardzo piękną, zwłaszcza dla Beduina, lecz spytaj go, co ceni wyżej, przyjaźń czy źródło wody?

- A tobie się trafiło?

- Tak, dwukrotnie. Ale jeden już zmarł.

Stryj pyknął kółeczkiem dymu, które uleciało pod sufit jak dusza ulatująca do nieba, i rzekł:

- A więc nie masz w sercu nikogo, ani kobiety, ani mężczyzny, ani dziecka, nikogo! Tak jakbyś nie żył.

- Stryju, nie rozumiem o co ci...

- Nie żądam, byś rozumiał, nie jestem okrutny, synku - wycedził stryj złośliwie i zmienił temat: - Pytałeś, co z „Halszką”. Miała wypadek, ale już dochodzi do zdrowia, a chwilowo ja jej robię zakupy.

- Wypadek?

- Ktoś ją napadł, pobił i zaopiekował się jej gotówką.

- Dużą?

- Małą, ukradziono jej torebkę.

- Zawodowiec czy chuligan?

- Nie spytała go, synku. A ty pytasz jak śledczy! Czy to ważne?

Ciało króla warszawskich kryminalistów przeszył prąd - dla niego było to ważne, gdyż to mógł być jakiś łobuz z jego wielkiego stada. Olo mówił dalej i nie zauważył, że policzki bratanka czerwieńszą.

- Dla niej ta gotówka i ten szok to drobiazg, synku, jest z twardych kobiet. Możesz sobie wyobrazić? - leżąc w szpitalu, martwiła się nie o siebie, tylko o swoją znajomą, której córka uległa paraliżowi i na leczenie potrzeba kilkudziesięciu tysięcy dolarów. Martwiła się, że nie może pomóc, bo nie ma tej drobnej sumy, taka jest „Halszka”!

Nazajutrz jeden z ludzi „Bankiera” śledził rano jego stryja, gdy ten kupował produkty żywnościowe, i dzięki temu Ludwik Drozd zdobył adres kobiety, która w powstaniu warszawskim była „Halszką”.

\*\*\*

Przez przypadek doprawdy zadziwiający, w tym samym mniej więcej czasie na drugiej półkuli globu ktoś powiedział młodemu człowiekowi to samo, co Olgierd Drozd próbował wbić do głowy swego bratanka - że winien koniecznie założyć małżeństwo. Ale ten młody człowiek był dużo młodszy od „Bankiera”, więc i argumentacja była inna - nie chodziło o reprodukcję dla dobra rodu, tylko o przepustkę do wielkiej kariery. Namawianym młodzieńcem był Rick

Korm, student ośrodka Camp Peary, gdzie kształciła się przyszłość amerykańskiego wywiadu.

Przez dwa inicjujące semestry szkolenie miało formę stacjonarną. Ten pierwszy rok był dla skoszarowanych kursantów etapem bardzo trudnym. Dla prawie wszystkich, z wyjątkiem Ricka, który zabłysnął już na starcie, po raz kolejny udowadniając, że jest „*brilliant*”, i po raz pierwszy udowadniając, że natura stworzyła go do zawodu, jaki obrał sobie na drogę życiową. Pierwszego dnia został zarejestrowany, ostrzyżony, pouczony, zlokalizowany (sala plus łóżko) i wepchnięty do magazynu po sorty mundurowe. Magazynem rządził pra-pra-prawnuk faceta, którego przodkowie kumpli Korma porwali na wybrzeżu Czarnego Łądu. Miał wagę zapaśnika sumo i srebrne loki wieńczące gigantyczny łeb. Wydał Rickowi mundur, który pachniał krochmalem i naftaliną, oraz bieliznę i buty, później kazał podpisać fakturę i zapamiętać numer szafki z cywilnymi łachami Konna.

- Dziękuję, panie sierżancie - powiedział Rick i rzucił na blat dwudziestodolarowy banknot, jak w szatni luksusowego lokalu.

Murzyn zgłupiał, ale wyciągnął łapę, tylko że uczynił to zbyt wolno, bo Rick przykrył banknot dwoma palcami.

- Co jest?! - zachrypiał sierżant.

- Jest sprawa - odparł Korm.

- Za dwie dychy?

- Właśnie.

- Za dwie dychy mogę się podrapać w dupę, chłopczyku - rzekł Murzyn i lewą dłonią zrobił to.

- Okey - powiedział Rick - bierz szmal. A za ile mi wykablujesz jak tu należy tańczyć?

Murzyn zerknął dookoła, a potem przyjrzał się Kormowi wzrokiem, w którym była sama nieufność.

- O co ci chodzi, gnojku?

- O to na kogo mam uważać, a na kogo nie. Kiedy i gdzie mogę odpocząć, a kiedy i gdzie muszę zapieprzać. Którzy oficerowie się lubią, a którzy toczą między sobą wojnę. I w ogóle jakie triki trzeba opanować, żeby było lekko, a nie ciężko.

- Kto cię tu przysłał, cwaniaczku?

- Towarzysz Andropow, słyszałeś o nim?

- To ten co mieszka w Watykanie i ubiera się na biało?

- Zgadłeś, masz duży iloraz, twoja mama się ucieszy, że jesteś taki mądry.

Murzyn pomyślał, iż pieniądz nie śmierdzi aż tak mocno, żeby trzeba było od razu lać nadzianych bezczelniaków, więc miast przysunąć nowicjuszowi, zadał pytanie:

- Kim ty jesteś, gnoju?

- Murzynem z Leningradu, co, nie widać?

- Że Murzynem to nie bardzo, masz za mało inteligentny dziób.

- Naprawdę?

- Naprawdę. Nie wyglądasz na czarnego.

- To wina moich starych. A właściwie ojca. Zawsze przed pieprzeniem pił mleko z domieszką gipsu, inaczej mu nie stawał.

Sierżant wybuchnął śmiechem, rozejrzał się jeszcze raz i pokiwał głową.

- W porządku! Za stówę opowiem ci regulamin, który my tu nazywamy „bezpieczną dupą kursanta”.

- Za stówę to wartownik zrobi mi fleta i wyczyści buty! Dam połówkę.

- Siedemdziesiątka i ani centa mniej, klnę się na własne dziecko!

- Sześćdziesiąt.

- Zgoda. Od czego zaczniemy?

- Od pana boga, panie sierżancie.

- Pułkownik Tannerson. Fajny gość. Tak naprawdę to ma wszystko w dupalu, ale świetny fachura. Kiedyś był gliniarzem, po killkunastu

latach spławiono go z policji i przyszedł do nas.

- Za co?

- Co: za co?

- Za co go spławiono?

- Za to, że pracując w Wydziale do Zwalczania Narkotyków zwalczał handlarzy narkotyków.

- Aha. Kto jeszcze jest morowy?

- Brown, Tascher, Figueiro i Rotchack. No i pani doktor Dillon, szefowa ambulatorium.

- Można jej zrobić zastrzyk?

Sierżant jeszcze bardziej wypchnął do przodu zabi wzrok i uniósł brwi w przyptywie astronomicznego zdumienia:

- Chłopczyku, czyś ty upadł na głowę?! Pani pułkownik Scarlett Dillon jest podwójną rozwódką, śpi z pułkownikiem Hillem i...

- Dobra, dobra! Są tu jakieś inne baby?

Murzyn głęboko westchnął i podniósł oczy do sufitu.

- Wariat, jak Boga kocham, wariat!... Książd ci nie mówił, żeby trzymać się od bab na odległość, bo w majtkach kobiety siedzi brodaty diabeł?

- Jestem satanistą, staruszk. No więc jak, są tu panienki?

- Są pielęgniarki, ale wszystkie zajęte. Chyba że masz Rasputina, wtedy żadna ci nie odmówi, założę się o drugie sto dolców.

- Mam Casanovę.

- Za cienko i za krótko, to ma każdy. W tej sytuacji musisz zdać się na mojego kumpla, porucznika Quasta.

- To wasz dowódca pedałów?

- To gość, który się byczy w biurze przepustek, a haruje z najlepszymi dziewczynami w Williamsburgu, niedaleko stąd.

- Z kurwami?

- Nie, z zakonnkami! Jak cię wprowadzę do układu, to otrzymasz od Quasta zniżkę i nie będziesz narzekał, masz moje słowo. On zna



więcej dup niż przeciętny sedes.

- Dobrze, ale gdzieś to już słyszałem.
- Ja też, ale jest dobre, więc warto zapamiętać.
- Daleko, na krańcu korytarza, rozległ się odgłos kroków.
- Po resztę przyjdź jak was uspią i weź tę flaszkę - szepnął Murzyn.
- Skąd wiesz, że przywiozłem flaszkę?
- Bo zacząłeś mi wyglądać na Murzyna.
- Powiedz jeszcze tylko, kto tu jest najniebezpieczniejszy?
- Kapitan Hooper, szef szkolenia bojowego i poligonu. Fruwaj!

Nigdy w historii „*Farmy*” CIA żaden nowicjusz nie wszedł tak prędko do „*układu*” jak Rick Korm - zdecydowała o tym jedna butelka szkockiego płynu narodowego opróżniona przez pierwszą noc, którą spędził w Camp Peary. Spędził ją z sierżantem Lewisem, porucznikiem Quastem, porucznikiem O’Shonessym i szefową pielęgniarek, panną Morgan. Pito za jego zdrowie („*Zdrowie pierwszego białego, którego uznałem za czarnucha!*” - ryczał naprany magazynier Lewis) i za wszelkie choroby dla kapitana Hoopera, który rzeczywiście - Rick przekonał się o tym bardzo szybko - dobrym wychowaniem nie grzeszył, uśmiech poczytywał za czynność męczącą, a kursantów i podwładnych traktował jak niewolników.

Pierwsze semestry szkolenia kursant Korm przefrunął niczym orzeł. 2 kwietnia 1982 roku - w rocznicę swego przybycia do Camp Peary - został wezwany „*na dywan*” u głównodowodzącego „*Farmę*”. Sądził, że wykryto któryś z jego numerów związanych z „*układem*” i że będzie opieprzony, lecz pułkownik Tannerson kazał mu spocząć na krześle i powiedział:

- Korm, przed przyjściem do nas zdałeś egzaminy jak nikt od prawików. Pierwsze dwa semestry tutaj zaliczyłeś jak nikt odkąd ja tu rządzę. Masz dużą przyszłość, mój drogi.
- Tak jest, panie pułkowniku! - zgodził się Korm.
- W związku z tym uznaliśmy, że szkoda cię na „*czarnego*” agenta,

więc...

- Przepraszam, panie pułkowniku, a kto to jest agent „czarny”?

- To jest ten typ z filmów o agentach CIA. Ma blond jeża na głowie, wciąż żuje gumę, skacze z helikoptera na samolot w powietrzu i bez przerwy strzela do kogoś albo pieprzy się z Miss Świata. Mamy takich ludzi. Działają bez „przykrycia”, na wariackich papierach i na ryzyko własne, podczas gdy „biały” jest włączony w życie codzienne kraju, do którego pośle go Wuj Sam. Jako sekretarza, konsula, attache lub ambasadora, wszystko to są tak zwani „szpiedzy honorowi”. Na takich typujemy facetów z pierwszorzędną głową. Zacząłbyś od sekretarza i miałbyś otwartą drogę do kariery dyplomatycznej. Myślę, że nie masz nic przeciwko temu?

- Tak jest, panie pułkowniku!

- Istnieje wszakże pewien warunek, Korm. Otóż „biali” na dyplomatycznych placówkach muszą być żonaci.

- Dlaczego, panie pułkowniku?

- Dlatego, że kawalerzy są bardziej podatni na zabiegi przeciwnika używającego kobiet. Bez żon nie wysyłamy do ważnych ośrodków. Posiadasz narzeczoną?

- Nie, panie pułkowniku.

- No to masz dwa lata, chłopcze, na znalezienie, zbajerowanie i zaślubienie jakiejś dzidzi, która będzie ci rodziła małych szpiegów. Dwa lata, Korm!

\*\*\*

Co też nie dewaluuje się w naszych czasach: stare legendy, stare prawdy naukowe, chwała dawnych mandarynów kultury i sztuki (kto dziś czyta Plutarcha i Voltaire’a?), patriotyzm, honor, rycerstwo i dziewictwo, jednorożce i relikwie, nawet lubczyk zastąpiono wibratorami dla pań i panów. Jedna rzecz wszakże, stara jak samo myślenie w kategoriach wyższych niż problemy fizjologii, nie

zdewaluowała się ani o włos - ludzka potrzeba wchłaniania bajek. Dlatego wielka rzeka opowiadań - od Homera i „Pieśni nad pieśniami”, poprzez Szekspira, Balzaca i Faulknera, aż do filmu, komiksu i wideo - wciąż płynie. I dopóki ludzie będą pragnąć opowiadań - tej rzeki nie osuszy nic. Wcale nie dlatego, by miało to coś wspólnego z podsycaniem ludzkich marzeń o lepszym życiu, szczęściu i związkach serc, choć faktycznie ma. Ludziom potrzebne jest, prócz marzeń, odtwarzanie życia za pomocą kamery lub długopisu i druku. Z tego samego powodu, dla którego nasza próżność potrzebuje luster, a nasza ciekawość dziurek od kluczy.

Zjawisko wyżej zaznaczone spowodowało, że profesor Antosiak zrobił na scenie belkowskiej „interny” karierę błyskawiczną. Profesor był teatrologiem i był mocno posunięty w latach, a nadto był człowiekiem bardzo uczuciowym, ale nawet kiedy łzy napływały mu do oczu, to nie mąciły mu ostrości spojrzenia na sprawy ważniejsze, związane z liczbą zer umieszczonych za pierwszą cyfrą w szeregu. Do Belkowa został przeniesiony z III pawilonu więzienia mokotowskiego, gdzie reedukowano najważniejszych krytyków praworządności socjalistycznej. W Belkowie przywitano go bez entuzjazmu - wlokła się za nim opinia antysemita, którym nie był, ale wystarczyło, że swego czasu rzekł zjadliwie o KOR-owcach:

- KOR-owcy chętniej niż komuchów wymieniliby sobie społeczeństwo, to okropne społeczeństwo, w którym nawet tak wielki polityk jak Disraeli nie mógłby sprawować rządów z woli społeczeństwa.

Będąc świeżo upieczonym „Belkowcem” profesor miał świeży wzrok, więc szybko zauważył dwa zjawiska, które go natchnęły: zmęczenie więzionego proletariatu codzienną dawką szkolenia politycznego (prowadzonego przez inteligentów i rozpiętego treściowo między Targowicą a Katyniem oraz Bierutem a Gierkiem i generałem Jaruzelskim), jak również fakt, że każdy dialog inteligentów, na

tematy kulturalne, zwłaszcza literackie, bo głównie o tym dyskutowano - stresuje robotników, gdyż jest to dla nich chińska mowa. Złożył więc robotnikom propozycję: on w błyskawiczny sposób zaznajomi ich z dorobkiem światowej literatury, opowiadając treść najgłośniejszych bestsellerów, oni zaś będą mu płacić papierosami.

Stara więzienna mądrość mówi, że w więzieniu papieros jest ważniejszy od człowieka. W obozach dla internowanych nie było z tym równie źle, co w normalnym „*pierdlu*”, bo matki, siostry, żony i konkubiny dostarczały (przysyłając lub przynosząc na widzenia) górę szlugów, ale ponieważ wielu zapalało papierosa od własnego peta, ten towar zużywał się jak płonące stogi i ciągle go brakowało. Profesorowi Antosiakowi brakowało szczególnie, gdyż jego żona uznała, że winien przestać palić z racji posiadania już tylko szczątkowych fragmentów płuc, i nie dostarczała mu „*tej trucizny*”. To spowodowało u niego tak zwany głód nikotynowy i on był motorem jego inicjatywy gawędziarskiej wobec proletariatu, zaś głód podnoszenia statusu intelektualnego był powodem, że proletariat ten pomysł kupił. Odtąd szkolenia historyczne i polityczne cieszyły się coraz gorszą frekwencją, gdy Antosiakowe streszczenia wielkiej literatury robiły furorę.

Chcąc być w zgodzie z chronologią, zaczął od „*Iliady*”. Słuchaczom bardzo się podobała historia zmagania Greków i Trojańczyków. Co prawda to, że dwa państwa wszczęły wielką wojnę z powodu jednej dziwki było zupełną bzdurą, lecz wzbudziło tylko trochę uśmieszków i słuchano chętnie jak się zakończy ta afera. Do momentu kiedy profesor opowiedział o Koniu Trojańskim - tego było już za wiele. Któryś słuchacz skorzystał z małego antraktu (jaki profesor zrobił, żeby przypalić kolejnego cudzesa) i mruknął:

- Przecież to jest bujda na resorach i do kwadratu, no nie, chłopaki? Chłopaki przytaknęły zgodnym pomrukiem.
- Dlaczego? - zdziwił się opowiadacz.

- No bo, panie profesorze... Te Grecy to musiały być walnięte w czoło, żeby przypuszczać, że te drugie na taki numer dadzą się zrobić!

- Jednak sztuczka się udała - przypomniał profesor.

- No i to jest niemożliwość największa, panie profesorze! Jakim baranem trzeba być, żeby brać takie dziwne rzeczy, które zostawił odchodzący wróg, że nawet dzieciak by skapował, że to jest podpucha! W życiu by czegoś takiego nie zrobili!

- Ale zrobili.

- No to znaczy, że wszystkie nadawały się do świrów!

- Panowie, to jest literatura! Niekoniecznie tak było, jak mówi Homer, lecz Homer to pisarz, a pisarz ma prawo do fikcji literackiej - rzekł Antosiak.

- No to on miał kota, panie profesorze, bo tak nie mogło być za żadną cholerę, jak kocham wolność, no nie, chłopaki?

Profesor próbował jeszcze obronić Homera argumentem bardziej komunikatywnym wobec proletariatu, tak mu się wydawało:

- Krasnoludków też nie ma!

- Ale krasnoludki są dla bachorów, a to jest dla rodziców! Jakby ten facet napisał o facecie w ciąży, to też by pan go bronił, panie profesorze?

Profesor zaciągnął się głęboko i pomyślał, iż w rzeczy samej ci bezmaturalni ludzie mają słuszność, bo nikt przy zdrowych zmysłach nie wpuściłby do bronionego grodu tak dziwnego „prezentu” od nieprzyjaciela, a jeśliby już nawet zdecydował się na to, wówczas przynajmniej sprawdziłby od razu, czy ten łup nie jest puszką Pandory.

Kolejne arcydzieło opowiedziane przez profesora nazywało się „Don Kichot” i tu już słuchacze zaczęli przypuszczać, że cała wielka literatura tej Ziemi jest produktem czubów, albowiem głównymi bohaterami są skończone czuby - tylko świr może atakować wiatrak

rycerską kopią! Dalszy ciąg działalności profesora upewnił robotników, że ich podejrzenie było słuszne - kolejnymi bohaterami pereł światowego pisarstwa okazali się: amerykański kapitan-obłąkany morderca wielorybów i również „walnięty na mózgu” rosyjski student-morderca sędziwych pań, pracujący siekierą.

Sztandarowe dzieła pisarzy takich jak Kafka, Szekspir, Conrad czy Faulkner, oraz niektóre tytuły („*W poszukiwaniu straconego czasu*”, „*Orland Szalony*”, „*Idiota*”, „*Szałeństwo Almayera*”, „*Cierpienia młodego Wertera*”) - miażdżąco potwierdziły tezę, która zrodziła się w głowach robotników. Zawinił tu oczywiście wybór, jakiego dokonał profesor, bo gdyby wymienił na papierosy zestaw od „*Eneidy*” do „*Huckleberry Finna*”, to robotnicy uznaliby większość literatów za piewców wędrówek szlakami wodnymi, a gdyby skupił się na *Lady Macbeth*, *Annie Kareninie* i *pani Bovary* - mieliby pewność, że wielka literatura polega na analizowaniu babskich problemów z okresem, który rzuca się na mózg. A tak zrozumieli, że chodzi o świrów rodzaju męskiego, których uwznioślają piórem pisarze ześwirowani do sześcianu. Lecz to nie odebrało im chęci słuchania. Przeciwnie - dowartościować się w jakiś sposób każdy lubi, zaś nie ma sposobu lepszego jak odkrywczą konstatację, iż bogowie posiadają ludzkie wymiary i szajba odbija im niczym normalnemu chłopu po obaleniu kilku flaszek.

Krew zalewała inteligentów, gdy patrzyli na grono ciasno otaczające profesora Antosiaka. Profesor nie wiedział (nie wiedział o tym nikt), że najgorliwszy jego słuchacz siedzi sobie w kącie i udaje kompletny brak zainteresowania wielką literaturą. Tym chłonącym każde słowo profesora (jak również każde słowo innych prelegentów) był Zenon Tolik.

\*\*\*

Majowe słońce przypominało jej wrześniowe słońce 1944. Napę-

niała benzyną butelki do bicia czołgów. Seria ze szmajsera rozbiła butelkę, płyn eksplodował, ubranie zaczęło się palić. Owinięto ją w koc i zduszono płomień, ale skóra na rękach i plecach przestała być gładką skórą, a słońce stało się wrogiem każdego dnia, bo bandaże się rozgrzewały i wówczas wszystko bolało ją potrójnie.

Potrójnie bolało ją i w czterdziestym ósmym, gdy była bita na przesłuchaniach. Jej spalone plecy wyły przy każdym uderzeniu, ale to one uchroniły ją przed załamaniem, bo najpierw mdlała bardzo szybko, a potem, gdy przesłuchujący ujrzeni ten strup i dowiedzieli się jak powstał, zrobiło im się głupio i ktoś zakazał ją bić. Zmartwiło to majora Łyżwę - ten najchętniej tłukł. Po nim przyszedł kapitan Niezabitowski, który rzadziej lał, a częściej „*podrywał*” ją, małpując galanterię sanacyjnego oficera. Był jeszcze trzeci, Rosjanin z NKWD, zawsze uśmiechnięty, starannie uczesany i odprasowany, z luksusową cygaretką w ręku. Mówił do niej:

— Nu szto, kniahinia? Nada gawarit'!... My was znajem, kniahinia, wy z giercogow Woroncowych-Daszkowych. Samoje balszoje oficyery, friejliny i pridwornyje jewo impieratorskowo wielicziestwa! Gienierał namiestnik Kaukaza, Ilarion Iwanowicz Woroncowa-Daszkow, eto był nastajaszczij kontrrewolucjonist, job jewo materi, no on był toże ruskij czelowiek i wam dałżno nie zabywat' a tom, patamu szto zdies' Rossija budiet' uprawliat'! Wy eto panimajecie, kniahinia?

Prawdziwa wieża Babel - strażnikami były zabójcy z francuskiej partii komunistów, gorsi od UB i Gestapo.

Nie lubiła wracać pamięcią do tych chwil. Lecz gdy przypadkiem znalazła w jakimś periodyku tekst podpisany przez córkę kapitana Niezabitowskiego, przypomniała sobie pajaca, który to dręczył, to próbował uwodzicielsko czarować „*zapłutą karlicę reakcji*” - i pamięć podziałała na wspomnienia jak wywoływacz na światłoczuły papier.

Gong u drzwi wyrwał ją z tych koszmarów. Spytała:

- Kto tam?

- Swój - odparł nieznajomy głos.

W progu stał mężczyzna, którego twarz przypominała jej kogoś, ale tym razem pamięć nie dała rady, póki nie rzekł:

- Nazywam się Ludwik Drozd.

- Ach, więc to pan jest bratankiem Ola! Olo często mi o panu mówił!

Dopiero w tym momencie szarpnął nią niepokój:

- Czy coś mu się stało?...

- Nic mu się nie stało.

- Mówi pan prawdę?

- Czasami. Proszę być spokojną, stryj jest cały i zdrowy i wygłosi piękne oracje na pogrzebach moich wnuków. Przychodzę w sprawie, która jego nie dotyczy, chociaż z jego ust się o niej dowiedziałem. Napomknął mi, że pewna dziewczyna choruje w Paryżu...

- To córka mojej koleżanki... Jest dziennikarką, wybiegła w nocy z jakiegoś przyjęcia, padał śnieg, być może poślizgnęła się na ulicy i wpadła pod samochód. Francuska żandarmeria twierdzi, że musiała być pijana, ja w to nie wierzę. Poskładano ją, lecz paraliż został... Koleżanka ma siostrę we Francji, ale siostry nie stać na kosztowne leczenie...

- Ja właśnie w tej sprawie, pani Danuto. Mogę załatwić koszty leczenia.

- Pan, panie Ludwiku?

- Jako pośrednik. Olo pewnie pani powiedział, że jestem adwokatem?

- Tak, proszę pana.

- Swego czasu prowadziłem pewnemu Francuzowi bardzo trudną sprawę spadkową, u nas, w kraju, i wygrałem ją. Ten Francuz był wtedy bez grosza, a dziś jest prezesem wielkiej fundacji charytatywnej. Pomoc dla trzeciego świata, stypendia, szpitale, leczenie



biedaków, te rzeczy. Jeśli go o to poproszę, fundacja zajmie się dziewczyną

- Panie Ludwiku, to cudowne, co pan mówi, ale... Ja szczegółów nie znam, wiem tylko, że tam potrzebne są operacje za dziesiątki tysięcy dolarów.

- Dla tej fundacji to drobnostka, pani Danuto. Oczywiście nie pomagają wszystkim, bo sam Pan Bóg nie mógłby pomóc wszystkim, pewnie dlatego zrezygnował i nie pomaga nikomu, żeby była sprawiedliwość, lecz ta dziewczyna będzie miała ziemską protekcję.

- Dlaczego pan chce to zrobić?

- Dlatego, że stryj mi powiedział, iż pani się tym bardzo przejmuje, a kiedy pani się czymś przejmuje, to on się martwi. Ja zaś nie chcę, żeby się martwił, to źle na niego wpływa. Proszę mi dać adres szpitala i nazwisko chorej.

- Nie znam adresu.

- Więc proszę zadzwonić do koleżanki.

Gdy już miał nazwisko i adres, spytała go:

- Czy pan jest pewien, panie Ludwiku, że ten pański znajomy?...

- To człowiek honoru, pani Danuto. Ludzie honoru mają to do siebie, że płacą swoje długi, dlatego ja mam pewność, że on zrobi to dla mnie.

- Bóg to panu wynagrodzi, młody człowieku - szepnęła, powstrzymując łzy.

- Wątpię, ale dziękuję za dobre życzenia. A ponieważ niczego nie robię darmo, liczę, że pani mnie wynagrodzi.

- W jaki sposób?

- Musi mi pani dać słowo, że mój stryj o niczym się nie dowie.

- Jak to o niczym?

- O tym, że tu byłem i że rozmawiałem z panią na ten temat. Proszę mu powiedzieć o dobrotliwej francuskiej fundacji, lecz o mnie ani mru-mru! Albo mi pani to obieca, albo się wycofuję!

- Dlaczego chce pan to przed nim ukryć?

- Żeby zachował cnotę, którą jest skromność. W końcu nosimy w żyłach tę samą krew, więc mógłby pomyśleć, iż to ona pchnęła mnie do dobrego uczynku. Dziękuję pani, nisko się kłaniam.

Nigdy nie całował kobiet w dłoń, witał się i zegnał po angielsku. Lecz gdy wyciągnęła ku niemu rękę, ucałował jej dłoń po polsku i odszedł, czując na wargach coś dziwnego, jak wspomnienie rzeczy, które się tylko przyśniły - jakiś czarodziejski prąd o smaku starego szlachetnego wina.

\*\*\*

Od prawie trzech lat, aż do końca roku 1981, przywódca Polski zbuntowanej, Lech Wałęsa, nie miał jednego dnia urlopu, tylko czasami udawało mu się wyskoczyć na parę godzin z wędką, by pozabawić złudzeń kilka ryb. W komunistycznej Polsce prawo każdego obywatela do urlopu było jednym z fundamentalnych praw, więc zatroskane władze postanowiły w końcu wysłać przepracowanego lidera „Solidarności” na urlop. Wybrały mu prawdziwy raj - Arłamów (30 km od miasta Przemyśl), „gdzie woda czysta, a trawa zielona”. Jest tam najzdrowszy ze zdrowych klimatów, powietrze krystaliczne, lasy nieskażone, cudowny teren do polowań i pieszych wędrówek - tak nie spaprana natura znajduje się jedynie w tych rezerwach przyrodniczych, których wciąż nie zżarł kwaśny deszcz o żółtym, czerwonym lub niebieskim kolorze. Do tego Arłamów posiadał jeszcze jeden walor - leży w odległości siedmiuset kilometrów od morza czyli od Gdańska, nie mówiąc już, że sześćset czternaście metrów nad poziomem morza i w głuszy, więc każdy gdański kompan Lecha W., gdyby chciał tam dotrzeć, miałby dużą trudność.

Generał Jaruzelski osobiście zadbał, by internowanemu numer jeden nie brakowało ulubionej strawy intelektualnej (tą były gazetowe krzyżówki), natomiast z dwóch ulubionych potraw cielesnych

więźnia pruderyjny szef WRON-u zapewnił mu tylko drugą - dobrą michę. Ta pierwsza oraz wolność w grę nie wchodziły, ale poza tym starano się uprzedzać każde życzenie internowanego. Kiedy więc zażądał kontaktu z duchownym, spełniono prośbę błyskawicznie.

Duchowny, który wszedł do pokoju Lecha, wyglądał jak z filmu zrobionego na bazie sienkiewiczowskich romansów. Nosił brązowy habit, głowę otulał mu długi spiczasty kaptur, spod kaptura wystawała imponująca broda. Więzień, który akurat zgadywał leżąc, jaki to poziomy sześcioliterowy wyraz na literę „k” zaszyfrowano hasłem: „*Ściepka w dobroczynnym celu*”, zerwał się i wykrzyknął:

- Niech będzie pochwalony!

- Na wieki wieków, amen! - rozbrzmiał głos spod kaptura.

„Gospodarz” cmoknął krucyfiks, który dyndał gościowi u habitu, po czym siedli przy stole i zaczęli dialog.

- Ksiądz jest księdzem czy zakonnikiem? - spytał Wałęsa.

- I jednym i drugim, synu. Jestem kapucynem.

- Kapucynem?

- Tak. Czyżbyś widział kapucyna po raz pierwszy?

- Po raz pierwszy, proszę księdza.

- Należę do zakonu Braci Mniejszych Kapucynów, który się wyodrębnił z franciszkanów w siedemnastym wieku. Król Jan III, triumfator spod Wiednia, sprowadził nas do Krakowa i Warszawy. Ja pracuję w prowincji krakowskiej.

- A w Gdańsku was nie ma?

- Nie, synu. Mamy tylko dwie prowincje, warszawską i krakowską. Ale Jezusa Chrystusa wszędzie mamy takiego samego, czy to w Gdańsku, czy tu w Arłamowie. Pragnąłeś się widzieć z duchownym...

- Tak, proszę księdza.

- Mniemam, że chodzi o spowiedź, o wyznanie grzechów.

- Nie narobiłem grzechów od ostatniej spowiedzi, proszę księdza.

Jak tu grzeszyć samotnie, a do tego za kratą?

- I myślą się grzeszy, czasem bardziej niż uczynkiem.

- Proszę księdza, myślą to ja tu sobie łeb łamię nad tym, co oznacza hasło: „Ściepka w dobroczynnym celu”!

- Hasło? O czym ty mówisz?

- O krzyżówce. Mam tu poziomo taki wyraz na sześć liter, pierwsza „k”. „Ściepka w dobroczynnym celu”. Nie wie ksiądz?

- Nie wiem nawet co znaczy ta „ściepka”.

- Ksiądz nigdy nie słyszał tego wyrazu?

- Nigdy.

Wałęsa zdumiał się i spojrzał na księdza jak na dziwaka. Po chwili mruknął:

- Cóż, pewnie ksiądz rzadko wychodzi z klasztoru, a tam mówicie tylko językiem Pisma Świętego... To jest taki wyraz, no... gwarowy. „Ściepka” to taka zbiórka albo składka, jak się zrzuca kilku facetów.

- Zbiórka na „k” w celu dobroczynnym?

- No.

- To chyba będzie kwesta.

Miłośnik krzyżówek rzucił się do gazety, sprawdził i krzyknął:

- Trafiony-zatopiony! K-w-e-s-t-a! Tak jest! Dziękuję ksiądz!

- Wróćmy, synu, do spowiedzi.

- Mówiłem, że nie mam z czego.

- Mówiłeś, że ostatnio nie masz z czego. Ale prawdziwy chrześcijanin winien od czasu do czasu zrobić rachunek sumienia za minione miesiące, a nawet lata, synu. Taki zbiorczy.

- Prawdziwy chrześcijanin, mówi ksiądz?... I zbiorczy?

- Właśnie.

Wałęsa rzucił gazetę na łóżko i przysunąwszy taboret bliżej kapucyna, usiadł tak, że nieomal dotykał kolanami habitu.

- No dobra, niech będzie zbiorczy. Jestem prawdziwym polskim chrześcijaninem. W poniedziałek katuję żonę, we wtorek ją zdradzam, w środę przegrywam meble w karty, w czwartek wyrzucam z

domu dzieci, w piątek chlam na umór, w sobotę zabijam teściową, a w niedzielę idę do kościoła dać księdzu Jankowskiemu na tacę.

- Czy wezwałeś mnie tylko po to, żeby sobie dworować, synu? - spytał zakonnik. - Wiem, że jesteś dobrym chrześcijaninem i dobrym patriotą, ale i najlepszym synom ojczyzny zdarzają się błędy, z których spowiedź oczyszcza...

- Powiem coś księdzu - przerwał mu Lech. - Jestem patriotą, proszę księdza, życzę mojej ojczyźnie jak najlepiej i bolą mnie wszystkie błędy, jakie popełnili jej synowie, zwłaszcza jeden błąd. Jakbyśmy wydali Jadwigę nie za Litwina, tylko za wielkiego mistrza Krzyżaków, to teraz na Żeraniu firma Mercedes robiłaby najlepsze na świecie samochody i byłby z tego duży szmal, a ja nie musiałbym się martwić o te naszom Polskie i siedzieć tu!

Mnich pokiwał głową.

- Jeśli już sięgnąłeś do historii... Nie ten błąd naszych przodków zaszkodził ojczyźnie, nie wpuszczenie do domu jednego Litwina, tylko o wiele gorsza lekkomyślność, synu. Ta, iż żydostwo, które każdy na świecie gnał precz, wpuścili, a później uprawnili, i wreszcie pozwolili mu rządzić wszystkim, ludzką pracą, kulturą, sztuką, pieniądzem i sejmem, wszystkim dookoła nas. I dalej żydowskie plemię robi z Polską to samo, mój synu. To dzięki nim mamy te kłopoty, które mamy. Hodujemy Judaszów na piersi własnej...

- Wolnego, księżu dobrodzieju! - zazgrzytał Wałęsa. - Ja też jestem Żyd!

- Ty jesteś Żydem? - zdumiał się kapucyn.

- A jak!

- Żarty sobie stroisz, synu...

- Nie! Kiedy mnie jakiś esbecki prowok ustawia przeciw Żydom, to ja zaraz robię się czysty Żyd! Mam zdjąć spodnie i pokazać księdzu kapucyna? A może ksiądz to woli...

Poderwał habit wraz z zawartością, odwrócił i kopnął w tyłek, a później z taką siłą uderzył nim o drzwi, że wyleciały z zawiasów i runęły wraz z mnichem na podłogę korytarza. I zajął się krzyżówką w miejscu, gdzie od przedostatniej litery słowa „kwesta” trzeba było wpisać pionowe słowo na literę „t”, słowo cholernie trudne, bo hasło („*Pół Szekspira i pół Moliera w jednym słowie*”) wymieniało dwóch facetów, którzy obili mu się niegdyś o słuch, tylko nie pamiętał jaką dziedzinę ci dwaj reprezentują. Miał już kilka liter w środku (drugą - „r”, czwartą - „g”, szóstą - „k”, siódmą - „o”, ósmą - „m” i dwunastą czyli ostatnią - „a”), lecz nie znał pozostałych i to go przyprawiało o tragikomiczny gniew.

\*\*\*

Tak jak kosmos jest metaforą wieczności, pustynia metaforą ciszy, a skórka od banana metaforą pecha - tak lustro jest metaforą „*alter ego*” dla tych, którzy stojąc przed lustrem toczą ze sobą dialogi. Ludwik Drozd („*Bankier*”) należał do takich typów odkąd zaczęła go dręczyć podwójna osobowość. Sprawił to pewien mądrała, którego Drozd znał bardzo dobrze, gdyż codziennie musiał go ogolić. Ten gość, spotykany co rano, niemowa przez tyle lat, nagle powiedział mu:

- Jesteś obojnakiem, „*Bankier*”! Jesteś jak doktor Jekyll i mister Hyde, zgadnij, który z nas jest kanalią?

Kryminalistą czyli kanalią był on, „*Bankier*”, a facet w lustrze reklamował się jako ten czysty. Drozd chętnie dałby mu po ryju, lecz szkoda było lustra. A że z zamkniętymi oczami nie umiał golić tamtego, więc musiał patrzeć mu w twarz i wytrzymywać ten oskarżycielski wzrok. Trwało to już cztery tygodnie.

Drozd stał się małym kryminalistą z pobudek materialnych, ale dużym gangsterem został z innego powodu. Zdecydował się na to wtedy, kiedy zrozumiał absurdalność świata, gdy pojął, że wszystko

wokół jest komiczne, nudne, żalodne i szybko przemijające, w sumie okrutne, zwłaszcza dla frajerów, bo życie, jak czołg, miażdży tych, którzy kładą mu się na drodze niczym ropucha podczas godów. Im dłużej żył, tym bardziej utwierdzał się w przekonaniu, że nad nikim nie trzeba się litować, gdyż „*homines sapiens*” to stado głupich, kłamliwych, nadętych i dziedzinniałych facetów, oraz nachalnych, seksualnie nienasyconych, cynicznych i pustych bab. Wśród nich gatunkiem sięgającym po zwycięstwo był „*homo faber*” - człowiek zapobiegliwy - więc Drozd przystał do tych osobników. I szybko spostrzegł, że ludzie leżący na pieniądzech też mają w duszy ponuro, zwłaszcza jeśli w głowie nie mają pusto.

Sztuka życia byłaby dla takich mądrych i majątnych ludzi bardzo łatwa, gdyby nie ten podwójny kłopot, że - tak jak biedacy - zakochiwali się w kurwach, a gówniarzy obdarzali mianem przyjaciół. Najlepszy był więc status bogatego idioty, dla niego wszakże niedostępny, bo o ile bogactwo było do zdobycia, to inteligencja była nie do wyrugowania, jeśli już się ją miało. „*Bankier*” był skazany na rozdwojoną jaźń, czyli na cierpienie.

Dość długo się przed tym bronił. Bronił osobnika zwanego „*homo faber*” przed osobnikiem zwanym „*homo duplex*” czyli przed człowiekiem podwójnym. Jakkolwiek bowiem rozdwojony był już od dawna, ale było to rozdwojenie czysto teatralne ergo zewnętrzne, i polegało na graniu dwóch ról: w środowisku przestępczym grał herszta, zaś w rodzinnym i w towarzyskim pana mecenasa. Z obu ról czerpał przyjemność, gdyż ta gra miała smak hazardu, a podwójna moralność (o czym wiedział dobrze) należała do sztuk uświęconych wielkimi nazwiskami, choćby Voltaire'a, który wylądował w podręczniku jako „*ojciec tolerancji*”, mimo że był antysemitą. I nawet gdy Ludwik dowiedział się, że cały jego kryminalny świat to ogródek MSW, sumienie mu nie drgnęło. Dopiero gdy zaświtała mu myśl, iż winien pomóc starej damie, facet golony przezeń każdego

ranka zaczął z nim dialog pt. „*Doktor Jekyll i mister Hyde*”, przyprowadzając Ludwika o stres.

Zwrócił się do Heldbauma. Nie chciał ukrywać przed nim żadnego szczegółu swojej charytatywnej inicjatywy, wiedząc, iż prędzej czy później „*Petro*” pozna każdy szczegół. Heldbaum się zdziwił:

- Ciebie nie posądzałem o to! Twój poprzednik bawił się w Robina Hooda uprawiając zwariowaną filantropię, ale ty należysz do zimnych zawodowców!

- Nie zamierzam kopiować jego szaleństw filantropijnych. To sprawa wyjątkowa, właściwie rodzinna - odparł Drozd.

- Ja nie jestem tego taki pewny. Myślę, że to syndrom zmiany statusu. Teraz jesteś królem, a monarchowie lubią się popisywać szczodrością wobec maluczkich. To jest w ogóle problem bardzo ciekawy, zauważ: kiedyś monarchowie bawili się w dzikie bestie, lecz narody ucywilizowały ich siłą, i teraz są potulni, dobrze wychowani, nie piją krwi i bawią się w filantropów, a zbrodnie władzy można znaleźć już tylko w demokratycznych dyktaturach.

Pułkownik mówił z drwiącym uśmieszkiem i Ludwik nie wiedział czemu służy to kpiarstwo.

- Powiadasz: sprawa rodzinna. Wzruszyłeś mnie tym. Tak, „*Bankier*”, wzruszyłeś mnie tym! Nie ma nic piękniejszego jak rodzinna solidarność. Coś ci powiem: w przyszłości za największą tragedię naszego wieku badacze uznają nie kolonializm, komunizm, faszyzm czy imperializm, nie Hiroshimę czy Shoah, nie klęski ekologiczne czy jakiegokolwiek inne, lecz zamordowanie, przez komunizm i kapitalizm po równo, tradycyjnej rodziny. To największa tragedia tego stulecia, „*Bankier*”. Dlatego kiedy widzę, że ktoś przejawia jeszcze instynkt rodzinny, ulegam wzruszeniu. To piękne, to naprawdę szlachetne i piękne! I do tego chodzi o czyjegoś dzieciaka. To jeszcze piękniejsze! Cierpienia dorosłych są zawinione i zadawane przez dorosłych, litować się można tylko nad dziećmi. Za



każdym razem, kiedy cierpi małe dziecko, umiera cały świat i każdy z bogów. Wiesz ile razy dziennie umiera ten świat?... A propos: w jakim wieku jest chora dziewczynka?

- Pełnoletnim.

- No właśnie, to wstrusające jak mało co. Można się zesrać ze wstruszenia, zwłaszcza że w ogóle nie znasz tej dziewczyny, tamtą kobietę znasz ledwo-ledwo, a chcesz w ten interes wpakować kilkadziesiąt tysięcy własnych dołców! Znam facetów, którzy kupili sobie rodzinę trochę taniej.

- Robię to dla mojego stryja - rzekł Drozd. - On nie jest kupiony, jest rodzonym bratem mojego starego, szefie.

- Robisz to dla dziewczyny, która jest córką koleżanki pewnej pani, która jest znajomą twego rodzzonego stryja. Są to najściślejsze rodzinne więzy o jakich słyszałem w moim życiu, „Bankier”. Ale to twoja prywatna sprawa. Ja tylko nie rozumiem jednego: czemu przychodzisz z tym do mnie?

- Bo mamy stan wojenny i władze nikomu nie dają prawa wyjazdu, więc tym bardziej nie dadzą prawa wywozu takiej sumy, a ja chcę z tą forszą jechać do Paryża. Dygnitarz MSW może to załatwić od ręki, dlatego proszę o pomoc.

Heldbaum wziął papierosa, przypalił i ćmił delikatnie, w milczeniu, mając ściągnięte brwi - rozważał. Gdy papieros zmniejszył się o połowę, Heldbaum zgasił go.

- W porządku. Nie musisz brać tych pieniędzy. Nad Sekwaną zgłosisz się do pracownika ambasady ZSRR, on ci wypłaci ile trzeba. Będzie trzeba setkę, to setkę.

- A ja tutaj oddam ze swoich - domyślił się Drozd.

- Nie, powiedzmy, że to jest moja premia dla ciebie za ostatni rok, „Bankier”, bo kierujesz firmą w doskonały sposób. Otrzymasz na ten wyjazd legitymację służbową SB. Ale nie polecisz bezpośrednio. Najpierw pojedziesz do wschodniego Berlina i wręczysz drobną

przesyłkę mojemu kumpłowi...

Otworzył biurko, wyjął foliowy woreczek pełen białego pudru i rzucił na blat.

- Co to jest? - spytał Drozd.

- To jest dziewczę, które nosi ksywkę „panna A.". W odróżnieniu od tamtej panny, którą ty chcesz się zająć, „Bankier", ta panna może dać nam zyski, przy jakich całe twoje królestwo jest warte funta kłaków

\*\*\*

Ze służby w wojsku Tolik pamiętał sierżanta, który - gdy odlewali się na komendę podczas terenowych ćwiczeń - zwykł by powtarzać z dumą swój rozporkowy wierszyk:

- Choćbyś strząsał trzy tygodnie, zawsze kropla spadnie w spodnie!

Spadała nie tyle w spodnie, ile w gacie, czym podczas służby wojskowej się nie przejmował, lecz gdy wrócił do cywila, zmieniał gacie cotygodniowo, bo cuchnęły. Dopiero w Belkowie spostrzegł, że inteligenci robią to codziennie, a zawstydzeni proletariusze szybko uczą się tego nawyku. Wymagał on wprowadzić ciągłego prania gaci, lecz było to lepsze niż kompromitacja. Przyzwyczał się do owych przepierek i po chóralnym „*Kiedy ranne wstają zorze*" (bez jego udziału) pierwszy uruchamiał „*pralkę ręczną*".

Od tych zażółconych slipów rozpoczął swą edukację - one go natchnęły (co dowodzi, że nie tylko miłość, sztuka, naga kobieta i piękno krajobrazu mogą być źródłem natchnienia). Natchnęły go do rozwoju kulturowego i erudycyjnego. Zrozumiał, że czasu pod całą nie warto marnować, gdy można go wykorzystać w użyteczny sposób. Odtąd pilnie słuchał każdego wykładu: i szkoleń patriotycznych, i opowiadań profesora Antosiaka, zapamiętując, co się dało, a że jako cinkciarz miał pamięć pierwszej klasy, dało się dużo - zapamiętywał więcej niż słuchacze wpatrzeni w prelegentów.

Wciąż był niedostępny dla reszty towarzystwa. Filowano na niego

ze złością lub z szacunkiem, lecz nikt już nie próbował przełamywać muru, którym „pan Zenon” się otoczył. Nawet księża wizytujący Belkowo regularnie, by spowiadać, odprawiać mszę świętą i wносить oraz wynosić furę grypsów, szybko przestali się temu posągowi narzucać. Było jeszcze coś, co go wyróżniało spośród reszty - tylko on nie dostawał paczek, a gdy był dzień wizyt i zjeżdżały się takie tłumy bab (żon, matek, córek, sióstr i konkubin), że swego czasu harem padyszacha wyglądałby przy tym jak koło wiejskich gospodyń w wiosce liczącej kilka dymów - tylko do niego nie przyjeżdżała kobieta. Bez niego pito przemycony alkohol i „małą czarną” (którą proletariat polubił, w mniemaniu, że ten napój nobilituje), bez niego grano w brydża (to inteligenci) i w „oko”, „tysiąca” lub pokera (to robotnicy), bez niego wreszcie redagowano na łamach szkolnych zeszytów gazetkę obozową „Inter-Time”.

Niezapomnianym wydaniem „Inter-Time’u” było wydanie triumfalne. Triumf polegał na tym, że w końcu udało się komuś zwać z Belkowa. O tej ucieczce marzono bez przerwy, była obsesją, nadzieją, cudowną chimerą i wiecznym tematem rozmów, gdyż honorowym obowiązkiem każdego zapuszkowanego (także więźniów politycznych) jest zwać lub przynajmniej próbować zwać. Planowano różne sposoby, od buntu do podkopu (gdy ktoś przypomniał film „Wielka ucieczka” ze Stevem Mc Queenem), ale jakoś nic z tego nie wychodziło. I nagle niczym grom spadła na obóz wiadomość: dwaj „Belkowcy” urwali się w miasteczku! Tych dwóch zawieziono do szpitala, a oni myk przez okno i tyle ich widziano. Konwojenci dostali szału, strażnicy wpadli w gniew, dyrektor w furję, a więźniowie w euforię - odśpiewano kilka hymnów i jeszcze tego samego wieczora wyszedł „Inter-Time” z apologią brawurowej ucieczki. Natomiast o piątej rano miała miejsce niezwykła pobudka - cały Belków został zbudzony kanonadą wrzasków i kopniaków wymierzanych w bramę wejściową przez kogoś, kto się domagał,

żeby natychmiast mu otworzyć. Byli to dwaj „bohaterowie”, którzy prysnęli ze szpitala do knajpy, aby wychylić po maluchu, później odwiedzili melinę i wreszcie zaczęli się „do domu”, by odespać i odkacować. To zaś spowodowało, że ich koledzy-katorżnicy dostali ciężkiego kaca i o żadnej ucieczce już nie mówiono.

Tolik jako jedyny nie wiwatował, nie podskakiwał, nie ścisnął, nie robił „niedźwiedzi” i nie śpiewał patriotycznych hymnów, gdy przyszła wiadomość o ucieczce. Kiedy więc ranne zorze wstały od walenia napranych „uciekierów” w bramę wejściową - tylko on jeden nie czuł się jak przysłowiowy kretyn obudzony z ręką w nocniku. Jeszcze raz nic nie robiąc, zwiększył szacunek współwięźniów do „pana Zenona”. Już mówiłem: nie robienie niczego bywa czasem genialną metodą na laur. Być może starożytni, gdy wykuwali mądrość: „milczenie jest złotem”, mieli na myśli nie tylko zachowywanie sekretów i wstrzemięźliwość w przysięgach.

Ucząc się od „jajogłowych” z uniwersyteckim wykształceniem, „Góral” ani na moment nie tracił poczucia wyższości - tego samego poczucia wyższości, które ferajna zawsze demonstrowała wobec frajerów. Tyle tylko, że on go tu nie demonstrował. Był uczniem, ale równie dobrze mógłby być belfrem. Mógłby podszkolić całe to towarzystwo, dając im wykład z kilku życiowych przedmiotów. Nie tylko inteligentom, robotom też. Nawet w tym, w czym uważali się za mistrzów - choćby w tłuczeniu karcieć. Gdy patrzył, jak robole grają w pokera, strugając zawodowców, z ledwością powstrzymywał śmiech. Gdy słuchał, jak inteligenciaki wychwalają swoje święte kobiety, głaszcząc ich fotografie w ramach nostalgicznych wspominków - nie wierzył własnym uszom. „Palanty - myślał - tyle was nauczono w budach wyższych, a niczego nie nauczyło was życie?”. Nie rozumiał (lub może tylko zapomniał o tym), że ludzie notorycznie samych siebie oszukują, malując świat po swojemu, czy też patrząc na wszystko przez własne okulary, aby życie było łatwiejsze do

skonsumowania.

Sam oszukiwał się tylko w jednym: że nie potrzebuje papierosów. Trwało to już bardzo długo. Ale jego wytrzymałość powoli się kończyła...

\*\*\*

W latach trzydziestych naszego wieku farmaceuci amerykańscy dokonali kolejnego odkrycia: wzbogacili grupę leków stymulujących o nowy specyfik, który skutecznym działaniem bił na głowę inne lekarstwa tego rodzaju. Był to biały, krystaliczny, bezzapachowy i łatwo rozpuszczalny w wodzie proszek o smaku lekko gorzkawym, cudownie likwidujący depresję, neurastenię, wszelakie wyczerpania, podciśnienia itp., tudzież otyłość, bo zwiększał przemianę materii, a zmniejszał łakomstwo żarłoków. Podczas drugiej wojny światowej, gdy piloci US Air Force prawie nie wysiadali z maszyn, bombardując wszystko, co należało do Hitlera, dawano im ten lek jako środek przeciw zmęczeniu i jego działanie było znakomite. Tak znakomite, że piloci wpadali w nałóg. Wówczas przyjrano się specyfikowi dokładniej i stwierdzono, że jest to cholernie silny środek o działaniu euforycznym, czyli narkotyk, uzależniający sprawniej niż morfina, kokaina i opium, gdyż tolerancja organizmu na to cudo rozwija się z prędkością światła, więc narkoman musi brać dawki coraz większe, czego efektem są kolejno: gonitwa myśli, drgawki, bezsenność, niemiarowość pracy serca, toksykomania, ciężka charakteropatia oraz psychozy o typie paranoidalnym. Światowa Organizacja Zdrowia (WHO) wpisała lek na międzynarodową tzw. żółtą listę farmaceutyków znajdujących się pod ścisłą kontrolą, a prywatny obrót nim uznano we wszystkich cywilizowanych krajach za przestępstwo zbrodnicze. Miał trzy nazwy: psychedryna, benzidrina i amfetamina. Dwie pierwsze były często używane przez lekarzy; narkomani i żurnaliści upodobali sobie tę ostatnią. W

slangu ów biały proszek - najtrudniejszy do wyprodukowania ze wszystkich narkotyków - nosił ksywkę: „panna A.”.

Ludwik Drozd przywiózł plastikowy woreczek z „panną A.” do Berlina Wschodniego i odwiedził tam człowieka, którego miał odwiedzić. Ten człowiek, liczący sobie niespełna pół wieku Alexander Schalck Golodkowski, był jedną z najciekawszych figur w całym „obozie realnego socjalizmu”, a dla paladynów rządzących NRD był skarbem wprost nie do przecenienia. Większość bowiem ze stu kilkudziesięciu państw funkcjonujących na globie nie uznawała NRD jako państwa w sensie prawnym, przez co NRD miała ciągły kompleks międzynarodowego banity, wyrzutka i outsidera. Leczyła ten swój kompleks przy pomocy zastrzyków i pigulek pakowanych w pośladki i gardła enerdowskich sportowców: faszerowane chemią brojlery targały worki złota z każdej olimpiady i z każdych mistrzostw, dzięki czemu nazwa supermocarstwa sportowego figurowała w światowych mediach przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Gorzej było z handlem międzynarodowym i z dyplomacją. A byłoby jeszcze gorzej, gdyby nie pułkownik enerdowskiej służby bezpieczeństwa, sekretarz stanu w Ministerstwie Handlu Zagranicznego i Wewnętrznego, Alexander Schalck-Golodkowski. Ten urodzony biznesman, kanciarz i negocjator miał tyle zadziwiających dojsć, „układów” i kontaktów handlowych oraz politycznych na całej planecie, że mogłoby się wydawać, iż jest członkiem jakiejś masonerii XX wieku, operującej ponadnarodową siecią sekretnych łączy, tajemną władzą i komunikacją, niczym Kościół lub arystokracja herbowa. W każdym razie potrafił załatwić wszystko, sprowadzić wszystko, wypełnić każde zlecenie swoich szefów. Brał udział w najdelikatniejszych rokowaniach i najmistemiejszych grach giełdowych, obracał miliardami franków, jenów i marek, a w czerwcu A. D. 1982 - gdy pułkownik Heldbaum wysłał do niego „Bankiera” z tajną misją - organizował już (na

polecenie szefa Ministerstwa Bezpieczeństwa Państwowego NRD, Ericha Mielke) poród wielkiej firmy handlowej „Komerzielle Koordinierung”, by usprawnić dojenie zachodniego świata.

Polskie Ministerstwo Spraw Wewnętrznych nie czuło się skrępowane swą nazwą i od dawna już czerpało wielkie dochody z przestępstw stricte kryminalnych także zewnętrznych, poza granicami kraju, tworząc w różnych państwach lewe (maskujące) firmy, i posuwając się nawet do działalności bandyckiej (napady na zachodnich jubilerów, kolekcjonerów, etc.). Tę ostatnią działalność Heldbaum uważał za nonsens, a że nie był w tym odosobniony, z napadów w końcu zrezygnowano i przestawiono się na bezpieczniejsze formy zarabiania, takie jak przemyt samochodów do Polski (i via Polska do ZSRR), oraz przemyt z ZSRR i z Polski na Zachód dzieł sztuki oraz złotych monet. Przy nowej inicjatywie pułkownika Heldbauma wszystko to wyglądało jak działalność ulicznych cinkciarzy w bramie obok banku. I to właśnie powiedział Drozd Schalckowi, kładąc mu torebkę z „*panną A.*” na biurko.

- Co to jest? - spytał Schalck.

- Amfetamina - odparł „*Bankier*”. - Najlepszy z narkotyków. Heroina i koka wysiadają przy tym.

- Najtrudniejszy z narkotyków - poprawił go Schalck. - Nie tak łatwo wyprodukować pokątnie amfetaminę czystą. Jankesi i Holendrzy wciąż oferują zanieczyszczony produkt.

- Nasza jest krystalicznie czysta. Nie ma takiej drugiej na świecie.

- Dlaczego?

- Dlatego, że wynaleźliśmy nową technologię, Herr Schalck. Proszę sprawdzić to, co tu leży. Ile potrzebujecie czasu?

- Jutro będę wiedział czy jest smaczna.

- Also ich komme Morgen abends... gut? (- *A więc przyjdę jutro wieczorem... dobrze?*)

Gdy wrócił następnego dnia, dewizowy oberkasjer NRD rozłożył

ręce, jakby chciał go przytulić, i krzyknął:

- Wunderbar, Herr Drozd! Das ist eine schöne Arbeit! Sie müssen etwas für mich organisieren... (- Cudowne! To jest piękna robota! Musi pan co nieco dla mnie zorganizować...)

- Klient nasz pan. Ile pan sobie życzy?

- Co?... Możecie produkować na dużą skalę?

- Na skalę prawie przemysłową, pod warunkiem, że wy dostarczycie nam odpowiednią ilość benzynometyloketonu. Możemy uruchomić dwa duże laboratoria.

- A ile możecie opuścić z ceny? - uśmiechnął się Niemiec, bo o pieniądzach mowy jeszcze nie było.

- Nie znam ceny - rzekł „Bankier”. - Mój szef kazał mi tylko wy badać, czy chcecie wejść do tego biznesu. Wszystkie szczegóły ustali z panem osobiście, zaprasza pana do nas.

Schaick wziął notatnik i sprawdził swoją przyszłość.

- Odpowiada wam 5 lipca wieczorem?

- Może być.

- Niech Heldbaum do tej pory zastanowi się nad moją propozycją. Bundes-niemcy mają furę przemysłowych odpadów, które upychają Negrom, ale wyszło im z obliczeń, że do Polski jest bliżej niż do Afryki. Płacą fenomenalnie.

- Przekażę, Herr Schalck.

Nocą wsiadł w samolot do Francji, gdzie czekała na niego - nie wiedząc o tym - sparaliżowana dziewczyna. Modliła się o śmierć lub o cud, a on był cudotwórcą. Nazywała się Anna Jaskólska. „Jaskółka i drozd!” - pomyślał ornitologicznie o jej nazwisku. A gdy pomyślał o jej imieniu, zrobiło mu się zimno: „Panna A.”.

\*\*\*

Nie wiadomo dlaczego tak się dzieje, ale jak świat światem, groźby i prośby rodziców pragnących umoralnić swoje pociechy mają



dokładnie tę samą skuteczność, co straszenie piekłem przez duchownych pragnących umoralnić cały ludzki rodzaj. Dlatego Clint Farloon, po stracie dwóch rewolwerów, kupił sobie trzecią splotkę.

To, co kupił, nie było tym, o czym marzył. Śnił mu się pistolet MAC-10, który skonstruowano specjalnie do walk ulicznych, i rzeczywiście do tego ta broń była najczęściej używana, gdyż stała się ulubioną bronią handlarzy narkotyków. Kupić go było bardzo łatwo, albowiem MAC-10, jako pistolet półautomatyczny, nie został objęty federalnym zakazem sprzedaży broni automatycznej. Potem należało dokupić zestaw do przeróbki broni na całkowicie automatyczną, plus tłumik, i już można było, nie robiąc przy tym zbyt dużego hałasu, dosunąć serią każdemu, kto człowiekowi wszedł w drogę. Ale ta przyjemność kosztowała kilkaset banknotów z portretem pierwszego prezydenta Stanów Zjednoczonych, a Clint miał tylko kilkadziesiąt jego portretów. W tej sytuacji nie pozostawało mu nic innego, jak wybór wśród tak zwanych „*saturday night specials*”, czyli wśród przechodzonej tandety - były to albo egzemplarze muzealne, albo żęchy ledwo się trzymające. Kupił od ulicznego „*junk-dealera*” pistolet za trzydzieści dolarów.

Ponieważ w domu wpadł już dwukrotnie, teraz schował gnata w budynku szkolnym, we wnęce hydrantu przeciwpożarowego. Pech był mu jednak wierny - kontrola gaśniczego sprzętu, dokonana przez władze miejskie, nie przeoczyła tego, co Clint schował, a dyrektor Mendez kazał sprzątacze „*mieć po lekcjach oko*” na to, który z uczniów sięgnie do hydrantu. Sięgnął Clint. Wylądował w gabinecie dyrektora i usłyszał pytanie:

- Twój?
- Mój - kiwnął głową.
- Komu ukradłeś?
- Nikomu, w mojej rodzinie nie ma złodziei.
- I pewnie będziesz mi wmawiał, że znalazłeś to na parkingu?

- Nie.  
- Więc skąd to masz?  
- Kupiłem.  
- Od kogo?  
- Nie pamiętam.  
- To sobie przypomnij!  
- Od jednego czarnego.  
- Myślę, że poznasz go bez trudu.  
- Tak, on ma bardzo grube wargi i kółko z kości słoniowej wbite w nos.

- Do tego wszystkiego jeszcze żarty się ciebie trzymają, Farloon? Zobaczmy, pistoleru, czy i z szeryfem będziesz żartował... - zagroził Mendez i sięgnął po słuchawkę telefonu.

Clint nic nie odpowiedział i nie zmienił wyrazu twarzy. Mendez wolno podniósł słuchawkę, czekając na strach ucznia. Nie chciał dzwonić, szkole nie była potrzebna afera z bronią, a on sam czuł się już dość niepewnie na swoim stołku (przez kilka głupich afer) - chciał tylko nastraszyć. Clint wciąż nie reagował. Dyrektor odłożył słuchawkę.

- Dlaczego kupiłeś to świństwo?  
- Bo lubię broń.  
- Dlaczego, Farloon?  
- Dlatego, że tylko do niej można mieć zaufanie.  
- Twój tatuś wie o twoim hobby?  
- Tak.  
- I akceptuje to?  
- Nie. Dwa już mi zabrał.  
- No to na widok trzeciego się ucieszysz. Mam mu pokazać ten szmelnec?  
- To pańska sprawa - rzekł Farloon.  
Mendez zastanowił się. Nienawidził obydwu Farloonów, starego i

młodego. Gdyby tak młody zrobił tą bronią jakiś idiotyzm, wyładowałby w pierdłu, a jego ojciec albo by osiwił, albo dostałby ataku serca, i z Farloonami byłby koniec! Taki właśnie gnój postrzelił niedawno prezydenta Reagana i jego rzecznika prasowego...

- Widzę, Farloon, że nie kłamiesz, więc ufam ci. Weź tę broń i sam ją wyrzuć, tylko nie do śmietnika, najlepiej w głęboką wodę.

Clint wziął broń, schował i chciał wyjść, lecz Mendez miał jeszcze kilka słów na języku:

- Poradzę ci coś, chłopcze, z dobrego serca. Jeśli aż tak lubisz broń, to po ukończeniu szkoły przywdziej mundur. Jako szeregowy gliniarz lub szeregowy G. I., bo na oficera jesteś zbyt mało inteligentny, takich do West Point nie przyjmują.

- Mnie przyjmą! - warknął Clint.

Te słowa wyszły mu z ust bezwiednie, jakby sama przekora powiedziała to za niego, bez jego udziału. Mendez uśmiechnął się i odparł tonem pełnym pogardy:

- Prędeż przyjmą kota lub strusia, dolary przeciw orzechom! Chcesz się założyć, Farloon?

- Z panem?

- A z kim?

- O co?

- O co?... Jeśli cię przyjmą do West Point, to ja się przeczolgam przez całe boisko w świątecznym garniturze na oczach wszystkich uczniów, zgoda?

- Nie.

- Dlaczego?

- Szkoda boiska...

- Więc wymyśl coś, Farloon!

- Odśpiewa pan przy wszystkich „*Another brick in the wall*”.

Mendez wiedział, że „*Another brick in the wall*” Pink Floyd jest hymnem antybelferskim uczniów każdego kontynentu, i że zaczyna

się od: „*Nie chcemy wykształcenia!*”, ale swego był pewien, dlatego się zgodził:

- Okey!

- Czy mogę już wyjść stąd?

- Zjeżdżaj. I więcej nie przynoś mi tego żelastwa do szkoły!

Następnego dnia Clint utopił pistolet w morzu. Nie dlatego, że kazał mu to zrobić Mendez, tylko dlatego, że nie chciał żadnych podarunków od sukinsyna. A potem rzekł do Lowy:

- Twój wuj jest generałem. Dowiedz się od niego, co trzeba, żeby studiować w akademii West Point.

- A kto chce tam studiować, twój pies?

- Mój pies idzie do Harvardu. Ja idę do West Point.

- Co ci odbiło? .

- Pink Floyd i Mendez. A poza tym lubię strzelać.

- I salutować... I kucać... I stawać na baczność... I spocznij, Farloon!

- I walić w dziób, jak ktoś jest złośliwy. Zejdz ze mnie!

Po miesiācu Lowa Abelman wiedział już wszystko:

- Najważniejsze są rekomendacje członków kongresu USA. Każdy kongresman może corocznie rekomendować do West Point dziesięciu chłopaków ze swojego stanu. Trzeba się załapać do tej dychy.

- No to klops! - rzekł Farloon. - Nie znam żadnego kongresmana, a starego prosił nie będę.

- Nie musisz. Mój wuj od czasu do czasu chla z naszym kongresmanem piwo.

- Czyli mam postawić twojemu wujowi piwo?

- Masz mnie postawić piwo, zupaku! - wyjaśnił mu Lowa Abelman.

\*\*\*

Spacerniak przezywali „*wybiegiem*”. Codziennie o dwunastej jedna godzina na świeżym powietrzu, chyba że lało. Niektórzy uprawiali

wówczas „jogging”, a inni uprawiali to samo, co w pawilonach - dyskusje polityczne lub rozrywkowe. Do dyskusji rozrywkowych należało rozprawianie o babach, o karcioszkach i o żarciu. Gdy podczas takiej dyskusji ktoś napomknął, że słyszał, iż amerykański poker różni się od europejskiego (tylko nie wiedział na czym polegają te różnice) - Tolik, który przechodził obok, wyjaśnił mu:

- Gra się odkrytkami.

Wszystkie twarze zastygły pod wpływem gigantycznego zdumienia. Nie dlatego, że powiedział dziwną rzecz; szok wywołany był faktem, iż „pan Zenon” odezwał się do nich. Tak runął mur między Tolikiem a resztą więźniów, choć nie całą resztą - „Góral” nawiązał dialog z proletariatem swojej celi. Wyjaśnił im, że w amerykańskim pokerze nie rozdaje się od razu pięciu kart, tylko po jednej, odkrywając ją, i że przy każdej z czterech pierwszych (odkrytych) licytacja nabiera rozpędu, a przy piątej (zakrytej) odbywa się licytacja końcowa, w związku z czym sprawdzenie polega na odkryciu jednej karty. **(Gównu prawda – pierwsza jest zakryta, a następne odkryte!!! Bogdan)** Efektem tego dialogu było zaproszenie „pana Zenona” do rozgrywki pokerowej, na co się zgodził, bo właśnie to miał w głowie odkąd głód papierosów zwyciężył go.

Rozniósł przeciwników, wygrywając wszystkie szlugi, jakie były do wygrania. Potem oskubał z tytoniu dwie sąsiednie cele i wszystkie wygrane tam papierosy sprezentował swoim współlokatorom, czym zdobył jeszcze większą sympatię obdarowanych. Następnie przystąpił do mistrzostw.

Mistrzostwa Belkowa w pokerze rozgrywano etapami i „regionami”, tak jak mistrzostwa świata w futbolu. Najpierw każdy pawilon przeprowadził wewnętrzne rozgrywki - w tych eliminacjach grali mistrzowie cel. Tolik zdobył mistrzostwo swego pawilonu w cuglach, co koledzy uczcili tęgą popijawą. Później mistrzowie pawilonów zderzyli się w grze o mistrzostwo Belkowa. I znowu „pan Zenon”

na luzie rozmieszał frajerów, zgarniając złoty laur. Wtedy zainteresował się zwycięzcą komendant „interny” belkowskiej.

Komendant ów, kapitan Siuder, był klawiszem zawodowym. Całe swoje życie (wyjąwszy niemowlęctwo i wczesną młodość) przepracował w peerelowskich więzieniach i przywiązał się do nich tak samo, jak recydywiści -stali mieszkańcy „pierdlów”, którzy wciąż gdzieś siedzą, bo nie potrafią żyć na wolności, a nie nauczą się żyć na wolności, bo wciąż gdzieś siedzą. Człowiek ten pod względem moralnym był niechlujem, a w głowie miał największą pustkę od czasu wynalezienia beczki, ale uważał się za mądrego. Nienawidził inteligentów i Żydów, gdyż wiedział, że inteligenci piszą książki w celach wywrotowych, a Żydzi porywają dzieci w celach kulinarnych; natomiast kochał sport (boks, zapasy i podnoszenie ciężarów) oraz karciane noce zakrapiane czyściochą. W Bolkowie dużo pił, bo przeżywał stres z tego powodu, że naczałstwo kazało mu traktować internowanych „kulturalnie, pamiętajcie, Siuder, bardzo kulturalnie!”.

Brydżowe mistrzostwa w pawilonach powierzonej mu placówki nie zainteresowały Siudera, olewał grę czysto inteligencką. Lecz gdy usłyszał, że ma u siebie pokerzystę, któremu żaden inteligent ani żaden robot nie dał rady, nadstawił uszu. I kazał go przyprowadzić do siebie, gdyż sam był, jak uważał, niezrównanym pokerzystą, musiał więc sprawdzić, czy tamten to dobry zawodnik.

Po „Górala” przyszedł „Toluś” i wyprowadził go na spaceriak. Tam przejął więźnia jakiś inny, nieznany Tolikowi klawisz, i wziął go do budynku administracyjnego. „Góral” był tu już, zaraz po przyjeździe, gdy musiano dopełnić formalności ewidencyjnych. Ale w części dyrektorskiej nigdy nie miał zaszczytu. Klawisz doholował go do krańca korytarza i wskazując drzwi burknął:

- Szoruj, czekają na ciebie.

Tolik zapukał, lecz wewnątrz nie mogli go usłyszeć, bo z tamtej strony ktoś walił w drzwi jak dzięcioł, nie wiadomo czemu. Naciśnął

klamkę, otworzył i ledwo zdążył uchylić głowę - coś, niczym pocisk, świsnęło mu koło ucha. I zaraz rozległ się czyjś głos:

- Prosimy! Prosimy mistrza!

Wszedł. Ujrzał komendanta oraz kilku klawiszów przy stole pełnym szkła i kielbasy. Towarzystwo miało wygląd zespołu już podciętego, a dwóch konwojentów zabawiało się rzucaniem lotkami do tarczy umieszczonej na drzwiach - lotkami były strzykawki z ambulatorium.

- Siadajcie, Tolik - rzekł komendant. - Wypijecie na jedną nogę?

Tolik wypił na jedną, a potem na drugą nogę, i komendant klepnął go po ramieniu.

- Słyszałem, że jesteś niezły. Dałeś wpierdol tym gudłajom i robolom, to mi się podoba! No i chłopacy mi tu mówią, że wy z tamtymi nie kochacie się za bardzo... To jak jest?

- Nie kochamy się, za dużo jest tam pańskich piesków - rzekł Tolik.

Przyboczni Siudera wybuchnęli śmiechem.

- Oj ty cwaniaczkuko skubany! - rzekł komendant. - Myślisz, że jesteś taki spryციuł, co? A jak ci powiem, że jest ich tam dużo więcej niż mogłoby ci się przyśnić?... Tu, w kasie pancерnej, leży lista wszystkich was zapuszkowanych, całe Belkowe, a przy wtykach są czerwone ptaszki. Gdybyś popatrzył na tę listę, to zrobiłoby ci się czerwono w oku!

Klawisze znowu ryknęli śmiechem.

- Ale do rzeczy. Wygrałeś szulerką?

- Nie, szulerki nie umiem, z zawodowcem nie miałbym co startować.

- A ze mną chcesz wystartować?

- O co, o szlugi?

- Gównu tam, szlugi! O szmalec. O duży szmalec!

- Dobra. Ale chyba nie we dwóch? Co to za poker we dwóch?

- To weź se jednego z pawilonu i ja też wezmę jednego mojego.

- Proszę wziąć dwóch swoich - rzekł „Góral” - bo ja tamtych nie chcę.

- Nie boisz się trzech przeciw jednemu? - spytał Siuder.

- Co mam się bać, gra to gra, zawsze ryzyko. Jak mi karta nie skrewi, to wygram, a jak skrewi, to będę bulił. Ale muszę wrócić pod celę, bo nie mam przy sobie szmalu.

- No to goń. I przynieś dużo, chłopie, duuużo!

Pod celą rzekł:

- Panowie, chcę ograć Siudera, ale potrzebny mi szmalec. Duży szmalec.

Złożyli się wszyscy, co kto miał, nie wyłączając inteligentów. Gdy wrócił do gabinetu Siudera, stół był już wolny od butelek, karty i popielniczki przygotowane, tylko rżnąć karciećkami o stół.

Zastosował wariant tradycyjny, kiwkę długą, ale bezpieczną. Najpierw trochę wygrał, potem prawie wszystko przegrał, później mocno się odkuł, znów stracił, i gdy za oknami już świtało - w kilku rozdaniach ogolił ich jak wełniane owce, kompletnie.

- To co, dalej gramy? - zapytał z głupia frant.

- Nie mam już szmalu - rzekł ponuro Siuder.

- Ale ma pan te czerwone ptaszki, zagrajmy o nie rozdanko.

- Coś ty powiedział?!

- Że stawiam całą tę forszę za możliwość pofilowania na tę listę przez pół minuty, z zegarkiem w ręku. Jedno amerykańskie rozdanko.

- Jakie?!

- Odkryjemy po cztery karty i dopiero pan zadecyduje, czy chce pan grać. Bez wymiany, bez licytowania, niech piąta karta da komuś szczęście.

Siuderowi pękał łeb, ale nawet ten pęknięty łeb mu podpowiadał, że przymierzyć się warto.

- No... zobaczę, Tolik.



Tolik potasował karty i oddał je klawiszowi siedzącemu obok.

- Rozdaj nam, mnie pierwszemu.

Dostał trzy pikowe blotki i pikowego waleta. Komendant miał nieludzkie szczęście - dostał karete z czterech asów!

- Kolorku nie ustrzelisz, Tolik! - rzekł triumfująco. - A ja nawet nie muszę brać piątej!

- Gra pan?

- Jasne, że gram!

Piątą kartą dla Zenona Tolika była dama w kolorze pik, co łącznie dawało mu zestaw pod tytułem poker pikowy, przy którym nawet kareta asów była śmieciem.

- Otwieramy kasę pancerną i przez pół minuty lista jest moja - rzekł Tolik.

- Gówno! - ryknął Siuder, waląc ręką w stół. - Nie wolno mi nikomu pokazywać tej listy!

- To jest dług honorowy, panie szefie!

- Ale mnie nie wolno!

- No to biorę cały bank i adios mucziaczios! Albo zostawiam tu wszystkie pieniądze, jeśli da mi pan te trzydzieści sekund...

Po tych trzydziestu sekundach usłyszał:

- Jak puścisz komuś słówko, Tolik!...

Gdy wrócił do pawilonu i oznajmił, że nie ma przy sobie ani grosza, jeden z inteligentów wpadł w gniew:

- Proszę mi oddać tysiąc złotych!

- A ty oddasz komuchom trzydzieści srebrnych? - zapytał „Góral” i strzelił faceta w mordę.

\*\*\*

Bardzo niesłusznie wyśmiewa się marzenia jako mrzonki, złudy i w ogóle stratę czasu. Dobrze zbudowane i dobrze ukierunkowane marzenia - po pierwsze leczą. W sytuacji, gdy tak wiele lekarstw jest

do kitu, skuteczne lekarstwo zasługuje na ciepłe słowa. Po drugie - odcinają od rzeczywistości, a jaka jest rzeczywistość, każdy wie; w końcu trzeba umieć ją znosić, gdy nie umie się jej zapobiec. I po trzecie - marzenia, jeśli tylko są piękne, są rodzajem wielkiej artystycznej twórczości, jak dzieła van Eycka czy van Gogha - za głupie „Irysy” van Gogha pewien Japończyk wyłożył na licytacji ponad 80 milionów dolarów.

Internowany Lech Wałęsa marzył o rybołówstwie, które było jego wielkim hobby. Bezczytność zabijała tego człowieka pełnego wigoru. W marzeniach widział siebie gdzieś nad brzegiem jeziora lub rzeki, siedzącego od rana i obserwującego, czy spławik drgnął. A ponieważ szef wojskowej junty, która niewoliła kraj, w notoryczny sposób spełniał prawie wszystkie marzenia swego więźnia numer jeden (przysłał mu nawet super-kucharza) - i to marzenie się ziściło. Wałęsa został przeniesiony z Arłamowa w pobliże Warszawy, do wsi Otwock Wielki, gdzie znajdował się późnobarokowy pałac w pięknym parku, na jeziorze, które było fragmentem wiślanego starorzecza. Fosa pałacu roiła się od ryb.

Tego dnia siedział już pięć godzin z wędką i co kilka lub kilkanaście minut wrzucał do kubła rybę. Gdy ktoś usiadł przy nim, Wałęsa pomyślał, że to jeden ze strażników. Zerknął w bok, by zobaczyć który. I ujrzał obcego faceta. Facet miał modną skórzaną kurtkę, czarne okulary i wyglądał na amerykańskiego szpiega z radzieckiego filmu.

- Dzień dobry, panie Wałęsa - powiedział niskim, ciepłym głosem. - Nazywam się Strużyński. Janusz Strużyński.

- A ja się nazywam Andropow. Jurek Andropow - rzekł Wałęsa.

- To moje prawdziwe nazwisko - zapewnił go facet.

- A pański prawdziwy fach to ściganie wędkarzy-klusowników. No to pan trafił, bo nie wziąłem z domu karty wędkarskiej.

- Jestem oficerem Służby Bezpieczeństwa.

- Co pan powie! A nie wygląda pan. Jak to się można omylić!... Na stałe tu pana wydelegowano?

- Na godzinę.

- W celu?

- Perswazyjnym, mam panu coś zaproponować.

- To weź pan i proponuj, będziemy to mieli szybko za sobą i ryby nie będą mi się płoszyły. O kurczę, widzisz pan?!

Splawik rozkołysał się i zanurkował. W bezpardonowym boju - z popuszczaniem i podciąganiem - Wałęsa zwyciężył, wyciągając dorodną płoć.

- Widzisz pan, biorą jak... jak... - zabrakło mu wyrazu.

- Jak członkowie „Solidarności” - pomógł oficer.

- Że co?

- Opowiem panu, co się wydarzyło wczoraj. W Belkowie jeden z pańskich ludzi, Gdańszczanin, Zenon Tolik...

- Nie znam faceta.

- Był kurierem Wałęsy, tak mi powiedziano.

- Panie, mieliśmy w Gdańsku od cholery kurierów, pomagierów, nie mogę wszystkich znać. Teraz każdy, kto siedzi, to mój „kurier”! Co zrobił ten gość?

- Miał w ręku listę esbeckich wtyk na terenie Belkowa i wskazał więźniom kilku. W celach pobito tych ludzi, dzieją się tam od wczoraj rzeczy straszne.

- Dużo tego było?

- Dużo. On tylko rzucił okiem na ten spis, wygrał taką możliwość z komendantem obozu...

- Jak to: wygrał?

- Jest dobrym pokerzystą.

- Zuch!

- Zapamiętał kilka nazwisk, ale widział ich dużo więcej.

- To dla mnie nic dziwnego. Od tego jest bezpieka, żeby połowę

kupić. Ale całego narodu nie kupicie i kiedyś...

- Wiem, panie Lechu.

- Jak pan wie, to spieprzaj pan z bezpieki w podskokach.

- Myślę, że bardziej się panu przydam, gdy tam zostanę.

Wałęsa oderwał wzrok od lustra wody i spojrzał Strużyńskiemu w szkła okularów.

- Kto wymyślił ten numer, pański wódz czy jego żona?

- Nie. Kiszczak kazałby mnie rozwalić, gdyby wiedział, że chcę podać panu jedno nazwisko.

- Jakie nazwisko?

- Nazwisko zdrajcy w pańskim sztabie - rzekł Strużyński.

I podał to nazwisko.

- Nie uwierzę bez dowodu! - mruknął osłupiały Wałęsa.

- Pisemny i magnetofonowy dowód dam panu wkrótce, jak tylko wyjdzie pan na wolność.

- Skąd pan wie, że wkrótce?

- Bo byłoby, psiakrew, głupio, gdyby dostał pan pokojową nagrodę Nobla siedząc w pierdlu. Przyszłoroczna będzie pańska na sto procent.

- Skąd pan ma tę pewność?

- Stąd, że pracuję w pierwszym departamencie MSW, czyli w wywiadzie Służby Bezpieczeństwa. Nasz wywiad, panie Lechu, dobrze działa poza granicami.

- Jeśli działacie za granicą, to dlaczego wysłano pana da mnie?

- Bo koncepcja moich szefów była taka, że przedstawię się panu jako agent CIA i zrobię panu wodę z mózgu. Wałęsa parsknął śmiechem:

- Szef CIA upiłby się z radości, gdyby był pan naprawdę jego wtyka!

- Może się jeszcze zdarzyć, panie Wałęsa!

- Poważnie?

- Poważnie.

- Jeśli tak, to czemu dotąd...

- Jeszcze nie jestem gotów. I nie wiem, czy w ogóle będę gotów. I nie chcę się z tego panu tłumaczyć, to moja sprawa. Na razie, jeśli to odpowiada panu, będę pańskim człowiekiem wewnątrz Służby Bezpieczeństwa i tylko wobec pana zachowam pełną lojalność.

Wałęsa nic nie odparł, gdyż spławik znowu zaczął taniec. Gdy kolejna płoć wylądowała na brzegu, Strużyński powiedział:

- A teraz włączę ukryty magnetofon i odwalimy to, z czym zostałem wysłany, muszę mieć nagranie dla moich szefów.

- W porządku. Ale od kilku wyrazów, które im pošlę, uszy ich rozbolą - rzekł Wałęsa.

- Na to liczę - uśmiechnął się Strużyński.

\*\*\*

Półtorej doby po fatalnym „amerykańskim” rozdaniu kapitan Siuder otrzymał wiadomość, że następnego dnia zostanie zdymisjonowany, zdegradowany i zastąpiony kimś innym, więc ma się pakować. Odłożył słuchawkę i rozpakował butelkę wódki. Wypił ją od razu, a potem czkał i bełkotał łagodnie do klawiszów, czym budził ich strach, gdyż w tym wszystkim było coś groźnego. Nie w brzmieniu jego głosu - czuli to inaczej, jakby mówiąc trzymał odbezpieczoną broń.

Później legł. Wstał o trzeciej w nocy. Następnie wziął dwóch strażników i ruszył do pawilonu „Górala”. Obudził go kopem.

- Bacność, larwo! Idziemy!

Tolik podniósł się i rąbnął „z byka” w Siuderowy nos. Komendant fiknął na ścianę, a strażnicy przytrzymali Tolikowi ramiona, wykręcając je do tyłu. Siuder wstał, odbezpieczył broń i wymierzył.

- Neeee!! - krzyknął jeden z klawiszów, puszczając Tolika. „Góral” wolną ręką odpiął mu kaburę i wyluskał żelazo, ale już nie zdążył. Komendant strzelił dwukrotnie, plunął na ciało leżącego i kazał je

zabrać. Strażnicy, nie mogąc udźwignąć, wywlekli Tolika za ręce. Na progu celi została czerwona plama. Resztę więźniów sparaliżowało. Tylko jeden pochylił się nad progiem i umaczał we krwi gazetkę „Inter-Time”, tak jak niegdyś kobiety maczały chusty we krwi męczenników.

## Część III

1983 – 1984

### KREW NA KRZYŻU

„A gdy przyszedli na miejsce, które zwią Trupią Głową, tam Go ukrzyżowali (...) Jezus zaś mówił: «Ojcze, odpuść im, bo nie wiedzą, co czynią»" (Św. Łukasz).

„I wypełniło się Pismo, które mówi: «I ze złoczyńcami został policzony »" (Św. Marek).

„A od szóstej godziny nastąpiła ciemność na całej ziemi, aż do dziewiątej godziny. A około dziewiątej zawołał Jezus głosem wielkim, mówiąc: «Eli, Eli, lamma sabakhthani?», to znaczy: «Boże mój, Boże mój, czemuś mnie opuścił?» (...) I oto ziemia zadrżała..." (Ś w. Mateusz).

„Przyszedłszy do Jezusa, gdy ujrzeni, że już umarł, nie łamali gołeni Jego, ale jeden z żołnierzy włócznią otworzył bok Jego, a natychmiast wyszła krew i woda" (Św. Jan). (Tłumaczenie Jakuba Wujka.)

\*\*\*

Religijność narodów niczym nie odbiega od religijności przeciętnego wiernego: gdy nieszczęście - wtedy na kolana; a gdy dobrobyt i spokój - wtedy robi się bogom łaskę i kwitnie profanum, świeckość, sekularyzacja i ateizm (oto czemu ludy biedne są bardziej religijne od zamożnych ludów). A ponieważ na Ziemi było, jest i zawsze

będzie więcej nieszczęścia niż szczęścia, panteonowi bóstw nie grozi giełdowy krach. Co do mojego narodu, to - mieszkając w przechodniej bramie między Wschodem a Zachodem - od wieków nie miał on szans na religijne leniwość, czego efektem był ciągły dziewięćdziesięciopięcioprocentowy katolicyzm, silny jak spirytus (który ma procentów tyle samo i nazwę nomen omen wywiedzioną od ducha). Polak-katolik nijak nie przestrzegał kościelnego zakazu chłania na umór, Polka-katoliczka zakazu puszczania się przed ślubem (i po ślubie też), a oboje zakazu kawałkowania swoich żywych dzieci przy użyciu długich metalowych skrobaczek, lecz ani on, ani ona, nigdy nie wyrzekliby się swej głębokiej wiary w Trójcę Świętą. Za czasów nieszczęścia narodowego tym bardziej.

Gdy polskie wojsko tak zwane ludowe, dowodzone z budki telefonicznej na Kremlu, wprowadziło „*stan wojenny*”, by zlikwidować „*Solidarność*” - nawet niepraktykujący i niewierzący Polacy zamienili się w dewotów, runęli do kościołów i świątynie nie mieściły tych rzesz podczas mszy. Tu już żegnam mój kpiarski ton, bo to naprawdę było piękne.

Ta religijno-narodowa demonstracja oporu miała dwie stolice, zagraniczną i warszawską. Zagraniczną był Watykan, z niedostrzelonym papieżem-Polakiem; warszawską - kościół Św. Stanisława Kostki w północnej dzielnicy stołecznego miasta. Dzielnica nazywała się Żoliborz, a ów kościół był centralną redutą oporu dlatego, że pewien młody, mizerny ksiądz - mały papież żoliborski - odprawiał tam w każdą ostatnią niedzielę miesiąca głośne „*msze za ojczyznę*”, podczas których bez papieskich ogródek piętnował terror junty czerwonych generałów. Nazywał się Jerzy Popiełuszko. Nieprzebrane tłumy wałyły, aby słuchać i aby modlić się razem z tym szeryfem w sutannie, strzelającym na wprost. Jego kanonizacja w obecnym lub przyszłym stuleciu jest pewniejsza niż Sąd Ostateczny. Heldbaum znał Popiełuszkę. Przed trzema laty



Popiełuszko przyszedł w towarzystwie „Templara” do domu „Księcia”, by o coś prosić, i wówczas „Książę” wszczął z nim dysputę „teologiczną”, a później pałeczkę przejął Heldbaum i stoczył z księdzem pojedynek na cytaty z Biblii, dowodząc mu, że według apostołów i Chrystusa trzeba szanować każdą władzę, nawet wredną. ( - patrz rozdział XI „Dobrego”.) O tym, że nie przekonał księdza, dowiadywał się teraz z raportów. Dzięki tym raportom, eksplodującym mu na biurku niczym granaty, zapragnął obejrzyć występ wroga. Udał się na Żoliborz w styczniową niedzielę 1983 roku. Dobrze trafił, bo wypadła akurat studwudziesta rocznica Powstania Styczniowego i „ksiądz Jerzy” powstaniom narodowym zadedykował całą mszę.

Przez kilkadziesiąt minut Heldbaum się nudził. Trwały celebracje liturgiczne, modlono się głośno i śpiewano, a on klękał, robił znak krzyża i ruszał wargami, by nie odstawać od sąsiadów i nie budzić zamkniętą gębą podejrzenia. Panował taki ścisk, że gdy wyczekiwany gwiazdor stanął przed tłumem i gęstwą przeszył prąd, Heldbaum uczuł ten prąd w fizyczny sposób, jakby brał udział w seansie magnetycznym „healera” o mesmerowskim powołaniu.

Na dzień dobry Popiełuszko obiecał wojskowej juncie karę Bożą, czytając z księgi proroka Izajasza:

*- „Oto wszyscy, którzy rozniecacie ogień,  
którzy zapalacie strzały ogniste,  
idźcie w płomień waszego ognia,  
wśród strzał ognistych, któreście zapalili.  
Z mojej ręki przyjdzie to na was,  
będziecie powaleni w boleściach.  
Oto stówó Boże”.*

Później był krótki śpiew przed ewangelią:

- „*Wołam do Boga Najwyższego, do Boga, który czyni mi dobro. Niech ześle mi pomoc z nieba, niechaj mnie wybawi*”.

Ewangelia według świętego Łukasza zaczynała się od słów:

- „*Śledzili Go więc i nastali na Niego szpiegów. Ci udawali pobożnych i mieli podchwycić Go w mowie, aby Go wydać zwierzchności i władzy namiestnika...*”.

Heldbaumowi przez moment się wydawało, że Popiełuszko w tym momencie na niego patrzy i tylko do niego kieruje te słowa, ale było to złudzenie; zresztą w tłumie znajdowało się sześciu regularnych agentów i te słowa tyczyły owych sześciu, więc się uspokoił.

Między ewangelią a homilią „ksiądz Jerzy” zacytował XIX-wiecznego myśliciela, Ludwika Królikowskiego:

- „*Tylko rząd odpowiada przed Bogiem i Rozumem za nieszczęścia i nędzę rządzonych. Jeśli ślepy prowadzi ślepców, wszyscy kończą w tym samym rowie. A co powiedzieć o ślepcu, który usiłuje, uciekając się bodaj do przemocy, narzucić swoje przewodnictwo ludziom widzącym?...*”.

Heldbaum zadrżał, gdyż te słowa były ewidentnie wymierzone w szefa junty, generała Jaruzelskiego, który ze swymi czarnymi okularami, wiecznie przykrywającymi wzrok, kojarzył się każdemu ze ślepcem. Tymczasem Popiełuszko kontynuował cytaty z Królikowskiego:

- „*Rząd, który nie ma innych środków oddziaływania prócz siły, nie jest Rządem, ale uzurpacją, bluźnierstwem, zbrojnym rozbojem! Nic nie może was przed nim ochronić, ani religia, ani prawo, ani żadna reguła czy zasada. Błaganie i jęki Abła podniecają bratobójczą furię Kaina. Przyznajcie zatem, że niczego dobrego nie możecie się spodziewać ze strony ludzi, którzy nie szanują waszej godności i wolności...*”.

Kulminacją każdej „mszy za ojczyznę” była homilia, a każda z tych homilii trafiała do milionów, gdyż konspiracyjnie ją drukowano i kolportowano. Tego dnia, nie tracąc czasu na biblijne wstępy i zwyczajowe peany o miłości, Popiełuszko już pierwszym zdaniem

wystrzelił z rury grubej jak lufa czołgowa:

- „Od początku dziejów naszej Ojczyzny praojcowie nasi przelewali krew, aby nie pozwolić obcej przemocy na odebranie największej wartości narodowej, na odebranie wolności. Bo: «Walka o wolność, gdy raz się zaczyna, z ojca krwią spada dziedzictwem na syna...». Umieli Polacy bronić Ojczyzny przed najeźdźcą, umieli upominać się o prawdziwą i pełną wolność dla niej w czasie zaborów. Wiele było powstań i zrywów narodowych...”.

Przez całą godzinę wspominał krwawe antyrosyjskie bunty narodu polskiego, wymieniając jeden po drugim, opisując każdy, przywołując widma dawnych bohaterów. Nie zapomniał o „*cudzie nad Wisłą*”, o owym 1920 roku, kiedy to marszałek Piłsudski stał na proch Czerwoną Armię. Nie zapomniał o kajdanach ukutych przez „wyzwoliciele” gdy kończyła się II wojna światowa. Nie zapomniał o górnikach, którzy dopiero co polegli w „**Wujku**”. Przypomniał to wszystko i zakończył tak:

- „**Naród z tysiącletnią tradycją chrześcijańską zawsze będzie dążył do pełnej wolności. Bo dążenia do wolności nie pokona się przemocą, gdyż przemoc jest siłą tego, kto nie posiada prawdy. Polak miłujący Boga i Ojczyznę powstanie z każdego poniżenia, bo zwykł klękać tylko przed Bogiem! Zbyt wiele mamy tego przykładów w historii zamierzczej, jak i współczesnej. «Walka o wolność, gdy raz się zaczyna, z ojca krwią spada dziedzictwem na syna»! Amen!**”.

Kończąc, miał wzrok malarza wstępującego z karabinem w rękę na barykadę Eugeniusza Delacroix - takim go jeszcze nigdy nie widziano. Zamilkł, a cisza, która spowiła nawę, była jak salwa z tysięcy karabinów.

Heldbaum nie wierzył własnym uszom - nie przypuszczał, że ten łagodny mikrus aż tak daleko się posunie. Gdy na koniec mszy padło: „**Przekażcie sobie znak pokoju**”, ogarnął go drugi gniew, bo musiał złożyć ukłon w stronę płaczącej baby i w stronę szczeniaka o

krostowatej mordzie, uśmiechając się przy tym anielsko.

Kiedy już było po wszystkim i tłum ruszył ku wyjściu, pułkownik Heldbaum odwiedził zakrystię. Tam dopadł proboszcza i spytał:

- Czy ten pański **powstaniec** ma kuku na muniu, że nie boi się mówić tego, co mówi?!

Proboszcz spojrział nań zdumiony i rzekł:

- Synu, a czego on ma się bać? Przecież prawdę mówił!

Pułkownik nie zdążył wyrazić własnego zdumienia, gdyż obok nich stanął ksiądz Popiełuszko.

- Dzień dobry, bracie.

- Na wieki wieków! - warknął Heldbaum. - Ten dzień, owszem, nie jest jeszcze zły, ale gdy uda ci się podpalić dom, przyjdą dni makabryczne! Chcesz, by krew synów była dziedzictwem krwi ojców, tak? Chcesz kolejnego powstania utopionego we krwi, idioty?! Kto krew sieje, ten krew zbiera, jeszcze raz ma się to powtórzyć?... Gadaj sobie, co chcesz, szalony człowieku, ale nie judź do powstań!

- To nie ja, lecz Chrystus wzywał do powstania przeciw królestwu ciemności, przeciw kłamstwu i niemiłosierdziu - rzekł Popiełuszko.

- Ja tylko jestem jego kapłanem.

- A skąd ty wiesz, co naprawdę mówił Chrystus? - obruszył się Heldbaum. - Chrystus mówił po aramejsku, tego języka nie zna nikt!

- Ale każdy zna Pismo Święte.

- Które nie zostało napisane przez niego, bo Chrystus w ogóle nie umiał pisać, jak twierdzą historycy. W każdym razie nie wiemy o tym, by napisał choć jedno słowo!

- „*Panie, nie jestem godzien, abys przyszedł do mnie, ale powiedz tylko jedno słowo, a będzie uzdrowiona dusza moja*” - wyrecytował Popiełuszko, patrząc Heldbaumowi w oczy wzrokiem lekarza proponującego choremu jedyną kurację.

Heldbaum nie zniósł tego wzroku. Przełknął ślinę z takim trudem,

jakby przeflykał opłatek wepchnięty mu w gardło, i bez słowa wyszedł z zakrystii.

\*\*\*

Właściwie to każdy ma jakieś zboczenie, większe lub mniejsze. Rick Korm miał łagodne zboczenie: nie lubił dziewcząt zbyt młodych, a zwłaszcza dziewic - wołał kobiety i dziewczyny nie mające niczego do stracenia. Takie właśnie osoby - zdrowe, dobrze utrzymane, mocno uperfumowane, biegle liczące do sześćdziesięciu dziewięciu i nigdy nie żałujące uśmiechów oraz gestów absolutnie grzesznych - znał porucznik Quast. Jego „stajnia” w Williamsburgu liczyła około dwudziestu jednostek krańcowo odmiennej płci, więc każdy, kto należał do „układu” na „Farmie”, nie musiał się onanizować wpatrzony w kolorowe zdjęcia „pinup-girls”. Z punktu widzenia potrzeb Ricka Korma damy te miały wszakże jedną wadę zasadniczą: nie nadawały się do ożenku, a pułkownik Tannerson kazał mu znaleźć sobie żonę w ciągu dwudziestu czterech miesięcy. Kłopot polegał nawet nie na tym, że każda z nich źle przypominała kobietę stateczną (taką, która uszanuje honor swego małżonka i nie zrobi go pośmiewiskiem kolegów), lecz był natury głębszej. Chodziło o to, że do ożenku potrzeba kobiety, z którą człowiek nie tylko chętnie by się przespał, ale jeszcze miał ochotę na wspólne śniadanie, co - w przypadku dam z williamsburskiej „stajni” porucznika Quasta - przekraczało granicę zdolności adaptacyjnych, czyli wytrzymałość kursanta Korma. Później liczył, że w rodzinnym Chicago coś znajdzie, ale i tam nie znalazł odpowiedniego modelu. Ów problem - problem braku właściwej kandydatki - męczył go bardziej niż kolejne cykle szkoleniowe, na które jeździł do Camp Peary, gdyż każda upływająca doba przypominała, że czas pracuje przeciwko niemu.

Nie wszystkie cykle szkoleniowe męczyły go - męczyły go te, które

go nudziły lub denerwowały, bo prowadził je nudziarz albo sadysta. Sadystą był szef poligonu, kapitan Hooper, który każdego kursanta próbował najpierw uśmiercić biegami, skokami, pompkami oraz dźwiganiem ciężarów, i dopiero tak spreparowane trupy nauczał (w ramach szkolenia bojowego) rzeczy pożytecznych, to jest zabijania wrogów ręcznie i mechanicznie, uwalniania się z wszelakich więzów i nie siadania z nogą założoną na nogę, bo w przegubie kolana może powstać niedokrwistość i przy nagłym zerwaniu się do walki lub do ucieczki noga może być zdrętwiała. Nudziarzem zaś (jednym z kilku, królem nudziarzy) był major Green, który usypiał swoją głęboką wiedzą na temat wszystkich metod szyfrowania i deszyfrazu meldunków wywiadowczych. Wicekrólem nudziarzy był Rotchack, sympatyczny gość od szpiegowskich satelitów i od komputerów analizujących zdjęcia satelitarne.

Czy jakieś wykłady będą męczarnią, czy przyjemnością, Korm orientował się błyskawicznie, po usłyszeniu pierwszych, inaugurujących cykl słów szefa danego przedmiotu. Major Tascher, znawca subtelnych różnic między wywiadem ofensywnym a defensywnym, zaczął tak:

- Panowie. W korytarzach i w gabinetach Pentagonu krąży świetny dowcip o agentach CIA: *„Kiedy facet z CIA ogląda zdjęcie satelitarne ukazujące na jednym brzegu rzeki samolot zaryty dziobem w grunt, a na drugim jego lewe skrzydło, to kwalifikuje ten wrak jako «obiekt prawdopodobnie uszkodzony»”*. Wojskowi po prostu uważają, że jesteśmy zbyt wstrzemięźliwi w interpretowaniu danych wywiadowczych i że w ogóle jesteśmy stadem niedołęgów, więc tylko im Ameryka zawdzięcza swą mocarstwowość. Mocarstwowość, jeśli już wspominałem o tym, to jest taki stan państwa, o który trzeba bez przerwy walczyć, czyli prowadzić wojnę. Ale przecież nie wojnę ogniową - nasze działa rzadko są w użyciu. Chodzi o wojnę ekonomiczną i wywiadowczą. Tę codzienną wojnę

prowadzą dwa rodzaje rycerzy - nasza gospodarka i Centralna Agencja Wywiadowcza. Tak, proszę panów, to, do czego was tu szkolimy, to wojna. Prawdziwa, taka, którą bezbłędnie scharakteryzował już sto pięćdziesiąt lat temu genialny Niemiec, Carl von Clausewitz, w swojej pracy „**O wojnie**”, gdzie czytamy, że wojna jest w swej istocie konfliktem woli, próbą sił raczej moralnych niż fizycznych, a już na pewno nie egzaminem z powierzchownej zręczności żołdaków. A więc wywiad to klucz do sukcesu wojennego. Zwracam panom uwagę, że wszystkie wojenne klęski naszego stulecia - Cuszima, Pearl Harbour, Singapur, Dien Bien Phu, Arnhem, Kursk, wszystkie! - były skutkiem zlekceważenia informacji wywiadu. Również nasza ostatnia klęska w Wietnamie została spowodowana tym, że Pentagon, specjalista od antywywiadowczych dowcipów, lekceważył doniesienia CIA!...

Tak samo pasjonujące były wykłady z psychologii, które prowadził major Gowan. Gowan na temat Wietnamu miał inny pogląd i zaprezentował ów pogląd omawiając użyteczność mediów w praktyce wywiadowczej, jak również zagrożenia, których można się spodziewać ze strony prasy, radia i telewizji. Już we wstępie zacytował autorytet bardzo wysokiej rangą:

- Papież Jan Paweł II nazwał środki przekazu „*nowoczesnym narzędziem szatana*”. Niewątpliwie miał na myśli fakt, że dzięki mediom współczesne kobiety bardziej upodobniły się do prostytutek niż kiedykolwiek w historii, a mężczyźni do alfonsów, wszelako we współczesnej grze politycznej ta opinia znajduje równie mocne potwierdzenie, a więc prawda wygłoszona przez papieża należy do prawd uniwersalnych, co muszę mu przyznać, chociaż jestem baptystą. Prasa, telewizja i radio to rzeczywiście potęga z piekła rodem. Nikt inny, żadne żółtki i żadni czerwoni, nie pokonał naszych wojsk w Wietnamie, tylko amerykańskie środki przekazu! To pod ich wpływem znajdowały się hordy niedomytych studentów urzą-

dzających antyrządowe demonstracje jak Ameryka długa i szeroka, temu wpływowi ulegali defetystyczni kongresmeni i senatorowie na Kapitolu, i to właśnie ten wpływ złamał psychikę naszych wojsk, co automatycznie oznaczało klęskę, gdyż wola zwycięstwa jest głównym środkiem prowadzącym do zwycięstwa!

Z powyższego Gowan wyprowadził diagnozę, że głównym wrogiem agenta CIA jest jego własna słabość (psychiczna, fizyczna i erudycyjna), następnym - rutyna zabijająca ostrożność, trzecim - środki masowego przekazu, i dopiero czwartym żywy przeciwnik czyli kontrwywiad nieprzyjaciela.

Słuchając Gowana Rick Korm się nie nudził, ale miał wrażenie, iż Gowan to najlepszy dowód dla tych, co twierdzą, że wśród wszystkich szurniętych najbardziej psychiczni są ci, którzy mają psychikę w nazwie swego zawodu: psychiatrzy, psychoanalitycy, psycholodzy i wykładowcy psychokierunków na uczelniach. Co nie znaczy, że niczego się od Gowana nie nauczył. Zdanie, iż *„wola zwycięstwa jest głównym środkiem prowadzącym do zwycięstwa”*, wbiło mu się w korę mózgową. Postanowił wzmóc swoją wolę znalezienia kobiety nadającej się do ślubu, gdyż zrozumiał, że bez tego (bez wzmoczenia woli) zwycięstwo przejdzie mu koło nosa. *„Zamiast na placówkę dyplomatyczną - pomyślał - te chamy wyekspediują mnie do Kaszmiru, żebym liczył muły przemytników na ścieżkach górskich i owce skubiące przygraniczną trawę! A jedyny prysznic, jaki tam wynaleziono, to ulewa...”*.

\*\*\*

Jadąc na spotkanie z wysokim oficerem milicji Drozd próbował sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz był w Łazienkach, i nie mógł. Chyba tuż po maturze, a dziewczyna miała taki złoty kok, podniecający go bardzo, gdy myślał o rozpuszczeniu tych włosów na jej gołe plecy... Chociaż nie! Potem, w czasie studiów, był tam z tą kelnerką,



co bez romantycznego spaceru nie chciała świntuszyć; na szczęście jeden spacer wystarczał. Cieszył się, że znowu wejdzie między starodrzew łaazienkowski.

Polska ma niewiele z tego, co jest najpiękniejsze w ludzkim do-robku. Tadz Mahal wybudowano gdzie indziej i „Gioconda” też nie wisi nad Wisłą, a chociaż grot w polskich górach nie brakuje, to żadna z nich nie przypomina Lascaux i Altamiry, tak jak żaden z polskich kościołów nie przypomina katedry w Chartres. Ale pod trzema względami Polska jest najbogatsza: ma niezrównane stado żubrów (w białowieskiej puszczy), najpiękniejszy park miejski globu (Łazienki Królewskie w Warszawie) i najświętszą czarnoskorą Madonnę (w klasztorze częstochowskim), patronkę całego narodu, do której modlą się i pielgrzymują wszyscy Polacy, chociaż więk-szość z nich pobłogosławiłaby córkę lub siostrę siekierą, gdyby te chciały wyjść za Murzyna. Co zaś do Łazienek, to ów XVIII-wieczny park w stylu angielskich pejzażowych ogrodów, niegdyś „*dacza*” polskiego króla, już od ponad wieku był miejscem schadzek miłosnych i rozmyślań wspomnieniowo-nostalgicznych, ale jako teren pertraktacji między królem bandytów i przedstawicielem tak zwanych stróżów porządku publicznego, był czymś absolutnie nietypowym. Drozd oniemiał, gdy milicja warszawska zaproponowała Łazienki na tę randkę. Rozumiał, że wśród drzew nie ma podsłuchu, ale mimo wszystko...

Dla Drozda - zważywszy jego profesję - pierwsza różnica między demokracją a ustrojem komunistycznym polegała na tym, że w krajach demokratycznych tylko połowa glin-oficerów jest na żołdzie świata przestępczego, podczas gdy w Polsce nie ma ani jednego oficera SB i milicji, który by nie kradł lub nie „*brał*”. Jedyne kłopoty wynikały z faktu, że między Służbą Bezpieczeństwa a Milicją Obywatelską istniała zadawniona niechęć, przeradzająca się okresowo w nienawiść, dzięki czemu czasem ktoś musiał beknąć i

szedł do „*pierdla*”. To właśnie przytrafiło się szefom Dzielniczowego Urzędu Milicji Obywatelskiej Praga Północ, którzy w latach siedemdziesiątych byli na żołdzie „*Księcia*”, Stefana Karśnickiego. „*Wystawił*” ich bogaty cinkciarz, zwany „*Księgarzem*”, i Służba Bezpieczeństwa dała im łomot. Po dość krótkim śledztwie, szef Urzędu Dzielniczowego, Sylwester Kowalczyk, zainkasował osiem lat, naczelnik PG (wydziału zwalczania Przestępstw Gospodarczych), Kaliński, czwórkę, a jego zastępca, Kalinowski, tylko pół roku.

Ta afera wzniciła reakcję łańcuchową i A. D. 1982 zaczęło się tasowanie milicyjnej wierchuszki. Dopiero w kwietniu roku 1983 można było uznać, że czystka i wymiana wśród glin znalazły swój kres, przyszedł więc czas na odrestaurowanie układu między mafią a milicją. Właściwie to nie „*Bankier*”, lecz Heldbaum winien był pertraktować, ale Heldbaum, który niegdyś dyrygował mafią w stołecznym grodzie i załatwiał wszystkie takie sprawy (formalnie z ramienia Karśnickiego), teraz nie miał już na to czasu, gdyż gra polityczna oraz interesy z Schalckiem-Golodkowskim absorbowały go kompletnie. Drozd przypuszczał, że „*Petro*” ma i trzeci powód: wewnątrz esbecji również się kotłowało i być może Heldbaum wolał nie ryzykować bezpośredniego spotkania z gliniarzem jeszcze nie sprawdzonym.

Łazienki wiosną to najpiękniejszy widok świata. Jedyne plenery na świecie, które mogą z nim konkurować, to Łazienki latem, jesienią i zimą. Drozd celowo przyjechał za kwadrans dwunasta, chociaż był umówiony „*high noon*”. Schodził bardzo wolno. Bajeczna architektura przyrody w stu odcieniach, od zielonkawego złota do zieleni lśniącej niczym czarny aksamit, eksplodowała pod niebo na stokach flankujących kręte aleje. U dołu było jezioro i wyspa z neoklasycystycznym pałacem, a po jego prawej stronie, na brzegu jeziora, monumentalny amfiteatr, pełen kolumn starożytnych i spa-

tynowanych kamieni, które śpiewają każdemu, komu nie w smak beton. Facet tam właśnie czekał, ze znakiem rozpoznawczym - tygodnikiem „W służbie ludu”. Miał włosy lekko posrebrzone, ale na pewno nie miał pięćdziesięciu lat.

Drozd mruknął: „Dzień dobry”, a gliniarz nie powiedział nic, tylko wyjął z kieszeni metalowe pudełko i przejechał nim po ubraniu Drozda. „Bankier” się domyślił, że to wykrywacz mikrofoników i magnetofoników podsłuchowych, więc wziął pudełko z ręki oficera i też przejechał po jego ubraniu. Gdy zwrócił, zadał pytanie:

- Dlaczego tutaj?

- A co, tutaj za brzydko?

- Ujdzie w tłoku.

- No to co chodzi?

- Chodzi o to, że gdy coś mnie dotyczy, to lubię wiedzieć jak się sprawy mają.

- Mają się tak, że ostatnio chuliganeria regularnie dewastuje tu posesje, a prasa regularnie o tym pisze. No więc moja tu obecność, to jest tak zwana wizja lokalna.

- O ile wiem, wizję lokalną robi się z udziałem już złapanego przestępcy. Czy ta rola mnie została przypisana w pańskim scenariuszu?

- W moim scenariuszu - rzekł oficer - ta rola została przypisana frajerom i skąpcom. Ludziom płacącym wysokie podatki nie grozi nic.

- Jak wysokie?

- Dwa razy większe niż w ubiegłym roku, jest inflacja.

- Jest także stan wojenny - zauważył Drozd.

- Gdzie? U nas już zniesiono stan wojenny.

- Formalnie tak. Jest stan powojenny identyczny jak wojenny.

- I co z tego?

- To, że pańskie przedsiębiorstwo jest gonione do ścigania poli-

tycznych, a nie pospolitych, więc możliwości macie mniej. Władzom zależy, by pieniała się przestępczość kryminalna, bo to jest świetny bat na kontestacyjnie rozpolitykowane społeczeństwo.

- Czyli że w Stanach Zjednoczonych demokracji jest mniej niż u nas, bo tam przestępczość jest relatywnie wyższa! - zakpił oficer.

- Ale wykrywalność jest relatywnie dużo większa niż u nas, o tym mówimy - zripostował Drozd. - Niech pan nie używa demagogicznych argumentów, dobrze pan wie, że u nas włamania i napa-  
dy mają szerzyć tęsknotę do munduru milicyjnego i wojskowego...

- Panie - przerwał mu gliniarz - czy mam panu udowodnić, że potrafimy bawić się w detektywów? W ciągu tygodnia możemy zrobić wam taki kłopot, iż uzna pan węża w kieszeni za gorszego od tego z raję.

Drozdowi podobał się cięty język tamtego, gliniarze wydelegowali asiora.

- Jeśli jesteście tacy dobrzy, to czemu do dzisiaj nie wykryto sprawców największych przestępstw, jak porwanie i zabicie syna Piaseckiego, jak obrobienie banku na Jasnej, jak...

- Wykryto! Tych jedenaście największych skoków w PRL-u zrobił kwartet, którego nie pozwolono nam aresztować.

- Esbecy?

- Ubecy i esbecy. Czterech. Swój krył swojego, a od nas wymagano „kur Jaroszewicza”.

„Kur Jaroszewicza”? - zdziwił się „Bankier”. Wrogość glin do byłego (przez wiele lat) premiera rządu nie była dla Drozda tajemnicą, wiedział o niej cały naród. Jaroszewicz miał syna, którego zwano „czerwonym księciem” i który słynął z tego, że rznął polskie królowny teatralne i estradowe na spółkę z zaprzyjaźnionymi aktorami i piosenkarzami (gdy później zmieniła się moda, całe to gwiazdorstwo odbyło pokutę, recytując antykomunistyczne dytyramby w kryptach kościołów). Nadto Jaroszewicz-junior „lubił

wypić" i po wypiciu szaleć samochodami, gdyż uważał się za rajdowca. W całej Polsce wiedziano, że gdy z kulomiotem Komarem i piosenkarzem Dąbrowskim urządził nocny rajd na ślimaku ulicy Markiewicza, to załogę milicyjnego radiowozu, która to rodeo wyhamowała, w trybie pilnym przeniesiono z MO do MPO czyli do opróżniania śmietników. Drozd, jak każdy, słyszał tę historię, ale termin „*kury Jaroszewicza*” był dla niego nowością. Oficer wyjaśnił mu:

- To takie porzekadło w naszym slangu milicyjnym. Tak określamy grzebanie palcem w dupie, robotę bez sensu, wykonywaną zamiast tej, którą naprawdę powinna robić milicja.

- Ale skąd to się wzięło?

- Stąd, że Jaroszewicz miał willę po Tuwimie i mieszkała tam jego matka hodująca kury. Kiedyś cztery kury zniknęły i całą warszawską milicję rzucono do szukania tych czterech kur. Człowieku, to trwało tydzień, tydzień obłądu, dzień i noc, nie zajmowaliśmy się niczym innym, tylko tymi kurami. W końcu chłopcy kupili cztery kury od jakiegoś chłopca i dali Jaroszewiczowej zamiast tamtych, ale ona się wściekła, że jej byty ładniejsze. Okazało się zresztą, że te jej już się znalazły, nikt ich nie ukradł. Ja nie żartuję, tak naprawdę było!

- Bomba! - powiedział „*Bankier*”.

- I właśnie o to chodzi - rzekł gliniarz - czy mamy toczyć wojnę między sobą, czy też każdy weźmie, co jego, a my, zamiast was ganiać, będziemy szukać „*kur Jaroszewicza*”.

- Przekonał mnie pan - rzekł Drozd. - Kupuję te kury za pańską cenę. Ale pod warunkiem, że miesięczna cena nie zmieni się w ciągu roku.

- Tego nie mogę panu przysiąc. Chodźmy teraz obejrzyć te zniszczone posągi. Świadomość, że nie ma nic trwałego, pomoże nam w ustaleniu szczegółów - uśmiechnął się oficer i ruszyli ścieżką biegnącą brzegiem jeziora.

\*\*\*

Bezrobocie nie grozi tylko filozofom, gdyż absurdalny kontrast między pięknem świata i okrucieństwem życia to sekret, nad którym można się bez końca głowić. A poza tym wylanie grozi każdemu.

Tak właśnie, w maju roku 1983, wylano z Camp Peary pułkownika Hilla. Poszło o kilka słów. Pułkownik Tannerson przyblokował mu plany urlopowe. Hill, człowiek o kilka lat młodszy, a do tego drażliwy i w pretensjach, warknął publicznie, że Tannerson to zakompleksiały fiut, który nienawidzi swego personelu, bo bezskutecznie czeka na nominację generalską. Słowa te dotarły do uszu Tannersona i Hill został opieprzony w kantynie oficerskiej, przy wielu świadkach. Zemścił się szatańsko. Kolejny wykład (wykładał technikę werbowania agentów w krajach komunistycznych) zaczął takim wstępem:

- Proszę panów! Nawet najbardziej optymistyczni uczeni przyznają, że z wiekiem mózg się kurczy, przez co na starość ma on już wagę około dziesięć procent mniejszą niż w okresie szczytowym. Bywa jednak, że czyjś mózg się pospieszy, i wówczas taki typ, nim jeszcze dotknie go zgrzybiałość, już goni w piętękę. Sam znam dobrze jednego czerwonego, który jest tylko trochę ode mnie starszy, a którego mózg przedwcześnie zwapniał...

Po angielsku słowo „red” znaczy nie tylko: czerwony, lecz i: rudy. Jedynym w Camp Peary rudzielcem był pułkownik Tannerson. A ponieważ pułkownik Tannerson był również szefem obozu, to semantyczny cios pułkownika Hilla okazał się sztychem samobójczym.

Amerykanie o nieudanych zagrywkach tego rodzaju mówią: „strzelić sobie w stopę”. Dla obydwu panów zrobiło się w Camp Peary za ciasno. Co prawda Hill liczył na swoje plecy w Langley, lecz okazało się, że Tannerson ma tam lepsze plecy, bo lubi go sam

Millberg, naczelny boss całego interesu. Więc to Hilla, a nie Tannersona, zdymisjonowano i przeniesiono na zachodnie wybrzeże. Gdy Hill się pakował, wszyscy się zastanawiali, co robi teraz pani dr pułkownik Scarlett Dillon.

Hill liczył na to, że kochanka nie opuści go w nieszczęściu. Ale się przeliczył. Scarlett była dubeltową rozwódką, prócz tego miała już kilka „poważnych” związków i znała mężczyzn dobrze. Na tyle dobrze, by nie szukać u nich niczego innego poza prawidłową techniką towarzyszenia kobiecie od zachodu do wschodu słońca. Hill pod tym względem był niezły, ale niezłych jest na świecie dużo, a on miał jedną istotną wadę: był niezły już kilka lat. Ona zaś była podatna na nudę jak wszyscy wśród śmiertelników. Dlatego odmówiła mu towarzyszenia do Los Angeles.

Znalazła się w kłopotliwej sytuacji gdy wyjechał. Była najmłodszym żeńskim pułkownikiem Stanów Zjednoczonych, ale właśnie ukończyła czterdzieści lat, a to jest wiek, kiedy kobiecie ciało liczy godziny do zmierzchu lub nawet tej cierpliwości mu brakuje. Gdy zniknął Hill, mnóstwo adoratorów zaczęło starać się o jej względy, ona jednak nie mogła pozwolić któremuś zbyt szybko, bo w oczach wszystkich, od kursantów do oficerów, wyszłaby na dziwkę - pozory wymagały kilkumiesięcznej lub choćby kilkutygodniowej kwarrantanny. Oni, rozumiejąc to, nie naciskali gwałtownie; każdy, za pomocą merdania, mrugania, wzdychania i komplementowania przygotowywał sobie pozycję wyjściową do ataku, kiedy już atak będzie miał szansę sukcesu. Każdy, tylko nie Rick.

Podobała mu się, gdyż była kobietą piękną i dojrzałą, ale podobała mu się bardziej niż inne piękne kobiety, gdyż była wyzwaniem - tą wielką górą, którą trzeba zdobyć „dlatego, bo jest” i dlatego, bo trudno ją zdobyć. Wiedział, że i on się jej podoba - umiał czytać „obojętny” kobiecie wzrok - lecz wiedział, że przyglądała się nie tylko jemu, a kim on był wobec oficerów?, nikim. Wiedział również, jak ona się

mężczy z braku chłopa. I wiedział, że to, co on chce zrobić, może się skończyć tym, iż dzień, w którym to robi, będzie ostatnim jego dniem w Camp Peary i w CIA. Ale wyzwanie nie jest prawdziwym wyzwaniem jeśli nie ma w nim śmiertelnego ryzyka.

Scarlett Dillon jako pułkownik była na „Farmie” szefową ambulatorium. Jako lekarz-specjalista - była dentystką. Przyszedł do jej gabinetu z bolącymi zębami. Kazała mu się i przepłukać jamę, a następnie zawiązała mu pod brodą białą serwetę i poszła wyjąć instrumenty ze sterylizatora. Gdy się odwróciła i znalazła przy fotelu, oczy stanęły jej w słup - spod „śliniaka” wystawał jak królewskie berło obnażony penis klasy ziemia-powietrze!

Miała ułamki sekund na podjęcie decyzji: wezwać oficera dyżurnego, czy tylko wyśmiać młokosa, czy po prostu wykopać za próg. Rzuciła pytanie:

- Co to ma znaczyć?!

- To jest dolna jedyńka - wyjaśnił Korm. - Ona mnie rwie, pani doktor, źle sypiam od wtorku.

Już wiedziała, co zrobić. Uruchomiła wiertło i zbliżyła do tego pershinga, a Korm, ku jej zdumieniu, nawet nie drgnął. Zbliżyła jeszcze bardziej, tak iż diament wirował o milimetr od napiętej skóry, a ten drań wciąż się uśmiechał! Mówiono jej, że on ma najwyższy iloraz wśród kursantów; teraz zobaczyła, że ma zimną krew równą bezczelności i najpiękniejszy uśmiech - uśmiech młodego pirata.

Trwało to tylko kilka sekund, ale chcąc go przestraszyć, sama wpadła w pułapkę - podnieciła się, trzymając lekko drgające wiertło przy jego członku. Wylączyła instrument.

- Dziękuję, pani doktor - powiedział Rick.

- Wiesz, że mogłabym cię ukarać i relegować z obozu?

- Po co? - zapytał rozsądnie.

- Czemu się tak wygłupiasz?

- Nie wiem, to chyba miłość. A w miłości nie ma nic ważniejszego



od dolnej jedyńki, bez niej każda miłość, najgłębsza, najbardziej poetyczna, czuła lub szalona, więdnie równie szybko jak kwiat w suchym dzbanku, prawda?

Nie mogła zaprzeczyć. A gdy po kilkunastu minutach nie zaprzeczenia zegnała go, usłyszał rozkaz wypowiedziany wojskowym tonem:

- Kursancie Korm, macie się często zgłaszać, bo stan waszego uzębienia budzi moje głębokie obawy!

- Dolna jedyńka też?

- Jeden dobry ząb to zbyt mało, aby zaprzestać regularnego leczenia zębów. Proszę często przychodzić!

- Tak jest! - trzasnął butem o but.

Po czym udał się do sierżanta Lewisa i powiedział:

- Przegrałeś, frajerze.

- Co?!... Łżesz, cwaniaczku!

- Nie łżę, staruszk.

- Przysięgnij na wszystko!

- Przysięgam na wszystko.

- Na Boga też?

- Tak, Lewis.

Murzyn złapał się za głowę i jęknął:

- Ty bydlaku, pięć kartonów piwa! W życiu już się z tobą nie założę!

\*\*\*

Nie chciał, by wiedziała o nim - miała wiedzieć o Francuzach-filantropach. Przewieziono ją do Nowego Jorku na badania specjalistyczne, a te się wlokły, jak to bywa w beznadziejnych przypadkach, więc pragnąc sprawić dziewczynie radość, wysłał tam jej matkę i opłacił tydzień pobytu. Kiedy wróciła, dowiedział się, że jest zdemaskowany:

- ...Proszę pana, ktoś zdradził jej, że to nie żadna fundacja, tylko

prywatny sponsor. I kiedy zaczęła mnie męczyć, nie umiałam... no, nie umiałam kłamać dalej... Ania dała mi list.

List kończył się prośbą, by mogła - „**jeśli to możliwe**” - osobiście podziękować mu. Wtedy przypomniał sobie, że zawsze pragnął się wybrać do Ameryki. Inna sprawa, że nie do tej, do której mógł, bo marzyły mu się dziwne pejzaże: wielkie kołowce na środku rzeki, bezbrzeżne pola bawełny, półnaczy Murzyni, zaciszne werandy drewnianych rezydencji i białolice damy w krynolinach. Wiedział, że ten landszaft jest starą bajką, że nie zostało tam już nic z Twaina, Faulknera i Margaret Mitchell, ale zawsze miał właśnie to przed oczami, tak jak mali chłopcy mają przed oczami tylko widok Siuksów i kowbojów. „*Gdy się nie ma, co się lubi, to się lubi Broadway i Manhattan!*” - pomyślał, jadąc na lotnisko.

Zwiedził Manhattan i Broadway, lecz najpierw zwiedził szpital. Miała osobny pokój w luksusowej klinice profesora Gazzy. Wyciągnęła rękę (sparaliżowało ją od pasa w dół) i powiedziała cicho:

- Inaczej wyobrażałam sobie pana...

- Bardzo mi przykro, proszę pani. Ale teraz chirurgia plastyczna robi takie postępy, że i ja mam szansę.

- Proszę nie pleść głupstw... Miałam na myśli to, że wyobrażałam sobie starszego pana...

- No i zgadła pani, ja tylko wyglądam tak młodo, bo codzien nie jem kaszkę na mleku.

- Czy pan ze wszystkiego kpi?

- Z siebie ciągle. To taka obowiązkowa higiena psychiczna, jak gimnastyka poranna, żeby mi się w głowie nie przewróciło.

Milczała dłuższą chwilę i on też milczał.

- Chciałabym... chciałabym panu... - wargi zaczęły jej drżeć.

- Nie trzeba! - prawie krzyknął. - Naprawdę nie trzeba! Nie ma za co, i w ogóle nie mówmy o tym.

- Dlaczego pan mi pomógł?... Zupełnie obcej dziewczynie!

- Bo mam za dużo pieniędzy i lubię nimi szastać na oślep, jak to mówią: w ciemno.

- Znowu się pan wyśmiewa.

- Ale znowu z siebie, pani Aniu. Porozmawiajmy o pani, o pani dolegliwościach, o...

- Porozmawiajmy o tym, co w kraju, panie mecenasie. Pan jeszcze wczoraj tam był, a ja nic nie wiem, bo tutejsze gazety, radio i telewizja mato o tym mówią. I cóż znaczą moje dolegliwości, gdy tam rozgrywa się tragedia milionów! - zakończyła patetycznie.

- To, że cierpi kraj, nie znaczy, że czyjaś choroba przestaje być ważna - odpowiedział głupio.

- Czy pan jest w podziemiu?

- Tak.

- Wiedziałam, że tak!

- Ale nie w tym podziemiu, o którym pani myśli.

- Jak to?

- Nie należę do „solidarnościowego” podziemia. Moje jest dużo starsze.

- Dużo starsze? Starszy był KOR, ale wszedł w skład „Solidarności”, a KPN nie jest starsza od nich obu... Gdzie pan należy?

- Pani daruje.

- Rozumiem, konspiracja... To zresztą nieważne gdzie pan należy, ważne, że jest pan patriotą!

Nie okłamał jej dotychczas ani jednym słowem, więc postanowił, że spróbuje dalej trzymać się prawdy.

- Muszę panią rozczarować, nie jestem patriotą.

- Jak to pan nie jest?

- Po prostu. I nie jestem związany sercem z moją podziemną strukturą, chociaż pracuję w niej z całych sił.

- Więc czym jest pan związany z tą strukturą?

- Interesem.

- To znowu żart?

- Nie, proszę pani. W każdym podziemiu, powstaniu, ruchu, odkąd tylko istnieją takie rzeczy, jest bardzo mało ludzi, którym przyświeca idea. Motorem konspiracji i buntów jest u większości pusty żołądek, pusta kieszeń, albo żądza władzy, sławy, krwi, czasami wciągają do tego układy towarzyskie bądź środowiskowe, czyli swego rodzaju przymus, ale idea bardzo rzadko. Tak było i z naszymi powstaniami w XIX wieku, i obecnie jest tak samo, człowiek się nie zmienia. Gdyby nie puste kieliszki i talerze, robotnik nie podniósłby ręki na komunizm ani razu. Nie byłoby Poznania roku pięćdziesiątego szóstego. Radomia roku siedemdziesiątego szóstego, czy Gdańska w siedemdziesiątym i osiemdziesiątym. Wszystkie te strajki i bunty spowodował brak kiełbasy na talerzu i tylko on. Jeśli, oczywiście, pominąć brak wódki w kieliszku.

- To nieprawda! - zaprzeczyła histerycznie. - Jak pan może tak oceniać tych dzielnych ludzi?! Kto dał panu prawo do tego?!

- Moja wiedza o moim gatunku - rzekł. - Bardzo niewiele jest ludzi wśród ludzi, człowiek to istota płaska, fizjologiczna, a nie ideowa. Proszę mi powiedzieć, co pani sądzi o Gombrowiczu?

- A co ma tu do rzeczy Gombrowicz?

- Proszę odpowiedzieć.

- Bardzo go lubię, to wielki pisarz.

- I nie przeszkadza pani to, że ten wielki pisarz, którego zresztą ja też bardzo lubię, obśmiał, wykpił, wydrwił, wytarzał w smole, pierzu i gnoju cały polski patriotyzm i heroizm, całe zadęcie kulturowe, historyczne i martyrologiczne, robiąc z nas pajaców, którymi w istocie jesteśmy, tak jak wszyscy mieszkańcy wszystkich krajów świata. Robiąc to, obsusiał także pani idealizm.

- On miał na myśli co innego!

- Nie, on właśnie to miał na myśli. Dokładnie ten sam patriotyzm i ten sam idealizm, bo dysponował tym, czym i ja się szczycę, wiedzą

o naszym gatunku, którą...

Przerwała mu z oczami płonącymi gniewem:

- Mój idealizm jest wiedzą o tysiącach sybirskich zesłańców, o somosierczykach, o legionistach Dąbrowskiego i Piłsudskiego, o dzieciach walczących we Lwowie i na warszawskiej Starówce, o górnikach zastrzelonych w „Wujku”!...

Pożałował mówienia prawdy. Gdyby przyznał się, że jest bandytą, efekt byłby taki sam. Mógłby jeszcze argumentować, że podała przykłady głupie, bo związane albo z grą polityczną, albo z desperacką obroną przeciw fizycznemu zagrożeniu, co jest udziałem wszystkich osaczonych zwierząt, ale zrezygnował, bo przestraszył się tej furii, która mogła pogorszyć jej zdrowie. Odsłonił zęby w uśmiechu i rzucił kpiarsko:

- No dobra, koniec tych ćwiczeń z dialektyki!

Zdumiała się:

- Ćwiczeń z dialektyki?

- Chciałem udowodnić sobie samemu, że dialektyce podlega wszystko, to jest, że na wszystko można spojrzeć z dwóch stron i logicznie przedstawić nawet racje absurdalne. W końcu nie ma takiego zjawiska, którego nie można zinterpretować na dwa diametralnie różne sposoby. Jeśli, przykładowo, pisarz podczas autorskiego wieczoru lub kiermaszu podpisuje swoją książkę dużymi, zamazszymi ruchami pióra, to krytyk mu nieprzychylny powie, że takie rozpychanie się dedykacjami i sygnaturą na tytułowej karcie książki to megalomania i buta, zaś krytyk przychylny uzna taki rodzaj autografu za hojność, za szczery gest twórcy, który pragnie oddać czytelnikowi kawałek serca. Nie bez powodu komuniści tak reklamują dialektykę, to szatańska broń.

- A więc znowu pan kpił! Pan jest okropny, panie mecenasie! - uśmiechnęła się dziewczyna. - A może pan mnie sprawdzał, czy tak jak i pan jestem z serca wrogiem komunistów?

- Ja nie jestem ich wrogiem z serca, tylko z mózgu, proszę pani.
- W każdym razie nie z interesu!
- Gdybym był ich wrogiem dla interesu, to nie broniłbym więźniów politycznych za darmo. Staję przed sądami nie biorąc grosza od tych, których bronię.

Żełgał w poczuciu niewinności, gdyż pamiętał, że chorego wolno, a czasami nawet trzeba okłamywać, ale nie był pewien, czy ta dyspensa tyczy danego przypadku. Gdy po długiej rozmowie żegnał chorą, był już pewien, że tyczy. Świadomość tego lekko jątrzyła mu sumienie, choć zarazem w dziwny sposób przywracała równowagę ducha.

Nie wracał bezpośrednio do domu. Wylądował w Berlinie Wschodnim, gdyż „Petro” poprosił go o przysługę. Przysługa była walizeczką - przesyłką od Schalcka dla Heldbauma. Miała zamki numeryczne, z którymi „Bankier” poradził sobie przy pomocy słuchu (nauczył go stary kasiarz lwowski), albowiem lubił znać zawartość swego bagażu osobistego. Wewnątrz leżały trzy grube, pysznie zdobione świece - każdy ołtarz byłby szczęśliwy mając je na wyposażeniu. Ale Heldbaum nie dekorował ołtarzy, więc wniosek wysnułoby dziecko: w środku każdej musiał być jakiś ciekawy farsz. Tylko, że świec nie można otworzyć przy pomocy słuchu, dlatego Drozd zamknął walizkę, dowiózł, oddał i przestał myśleć o tym.

\*\*\*

Wałęsa był już wolny od listopada 1982 roku. Śledzono każdy jego krok, ale gdy chciał się urwać, to się urywał „sposobem”, chociaż niezbyt często, by nie drażnić podglądaczy. 10 maja 1983 roku ksiądz Jankowski szepnął mu w nawie kościelnej:

- Znasz niejakiego Strużyńskiego?
- Znam, to oficer bezpieczeństwa, z wywiadu, tak mi powiedział.
- Masz do niego zaufanie?

- Do żadnego „psa” nie mam zaufania, to może być provok.
- Obawiałem się tego, synu.
- Ale nie musi. Co jest grane, proszę księdza?
- Przysłał mi wiadomość, że chce się z tobą zobaczyć, tu, w Gdańsku.
- Dobra, tylko gdzie?
- Na terenie stoczni. W piątek wieczorem, dasz radę zgubić „ogon”?
- Dam.

Dał bez trudu - znał kilka lewych wejść na teren stoczni i znał jak własną kieszeń całe to kłębowisko hal, baraków, doków, kadłubów i zakamarków, w których żaden szpicel nie miał szans. Była ósma wieczorem, jeszcze nie ciemno, lecz już bardzo szaro. Od zatoki wiatr gnał kropelki morza, zapowiadając sztorm na Bałtyku. Wśród sterty porzewiałego żelastwa, tam, gdzie go umówiono, długo nie zjawiał się nikt. Wtem czyjaś dłoń dotknęła jego pleców. Odwrócił się i zobaczył dziada, którego ubranie przypominało trudy oblężenia Leningradu przez niemieckie wojsko.

- Witam - powiedział oficer.
  - Dobry wieczór - rzekł Wałęsa. - Pan mógłby grać w teatrze, panie Strużyński.
  - A nie robię tego? To mój zawód.
  - Jak pan tu wszedł?
  - Od strony morza.
  - Brawo. O co tym razem chodzi?
- Esbek wyjął zza pazuchy płaskie pudełko i wręczył Wałęsie.
- To jest ten dowód, który obiecałem panu.
  - Że mój człowiek to „kapusta”!
  - Ummm.
  - Takie dowody fabrykuje się równie łatwo jak parówki, wy jesteście spece od tego.
  - Ja pana nie zmuszam, żeby pan mi wierzył, panie Wałęsa! Być

może kiedyś, gdy znajdę się w nieszczęściu, będzie mi potrzebna pańska pomoc, ale chwilowo jest na odwrót, to pan potrzebuje „kapusty” w SB. I to ja robię panu łaskę, z której może pan zrezygnować w każdej chwili, wolna wola! - warknął przebieraniec.

- Spokojnie, nie tak nerwowo, nie chciałem pana obrazić, ale nie mogę panu ufać jak dzidzius w żłobku - rzekł Wałęsa.

- Uwierzy pan, jak pan przesłucha tę taśmę. Mam numer ważniejszy, panie Lechu. Chcą zabić Ojca Świętego, u nas, teraz, gdy przyjedzie.

- Kto?!

- Niemcy, chyba z pomocą naszych, ale tych naszych nie znam.

- Którzy Niemcy?

- Czerwoni. Chcą to zrobić świecą, która jest bombą. Podobno w Częstochowie...

- Świecą, która jest czym?

- Wewnątrz ma ładunek wybuchowy i mechanizm uruchamiany przez radio. Proszę zawiadomić Kościół, aby sprawdzano wszystkie świece, które będą obok papieża!

- W porządku... Ale dlaczego Niemcy? Jeśli to prawda, to raczej KGB! KGB szuka podwykonawców, najpierw byli Turcy i Bułgarzy, teraz mogą być Szwaby...

- Z pewnością bez zgody Ruskich nie robiliby tego. Ale ja słyszałem, że to ma być odwet Honeckera za to, iż Wojtyła odmówił pielgrzymki do NRD. Honecker o tym marzy, bo to ustawiłoby go na arenie międzynarodowej jako przywódcę prawdziwego państwa, jego ludzie jeździli do Watykanu i proponowali duży szmalec za wizytę choćby kilkugodzinną.

- Co jeszcze pan wie o tym zamachu?

- Nic. To i tak cud, że dowiedziałem się o świecy.

Wyjął paczkę „Marlboro”.

- Pali pan?



- Pałę. Tylko że właśnie zgasilem, dziękuję.

Esbek próbował sobie przypalić, ale nie mógł, był za silny wiatr. Wałęsa przytulił się do niego i osłonił płomień. Strużyński łapczywie wciągnął dym, trzymając papierosa tak, iż ognek był niewidoczny w mroku.

- Kolejna sprawa. Nobel jest pański na mur, tylko że...

- To już pan mówił.

- Ale nie ostrzegałem, by pan nie jechał go odbierać. Paszport wydadzą panu, lecz do kraju z powrotem nie wpuszczą.

- To pewne?

- Pewne. Zapadła taka decyzja.

- Dzięki.

- No to wszystkiego! - rzekł oficer.

- Kiedy się znowu zobaczymy? - zapytał Wałęsa.

- Jak będę miał coś ważnego, panie Lechu.

Wyciągnął rękę. Wałęsa uściśnął ją i nagle przypomniał sobie o kimś:

- Mówił pan wtedy o tym chłopaku z Belkowa. Zwolniono go już?

- Zwolniono większość, ale jego nie.

- Co, nie podpisał „lojalu”?

- Gorzej, rzucił się na komendanta, podobno z bronią. Tamten strzelił i chłopak dostał w pierś.

- Żyje?

- Żyje, to twardziel jakich mało, tak pod względem fizycznym, jak i psychicznym. Gdyby wszyscy u was byli z tego samego materiału...

- To byśmy już byli u władzy, panie Strużyński.

- No, tego nie jestem pewien. Póki „wielki brat” czuwa...

- Niech mi pan przypomni jego nazwisko.

- „Wielkiego brata”, panie Lechu?

- Tego chłopaka, panie Strużyński.

- Zenon... Tulak?... Telek?... Cholera, wtedy pamiętałem, ale teraz

nie... Tulik?... W każdym razie coś podobnego.

- Dalej Belków?

- Nie, ze szpitala zawieźli go do jakiegoś pierdła, do Sztumu czy do Wronek. Dostał wyrok za napaść na szefa obozu.

- Ile?

- Pojęcia nie mam, na pewno więcej niż rok.

- A jak tam pańskie plany?

- Jakie plany?

- Wobec drugiego „*wielkiego brata*”, tego, który jest naszym wrogiem, bo chce nas wytruć coca-colą. Chciał pan mu pomóc.

- Powiedziałem już, to nie pański biznes, panie Wałęsa. Być może zrobię to, ale...

- Ale wciąż nie jest pan gotowy?

Tamten nic nie rzekł. Odwrócił się i zniknął w ciemnościach jak duch. Wiatr przyniósł od morza długi przeciągły ryk syreny okrętowej, który nagle zgasł niczym zdmuchnięty płomień zapalniczki. Wałęsa wetknął pudełko pod kurtkę, zmarznięte dłonie wsadził do kieszeni i kuląc się ruszył do domu.

\*\*\*

Końcówka w Camp Peary była przeznaczona na finałową sesję testów i sprawdzianów, zwaną tu „*wyścigiem do bloków startowych*” i będącą w istocie wyścigiem - wściekłą rywalizacją o punkty, czyli o lokatę w końcowej klasyfikacji kursu, czyli o to, jaki staż lub etat otrzyma absolwent gdy z praktykanta i kursanta przemieni się w regularnego agenta CIA.

Prymus Rick Korm nie musiał się szarpać wzorem kolegów, i tak był najlepszy. Jednak udawał, że haruje, gdyż potrzebował alibi, które usprawiedliwiłoby jego dłuższą już nieobecność na sesjach erotycznych w Williamsburgu - usprawiedliwiłoby przed porucznikiem Quastem, przed kumplami z „*układu*” i zwłaszcza

przed dziewczynami z Williamsburga, bardzo niezadowolonymi z tej absencji. Tylko stary magazynier, sierżant Lewis, wiedział, kto jest prawdziwą przyczyną raptownej „impotencji” Ricka Korma; zdobył tę wiedzę w niepowetowane kosztowny sposób - za pięć kartonów piwa „Schlitz” (a groziło mu drugie pięć, gdyby pochwalił się komukolwiek swoją wiedzą).

Jeśli chodzi o wiedzę kursantów, to wykładowcy w Camp Peary nie ograniczali się do jej rutynowego sprawdzania. Inaczej mówiąc: nie interesowało ich tylko to, czy kursant wie, iż dwa plus dwa jest cztery, ale również: czy ma świadomość dlaczego czasami dwa plus dwa daje pięć lub, co gorsza, trzy. Temu służyły wypracowania mające precyzyjnie ustalić poziom intelektu i wszelką słabość przyszłych agentów CIA.

Pierwszym z takich wypracowań była klasówka pod tytułem:

*„Jak odróżnić sztukę erotyczną od pornografii w audiowizualnych środkach przekazu?”*. Temat zaskoczył egzaminowane towarzystwo, nie wyłączając Ricka Korna, który pomyślał sobie, że komuś w Camp Peary chlapnęło na mózg i stąd to pytanie. Koledzy wokół zabrali się jednak do roboty, a on siedział i dumał o Scarlett Dillon, rozważając, czy kobieta-pułkownik to sztuka, czy pornografia. Zmitrężył tym dylematem mnóstwo czasu, a gdy brakowało już czasu, uznał, że trzeba jednak coś spłodzić o owej różnicy zawartej w pytaniu wymyślonym przez kretyna, i tak zaczął: *„Różnica między melodramatem a filmem pornograficznym polega na tym, że w filmie o miłości młoda piękna żona młynarza odmawia księciu ustami pełnymi dumy, bo nie chce zdradzić swego starego męża, a w filmie pornograficznym ona robi księciu to, co w życiu zrobiłaby każda młynarzowa, ustami pełnymi czegoś zupełnie innego”*.

Przeczytał ów tekst i poczuł się zniesmaczony - była w tym pornografia. Zmiał kartkę i wziął drugą, by wyrazić to samo artystycznie, ale zostało już tylko kilkadziesiąt sekund, więc użył dwóch

zdań:

*„Sztukę i pornografię rozróżnić łatwo - sztuka podnosi, a pornografia opada. Przynajmniej mnie. Rick Korm”.*

Później, leżąc w łóżku obok Scarlett Dillon, skomentował ów egzamin jeszcze krócej:

- Banda idiotów!

- Mylisz się, kochany - odrzekła doktor Dillon. - To wypracowanie to sprytna pułapka. Odpowiedzi służą psychologom CIA do rozpoznawania pedałów wśród kursantów. Podobno pedał pisze na temat seksu w sposób charakterystyczny i oni bez trudu to wychwytyją. Dobrze wiesz, że nikt nie jest bardziej podatny na szantaż ze strony przeciwnika, jak...

Przerwał jej:

- No to należy zacząć kurs od tego sprawdzianu, a nie szkolić faceta przez tyle miesięcy i dopiero go eliminować! Miałem rację, to jednak banda idiotów!

- Tak, masz rację, to oni uznali Ricka Korma za geniusza. Banda kretyńców! I do tego wróżą mu fantastyczną przyszłość.

- Pod warunkiem, że się ożeni! Rozumiesz? Żeby mieć przyszłość, muszę się ożenić!

- Więc się ożeń! Masz kogoś na widoku?

- Mam.

- Jaka ona jest?

- Hit! Pasujemy do siebie jak dwa klocki Lego. Będzie z niej świetna żona sekretarza Korma, potem attache Korma lub konsula Konna, i w końcu ambasadora Konna!

Poczuła ból. Ten cudowny chłopiec, który odmładzał ją lepiej niż kosmetyki, musiał kiedyś znaleźć sobie młodszą niż ona; wiedziała, że nie utrzyma go długo. Ale z tym jest tak, jak ze śmiercią - wszyscy wiedzą, że muszą umrzeć, i wszyscy mają w codziennym życiu jakieś podświadome, wyabstrahowane z rozumu przekonanie, iż

będą żyć bez końca. A potem dowiadują się, że to już za kilka miesięcy. Dlatego poczuła ten ból, który był strachem i goryczą. Nie wiedziała, co dalej mówić. Spytała bez sensu:

- Jak ma na imię?

- Zgadnij jak ja mam na imię! Mam na imię Rett.

- Co?

- Rett Butler! Ten z „Przeminęło...”.

Zrozumiała. Ogarnęła ją chęć, by skakać, śpiewać i tańczyć jak w dzieciństwie na kinderbalu. Ale krzyknęła to, co powinna:

- Zwariowałaś, jestem dwa razy starsza od ciebie, Rick! No, prawie dwa razy...

- Zapytaj biologów, czy to nie najlepszy układ między samicą a samcem.

- Mogłabym być twoją...

- Właśnie o to chodzi. Matczyne uczucia do męża to fenomenalny cement małżeńskiego związku.

- Rick, na miłość boską!...

- Nie mieszaj do tego Pana Boga, Scarlett! To ja chcę się z tobą ożenić.

- Rick, od mojego drugiego rozwodu uważam, że Pan Bóg, gdy wynalazł miłość, był w lepszym humorze niż wówczas, gdy wynalazł małżeństwo. Nie chcę się po raz trzeci...

- A kto cię pyta, kobieto?! Słuchaj „głosu swego pana” i milcz, kiedy mężczyzna jest na mównicy! - burknął, przyciągając ją do siebie, pełną szczęścia, że ta pasująca jak klocek Lego ma na imię Scarlett.

Dzięki Scarlett Dillon Rick od razu zrozumiał, gdzie jest pies pogrzebany, gdy usłyszał temat kolejnego wypracowania. Niewinne pytanko brzmiało: „*Co, według ciebie, jest największą słabością systemu wywiadowczego Stanów Zjednoczonych?*”. Było to szukanie malkontentów i defetystów, ale nie przestraszył się; zamiast uczonej analizy historycznych oraz potencjalnych gaf CIA, napisał scenę o

charakterze przypowieści. Innym odpowiedź zabrała kilka stron, jemu kilka zdań:

*„Wzorowo wyszkolony agent CIA zostaje przewieziony łodzią podwodną do wybrzeży Grenlandii i w nocy ląduje. Rankiem każdy Eskimos na jego widok ucieka. Agent nie może tego pojąć: jest ubrany w focze futra, ma harpun z kości morsów, szybko i nienagannie zbudował igloo z brył lodowych, a surową wątrobę morsa zje bez wstrętu, więc o co im chodzi?! Wreszcie jakiś staruszek podszedł do niego.*

*- Dziadku, dlaczego wszyscy uciekają ode mnie? - pyta agent bezbłędną gwarą Eskimosów. - Przecież ja też jestem Eskimosem!*

*- Możliwe, synku - odpowiada starzec - ale ty jesteś Eskimosem nietutejszym, bo tu nie ma Murzynów-Eskimosów”.*

Kilka dni później Scarlett przywitała go pytaniem:

- Mam dwie wiadomości, dobrą i złą, którą ci najpierw sprzedać?

- Wiadomo, że złą, tylko jak mi powiesz, że się rozmyśliłaś, kotku, to dostaniesz od męża pierwsze lanie jeszcze przed ślubem!

- Na razie się nie rozmyśliłam, chodzi o coś innego. Twój Eskimos jest już głośny nawet w Langley i doprowadził tam do szału kilku kacyków. Według nich twoja odpowiedź znaczy, że uważasz szefostwo CIA za stado miernot robiących komiczne błędy wywiadowcze.

- Dokładnie tak.

- Ale oni się na ciebie wściekli. To jest ta zła wiadomość.

- A dobra?

- Dobra jest taka, że całe Langley, za wyjątkiem tych kilku, którym nadepnałeś na honor, pęka ze śmiechu opowiadając sobie twój dowcip, podobno sam Millberg bił brawo, gdy to usłyszał. Twoje akcje idą w górę, *my sweet boy!*

- Sama widzisz, że musisz być bardzo pracowita i bardzo grzeczna, to jest słodka, potulna i uległa, jeśli chcesz, bym wytrwał z tobą do czasu, kiedy zostanę prezydentem - mruknął i bezzwłocznie zaczął

sprawdzać, czy pułkownik Dillon w pożądanym stopniu przejawia wymienione cechy.

\*\*\*

12 maja 1983 roku, na Placu Zamkowym w Warszawie, milicja aresztowała kilkunastoletniego chłopca, syna kobiety, w której mieszkaniu spotykali się antykomuniści. Chłopca zawieziono do XVIII komisariatu przy ulicy Jezuickiej i bito tak długo, aż zaczął umierać. Umarł w szpitalu - lekarze byli bezradni. Ku zdumieniu władz sprawa nabrała gigantycznego rozgłosu w Polsce i za granicą, musiał się więc nią zająć prokurator. I trzeba było znaleźć winnych - takich winnych, aby zabójcza władza wyszła z tej afery z czystym mundurem.

24 maja problem ów trafił na stół obrad Biura Politycznego w Komitecie Centralnym partii komunistów. Biuro wydało krótką „Decyzję” adresowaną do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. **„Decyzja”** była rozkazem:

*„Traktować sprawę śmierci Grzegorza Przemyka jako nadzwyczajną. Powołać zespół pod przewodnictwem towarzysza-generała M. Milewskiego, który zajmie się koordynacją spraw wynikających z przebiegu śledztwa i oceną materiałów do wykorzystania w środkach masowego przekazu”.*

Powyższe zdanie jest jednym z tych zdań, które w przyszłości będą służyć magistrantom i doktorantom jako kanwa do szczegółowych analiz bolszewickiej grypsery, czyli „mowy-trawy”, będącej albo zwykłym „bla-bla-bla”, albo szyfrem kamuflującym czyny zbirów. W przypadku cytowanej „Decyzji” miało miejsce to drugie. Każda pleć, każda generacja, każda podkultura społeczna, profesja i klika mają własne kody do sprawnego porozumiewania się, aby nie mitrężyć czasu lub żeby nie popadać w naturalistyczną dosłowność. „Właściwie to powinienem zabrać panu prawo jazdy!” - informuje gliniarz pijanego kierowcę, chcąc podreperować stan swojego

budżetu, bo koniec miesiąca blisko. Młodzian, który chce się seksualnie odprężyć, mówi do dziewczęcia: „Skoczmy na chatę?”. Ojciec, który pragnie, by jego perswazja trafiła bardzo głęboko do serca niesfornej pociechy, zaczyna od: „Ja w twoim wieku...”. Stateczna, dojrzała kobieta, gdy chce się prędko oddać poznanemu mężczyźnie, zawiadamia go o tym w taki sposób: „Kocham mojego męża do szaleństwa”, lub: „Uważam, że między kobietą a mężczyzną może istnieć czysta przyjaźń, bez stosunków erotycznych”. Gdy Biuro Polityczne KC PZPR, w sprawie takiej, jak milicyjny mord na kilkunastoletnim chłopcu, rozkazuje swoim służbom represyjnym: **„zając się koordynacją spraw wynikających z przebiegu śledztwa i oceną materiałów do wykorzystania w środkach masowego przekazu”**, to znaczy: - **Chłopaki, zróbcie coś z tym całym gównem, ale tak, żebyśmy wyszli z tego na czysto, no i weźcie się, do kurwy nędzy, za pismaków, bo ten kit musi być wciśnięty ludziom na fest i wszystko ma grać jak ta lala!**

25 maja, w środę, powołano nakazany „Decyzją” zespół, do którego wszedł m.in. pułkownik Heldbaum. Wieczorem odbyło się posiedzenie zespołu. Kolejnego dnia (czwartek. Dzień Matki) pułkownik Heldbaum złożył raport z tego mityngu koordynatorowi służb KGB na obszarze Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, generałowi Mironiencie.

- Dyskutowano dwa warianty wybielania milicjantów - powiedział.  
- Pierwszy: że chłopak został skatowany zanim aresztowało go MO. Drugi: że został skatowany przez pielęgniarzy dopiero po zabraniu go z komisariatu do szpitala, a więc w karetce lub w szpitalu. Wybrano tę drugą możliwość.

- Paczemu? - zdziwił się kagiebowiec.

- Bo aresztowano go na ulicy. To problem świadków. Był zdrowy w momencie aresztowania.

- A świadkowie bicia przez sanitariuszy są?



- Tu nie trzeba świadków, pielęgniarze oskarżą się sami. My ich namówimy do tego, a prasa i telewizja zrobią z nich bandytów, którzy już parali się biciem i złodziejstwem.

- Dobry plan - pochwalił Mironienko. - U was dużo trzeba pielęgniarzy. Gdyby tak oni i kuracją tego popa chcieli zająć się...

- Pan generał ma na myśli księdza Popieluszko?

- A kogóż by?

- To nie taka prosta sprawa, ksiądz to nie uczeń, a ten ksiądz to pupił milionów Polaków. I stoi za nim Kościół oraz Rzym.

- Głupstwa mówicie, Mieczysławie Lejzorowiczu, ot co! My wiemy, że Kościół zły jest na tego popa, bo on za dużo krzyczy, a wasz Kościół mądry jest i zna: tiszcie jediesz, dalsze budiesz...

- To prawda, panie generale, tylko że tego księdza ludzie uwielbiają.

- No, Polaki zawsze buntowuszczyki, od kolebki do trumny, tak i kochają buntowuszczyka. A ty mi powiedz, Mieczysławie Lejzorowiczu: jakby oni dowiedzieli się, że u tego popa kochanica jest, co?

Heldbaum miał ochotę zatkać uszy. Nie przed tym, co mówił kagiebowiec, ale dlatego, że Rosjanin wciąż posysał, sprawdzając głębokość dziur w uzębieniu lub może płukając te dziury śliną, co było trudne do wytrzymania.

- Panu generałowi wiadomo o jakiejś kochance?

- Mnie o tym nie wiadomo, ale czy ja nie mogę przeczytać o tym w gazetach, Mieczysławie Lejzorowiczu?

- Ludzie w to nie uwierzą.

- Uwierzą, kochanieńki, uwierzą. Ty zapomniał, co Hitler mówił i co Giebiels mówił? Kłamstwo im większe, tym ludzie szybciej uwierzą.

Dopiero teraz Heldbaum rozeźlił się tym, co usłyszał:

- Według Goebbelsa i Hitlera pan i ja, towarzyszu generale, jesteśmy podludźmi, bo pan jest Rosjaninem, a ja Polakiem i Żydem!

Gdy ogłosimy, że Popiełuszko jest Rasputinem, to wyjdziemy nie na kłamców, tylko na durniów!

- Nie trzeba zaraz, że Rasputinem. Starczy jak gazety podadzą, że u niego, na przykład, garsoniera jest, co? I że to zły człowiek, bo głosi nienawiść, a jemu miłość głosić należy się. Ot, widzicie, nienawiść, to dobre słowo, trzeba ciągle pisać, że on nienawiść zachwala, że to pop, u którego nienawiść bogiem jest!... I niech to piszą ci, co potrafią pisać. Sami najlepsi, Mieczysławie Lejzorowiczu. A najlepszy u was ten mały okrągły...

Chciał powiedzieć: „*ten mały okrągły Żydek*”, ale przypomniał sobie z kim rozmawia i ugryzł się w język.

- ... ten uszaty, jak mu tam, no?...

- Urban, panie generale.

- Urban, tak! Spuścić go ze smyczy, u niego zęby ostre są.

Heldbaum zdziwił się w duchu: „*Ty trzymasz smycz, a ja mam spuszczać z niej psa?*”. Lecz odrzekł regulaminowo:

- Tak jest.

Mironienko wstał, pokazując, że to koniec audiencji. Lecz nim Heldbaum wyszedł, padło pytanie o Barbarę Brodziuchową:

- Czy ta twoja dziewczka jest już przy Wałęsie?

- Jej brat jest przy nim. Ona jest nauczycielką angielskiego w Gdańsku. Kiedy przyjdzie czas, zostanie wyrzucona z roboty i poprosi brata, żeby jej pomógł znaleźć nową. Ale nie chcę się z tym spieszyć, w Polsce jest takie samo przysłowie jak to rosyjskie „*tiszie jediesz...*”.

- „*Spiesz się powoli!*”!

- Właśnie.

- Widzisz, ja i polskie przysłowia znam! - uradował się Mironienko

- Nu, charaszo, tawariszcz pałkownik, czas u nas jest, spieszyć nam nie trzeba się, charaszo!

\*\*\*

Szef Podwydziału Agentur Zagranicznych w Wydziale Operacyjnym CIA, Tony Crivelli, wezwał Korma na ósmą rano, co było barbarzyństwem, i oznajmił bez wstępów:

- Wysyłamy cię do Europy. To będzie kilkumiesięczny staż, Korm.
- Do jakiego kraju?
- Do „kwadratu”.

„Kwadrat” w terminologu CIA oznaczał Polskę (ze względu na kształt Polski; z tego samego powodu Czechosłowacja była „ogórkiem”, a Jugosławia „sandwiczem” z powodu przekładańca narodowościowego). [ *Wewnętrzny, kryptonimowy slang CIA jest bardzo bogaty. W tekstach CIA rzadko używa się oficjalnych nazw, w rozmowach telefonicznych prowadzonych na zewnątrz Agencji jest to zabronione. Samą Agencję jej pracownicy określali jako „Kubark”, Stany Zjednoczone — „Odyoke”, Departament Stanu — „Odacid” itd. Podałem przykłady sprzed dziesięciu lat; dzisiaj w użyciu są już inne.* ]

- Czemu akurat tam? - zapytał Rick.
- A czemu nie?
- Nie powiedziałem: nie. Spytałem tylko, dlaczego adres ten, a nie inny.
- Z dwóch powodów. Po pierwsze niektórzy twierdzą, że masz duży iloraz, a w Polsce sytuacja jest bardzo skomplikowana, więc musimy tam wysyłać śmietanę. Po drugie wszyscy twierdzą, że masz polski rodowód, twój dziadek nazywał się Kormovsky.
- Komorovsky.
- Wszystko jedno, był Polakiem. Umiesz mówić po polsku?
- Umiem.
- To bardzo dobrze.
- Ale tylko jeden wyraz i nie wiem, co on znaczy. To chyba jakieś polskie przekleństwo.
- Ciekawe... - rzekł Crivelli. - Mój dziad był Włochem i ja znam

sporo włoskich wyrazów.

- Widocznie Włosi częściej przeklinają, proszę pana - podpowiedział mu Rick.

- Bardzo dowcipne! - zawarczał Włoch. - Mówiono mi, że jesteś królem kawalarzy! Ale nikt mi nie mówił, że warszawski ambasador potrzebuje błazna!

Spojrzeli na siebie tym wzrokiem, którym człowiek rzuca człowiekowi przekleństwo bez słów. Włoch nie lubił Korma odkąd tylko usłyszał o nim - należał do tych bonzów w Langley, którzy byli za wykopaniem szczeniaka, ale większość była za czymś przeciwnym, więc robił to, co mu kazano. Rick zaś od razu wyczuł tę wrogość i płacił pięknym za nadobne. Cisza trwała kilka sekund.

- Posłuchaj, Korm - odezwał się Crivelli. - Do twoich obowiązków będzie należało...

Słuchał wskazówek, które jego pamięć rejestrowała, ale ponieważ miał tak zwany podzielny mózg - myślał o czymś innym niż to, co wchodziło do jego uszu. Myślał o tym, co jego pamięć pogrzebała milion lat temu - o korzeniach rodziny.

Dziadek, którego Rick widział tylko na pożółkłych fotografiach (w tle dziadków stała pięknie rzeźbiona i malowana chałupa ze spadzistym dachem i z czymś w rodzaju werandy) przybył do „Czikagowa” między pierwszą wojną a drugą. Imigracyjny oficer przekręcił mu godność z Komorowski na Kormovsky, a później pracodawca skrócił to, żeby łatwiej wymawiać, i tak pozostało - Korm. Ojciec urodził się przy Milwaukee street, w dzielnicy polskiej, która wówczas była największym, nie licząc Warszawy, skupiskiem Polaków. Ale Ryszard (vel Rysio, vel Rick) urodził się już w luksusowym domu przy Michigan Avenue, zwanej Magnificent Mile, a dorastał w luksusowym apartamencie jednej z kukurydzianych wież Marine Towers, z cudownym widokiem na rzekę Chicago. Odpolonizowali się kompletnie, jeśli nie liczyć polskiego żytniego

chleba, po który ojciec jeździł czasami do piekarni Sieńkowskich „na Jackowo” (tak zwano polską dzielnicę, gdyż był tam kościół Św. Jacka). Z rodziną w „starym kraju” kontakty zerwali już dawno. Kiedy Rick nosił jeszcze koszulę w zębach, ich krewni, jacyś Komorowscy mieszkający w podlubelskiej wiosce, przysyłali listy, żebrząc o kilka dolarów lub dzinsów. Ojciec wysłał jedną paczkę, a później, gdy tej rodzinie zachciało się samochodów, nawet kolejnych listów nie otwierał, wyrzucał je do worka z makulaturą. Dlatego Rick niczego nie wiedział o miejscu, w którym miał pełnić pierwszą służbę. Ale wiedział, że w CIA musi być ktoś, kto wie wszystko na temat Polski. Gdy zapytał Crivellego o taką osobę, ten odesłał go do byłego szefa pionu Blok ZSRR, a obecnie wicedyrektora w Biurze Analiz Sowieckich (SOVA), Rudolfa Kranza.

Rudi Kranz urodził się w Żytomierzu; jako roczne niemowlę wyemigrował do Stanów Zjednoczonych; jako sekretarz ambasady warszawskiej i jako zastępca trzech kolejnych ambasadorów pracował osiemnaście lat nad Wisłą (aż złapano go, gdy pracował z aparatem w rękę zbyt blisko koszar, i wywalono do domu), więc Polskę i Polaków znał od podszewki. Udał się z Kormem na lunch (płacił Korm) i w ciągu godziny przekazał mu całą swoją wiedzę. Problemom gospodarczym, geograficznym, wojskowym i reżimowym nie poświęcił zbyt wiele czasu, bo aktualne dane leżały w archiwum CIA, w teczkach oznaczonych hasłem „**Polska**” (a do tego Rick miał przejść „szkolenie docelowe” w sprawach polskich) - skupił się na tym, czego nie było w teczkach i czego szkolenie nie obejmowało. Scharakteryzował Rickowi Polaków.

Z ust Kranza Korm dowiedział się, że Polacy są sentymentalni, marzycielscy, niecierpliwi, nieodpowiedzialni i dużo bardziej leniwi od Murzynów, a tylko trochę bardziej od Arabów. Nie mają na koncie większych zbrodni, prócz wymordowania w obozach wszystkich Żydów, za wyjątkiem tych, którzy uciekli do Nowego Jorku.

Walczą jak lwy, nawet gdy nie wiedzą po co, i modlą się jak mnisi, nawet jeśli nie wierzą w Boga. Całują w rękę przy powitaniu każdą istotę żeńską mieszczącą się w przedziale od zgrzybiałych staruszek do dziewczynek po pierwszej menstruacji, a na lotnisko i dworzec przyjeżdżają z bukietem kwiatów, nawet jeśli ten, kogo witają, był nieobecny tylko przez jedną dobę. Zakładają głuche telefony, niedrożne klozety i umywalki, oraz perforowany asfalt. Jedzą czysty cholesterol i myją się w czystej wódce o dużym stężeniu. Nie lubią Rosjan, Czechów, pederastów, abstynentów i rumuńskich sędziów piłkarskich, natomiast kochają przywódców z sumiastymi wąsami i ogórki kiszone. Za podstawowe lekarstwo uważają zsiadłe mleko, a rozrzutność za królową wszelkich cnót. Polki są najłatwiejszymi kobietami świata, a Polacy najlepszymi mechanikami od samochodów osobowych - co prawda budują masowo muzealne samochody, lecz nowoczesny samochód zostawiony nocą przy drodze potrafią do rana rozebrać z taką dokładnością, że nie zostaje nic prócz karoserii. Ich ulubionym środkiem płatniczym jest dolar, chociaż mają też własny pieniądz, który w swej nazwie zawiera złoto, co jest przejawem tradycyjnego czarnego humoru Polaków, bo pieniędzy ów, jak podstarzała niewiasta, z każdym rokiem regularnie traci na wartości. Do tego każdy Polak zna niczym pacierz, że w kapitalizmie pucybut może zostać miliarderm, ale ponieważ żaden Polak nie wpadł na to, iż większość pucybutów zostaje pucybutami, to każdy pragnie wyemigrować ze swojego kraju, mimo że każdy bardzo kocha swoją ojczyznę.

Tak jak Rick miał podzielny umysł, tak Kranz miał podzielne usta - jadł i mówił równocześnie, to mu nie przeszkadzało. Mówił głosem typowym dla ekspertów, gdyż był żywą encyklopedią spraw polskich - nic, co polskie, nie było mu obce. Żaden sekret polskiej duszy nie był dla niego zagadką, i tylko jednego nie rozumiał: czemu narodowy polski epos, który każde polskie dziecko wkuwa nim

wyjdzie z kolebki, zaczyna się od słów: „**Litwo, ojczyzno moja**”. Ale nie był to powód do wstydu, gdyż tego nie rozumiał nikt i żadnemu z Polaków nie udało się tego wytłumaczyć żadnemu z cudzoziemców.

Rick Korm uwierzyłby we wszystkie informacje, które Kranz mu sprzedał za cenę jednego żarcia, gdyby nie ta okoliczność, że był dobrze edukowany w Yale. Wiedział, że Holocaust to wyłączone dzieło niemieckich nazistów, którzy pobudowali obozy zagłady w okupowanej Polsce ze względu na ergonomię transportową, gdyż właśnie w Polsce mieszkało najwięcej Żydów, a mieszkało ich tam najwięcej dlatego, że prześladowani w wielu krajach, w Polsce znajdowali bezpieczny azyl. Słyszał również, że wielu Polaków płaciło śmiercią za ukrywanie Żydów, a ta garstka polskich Żydów, która przeżyła - przeżyła dzięki Polakom. Kranz skłamał i chociaż Rick przyłapał go tylko na tym jednym kłamstwie, stracił zaufanie do całego wykładu.

Pragnął zweryfikować resztę informacji. W tym celu udał się do kościoła Św. Jacka. Polski proboszcz przyznał, że połowa owej reszty jest prawdą, a druga połowa kalumnią, lecz nawet gdyby wszystko było prawdą, to i tak byłoby to bez znaczenia, bo Europa nie jest lądem azjatyckim tylko dzięki bohaterstwu Polaków. Ksiądz wygłosił krótszą prelekcję niż Kranz:

- Europa zawsze była kotłem nienawiści, rodzinnych swarów i wojen toczonych między sobą, ale z zewnątrz w drugiej połowie naszego tysiąclecia zagrożona była tylko dwukrotnie, w roku 1683 przez Turków i w 1920 przez Sowietów. W obu przypadkach uratowała się dzięki wielkiej bitwie. Bitwę pod Wiedniem wygrał polski król Jan Sobieski, a bitwę pod Warszawą polski marszałek Józef Piłsudski. Oto masz całą prawdę, bracie mój, i jest to prawda historyczna, nie obali jej nikt! Ameryka też jest wolna dzięki dwóm Polakom - Kościuszce i Pułaskiemu.

- A Australia i Afryka? - spytał Rick.

Ksiądz spojrział nań tak obrażonym wzrokiem, że Rick poczuł się głupio i jak niepyszny wycofał się z kościoła. W pobliżu był mały skwer i klomb pełen kwiatów. Siadł tam na ławce, by w ciszy ułożyć puzzel mózgu rozsypany od ciężaru polskiego dziedzictwa, ale choć wokół nie warczały samochody, ciszy brakowało. Źródłem tego hałasu okazał się rój wróbli na gałęziach drzew. Wróble ćwierkały jak szalone w języku zrozumiałym dla wróbli, więc niewielez tego rozumiał.

\*\*\*

Miasteczko Sztum w województwie gdańskim to stary grodek, który należał kolejno do Krzyżaków, Polaków, Niemców, i znowu stał się polski, gdy Hitler stał się „kaput”. W roku 1913 Niemcy zaczęli tu budować wzorowe więzienie, przeznaczając na to dziesięć hektarów pola uprawnego. W roku 1945 więzienie zmieniło szyld - mianowano je wzorowym zakładem penitencjarnym PRL-u. W roku 1983 wyładował tam Zenon Tolik.

Historia jednak czasem się powtarza. Tolika już po raz drugi przywieziono pod celę z izby szpitalnej, i po raz drugi przywitano w więzieniu jak księcia udzielnego. Nikt nie miał takiej legendy jak nikt nie rzucił się na szefa pudła lub obozu, i do tego z gnatem wyrwanym klawiszowi. To robiło wrażenie na najstarszych recydywistach. Na politycznych robiła wrażenie wiadomość, że odkrył kapusiów wśród bojowników. Wszyscy bez wyjątku - polityczni i kryminalni - okazywali mu szacunek należny ludziom, którzy wyrosli ponad przeciętną normę. Sam naczelnik więzienia sztumskiego, pierwszy raz w swoim klawiszowskim życiu, przestał „tykać” pensjonariusza - do „Górala” zwracał się per „panie Tolik”. Ale nawet to nie było szczytem awansu Tolika - szczytem był fakt, że Zenon Tolik osobiście poczuł się wielką figurą.

Nowa tożsamość, przyszyta mu mocno w Bolkowiu, a zrodzona



wcześniej z głupiego przypadku, najpierw bawiła go, niczym chwilowa maska na balu maskowym. Potem zaczął się z nią oswajać i w końcu zaczął ją uważać za właściwą, lepszą od cinkciarskiej i przemytniczej. Poczł smak piedestału, bardziej rajcujący niż nielegalne zdobywanie grosza. Wszedł w rolę. Rola nie wymagała wysiłku większego jak struganie odpowiednich min i małomówność, która zawsze budzi respekt. Co się miało stać, już się stało; teraz tylko obserwował jak rośnie jego nimb i w skrytości ducha cieszył się nowym wcieleniem, dużo bardziej podniecającym niż wszystko, co przedtem spotkało go w życiu.

5 czerwca, w poniedziałek, Tolika zaprowadzono do rozmównicy. Nie oczekiwał gościa, więc ta wizyta była niespodzianką. Ujrzał mężczyznę w średnim wieku, mającego sympatyczną mordę i wielkie krzaczaste brwi. Strażnik - ku zdumieniu Tolika - wyszedł, zostawiając go z facetem, którego brwi mógłby nosić na głowie łos.

- Panie Tolik - powiedział facet - przyjeżdżam od Lecha Wałęsy.

- To on wstąpił do WRON-u?

- Nie wstąpił. Dogadał się z juntą w pańskiej sprawie, a raczej to junta dogadała się z nim, bo to ona zaproponowała, żeby na pana wpłynąć.

- W jakiej sprawie?

- W sprawie emigracji na Zachód.

- Proponowali mi to już dwa razy. Nie wyjeżdżam!

- Wiemy, że panu proponowali. Proponują każdemu politycznemu, bo...

- Bo chcą nas wszystkich wypierdzielić za granicę!

- Dokładnie tak. Chcą spokoju, więc działają według przysłowia, że jak mniej będzie na tym wozie „Solidarności”, to czerwonym koniom zrobi się lżej. A z panem mają duży kłopot, bo pan swoją postawą usztywnia ludzi wahających się czy brać, czy nie brać paszportu.

- Eee tam! - machnął ręką Tolik. - Takie gadanie! Wielu wzięło i

wyjechało.

- Wcale nie tak wielu. Większość odmówiła.

- I bardzo dobrze! Tu jesteśmy potrzebni!

- Ma pan słuszność. Ale nam zależy, żeby pan wyjechał.

- Dlaczego?

- O tym potem.

- A skąd ja mam wiedzieć, czy pan nie jesteś kurwą z esbecji?!

- Jak wyrazi pan zgodę na wyjazd, to wypuszczą pana i przed wyjazdem spotka się pan z Lechem Wałęsą.

- Z samym Lechem?

- Tak.

- Jeśli tak, to... Czy to on chce, żebym...

- Gdyby nie chciał, to nie wysłałby mnie tu.

- No... niby tak. Dobra, zgodzę się wziąć paszport, ale bez rozmowy z Lechem nie wyjadę!

- Umowa stoi?

- Stoi.

Następnego dnia był już w Gdańsku. Wałęsa, który spieszył się na spotkanie z biskupem w sprawie bliskiej wizyty Ojca Świętego, mógł poświęcić Tolikowi kilka minut i to przeglądając jakiś papier.

- Dlaczego pan chce, żebym wyjechał stąd? - zapytał „Góral”.

- Bo tu pójdziesz do piachu. Jesteś za ostry, za bardzo podskakujesz. Na skoki przyjdzie czas, ale teraz trzeba inaczej, to jeszcze nie jest ten czas. Z takich jak ty, najostrzejszych, część wywalą za granicę, a resztę zaczną kosić. A ty jesteś niezły, więc szkoda by cię było. Dlatego chcę, żebyś wyjechał.

- Dokąd, panie Lechu?

- Do Paryża, Rzymu, Londynu, Sztokholmu, Brukseli albo Oslo...

Tam już powstają i będą powstawać nasze komórki.

- A kiedy tu wrócę?

- Jak przyjdzie tego pora!

- Ale co ja tam będę robił, panie Lechu?
- Będziesz pracował dla „Solidarności”.
- Ja bym wolał pracować tutaj dla pana, panie Lechu!
- Tam będziesz pracował właśnie dla mnie, „Solidarność” to ja!
- Czyli co będę robił?
- To, od czego jesteś specjalistą, to samo, co w Belkowie, będziesz grał w pokera, kapewu?
- Znaczy, że...
- Że będziesz łowił mendi, które esbecja wciska nam w każdy kąt. Mówią, iż masz nosa do tego.

„Góral” poczuł, jak rozpiera go szczęście misyjne (biorące się ze zrozumienia ważności misji powierzonej zaufanemu) i wymamrotał rytualną formułkę, którą w takiej chwili trzeba koniecznie mamrotać, co wiedział dzięki oglądaniu w młodości bohaterskich filmów o ludziach nie kłaniającym się kulom i innym przeciwnościom:

- Może pan na mnie liczyć!
- Właśnie liczę na to, iż mogę na ciebie liczyć - rzekł Wałęsa - Trzymaj się, chłopie!

\*\*\*

Podczas „szkolenia docelowego” zapoznano Ricka Korma z wieloma problemami kraju, do którego się wybierał, ale przede wszystkim ze strukturą i z funkcjonowaniem polskiego wywiadu i kontrwywiadu, chociaż obie te struktury (zwłaszcza wywiad) były polskie tylko terminologicznie, nie zaś funkcjonalnie. Kontrwywiad spece z CIA uważali za średnio dobry, natomiast brakowało im słów zachwytu, gdy mówili o polskich szpiegach pracujących dla GRU i KGB, a źródło tego zachwytu stanowił fakt, że byli pod wrażeniem świeżych osiągnięć Mariana Zacharskiego. Zacharski w ciągu niespełna czterech lat (1977-1980) zdobył w USA m.in.: plany techniczne

radarowych oprzyrządowań myśliwca F-15, bombowca B-1 i niewykrywalnego super-samolotu Stealth, plany eksperymentalnego radaru marynarki amerykańskiej floty podwodnej, plany rakiet Phoenix i Hawk, oraz szczegóły konstrukcyjne największego obronnego hitu Stanów Zjednoczonych - systemu antyrakiet Patriot, co w sumie pozwoliło Armii Czerwonej zaoszczędzić nie miliony, lecz miliardy dolarów. Zacharski wpadł i w roku 1981 został skazany przez amerykański sąd, zaś w roku 1983 radziecka dyplomacja usiłowała go wymienić na jakiegoś amerykańskiego szpiega schwytanego we wschodniej Europie.

Żegnając Ricka Korma Crivelli wręczył mu paczkę dokumentów związanych z ewentualną wymianą. Nowa koncepcja przewidywała wymianę Zacharskiego na Pawłowskiego, który był polskim oficerem, wielokrotnym mistrzem świata w szabli, i pracował dla CIA, ale również wpadł i siedział w polskim więzieniu. Te dokumenty Rick miał zawieźć do ambasady warszawskiej, gdyż właśnie tam pertraktowano z KGB na temat wymiany.

- Agencja zrobiła dla ciebie wszystko, co mogła - rzekł Włoch. - Teraz ty zrób dla niej wszystko, co możesz. Udowodnij tam, że masz talent nie tylko do opowiadania głupich kawałów na temat swoich przełożonych. Będziesz pracował w kraju trudnym, ale ułatwieniem winno być to, że jest to kraj twoich przodków, więc ich duchy będą przy tobie.

Tembr głosu, wyraz ust i wzrok Crivellego były trzema wierzchołkami trójkąta złośliwości.

- Pan to wie stąd, że swój staż odbył pan w Corleone na Sycylii, don Antonio? - spytał Korm.

Tego już było Crivellemu za wiele.

- Guardati, figlio di putana! [Strzeż się, synu kurwy! (skurwysynu).] - syknął przez zęby.

- Co pan powiedział? - zainteresował się Korm.

- Że jesteś bękartem, gnoju!

- Nie wiem, nie byłem przy tym. Tak samo jak i ty, figlio di comuto.

[ - synu rogakza ]

Dyrektor Anthony Crivelli zbladł jak trzepnięty w buzię. Żałował, że nie włączył magnetofonu. Gdyby włączył, mógłby wyrzucić tego bezczelniaka z Agencji za obrazę przełożonego. Lecz bez nagrania byłoby to trudne, gówniarz by się wyparł. Po chwili Włoch uświadomił sobie, że gdyby miał nagranie, to i tak nie mógłby się nim posłużyć, bo to on pierwszy obraził agenta. Zaś po drugiej chwili przypomniał sobie, że cała ta spekulacja jest bez sensu, bo robiąc teraz aferę, utopiłby swój wcześniejszy plan zgnojenia Korma - plan z puentą dla skazańca dotkliwszą. Odezwwał się głosem słodkim:

- Widzę, że znasz więcej wyrazów w języku mojego dziadka niż po polsku.

- Bo moi przodkowie też wywodzą się z Włoch - odparł słodko Rick.

- Tak?

- Tak. Refren polskiego hymnu narodowego mówi, że na zamieszkiwane obecnie terytorium Polacy przywędrowali z ziemi włoskiej.

- Nie łżesz, Korm?

- Słowo honoru! Może pan sprawdzić, niech pan zapyta Kranza. Albo niech pan obejrzy tłumaczenie hymnu.

- Mówisz, że refren?

- Tak. Ten refren powiada, że przywędrowali krokiem marszowym z Włoch. Nie jest tam tylko powiedziane, czy z Półwyspu Apenińskiego, czy z Sycylii. Ja myślę, że z Sycylii, jest na to zresztą pewien dowód.

- Jaki dowód?

- Polsko-włoska kaczka, chyba słyszał pan o tym?

- Nie.

- To opowiem panu, chce pan, don Antonio?

- Nie chcę, ale ty i tak to powiesz, więc zasuwasz.

- Jak odróżnić podczas walk kogutów kto jest Polakiem? Ten, który przyniósł kaczkę. A kto jest Włochem? Ten, który w zakładach postawił na kaczkę. A skąd wiadomo, że mafia brała w tym udział? Bo kaczką wygrała!

- Świetny dowcip, Korm - rzekł Crivelli i pomyślał: „*Na tę kaczkę, którą ty tam przywieziesz, mafia nie postawiłaby dwóch centów!*”.

Po wyjściu Korma Włoch zadzwonił do swego kolegi i złożył mu raport:

- Cześć, Marc! Żigolo twojej ukochanej wyfruwa pojutrze.

- Z nią? - zapytał pułkownik Hill.

- Sam. Ma się tam wpierw urządzić, a potem ona przyjedzie do niego.

- A przyjedzie?

- Jeśli zdąży. Dałem mu plik dokumentów. Wśród nich jest list do Browna. Brown załatwi to cudowne dziecko CIA.

- Jesteś tego pewien. Tony?

- Jestem. Jestem także pewien, że kiedy Brown załatwi gnoja, to ja będę dłużnikiem Browna, a ty moim dłużnikiem, amico mio. [- przyjacielu]

Drut Grahama Bella przeniósł z Los Angeles do Langley potwierdzenie takiego układu:

- Dozgonnym, Tony!

Tymczasem Rick udał się na przegląd filmów do sali projekcyjnej. Wyświetlono mu różne oblicza „kwadratu”. Była to mieszanka zdjęć szpiegowskich, reportaży telewizyjnych i fragmentów kinowych kronik. Najnowszy film pochodził sprzed miesiąca - zrobiono go w rocznicę pierwszej europejskiej konstytucji, którą Polacy uchwalili w 1791 roku. Rocznica Konstytucji 3 Maja drażniła komunistów, woleli pierwszomajowe „święto robotnicze”. Ale naród wołał to o dwa dni

późniejsze. Film był przeglądem ceremonii rocznicowych - pokazywał walki uliczne młodych Warszawiaków z młodymi pałkarzami represyjnej formacji ZOMO. Barykady, petardy, grad kamieni, wozy opancerzone i kłęby dymu. „*Nieźle świętują!...*” - pomyślał Rick.

Następnego dnia przyszło mu do głowy, że i on - tak jak Murzyn z „Roots” - winien poznać swoje korzenie familijne, bo w „*starym kraju*” będzie okazja do tego. I że tam na pewno będą dzieci, dla których trzeba kupić trochę prezentów. Płeć tych dzieci nie była mu znana, więc kupił kilka zabawek o nazwie „Transformer car-girl” firmy Hasbro Bradley Inc. W każdym pudełku znajdowała się lalka, ale na każdym pudełku widniały samochód i lalka, gdyż lalkę można było rozłożyć na części i z tych części zmontować samochód. „*Fenomenalne! pomyślał. -Gdyby Scarlett też była rozkładana, to ja bym jeździł sportowym kabrioletem marki Ferrari, z turbodoładowaniem, napędem na cztery koła i automatyczną skrzynią biegów!*”.

\*\*\*

Wbrew temu, co można było przypuszczać znając jego lenistwo - Clint Farloon ukończył szkołę i latem 1983 roku został przyjęty do Wojskowej Akademii USA w West Point. Jeśli chodzi o edukację (tę czy inną) nie miało to dla niego żadnego sensu, ale chciał upokorzyć „*dyra*” Mendeza.

W ostatnim dniu szkolnych wakacji przyszedł do domu Mendeza z Lową Abelmanem. Był ciepły, romantyczny wieczór, a okna Willi Mendeza były czarne jak noc, lecz to nie zmyliło dwóch kumpli, gdyż Lowa dowiedział się, że señora Mendez wizytuje swych rodziców w Mexico City, a señor Mendez łagodzi swą samotność w ramionach córki sąsiada. Dzwonek nie wywołał wewnątrz żadnej reakcji. Pukanie też. Wówczas zaczęli tłuc pięścią w szybę i wołać:

- Mendez, wiemy, że jesteś w domu!

Dopiero wtedy Mendez uchylił okno.

- Czego chcecie?! - przybrał ton policjanta.

- Chcemy realizacji zakładu! - odparł Clint.

- Jakiego zakładu?

- Tego, który zawarłem z panem. Jeśli mnie przyjmą do West Point, to pan odśpiewa „Another brick in the wal?!” Dostałem się, mam tu papiery z West Point.

- Założyliśmy się nie o to, czy się dostaniesz, tylko o to, czy ukończysz! - zełgał Mendez.

Farloon spojrział na przyjaciela wzrokiem kogoś, kto jest zdumiony do szczęścia, a Lova odpowiedział mu podobnym wzrokiem i refleksją teologiczną:

- Nigdy nie przestanę się dziwić, dlaczego w dekalogu brakuje przykazania: **Nie kłam!** Mogłoby się znaleźć na szóstym miejscu, zamiast „Nie cudzołóż”, które jest ewidentnym nieporozumieniem i powinno być wyrzucone won.

- Tak sądzisz? - spytał Clint.

- Tak, brachu. No bo przy pewnym wysiłku woli i mięśnia językowego człowiek może się powstrzymać od łgania, ale od cudzołożenia nie powstrzyma go nic, ciało zawsze okazuje się silniejsze. Jest coś perwersyjnego w ustanawianiu zakazu, którego nikt nie zdoła przestrzegać.

- Masz rację, choć z nieletnią to już nie jest sprawa dekalogu, lecz kodeksu.

- Honorowego?

- Nie, karnego.

Mendez zrobił się siny na twarzy, ale ponieważ miał latynoską skórę, nie było tego specjalnie widać. Widać to było tylko w jego drżącym głosie, gdy wymówił szepcząc:

- Okey, Farloon. Ale to miało być przy wszystkich uczniach. Przyjdźcie jutro do szkoły...



- Po co? - zdziwił się Lowa. - Niech pan przejdzie na drugą stronę domu i otworzy okno.

Mendez przeszedł na drugą stronę domu i ujrzał trawnik pełen dzieciarni szkolnej. Ciżba składała się ze wszystkich roczników. Gdyby nie framuga, którą trzymał kurczowo, upadłby na podłogę. Raptownie ciszę wieczoru rozerwał dźwięk gitary, najpierw jednej, potem drugiej, trzeciej i dziesiątej, sto kilkadziesiąt par rąk zaczęło klaskać w rytm, i ze stu kilkudziesięciu gardeł buchnęła pod niebo aria: „*We don't need no education!!!...*”.

Ostatniego dnia było pochmurno i wilgotno. W powietrzu wisiał deszcz. Clint udawał, że śpi, gdy ojciec jadł śniadanie i ruszał do szpitala - nie chciał się żegnać ze starym, nie chciał z nim rozmawiać w ogóle, tak jak nie rozmawiał już od ponad roku. Wstał, kiedy usłyszał, że wóz starego skręca na asfalt jezdni i oddala się z piskiem opon. Matka przy śniadaniu tylko zerknęła, ale nie powiedziała niczego - jej smutny wzrok dostatecznie głośno za nią mówił. Clint wbił oczy w talerz.

Pakował się do wyjazdu wiedząc, że może wróci za rok, a może nie wróci, na wakacje lub na święta. I że odtąd będzie tu tylko wpadał, lub nie będzie wpadał, bo rozpoczyna nowe, dorosłe życie. I że cholera wie jak mu się ono ułoży. Chciał wziąć coś na pamiątkę z tego domu. Otworzył pudełko z rupieciami składanymi przez dziesięć lat. Był tam żelazny sygnet, list, scyzoryk, kosmyk włosów, przysięga piratów, drewniane puzderko, dwa bilety kinowe, gogle, autograf Hendrixa, rękawica bokserska i ukradziona motelowa żarówka znad tapczanu, która oświetlała jego pierwszy wyczyn seksualny. Ale wszystkie te pamiątki nie były częścią tych murów. I wtedy przypomniał sobie „The Quilt”.

Amerykański „Quilt” to po prostu kapa na łóżko. Lecz dla Amerykanów znaczy ona coś więcej. Dużo więcej. To płócienny dowód na to, że nie przyleciało się z Marsa i nie zostało się wziętym z

ochronki - że miało się rodziców oraz dziadka i babcię, a może nawet pradziadka lub kogoś jeszcze dawniejszego.

„Quilt” jest bardzo pstrokaty, bo szyje się go ze ścinków różnych materiałów. Najważniejszy jest stary „Quilt”, ten, który szyła prababcia. Choć już wytarty, wypłowiały i cerowany po wielokroć - jest relikwią rodu. Zmieniając dom, miasto, stan, można wszystko zostawić, ale „Quilt”. zabiera się wszędzie. W domu Farloonów był „Quilt” szyty przez praprababkę, która wyemigrowała z Irlandii. Clint uciał mu jeden róg i dopiero wtedy walizka dała się zamknąć.

Z Calais do West Point jest około 500 mil szosą blisko wybrzeża Atlantyku, przez Portland i Boston, więc Lowa Abelman, który odprowadzał przyjaciela na Greyhound station (dworzec autokarowy), rzekł:

- To kretyństwo!

- Co?

- Gniewać się na starego tyle czasu. Zawiózłby cię tam swoim wozem dwa razy szybciej.

- Spadaj!

Na przystanku było pusto, czekało kilku ludzi. Wypili colę, gadając o głupstwach, gdy wtem Lowa dostrzegł mężczyznę w nieprzemakalnym płaszczu, stojącego kilka jardów od nich, pod ścianą. Spojrzał na swój zegarek i uniósł głowę, by sprawdzić czas na zegarze dworcowym.

- Stary, muszę już biec do domu!

- Przecież miałeś pomachać mi, gdy będę odjeżdżał... - zdziwił się Farloon.

- Tak, ale przypomniałem sobie, że matka umówiła mnie z dentystą! Trzymaj się, Clint! I czasem skrobnij!

Lowa rzucił mu się na szyję i zniknął. Wówczas mężczyzna w nieprzemakalnym płaszczu podszedł i stanął obok, tam, gdzie przed chwilą stał Lowa Abelman. Stali długo bez słów. To milczenie było

trudne dla każdego z nich. W końcu mężczyzna spytał:

- Pożegnałeś się z matką?

- Tak... Ale może nie tak jak chciałem... Tato, powiedz jej, że bardzo ją kocham.

- Powiem, synu.

- I niech ona ci powie, że ciebie też bardzo kocham.

- To tak jak ja ciebie, Clint.

- Ty mnie?... Przecież masz najgorszego syna!

- Nie mam najgorszego syna. Jest wielu synów, którzy wolności szukają w narkotyzowaniu się i w nie używaniu łazienki, oraz wielu takich, którzy kradną, prostytuują się, i to wszystko oznacza dla nich być wolnym, a dla ich rodziców to jest wielki życiowy dramat. Ja chyba, dzięki Bogu, popełniłem trochę mniejsze błędy wychowując swoje dziecko.

Sięgnął do kieszeni płaszcza po złotą bransoletę i wręczył ją synowi.

- Weź ten drobiazg, synu.

- Tato... bransolety są dla kobiet...

- Nie tylko dla kobiet.

- Jaki dziwny materiał! To plastik?

- Nie, to bursztyn.

- Czyli co?

- Żywica iglastych drzew skamieniała przed milionami lat. Kopie się ją i znajduje na wybrzeżach Morza Bałtyckiego, głównie w Polsce. Mam to po przyjacielu, spadochroniarzu polskim. Uratował mi życie w Arnheim, gdy dostałem niemiecką kulą. Wziął mnie na plecy i przepłynął ze mną na drugi brzeg Renu. To jest amulet, Clint. W starożytnym Rzymie bursztyn był symbolem szczęścia, rzymscy gladiatorzy nosili bursztynowe amulety z napisem „**Zwycięzę!**”.

Clint obejrzał dwie strony amuletu, zewnętrzną i wewnętrzną.

- Tu nie ma żadnego napisu...

- Bo to nie należało do rzymskiego gladiatora.
  - ... jest tylko wyryty czyjś profil. Jakiś facet w kapeluszu. To ten twój kumpel?
  - Nie, to Kościuszko.
  - Ale chyba nie ten Kościuszko, który...
  - Właśnie ten. Ten, który walczył u boku Waszyngtona, a później zrobił w swojej ojczyźnie powstanie i dziś jest bohaterem narodowym Polaków. Ta bransoleta ma prawie dwieście lat, Clint.
  - Więc jest zbyt cenna, żebym ją wziął...
  - Czy wiesz, czemu ci ją dają? Bo jedziesz studiować właśnie tam. Fortecę West Point wybudował dla Waszyngtona Kościuszko...
- Przed nimi zatrzymał się autokar do Nowego Jorku. Clint schował bransoletę, oparł czoło na ramieniu ojca, a ojciec przytulił go obydwiema rękami.
- Bądź zdrow, synku. I pamiętaj, że w życiu chodzi tylko o jedno. O to, by ciągle zwalczać w sobie tę małą świnię, która jest w każdym z nas. Niektórym to się udaje, Clint.

\*\*\*

Metropolia zwana Warszawą rozczarowała stażystę Ricka Korma. Stolica dużego kraju, w której nie można zjeść Big Maca (z tego niezrozumiałego powodu, że bary Mac Donalda tam nie istnieją), a „New York Herald Tribune” można kupić tylko w jednym miejscu, przy czym najświeższy numer jest sprzed dwóch tygodni - to busz. Ale w robocie wszystko grało, gdyż szef bezpieczeństwa ambasady, Steve Brown, lubił nowego sekretarza i ułatwiał mu żywot. Dał mu nawet swoją gablotę, kiedy Korm postanowił jechać z wizytą do rodziny.

Rick chciał wykorzystać w tym celu któryś weekend, ale ponieważ w weekendy ambasada nie może być martwa jak trup, a starzy pracownicy nie kochają weekendów za biurkiem - zwalano soboty i

niedziele na nowicjusza. Nie miał też pewności, czy zastanie krewniaków podczas weekendu, bo i oni mogli świętować poza domem. Więc gdy Brown zasugerował, że święta Bożego Narodzenia są idealne (wówczas każdy Polak siedzi w domu) i obiecał załatwić trzy dni wolnego - Rick zdecydował się na pierwszy dzień świąt. Cudzoziemiec zapyta w tym miejscu: dlaczego Korm najpierw nie zadzwonił? Lecz spyta tak tylko ten cudzoziemiec, który nigdy nie był w Polsce. Taki cudzoziemiec uważa, że w Polsce telefony robią to samo, co na całym świecie - łączą ludzi.

Adres dała mu matka, a drogę znał dzięki mapie. Około stu mil - dwu-trzy godzinna jazda szosą lubelską. Tak to sobie wyliczył, ale w Polsce uprzątnięciem zimowego śniegu z dróg i ulic zajmuje się lato, a tego Kranz mu nie powiedział, i na „szkoleniu docelowym” też zostało to przemilczane. Więc chociaż wyruszył z samego rana w pierwszym dniu świąt - zajechał na miejsce w ciemnościach wieczoru.

Stanął przed dużym piętrowym domem, który wcale nie przypominał chałupy dziadka, bo nie miał nic z folkloru ludowego, wszystko zaś z surowego gazobetonu, prócz kolorowej bramy, na którą padało światło reflektorów forda i mocz jakiegoś faceta, co odlewał się na tę bramę. Dalej była betonowa ścieżka i przysypany śniegiem klombik, na który rzucał kwiecistego pawia inny gość. Trzeci facet siedział i wymachiwał flaszką na schodkach do otwartych drzwi, zza których buchały w zimową noc kłęby dymu i rytmiczne dźwięki disco z murzyńskim wokalem. Korm rozpoznał „Thriller” Michaela Jacksona, przypominając sobie cudowne wideopląsy wampirów na cmentarzu.

Wszedł i wybałuszył wzrok. Mógł przewidzieć dużo, ale tego przewidzieć nie mógł - trafił na wesele! Ujrzał bajecznie widowiskowy tłum chłopów przyodzianych w tradycyjne stroje ludu polskiego: czarne garnitury i kolorowe sukienki z tafty. W każdym ką-

cie domu ktoś jadł, pił, płąsał, śpiewał, ścisnął, czekał, całował lub paplał, albo robił to wszystko równocześnie jak sztukmistrz żonglujący tuzinem talerzyków. Rick nie wiedział kto jest tu krewniakiem, a kto gościem, nie miał pojęcia kogo zagadnąć. Czuł się jak duch, nie dostrzegano jego obecności. Więc stanął obok magnetofonu i wyłączył głos. Zrobiło się cholernie cicho, tylko któryś z tancerzy wyraził zdumienie:

- Co jest, kurwa żesz mać!?

- I am Rick Korm - powiedział Rick - and I came from USA. Rick Komorovsky. Ko-mo-rov-sky! That's me, here I am! I'm looking my family, Komorovsky... Ry-sio Komorovsky! <sup>2</sup>

- Święty Franciszku! - krzyknęła stara kobieta odziana w kolorową chustę zamiast w taftę. - Toż to Rysio, wnuk wuja Stacha!...

Rick podbiegł do niej i wyjął zdjęcie z dziadkiem na tle rzeźbionej chałupy.

To, co się działo potem, przypominało tornado, które kiedyś widział, lecz teraz był w oku cyklonu. Ścisnąto go, śliniono, poklepywano, aż wreszcie usadzono na honorowym miejscu za stołem (między panną młodą a panem młodym) i wznoszono na jego cześć furę toastów, gdyż trzeźwość, raptownie odzyskana ze szczęścia, że tu przybył, była trudna do wytrzymania o tej porze i chciano szybko wrócić do stanu nirwany. Później ktoś wpadł na pomysł, by podrzucić „Amerykańca” jak sportowego mistrza, więc fruwał blisko stropu. Następnie był mistrzem parkietu, bo każda dama chciała z nim tańczyć. Wyrывano go sobie z rąk. Nim pokosztował sałatki w majonezie, karpia w galarecie i bigosu „myśliwskiego”, miał już to wszystko na ubraniu. Dialog z nim większych trudności nie sprawiał, bo aż troje weselników - nauczyciel ze szkoły wiejskiej, dziennikarz z Lublina (kumpel pana młodego) i jego przyjaciółka -

---

2 Jestem Rick Korm. Przyjechałem ze Stanów. Rick Komorovsky... Tak to naprawdę ja. Szukam mojej rodziny Komorowskich...

gadało trochę po angielsku, więc robili za tłumaczy. Języki obce znał również kudłaty staruch, który siedział na ławie i wybałuszał demoniczny wzrok i unosząc rękę jak do błogosławieństwa lub groźby, seplenił złowieszczco:

- Primus inter pares - mane, tekel, fares!<sup>3</sup>

- To Wernyhowski - objaśnił Korma nauczyciel. - Szlachcic, kiedyś ta wiocha była jego, ale po wojnie komuna zrobiła z takich jak on dziadów, wszystko mu zabrali. Chłopy go lubią, bo wróży im przy pomocy kart, więc go wspomagają, inaczej dawno już by zdechł z głodu. Zresztą całkiem tak samo jak ja. Tak naprawdę to jestem poetą, a nie nauczycielem, ale muszę tu uczyć, bo czerwoni nie wydają moich utworów, więc pomyślałem sobie, że gdyby pan, mister Komorowski, zechciał wziąć kilka i pokazać jakiemuś wydawcy w Ameryce, no i pchnąć, wie pan... Ja mogę nawet przetłumaczyć na amerykański, żeby...

- Tańczymy disco! - wkroczyła między nich przyjaciółka dziennikarza, podcięta w znacznym stopniu. - Rachelska jestem, uwielbiam disco!

Stepując w rytm disco Korm nie wiedział, co odpowiedzieć na jej pytanie:

- Mister Komorowski, czy żona prezydenta Reagana należy do Women's Liberation?

Tak jak później miał kłopot, gdy przyklepił się do niego dziennikarz, pytając:

- Co tam, panie Komorowski, w Ameryce? Uwielbiam Amerykę!... Czy pan mógłby załatwić mi przez ambasadę jakieś stypendium?

Potem już co chwila ktoś brał go na bok i szeptał: „*Panie Amerykaniec, bądź pan człowiek, co? Pan to masz dużo forsy, a ja to biduje*

---

3 Zbitka łacińskiego „pierwszy między równymi” i babilońskiej przepowiedni upadku rządzących: „policzono, zważono, rozproszono”, która pojawiła się w trakcie legendarnej uczty.

tu, jak Boga Kocham!"; „Rychu, mnie to ciągnik, rozumiesz, tego, traktor po waszemu, no nie?"; „Panie Rysieńku złoty, pan na pewno potrzebujesz służącą, a ja to jezdem robotna kobita..."; „Na parę miesięcy, okey? Zwróć ci z górką, u mnie jak w banku!"; „Jedno zaproszenie, zaproszenie, wasza ekscelencjo!";

„Mojemu przyślij pan takiego forda, a ja będę się za pana modliła do samiutkiej śmierci, panocku!"; „Bo wiesz, bo mnie wydali za tygo Józka, bo łon to ma młockarnie, to i nom obrobi. Ale żebym ja go lubiła, to nieprawda, nieprawda!... Byś ty mnie ze sobo do ty Ameryki, to ja by tobie robiła wszystko, o Jezuuiu!"; „Herr Komorowski, jak by pan chciał ziemię, fruchtbarer Grund, to ja mam pod lasem kilka hektarów prima sort, das ist sehr billig, verstehen Sie?"; „No i jak ci się weselisko podoba, Rysiu? Za byle kogo Jadźki nie dałem, na studia do Lublina poszła, i patrz, inżynierka sobie przygadała, miastowy! Dupek, obie graby lewe u niego, ale miastowy! Dziennikarza ma za kolegę! Ino, że najlepiej by było, co byś ty ich do Ameryki wziął, Rysiu...".

Rick nie rozumiał ani słowa. Uśmiechał się i odpowiadał:

„okey" lub „terrific" lub „fine". Nie mógł wiedzieć, iż jedyne amerykańskie słowo, jakie w Polsce zna każdy, to „okey", lecz szybko spostrzegł, że przy „terrific" i „fine" ludzie markotnieją, a gdy mówi im „okey" - robią się pełni szczęścia i wtykają mu kartki z adresami. Więc zaczął odpowiadać tylko: „okey". W ciągu godziny rozdał pięć traktorów, osiem samochodów (w tym dwa ciężarowe), sześć jednośladów marki Honda, wózek inwalidzki i łódź żaglową, wybudował jeden tartak i jeden dom z pełnym wyposażeniem gospodarczym, odkupił grunty rolne równe powierzchnią terenowi Disney landu, kościół wzbogacił o nową dzwonnice, a PGR o nową chlewnię, nie mówiąc już o tym, że wysłał kilkudziesięciu ludzi do Nowego Jorku, najął dwie kobiety do służby, a czterem czy pięciu innym przyrzekł małżeństwo.



Gdyby każda ze wspomnianych oblubienic trzymała buzię na kłódkę, nie byłoby dramatu. Lecz kiedy dowiedziały się, że w amerykańskim łóżku Rysia Komorowskiego będzie ciasno od nadmiaru małżonek, zaczęły się między sobą prac. Mężczyźni zaczęli je rozdzielać i wzniecono tradycyjny weselny bój, toczony z taką furią i wprawą, że sam Bruce Lee by zwiewał. Korm właśnie to zrobił.

Ale na podwórku już czekał pijany funkcjonariusz MO. Wepchnął Ricka do służbowej wołgi i zawiózł do swojego domu. Tam obudził córkę i rzekł:

- Maryśka, daj panu dupy!

- A bo co, ojciec?

- A bo to, że to jest Amerykan i na weselu u Komorowskich szukał żony, rozumiesz, idiotko? Czterem dziewczynom przyobiecał, ale jak tobie pierwszej dzieciaka zrobi, to będzie twój. No, jazda!

Rick, nie rozumiejąc po polsku, zrozumiał, co jest grane i rzucił się ku drzwiom. Milicjant rzucił się za nim, lecz Rick obalił go jednym uderzeniem i już był na wolnym powietrzu. To powietrze przynosiło ulgę - studziło mózg gotujący się od diabelnie mocnej wódki, którą pił na weselu i którą rodzina nazywała „*beembaer*”. Wziął pryzmę śniegu i przyłożył do czoła. Potem włókł się drogą, rysując zygzaki między rowem a rowem, wlaźł do jakiejś stodoły i urwał mu się film.

Zbudził go już o piątej Felek Stańczak, śmieszny gość w bordowym kożuszku i bordowym bereciku.

- Uciekaj, Amerikano - rzekł, potrząsając kluczykami Konna. - Wiej, bo jak oni wszyscy zbudzą się i cię znajdą, to cię zjedzą żywcem, nie zostanie z ciebie nic.

- What? - jęknął półprzytomny Rick, nie mogąc otworzyć oczu.

- Chłopie, ja jestem kawalarz, robię sobie jaja z każdego, takie mam powołanie od Bozi, ale teraz chcę wyciąć numer im, a nie tobie, tobie ratuję tyłek, więc się rusz! - szarpnął go Stańczak i jeszcze raz potrząsnął kluczykami jak malutkim dzwoneczkiem.

Rick zrozumiał. Wziął kluczyki, rzekł: „**Thanks, friend**”, i udał się do samochodu.

Następnego dnia Brown znalazł w bagażniku kilka lalek „*Transformer car-girl*”. Oddał je Rickowi, mówiąc:

- Wolę trochę większe, te ci zwracam.

\*\*\*

Clint Farloon ukończył swoją naukę w akademii wojskowej West Point w styczniu roku 1984, to jest po zaledwie kilku miesiącach od momentu, kiedy się tam zjawiał. Gdyby przyczyną była jego cecha wrodzona, którą Francuzi nazywają dźwięcznie „gaminerie” (urwisostwo), nie byłoby w tym niczego specjalnie dziwnego. Lecz powodem okazało się coś, co starożytni Grecy nazwali „*demokracją*” (władzą większości).

Demokracja jest to wspaniały system, o którym Churchill powiedział, że „**jest to system najgorszy, ale wszystkie pozostałe są jeszcze gorsze**”. Zapewne chodziło mu o fakt, iż w demokracji głosy pijacków i prostytutek liczą się tak samo jak głosy inteligentów i biskupów, a mimo to (mimo że w każdym państwie jest więcej pijacków i kobiet źle się prowadzących niż ludzi inteligentnych i wyświęconych) - tam, gdzie jest demokracja, sprawiedliwości jest trochę więcej niż tam, gdzie panuje deliryczno-karykaturalna imitacja bonapartyzmu.

W świecie współczesnym za symbol demokracji wzorowej uchodzi demokracja Stanów Zjednoczonych, gdyż demokratyczna treść i demokratyczna forma są tam prawidłowo powiązane, co jest rzeczą bardzo ważną - forma i treść zawsze powinny ze sobą współpracować, dotyczy to sztuki, literatury, gastronomii, miłości, religii, polityki, wszystkiego w życiu (w Polsce, na przykład, kobieta, która uważa się za wyzwoloną Europejkę i chce połączyć formę z treścią, wcale nie zdradza męża w „Hotelu Europejskim” w Warszawie, tylko

w „Hotelu Francuskim” w Krakowie). Natomiast za symbol idealnego zobrazowania demokracji „*made in USA*” uchodzi genialny film Lumeta „Dwunastu gniewnych ludzi”, o którym każdy wie, że została tam pokazana sytuacja modelowa: jak system większości wymusza zwycięstwo prawości (i tylko nikt nie zauważył, że film ten jest ilustracją czegoś zupełnie przeciwnego: jak demagogia spekulacyjna vel spekulacja demagogiczna w wykonaniu jednego charyzmatyka, który umiejętnie posługuje się logiką sofistyczną - ogłupia większość i sprawia, że w końcu ta większość terroryzuje mniejszość, wymuszając zwycięstwo wartości podejranej). Lumet ukazał triumf demokracji metodą „*reductio ad absurdum*” i dokładnie tak samo zatriumfowała większość na grzbiecie Clinta Farloona w West Point.

West Point istnieje od roku 1802. Kształci elitę oficerską Stanów Zjednoczonych. Jest jak Hollywood lub Niagara Falls - nie ma konkurentów o podobnym prestiżu. Ekonomisci mają Harvard Business College, inżynierowie MIT (Massachusetts Institute of Technology), a oficerowie - United States Military Academy w West Point (tak jak armia francuska Saint-Cyr, zaś angielska Sandhurst).

W West Point fenomenalne jest wszystko. Fenomenalny rodowód - czas powstawania Stanów Zjednoczonych. Fenomenalny budowniczy zrębów - wielki Tadeusz Kościuszko, przyjaciel Jeffersona i Waszyngtona (w wybudowanej przez Kościuszkę twierdzy West Point mieściła się kwatera główna Waszyngtona). Fenomenalne położenie - na wysokim malowniczym brzegu rzeki Hudson. Fenomenalna stołówka dla kilku tysięcy osób, zdobiona freskami, które przedstawiają bitwy pod Blenheim i Gettysburgiem. Fenomenalne muzeum z popiersiami Napoleona i von Moitkego. Fenomenalna opuszczana krata, zamykająca wrota do budynku komendantury. Fenomenalny kamienny Excalibur - miecz króla Artura, wodza rycerzy Okrągłego Stołu. Fenomenalny kodeks honorowy z roku 1817. I

tak fenomenalne stosowanie tego kodeksu w praktyce, że sam król Artur uznałby to za objaw umysłowej aberracji.

Na terenie West Point obowiązuje dogmat, że ów kodeks jest dla akademii tym, czym armia Stanów Zjednoczonych dla społeczeństwa amerykańskiego - pełni rolę żelaza w betonie. Według frazeologii używanej w West Point jest to: „*moralny kręgosłup*”. Podstawowy paragraf „*moralnego kręgosłupa*” brzmi: „*Kadet nie kłamie, nie oszukuje, nie kradnie, ani nie toleruje, by inny kadet czynił coś takiego*”. Końcowa część tego moralnego przykazania zmusza kadetów do denuncjacji, której zaniechanie jest równoznaczne z utratą honoru. Pierwsza natomiast dezawuuje kradzież i kłamstwo, ale ponieważ kradzież to rzecz rzadka (bo zbyt niebezpieczna w ramach zamkniętego układu) - grzechem śmiertelnym w West Point uczyniono kłamstwo. Za każde udowodnione kłamstwo lub oszustwo wylatuje się z West Point na zbity pysk. Są to w dziewięćdziesięciu procentach rzeczy tak drobne, iż nie skarciłaby za nie najsurowsza matka. Wylatuje się za odpowiedź: „*Dwa razy wyczyściłem dzisiaj buty*”, jeśli wyczyściło się tylko raz, a kolega-kadet doniósł. Wylatuje się za ściąganie na egzaminach. Wylatuje się za opuszczenie swego pokoju bez zostawienia wiadomości (na kartce) gdzie się poszło - to też jest rodzaj kłamstwa. Jakkolwiek niewiarygodnie brzmiałyby te przykłady - za takie i za jeszcze drobniejsze sposoby łamania kodeksu honorowego kilkudziesięciu kadetów dostaje co roku kopa z West Point!

Wyjątkiem jest złamanie zakazu seksualnego. West Point ma hotel dla dziewczyn kadetów; te dziewczęta, zwane w akademii „*włókami*”, odwiedzają swych „*boy-friends*” podczas weekendów, ale kadetowi odwiedzać hotelu nie wolno (do ciupciania jest tzw. Zagajnik Flirtów). Zdemaskowana randka w hotelu traktowana jest nie jako pogwałcenie kodeksu honorowego, tylko „*naruszenie regulaminu służby*”, za co otrzymuje się punkty karne na liście rankingowej West

Point. Clint Farloona nie zdążył „naruszyć”, i nawet nie zdążył skłamać, a wygnano go.

Z końcem lat siedemdziesiątych osiemnastego wieku Polak, który budował fortecę West Point, założył w niej cebulowy ogródek, żeby podczas oblężeń można było leczyć szkorbut, gdyż żołnierze bez zębów nie mogliby odgryzać ładunku prochowego. W latach dwudziestych następnego stulecia kadeci West Point wystawili w tym ogródku pomnik Kościuszce (tylko jego tak uhonorowali, nawet Waszyngton nie dostał od nich pomnika). Nie byli to rzeźbiarze i bogacze, pomnik miał formę bardzo prostą - z postumentu w kształcie ściętej piramidy wyrastała kolumnienka, jak palec wskazujący niebo nad West Point. A że skojarzenia u ludzi bywają głupie (zwłaszcza u głupich ludzi), więc jednemu z kolegów Clinta się skojarzyło, gdy stali nad brzegiem Hudsonu w mundurach przypominających dobę napoleońską i w sztywnych smolistych czakach ozdobionych piórami, a nazywanych w West Point „kubłem”. Flint stał w drugim szeregu i usłyszał jak kadet stojący przed nim mówi do sąsiada:

- Wiesz, co przedstawia to dzieło? To ch.. w stanie erekcji.

But Farloona rąbnął go nie w tyłek, lecz niżej, w najczulszy punkt. Skojarzeniowy kadet padł i wył jak zwierzę, trzymając się za klejnot. Farloona wzięto do komendantury. Tam wyjaśnił, dlaczego kopnął kadeta Skeleya. Lecz sześciu innych kadetów, którzy stali wówczas obok, zaświadczyło, że kadet Farloona kłamie, bo to on wyrzekł ohydne słowa pod adresem Kościuszki, a kadet Skeley zaprotestował przeciwko temu. Wiedzieli, co robią - ojciec Skeleya, generał Bernard Skeley, był członkiem Kolegium Połączonych Sztabów USA i przyszłe awanse zależały w dużym stopniu od niego. Sprawa została przekazana Komitetowi Honorowemu, który jest w West Point ciałem orzekającym winę. Jego członkami są tylko kadeci - czterdziestu czterech chłopców w wieku od 17 do 22 lat. Zgodnie z

procedurą demokratyczną wyrok podlega głosowaniu. Większością głosów kadet Farloon został usunięty z West Point za szczególnie rażący przypadek kłamstwa.

Według regulaminu mógł się jeszcze odwołać do Rady Oficerskiej, lecz miał ją tam, gdzie miał Komitet Honorowy, honor, akademię i wszystko. Spakował graty, wyszedł przez główną bramę i powędrował na brzeg Hudsonu. W lustrze wody kąpały się czerwone promienie słońca, robiło się coraz zimniej, a topniejące od rana płyty śniegu znowu zaczynały krzepnąć. Nie wiedział dokąd iść - wstydził się wracać do Calais, gdzie ojciec wierzył w niego, a dyrektor Mendez nie wierzył. „*No i co, nie mówilem, Farloon?*”...

Być może wstydziłby się mniej, gdyby nie brakowało mu klasycznego wykształcenia. Wówczas by wiedział, że Sokratesa w demokratycznej Grecji też załatwiono demokratycznie, większością głosów.

Dookoła niego gęstniał mrok jak wokół ściganego wilka strach. Clint miał teraz takie właśnie oczy.

\*\*\*

Astrolog to najprzyjemniejszy zawód świata, gdyż nie nakłada na fachowca żadnych obowiązków i nie grozi żadną wpadką, pod warunkiem, że umie się trafnie przepowiadać przeszłość, a przyszłość w sposób enigmatyczny, czyli taki, wobec którego każda interpretacja jest dobra. Istnieje tylko jedno zajęcie bardziej komfortowe od zajęcia astrologów - posada astrologa nadwornego. Gdy się jest astrologiem „*first lady*” - pierwszej damy mocarstwa - jest się Władcą Much, który zza kulis dyryguje światem.

Astrolog pani Reagan, Daniel Harkopf, był człowiekiem bardzo przystojnym, bardzo bogatym, bardzo zdrowym i bardzo inteligentnym - miał wszystko, oprócz serca. Jego zimny wdzięk sprawiał, że kobiety za nim szalały, ale była to uroda bezużyteczna

prokreacyjnie, jak wszechstronna głęboka wiedza, którą jej właściciel stosuje tylko do wygrywania teleturniejów, gdyż Harkopf nie był heteroseksualnym atletą. I nie zarabiał jedynie przy pomocy gwiazd. To on wymyślił genialne hasło dla Żydów demonstrujących przeciw tym politykom amerykańskim, którzy nakłaniali Izrael, by oddał Palestyńczykom jakąś część swego terytorium: „**Niech najpierw Ameryka zwróci Apaczom ich ziemię!**”.

Millberg zainteresował się nim, gdy usłyszał od prezydenta Reagana, że astrolog ma wpływ na prezydenta Stanów Zjednoczonych. W ciągu kilku miesięcy zespół agentów ustalił bezspornie, że Harkopf też jest agentem. Tyle że nie amerykańskim. Millberg bał się informować o tym Reagana, gdyż bał się żony Reagana - Nancy nie darowałaby mu tego. Ale nie mógł pozwolić, by szpieg dalej wyciągał od niej tajemnice stanu.

31 sierpnia roku 1983 do sekretarki Harkopfa zgłosił się bogaty klient, prosząc o audiencję u mistrza astrologii, bo pragnął zamówić u niego horoskop. Lecz gdy wszedł do jego gabinetu, sam postawił mistrzowi horoskop. Horoskop ten przewidywał, że następnego dnia prasa poinformuje o śmiertelnym samochodowym wypadku astrologicznej gwiazdy.

Gdy klient wyszedł, Harkopf złapał za słuchawkę telefonu, by połączyć się z Nancy Reagan, ale telefon był głuchy jak pień. Spojrzał przez okno - ulica była obstawiona. Poinformował sekretarkę, że dziś już nie przyjmuje klientów, i zaczął pić. Pił równą godzinę. Następnie udał się do toalety i otworzył neseser z przyborami osobistego użytku. Wyjął maszynkę do golenia, krem do rąk, szczoteczkę do zębów, dezodorant do jamy ustnej i wszystko, co tam było do czegoś, aż znalazł leżący na spodzie pistolet do zabijania i tylko jego użył.

Rano prasa podała wiadomość o samobójstwie astrologa, lecz w kronice drobnych wypadków, gdyż pierwsze strony zajmowała

wiadomość o jednej z tych tragedii, które wstrząsają światem. Mionionej nocy lotnictwo rosyjskie zestrzeliło w pobliżu Sachalinu pasażerskiego Boeinga 747 koreańskich linii lotniczych KAL, zabijając dwieście sześćdziesiąt dziewięć osób, w tym członka Izby Reprezentantów Kongresu Stanów Zjednoczonych. Cały wolny glob zawył z oburzenia. Pozornie hekatomba ta i samobójstwo mistrza astrologii nie miały żadnego związku, ale w istocie miały - punktem łączącym był szef Centralnej Agencji Wywiadowczej, James Millberg, a kluczem połączenia stało się FBI.

Dla FBI - które o tym, jak CIA „zrobiła” Harkopfa, wiedziało dzięki wtyczce FBI w CIA - było czymś upokarzającym, że tę robotę Millberg zapisze na swoje konto. Szef Federalnego Biura Śledczego, William Webster, w pierwszej furii zrugął swój personel, a później wpadł w gniew na Millberga, którego francuskiej elegancji nie znoślił bardziej niż Arabów, pedałów i komunistów. Z takiego gniewu zawsze rodzi się jakieś brzydkie dziecko gniewu - Webster poinformował „*first lady*”, *komu* zawdzięcza ona chwilowe wdowieństwo astrologiczne.

Od października do stycznia prasa spekulowała na temat szpiegowskiej misji samolotu KAL, ale nikt nie mógł tej hipotezy udowodnić, więc w końcu temat przestał być „*newsem*” i zniknął z łamów. Dopiero wówczas - w lutym A. D. 1984 - prezydent Reagan wezwał szefa CIA do swojego gabinetu prywatnego (w części mieszkalnej Białego Domu) i zadał mu pytanie:

- Czy możesz przysiąc, że koreański Boeing zbczył z trasy przez głupią pomyłkę nawigacyjną i że nie wykonywał dla nas jakiejś roboty mającej na celu kontrolę sowieckich radarów, James?

- Nie mogę, ale takie rzeczy to rutynowa...

- Rutynowo zamordowałeś kilkuset niewinnych ludzi, człowieku!

- Panie prezydencie, przecież...

- James, zwalniam cię z dniem dzisiejszym ze stanowiska!



- Ale...

- Nie ma żadnego ale, nie będziemy nawet dyskutować o tym! Moja decyzja jest nieodwołalna!

Gdy Millberg usłyszał: „moja decyzja” - domyślił się. Wychodząc zerknął na fotografię pani Reagan i rzucił tym charakterystycznym „luzackim” tonem, który daje świadomość, że nie ma się już niczego do stracenia:

- Ukłony dla Nancy, Ron. To baba niezłego gatunku.

- Co przez to rozumiesz?! - spytał Reagan.

- Że jako pierwsza w historii kobieta pełniąca funkcję prezydenta Stanów Zjednoczonych spisuje się nieźle. Solong! [- Cześć!]

Następcą Millberga został facet, który miał trzy cechy Millberga. Był to również prawnik, również wieloletni druh Reagana i również James - James Fosterman - co dało prezydentowi luksus zwracania się starym imieniem do nowego szefa CIA. Ale miał on również trzy cechy, które zasadniczo różniły go od Millberga: nie był tak wytworny jak Millberg pod względem ubioru i savoir-vivre'u (był w obojętności trochę szorstki), nie był przez Webstera uważany za „pomyłkę personalną”, i nie był twardy tylko wtedy, gdy nie miał już nic do stracenia - Fosterman był twardy na co dzień.

Treść pierwszego rozkazu, jaki otrzymał, zabrzmiała w sposób nieco kaznodziejski:

- James, chcę pomścić tych, których zestrzelono. Chcę, żeby na łobuzów spadła kara boska. Kara boska! Zrób to.

- Mam porozmawiać z Panem Bogiem?

- Zrób to!

Kiedy Fosterman szukał dojścia do niebios, aby namówić Pana Boga, żeby ten zesłał na Sowieców karę, Rick Korm był już ukarany przez pułkownika Hilla i Stevena Browna.

Jak przy każdej zmianie naczelnego, tak i teraz zmieniły się układy personalne w Agencji. W ramach tych czystek i rozszad pułkownik

Tannerson opuścił „Farmę” Camp Peary, pułkownik Hill został jej dowódcą, a przyjaciele pułkownika Hilla objęli kilka niezłych stanowisk w Langley. Pretekstu do odwołania Korma dostarczył Brown, przysyłając z Warszawy pakiet zdjęć (widać na nich było pijanego w sztok stażystę w objęciach pijanych wieśniaków i u boku milicjanta przy drzwiczkach służbowej wołgi) oraz jedną taśmę (z taśmy dochodził bełkot, którym stażysta rozdawał ludowi polskiemu dobra materialne i duchowe niczym święty Mikołaj). Nadto Hill odkrył w Camp Peary williamsburskie sekrety „układu” i wykazał, że największym „układowym” erotomanem (a więc człowiekiem bardzo podatnym na działalność werbunkową wroga) był kursant Rick Korm. Ricka przeniesiono z powrotem do ojczyzny, gdzie na pośmiewisko otrzymał funkcję zastępcy redaktora biuletynu CIA, z możliwością awansu, gdy jego trzydziestopięcioletni szef przejdzie w stan spoczynku. Pułkownik Hill określił każdą możliwość Korma jednym zdaniem:

- Ten gówniarz może liczyć już tylko na zmianę pogody!

Była to przepowiednia, a proroctwa nie zawsze się sprawdzają - takie jest ryzyko zawodowe proroków, astrologów i odwetowców. Ale gdzie nie istnieje ryzyko zawodowe? Nawet w siłach zbrojnych Kraju Rad, i to w czasie pokoju między narodami, można było polec za ojczyznę czyli za Sowieckij Sojuz.

13 maja roku 1984 bazą marynarki wojennej ZSRR w Swieromorsku wstrząsnęła eksplozja. Wybuchł magazyn z amunicją. Potem już działała „teoria domina” - magazyny wybuchały jeden po drugim i baza zamieniła się w piekło pożaru, który strawił ją doszczętnie. Dematerializacji uległo ponad tysiąc rakiet SA-1, SA-3, SS-3, SS-12 i SS-20, nie mówiąc o innych rodzajach broni, o statkach, budynkach, ludziach i prestiżu. Był to największy dramat w całej historii floty radzieckiej. Prezydent Stanów Zjednoczonych zapytał:

- Czy to twoje dzieło?
- Ależ skąd! To kara boska - odparł Fosterman.
- Kpisz?
- Mogę dowieść tego, co mówię.
- W jaki sposób?
- Za pomocą kalendarza. To się zdarzyło dokładnie w dniu trzeciej rocznicy zamachu na Jana Pawła II.

\*\*\*

Wiedział, co robi. Ale czasami, jak każdy człowiek, robił coś, czego nie zamierzał - robił to za niego ów tajemniczy impuls, który jest w każdym z ludzi i którego nauka nigdy nie zidentyfikuje. Tak właśnie było, gdy wracał do swojego kościoła w dniu, w którym warszawskie ulice stały się polem bitwy między „Solidarnością” a ZOMO. Bitwa już wygasła, tylko resztki dymów falowały nad asfaltem jak poranne mgły nad bagniskiem. Mijał młodego funkcjonariusza milicji. Milicjant warował pod ścianą domu. U nogi miał „środek przymusu bezpośredniego”, trzymany na smyczy, ale bez kagańca. Z psich oczu płynęły łzy wyciskane gazem, którego użyto przeciw demonstrantom. Popiełuszko bezwiednie się schylił i zaczął głaskać psi łeb.

- Co ksiądz robi?! - krzyknął wystraszony funkcjonariusz.
- Pocieszam go.
- Ale to zły pies, on gryzie obcych, niech ksiądz się rozejdzie, proszę księdza! Czart, do nogi!

Popiełuszko jeszcze raz przejechał dłonią po psim pysku i odszedł w kierunku kościoła.

Na plebani wręczono mu korespondencję do niego. Codziennie taki sam stos listów. Kiedyś ogromna większość zawierała słowa podziękowań i miłości, lecz teraz z każdym dniem przybywało gróźb, pouczeń i wyzwisk. Czytał:

„Ty obrzydliwy faszysto Popieluszk! Niech się nie dziwią twoi kumple, że znajdują cię wkrótce z poderżniętym gardłem, ty kurwo jedna! Módl się, może ci to coś pomoże, ty wyrodka rodu ludzkiego, kreatora!...”.

Czytał:

„Wielebny Księżę. Jestem już kobietą w starszym wieku i zmuszona jestem napisać te parę stów prawdy. Jestem wierzącą i praktykującą katoliczką, umiłowałam wiarę i naukę Jezusa Chrystusa i Jego śmierć na krzyżu. W młodości byłam wychowywana u sióstr zakonnych, gdzie ukończyłam szkołę. Tam mi wpajano, abym kochała bliźniego jak siebie samego, tam nauka moja oparta była na przykazaniach Bożych i życiu naszego Pana Jezusa. A co się dzieje teraz? Po nabożeństwach ludzie wychodzą na ulice, aby doprowadzić do bałaganu, a nawet do rozlewu krwi (...) Proszę księdza, zastanówmy się do czego doprowadzimy, jak będziemy z ambony podjudzali ludzi, nalepiali kartki, aby z krzyżami przychodzili na niektóre nabożeństwa do waszego Kościoła Św. Stanisława Kostki na Żoliborzu. Czy ten krzyż, przesiąknięty krwią samego Chrystusa, należy do manifestacji? Nie wolno używać krzyży do niecných zamiarów, żebyśmy się nie zatracili. Ci, co to robią, nie przeżywali wojny, ani Powstania Warszawskiego, a robią to za judaszowe pieniądze (...) Ja nie jestem polityczką, ale obserwuję to wszystko. Bóg daje nam różne ostrzeżenia przez liczne kataklizmy, powodzie, choroby. Zastanówmy się, aby nie było za późno. Wierząca, prawdziwa patriotka polska”.

Czytał:

„A co zrobiliście dla narodu polskiego - naszej ojczyzny? A dzisiaj co robicie? Żrecie ten nasz ciężko zapracowany chleb, wy nieroby, popieracie łobuzów z Solidarności, znów wasz cel to anarchia! A ileż to dolarków wam wpływa! Dlaczego któryś z was nie przyjął jakąś biedną rodzinę, czy dzieci do zamieszkania. Za to utrzymujecie p. kucharki. Za co naszą kochaną

*ojczyznę matka królowa Polski-Częstochowska karze zsyłając takich księżulków? (...) Już szkoda dla was stów. Pozdrów tego Jankesa doktora milionera dolarowego Wałęsiaka i jego opiekuna H. Jankowskiego i pozostałych obskurantów i dorobkiewiczów kościelnych. Wstyďte się, bo kara na was leci!!!!!! Niech żyje nasza ojczyzna Polska Ludowa bez wyzyskiwaczy, obszarników i kapitalistów!".*

Czytał:

„Ty Judaszu! Bo inaczej cię nie mogę nazwać jako matka sześciu dzieci. Jak mam wychowywać moje pociechy, kiedy taki bałwan takie rzeczy wyklada z ambony. Dlaczego ty ..... ten polski chleb konsumujesz, żeby on ci w gardle stanął ty ..... Żeby ciebie nie nazywać daję tylko kropki. Tyle ci wystarczy, kara aż za duża (-----) Danuta Wałęsowa, żona Lecha".

Czytał:

„Wielce Szanowny Księżę Dobrodzieju. Od razu wyznaję księdzu, że nie wierzę w boga, który moim zdaniem jest tylko strachem człowieka przed nicością. Jestem profesorem wyższej uczelni i ateistą, więc jak Ksiądz widzi jestem człowiekiem szczerym. Nie jestem komunistą, ani agentem SB, piszę z wielkiej sympatii do Księdza. To, co Ksiądz robi, nie jest dobre. Czy ksiądz nie widzi, że ten reżim, ten system, to siła, to Moloch? Szkoda zdrowia, a może i życia szkoda, proszę Księdza. Ksiądz sobie wmówił, że bóg tego żąda od niego, ale to tylko złudzenie. Bóg nakazywał oddawać co cesarskie cesarzowi i przeciw władzy świeckiej się nie buntować. A poza tym chyba nikomu nie jest potrzebne Księdza męczeństwo. Dlatego - mimo całego podziwu i sympatii - błagam Księdza o opamiętanie...".

Czytał:

„Posłuchaj, żydowski chamiu, mendo gudłajska, który wiernych chrześcijan do zbrodni ojcobójstwa gonisz w świętym kościele. Zbyt późno żeś się urodził, bo by cię w gazie uciszono, to teraz mordę drzesz na Sarmatów, żeby krzywdzili innych Sarmatów!".

A potem modlił się za tych ludzi, gdyż nie wierzył w małą Darwinowską, tylko w to, że Bóg stworzył człowieka „na obraz i podobieństwo swoje”.

\*\*\*

W Arizonie, na skraju pustyni Sonora przeciętej granicą między USA i Meksykiem, znajduje się jeden z najoryginalniejszych śmietników globu. Dla wielbicieli lotnictwa na całym globie byłby on tym samym, czym są piramidy dla wielbicieli zabytków, gdyby tylko o nim wiedziano. Miejsce to nosi nazwę Evergreen Air Center i pełni rolę cmentarzyska-przechowalni oraz pracowni konserwacyjnej, adaptacyjnej i modernizacyjnej starych samolotów. Nie zostało wybrane przypadkowo - blisko stąd leży miasteczko Yuma, rozslawione najbardziej diabelskim więzieniem Dzikiego Zachodu i najwyższą średnią temperaturą w Stanach Zjednoczonych (amerykański biegun ciepła). W tym unikalnym klimacie praktycznie nie istnieje korozja, więc eksponaty mają zapewnioną długowieczność nawet bez konserwacji. Clint Farloon przywiózł tu swoją skorodowaną dumę 5 lutego 1984 roku.

Uciekł w najdalszy punkt, w jaki może odskoczyć bokser, którego brutalnie sfaulowano - do przeciwległego narożnika. Z północno-wschodniego krańca Stanów Zjednoczonych (gdzie jest West Point i Calais) po przekątnej do krańca południowo-zachodniego (gdzie jest Yuma, Sonora i Evergreen Air Center). Zatrudniono go przy sprzątanii, co mu odpowiadało, gdyż było mu wszystko jedno. Spał w baraku i jadł nędzne hamburgery, co też mu odpowiadało, bo nie miał w sobie nic ze smakosza. Odpowiadał mu nawet szef, Bill Bertok (z którym zetknęli się w Yumie, skąd Bertok wziął go do Evergreen Air Center po wspólnym opróżnieniu galona alkoholu), mimo że ten Węgier z pochodzenia znał tylko dwa amerykańskie wyrazy. W każdym razie tylko te dwa słowa wymawiał z

prawkłowym akcentem:

- Pieprzę to!

Bertok pieprzył wszystko tyle razy w trakcie kaźdej rozmowy z kaźdym, że miał coś z owych albańskich super-kochanków o niezwykłej potencji, których w XVIII wieku, w poufnym gronie dam uwielbiających multi pieprzenie, nazywano: „*Messieurs quatorze fois*” („*Panowie czternaście razy*”). Za sprawą kodu genetycznego odziedziczyła to po nim jego córka Hana, która lubiła uprawiać gimnastykę akrobatyczną na materacu, przez co Clint był niewyspany permanentnie. Ale i to mu odpowiadało.

Jedyna rzecz, której Bertok (eks-pilot US Air Force) nie pieprzył, to były samoloty bojowe. W nieskończoność mógł rozprawać o szczegółach, jakimi nowe generacje myśliwców (F-16 „*Fighting Falcon*”, F-18 „*Homet*” czy AV-8B „*Harrier II*”) przewyższają myśliwce starszej generacji (F-4 „*Phantom II*”, F-14 „*Tomcat*”, F-15 „*Eagle*” czy F-111). Albo o tym, czym się różni szturmowy śmigłowiec AH-4 „*Apache*” od starego helikoptera bojowego AH-1 „*Huey Cobra*”. Ponadto był „*złotą rączką*” i z kaźdego skrzydlatego żęcha potrafił uczynić maszynę klasy „*brand new*”. Tak właśnie odpicował (na zamówienie generała Craya) „*Dakotę*” rocznik 1950.

16 września 1984 roku po „*Dakotę*” przyjechał Cray-junior z dwoma pilotami. Samolot wyciągnięto z hangaru i Bertok krzyknął do Clinta:

- Farloon, weź irchę i przemyj szybę kabiny, ale tak, żeby błyszczała jak psie jajco!

Gdy młody Cray usłyszał godność sprzątacza, przyjrzał się chłopakowi uważnie, podszedł do niego i powiedział:

- Cześć, Farloon!

- Skąd mnie znasz? - zdziwił się zaczepiony.

- Z West Point, chłopie! Kończyłem, kiedy ciebie wywalano za niewinność. To było jedno wielkie gówno do kwadratu! Nie miałeś

żadnych szans, wszyscy chcieli się podliznąć ojcu Skeleya!

- Wiem.

- Co masz zamiar robić?

- Nie wiem.

- Nie będziesz chyba wiecznie tu tkwić i zasuwać irchą?

- A gdzie mam zasuwać?

- Choćby w wojsku!

- Wypieprzono mnie z armii.

- Nie z armii, tylko z akademii. Ty jesteś stworzony na komanosa. Widziałem cię podczas treningu, wszyscy wysiadali przy tobie. Słuchaj, Farloon... mój stary to zielony beret, a generała Skeleya nienawidzi, co ty na to?...

Clint się zawahał. Do West Point przyszedł, żeby zrobić dyrektorowi Mendezowi kuku. Gdyby wstąpił do regularnej służby - zrobiłby kuku samemu sobie. Naturą wojska jest hierarchia, a istotą funkcjonowania wojsk jest tradycyjny system konwencji i rytuałów, na które składają się rygory posłuszeństwa, kanony dyscyplinarne, porządek, schludność, punktualność, utrzymywanie samodzielności w ścisłych ryzach, właściwa dawka lizusostwa i temu podobne walory. Wszystko to było mu równie bliskie, jak tygrysowi obroża. Ale ircha była mu równie bliska, jak tygrysowi robienie miotłą. Przyjechał tu tylko z tego powodu, że chciał być jak najdalej od ojca, który w niego wierzył, i od Mendeza, który w niego wątpił.

- Nie lubię zielonych beretów - rzekł. - W ogóle nie lubię beretów i mundurów. Nie skorzystam.

- Jak chcesz. Europa sobie bez ciebie poradzi - mruknął Cray-junior.

- Europa? - zdumiał się Farloon.

- Mój stary pracuje w Bad Toelz, w jednostce szkoleniowej Special Force, to są Niemcy Zachodnie.

Zachodnie Niemcy leżały jeszcze dalej od Calais niż Arizona, więc



Farloon po krótkiej chwili namysłu szepnął:

- Musisz mnie stąd wywieźć tak, żeby nikt tego nie zauważył.
- Dlaczego? - spytał Cray.
- Bo tu jest jedna dziewczyna, której ojciec ma winchestera, a ona ma pewność, że ja tu długo zostanę, więc jakby się dorwała do tego winchestera widząc, że wsiadam z tobą do samochodu...

\* \* \*

Zabić bez skrupułów jest bardzo łatwo. Wystarczy odczłowieczyć ofiarę - widzieć w niej tylko cel lub obce, wrogie i wredne zwierzę. To cały sekret. Gdy się patrzy w taki sposób - zabicie pająka, wilka, Żyda, Araba, każdego człowieka, białego albo żółtego, bez różnicy, staje się rzeczą normalną; wystrzał przez tłumik brzmi jak otwarcie puszkii piwa, a walenie pałką jest jak walenie kijanką bielizny na brzegu rzeki.

Decyzja zapadła we wrześniu roku 1984. Ale ci, którzy wydali decyzję, nie byli facetami od mokrej roboty, tylko od wydawania mokrych rozkazów. Tym drugim natomiast sumienia mogły zadrzeć, a potem mogłyby im zadrzeć ręce przy mordowaniu kapłana Świętej Trójcy, do której ich matki modliły się z żarliwą wiarą. Należało ubrać go w diabelski mundur, żeby ich ośmielić. Artykuł niejakiego Michała O., pt. **„Garsoniera obywatela Popieluszko”**, drukowany w warszawskim „Expressie”, nie wystarczał. Trzeba było czegoś mocniejszego, skrojonego piórem mistrzowskim. Na szczęście MSW miało takiego pisaka. Władzał nim jeden z owych ludzi, co są tak zakochani w uczciwości i prawdzie, że bez przerwy się nią zajmują - kupując lub sprzedając. Był to rzecznik prasowy rządu, Jerzy Urban, wszechstronny kurdupel, o którym nawet życzliwi mu wyrażali sąd (biorąc jego wielozęność pod uwagę), że jeśli kobiety wychodzą za takich facetów, to znaczy, że kobieta gotowa jest wyjść za wszystko, co skacze po tej ziemi.

Jego artykuł tytułem czepiał się motywu Orwellovskiego z książki „Rok 1984” (był to właśnie ten rok!). Tytuł brzmiał: **„Seanse nienawiści”**, a treść zawierała duszę Urbana. Kościół na Żoliborzu został przezeń nazwany „politycznym klubem”. „Msze za ojczyznę” - „czarnymi mszami”, „wiecami” i „sesjami politycznymi”. Ksiądz Popietuszko - „magikiem politycznym” i „Rasputinem”. Nadto podjudzaczu do mordu orzekł, iż „nie istnieje nic takiego jak ludzka dusza”, i że ksiądz Popietuszko „mierzi”, bo mierzi jego „irracjonalny fanatyzm”, a „upiory, które żoliborski magik polityczny wypuszcza spod ornatu, same pozdychają” (w domyśle: wtedy, gdy zdechnie producent upiorów).

Tę sugestię ostatecznego rozwiązania wydrukował duchowy brat podżegającego, Kazimierz Koźniewski, w swojej cotygodniówce „Tu i teraz” - 19 września A. D. 1984. Nazajutrz - zgodnie z rozkazem - inne gazety przedrukowały wyrok. Dokładnie miesiąc później Popietuszko był już zimny.

Urban mógł pociągnąć za spust na każdych czerwonych łamach - choćby w swej rodzinnej „Polityce”. Ale „Tu i teraz” miało lepszy tytuł, który mówił, żeby nie ociągać się z egzekucją - zrobić to tu, teraz, natychmiast. Zaś hasło „Rasputin”, które w paszkwile Urbana określało stosunek autora do ofiary, sugerując, że warszawski klecha to identyczny diabeł w skórze świętego - określało również metodę mordu. Rasputin został skatowany przez trzech morderców, którzy następnie związali go i wrzucili do Newy, skąd trupa wyciągnęli nurkowie. Ksiądz Popietuszko został zatłuczony (pałkami i pięściami) przez trzech esbeckich podwykonawców, którzy następnie związali go i wrzucili do Wisły, skąd trupa wyciągnęli nurkowie. Kurdupel, pisząc swój artykuł, miał tak zwany „dzień konia” - przewidział, a raczej ustalił wszystko.

Człowiek dobytý z wiślanego zalewu nie posiadał już twarzy - zamiast niej widniała bezkształtna, zgniła, anonimowa maska

wszystkich męczenników. Miliony polskich chrześcijan zapytały wówczas swego Boga: „*Panie, czemuś go opuścić?!...!*”.

„Eli, Eli...”.

\*\*\*

Teraz trzeba było jeszcze oszukać Polskę i cały świat, i sprawić, żeby kara za popełnione na księdzu morderstwo ugodziła tylko rzeźników. A to nie było łatwe, bo i w MSW, tak jak wszędzie, ścierały się grupy interesów przeciwstawnych i śmierć księdza była dobrą okazją dla tych gier. A w takich grach - gra się ostro.

30 listopada 1984 roku trzech funkcjonariuszy SB wracało z Krakowa do Warszawy. Naczelnik wydziału w Biurze Śledczym MSW, starszy inspektor-major i kierowca-szeregowiec. Jechali fiatem 125 i wieźli tajne materiały związane ze zbrodnią. Kilka minut po godzinie szóstej, na trasie E-7 w województwie radomskim (w pobliżu kolonii Sucha w gminie Białobrzegi) ciężarowy samochód marki Jelcz uderzył fiata czołowo. Siła uderzenia była tak potworna, że osobowy samochód zamienił się w bryłę przypominającą kartkę, którą ktoś zgniótł w dłoni. Pasażerowie zginęli na miejscu. Zwykłej milicji nie dopuszczono do wraka. Pułkownik-szef ekipy MSW ujrzał na nagim torsie jednego z zabitych łańcuszek ze srebrnym krzyżykiem. Krzyż był zalany krwią. „*Sukinsyn! - pomyślał pułkownik. - Złamał zakaz!*”. Chodziło mu o surowy, dotyczący wszystkich pracowników SB, zakaz ćpania „*opium dla ludu*”.

## Część IV

### 1985 – 1988

#### KREW NA PIASKU

W średniowieczu Kościół potępił nową broń - kuszę - jako niemoralną, gdyż jej strzała nawet z dużego dystansu przebijała zbroję, co kompletnie zmieniało dotychczasowe wojenne reguły gry, czyniło cnoty rycerskie bezprzedmiotowymi. Kula z karabinu snajpera jest właśnie tak niemoralna: nie możesz się bronić, cała twoja odwaga, honor, sprawność fizyczna są warte śmiechu. Facet leży sobie gdzieś na tarasie lub na trawie i celuje ci w czoło jak do tarczy. Unieruchomił krzyżyk celownika, zgiął palec i porucznik Aguirow przestał żyć.

Porucznik Aguirow był tym pracownikiem bułgarskich tajnych służb, który zdradził amerykańskim tajnym służbom niektóre sekrety zamachu na papieża, i odtąd cały świat zaczął mówić o „*bułgarskim śladzie*”, a porucznik Aguirow zaczął źle sypiać. W Paryżu jego samochód wyleciał w powietrze, ale przypadkowo nie z nim, tylko z jego kochanką. Wówczas Amerykanie ukryli Aguirowa w Republice Południowej Afryki, blisko granicy z Botswaną, gdyż wiedzieli, że występują tam sprzyjające warunki naturalne: pustynia (dobra widoczność), cisza (dobra słyszalność) i brak zagrożenia (nieobecność komunistycznych agentów). Tylko jeden z tych trzech pewników okazał się pomyłką, lecz to wystarczyło, by krew Aguirowa wsiąkła w piasek pustyni Kalahari wraz z jego życiem.

\*\*\*

Afryka, kontynent, gdzie nie ma tego złego, co by nie wyszło na gorsze, mocno się różni od tych krajów Zachodu, gdzie królową trosk jest brak miejsca do parkowania, jak również od tych białych krajów, gdzie brak demokracji i wolności powoduje stały ferment. Jest tam na przykład dużo piasku i mało śniegu, a prowodyrami buntów nie są biali księża - czarnych mężczyzn podrywają do rebelii czarne kapłanki szermujące czarną magią. Tę tradycję, wywodzącą się od pradawnej kapłanki Ajwaki (z plemienia Aczoli), której ustami przemawiał bóg Dżok, wskrzesiła czwórka czarnych amazoнок w drugiej połowie XX wieku: Patrycja Nyakobo z Tangi, Alicja Lenshina z Zambii, Alicja Lakwena z Ugandy i bezimienna bogini katangijskich żandarmów. Cztery w tak krótkim czasie - to dosyć, by uznać tradycję za wciąż żywą.

Wymieniona buntowniczką tangalandzka miała trochę arystokratycznej krwi szkockiej, czemu był winien kolonializm. Jej ojciec, pułkownik i prawdziwy lord, inspekcjonował przed pierwszą wojną światową brytyjskie obozy wojskowe na południu Afryki, i wszędzie, gdzie się zatrzymywał, kupował na czas pobytu chwilową czarną małżonkę, a ponieważ był dżentelmenem, kupował zawsze z pierwszej ręki, od rodzin tych kilkunastoletnich dziewcząt. Wydatek nie przekraczał ceny czterech kóz, zaś przyjemność i użyteczność były ogromne, gdyż te czekoladowe panny dbały o swego nabywcę lepiej niż regulaminowy ordynans, co skłaniało wielu oficerów do podobnych inwestycji. W Tangalandzie inwestycja lorda Stuarta zaowocowała (już po opuszczeniu przezeń Tangalandu) rodzinami potomka płci żeńskiej.

W dwunastym roku życia Patrycja została prostytutką, dzięki czemu jej matka i krewni nie znali głodu. Ale w dwudziestym roku życia miała widzenie, potem umarła cztery razy (za każdym razem

wyciągał ją z tego bóg-wąż) i poczęła przemawiać ustami boga-węża. Stała się kapłanką „*dzudzu*” (czarnej magii afrykańskiej), zaklinała przyrodę, pogodę i niektóre ze zwierząt, a w końcu zaklęła dwa plemiona swych rodaków i rzuciła je do walki przeciw białym. Jej szamański „*Kościół*”, zwany Mocą Węża, podpalił całą Tangę. Jej wojownicy atakowali kulomioty z kamieniami, a przy tym nago, wtarłszy uprzednio w skórę czarodziejską oliwkę Patrycji (była to oliwka z masłosza) chroniącą od pocisków. Patrycja zaś miotała we wrogów przekleństwa, które stawały się rojem pszczół żądliwych na śmierć. Po decydującej bitwie z kompanią białych wojsk piaszczysta ziemia nie opodał stolicy, Matabele, usiana była na przestrzeni wielu mil czarnymi trupami o zastygłych twarzach i o nagich ciałach lśniących w afrykańskim słońcu. Przywódczynię pochwycono.

Spędziła kilka lat za kratami i stała się tam matką, bo czarni klawisze też chcieli mieć coś z życia. Gdy wyszła i próbowała wrócić do szamanizmu, schwytali ją mściwi krewni jej poległych żołnierzy i rozłupali „*córce węża*” czaszkę. Sądzeni przez kolonialny sąd, tłumaczyli się chęcią „*zobaczenia, co się dzieje w mózgu tej kobiety*”. Ale jej dziecko przeżyło.

Tym dzieckiem był mały Nyakobo Alanda Eebanumi Botolezi Zeko Ahakana. Przygarnięty przez katolicką misję, wyrzucony z niej gdy mając kilkanaście lat zdjął majtki i pokazał księdzu swego „*makapho*” - został złodziejem zawodowym. Później wcielono go do wojska, gdzie zrobił szybką karierę. Kiedy jego ojczyzna dostała się w szpony dekolonizacji, wyzwoliła i zmieniła nazwę na Republika Tangijska (w skrócie: Tanga), a rządy przejęła elita czarnych bohaterów walki o wolność - był już pułkownikiem, szefem armijnych służb wewnętrznych.

Zmorą Czarnego Łądu jest trybalizm, czego dowiodły wybory w Tandze A. D. 1977. W dniu wyborów obowiązywał - pod karą - zakaz brania do rąk jakichkolwiek narzędzi zbrodni oraz zakaz picia

płynów wyskokowych, nawet jeśli się nie miało prawa głosu. Ponieważ lud tangijski jest zbiorowym analfabetą, partie umieściły na kartach do głosowania swoje symbole (takie jak słoń, lew, nosorożec etc.), a wyborca głosował na któregoś z tych ssaków odciskiem linii papilarnych. Żeby uniknąć fałszerstw, to jest żeby nikt nie oddał głosu dwa lub więcej razy, kciuk każdego głosującego pomalowano niezmywalną farbą, co uczyniło bogaczem każdego handlarza, który miał płyn do zmywania tej farby. Nadto - z powodu braku dowodów osobistych w Tandze - nikt nie mógł się zorientować, czy młody wyborca jest już odpowiednio stary ergo: czy ma już prawo głosu. Urny kradziono, podmieniano i podpalano. W końcu zwaśnione plemiona rzuciły się na siebie z dzidami, toporami i strzelbami, mordując każdą ruszającą się istotę, nawet psy i domowe ptactwo w kurnikach.

Z plemiennej wojny jako triumfator wyszedł człowiek, który miał armię do dyspozycji - pułkownik Nyakobo Alanda Eebanumi itd. W marcu 1980 roku został „*Jego-Ekscelencją-Wielkim-Wskrziesikiem-lem-Ojczyzny-Dobroczyńcą-Narodu-Umiłowanym-Opiekunem-Kobiet-Dzieci-Młodzieży-i-Starców-Ojcem-Wszystkich-Ludów-Tangi-Budowniczyfn-Pokoju-i-Pożnyśności-Zwycięskim-Lwem-Afryki-Niezastapionym-Generalissimusem-Prezydentem-Nyakobo*”. Dzięki temu Tanga doszłusowała do krajów nowoczesnych. Co prawda dalej kwitło w niej czarnoksięstwo - afrodyzjaki gotowano na wodzie, którą myto trupy; niepłodność leczono przy pomocy mrówek i zęba białego człowieka; żony robiły ze swych mężczyzn domatorów dając im do skonsumowania ugotowane szczurze serce, gdyż szczur to domator - ale szamani nosili tranzystorowe radia jako amulety i zaklinali w rytm muzyki reggae płynącej z głośników.

Prezydent Nyakobo nie lubił głośników, gdyż słysząc z nich było głos dalekich radiostacji, które wyrażały się o nim złośliwie, nazywając go satrapą i wciąż przypominając mieszkańcom całego

świata, że wyróżnął był starszyznę trzech głównych plemion Tangelandu, tak jakby zrobił to w innym celu niż radykalne ukrócenie krwawych swarów międzyplemiennych. Odkąd to zrobił - w Tandze panował spokój! Ale tego nie mówiono - mówiono, że jest krwawym dyktatorem. Mógł jeszcze zrozumieć Rosjan, gdyż Tanga była antykomunistyczna i zawsze głosowała w ONZ przeciw Rosjanom. Lecz Zachód, który miał w Tandze tyle inwestycji, nie powinien był szkalować swego sprzymierzeńca. Prezydent Nyakobo mógł wiele rzeczy zrozumieć, ale nie mógł zrozumieć, dlaczego prezydent Reagan, taki potężny i energiczny wódz, nie może po prostu zamknąć wszystkich tych pismaków i pyskaczy w pierdłu i tam połamać im gnaty na drobny mak, albo jeszcze lepiej, bez żadnych aresztowań i tortur, posłać do każdego gnoja jakiegoś zawodowca z tłumikiem. Było to niepojęte i mogło świadczyć tylko o jednym: o złej woli Reagana oraz innych zachodnich władców. Kiedy tangijski generalissimus upewnił się co do owej złej woli - wezwał szamana przybocznego.

Szaman Makakubu był arcyszamanem. To on sprawił przy pomocy czarów, że spełniło się marzenie Nyakoba o najwyższej władzy (Nyakobo tylko współdziałał z duchami ogniem kulomiotów). Teraz zaś marzeniem Nyakoba było ukarać dwie największe światowe potęgi, Amerykę i Rosję, ale w taki sposób, żeby one się nie domyśliły, iż to jego dzieło. Szaman przystąpił do roboty w styczniu 1982 i ponownie dowiódł, że jest mistrzem - w 1985 Nyakobo mógł już obserwować rezultat. W ciągu tych trzech lat nowoodkryty wirus HDLV-5 z ciekawostki medycznej zamienił się w epidemię AIDS i cała Ameryka poczęła się trząść ze strachu. W ciągu tych samych trzech lat całą kadrę przywódczą Rosji dotknęła śmierć - zmarło pięciu najwyższych hierarchów państwa: trzech kolejnych pierwszych sekretarzy KC KPZR, szef sił zbrojnych Związku Radzieckiego oraz główny ideolog leninowskiej partii. Historia nie znała po-



dobnego przypadku - pięć filarów systemu runęło w ciągu trzech lat, przy czym żadnego nie zastrzelono, nie otruto, nie zarżnięto i nie wysadzono w powietrze; po prostu zmarli. Bez czarów, bez nie znających litości widm rozsyłanych przez Makakubu - nie byłoby to możliwe. „*Na co mi broń atomowa?* - pomyślał generalissimus. - *Oni ją mieli i czy im to pomogło?*”.

\*\*\*

Michaił Susłow odszedł pierwszy - w styczniu 1982 roku. Naród radziecki poniósł niepowetowaną stratę, gdyż nikt tak jak Susłow nie potrafił dowodzić, że komunizm grubo przewyższa kapitalizm i permanentnie zwycięża w mocarstwowym meczu, a wszystkie narody świata miłują ZSRR, czego dowodem jest choćby to, że amerykańscy farmerzy rokrocznie wyręczają radzieckich kołchoźników w produkcji zboża dla Kraju Rad.

Dowodem na wyższość radzieckiej techniki była suczka „Łajka” w kosmosie i nieśmiertelność wodza wszystkich czerwonych wodzów. Kapitalistyczni wodzowie umierali, gdy śmierć do nich przychodziła, a gdy przychodziła do Leonida Iljicza Breżniewa, nakazywano jej czekać w korytarzu, błyskawicznie wymieniano gensekowi kilka zużytych podzespołów lub zepsutych części na nowe, po czym odprawiano ją z kwitkiem jak intruza, a on dalej żył wegetacją androidów uruchamianych kluczykami. Miał coś z automatycznego szachisty barona von Kempelena i z dziecięcych robocików - charakterystyczny „skokowy” sposób poruszania się i nieruchome oczy zapatrzone w wieczność. Jednak w listopadzie A. D. 1982 mechanicy się zdrzemnęli, śmierć przy dybała genseka i Breżniew zgodnie z zapowiedzią Pisma przemienił się w proch. Naród radziecki był zdziwiony, że poniósł tę najbardziej niepowetowaną stratę, bo nikt nie podejrzewał Breżniewa o umiejętność zgonu.

Jurij Andropow, po śmierci Susłowa numer drugi na kremlowskiej

drabinie - po śmierci Breżniewa stał się numerem pierwszym, gensekiem, a na drugą pozycję pragnął wydzwignąć Miszkę Gorbaczowa, lecz dopóki żył faworyt Breżniewa, marszałek Ustinow, nie było to możliwe. Tak Breżniew, jak i Ustinow, nie przepadali za Gorbaczowem, i Andropow nic na to nie mógł poradzić, ani jako szef KGB, ani jako generalny sekretarz. Gdyby był zdrowy, zmierzyłby się z Ustinowem, ale wiedział, że ma tylko okrucz czasu przed sobą. Pod koniec 1983 roku zrezygnował z wszelkiej szarpaniny, nie chciało mu się nawet organizować trzeciego zamachu na papieża, choć wiedział, że póki Wojtyła żyje, póty Polska - nawet trzymana za twarz przez generała Jaruzelskiego - nie jest pewna. Zmarł w lutym 1984 roku, zostawiając naród radziecki w przepisowo nieutulonym stanie.

Miejsce Andropowa zajął Konstantin Czernienko, a Gorbaczow wciąż był w cieniu, bo wciąż żył Dymitrij Ustinow. Lecz od połowy 1984 roku żył już tylko na łóżku szpitalnym, dzięki czemu „Misza” bardzo urósł. W grudniu, podczas kremlowskiego balu, Gorbaczow - gestykulując kieliszkiem szampana - opowiadał towarzystwu anegdoty ze swej podróży do Wielkiej Brytanii. Weszła mu w słowo małżonka, Raisa Gorbaczowa:

- Widzieliśmy też kilka dobrych filmów. Powiedziała to takim tonem, że wszyscy zamilkli, czując, iż coś kryje się za tym tonem. - Bardzo nam się podobało „Quo vadis” - kontynuowała Raisa. - Ustinow w roli Nerona stworzył kreację genialną, był żalony, śmieszny i okrutny na przemian, a gdy umierał trzęsąc się ze strachu, to już przeszedł samego siebie!...

Gorbaczow obserwował twarze słuchaczy i pamięcią notował sobie dwa rodzaje reakcji w ich oczach: wściekłość lub wesołość.

Rok 1985 zaczął się głośnym wystrzałem - to armia radziecka oddała nad grobem Ustinowa (Dimitrija, nie Petera) uroczysty salut. Gorbaczow szedł za trumną przy boku Konstantina Czernienki. W

marcu A. D. 1985 szedł za trumną już bez niego, a osierocony przez Kostię naród, który nie zdążył jeszcze wysuszyć policzków, znowu kąpał się we łzach. Wówczas na Kremlu uznano, że dosyć tego „tańca śmierci”. Ruletkę, z której kpił cały glob, bo raz po raz kulka przeskakiwała z czerwonego pola w czarne, należało unieruchomić, i to tak, aby kulka poleżała długo w czerwonym polu. Dlatego kolejnym gensekiem wybrano pięćdziesięcioczworoletniego zdrowego jak koń smarkacza. Misze Gorbaczowa.

Wybrano go następnego dnia po śmierci Czernienki. Gdy minął ten dzień i przyszła noc, Michaił zapytał Raisę u progu łóżka:

- Spałaś już kiedyś z pierwszym sekretarzem KC KPZR?

- A ty spałeś już kiedyś z pierwszą damą imperium?

- Nie, ale mogę spróbować. Tylko nie wiem, czy dam radę, nie znam skali nowych zadań i obowiązków.

- Pierwsze zadanie jest proste. Chcę, żebyś zrobił porządek z tą kurwą, która bez przerwy pieprzy się z cyrkowcami w cyrkowych namiotach! I z jej mężem, który bez przerwy jest zalany w sztok!

Nie miał nic przeciwko temu - sam pragnął porachować się z breżniewowcami, zwłaszcza z rodziną metalowego Pinokia: z jego córką uwielbiającą seks w budach cyrkowców i z na okrągło pijanym zięciem-generałem KGB. Ale wiedział, że zemstą można się tylko ucieszyć; rządzić trzeba czymś lepszym niż odwet.

Gdy już dowiedział, że zakres nowych obowiązków nie przekracza granic jego możliwości, i gdy Raisa zasnęła, on leżał wpatrzony w ciemność i myślał intensywnie. Myślał o tym, że nikt na świecie nie ucieka do Kraju Rad, tylko każdy radziecki człowiek chce zwać z Kraju Rad do wrogów. I o tym, że za caratu, który został uśmiercony przez Babcię-Rewolucję, Rosja produkowała tyle zboża, że nie tylko żywiła siebie samą, ale i mnóstwo eksportowała, a teraz bez amerykańskiego zboża głód zabiłby ją w kilka wiosen. I sam siebie spytał: „*Jak długo jeszcze można ciągnąć wóz bez kół po drodze usypanej z*

*piachu na środku gigantycznego bagna, co?"*

Dalszą pracę mózgową zakłócił mu brzęczyk aparatu wiszącego obok łóżka. Podniósł słuchawkę i dobiegł go głos szefa nocnej zmiany na Kremlu:

- Towarzyszu pierwszy sekretarzu, przepraszam, ale jest ważny telefon.

Miewał już nocą telefony, od ważniejszych niż on figur, lecz teraz on był figurą najważniejszą, któż więc ośmielił się to zrobić?!

- Od kogo? - spytał groźnym szeptem.

- Od prezydenta Reagana.

- W środku nocy?! Zwariował?

- U nich jest teraz dzień, towarzyszu pierwszy sekretarzu. *„Tak - pomyślał Gorbaczow, odrzucając kołdrę. - U nich jest bardzo długi dzień, a u nas polarna noc trwa już kilkadziesiąt lat. I trzeba, k.... m..., coś z tym zrobić, bo inaczej wszyscy tutaj zdechniemy z głodu, albo wymordujemy się sami, albo wzniciemy wojnę i oni nas wymordują!”*

\*\*\*

Poprzedniego dnia prezydent Reagan usłyszał o zgonie Czernienki, i później miał fatalną noc. Męczył go koszmar - najbardziej okrutny sen, jaki mógł się przyśnić człowiekowi na jego stanowisku. Śnił, że nie było kilku strzałów i jednej utopionej sekretarki, więc dynastia Kennedych rządzi aż do roku 1985 (John, Bob i Ted po osiem lat), przez co Nixon jest dopiero teraz prezydentem i będzie nim aż do roku 1989, lub może nawet do 1993, chyba że zrobi numer w stylu Watergate i da się złapać jak krety, ale wówczas Carter ma zwycięstwo bankowe, i on, Reagan, będzie już za stary, żeby wysunąć swoją kandydaturę w 1992 roku, a tym bardziej w 1996, kiedy skończy osiemdziesiąt pięć lat!

Zbudził się mokry jak deszcz. Nancy leżała na wznak, z szeroko otwartymi ustami, a mimo to nie budziła pożądania, raczej żal, iż

nie jest już jędrną pięknością. Zlustrował zegarek. Była szósta trzydzieści. Leżał jeszcze przez kwadrans, kartkując poranne gazety, później zjadł śniadanie, umył zęby, ubrał się i ruszył do gabinetu. Tam już czekał na niego plik dokumentów „pilnych”, w tym dwie codzienne teczki z CIA. Pierwsza zawierała dziesięciostronicowy syntetyczny raport o sytuacji na całym globie. Każdy akapit, każde zdanie, każde słowo owego tekstu wypracowywał sztab ludzi, którzy sądzili, iż prezydent nie ma nic lepszego do roboty rano jak czytać książkę, którą czytał każdego poprzedniego ranka. Z obowiązku przesprężynował w palcach te dziesięć stron i odłożył. Druga teczka, zwana FPO („For President Only” - „Tylko dla Prezydenta”) miała więcej sensu, bo zawierała najświeższe tajne informacje.

O ósmej trzydzieści spotkał się w Owalnym Pokoju z członkami Rady Bezpieczeństwa Narodowego. W posiedzeniu wzięło udział kilku doradców, szef CIA i wiceprezydent Bush. Dyskutowano prawie wyłącznie sprawy funeralne i personalne zachodzące w Rosji.

O dziewiątej sekretarz szepnęła mu, że czas już przyjąć Stefana Brodziucha, polskiego emigranta, jednego z liderów ruchu „Solidarność”.

- To miało być pojutrze! - zdziwił się Reagan.

- Nie, to miało być dzisiaj, sir. On już czeka pół godziny.

- Z żoną czy sam?

- Sam. To rozwodnik. Rozwiódł się zanim uciekł stamtąd.

- Potrzebny tłumacz?

- Tak, ten gość to gniot, brygadzysta z fabryki traktorów. Tutaj ma pan, panie prezydencie, dossier faceta.

- Fotografowie są?

- Czekają. Są również chłopcy z prasy i z telewizji.

- Zawołaj Nel, niech mi poprawi makijaż!

O jedenastej udzielał wywiadu dwóm dziennikarzom z „Los Angeles Times”. Interesowały ich głównie sprawy rosyjskie i polskie.

Gdy padło pytanie o „Solidarność”, wygłosił tonem pełnym wzruszenia:

- Właśnie miałem zaszczyt i przyjemność podejmować jednego z tych bohaterów naszych czasów, pana Stephena Brothooka z Warszawy. „Solidarity” - „Soledarnotsch” - żyje! Nie złamały jej czerwone czołgi i czerwone pałki reżimu polskiego...

- Policja nosi tam białe patki, panie prezydencie - popisał się wiedzą młodszy z reporterów.

Starszy zląkał kolegę tylko wzrokiem, ale prezydent nie darował:

- Mister Soames, jeżeli pan używa metafory nazywając polską milicję policją, bo z pewnością pan wie, że tam jest milicja i użył pan terminu policja jako metafory, to ja chyba też mam prawo użyć metafory, zwłaszcza takiej, która jest w powszechnym użyciu?

- Ależ tak, panie prezydencie, proszę mi wybaczyć - rzekł zaczerwieniony dziennikarz.

- No więc, jak już mówiłem, „Solidarność” trzyma się mocno. Zeszła do podziemia i walczy dalej o wolny byt dla narodu polskiego i dla całego sowieckiego bloku. Muszę panom powiedzieć, że moim zdaniem związek zawodowy „Solidarność” jest czymś najpiękniejszym we współczesnej historii, jest ponadczasowym symbolem, symbolem walki o ludzką godność, o zręby wolnego świata tam, gdzie wciąż jeszcze króluje niewolnictwo i ucisk! I muszę panom wyznać, że poczułem wielką dumę, gdy mister Brothook przypiął mi do kłapy ten znaczek z napisem „Solidarność” - poczułem taką dumę, jakby mi przypięto najważniejszy z orderów.

O dwunastej zdrzemnął się na sofie w małym pokoiku sąsiadującym z Pokojem Ovalnym.

O trzynastej zadzwonił do Londynu, do pani premier Margaret Thatcher, żeby wymienić kilka myśli a propos sowieckiego „imperium zła”, które osierocił Czernienko.

O trzynastej dwadzieścia zszedł do jadalni na parterze, gdzie jest

stół z dziewięcioma nakryciami, i podjął lunchem grupę czołowych biznesmenów. Któryś z nich zauważył w klapie marynarki Reagana znaczek z napisem „Solidarność”, więc rzekł:

- Ron, co do tego znaczka...

- Tak?

- Jak wiesz, u mnie związki zawodowe dogorywają, praktycznie nie ma ich już. Za ten znaczek wyleciałbyś z roboty w każdym z moich przedsiębiorstw.

- U mnie też - dodał drugi rekin przemysłu. - Wczoraj jeden z moich dyrektorów wyrzucił z fabryki Polkę, która w stołówce pokazywała koleżankom zdjęcia. Ładne zdjęcia, pamiątkowe, z osiemdziesiątego, strajk w Gdańsku. Rzecz w tym, Ron, że my tu nie chcemy strajków, związków i „Solidarności” walczącej z pracodawcą.

- Mnie to mówisz? - spytał Reagan. - To przypomnij sobie, kto w osiemdziesiątym pierwszym pogonił strajkujących kontrolerów! Dałem im czterdzieści osiem godzin na opamiętanie, potem wszystkich twardych wykopałem na bruk, ich związek zlikwidowałem, a najtwardszych wsadziłem do mamra! „Solidarność” jest okey w Polsce, ale w Stanach te numery nie przejdą. Trzeba uważać na polskich emigrantów; każdego, który zamiast wykonywać swoją robotę, zbyt dużo pieprzy o „Solidarności”, gońcie bez żalu. A ja pomyśle o tym, żeby wiz nie dostawali zbyt łatwo.

Spacer, korespondencja i telewizja zajęły mu wczesne popołudnie.

Później przyjął liderów Kongresu.

Wiadomość, że odtąd po drugiej stronie siatki rakietą będzie machał Gorbaczow, napłynęła już o czternastej, lecz Reagan nie zamierzał doń dzwonić - wysłano rytualną depeszę z „congratulations”. O siedemnastej przysłała mu jednak chęćka, by usłyszeć głos tamtego.

- Która jest teraz w Moskwie? - zapytał szefa służb Białego Domu.

- Pierwsza w nocy, panie prezydencie.

- Daj tłumacza i łącz z pierwszym na Kremlu, szybko!

Bezpośrednia linia łącząca centrum Białego Domu z centrum Kremla działała w sposób niezawodny, połączenie było błyskawiczne.

- Mam nadzieję, że nie obudziłem pana, panie pierwszy sekretarzu  
- powiedział, gdy usłyszał „hallo!”.

- Jeszcze nie zasnąłem - padło w odpowiedzi.

- Byłem tego pewien, bo i ja tuż po wyborach nie mogłem zasnąć, ta pierwsza noc jest zawsze taka. Dzwonię z gratulacjami, panie pierwszy sekretarzu.

- Dziękuję, panie prezydencie.

- Gratuluję wyboru i szybkości wyboru, widać, że był pan zdecydowanym faworytem i że nie istniała żadna kontrowersja.

- Tak, u nas kampanie wyborcze są trochę krótsze...

- Za to elektorat macie trochę szczuplejszy. Ale ja nie dzwonię, żeby cokolwiek porównywać, tylko żeby wyrazić nadzieję, iż rozwiniemy współpracę lepszą niż dotąd, dla dobra całego globu.

- To mnie cieszy, panie prezydencie, chociaż i dziwi.

- Co pana dziwi, panie pierwszy sekretarzu?

- Że ma pan nadzieję. Dla pana Związek Radziecki to „szatańskie imperium”, zaś autor „Boskiej komedii” uczył: „Porzućcie wszelką nadzieję idąc do piekła”... czyli do państwa wiecznego mroku.

- Ciemności można rozjaśnić, panie pierwszy sekretarzu, jak uczył nasz Edison. Proponuję, żebyśmy razem wkręcili pierwszą żarówkę.

- Zaprasza mnie pan do Białego Domu?

- Może najpierw do jakiegoś neutralnego domu.

- Czyli na moją półkulę, bo na waszej nie ma neutralnych państw.

- Okey. Nasi ministrowie ustalą szczegóły. Życzę dobrej nocy, panie pierwszy sekretarzu.

- Wszystkiego dobrego, panie prezydencie.

Odłożył słuchawkę i uśmiechnął się do tłumacza:



- Widzisz, jaki wykształcony! Czy ty też jesteś tak dobrze wykształcony, John? Wiesz, kto napisał „Boską komedię”, synu?

- Dante Alighieri, panie prezydencie.

- Brawo! Ale i dla nich brawo. Po raz pierwszy zafundowali sobie przywódcę, który ma poziom wykształcenia zbliżony do poziomu wykształcenia mojego personelu. Robią postępy!

O godzinie dwudziestej pierwszej brał prysznic przed snem i wciąż czuł złość, że jedyny znany mu Ali to bokser Muhammed Ali, bo o Ali Geyreem usłyszał pierwszy raz w życiu.

\*\*\*

Człowiek nosi w sobie diabła. Tym diabłem jest instynkt robienia na przekór (więc może należałoby ze wszystkich głośników, z łam gazet i z ambon nawoływać do zabijania, okłamywania i zdradzania, do prostytucji i kradzieży - może wówczas tego wszystkiego byłoby mniej?). Ale to jest robienie na przekór kodeksom, dekalogom, tradycjom, rytuałom, normom, przysięgom, obietnicom i zakazom, bądź otoczeniu - innym. Zrobić coś na przekór samemu sobie - siebie samego złamać - jest rzeczą cholernie trudną. Już tylko droga do tej decyzji zabiera wiele czasu, a gdy decyzja jest podjęta, bywa że jeszcze ktoś lub coś blokuje realizację. Tym kimś może być osobnik lub tłum, a tym czymś mentalność ogólnonarodowa.

Przez całe lata gwizdał na wszystko, co robiono z tym krajem i z tym narodem. Nie wstydził się, że jest częstką esbeckiej maszynierii - czerpał z tego przyjemność: miał życie tak barwne, jakby żył na kartach awanturczego romansu, a pieniędzy tyle, że trudno było je wydawać. Nienawiść do przełożonych poczuł, gdy z ich winy zginął bliski mu człowiek. Chęć do zdradzenia ich poczuł dopiero wówczas, gdy próbowano zabić człowieka mu obcego - biskupa Rzymu. Pomyślał o związaniu się z ich głównymi wrogami - z amerykańską Centralną Agencją Wywiadowczą.

Cztery lata nosił w sobie tę myśl i nie mógł przełamać swych oporów, a właściwie jednego oporu, którym nie był strach, lecz inna myśl: *„Dla kogo? Dla tego chorego umysłowo narodu, który szpiegostwem i dezercją gardzi, nawet wtedy, kiedy mu służą i, są wymierzone w jego śmiertelnego wroga?”*.

Miał rację, a jego dylemat dotyczył zagadki psychologicznej, której wyjaśnienie - jeżeli ktoś tego dokona kiedyś - winno być uhonorowane nagrodą Nobla w zakresie psychologii tłumu. Wiadomo bowiem, że wrogowie naszych wrogów są naszymi przyjaciółmi, zaś przyjaciele naszych wrogów są naszymi wrogami, więc gdy ktoś za łobuza uważa swego rodaka, który pracuje przeciwko ciemnościom lub wypowiada służbę u ciemieńców, to albo ten ktoś ma tyle rozumu, ile jest mięsa na ciele myszy zagrzebanej w mrowisku, albo to jest jedna z tych rzeczy, o których nie śniło się filozofom. A takie właśnie zjawisko miało miejsce w PRL-u. Rozpatrzmy to na przykładzie Ludowego Wojska Polskiego czyli komunistycznej armii w państwie, gdzie naród nienawidził sierpa i młota jak rogów i ogona Belzebuba.

Wśród peerelowskich tak zwanych bogactw (zasobów, surowców) naturalnych miedź zajmowała trzecie miejsce, a węgiel drugie. Pierwsze miejsce zajmowała inteligencja. O ile na całym świecie istniały tylko dwa rodzaje inteligencji - wrodzona i wyuczona - to w Polsce odkryto w XX wieku jeszcze *„inteligencję katolicką”* oraz *„inteligencję wojskową”*. Pierwszym z tych pojęć zwano grupę inteligentów pracujących dla Kościoła; drugie było szyderstwem świadczącym, że autorytet munduru osiągnął dno. Był to upadek z bardzo wysokiego konia kawaleryjskiego, gdyż przed wojną wojsko polskie, bazujące na kawalerii, cieszyło się uwielbieniem całego narodu, zaś armia powojenna czyli komunistyczna znalazła się w głębokiej pogardzie u ludzi - mundur przestał być świętością, stał się odzieżą roboczą sił represyjnych udających siły obronne. Każde

polskie dziecko wiedziało, że ta armia, będąca gigantycznym muzeum zabytkowych rodzajów broni, nadaje się wyłącznie do straszenia Polaków. Szczególnym brakiem szacunku cieszył się korpus oficerski, złożony z przygłupów mających charakterystyczną jaźń. W społeczeństwie objawem tej pogardy było używanie zjadliwego terminu „*inteligencja wojskowa*”, zaś wewnątrz LWP - używanie grypsery wymierzonej w oficerów. Żołnierze mieli własne nazewnictwo szarż podoficerskich i oficerskich, od kaprała do marszałka: kapłon, sięrznął, porubnik, kapizdan, jajor, spółkownik, jejmierał i zmurszałek. A więc pogarda dla tego wojska wysługującego się Kacapom była wszechobecna. Lecz gdyby peerelowski okręt wojenny został uprowadzony przez załogę do floty Atlantyckiego Sojuszu, lub gdyby jakiś pułk peerelowskiego lotnictwa poprosił o azyl na lotnisku zachodnim - cały naród uznałby to za zdradę czyli hańbę. Mając tego pełną świadomość - peerelowscy żołnierze nie bawili się w dezserterów.

Jeszcze bardziej symptomatyczny był casus szpiegostwa. Polacy - jako się rzekło - komunizmu mieli po dziurki w nosie. Mieli dosyć demokracji, która tylko z nazwy była demokracją. Mieli dosyć narzuconego systemu, w którym biurokratyczna centralizacja i dominująca ideologia wytrzebiły wszelką kreatywność prócz przestępczej. Mieli dosyć tyranii pustosłowa i kolejek po wszystko, co niezbędne do wegetacji. Mieli dosyć retorycznych swobód w kraju, w którym wolna konkurencja istniała tylko między propagandą a łapownictwem, zaś despotyzm władz był sankcjonowany przez prawo. Mieli nawet dosyć wolności zawodowej, owego czerwonego „*etosu*” pracy, która przestała być sposobem zarabiania - była polem udawania, lenistwa i złodziejstwa. W komunizmie wypaliło się wszystko, od wolnego bytu do uśmiechu, a godziwe życie stało się dla większości pojęciem z rodziny terminów abstrakcyjnych. Ta większość, zakochana w mitycznej Ameryce, a nienawidząca

kremlowskich pastuchów i ich nadwiślańskich owczarków, marzyła o tym, że kiedyś ktoś lub coś rozkuje jej „*bratni związek*” z Krajem Rad i przytroczy ją do świata wartości Stanów Zjednoczonych. Ale każdego rodaka, który walczył o spełnienie tych marzeń jako tajny agent Stanów Zjednoczonych, synonimowała ze zdrajcą. Dlatego żaden Polak zdemaskowany przez KGB czy SB jako szpieg amerykański, nie otrzymał jednej łzy współczucia od swych rodaków. Na tym polegał ów fenomen.

Miał on swój rewers, równie głupi lub może głupszy. Ten sam naród, który tak nie lubił komunistów i antykomunistycznych szpiegów, otaczał kultem renegatów, którzy przez całe lata, jako twórcy i artyści, zachwalali stan niewolnictwa jako stan wyzwolenia, a potem zdjęli ze swych miedzianych głów czerwone i włożyli białe wianuszki - różnych Konwickich, Andrzejewskich, Woroszylskich, Czeszków, Brandysów et consortes. Wszystko to miało cechy zbiorowej aberracji i on nie mógł tego pojąć, więc tak trudno było mu się zdecydować.

W roku 1984 MSW dokręciło śrubę - przestało się cackać z „*Solidarnością*”. Kto z dysydentów chciał otrzymać paszport - otrzymywał go i wyfruwał za granicę bez prawa powrotu. Kto nie odtruwał, tylko zbyt podskakiwał - szedł do piachu lub był w zaciszu więzień bity tak okrutnie, że stawał się kaleką. Specjalne komanda zabójców wykonywały robotę mechaników samochodowych, podpalaczy, trucicieli, dusicieli oraz bokserów tak uderzających, iż żaden siniak nie szpecił trupa. Ludzie popełniali „*samobójstwo*”, ginęli w „*wypadkach samochodowych*”, umierali „*na zawal*”, bądź od „*przypadkowego zatrucia gazem*”, lub po prostu „*z przepicia alkoholowego*”. Dziesiątki anonimowych ludzi, lecz i głośnych kilku. W lutym zabito znanego działacza chłopskiego - Piotra Bartoszcze. W październiku utonął ksiądz Popiełuszko i była to jedyna spaprana robota - mord został ujawniony.

Gdy zabito księdza - zdecydował się. W maju 1985 roku nawiązał kontakt. W czerwcu pracownik Wydziału Agentur Zagranicznych Centralnej Agencji Wywiadowczej, wicedyrektor do spraw tajnych operacji, Clair St. George, zameldował najpierw Gatesowi, a później Fostermanowi:

- Mam nowego agenta w Warszawie, to jest zdobycz rewelacyjna!

Fosterman wysłuchał szczegółów i nie miał pytań, prócz jednego, dotyczącego pseudonimu:

- „Wallenrod”... Dlaczego tak?

- Bo on tak zażądał, panie dyrektorze.

- A co to jest, jakieś polskie hasło, nazwisko czy nazwa?

- Ich romantyczny bohater - wyjaśnił St. George.

Fosterman zwrócił mu teczkę „Wallenroda” i rzekł:

- Ci Polacy zawsze byli, są i będą pieprznięci! Nigdy nie dogonią świata, bo nigdy nie obmyją się z Bajronizmu.

\*\*\*

„Góral” stanowił żywe zaprzeczenie słów Fostermana - nie musiał obmywać się z romantycznych miazmatów, bo nigdy nie ochlapał się czymś takim, a świat gonił wędrując po zachodniej Europie. Rzekomo „*podróże kształcą tylko wykształconego człowieka*”, ale w jego przypadku nie było to prawdą - gdziekolwiek stąpnął, uczył się rzeczy nieznanymi mu. W Brukseli nauczył się popijać winem każdy obiad, w Londynie nauczył się angielskiego, a w Paryżu nauczył się jeść ślimaki.

Bruksela była pierwszym etapem. Z lotniska odebrał go „*pan Jurek*” i zawiózł do taniego pensjonatu, w którym wynajmował pokoik. Gdy jechali przez miasto, Zenon ujrzał kolejki stojące na chodnikach, co wprowadziło go w zdumienie:

- Przecież dziś jest niedziela! - zauważył.

- Tak, a co? - spytał „*pan Jurek*”.

- No... te kolejki. I w ogóle, że kolejki! Myślałem, że na Zachodzie kolejek nie ma, kurka wodna, a tu kolejki!

- Bo nie ma, tylko czasami, gdy jest jakiś super-koncert albo super-mecz futbolu. Ale dzisiaj są wybory, więc każdy Belg musi zapieprzać do punktu wyborczego.

- Jak to: musi?

- Bo głosowanie jest przymusowe.

- Co?! To nawet u nas, w komunizmie, nie ma musu głosować, a tu...

- A tu jest. Bez tego nikt by nie głosował, bo ludzie mają tu w dupie politykę na szczeblu państwowym, interesuje ich tylko to, co się dzieje na szczeblu komuny, najwyżej gminy. To się nazywa depolityzacja, chłopie.

W brukselskim ośrodku „*Solidarności*” panowała pełna polityzacja, a Tolik - „*kontroler Lecha*” - został przyjęty z rewerencją i ze strachem, lecz gdy wykazał brak zainteresowania finansami, towarzystwo odetchnęło. Szefa ośrodka ustawił od razu, gdy ten zapytał:

- Czy Lechu ma jakieś plany ponad to, co ogłosiła Komisja Koordynacyjna NSZZ?

- Ma - odparł Tolik.

- Jakie?

- Duże.

- To znaczy?

- To znaczy, że takie duże, iż nie do pana i nie do mnie należy wściubianie nosa. Rób pan swoje, a ja będę robił swoje, okey?

Robienie „*swojego*” polegało w jego wykonaniu na tym, że od czasu do czasu się pojawiał, właził, gdzie chciał, przeglądał, co chciał, czytał druki i dokumentacje, robił tajemnicze miny, i znikał. W sumie nudził się jak mops, pieniędzy mu nie starczało (tylko na taniutki dziwki), więc od kolejnego kuriera z Gdańska zażądał przeniesienia do Londynu.

- Dlaczego? - spytał kuńer.

- Mam cynk, że w Londynie siedzi koń trojański MSW - rzekł Tolik, przypomniawszy sobie wykład profesora Antosiaka.

- Cholera! - zaklął kuńer. - Wiesz kto?

- Nie wiem, ale się dowiem, mam pewne wskazówki. Po to mnie Lechu wysłał, żebym polował na konie trojańskie.

- A tu wszystko w porządku?

- Czysto. Załatw mi przeniesienie w try miga! I powiedz, że z taką forszą, jaką dostaję, to mogę łapać pchły, a nie esbeckie wtyki, powiedz im to! Chodzę ubrany jak dziad, zdzieram buty, bo nie stać mnie na taksówkę, przekupić nie mogę nikogo, obiad jem dwa razy w tygodniu, oszczędzam jak wariat, czy Lechu myśli, że taka robota nie wymaga smarowania, do kurwy nędzy?! Potrzebuję aparatu fotograficznego, magnetofoniku, błon i taśm, i kupę innych klarnetów, bez których wciąż będę zafajdanym amatorkiem! Powiedz im, że albo mnie dobrze wyposażą i dadzą mi fundusz, albo niech mnie odwołają, bo nie lubię udawać dobrej roboty - lubię odwalać dobrą pracę!

W Brukseli spędził pół roku. W Londynie wylądował na początku marca A. D. 1984. Miał już większe środki finansowe, więc wynajął pokój przy Kensington Gardens i obijał się jak w Brukseli, zgodnie ze staropolską dewizą („Robota nie ch..., może stać pół tygodnia”), trochę wszakże zmodyfikowaną, bo interpretował ją kalendarzowo w ramach nieskończoności, udając przy tym, że haruje jak wół. Pasjonowały go: brytyjska liga futbolowa i brytyjska anatomia kobieca, lecz o ile w tej pierwszej pasjonujące było to, że się od nadwiślańskiej ligi różniła stylem i poziomem, to u drugiej było na odwrót. Przestrzegał żelaznej zasady: nie wiązać się z żadną kobietą, bo może być podstawiona (w zupełności wystarczały mu dziwki londyńskie). I granitowej zasady: nie wiązać się z żadną frakcją ośrodka londyńskiego (wszystkie walczyły ze sobą i kablo-

wały „kontrolerowi” na przeciwników, chcąc go sobie zjednać, co nie udało się żadnej z nich). Chodził w glorii arbitra i był tą tajemniczą nadwładzą, która - chociaż nie dysponuje władzą faktyczną - budzi respekt lub przerażenie. Do roboty wziął się wówczas, gdy podkablowano mu, że „grupa Nowickiego” chce „upieprzyć kontrolera”.

„Grupa Nowickiego” składała się z czterech facetów. Odsłoniła się w lipcu roku 1985, podczas imienin „solidarnościowej” koleżanki. Był to głupi, niezaplanowany atak, który spaprał całą intrygę. Chcieli ją rozegrać cicho, na linii kontaktów Londyn-Gdańsk, lecz polska wódka imieninowa ma do siebie to, że wpędza ludzi w małą rozum.

Tolik, obtańcowujący akurat solenizantkę, usłyszał podniesiony głos z korytarza:

- Na wszystko brakuje forsy, ale na prostytutki dla tego cwaniaka pieniądze zawsze są!

- Cichooo! - syknął ktoś, kto się przestraszył.

- Co cicho? Co cicho?! Myślisz, że się boję Tolika? On mi może, wiesz?... Wiesz?... Czas już z tym skończyć! Skończyć!

Zenon przeprosił partnerkę i wszedł do korytarza. Tłoczyło się tam kilkanaście osób.

- O wilku mowa!... - uśmiechnął się krzywo Nowicki.

- Nie podoba mi się ta mowa! - warknął „kontroler”.

- Bo mówimy po polsku - rzekł Nowicki. - Gdybyśmy mówili po angielsku, to pan by nawet słowa nie zrozumiał! Dziwne, że Lechu przysyła tu ekspert a, który w ogóle nie zna angielskiego, bardzo dziwne!...

- Dalej nie podoba mi się to, co pan pierniczy!

- A to się panu podoba? - spytał Nowicki, wręczając mu kilka zdjęć.

Na zdjęciach widniał „Góral”, w towarzystwie dwóch „panienek”, przed wejściem do „night-clubu”. Przyjrzał się sobie i wzruszył ramionami:

- No to co?



- Ano to, że Lechu się ucieszy jak zobaczy, czym się zajmuje jego człowiek nad Tamizą, panie Zenonie!

- Jego człowiek nad Tamizą szuka informacji w wielu miejscach, to należy do moich obowiązków. Tu też szukałem informacji.

- To chyba na migi! - zarechotał ktoś z „grupy Nowickiego”.

- „Body language”, ha, ha, ha, ha, ha, ha, ha, ha, ha!...

- Te kurwy - rzeki „Góral” - to kurwy o wiele mniej groźne niż te, z którymi spotykają się pańscy koledzy, a jak oni, to może i pan, panie Nowicki? To nie są kurwy esbeckie!

Nowicki zsiniał:

- Co takiego?! Moi koledzy i...

- I pracownicy SB czyli esbeckie kurwy! Poznaje pan? - spytał Tolik, wyjmując z portfela kilka zdjęć. - Fotografie za fotografie...

Na zdjęciach członek „grupy Nowickiego” wręczał coś facetowi w szarym kapeluszu.

- Kto to jest? - spytał Nowicki.

- Pański tu obecny kumpel, Bronisław Ziakoń.

- Pytam o tego faceta, tu!

- To jest major SB, funkcjonariusz polskiej ambasady. A to, co pan Ziakoń mu właśnie przekazuje, to są dokumenty z naszego ośrodka. Wie pan, ja mam dużo czasu, starcza mi nie tylko na dziwki, ale i na śledzenie, z kim pan major spotyka się w St. James's Park i w dokach nad Tamizą...

Ziakoń rozepchnął kolegów, otworzył drzwi i wybiegł nim ktokolwiek zdążył mu przeszkodzić lub dać w dziób. „Góral” wziął Nowickiego za węzeł krawata, szarpnął tak silnie, iż broda podskoczyła tamtemu do góry, i wycedził perfekcyjną angielszczyznę:

- So you see, sucker... [ - Widzisz, frajerze...] Life is brutal and full of zasadzka!

Ludzkość od genesis powtarza te same głupoty, tylko że w wieku komputerów, laserów i TV odgrzewa je w kuchence mikrofalowej - bardzo szybko. Tak jest ze wszystkim - z produkowaniem „*Ramboidalnych*” supermężczyzn również. Rzymski legionista, rycerz w średniowieczu czy wojak Bonapartego potrzebowali wielu lat na wyszlifowanie perfekcji ostatecznej i zdobycie pełnej rutyny bojowej, ale wówczas, gdy już posiadli jedną i drugą, ich mięśnie zaczynały słabnąć, gdyż byli ludźmi w dojrzałym wieku. Nasze stulecie produkuje ideały - dwudziestolatków genialnych jeśli chodzi o unicestwianie wroga. Produkuje masowo, w cyklu szkoleniowym trwającym dwa-trzy lata, nie więcej. Popularna międzynarodowa nazwa tych brojlerów to: super-komandosi, lecz w każdym kraju mają oni firmową nazwę: u dwóch pierwszych potęg świata współczesnego nazwy brzmią: Special Force i Specnaz, a gwarowo: zielone berety i czarne berety.

Główną bazą zielonych beretów w Ameryce jest Fort Bragg (operacyjno-szkoleniowe centrum formacji Delta Force). W Europie - Bad Toelz. Bad Toelz to przepiękny sanatoryjny kurort w Bawarii, u podnóża Alp, niedaleko jeziora Chiemsee. To tutaj najdziwniejszy monarcha europejski tego tysiąclecia. Ludwik II Wittelsbach, budował w XIX wieku swoje cudowne zamki, jakby wyjęte z rysunków Doré'go ukazujących zamek Camelot króla Artura w „*Królewskich idyllach*” Tennysona. Ktoś inny wybudował tu później (przy uzdrowisku) wielkie koszary i wielki poligon wojskowy. Do roku 1945 ich użytkownikiem była jednostka pancerna SS. Potem przyszli GIs.

Sztabowców amerykańskich miejsce zauroczyło - nie pięknem krajobrazu, lecz uniwersalnością terenu: wysokie góry, wielkie lasy, dużo wody i piachy poligonowe udające pustynię - idealny punkt dla wszechstronnego szkolenia wszechstronnych zabijaków. Bad Toelz stało się kwaterą i „*rzeźnią treningową*” 10 Grupy Oddziałów

Specjalnych Armii Stanów Zjednoczonych, fabrykującą superżołnierzy do walk na zapleczu wroga (szerzenie terroru, branie jeńców, odbijanie jeńców, sabotaż i wszelkie inne „*misje specjalne o najwyższym stopniu ryzyka bojowego*”).

Clinta Farloona przywieziono do Bad Toelz w grupie kilkudziesięciu nowicjuszy, późną jesienią 1984 roku. Ciężarówki skręciły z highwayu na drogę wiodącą przez las, potem jechały wzdłuż jeziora, by znowu skręcić w las. Dzień zamierał łagodnie, gasnąc w wierzchołkach drzew i w lustrze wody, a dalekie górskie zbocza zdawały się kłębowiskami fantastycznych chmur, trochę wyblakłych, nie narzucających się oczom, przynależnych do senności zmierzchu. Clint rozkoszował się tym widokiem, gdyż było w nim coś sielskiego, łagodzącego gniewną duszę uciekiniera. Szarzejące niebo za mijanym wzgórzem raptownie rozjaśniło się, jakby dzień odetchnął pełną piersią przed ułożeniem się do snu, i wówczas martwa krawędź skały ożyła. To, co brał za grupę drzew, to było kilka ludzkich postaci. Na tle zbiegającego nieba wyglądały jak kilka nut na partyturze sprowadzonej do kilku dźwięków. Wiatr lekko kołysał ich czarnymi sylwetkami, które budziły irracjonalny strach, niczym widma z tutejszych klechd. Domyślał się, że to jakiś patrol, ale nie był pewien, tak jak nie był pewien niczego.

Przez strefę kolczastych zasiaków oraz przez bramę w wysokim murze wjechali na dziedziniec koszar. Kazano się im ustawić, odliczyć, i sierżant wygłosił powitanie. Nie zdzierał sierżancką manierą głosu - mówił spokojnie i miarowo, jakby recytował dzieciarni przedszkolnej codzienny wierszyk:

- Ludźmi byliście tam. Tu jesteście gównem, półfabrykatem do produkcji pocisków, Shit and nothing Else [ - Gównem i niczym innym]. Nie macie tu nazwisk ani dystynkcji wojskowych, nie nosicie włosów dłuższych niż pół cala, bród i wąsów, wszystko to zostanie zgolone. Nie wolno wam się fotografować i pieprzyć

między sobą. Better do fuck your mothers in your dreams, boys [- To już lepiej pieprzyć własne mamusie w swoich snach, chłopaczki]. Kto zostanie przyłapany, będzie miał urzęniętego fiuta. Teren wolno wam opuszczać tylko nocą i tylko za zezwoleniem lub rozkazem przełożonego, na niegrzecznych czekają chłopcy, których widzieliście po drodze i którzy odstrzelili ją jaja lecącemu komarowi z odległości stu jardów. A teraz co wam wolno, bo macie i prawa. Wolno wam oddychać, srać, szczać i jeść na komendę, oraz wykonywać bez dyskusji rozkazy, polecenia i życzenia członków korpusu oficerskiego i podoficerskiego. Wolno wam też starać się przeżyć. Trening jest taki, że trzech na stu to wytrzyma. Reszta idzie do piachu i odpoczywa, albo idzie do szpitala, gdzie płacze i chromoli pielęgniarce żałośliwe kawałki o morderczym treningu. Przejdziecie teraz do stołówki. W prawo oooooo, zwrot! Krokieeeeeem, marsz!

Kolację zjedli w milczeniu - wszystkich ogłuszył spokojny, cichy ton sierżanta. Po kolacji przyszedł do nich pułkownik.

- Smakowało?

- Yes, sir! - odkrzyknęli chórem.

- Możecie usiąść, chłopcy.

Sam też siadł obok stołu. Na wargach miał życzliwy uśmiech, ale w błękitnych oczach tę samą zimną stanowczość, co w słowach, które mówił:

- Produkt „made in Bad Toelz” to nie jest elita naszej armii, im prędzej to zrozumiecie, tym lepiej. To jest elita elity! Wejdą do niej ci, których nie złamią ćwiczenia. Życzę każdemu z was, aby mu się udało. Mamy ambicję wypuszczać stąd najlepszych, to znaczy najsprawniejszych, najtwardszych i najinteligentniejszych żołnierzy Stanów Zjednoczonych. Supermenów. Pójdziecie teraz spać. To jest wasza pierwsza noc w Bad Toelz i w ciągu tej nocy wypełnicie pierwsze zadanie. Tym zadaniem jest wybór. Do rana każdy z was

ma podjąć decyzję, w której kompanii językowej chce ćwiczyć. I każdy może sobie wybrać dowolny język, pod warunkiem, że będzie to język któregoś z państw Układu Warszawskiego, tak jak w tym dowcipie z formem-T...

Zawiesił głos, czekając na wybuch śmiechu, ale odpowiedziała mu cisza, więc albo nikt z nowicjuszy nie znał dowcipu o czarnym fordzie-T, albo uznali, że w obecności pułkownika rechotać im nie wolno (wariantu, iż jego pastisz jest kiepski, nie brał pod uwagę). Kontynuował, lekko zawiedziony tą ciszą:

- Od jutra będziecie się uczyć wybranych języków. Tu, w Bad Toelz, szkolimy przede wszystkim grupy uderzeniowo-dywersyjne do specjalnych zadań na tyłach czerwonych wojsk w razie konfliktu z Układem Warszawskim, a więc wybieracie mowę Rosjan, Polaków, Czechów, Węgrów, Rumunów, Bułgarów lub Niemców, ale wybieracie tak, żeby w każdej grupie językowej znalazła się równa liczba chętnych, rozumiano?

- Yes, sir!

- No to śpijcie dobrze, boys!

Żeby spać dobrze, rozstrzygnęli od razu - za pomocą losowania, bo każdemu było wszystko jedno jakiej chińszczyzny będzie się uczył. Prawie każdemu. Clint spojrział na bursztynową bransoletę i zdecydował, że będzie się uczył polskiego. Ale wziął udział w ciągnięciu, gdyż pragnął sprawdzić, czy fortuna jego wybór akceptuje. Gdy wyciągnął kartkę z napisem „*polish*” - miał już tę pewność.

Pierwszy egzamin z języka polskiego zdawał dwanaście miesięcy później - 3 listopada 1985 roku. Zdał najlepiej w „*polskiej*” kompanii. Lecz to nie było jego największe zwycięstwo w Bad Toelz. Za większe uważał to, iż wytrzymał już tyle czasu na poligonie bez strzelenia w łeb któremuś z oficerów.

\*\*\*

Główny biuletyn wywiadu amerykańskiego nosi tytuł: „National Intelligence Estimate”. Poza tym CIA ma jeszcze wiele innych, wewnętrznych biuletynów. W redakcji jednego z nich utknął za karę Rick Korm i było to jak oddelegowanie funkcjonariusza KGB do syberyjskiego łagru. Co prawda waszyngtoński budynek, w którym mieściła się ta redakcja (jeden ze starych gmachów CIA, użytkowany już przed 1961 rokiem, kiedy to w Langley wyrosła nowa siedziba Agencji) dzieliło od centrali zaledwie pół godziny jazdy dobrą gablotą, lecz dla Ricka Korma było stąd do Langley jak z Waszyngtonu do kraterów na Księżycu.

Ci, którzy chcieli go wykończyć, okazali się genialnymi sadystami, gdyż praca redakcyjna polegała na zonglowaniu statystyką, co jest pasjonujące dla komputerów, ale jemu petryfikowało zwoje mózgowo, mimo że tydzień autentycznej pracy składał się tylko ze środy, a przez resztę dni można było spać lub gapić się w okno. Męka tej nudy wynikającej z prawa Parkinsona torturowała go osiem godzin dziennie, cztery tygodnie w miesiącu i dwanaście miesięcy w roku. Natomiast dla jego szefa to samo nieróbstwo było rajem. Człowiek ów właśnie dlatego zadekował się w redakcji statystycznego biuletynu, że był nierobem, chociaż nie był nim z lenistwa - uważał po prostu, że w ten sposób wyrządza mniejszą szkodę ludzkości, gdyż na ogół wszystko, za co się przedtem brał, kończyło się katastrofą. Całe dnie spędzał na wertowaniu pornograficznych gazet i próbował wciągnąć Ricka w ów nałóg, ale Rick nie lubił pornografii, sądził, że może być ona przydatna tylko dla rodziców, którzy nie wiedzą jak inaczej wytłumaczyć swemu potomstwu płci męskiej drugą funkcję ptaka osobistego.

Przegrał i w domowym życiu - rozwodnikiem był już dłużej niż przedtem był mężczyzną żonatym, dzięki temu, że Scarlett była kobietą rasową czyli typową, do czego nie chciał się jako mąż

przyzwyczajając. Owa typowość polegała na tym, że Scarlett bardzo dbała o nieskazitelną reputację - puszczała się tylko wśród obcego pejzażu, z dala od miejsc, gdzie ją znano (w trakcie weekendów lub wyjazdów służbowych). Lecz życie jest „*full of zasadzkas*” i żadna ostrożność nie daje gwarancji stuprocentowej. Gdy Ricka odwołano z krainy pradziadów do rodzinnego kraju, ktoś mu doniósł, że podczas jego nieobecności pani Korm-Dillon nie była mu wierna. Wówczas wymówił jej małżeństwo. Ale ponieważ wymawiając nie wyłuszczył powodu, spytała przymilnym tonem:

- O co ci chodzi, darling?

- O nic - uśmiechnął się - o nic, sweetheart. Spadam, honey, adios!

- Ale dlaczego?!

- Co dlaczego?

- Dlaczego zostawiasz mnie samą, kochanie? Już ci się nie podobam?

- Już nie. Należę do sportowców, którzy nie lubią pucharów przechodnich.

- Nie rozumiem...

- Należę do facetów, którzy bardzo lubią przechodnie kobiety w swoim kawalerskim łóżku, a nie lubią w swoim łóżku małżeńskim, sweetheart - wyjaśnił z morderczą precyzją.

I zamknął za sobą drzwi. Potem widział ją na randce rozwodowej i więcej już jej nie widział. A jako że nuda redakcyjna i nuda seksualna skumulowały się w jego życiu przesadnie, musiał rozproszyc przynajmniej jedną, więc uległ koleżance z redakcji. Tylko, że ta koleżanka była obiektem westchnień jego szefa. Westchnień czysto platonicznych, gdyż szef miał niezbywalne kłopoty z erekcją, ale właśnie dlatego dostał szału widząc romans Ricka i sekretarki, i zaczął się odkuwać na podwładnym przy pomocy biurokratycznych szykan, złośliwych poleceń i gróźb. Tak to już jest. Ci, którym średnio gra, nie lubią tych, którym dobrze gra, a ci, którym w ogóle

nie gra, są rozżaleni lub wściekli na każdego, z Panem Bogiem włącznie.

Odsiecz przysłała ni stąd ni zowąd, jak każdy cud. Przysłała z Camp Peary i miała również podłoże chorobowe. Zaniemógł pułkownik Hill, największy wróg Ricka Konna. Zaniemógł bardzo poważnie - wykryto u niego nieuleczalną chorobę zwaną CEO.

CEO to skrót od: Chief Executive Officer (główny dyrektor, szef naczelny). Choróbsko zaś polega na tym, że ludziom, którzy znajdują się u szczytu, woda sodowa atakuje komórki mózgowie. Człowiek obdarzony władzą i zaatakowany przez wirus CEO, nabiera o sobie tak wysokiego mniemania, iż traci poczucie rzeczywistości. Żegna się z chłodnym rozumem, otacza wyłącznie klakierami, zmienia decyzje jak kobieta (sam nie wiedząc dlaczego), brakuje mu inicjatywy i obiektywizmu, słowem jego umiejętność rządzenia jest już tylko iluzoryczna - zamiast talentu i rozsądku, autokratyczny wrzask i nieobliczalność. Symptomy są łatwo zauważalne - to niezdrowy egotyzm i narcyzm, które tak wypaczają osobowość, że człowiek ów, mający się za boga, wywiera destrukcyjny wpływ na całą kierowaną przezeń strukturę. Rozpoznani CEO-maniacy są możliwie szybko zdejmowani ze stanowisk przez rady nadzorcze lub przez walne zgromadzenia akcjonariatu.

I tak właśnie stało się z pułkownikiem Hillem. W ciągu roku rządzenia „*Farmą*” Camp Peary zapadł na ciężkie CEO. Być może jeszcze się do czegoś nadawał, ale do dyskusji na pewno nie - o wszystkim i o każdym wyrokował w tak bezwzględny sposób, że Sąd Ostateczny można już było właściwie odwołać. Co zresztą nie groziłoby tragedią, gdyby podejmował decyzje zawierające trochę sensu. Oficerowie z Camp Peary alarmowali Fostermana, lecz Fosterman miał inne rzeczy na głowie i ta „*rozgrywka*” nie obchodziła go zbyt. Aż przysłano mu pamiętnik wykradzony przez kogoś z gabinetu Hilla w Camp Peary. Był to gruby zeszyt, w którym pułkow-



nik Hill notował sobie, co myśli o tym zasranym świecie, o zasranej „Farmie”, o zasranej instytucji macierzystej i o wielu zasranych facetach, nie wyłączając dyrektora Centralnej Agencji Wywiadowczej.

Dla Ricka Korma zdarzenie to miało skutek błogosławiony, gdyż pułkownik Hill w swej pasji kronikarskiej opisał był również intrygę tria Hill-Crivelli-Brown wymierzoną w stażystę Konna. Każdemu z trzech wrogów Ricka ów fatalny dziennik złamał karierę, a jemu pozwolił odbić się od dna karierologicznego, przeniesiono go bowiem do Służb Kontroli Informacji w Dziale Wywiadu czyli do centrali w Langley - do tego szarego, siedmiopiętrowego silosa w kształcie litery H, będącego drugim (po Pentagonie) największym budynkiem rządowym Stanów Zjednoczonych.

Tak oto, w dniu 5 marca 1986 roku, Rick Korm stał się jednym z tysięcy pracowników Langley, których prawie nic nie odróżniało od reszty obywateli hrabstwa Fairfax. Rozpoznawał ich tylko personel miejscowego szpitala, bo każdemu przywiezionemu na zabieg urzędnikowi Agencji towarzyszyło dwóch smutnych kolegów, pilnujących, by pacjent nie wymruczał pod narkozą rzeczy zastrzeżonych do wewnętrznego użytku CIA.

\*\*\*

„Góral”, gdy upokorzył (a w rezultacie rozbił) „grupę Nowickiego” zaczął budzić jeszcze większy strach. Ale też i miłość, bo naraz zobaczył, że ma grono przyjaciół gotowych dla niego „w ogień i w wodę”. Począł bywać na imieninach i weekendach, przechodził na „ty” z magistrami i doktorami, a ogień i wodę traktował w tym towarzystwie po indiańsku, co otwierało usta słabogłowym, i dzięki temu poznał wiele tajemnic, których inaczej by nie poznał. Upił się nawet ze Stefanem Brodziuchem, gdy ten przyjechał do Londynu z Chicago. Brodziuch pił i kłął symultanicznie, tak jakby jedno bez drugiego nie miało sensu. Najpierw skłął USA, gdzie go wrednie

potraktowali, a gdy już się ululał na wór, sklął swoją byłą żonę, bo też go potraktowała z jakimś bydlakiem, którego on dorwie kiedyś, jak tylko się wywie kim ten skurwiel jest. Tolik kiwał głową i mówił, że temu komuś najlepiej obciąć jaja, co w Brodziuchu wywoływało stan radości takiej, jakby już było po tej operacji.

Picie alkoholu to jednak rzecz niebezpieczna, czasami bardzo, zwłaszcza picie irlandzkiego alkoholu. Docent Stefaniak miał wygłosić u Irlandczyków spicz o irlandzko-polskim braterstwie i wziął Tolika ze sobą. Była niedziela, deszczowa i przygnębiająca jak chandra po nieudanym stosunku. Ale w „Biddy Mulligan”, najgłośniejszym londyńskim pubie obsługującym synów Irlandii, przyjęto synów Polski gromką owacją na stojąco, do wtóru charakterystycznej irlandzkiej muzyki ze skrzypiec i fletów. Później obalono po kilka piw i docent Stefaniak wygłosił odczyt o braterstwie, może nie tak pasjonujący jak mecz hurlingu czyli irlandzkiego hokeja, lecz wzruszający bardzo.

We wstępie podniósł, że Irlandczycy i Lechici to dwa bratnie narody, bo na całym globie nie ma podobnej pary narodów tak geograficznie odległych, a tak historycznie, mentalnie i duchowo tożsamy, jak te dwa. Przyznał, że nie były to nigdy więzy sercowe, które łączyły okresowo Polaków i Węgrów oraz Polaków i Francuzów, bo Irlandczyków Polacy nie znają i vice versa, ale historia tych dwóch państw i natura tych dwóch plemion są nieomal bliźniacze, tak jakby opatrność używała kalki. On sam używał kartki i czytał z niej między innymi to:

- Podczas gdy w całej Europie nastąpił ogromny upadek katolicyzmu (nawet we Francji, zwanej „najstarszą córką Kościoła” wśród wierzących jest zaledwie dwadzieścia procent katolików) - tylko w Polsce i w Irlandii społeczeństwo jest katolickie aż w dziewięćdziesięciu pięciu procentach. Podczas gdy w innych krajach wykształciły się społeczności wielokulturowe, a czasami wręcz ko-

smopolityczne - Irlandia i Polska od wieków są monokulturowe i nacjonalistyczne, a ta niezmienność funkcjonuje na bazie religii (konkretnie: fuzji sentymentów religijnych z narodowymi) oraz na bazie doświadczenia historycznego. Historia obu naszych krajów, notabene identycznie położonych, na rubieży, bo oba są jakby „poza” Zachodem i są integralnymi częściami Zachodu, otóż historia ta jest identyczna! Oba narody permanentnie wykrawiały się w walkach o niezawisły byt i są (ex aequo) światowymi rekordzistami w konkurencji powstań narodowyzwoleńczych. Oba na długo utraciły resztkę samodzielnego bytu państwowego w tym samym czasie - w drugiej połowie osiemnastego wieku. Oba dokładnie w ten sam sposób, będący podwójnym światowym ewenementem: przekupione parlamenty Polski i Irlandii zadekretowały likwidację niepodległej Polski i niepodległej Irlandii. I oba narody odzyskały państwowość (niepełną terytorialnie) po pierwszej wojnie światowej.

Teraz przeszedł do szczegółów, które omówił w pół godziny, a kiedy zakończył, Irlandczycy poczuli rytmicznie klaskać, skandując:

- Bo-nyek!, Bo-nyek!, Bo-nyek!...

- Co oni krzyczą? - zdziwił się Stefaniak.

- Krzyczą: „Boniek!, Boniek!” - przetłumaczył mu Tolik.

- Co takiego?!

- Boniek to nasz asior futbolu, cały świat go zna.

- Uhhh... - rzekł skonfundowany prelegent, który nie należał do całego świata, więc czuł się głupio i w ogóle nie rozumiał o co chodzi.

Był to początek jego kłopotów. Gdy umilkło skandowanie, przemówił grubas rudy irlandzką modą jak poźółkła marchewka. Nie czepiał się różnic w kolorze fryzur, tylko sięgnął głęboko do duszy irlandzkiej i do duszy polskiej:

- Mówił pan, że mamy tę samą naturę i mentalność. Coś mi tu nie

gra. Polska i Ulster są w jarzmie, wy w rosyjskim, my w angielskim. Ale my walczymy z bronią w ręku. Stworzyliśmy podziemną Irlandzką Armię Republikańską, która płaci okiem za oko, krwią za krew, nie ma tygodnia bez eksplozji lub strzelaniny. A wy już nawet nie strajkujecie, nic nie robicie!

- Jak to nic? - zdziwił się Stefaniak. - Przecież walczymy...

- Walczycie modlitwami, ulotkami i podziemnymi pisemkami, to wszystko! Ilu Polaków trzeba wymordować, żeby Polak zaczął się mścić, he? Nawet księży wam mordują, a wy co? Broni w Polsce nie ma?

- Broń by się znalazła, tylko zemsta nie jest lubiana przez Polaków.

- No to po co pan truje, że mamy tę samą mentalność?

- I jest coś jeszcze - rzekł Stefaniak. - Jak do nas weszli Niemcy, to my też założyliśmy armię podziemną i walczyliśmy z okupantem z bronią w ręku. U was, w Ulsterze, są Anglicy, a u nas nie ma Rosjan. Jesteśmy niewoleni przez Polaków, którzy wysługują się Rosjanom...

- To jakaś różnica? - spytał Irlandczyk.

- No cóż... pewna różnica jest... to nie to samo strzelać do swoich czy do obcych... - mruknął Stefaniak, głowiąc się jakby to wytłumaczyć lepiej, ale nie wymyślił niczego lepszego.

Gospodarze, widząc, że wpędzili gości w kozi róg, przestali się czepiać i resztę nocy spędzono na łykaniu ognistej wody irlandzkiej oraz na śpiewaniu tradycyjnych irlandzkich ballad o górach Moume i o krwawej bitwie z Anglikami pod Ballymahooney w dniu 14 października 1922 roku. Bitwa ta nie miała miejsca, ale gdy w roku 1923 kilku irlandzkich oficerów schlało się w karczmie i tam skomponowało ową pieśń - w bitwę uwierzyła cała Irlandia (odtąd każdą rocznicę „zasadki pod Ballymahooney” Irlandczycy fetują jak święto narodowe). Docent Stefaniak wiedział o tym, lecz wolał nie popisywać się swoją wiedzą, bo wiedział również, że Polaków i Irlandczyków łączy jeszcze coś: ten sam dożylny efekt podnoszenia

się waleczności fizycznej w miarę absorbowania obalanego litrażu.

Nazajutrz dostał kaca i polecenie opuszczenia Wielkiej Brytanii w ciągu czterdziestu ośmiu godzin samodzielnie (z obietnicą, że jeśli nie zrobi tego samodzielnie, to zostanie uwięziony, a potem deportowany). Wyjechał do Stanów. Tolika o identycznej porze spotkała identyczna przykrość. Dwaj smutni cywile z MI 6 (wywiad), lub z MI 5 (kontrwywiad), lub ze Scotland Yardu, dali mu dwie doby.

- Co macie mi do zarzucenia? - spytał. - Ja tu reprezentuję Lecha Wałęsę!

- A my królową i rząd, twój Wałęsa wisi nam jak fiut!

- Protestuję stanowczo, to skandal! I w ogóle to jakaś pomyłka! Jestem delegatem przywódcy „Solidarności”...

- To nie wyjeżdż i potem z pudła napisz do niego, żeby ci przysłał trochę witamin, gnojku!

- A za co miałbym iść do pudła?

- Za braterstwo z terrorystami irlandzkimi, gnojku. My tu bardzo nie lubimy członków IRA, więc pakuj klamoty i spieprzaj stąd, bo porozmawiamy inaczej!

5 sierpnia roku 1986 wyjechał do Francji. Wyjechał bez żalu. Nie lubił Anglii, w której tylko jajko na bekonie i frytki nadają się do jedzenia.

\*\*\*

Cały cykl szkoleniowy w Bad Toelz był idealnym zaprzeczeniem miłości bliźniego. Bliźniego można wykończyć palcem, ręką, nogą, łokciem, nożem, kijem, kamieniem, cienkim stalowym drutem, oraz strzykawką lekarską, łopatką saperską, siekierą ciesielską i kulą inwalidzką bądź wystrzeloną z broni palnej, jak również na wiele innych sposobów. Komandos „made in Bod Toelz” musiał każdy z tych sposobów opanować do perfekcji. Poza tym musiał opanować bezbłędnie: jazdę na nartach, łyżwach, motorach i ciężarówkach;

technikę wysadzania obiektów, udzielania pierwszej pomocy, zbierania informacji, chwytania jeńców i werbowania agentów; metodę pieczenia chleba z kory drzewnej, konstruowania haczyków na ryby z byle czego, zastawiania wnyków na zwierzynę i rozpalania ogniska podczas ulewy. Trzeba było mieć w małym palcu alpinistykę, pływanie, nurkowanie oraz znajomość wschodnich walk, wszystkich rodzajów łączności i wszystkich rodzajów broni (zwłaszcza broni używanej przez wojska Układu Warszawskiego). Trzeba było nauczyć się spać bez zamykania oczu, funkcjonować trzy dni bez picia i dawać sobie radę w warunkach ekstremalnie trudnych czyli w każdym. Trzeba było potrafić wszystko i mieć dużo fartu. Spadochroniarz zrzucony daleko od bazy miał „prawo” rabować ludność, ukraść samochód, zbić gliniarza etc., ale pod warunkiem, że nie da się nakryć. Gdy wpadł - stawał przed cywilnym sądem jak zwykły bandzior, szedł do więzienia i przestawano o nim myśleć, bo w Bad Toelz nie było miejsca ani litości dla frajerów.

Było tam natomiast miejsce dla nowoczesnego szkolenia o charakterze psychologicznym, które nie obejmowało takich wytartych numerów jak „wola walki” i „wiara w sprawę”, lecz zapobieganie czemuś, co nosi termin: „uczona bezradność”, i eliminowanie czegoś, co dzisiaj nazywamy stresem podczas boju, a co kiedyś nazywało się zwyczajnie strachem żołnierza. Według badań prowadzonych w trakcie wielu wojen - 70-80 procent żołnierzy uczestniczących w walce odczuwa paniczny strach, zaś 40-56 procent „ubytków bojowych” ma podłoże psychiczne. Odpowiedni trening zmniejsza te wskaźniki, a za najlepszą metodę łagodzenia stresu i wzmacniania „ducha bojowego” uznano łączenie żołnierzy w małe grupki, wewnątrz których wytwarza się solidarność i przyjaźń; właściwie dobranych i zgodnie współpracujących kolegów nie wolno rozdzielać pod żadnym pozorem i nie wolno narzucać im przywódców z zewnątrz. Takie właśnie więzi starano się wytworzyć w Bad Toelz. Koleżeńską

„grupa szturmowa” liczyła dwanaście osób (identycznie jak w Specnaz, gdyż sowieccy psychologowie tę samą liczbę uznali za optymalną).

Clint był dowódcą swojej grupy, w której każdy miał jakiś przydomek. Jego przydomek - „The Amber” („Bursztyn”) - wziął się od bransolety z bursztynu, którą zawsze nosił na przegubie prawej dłoni, a zdejmował tylko jako karateka. Był dobrym karateką, był nie do prześcignięcia w testach metody „quick-kill” (błyskawiczne wyciąganie spluwy i odruchowe strzelanie z biodra, bez chwili namysłu), i w ogóle był jednym z najlepszych kursantów w Bad Toelz, za co spotkało go wyróżnienie. Gdy z końcem sierpnia 1986 roku na kilkudniową inspekcję do ich jednostki wpadł generał Andrew Pons (zastępca szefa sztabu amerykańskich sił wojskowych w RFN), Farloon został mianowany jego przybocznym, czymś w rodzaju adiutanta szacownego gościa.

Gość też miał ksywkę: „Rzeźnik Pons”, lub po prostu: „Rzeźnik” („Butcher”). Był uwielbiany przez kobiety nie mogące się obejść bez siniaków, i przez swego rottweilera, który mu towarzyszył w każdym pomieszczeniu, nawet tam, gdzie generał Pons odrabiał ćwiczenia męsko-damskie. Przez wojsko był znienawidzony, gdyż znany był z tego, że za brudne sznurowadła wsadza do karceru, a degradację stosuje jako rutynową metodę wychowawczą. Każda jego inspekcja powodowała u oficerów inspekcjonowanej jednostki wzmożoną aktywność żołądkowych wrzodów i każda kończyła się dla kogoś bardzo źle. Generał Pons nie lubił bez skalpu wracać z polowania.

Jego helikopter wylądował na trawniku placu apelowego. Podbiegło doń kilkunastu oficerów zgiętych w pół warunkowym odruchem, choć każdy wiedział, że śmigło nie może dokonać dekapitacji. Pons nie schylił się ani o cal - Clint pierwszy raz w życiu ujrzał kogoś, kto przy warczącym śmigłowcu trzyma wyprostowaną głowę i ma

sztynny tułów. Podobało mu się to.

Generał Cray przedstawił inspektorowi starszyznę Bad Toelz i na końcu wskazał Farloona:

- Pańskim bagażem, panie generale, zajmie się ten komandos.

Clint poderwał prawą dłoń do beretu, a słońce wyrwało błysk z bursztynowej bransolety.

- Pan mnie uważa za homoseksualistę? - spytał Pons.

- Ależ... panie generalne... dlaczego? - wymamrotał Cray.

- Dlatego, że damską biżuterię noszą tylko pedały. Pan tu pedałów przerabia na amerykańskich komandosów, czy odwrotnie?... Czy tu jest burdel dla ciot, czy jednostka sił specjalnych armii USA?!

Cray wciąż nie rozumiał o co chodzi. Pons zauważył to, widząc jego minę. Przywołał Clinta i warknął:

- Pokaż swemu dowódcy, co tam masz, ciociu!

- Nie jestem ciotą! - odrzekł Clint.

- To zdejmij tę bransoletkę.

Clint zdjął bransoletkę i włożył do kieszeni w spodniach.

- Połam ją i rzuć na trawnik, szybko!

- Nie zrobię tego, panie generale.

Pons odwrócił się do Craya:

- Pan tu w bardzo ciekawy sposób uczy wojskowej dyscypliny!...

Cray ryknął:

- Farloon!

- Nie zrobię tego, panie generale.

Cray skinął na sierżanta:

- Bierzcie go, już!

- Dostałem ją od mojego ojca, panie generale...

- Prezent od taty-cioty dla synka-cioty! - roześmiał się Pons.

A później wszystko ucichło i znieruchomiało jak w zatrzymanym filmowym kadrze. Lufa pistoletu Farloona dotykała skroni generała Ponsa i każdemu się wydawało, że to koszmarny sen, a nie fragment



rzeczywistego bytu.

- Rąbnę go, jeśli ktoś spróbuje mnie rąbnąć! - ostrzegł Clint.

- Farloon, rzuć gnata, albo nauczę cię dyscypliny własnym gnatem!

- powiedział Cray.

- „*We don't need no education!...*” - zagwizdał Clint.

- Opamiętaj się, człowieku, na miłość boską!

- Pilot do kabiny! - rozkazał Farloon. - Wyfruwam stąd w towarzystwie tego wujcia.

- Blefujesz!

Lufa lekko uniosła się, huknęło, czapka generała Ponsa wzleciała na wysokość kilkunastu jardów, a później opadła na trawnik. Rottweiler skoczył Farloonowi do gardła i umarł w powietrzu, z dziurawą czaszką.

- Trzeci blef przedziurawi głowę tego wujcia! - ostrzegł Farloon. - Pilot za stery!

Wsiadając krzyknął:

- Panie sierżancie, niech pan powie przez radio tamtym chłopakom ze wzgórz, że startuje komar, więc mogą udowodnić swoje jajczarskie mistrzostwo!

Gdy już byli nad Bad Toelz, poinformował pilota:

- Leć do Szwajcarii i nie kombinuj, bo będziesz miał twarde lądowanie!

Generał był spokojny niczym turysta, który wynajął samolot, żeby z lotu ptaka kontemplować piękno alpejskich szczytów. Sięgnął do kieszeni po dwie gumy i jedną wręczył Clintowi, mówiąc:

- Pożujemy sobie. Nie daj się złapać, bo wlepią ci coś około dychy. Tak czy owak, jedno udowodniłeś, synku.

- Co takiego? - zdziwił się Clint.

- Że kim jesteś, tym jesteś, ale ciotą na pewno nie jesteś.

Pierwszy „szczyt” Gorbaczow-Reagan odbył się w Genewie w końcu listopada 1985 roku. Dwaj wielcy rozmawiali przez piętnaście godzin (podczas sześciu spotkań) i nie dogadali się w żadnej sprawie. Atmosfera była zimna, bo tuż przed Genewą kilku chłopców z KGB wpadło na terenie Stanów, zaś w Afganistanie radzieckie wojska dokonały kolejnych masakr ludności. Całe to fiasko Reagan zamknął w komentarzu dla gazet (gdy go spytano o rezultat): „Zrozumieliśmy lepiej jeden drugiego”. On sam lepiej zrozumiał przede wszystkim to, co już przedtem rozumiał: że sowieckiej dyplomacji obce jest pojęcie kompromisowego „dealu” (układu), gdyż psychika czerwonych została wytresowana tylko do jednego - do oszukania i zwyciężenia partnera rozmów.

Kłęska poniesiona w Genewie wpędziła Kreml w stan jeszcze głębszej frustracji. Sytuacja ekonomiczna imperium zbliżała się do standartów najuboższych państw Trzeciego Świata, a kredytów nie wyludżono. Reagan rozwijał koncepcję SDI (Strategie Defense Initiative, czyli Inicjatywy Obrony Strategicznej, czyli „*Wojen gwiazdnych*”), co zmuszało radziecki kompleks militarny do wzmagania wysiłku, czyli do wzmożonego pustoszenia budżetu państwa i stołu radzieckiego człowieka. Gdyby jeszcze na krańcu tego tunelu widniało światelko sugerujące możliwość zwycięstwa lub choćby tylko zrównania się z wrogiem - wówczas Kreml zniósłby jakoś pauperyzację ludu pracującego miast i wsi. Ale takiej szansy nie było. Była pewność, że klęska jest nieuchronna; nawet ślepy by to dostrzegł, a Gorbaczow nie był ślepy. Nie będąc ślepym, głuchym i chromym, był jednak ciężkim kaleką, bo brakowało mu amerykańskich dolarów i amerykańskiej rezygnacji z SDI. Dlatego poprosił o urządzenie kolejnego „szczytu”. Jako miejsce wybrano stolicę Islandii, Reykjavik. Jako datę: połowę października roku 1986.

W Reykjaviku Gorbaczow pragnął zasypać Reagana tysiącem nowych „ustępstw” i propozycji, postawić wszystko na ostrzu noża i

wymusić finansową pomoc oraz pakt, który pozwoliłby Związkowi Radzieckiemu złapać rytm i oddech. Lecz w końcu września wywiad doniósł, że Reagan nie ustąpi na krok i że w Pokoju Owalnym padły brzydkie słowa:

- Te czerwone skurwysyny mają fantastyczne poczucie humoru! Pragną nas rozbroić, a później usadzić na krześle elektrycznym zbudowanym za szmal, który od nas wyżebrzą! Takiego wała, palanty!

Dwa dni później sekretarz ambasady ZSRR w Waszyngtonie zwrócił się do szefa CIA z poufną prośbą, by ten zechciał przyjąć specjalnego wysłannika Moskwy, kapitana Tuczkowa, reprezentującego najwyższe kręgi KGB. Fosterman nie miał nic przeciwko temu.

Kapitan Borys Borysewicz Tuczkow był pięknym okazem rosyjskiego samca i wyglądał na dżentelmena typu „*oxbridge*”. Przedstawił się tak bezbłędą angielszczyzną, iż żaden Anglik nie zaliczyłby go do cudzoziemców:

- Jestem adiutantem generała Kriuczkowa, panie Fosterman.

- Miło mi, proszę siadać, panie Tuczkow. O co chodzi?

- O spotkanie w Reykjavíku. Wiemy, że prezydent Reagan chce storpedować ten szczyt.

- Ja o tym nie wiem. Wiem tylko, że prezydent Reagan nie chce się dać zrobić w wała, i ja mu się nie dziwię, kapitanie Tuczkow.

- Pierwszy sekretarz KC KPZR przywiezie pakiet nowych propozycji. Pozwolimy Żydom emigrować, uwolnimy dysydentów, zmniejszymy liczbę naszych wojsk w Europie wschodniej...

- A wszystko to - przerwał mu Fosterman - za nasze „*Gwiazdne wojny*”!

- Tak.

- Są do wzięcia. Ale tylko te z Hollywoodu.

- Nie byłbym taki pewien, dyrektorze - wycedził Tuczkow.

Ów twardy rys w głosie Tuczkowa zaniepokoił Fostermana.

- Wie pan, mister Tuczko, to są rzeczy bardzo oczywiście interesujące, lecz mam wrażenie, że rozmawiać o nich winien Szewardnadze z amerykańskim sekretarzem stanu, a my dwaj możemy sobie co najwyżej pogadać o naszych gierkach czyli o tajnych operacjach naszych służb.

- Właśnie w tym celu przybyłem, panie dyrektorze. Pragnę opowiedzieć panu coś tajnego.

- Jeżeli mam wybór, to proszę opowiedzieć mi wszystko o waszej siatce wywiadowczej w USA.

- Tę bajkę może następnym razem, dzisiaj dysponuję inną, czy mogę przejść do szczegółów?

- Uwielbiam przechodzenie do szczegółów.

- Gdybym jeszcze mógł zapalić...

- Ależ tak, proszę! Napijemy się czegoś?

- Z przyjemnością, panie Fosterman.

Szef CIA wyjął ze swego barku szklanki, kieliszki, butelkę brandy i coca-colę, a Tuczko zażartował:

- Coca-cola to największa porażka KGB w całej historii KGB. Wciąż nie znamy składu chemicznego. Nasi chemicy i nasi agenci są identycznie bezradni.

- To się i nam nie udało - pocieszył go Fosterman. - Łatwiej już wykraść Panu Bogu skład chemiczny duszy ludzkiej. Ale przejdźmy do obiecanych szczegółów.

- Racja - powiedział Tuczko, wypróżniając kielich. - Magnetofony włączone?

- Popsute - rzekł Fosterman.

- Trzeba naprawić! To jest piękna bajka, panie Fosterman!

- Za żadną cholereą nie dają się naprawić. To znaczy nie dają się wyłączyć. Chodzą na okrągło.

Tuczko uśmiechnął się i rzekł:

- Once upon a time... [- Dawno, dawno temu...]

- Śliczny czerwony miś spotkał wstrętą amerykańską czarownicę, która miała rakieta SDI udającą jabłko - dokończył Fosterman.

- Nie, to o czymś innym.

- O kruku, który ma wypuścić z dzioba ser, gdy lis zaśpiewa mu bajkę?

- Ciepło!... Proszę posłuchać. W pewnym kraju odbywały się w roku 1980 wybory prezydenckie. Urzędujący prezydent miał akurat wielki kłopot, bo w pewnym państwie muzułmańskim trzymano personel jego ambasady jako zakładników. Wysłał swoich komandosów, ale ci dali plamę i nie uwolnili nikogo. Rzucił więc do akcji swoich dyplomatów, bo wiedział, że jeśli zakładnicy zostaną uwolnieni, to będzie miał szansę na zwycięstwo w wyborach, a jeśli nie zostaną uwolnieni, to te szanse zdechną. Jego kontrkandydat zrobił kontrnumer. Obiecał tym Muzułmanom duże dostawy broni, jeśli wypuszczą zakładników dopiero po wyborach. I tak się stało. Kontrkandydat został prezydentem i natychmiast po tym pięćdziesięciu dwóch zakładników wróciło do domu, a broń zaczęła płynąć do muzułmańskiego kraju via Izrael, który był pośrednikiem w trakcie tej gry. Gdyby dzisiaj ujawniono całą tę aferę, to afery Watergate, przez którą Nixon wyleciał na bruk, stałaby się dla komentatorów drobiazgiem nie wartym jednego przypisu u dołu strony. To wszystko.

- Ogłosić można każdą bzdurę - rzekł Fosterman. - Tradniej bzdurę udowodnić.

- Suppose... [- Przypuśćmy...] - powiedział Tuczko i zawahał się.

- Tak?

- ...że ktoś mógłby to udowodnić?...

- W jaki sposób?

- Na przykład dysponując relacją ze spotkań między ludźmi kontrkandydata a duchownymi muzułmańskimi w waszyngtońskim hotelu „Mayflower”, w Madrycie i w Paryżu.

- To lipa! - prychnął Fosterman. - Znam lepszą bajkę. Co by pan powiedział na to, gdyby ktoś przedstawił niezbite dowody, że Kreml próbował zamordować papieża przy pomocy Bułgarów i Turków? To był chyba rok 1981, maj, pamięta pan te strzały w Watykanie...

- Zna pan kogoś, kto ma na to dowód? - spytał Tuczkwow.

- Znam. Myję temu facetowi zęby dwa razy dziennie. On ma niezbity dowód. A nawet kilka niezbitych dowodów.

- Więc dlaczego dotąd ich nie ujawnił?

- Może czekał aż ktoś opowie mu głupią bajkę? Nie ma sensu wyzbywać się skarbu za darmo, po to tylko, żeby gazety miały ubaw.

Tuczkwow sam nalał sobie alkoholu, starając się, by nie drżała mu dłoń, i w miarę jak pił, wyplukiwał maniery typu „oxbridge”, bo gdy postawił kieliszek i przystąpił do mówienia, miał twarz czerwoną z gniewu:

- Jeśli nawet, to obciążycie tym nie dzisiejszego, lecz dawnego szefa KGB, który już nie żyje, oraz nie dzisiejszego, lecz byłego przywódcę naszego państwa, który też jest już martwą przeszłością. Pobawicie się w historyków, zamiast w dymisjonierów. Nie muszę panu mówić, że kolejna plama na trumnie Breżniewa wcale nie zabolii towarzysza Gorbaczowa, który z breżniewowcami i z breżniewowską propagandą sam rozprawia się bezlitośnie!

- A czy ja mam panu mówić, kto był pupilem szefa KGB, Andropowa, wówczas, gdy Andropow organizował zamach na rzymskim placu? Może się okazać, panie Tuczkwow, że CIA zna kilka spraw z tamtej historycznej epoki, które po ujawnieniu odebrałyby dzisiejszemu przywódcy waszego państwa spokojny sen. To samo tyczy generała Kriuczkowa. Dlatego rewelacjami na temat Cartera i Teheranu możecie sobie podetrzeć tyłek. Za dużo wiem, byście mogli osiągnąć ze mną choćby remis. Proszę przekazać swojemu szefowi ukłony wraz z dobrą radą - niech więcej nie próbuje szantażu. Aha, i jeszcze prośbę: nie róbcie już zamachów na papieża,

tych kilka wystarczy.

„Szczyt” w Reykjavíku skończył się dla Rosjan totalną klęską. 20 października A. D. 1986 „Newsweek” dał na okładce zdjęcie pary Gorbaczow-Reagan jako tło do jednego słowa wydrukowanego wielkimi literami: „STALEMATE”. „*Stalemate*” to po angielsku: pat. Tylko najmądrzejsi ludzie zrozumieli wówczas, że dla komunizmu ten pat oznacza mata!

\*\*\*

Napoleon rzucił kiedyś bardzo celną uwagę: „*Są tylko dwa ludy na świecie - Wschodu i Zachodu*”. Tak jest i dzisiaj, chociaż dzisiaj więcej łączy niż dzieli te ludy - ludzi Zachodu fascynuje wszystko, co pochodzi ze Wschodu, a ludzie Wschodu wierzą we wszystko pod warunkiem, że jest zachodnie. (Istnieje tylko jedna enklawa, w której sytuacja przedstawia się na odwrót - to region, gdzie Izrael handryczy się z Arabami). W Tangalandzie było właśnie tak - ludność kochała zachodnie maszyny, dzinsy, T-shirty i gadzety, gdyż były lepsze i bardziej kolorowe od produktu miejscowego (z plecionki lub drewna), a ponieważ nie miała islamskich uprzedzeń, Zachód synonimował jej raj.

Prezydent generalissimus Nyakobo nie podzielał tych przekonań swego ludu. Już we wczesnej młodości nie podzielał czyichkolwiek przekonań, albowiem każdego oprócz siebie miał w miejscu, które medycyna określa jako „*końcowy odcinek jelita grubego*”, lecz potem zaczął szanować czarownika Makakubu, bo ten ułatwił mu drogę „*from rags to riches*” [- Z łachmanów do bogactwa.]. Zachód, pełen mediów szkalujących „*tangalandzkiego tyrana*”, budził coraz większy gniew „*Jego Ekscelencji*”. Makakubu widział to i podsyczał to, z nienawiści do misjonarzy znaczących krzyżem tangalandzką ziemię - ta konkurencja była śmiertelnym wrogiem szamanizmu. Podsyczał delikatnie, półsłówkami lub szyderstwami rzucanymi jakby

mimochodem, ale za to z regularnością dobrze nakręconego zegarka. Nieustannie wracał do tego, próbując wciąż od nowa i z różnych punktów, niczym buddyjski mnich, który wciąż próbuje narysować idealne koło. A gdy spostrzegł, że złość jego pana na zachodnie media ma już poziom wystarczający, opowiedział mu starą baśń plemienia Ouńma o Lwie i ptaku. „Lwem Tangi” był Nyakobo, a więc była to baśń „z kluczem”:

- Simba [- Lew.] miał wielkie królestwo. Miał swoich horro, miał swoich sufa, miał swoich dialli, miał swoich numu, miał swoich uzusu [- „horro” - rycerz, „sufa”- giermek, „dialli” - bard, „numu”- rzemieślnik, „ulusu” - chłop.]. I miał swoją drogę, po której przechadzał się tylko on. Nikomu, prócz Simby, nie wolno było dotknąć jej nogą lub łapą. Simba bardzo lubił swoją drogę. Simba tak bardzo lubił swoją drogę, że nawet do snu układał się w objęciach swojej drogi. Rozkładał matę i spał, lecz inaczej oddychał, kiedy spał snem żywym, a inaczej, kiedy spał snem martwym, gdyż wszystko robił w odmienny sposób, dlatego był królem. Każdy jego poddany przynosił mu czynsz z muszelek kauri w wydrążonym owocu baobaba, a każda karua [k...], z którą Simba spędził trochę czasu, śpiewała radośnie:

*Spójrz, słoneczko, wielki zwierz mnie pochwycił  
hia malombe,  
hia malombe,  
byłam wtedy jego narzeczoną!  
Spójrz, księżycu, dumny zwierz mnie przewiercił  
hia malombe,  
hia malombe,  
byłam jego siłą i rozkoszą.*

Któregoś dnia Simba spostrzegł, że obok jego drogi lata dziwny



ptak. - Kim jesteś? - zapytał. - Jestem deszczogwizd - odpowiedział ptak. Simba pozwolił mu latać nad swoją drogą, a po jakimś czasie zaprzyjaźnił się z nim i zaprosił deszczogwizda na swoją matę. - To jest bardzo ładna mata - powiedział deszczogwizd - ale deszczogwizdy na matach nie siadają. - Dlaczego? - spytał Simba. - Bo maty są płaskie, a deszczogwizdy lubią siadać wysoko, na czubkach długich kijów lub oszczepów. Simba sprowadził oszczep, kazał go wbić w drugi kraniec drogi i powiedział do deszczogwizda: - Teraz nie musisz odlatywać stąd, możesz tu mieszkać, kiedy chcesz. I deszczogwizd zamieszkał przy drugim krańcu drogi. Simba odwiedził go, ujrzał na czubku oszczepu i spytał: Czy jest ci tam wygodnie? - Bardzo wygodnie - odparł deszczogwizd - spróbuj, to zobaczysz, że nie ma nic wygodniejszego! Simba wspiął się na czubek oszczepu, gdyż lubił wszystko, co jest najlepsze, więc i siedzieć chciał w sposób najwygodniejszy. Ale czubek oszczepu przebił go i Simba skończył nadziany na oszczep. Odtąd już nikt nie chodził jego drogą. Droga była bardzo smutna z tego powodu i wreszcie też umarła...

- Co pragnąłeś mi tym powiedzieć? - spytał „Lew Tangi”.

- Pragnąłem ci powiedzieć, wodzu, że to, co dobre dla obcego, nie musi być dobre dla nas - rzekł szaman Makakubu. - Białe deszczogwizdy mnożą się w Tandze jak krople wody, które spadają z chmur kiedy ryczy Duch Nieba, a wszystko, co przynoszą na tę ziemię, jest niczym oszczep, który przebija duszę Tangi i razi twoją wielkość.

W marcu 1987 roku Nyakobo rozpętał akcję pod hasłem: „**Czarne państwo dla czarnego człowieka!**”. Znaczyło to, że biali turyści, myśliwi, handlowcy, mnisi, trenerzy, monterzy, lekarze e-tutti quanti mają się wynieść z Tangalandu won. Oczywiście nie wszyscy od razu, akcja wygruzania rozwijała się wolno, systematycznie i selektywnie. Kryteriów selekcji nie rozszyfrował żaden wywiad,

czego przyczyną nie była słabość wywiadów, tylko brak kryteriów - wyrzucano tych białych, którzy za pozostawienie ich w spokoju dawali mniejsze łapówki od innych białych, oraz tych białych, którzy dawali łapówki nie temu, komu trzeba, jak również tych białych, co dawali łapówki tak wielkie, że można ich było oskarżyć o korumpowanie rządowej biurokracji (lub wszystko to na odwrót), a w ogóle chodziło bardziej o utarcie Zachodowi nosa, niż o realizację hasła, gdyż idiota Nyakobo nie był.

Zabawa straciła sens wczesnym latem 1987 roku, gdy ktoś porwał z ekskluzywnej szwajcarskiej szkoły dla dziewcząt ukochaną córkę Nyakoba, Nelinę. Nyakobo zwrócił się do angielskich służb specjalnych z prośbą o pomoc, zaś Anglicy postawili kilka warunków. Warunek główny brzmiał: jeśli Albion odnajdzie i uwolni córkę prezydenta, to prezydent Nyakobo wyrazi zgodę, by na terytorium Tangi weszła grupa brytyjskich komandosów w celu pomszczenia obywatela brytyjskiego, którego zamordowali komunistyczni partyzanci działający w górach Harel; jednocześnie prezydent odbierze Amerykanom koncesję na poszukiwania geologiczne w okręgu Keya, a ta sama grupa komandosów zainstaluje w Keya geologów brytyjskich. „Lew Tangalandu” wyraził zgodę. Tak rozpoczęła się operacja „Czarne tango” [Patrz „Konkwista”].

\*\*\*

„The Amber” miał dużo szczęścia, może dlatego, iż miał dużo osobistego uroku i fizycznie też nie był walorów pozbawiony. Wyłądował w trawie, pożegnał generała, usiadł na skraju szosy, machnął ręką i obok niego zatrzymał się samochód. W samochodzie siedziały dwie młode Holenderki, które przemyciły Farloona z kraju zegarków do kraju tulipanów (równie pomysłowo, jak pomysłowo uprawiały wyzwolony seks). Tam zapuścił brodę i schował się w miejscu, w którym policja holenderska nie miała czego szukać - w

sercu młodzieżowej komuny, gdzie kilkudziesięciu jaroszków, ekologów i ćpunów obojga płci stanowiło jedno małżeństwo. Wytrzymał dwa miesiące i dłużej wytrzymać nie mógł, bo nie pasowało mu kilka spraw, od narkotyków począwszy, a skończywszy na wspólnocie matek i żon.

Kolejnym etapem była Anglia, gdzie został przywódcą grupy motocyklistów. Lecz gdy zażądał, by jego kumple przestali nosić hitlerowskie czapki i odznaki, kumple rzucili się na niego. Był to z ich strony zły pomysł - człowiek „*made in Bad Toelz*” dał sobie radę, ekspediując kilku kolegów do szpitala. Sam wylądował w areszcie Scotland Yardu i tam go zidentyfikowano.

Właśnie wówczas angielskie służby specjalne organizowały zespół tancerzy do „*Czarnego tanga*”. Zespół nie miał formalnego statusu, tylko ciche przyzwolenie rządu J. K. Mości, zaś afrykański występ traktowano jako „*inicjatywę prywatną*” pewnego bogatego Holendra, którego brat został zamordowany przez tangijską partyzantkę komunistyczną FWL. W skład grupy weszło grono „*złych chłopców*”, głównie komandosów wyrzuconych z antyterrorystycznej jednostki SAS (Special Air Service), zwanej potocznie: Special Assassination Squadron (Specjalny Oddział Zabójców), a także ludzie do specjalnych zadań z kilku innych formacji, jeden uciekinier z Polski (były komandos), kilku przestępców i Clint Farloon „*The Amber*”. Postawiono go przed alternatywą prostą jak lufa: albo odbędzie taneczną wycieczkę do Afryki, albo do Bad Toelz, gdzie sąd wojskowy armii USA marzy o wspólnej z nim potańcówce.

Raid na terytorium Tangi miał dla Clinta wiele uroków, ale tę przyjemność mącił mu konflikt z Polakiem, którego zwano „*Chris*”. Kung-fu nie mogło sprawy rozstrzygnąć, bo „*Chris*” był karateką równie dobrym, co Farloon. Po kilku remisowych bójkach zniechęcili się tak bardzo, iż przysięgli sobie wzajemnie nagły zgon kiedy tylko dobiegnie końca to toumee. Ale potem przyszedł

ów dzień, gdy dowódca zespołu spędził na jedno miejsce wszystkich mieszkańców murzyńskiej wioski, by można ich było rozstrzelać z ckmów. I wtedy „The Amber” zobaczył, jak „Chris” kopiuje coś, co on zrobił w Bad Toelz - jak przystawia dowódcy spluwę do łba. Farloon, stojąc na jeepie wyposażonym w kulomiot, sterroryzował resztę grupy, i tak we dwóch uratowali wioskę. Nie ukarano ich za ów bunt zbyt surowo, bo zespół kąpał się we krwi i każda para rąk była oficerom potrzebna.

Między nimi nic się nie zmieniło: dalej uprawiali tę wzajemną niechęć, w której miłość zawsze odgrywa pierwszą, chociaż tajoną rolę. A potem „Chris” umarł. Umarł dlatego, że Londyn jeszcze raz został wyrolowany przez KGB i GRU. Operacja „Czarne tango” zakończyła się śmiercią prezydenta Nyakobo i narodzinami komunizmu w Tangalandzie. „Chris” i „Bursztyn” brali udział w walkach o stołeczne lotnisko. „Chrisa” trafił odłamek czołgowy. Nie można mu było pomóc. Umierał przez tydzień i przez ten tydzień Farloon cały czas był obok niego, rozmawiał z nim i pisał. Polak dyktował mu listy do swojej matki mieszkającej w Krakowie i do swojej dziewczyny mieszkającej w Londynie, a gdy skończył, Clint odezwał się po polsku:

- Nie martwi nic. Ona to dostaną, obietnica ci masz, na pewno zrobimy ja to.

„Chris”, choć już umierał, znalazł jeszcze dość sił na wielkie zdumienie:

- Mówisz po polsku?!
- Nie dobry mówię, ale znam polski.
- Dlaczego to ukrywałeś, gringo?
- Nie ukrywałeś, ale powód nie był.

„Chris” dotknął jego ręki obandażowanym kikutem i szepnął:

- Gringo, zaopiekuj się Miriam... To dobra dziewczyna, znałem ją tylko kilka miesięcy, ale wiem, że jest dobra, uczciwa i słaba, będzie

jej ciężko...

- Sam to zrobi musi, jak wyzdrowi - skłamał Farloon.

Pochował przyjaciela obok kilku innych prowizorycznych grobów, i zrobił krzyż z dwóch metalowych płaskowników związanych drutem.

Następnego dnia został aresztowany. Nikt go nie przesłuchiwał i nie oskarżał - po prostu zamknięto go, karmiono i po trzech dobach uwolniono, dając bilet na samolot do Londynu.

- Dlaczego mnie zamknęliście? - spytał czarnego oficera.

- Żebyś przeżył. Wszyscy twoi kumple odlecieli wczoraj do Kairu, ale nie dolecieli, bo ich samolot eksplodował nad Ugandą.

- Kto to zrobił?

Oficer rozejrzał się i powiedział:

- Ten Holender, który pomógł wam obalić prezydenta Nyakobo. Ja ci tego nie mówiłem, człowieku.

- A dlaczego mnie oszczędził?

- To nie on. To nasz przewodniczący Socjalistycznej Partii Ludu Tangijskiego, prezydent-generalissimus Mano. Kazał cię przytknąć, żebyś nie leciał z nimi, bo ty i ten Polak nie pozwoliliście mordować Tangijczyków. Teraz jesteśmy z tobą kwita - za tamtą uratowaną wioskę uratowaliśmy cię. Jutro wyfruwasz stąd.

- Czy mogę o coś prosić?

- Gadaj.

- Chciałbym tego Polaka przenieść do solidniejszego grobu.

- Gdzie?

- Nie wiem gdzie, może do misji franciszkanów...

- Jeśli się zgodzą, to dzisiaj go przeniesiemy.

- A jeśli się nie zgodzą?

- To jego przeniesiemy do nich, a ich przeniesiemy do niego, panie Farloon, proszę się nie obawiać.

Gdy wylądował na Heathrow, ujrzał powitalny komitet, złożony z

fachowców zatrudnionych w MI 6. Interesował ich każdy znany mu szczególnie klęski „Czarnego tanga”. Po kilku dniach przesłuchań dali Farloonowi nagrodę za udział w „Czarnym tangu” - prawo stałego pobytu na Wyspach Brytyjskich.

\*\*\*

11 grudnia 1987 roku James Fosterman utracił prawo pobytu w Langley i to też było związane z Tanga. Dymisję otrzymał miesiąc wcześniej od prezydenta Stanów Zjednoczonych, Ronalda Reagana:

- Daję ci miesiąc, James - rzekł Reagan - na uporządkowanie wszystkich spraw, a potem przekażesz stanowisko swojemu następcy.

- Komu?

- Jeszcze nie wiem, prowadzę konsultacje, może Gates, może Halderson...

Kilka dni po tym dialogu odwiedził Fostermana jego kolega ze szkoły, z armii i ze szczyblu politycznej kariery - szef FBI, William Webster. Zaczął mówić nim usiadł:

- Wylatujesz, bo Rosjanie zerwali rozmowy na temat redukcji rakiet, kiedy odkryli podsłuch, który im założyłeś wbrew ustaleniom.

- To już wiem od prezydenta, mój drogi.

- Ale nie wiesz od prezydenta, że Ruscy sami nie wykryli twoich „pcheł”. Zostałeś zdradzony, Jim. Sypnął cię twój człowiek, Ralf Guzmano, którego namówił do zdrady mój człowiek, Gene Dorsey, a jego namówili ludzie z Białego Domu pragnący, żebyś dostał kopa. O całej tej intrydze dowiedziałem się kwadrans temu dzięki moim podsłuchom. Dorseyowi ukręcę za to łeb, ale ciebie już nie zdołam uratować, Jim.

- Nie pragnę się ratować, mam to w dupalu. Z tego, co mi ka-blujesz, nie znałem tylko nazwisk, bo że ktoś sypnął, było dla mnie jasne jak słońce.

- Pieprzysz! Ruscy mogli sami...

- Nie mogli. Ten podsłuch to była najnowsza generacja. „Pchełki” typu „Condor-6”, z systemem antywykrywalniczym zbyt trudnym dla sowieckich „wymiataczy”, znam ich sprzęt. Bill.

- No to teraz oni znają twój sprzęt, Jimmy - rzekł Webster.

- Czego jeszcze dowiedziałeś się ze swoich podsłuchów? - spytał Fosterman.

- Dwóch ważnych rzeczy, bracie. Pierwsza, to prawdziwa przyczyna kopa, którego ci dano.

- Dano mi go z powodu Tangi.

- Więc wiesz i o tym! - krzyknął Webster.

- Mam trochę rozumu.

- Czy prezydent wiedział?

- Nie wiedział i nie wie, jak mógłbym mu udowodnić to?

- Posłuchaj, Jim. Wiem, że chodzi o Tangę, ale również nie znam szczegółów...

- Chodzi o operację, którą Angole przeprowadzili tam w okręgu Keya, i o górę złota tysiąc razy większą niż Fort Knox, Billy.

- Mów dalej - poprosił Webster.

- Keya to Sezam, Eldorado, pełno uranu, złota i całej tablicy Mendelejewa. Koncesję na badania otrzymali nasi geologowie, ale potem ktoś porwał córkę prezydenta Nyakobo i Nyakobo zwrócił się o pomoc do Anglików. Wiesz co. Bill? Na mojego nosa, ten kidnaping to była sowiecka podpucha...

- Mów dalej.

- Anglicy odnaleźli i uwolnili córkę Nyakoba, w zamian za co ten czarnuch odebrał koncesję naszym firmom i przydzielił Angolom. Do tego dołożyła się sprawa czerwonej partyzantki z Frontu Wyzwolenia Ludu. Czerwoni zabili kilku białych, w tym jednego Holendra i jednego Angola. Brat tego Holendra, milioner, wyłożył duży szmal, żeby dokonać zemsty. Angole za ten szmal zorganizowały...

wali mu grupę komandosów, z którą przyjechał do Tangalandu, zabił Nyakoba i pomógł komunistom odnieść zwycięstwo, bo był facetem podstawionym przez KGB lub GRU.

- Sowiecki Cortez! - mruknął szef FBI.

- Tak, to była pomysłowa konkwista, Bill.

- A jaka była twoja rola w tej grze?

- Moja rola w tym była taka, że wysłałem do Tangi kapitana Guccioniego, by bruździł Angolom, natomiast nie pozwoliłem naszym kolekcjonerom złota wysłać tam dużego oddziału, bo to by już oznaczało prawie wojnę z Margaret Thatcher. Zrewanżowali się, zdejmując mnie ze stanowiska i licząc na to, że mój następca będzie łaskawszy. Banda kretynów! I to pechowych kretynów. Akurat wtedy, kiedy mnie wysiudali, Tanga stała się czerwona i teraz Ruscy będą w niej przetapiać złoto.

- I kopać uran.

- Tak. Co jest tą drugą historią z waszego posłuchu?

- Na twoje miejsce przyjdzie Halderson.

- Tego się obawiałem!

- Albo nie przyjdzie, jeśli ja mu postawię szlaban.

- A zrobisz to?

- A chcesz?... Jestem ci to winien, bo mój pracownik, człowiek z FBI, wbił ci nóż od tyłu.

- Co masz na Haldersona?

- Dwie tasiemki magnetofonowe. Słysząc jak źle się wyraża o Nancy Reagan a propos jej spotkań z Frankiem Sinatra. I słysząc Jak mówi, że Brian to „ciapciak”, „mięczak” i „jelen”.

W waszyngtońskim slangu Brianem zwano wiceprezydenta George'a Busha, odkąd prezydent Reagan - myląc nagminnie imiona świeżych współpracowników (prasa miała z tego dużą radość) - tak właśnie się do niego zwrócił. Fosterman zapytał:

- Komu pokażesz te taśmy, pierwszej damie i drugiemu?



- Nie, zacznę od Haldersona i od „propozycji nie do odrzucenia”: albo rezygnuje, albo oni posłuchają tych tasiemek.

- Dzięki, Bill.

- Nie ma za co, starszku. Gdybym jeszcze mógł coś dla ciebie zrobić...

- Możesz, Bill.

- Co takiego?

- Daj mi tę trzecią taśmę.

- Jaką?!..

- Tę, na której ja coś mówię o Nancy i o George'u...

Tak upadła kandydatura Leonarda Haldersona. Drugą - Roberta Gatesa - zablokował opór Senatu<sup>4</sup>. Trzecia przeszła. Nowym bossem Langley został dotychczasowy szef FBI, William Webster.

11 grudnia roku 1987 James Fosterman po raz ostatni wychodził z wielkiego gmachu swego przedsiębiorstwa. W hallu zatrzymał się i rozejrzał naokoło, żegnając wzrokiem ściany pozbawione ozdób. Były tu tylko dwie tablice. Jedna dźwigała gwiazdki ku czci agentów CIA poległych anonimowo. Druga, na przeciwległej ścianie, nosiła cytaty ze św. Jana: „I poznacie prawdę, a prawda uczyni was wolnymi”. Roześmiał się w duchu, po czym ruszył do wyjścia smutnym krokiem.

\*\*\*

Że Paryż wart jest mszy, „Góral” przekonał się nie od razu, choć wylądował tam miękko. Na lotnisku powitał go zaufany „Wałęsiak”, Kostek Kudelski:

- Cześć, rewizor! Jestem Kostek K. Mów mi Kostek.

- Jaki rewizor? - zdziwił się Tolik.

- Tak cię tu nazywają, odkąd przyszła wiadomość, że jedziesz do

---

4 Po raz drugi Gates został nominowany na dyrektora CIA w roku 1991 przez prezydenta Busha i uzyskał to stanowisko.

nas. Ci, co nie mają nic przeciwko tobie, mówią, że przyjeżdża „łowca kabłów”. A drudzy, którzy chyba nie najlepiej ci życzą, mówią, że ty jesteś „rewizor z Gogola”.

- Z czego?

- No, z tej książki Gogola.

- Aha... To znaczy, że ty mi życzysz źle?

- Zenek, puknij się w czoło, to był, kurka wodna, żart!

- Sukinsyny! - zawarczał Tolik. - Jeszcze mnie nie widzą, a już przezywają!

- Człowieku! Gdybyś ty słyszał, jak oni się między sobą przezywają! Zresztą zobaczysz, co tu się dzieje.

- Widziałem już w Londynie i w Brukseli. Burdel na kółkach, zwłaszcza z forszą!

- Gównu widziałeś, człowieku! Ja wiem, co się dzieje w Brukseli i jakie tam odchodzą numery finansowe, ale to, co tu się dzieje, to Sycylia wysiada!

- No to czemu nie zawiadamiasz o tym Wałęsy?

- A skąd wiesz, że nie zawiadamałem?

- I Lechu co?

- Nic! Może uwierzy teraz, jak ty się z tym do niego zwrócisz, „łowco esbeków”.

- Wpierw zobaczę te gierki. Nigdy nie zwracam się do niego, gdy na własne oko nie ujrzę, w co się gra.

Zamieszkał w mansardowym pokoiku przy re du Filles du Calvaire. I szybko zobaczył, co się gra. Kudelski mówił prawdę. Paryska „Solidarność” nie miała nic wspólnego z gniazdem os, gdyż osy uprawiają wzajemną solidarność, a tu był kocioł obmów, podchodów i fruujących noży. Dwie „solidarnościowe” rozgłośnie - Radio „Solidarite” i Radio „Solidarność” - konkurowały ze sobą jak dwie nie znoszące się kochanki jednego samca. Donosów nawet nie czytano, bo nie byłoby kiedy pisać donosów. O manipulowaniu forszą krążyły

legendy, więc co uczciwsi członkowie ruchu zwiewali z Paryża na łeb na szyję. Dowieść komukolwiek w tym towarzystwie kantów finansowych mógłby tylko Sherlock Holmes z uprawnieniami inspektora podatkowego, lecz i to nie było dla „Górala” pewne, zbyt wielu widział tu Żydów. Jak każdy normalny antysemita, nie miał nic przeciwko ładnym Żydówkom, bo dawno już stwierdził, że one wcale nie mają w poprzek, ale drażnił go nadmiar Żydów w jednym miejscu.

Sufit dzielił jego mieszkanie od mieszkania czarnowłosej „mademoiselle”, pięknej niczym modelka z magazynu dla pań. Spotykał ją w windzie, która docierała na najwyższe piętro (jej piętro), skąd on musiał tuptać na poddasze. Czasami jechał z nim na to piętro wapnowaty drewniak, który dzwonił do jej drzwi. Za każdym razem był to inny gość, ale każdy z nich śmierdział grubym portfelem i ważnym gabinetem, i tak właśnie wyglądał. Kiedyś „Góral” zobaczył ją na parkingu w pobliżu Madeleine - szła z niskim mężczyzną w zielonym kapeluszu i z dwojgiem małych dzieci. Zdumiał się i nie wiedział, co o tym myśleć.

Pewnej nocy obudził go łomot. Ktoś walił pięściami do drzwi jego pokoju. Stała w nich zapłakana, półnaga, w rozdanej bieliźnie, wyrzucając z siebie grad błagalnych słów, których nie rozumiał, ale domyślił się o co chodzi, więc zbiegł na dół i wyrzucił brutalą won. I został w jej gniazdku tej nocy, ćwicząc swój angielski bardziej słuchem niż językiem, bo paplała jak najęta, świrowała i rozlewała wino. Wyznała mu, że jest „call-girl” dla luksusowych panów, głównie dyplomatów i bankierów, i że ma męża, którego bardzo kocha, oraz dwoje ślicznych dzieci, bez których życie nic nie byłoby warte.

- A jak twój mąż się dowie, że jesteś prostytutką? - spytał.

- Ależ Paul wie o tym! Każda z nas ma rodzinę, rodzina to najważniejsza rzecz, a to tutaj, to jest tylko zawód. Inne żony oszu-

kują mężów, puszczając się cicho, ja wolę robić to zawodowo, jestem uczciwsza! Paul wynajął mi tu mieszkanie i Paul przysyła mi tu klientów, nie pierwszych lepszych, starannie wybiera...

- Widocznie wczoraj był bez formy - rzekł Zenon.

- Każdy ma złe dni, monsieur - skwitowała to uśmiechem filozofów.

A potem okazała mu swoją wdzięczność, też z uśmiechem, choć bardziej cielesnym niż filozoficznym. Odtąd - gdy jakiś klient miał niewiele czasu i żegnał ją już wczesnym wieczorem - przychodziła do mansardki, albo zapraszała Tolika na dół, i razem spędzali noc. Była jedną z tych idealnie wyzwolonych kobiet, które brzydzą się chamstwem, hipokryzją, brakiem wolności i zwłaszcza brakiem higieny - pączka trzymają przez serwetkę, a zęby myją zaraz po wyjęciu penisa z ust. Przypominała kolibra nie tylko wzrostem i ubiorem pełnym tęczy barw. Gdy mówiła, słychać było furkot jej warg, rzęs, rąk i rozbujanego biustu. Pozornie oddawała się tym rozmówcy, lecz w istocie wymykała, niczym drgająca kulka rtęci, której nie można przytrzymać.

Aż nadszedł ów wczesny grudniowy świt w 1987 roku. Konsjerżka zadzwoniła z parteru, mówiąc:

- Quelqu'un veut vous voir, monsieur [- Ktoś chce się z panem zobaczyć.].

Dwóch smutnych wlaźło do pokoju. Od razu zasuwali mową Szekspira:

- Jesteś Zenon Tolik?

- Tak.

- Jesteś aresztowany za stręczycielstwo, Tolik!

- Za co?!

- Za stręczenie do nierządu tej dziewczyny, która mieszka niżej.

- To nieprawda!

- Mamy jej zeznanie, alfonsiku!

- Niech ona to powie stojąc przede mną!

Zawołali ową dziewczynę spod podłogi. Patrząc mu w oczy zeznała, że był sutenerem i że ze swoim kumplem planuje jakiś skok. Gdy zniknęła, jeden smutny wyrecytował:

- Artykuł 205 kodeksu karnego Republiki. Od dziesięciu do dwudziestu lat za „udział w związku mającym na celu przestępstwo”!

„Góral” pojął, że tu nie chodzi o tę dziewczynę.

- Przestańcie pierniczyć! - rzekł. - Mówcie, o co naprawdę biega!

- O to, co zawsze, o współpracę z nami.

- To znaczy z kim?

- ZDGSE i DST<sup>5</sup>.

- A przeciw komu?

- Przeciw bolszewikom.

- Mnie Wałęsa przysłał tu właśnie po to, żebym czyścił „Solidarność” z agentów SB i KGB.

- No i dobra. Ale odtąd raporty będziesz składał nie tylko jemu. I będziesz dostawał rozkazy nie tylko od niego.

- Żeby mnie do tego namówić, musieliście mnie aż tak głupio straszyć i jeszcze psuć moją przyjaźń z tą małą, panowie?

Smutni przestali być smutni, rozjaśniły się im oblicza.

- Zawsze lepiej klienta nacisnąć! A z tą małą wszystko będzie w porządku, ona cię uwielbia, Tolik. Rozumiemy, że od dziś jesteś w służbie?...

- Nie od dziś - rzekł Zenon. - Najpierw przygotujecie mnie do tej roboty.

- Jak to, przygotowujemy?

- Przeszkolicie mnie.

- Chcesz nam wmówić, że ty jesteś amator?

- Zupełny amator. Brakuje mi dyplomu i dostanę go od was, panowie.

---

<sup>5</sup>Francuskie służby wywiadowcze.

\*\*\*

Tanga miała w roku 1987 podwójnego pecha. Raz - że dopadł ją komunizm. Dwa - że dopadł ją w chwili, gdy Sowiecka Rosja nie mogła już dłużej finansować swych egzotycznych satelitów, bo jej kasa zrobiła się pusta jak studnia na Saharze. Tanga była ostatnim krajem globu podbitym przez sierp i młot. Ale Kreml mógł jej ofarować tylko sierp i młot.

Wiosną A. D. 1988, po kilku zaledwie miesiącach od dnia „wyzwolenia” (14.XI.1987), komunizm prezentował już cały swój wdzięk na tym skrawku afrykańskiej ziemi. Tak niewiele czasu minęło, a tak dużo się zmieniło. Wszystko zostało upaństwowione, nawet żebracy musieli wyrabiać normę zaplanowaną przez biurokratów i odprowadzać gros swoich dochodów do urzędu finansowego. Prostytutki miały ten sam obowiązek, zaś sutenerzy stali się funkcjonariuszami państwowymi. Tynki odpadały, telefony głuchły, śmiecie wały się po ulicach, a sklepy byłyby puste, gdyby nie personel siedzący wewnątrz. Nieliczne autobusy były w takim stanie, że poruszała je chyba tylko silna wola kierowców. Szamanizm wypleniono dekretem, ale dopilnować tego można było w stolicy, podczas gdy na prowincji wciąż praktykowano „ordalia” czyli sądy boże do rozstrzygania sporów trucizną - oskarżony łykał truciznę i wołał: „*Och, trucizno, nieugięta w sprawiedliwości i w prawdzie, uwolnij mnie od tego ciężkiego zarzutu, i jeśli nie jestem kłamcą, stań się dla mnie nektarem!*”; fałszywie oskarżonego trucizna nie zabijała, a jeśli zabijała, to był dowód, że słusznie go oskarżono. Wszędzie natomiast likwidowano analfabetyzm - każde tangijskie dziecko uczyło się liczyć i pisać, rozwiązując następujące zadanie z algebry: **„Jeśli jednym granatem można zabić dziesięciu Anglików i Amerykanów, to ilu Anglików i Amerykanów zabije się dziesięcioma granatami?”**.

Pewnych rzeczy komunizm nie musiał zmieniać, gdyż ich tradycja pokrywała się z tradycją marksistowsko-leninowską. Takim był etos korupcji na wszystkich szczeblach struktury urzędniczej. Takim był brak opozycji. Takim była rachunkowość państwowa, artystycznie zagmatwana i przeżarta złodziejstwem jak kopiec termitów kanałami dla tychże owadów (system taki ekonomiści zwa „kleptokracją”). Nikt na górze ani na dole nie czuł się odpowiedzialny wobec państwa (które jest w Afryce pojęciem z gruntu abstrakcyjnym); trybalizm nie zniknął, tylko zasnął, by szybko zbudzić się ze snu. Kilka przygranicznych plemion ogłosiło secesję, bunt starano się ugasić rzeziami, mszczono te rzezie jeszcze większymi rzeziami, i Tangaland zamienił się w krwawe piekło. Wtedy Webster wykręcił numer Fostermana i rzekł po prostu:

- Zjedz ze mną lunch, w mojej chałupie.
- Co ci dolega? - spytał zaproszony.
- Białe tango.

Ostatni raz widzieli się kilka miesięcy temu. Fosterman został prezesem wielkiej spółki i nie skarżył się na życie, co zresztą było widać. Gdy Webster go zobaczył, krzyknął:

- Odmłodniałeś, Jim! Wyglądasz jak milion dolarów!
- A ile z nich mogę stracić po naszej rozmowie?
- Dużo, jeśli będziesz tak głupi, że zainteresuje cię moja propozycja.
- Proponuj.
- W Tandze dzieją się ciekawe rzeczy...
- Mam telewizor.
- ...a w Kairze ambasador Tangi nawiązał cichy romans z naszym ambasadorem. Mówi, że mają dość komunizmu, i generalissimusa Mano, i niemieckiego nadzorcy...
- Grahla-van Hongena, tego ni to Niemca, ni Holendra?
- Tak. Ten facet jest najprawdopodobniej agentem STASI lub

wywiadu wschodnioniemieckiego.

- Czyli KGB. Wszystkie czerwone tajne służby są filiami KGB.

- Ale do Tangi sprowadził samych Niemców i trochę Kubańczyków. Pilnują lotniska, pałacu prezydenta i wschodnioniemieckiej ambasady, do której przywożą z Berlina tysiące małych metalowych skrzynek. Interesuje mnie to cargo! A sztabowców tangijskich interesuje nasza pomoc, bo mają dość komunizmu. Obiecują, że gdy zaatakujemy niemiecko-kubańską ferajnę Grahla, to armia Tangi nas wesprze i wtedy...

- Niezłe wojsko, jeśli liczy na ratunek! - prychnął Fosterman.

- Ich wojsko jest zbieraniną szczepowych klanów. Jedni nie ufają drugim, każdy boi się zdrady, o koordynacji mowy być nie może. A Grahla-van Hongena wszyscy się tam boją!

- Kim on formalnie jest w Matabele, ten gnój?!

- Formalnie wiceambasadorem wschodnioniemieckim, a praktycznie wicekrólem, przy którym ambasador i król siedzą cicho. Rzecz w tym, że ta jego gwardia to jak dotąd ponad dwustu ludzi, więc jeszcze można ich zadołować, ale gdy on ściągnie siłę większą...

- W drugiej światowej się nie wyżyłeś?

- Jim, czy kiedyś będzie lepsza okazja, by przywrócić Tangę dla Zachodu?

- Powiedz to prezydentowi.

- Nie chrań. Dobrze wiesz, że demokraci w Senacie i w Kongresie zadziobaliby go, bo „Ameryka nie chce drugiego Wietnamu!”, bo „Ameryka nie ma w Afryce żywotnych interesów!”, et cetera, et cetera!

- I ja mam być tym bliźniakiem mistrza Rambo, na czele twojej prywatnej armii?

- Nie, Jim - rzekł Webster. - Supermenów i broń można znaleźć bez trudu. Ale trzeba mieć duży szmal!

- Mam duży szmal na nielegalne operacje, sam przekazywałem ci numery tajnych kont!



- Przekazałeś mi je razem z Afganistanem, z Nikaraguą i z kupą innych spraw, które trzeba finansować! Owszem, mogę kapnąć z tego coś niecoś, ale to będzie zbyt mało, bo na tamte stare sprawy wciąż mi brakuje!...

Umilkli obaj. Webster zapalił cygaro, puścił kilka kłębow dymu i powiedział:

- Jim, ja w końcu tylko głośno myślę... Tak naprawdę, to poprosiłem cię tu, żeby zadać ci dwa pytania. Pierwsze brzmi: czy mój pomysł ma choć odrobinę sensu?

- Ma dużo sensu - rzekł Fosterman.

Webstera zdumiała szybkość, z jaką Fosterman udzielił mu odpowiedzi. Zadał drugie pytanie:

- Czy ty masz pomysł na zdobycie dużego szmalu?

- Mam pomysł. Jeśli on wyjdzie, to starczy nam na wszystko.

Kolejne pytanie urodziło się Websterowi ze zdumienia:

- Dlaczego jesteś taki chętny i tak dobrze przygotowany?

- Wyczerpałeś limit, to już trzecie pytanie. Ja mam tylko jedno pytanie: czy możesz mi dać agenta Korma ze Służb Kontroli w Dziale Wywiadu? To chłopak, który jako stażysta pracował w Warszawie, w grupie śledzącej Abu Nidala<sup>6</sup>. Z Warszawy go wypieprzono, bo podpadł pułkownikowi Hillowi, odbił mu dziewczynę. Potem robił w biuletynie „*Firmy*”, potem miał być wicedyrektorem Bezpieczeństwa Wewnętrznego, ale gdy mnie wywalono, wrócił do Służb Kontroli Informacji, podobno znowu przez jakąś babę...

- Niezłe ziółko!

- Bardzo niezłe, Bill. Ten chłopak rozszyfrował van Hongena, gdy Anglicy tańczyli „*Czarne tango*”, ma duży łeb.

---

6 Abu Nidal, najgłośniejszy przywódca arabskich terrorystów, mieszkał w Warszawie w latach 1983-1985 i miał tu swoją firmę w wieżowcu Intraco na Stawkach.

\*\*\*

Ludwik Drozd też miał duży łeb. Im więcej myślał, tym łeb robił mu się większy, jakby puchł. Myślał o niej, już nie tylko za dnia, także nocą. W taką słoneczną noc szedł brzegiem plaży i moczył stopy pianą przyplywu, nagi niczym greccy bogowie, lub biegł przez wydmy ciężko oddychając ze zmęczenia, aż dostrzegął ją i kładł się przy niej na ciepłym piachu, który oblepiał jego mokre ciało. Potem dotykał jej ręki lub nogi, i to delikatne muśnięcie opuszkami kciuka wytwarzało prąd, który zamieniał go w zwierzę. A gdy już udało się im rozłączyć, biegli ku morzu, chłodzili i obmywali ciała, pływając, nurkując, plując słoną wodą i łapiąc małe meduzy, które wyciekały spomiędzy palców jak galaretowate „*memento*” każdego miłosego złudzenia. Gdy wracali na brzeg, ona zasypiała, a on leżał z uchem w dłoni, z łokciem wbitym w piach i ze wzrokiem wpatrzonym w jej nagość. Ociężałe, senne promienie popołudniowego słońca czesały jej włosy, wyciskały krople potu na jej czole, sunęły leniwie przez zaróżowione pagórki policzków, owijały szyję złotą spiralą i zamienione między piersiami w grad rozżarzonych pereł spadały na lśniący płaskowyż brzucha, gdzie tonęły w centralnie położonym maleńkim zagłębieniu, jakby to właśnie tamtędy, a nie przez łono, winno dostawać się do wnętrza kobiet całe bogactwo tego świata - szlachetne kamienie, luksusowe stroje, ufryzowane konie z dzwoneczkami, powozy na miękkich resorach, kielichy pełne odorzających trunków, śpiewne komplementy, brzęczące bransolety i szeleszczące banknoty - aby uformować w macicach załączki długiego poświęcenia i wielkiego bólu, sprawiedliwie wynagrodzone.

A potem się budził i był człowiekiem przygnębionym aż do kolejnego snu.

Bardzo długo żył tą dziwną nocną plażą, na którą czekał od każ-

dego ranka do każdego zasypiania. A ponieważ czekał na nią myśląc o niej, śniła mu się wiele razy. Śniła mu się nawet wówczas, gdy spał z kochanką; etiudy seksualne tłuczone rutynowo nie likwidowały tego oniryzmu.

Los nagrodił jego wytrwałość po pięciu (prawie pięciu) latach, wiosną A. D. 1987.

Przez te pięć lat walczył o zafundowanie jej zdrowia. Kilka operacji bez większych rezultatów, wędrówka z kliniki do kliniki, od „*cudotwórcy*” do „*cudotwórcy*”, i wciąż fiasko. Po trzech latach nastąpiła pewna poprawa, ale on chciał być bogiem uzdrawiającym kompletnie. Odwiedzał ją kilka razy do roku i przysięgał, że nastąpi cud. Po czterech latach - ćwiczenia rehabilitacyjne w najlepszym ośrodku kanadyjskim przywróciły jej częściową sprawność. Było coraz bliżej, lecz jeszcze daleko do takiej sprawności, jaką jej obiecał. Znalazł w Hongkongu neurologa, który miał ją wyleczyć akupunkturą. Nie wyleczył, ale poprawił jej stan o kolejne ileś tam procent - chodziła już przy pomocy laski, bez kul!

Drozd walcząc tak miał tylko jeden cel - zdobyć jej miłość. I zdobył tę miłość. Zdobył ją nie pozwalając, by przez te wszystkie lata choćby na moment wygasły w dziewczynie marzenia o pełnym zdrowiu. Podsycał je ćwiczeniami, operacjami i słowami, jak palacz, który dba, by głodne kotły nie zatrzymały uszkodzonego okrętu przed zbawczą przystanią. Na niczym się tak dobrze nie zarabia, jak na ludzkich marzeniach, co najlepiej wiedzą faceci od płóciennych i szklanych ekranów oraz facetki od szklanych kul i tarokowych kart.

Gdy przeniósł ją do Szwajcarii, do kolejnego ośrodka rehabilitacyjnego, i gdy nastąpiło wyraźne polepszenie, zażartował, klaszcząc, bo pokazała mu jak dobrze już chodzi:

- Będę z tobą tańczył na twoim weselu!

Nie lubił tańczyć, bo nie lubił tańców, ale marzyła mu się lambada z nią, niekoniecznie na parkiecie. Odpowiedziała mu cicho:

- Tylko wówczas, jeśli to wesele będzie również twoim weselem, Ludwiku...

Wtedy ją pocałował. Ale gdy ją objął i zagłębił palce w jej włosy, a potem ścisnął ją mocniej, by przystąpić do rękoczynów, wyczuł w niej pewną sztywność, którą wziął za opór lub strach, więc sam się przestraszył, gasząc w sobie tak zwany żar zmysłów mocą dżentelmeńskiego ducha, przez co stracił w jej oczach kilka punktów, ale nie wiedział o tym. Nawet mężczyźni bardzo doświadczeni w obłapianiu, gdy się zakochają jak harcerze, głupieją jak harcerze, takie są diabelskie prawa tych wzlotów na romantyczną miłość, którym skrzydła daje głód czułości (coś zupełnie innego niż głód seksu).

Zamiast więc zrobić, co należało - odbyć z nią to ćwiczenie rehabilitacyjne, do którego była bardzo stęskniona - poprzestał na ćwierkaniu i przysięganiu wzajemnym, a potem udał się na lotnisko. Podróż miał pełną wrażeń. Usunięto go z samolotu razem z innymi pasażerami, bo ktoś ostrzegł wieżę kontrolną, że na pokładzie znajduje się bomba. Czekając aż samolot zostanie sprawdzony przez ekipę saperów, chlał w lotniskowym barze whisky, zaś w duszy grało mu szczęście, i kiedy pewien Francuz przypił do niego, Drozd odpowiedział mu tym samym, bo upiłby się tego dnia nawet z gronostajem. Pomyślał tak, gdyż Francuz, historyk sztuki, leciał do Polski, by w Krakowie obejrzeć „Dagę z gronostajem” Leonarda, którą Polacy, dla siebie tylko znanych powodów, zwaą „Dagę z łasiczką”. Kiedy usłyszał, że Drozd jest Polakiem, zaczął udowodniać swoją znajomość polskich dziejów. Gadał jak najęty, z ogromną szybkością, bez przecinków i kropek, piętnując nieszczerzy polski „*syndrom buntu*”, który się wyrodził w „*m-m*” („*martyrologiczny masochizm*”), co destabilizuje Europę od dwustu lat. Drozd był pełen euforii, więc zapomniał o swoim cynizmie i o swoim antypatriotyzmie, i dał żabojadowi odpór tak patriotyczny, jak

szarża pod Rokitną. Przywołał somosierczyków i legionistów Dąbrowskiego wspomagających Francję, wyliczył wszystkie powstania przodków, wspominał o „*cudzie nad Wisłą*”, który ocalił Europę przed najazdem hord bolszewickich, i w końcu stwierdził, że spełnianie „*świętego obowiązku Polaka*”, czyli upuszczanie sobie krwi patriotycznej, jest sprawą nie tylko piękną, ale i opłacalną. Przysłuchiwał się temu barman, starszy gość, mający wygląd zdeklasowanego członka akademii nauk. Gdy Drozd umilkł, barman szepnął po polsku:

- Nie zawsze, proszę pana, nie zawsze. Powstańcom styczniowym się nie opłaciło. Ruscy za karę pozabierali im domy i majątki, a gdy później powstała wolna Rzeczpospolita i rodziny powstańców pragnęły odzyskać co swoje, nie zwrócono im niczego, nic a nic!

Drozd zdziwił się tym, co usłyszał, lecz już zapowiedziano odlot, więc dał napiwek barmanowi i udał się do samolotu. Siedział po lewej ręce historyka, po którego prawej ręce siedziała elegancka dama w typie Joan Collins i przez całą podróż narzucała się historykowi szczebiotem oraz dekoltem. Francuz miał sex-appeal bardzo mięsisty (bo w młodości był kulturystą), więc robił na kobietach duże wrażenie, ale ten podryw mocno go irytował. Starał się jednak być uprzejmy, co nie przychodziło mu bez trudu. Ludwikowi dama skojarzyła się od razu z łasiczką, a ponieważ już przedtem wyczuł, że Francuz to „*homo*”, miał spektakl zatytułowany tak, jak dzieło Leonarda, i bawił się setnie. Na warszawskim lotnisku „*tasiemka*” przytuliła się do Francuza, a wówczas rozeźlony Francuz odrzucił precz „*savoir-vivre*”:

- Brzydzą mnie kobiety wulgarne, proszę pani! - powiedział z nienawiścią wprost lubieżną. - To jest takie, które mają w uśmiechu, w spojrzeniu, w każdym ruchu, na twarzy i na plecach, ergo wszędzie, wypisaną chęć rypania się bez przerwy. W środku ma to każda kobieta, ale istnieją różne formy okazywania tego, czyli różne

kultury cywilizacji kobiecej. Pani, niestety, jest przedstawicielką kultury barbarzyńskiej, ja wolę kobiety Botticellego, madame!

Drozd roześmiał się w duchu, rekuza była pierwszej klasy. Nie wiedział, że kobiety malowane przez homoseksualistę Botticellego posiadają bardzo androginiczny wdzięk i smukłe, chłopięce ciała, nie przypominał ich sobie, ale myśląc o tym, co powiedział Francuz na temat kobiecej nieskromności - widział skromną, lekko zaróżowioną twarz Anny Jaskólskiej.

\*\*\*

Archiwum Państwowe Stanów Zjednoczonych mieści się w stolicy Stanów Zjednoczonych, w wielkim pięciopiętrowym gmachu przy Pennsylvania Avenue. Na jego czwartej kondygnacji umieszczono magazyn tzw. „mikrofilmów aleksandryjskich”<sup>7</sup>, zawierających całe dokumentacyjne bogactwo III Rzeszy zdobyte przez amerykańskie wojska, oraz mnóstwo mniej lub bardziej poufnych dokumentów związanych z II wojną światową. Jest to lamus wielu tajemnic. Harry'ego Logana, eks-czempiona znanej detektywistycznej firmy Mc Award Associates, interesowała tylko jedna z nich, ale tak mocno, że poświęcił jej kilka lat swego życia. Spędził mnóstwo godzin w sali nr 400 National Archives, gdzie stoją przeglądarki do czytania mikrofilmów. Wypytywał mnóstwo osób i zakładał nielegalne podsłuchy. Odbił mnóstwo wojaży wzdłuż i wszerz kraju ojczystego. Ryzykował, bo do zdobycia było mnóstwo „prezydentów”. I prawie wygrał - odszukał, w roku 1987, człowieka, którego tropił tak zażarcie. Po czym zniknął. Jego żona zwróciła się z prośbą o pomoc do swego pierwszego męża, Jamesa Fostermana, a ten w mieszkaniu Loganów znalazł numer bankowej skrytki. W skrytce leżała kupka dokumentów - wszystko, co Logan zdobył przez minione kilka lat.

---

7 Od Fortu Aleksandria pod Waszyngtonem, gdzie wcześniej składowano przezfotografowane dokumenty.

Szef CIA znał bardzo dobrze człowieka, którego Logan wytropił. Ten człowiek był ważną figurą. Miał zakłady produkujące sprzęt elektroniczny dla armii USA, miał stadniny koni, miał farmy, kolekcje dzieł sztuki i wpływy w obu izbach parlamentu. Fosterman i Korm zjawili się u niego 4 kwietnia A. D. 1988. Facet umierał ze strachu, Korm słuchał, a Fosterman mówił:

- Parę kilometrów od Frankfurtu nad Menem leży zamek Kronberg, stara siedziba niemieckiego rodu Hessenów. W czterdziestym piątym był tam ośrodek wypoczynkowy dla żołnierzy 3 Armii generała Pattona. Znaleźli oni w piwnicy zamkowej klejnoty koronne rodu Hessen, po czym ten skarb ukradła trójka oficerów: pani kapitan Kathleen B. Nash, major David F. Watson i pułkownik James W. Durant. Aresztowano ich w 1946 roku, wydano z wojska i postawiono przed sądem. Watson dostał tylko trzy lata więzienia, żona Duranta, pani Nash, dostała pięć lat ciężkich robót, a Durant czternaście lat ciężkich robót, wyszedł w 1960. Zaprotokołowano, iż „większa część najcenniejszych klejnotów nie została odnaleziona”. Na tej „większej części” pan i pański ojciec zbudowaliście swoją potęgę finansową, co odkrył Logan i dlatego kazał go pan zabić. Nie znaleźliśmy ciała, bo kwas solny to dobry wywabiacz trupów, ale mamy człowieka, któremu pan zlecił tę robotę, a to oznacza, że resztę życia przeżyje pan za kratą. Chyba że większą część tamtej „większej części” podaruje pan nam. Dla nas forsa, dla pana odpuścić win. Minuta do namysłu.

- Jaką mam gwarancję?

- Taką, że gdy weźmiemy ten szmal, to nie będzie nam zależało, by stawał pan przed sądem, bo mógłby pan wówczas ujawnić, że wzięliśmy ten szmal.

Wzięli ten szmal i można było zacząć zbieranie „chłopców”. Nie chcieli „psów wojny” z kręgu „Soldier of Fortune”, ani z „Cywilnej Pomocy Wojskowym”, ani z amerykańskiej SAS (Security Advisory Service -

agencja rekrutująca ochroniarzy i najemników), bo po pierwsze nie chcieli załatwiać czegokolwiek w punktach werbunkowych na terenie Stanów, a po drugie wyleniałe psy nie były im potrzebne, gdyż wiedzieli, że najemnik starzeje się równie szybko jak striptizerka i równie szybko traci wartość. Fosterman udał się na wysepkę w kanale La Manche, gdzie major David Wacker prowadził firmę KMS czyli „wypożyczalnię” zbiegów oraz banitów z Legii Cudzoziemskiej, z brytyjskiej SAS (Special Air Service), z francuskiej GIGN (Grupa Interwencyjna Żandarmerii Narodowej - francuski odpowiednik SAS), z niemieckiej GSG 9 (9 Grupa Policji Granicznej - Grenzschutzgruppe), z SEAL Team-6 (Sea-Air-Land Teams - komandosi marynarki wojennej USA; antyterrorystyczne komando Team-6 wchodzi w skład Delta Force), etc. Tam też załatwił grupę byłych pilotów Delty z SOS (Special Operation Squadron).

W tym samym czasie Rick Korm działał w Namibii. Za cichym przyzwoleniem rządu południowoafrykańskiego i za odpowiednią liczbę dolarów „wypożyczył”, od generała-majora Vica Yoerstera czterystu ludzi z antyterrorystycznej formacji Koevoet, pacyfikującej tereny między RPA i Angolą. Nigdy w życiu, nawet w kinie, nie widział podobnych bandziorów. Same ich mordy mówiły, że ludzie ci urodzili się tylko po to, by inni ludzie szybciej umierali. Ich mowa fonetyczna też przypominała grób. Wszędzie, na barowym stolku, na patrolu i na ulicy, posługiwali się własnym szyfrowanym językiem. Był to słownik bardzo ubogi z pozoru - żeby go zapisać, starczyłoby pół kartki - lecz oni umieli wyrazić nim wszystko z ekspresją nie szkodzącą jasności przekazu. Gdy któryś, wróciwszy na kwaterę, dawał kopa oponie samochodu i mówił: „P..... sk..... k.... j... m.. zt..... p.... k.... ch.. m.. w d...!”, wszyscy rozumieli, że wsteczny wchodzi ciężko, bo nastąpił wyciek z tylnego simeringu skrzyni biegów po uderzeniu nią o kamień przy przekraczaniu suchego koryta rzeki Jool w pobliżu farmy Jonesa. Lecz gdy się bili, usta mieli



zamknięte. Wśród komandosów ówczesnego świata nie było lepszych od „koevoetmenów”. Formację Koevoet wyćwiczyli weterani ze strasznego rodezyjskiego komanda Selous Scouts. W języku afrikaans „koevoet” znaczy: **łom**.

Miejscem zbiórki wszystkich zaangażowanych stał się obóz w pobliżu namibijskiej stolicy Windhuk. Był to stary wojskowy obóz 32 specjalnego batalionu armii południowoafrykańskiej, zwanego Buffalo. Na dowódcę całej operacji wyznaczono „koevoefmana”, pułkownika Petera Rotha. Nie można było dokonać lepszego wyboru, gdyż Roth miał kilkunastoletnią praktykę jako komandos i sprawdzał się w warunkach każdych. Był to dziwny człowiek. Wyglądał niczym labrador, którego pani przywiązała u wejścia do sklepu: znudzony, markotny, nieruchawy, jakby na wpół śpiący, ze wzrokiem lekko zamglonym i tępo wbitym w przestrzeń. Taki był, gdy nic się nie działo. Kiedy było trzeba, natychmiast odzyskiwał błyskawiczny refleks, sokole spojrzenie i twardą łapę. Majora Tooly, dowódcę grupy z KMS, który zaczął się w obecności Rotha wymądrzać, Roth „ustawił” przy pomocy pięciu stów:

- Przestań myśleć. Ty jesteś fizyczny!

21 maja roku 1988, gdy szarzała noc, pięciuset osiemdziesięciu spadochroniarzy i kilkadziesiąt jeepów zleciało spod nieba na pustynny piach między stolicą Tangalandu, Matabele, a lotniskiem Matabele-Air. Lotnisko było bronione przez Kubańczyków, którzy dysponowali sprzętem ciężkim, lecz laserowe izraelskie „bazooki” najnowszej generacji rozpieprzyły ten sprzęt w mgnieniu oka. Gdy jeden zespół zdobywał lotnisko, drugi wdarł się do stolicy, by zaatakować pałac prezydenta i ambasadę NRD. Wówczas z dziedzińca pałacu prezydenckiego poderwał się helikopter Friedricha van Hongena-Grahla i pofrunął w kierunku sąsiedniej Angoli. Zaś w ambasadzie NRD, którą zdobyto bez większego trudu, czekała na zdobywców pułapka - piwniczne magazyny miały zaminowane wej-

ście i pracujący już mechanizm zegarowy. Webster i Fosterman przewidzieli to, angażując kilku znakomitych saperów. Saperzy rozmontowali pułapkę błyskawicznie i kiedy brakowało kilka sekund do wybuchu, została im ostatnia decyzja - przeciąć czerwony czy niebieski drucik. Przecięli ten, który według nich należało przeciąć, co jednak niczego nie zmieniło - ambasada wyleciała w powietrze, grzebiąc saperów i tajemnicę magazynu. Przecięli niewłaściwy drucik. Stał się cud większy od biblijnego - technika komunistyczna okazała swą wyższość nad techniczną inteligencją Zachodu.

Później wszystko było już jak w Biblii. Najpierw był czas zwyciężania, a po nim, zgodnie z teorią Koheleta ze „Starego Testamentu”, czas obrywania w tyłek.

Zdobyli pałac, lotnisko i całe miasto. Ale już wieczorem zaczęli mieć kłopoty. Winna była temu fałszywa informacja. W Matabele rzeczywiście znajdowało się dwustu Kubańczyków i wschodnich Niemców, lecz pod miastem stacjonowało ich czterystu, i kiedy ci zaatakowali, bitwa rozgorzała od nowa. Nadto wojska tangijskie, miast wspierać KSM-enów i „*koevoetmenów*”, rzuciły się na nich z furją, a potem z jeszcze większą furją zaczęły mordować każdego białego i obracać miasto w perzynę. Później mówiono, iż stało się tak, gdyż „*koevoetmeni*” zabili kilku czarnych oficerów, ale jak było w rzeczywistości, tego nikt się już nie dowiedział.

Widząc, że miasto płonie, Rick wziął czterdziestu komandosów i pognał do ambasady Stanów Zjednoczonych. Przebił się nie tracąc nikogo ze swoich ludzi, ale przebił się zbyt późno - zastał płonąca ruinę. Chciał wrócić do pałacu, lecz droga była już odcięta. Odcięte były już właściwie wszystkie drogi. Na ulicach leżało mnóstwo czarnych i białych trupów, tłum palił samochody i rozbijał witryny, zewsząd leciały kule - miał przed sobą pandemonium. Klucząc w labiryncie miasta dotarł pod gmach, którego broniło kilkunastu cywilów i kilku dziwnych żołnierzy. Przyłączył się do nich. Gdyby

mu wywróżono, iż przez tydzień nie opuści tego gmachu, uznałby taką wróżbę za skończoną brednię.

Gmach był niski, lecz w pełni zasługiwał na miano tej biblijnej wieży, o której wspomina tylko „Księga Rodzaju” i którą potomstwo Noego zbudowało blisko Eufratu, na równinie Sennaar - wieży zwanej przez jednych: „*Bramą do Boga*” (od „*Bab-illi*”), a przez drugich: „*Pomieszaniem języków*” lub „*Zamieszaniem*” (od „*balal*”). Wszystko tu tak właśnie wyglądało - gniew, ścisk, strach, wrzask i płacz, dziki tłum, rozpaczliwe pytania wykrzykiwane w kilku językach międzynarodowych i w kilku peryferyjnych - prawdziwa Wieża Babel o symptomach bramy do piekła.

Znalazł się we wnętrzu czechosłowackiej ambasady, do której uciekli - bo jej nie spalono - biali ludzie z kilkunastu sąsiednich ambasad, z przedstawicielstw handlowych, biur podróży i przedsiębiorstw. Była to gromada niedobitków, rannych, poparzonych lub tylko zszokowanych, oplakujących współmałżonków, wołających swoje dzieci, szukających matki bądź ojca, a wszyscy oni mieli we wzroku obłęd, lub cierpienie, lub chorobliwe upojenie Apokalipsą.

Rick dysponował radiem wojskowym, tylko że to radio zostało uderzone odłamkiem moździerzowego granatu i nadawało się do śmietnika. Rozejrzał się za telefonem, lecz łączność telefoniczna w Matabele była już przeszłością, a prawdziwym cudem było, że jeszcze działała elektryczność i ciepło trochę wody. Ambasador i jego personel próbowali rozmieścić tłum uciekinierów i zaprowadzić jakiś ład, ale dopiero nocą zmęczenie uciszyło nieszczęśliwych. Przez okna wdzierał się do wnętrza smród pożarów i terkot karabinów, czasami grzmot wybuchów, a tylko dwukrotnie wybuch kalibru dantejskiego - najpierw eksplodowała fabryka chemiczna, potem magazyny amunicyjne. „*Koevoetmeni*” Korma dwa razy próbowali wyrwać się stąd i dwa razy odepchnął ich ogień kulomiotów. Skupili się więc na obronie ambasady.

Już w pierwszą noc Rick zawarł przyjaźń z jednym z uciekinierów, małym człowieczkiem, który sięgał mu ledwo powyżej kolan i miał dwa lata lub może jeszcze ich nie ukończył. Wydawało się, że maluch czeka na kogoś, bo siedział skulony we wnęce obok schodów i nie płakał, ale gdy Rick się pochylił i z bliskiej odległości zajrzał mu w buzię, pojął, że temu chłopcu lez już zabrakło. Z bliska dostrzegł również, że ciało malca nieustannie drży, jakby panował mróz. Ten mały ludzik, nie rozumiejąc, czemu mama i tata zostawili go sam na sam z ich nieobecnością; nie wiedząc jak ich odszukać, a więc nie mogąc znowu wczepić się paluszkami w byt; nie mając już siły na bieganie, płkanie i skamlanie; ze swym bezużytecznym językiem w ustach, parą oślepych źrenic i sercem omdlałym z braku echa wśród tych ludzi, których ogłuszyło własne cierpienie - pograżał się w milczącą ciemność małych ludzików, tak bliską orbity śmierci, jak bliską jest bezradność kalek zmiecionych przez huragan do morza. Rick uniósł go, przytulił i długo gładził po główce swą ciężką, chropowatą dłonią. Drżenie maleńkiego ciała miało coraz wolniejszy rytm, aż zgasło i zamieniło się w oddech ciężkiego snu.

Przez kilka następnych godzin Korm prowadził śledztwo, wędrując ze śpiącym dzieckiem na ręku po całej ambasadzie. Nie było w niej człowieka, którego by nie zapytał, i nie było takiego człowieka, który mógłby mu udzielić informacji. Nikt nie miał pojęcia o tym, skąd jest ten maluch, jaka jest jego narodowość i kto był jego opiekunem.

Gdy malec się przebudził, Rick napoił go rozwodnionym sokiem bananowym, wysusiał, umył mu ręce i twarz, po czym wybebeszył swoją „*Rację żywnościową rangersów*”, by znaleźć coś odpowiedniego dla rangersów bardzo nieletnich. Była tam puszkowana mielonka, puszkowany bekon, pięć hermetycznie zamkniętych w plastiku parówek, suszone owoce, tubka ze skondensowanym mlekiem, ser, suchary, konfitury, ekstrakt kawowy i herbaciany, tabletki do

uzdatniania wody, higieniczne chusteczki i... sześć prezerwatyw, które wcale nie wyglądały na jadalne, lecz kretyn, który wymyślił taki zestaw, musiał mieć odmienny pogląd, albo uważał, że wszystko może się przydać w boju, albo nie rozumiał, że kochanki żołnierzy też bywają głodne i wówczas chcą cukierka bez papierka. Małemu smakowało zagęszczone mleko i suchary moczone w konfiturach, lecz zjadł niewiele, a po chwili zasnął znowu.

Przez dwie doby Korm przypominał szympansię, w której pierś wczepił się malutki szympansik; nawet spać nie mógł tak, jakby chciał, z obawy, że zgniecie malucha, a gdy się załatwiał razem z tym kleszczem, to nie wiedział, czy śmiać się z siebie, czy płakać, czy jedynie kląć. Potem mały dał się odstawić i dreptał przy Ricku, ale dał się odstawić tylko na odległość wyciągniętej ręki - cały czas ścisnął kurczowo wskazujący palec Korma.

Trzeciego dnia zaczepił Ricka „koevoetman”, który przyszedł do gmachu z kolegą, by się umyć:

- Pan, panie poruczniku, bawi się tu w niańkę, a my tam nadstawiamy łby za pana!

- Nie ciągnij go, Horst - powiedział drugi „koevoetman” - bo przyjdzie i będzie puszczał bąki ze strachu!

- Wyjdźmy do ogrodu, to coś wam powiem - zaproponował Korm.

W ogrodzie ambasady oddał dziecko jednemu z nich, mówiąc:

- Trzymaj i nie upuść, bo cię zastrzelę!

A do drugiego, tego od „bąków”, powiedział:

- Zmierz się ze mną na pięści, zobaczymy, kto będzie puszczał bąki. Jeśli wygrasz, płacę tysiąc randów<sup>8</sup> i nic nie mówię. Ale jeśli przegrasz, to oddasz mi skondensowane mleko i konfitury. Potrzebuję ich dla tego małego. Startuj!

„Koevoetman” zbaraniał, słysząc taką propozycję. Przez chwilę nie wiedział, co robić, a potem spuścił łeb i mruknął:

---

<sup>8</sup> Waluta południowoafrykańska (1 dolar = 3 randy).

- Nie boję się pana... ale nie chcę się bić, bo też mam takiego szczeniaka jak ten, więc rozumiem, że... no, tego... w porządku! Przepraszam za to, co tam powiedziałem. Konfitury mi już wyszły, ale mleko zaraz przyniosę, tubka jest cała.

Oddali mu wszystkie tubki i puszki z konfiturami, jakie jeszcze mieli.

Przez te siedem dób nie usłyszał od dziecka ani jednego wyrazu, dzięki któremu mógłby rozszyfrować jego narodowość, lecz kilkanaście razy usłyszał, że małemu strun głosowych nie brakuje. Ambasador wyznaczył jeden pokój dla dzieci, których w ambasadzie było z półtora tuzina. Wstawiono tam wideo i puszczano dzieciakom filmy rysunkowe. Same czeskie, o sympatycznym tłuściutkim kreciku i jego przyjaciółach leśnych. „*Krtek*” od czasu do czasu, gdy czymś się ucieszył lub zasmucił lub zdumiał, chwytął się łapkami za głowę i cichutko mówił: „*Yooooooooo!...*”. Małec, siedzący na kolanach Ricka i wpatrzony w telewizor, po którymś takim „*Yooooooooo!...*” przyłożył rączki do swoich uszu i szepnął: „*Yooooooooo!...*”. Od tej pory, za każdym razem, gdy krecik mówił: „*Yooooooooo!...*”, chłopczyk go małpował, a później patrzył w górę, na twarz Ricka, który musiał się wtedy uśmiechnąć, i obaj byli szczęśliwi.

Piekło wygasło po tygodniu. Trwało tak długo, bo (o czym Rick nie wiedział) Kubańczycy z sąsiedniej Angoli wsparli tangijskich Kubańczyków potężnym desantem. Pretoria odpowiedziała desantem swoich wojsk, czerwoni zostali wyrzuceni, w Matabele pojawiły się niebieskie hełmy ONZ-u i wielki jumbo 747 zabrał mieszkańców czeskiej ambasady do świata cywilizowanego. Korm siedział przy oknie, a maluch siedział mu na kolanach i przyglądał się chmurom.

Stolica Tangi i Gdańsk nie mają ze sobą wspólnych cech, lecz tylko z pozoru. W rzeczywistości znalazłoby się takich cech dużo, a dwie z nich są stałe, nie zmieniają się nigdy. Oba miasta leżą na tej samej długości geograficznej i oba w tej samej strefie czasu. Kiedy więc Boeing przysłany po niedobitków, którym schronienia udzieliła ambasada CSRS, odlatywał z Matabele do Europy, w Gdańsku była również 22.02, również 3 czerwca 1988 roku, i również miał tam miejsce zbiorowy odlot grupy cieszących się ludzi, tylko że nie na lotnisku, a w mieszkaniu Lecha Wałęsy, bo to był jego imiennowy wieczór.

Minęło dziesięć, osiem i sześć lat. Dziesięć lat temu „Lechu” współzakładał pierwszy w Polsce związek zawodowy nie podlegający komunistom, więc z natury i z definicji wymierzony przeciw komunistom. Osiem lat temu wybrano go liderem wszystkich wolnych związków. Sześć lat temu wypuszczono go z internowania. Od tamtej pory bardzo się zmienił. Zewnętrznie i wewnętrznie. Zewnętrznie przytył, a to, co się w nim na zewnątrz nie zmieniło, to był znaczek z Matką Boską Częstochowską w kłapie garnituru, świadczący, że Lech Wałęsa jest „*Unus defensor Mariae*” [- Jedyny obrońca Marii.]. Wewnętrznie też przytył. Mówiono, że dopiero po tajemniczym spotkaniu z papieżem w roku 1983, w najwyższych polskich górach, Tatrach, ale na górę mądrości wchodzi się długo i to spotkanie było tylko krokiem alpinisty, zaś prawdziwym belfrem był belfer każdej istoty ludzkiej - czas.

W czerwcu roku 1988 jedno nie ulegało wątpliwości dla tego człowieka - że rozbieżność między bolszewicką pasją zbawiania ludów (to jest budowania na Ziemi społeczeństwa idealnego, przewidzianego już w boskim planie) a urągającą jej rzeczywistością społeczną, gospodarczą i polityczną, musi się prędzej czy później zakończyć krachem komunizmu, i on uważał, że nastąpi to prędzej, chociaż wytłumaczyłby to prościej, dobierając stów nieco odmien-

nych.

Gdy uczestników posiedzenia imieninowego lekko już zmorzył tradycyjny sarmacki nektar, na cześć solenizanta odśpiewano starą sarmacką kantatę imieninowo-urodzinową:

„Niech ci życie płynie  
jak Wisła do Gdańska!  
Niech ci ptaszek stoi  
jak dzida ułańska!”

Mimo iż w czterowerszu owym nie było ani jednego wyrazu, którego nie możnaby wstawić do elementarza dla pacholąt, Danuta Wałęsowa zrobiła cierpką minę, solenizant skwitował tę minę przy pomocy nieco frywolnego żarciku, i to skwitowanie okazało się czymś, co Polacy nazywają „*dolewaniem oliwy do ognia*”: małżonka Lecha Wałęsy wyszła do kuchni z miną już nie cierpką, tylko gniewną.

- Od razu widać, kto tu rządzi! - rzekł kolega Lecha, też stoczniowiec.

- My rządzymy „*Solidarnością*”, a nami kobiety, no to po malechu! - dodał drugi stoczniowiec, trawestując w ten sposób jednocześnie i stary toast sarmacki i maksymę starszą niż emancypacja.

Zaś jeden z obecnych przy stole inteligentów westchnął:

- Może to i lepiej, że Nobla dla Lecha Wałęsy odbierała żona noblisty...

- Dlaczego? - zdziwił się drugi inteligent.

- Bo gdyby sam odebrał, to może rozkazałaby mu, żeby zwrócił, był już taki precedens...

- Jaki precedens?!

Żartowniś popisał się wiedzą historyczną:

- Taki, że gdy Rada Miejska Krakowa uhonorowała Matejkę berłem



„na znak panowania w sztuce”, to pani Matejkowa się wściekła, że przypadły jej za małe splendory.

- I co?

- I mistrz odesłał berło prezydentowi miasta!

Wybuchnęli gromkim śmiechem, a któryś ze stoczniovców pochwalił się gehenną osobistą:

- Ja mam jeszcze gorszą babę, bo ona ma taki węż, no... taki węż, że wysiadają alzackie owczarki, jak pragnę rozvodu! Piwo i gorzałę wyczuwa przez telefon!

Ktoś inny dorzucił:

- Najostrzejszą babę ma prezydent Reagan, podobno to ona rządzi w Białym Domu!

Zaczęły się żarty z „aktora Reagana” i z „kowboja Reagana”, które Wałęsa przerwał, bo teraz jęgo ubodło:

- Panowie, wyśmiewacie najlepszego prezydenta Stanów Zjednoczonych w całej historii Stanów Zjednoczonych!

Ta odkrywcza teza wzbudziła znaczące spojrzenia i skrywane uśmiešky inteligentów. Ciszę, którą zasiał reprimendą, przerwało w końcu pytanie:

- Dlaczego pan go stawia aż tak wysoko, panie Lechu?

- Dlatego - odparł wódz „Solidarności” - że jeśli po kilkudziesięciu latach wchodzenia Sowietom w tyłek bez mydła przez kolejnych amerykańskich prezydentów, pojawia się na parkiecie facet, który zamyka ten burdel, bo nie jest pijany w dym i widzi dalej niż na półtora metra, to... to to jest właśnie moja odpowiedź, proszę panów!

Gdy się rozchodzono, solenizant - „aby się przewietrzyć” - odprowadził dwóch biesiadników do domu, i zrobił to z taką maestrią, że raptem zniknął w ciemnościach, a śledzący go tajniacy mogli tylko zgrzytać uzębieniem. Strużyński czekał na niego w portowym zakamarku.

- Co jest? - spytał Wałęsa.

- Jest zwycięstwo, panie Lechu, zwycięstwo! Opłaciło się być twardym przez tyle lat!

- Jakie zwycięstwo? Mów pan, co konkretnie jest!

- Przecież mówię, jest zwycięstwo! Esbecka generalicja ma rozstrój nerwowy, bo Biuro Polityczne chce z panem pertraktować!

- Oficjalnie pertraktować?

- Chyba najpierw bez rozgłosu. Za kilka dni zwrócą się do pana z propozycją. Niech pan im nie popuści, bo już są słabi, już pękają, i wiedzą o tym, że są słabi, to koniec!

Wałęsa spojrział w kierunku brzegu, skąd dochodził szum fal tłukących o portowy beton, i mruknął do esbeka:

- Nie, panie Strużyński. To początek.

\*\*\*

4 czerwca jumbo wylądował na wiedeńskim lotnisku. Głów państw nie witały identyczne tłumy; Wiedeń się zbiegł, żeby zobaczyć gromadkę ocaloną z piekła tangijskiego. Dyplomaci przybyli, aby odebrać swych rodaków, reporterzy i kamerzyści, by pokazać to całej kuli ziemskiej, gapie, żeby przeżyć „live-show”, a prezydent republiki jako prezydent republiki.

Korm, gdy tylko zszedł z samolotu na płytę lotniska, rozejrzał się za kimś, kto winien był odebrać małego. Podbiegła kobieta w pielęgniarskim czepku.

- Pan jest tym Amerykaninem, który telefonował w sprawie dziecka?

- Tak, proszę pani.

- Więc to jest Peter?

- Ma na imię Peter?...

- Peter de Joong. Ustaliliśmy to dopiero wczoraj. Ciała jego rodziców zidentyfikowano w Matabele. Muszę go teraz zawieźć do

Amsterdamu.

- Do rodziny?

- On nie ma już żadnej rodziny, zostanie umieszczony w domu sierot. Ale jest szansa na adopcję, jeśli Peter się komuś spodoba... To w końcu ładne dziecko, więc szansę są. No, chodź malutki.

Pocałował „*krecika*” i oddał go kobiecie. Patrzył jak kobieta odchodzi w stronę autokaru, a malec znad ramienia kobiety spoglądał na niego. Rick zrobił mu „*pa-pa*” i odwrócił się. Nie uszedł dwóch kroków, gdy radosną atmosferę powitań skaleczył dźwięk tak straszny, iż ludzie w promieniu kilkudziesięciu jardów drgnęli jak rażeni prądem. Dźwięk się powtórzył, dziurawiąc bębunki uszu. Był to skowyt dziecka. Kobieta zamarła, przerażona, gdyż wszyscy dziwnym wzrokiem patrzyli na nią i być może sądzili, że uszczypnęła, ugryzła, ukradła lub w jakiś inny sposób zmusiła malucha do tego potwornego krzyku. Zaczęły jej drżeć ręce, czuła, że upuści dziecko. Postawiła je na ziemi. Malec zrobił parę niezgrabnych kroków w stronę Ricka i zatrzymał się. Operatorzy kamer telewizyjnych, nie rozumiejąc, co jest tu grane, lecz rozumiejąc, że dzieje się coś niezwykłego, coś na czołówki „*newsów*” skierowali obiektywy w jeden punkt lotniska.

Malec nie miał siły, aby iść dalej. Stał i patrzył na Ricka oczami wielkimi jak dwie szklane kule wypełnione rozpaczą, a po policzkach płynęły mu dwie strugi milczących łez. Nagle wznosił ręczki do góry, położył małe dłonie na uszach i z drżących, wykrzywionych cierpieniem ust dobył jedyne słowo, jakie znał, w jedynym języku, jakim mógł się porozumieć ze światem, to znaczy z tym jedynym człowiekiem, który go przygarnął, a teraz opuszczał:

- Yooooooooo!...

Rick poczuł, że wielka gruda śliny rozpycha mu krtań i nie chce się dalej przepchnąć. Dzieliło ich kilka jardów. Z ust malca, wciąż trzymającego na uszach małe ręczki, wybiegło drugie, jeszcze

bardziej przejmujące błaganie:

- Yooooooooo!...

Nogi Ricka zaczęły się giąć pod wpływem jakiejś tajemniczej siły. Uklęknął wolno, położył dłonie na uszach, i odpowiedział w tym samym języku, jedynym, który znał:

- Yooooooooo!...

Na całym świecie nie było teraz nikogo poza tymi dwoma ludźmi i tym jedynym słowem, jakim dysponował rodzący się dopiero gatunek ssaków - pierwszym słowem człowieka próbującego nawiązać kontakt z drugą ludzką istotą, wyrażającego dźwiękiem ból, nadzieję i miłość, mówiącego: jestem tu, potrzebuję cię do przeżycia! I człowieka odpowiadającego temu pierwszemu: jestem tu, dalej pójdziemy razem!

- Yooooooooo!...

## Część V

1988 – 1989

### KREW NA SUMIENIU

Prostakowi, lub nawet człowiekowi przeciętnemu, zawsze się wydaje, że filozofowie coś jakby bredzą, a najśmieszniejsze w tym jest to, że ma on rację. Nie mówię, że w każdym przypadku...

Ponieważ z sumieniem u ludzi jest tak, jak z krasnoludkami u dzieci (ciągle obecne, lecz nie dające się wziąć do rąk w celu zważenia), próbowałem przybliżyć sobie znaczenie owego terminu dzięki lekturom. Stronic o „*conscientia*” (sumienie) filozofowie starożytni i nowożytni oraz mędracy kościelni wypełnili tyle, że możnaby czytać pół wieku. Już na wstępie dowiedziałem się, że są dwa rodzaje sumienia: sumienie psychologiczne i sumienie moralne, i że to drugie zawiera w sobie to pierwsze. Ale później przeczytałem u innych mędrców, że ten podział wcale nie jest taki prosty, bo najpierw mamy sumienie ogólne i sumienie szczegółowe. To ostatnie dzielimy na sumienie prawodawcze („*conscientia antecedens*”) i sumienie sądzące („*c. consequens*”). Z kolei sumienie prawodawcze dzielimy na wiele sumień według trzech wariantów przyczynowości i funkcjonowania - w pierwszym znajdują się sumienia rozkazujące, zabraniające, radzące i pozwalające, w drugim prawdziwe („*c. vera*”) lub („*c. recta*”) i fałszywe czyli błędne („*c. erronea*”), w trzecim pewne („*c. certa*”) i niepewne vel niezdecydowane („*c. incerta*”), z tym, że niezdecydowane rozszczepia

się na wątpliwe („*c. dubia*”) i prawdopodobne („*c. probabilis*”), a błędne na błędne zawinione czyli nadające się do zwalczenia („*c. erronea vincibiliter*”) i błędne niewinnie („*c. erronea inyicibiliter*”), zależnie od tego, czy błąd zrodziło niedbalstwo, czy też nieświadomość. Nie jest to wszakże ostateczny podział błędnego sumienia, gdyż ma ono jeszcze kilka rodzajów: sumienie zawile („*c. perplexa*”), skrupulatne („*c. scrupulosa*”), obłudne („*c. pharisaica*”), nieczułe czyli zatwardziałe („*c. cauteriata*”) i luźne („*c. laxa*”). Także sumienie sądzące się dzieli - na: usprawiedliwiające lub potępiające i nagradzające lub karzące.

Im więcej sumień wynotowywałem sobie z uczonych lektur, tym bardziej oczywistym się stawało, że jestem dobry tylko jako matematyk (od dawna bowiem żyłem w przekonaniu, iż na świecie musi być bardzo dużo sumień, gdyż co drugi gość ma dwa sumienia, zaś co trzeci dwa i pół). Ale w terminach i znaczeniach pogubiłem się kompletnie. Pewnych sumień (np. sumienie przeduczynkowe i sumienie pouczynekowe) nie potrafię nawet w wyżej cytowanej piramidzie umieścić, co jest prawdopodobnie spowodowane faktem, że ojciec kupił mi maturę na Bazarze Różyckiego. Jako człowiek - delikatnie mówiąc - prosty, nie zrozumiałem ani tej drabinki, ani tekstów objaśniających szczegółowo istotę każdego sumienia i podsumienia, dlatego nie umiem Czytelnikom sprecyzować na jakim dokładnie sumieniu leży krew w powyższym tytule. Bardzo mi głupio z tego powodu.

\*\*\*

Heinrich Tutzdorf pierwsze swoje nazwisko otrzymał tuż po urodzeniu, gdyż jego ojciec nazywał się Tutzdorf. Heinrich nosił to nazwisko do szesnastego roku życia. Właśnie wtedy wywiad NRD (a konkretnie agent tego wywiadu w RFN) zauważył, że młody Tutzdorf jest sobowtórem swego rówieśnika, przestępcy o nazwisku Friedrich Grahl. Ponieważ Grahl był lewołożnym, zapomnianym

przez ojca synem najbogatszego człowieka Europy, Jensa van Hongena II, więc zamiana kusiała tak bardzo, że nie można się jej było oprzeć: prawdziwy Grahl zniknął w głębi ojczystego gruntu, a Tutzdorf wcielił się w jego skórę i odtąd żył jako Fredrich Grahl. Po tem trzeba było jeszcze zamordować dwóch ludzi: prawołożnego dziedzica fortuny van Hongenów (Ariego van Hongena) i właściciela tejże fortuny (Jensa van Hongena), a kiedy już to zrobiono - cały olbrzymi majątek stał się własnością dziedzica lewołożnego, który się cudownie odnalazł. W ten sposób Heinrich vel Friedrich dostał trzecie nazwisko: odtąd żył jako Friedrich (Frederic) van Hongen, był multimilionerem i jako taki zorganizował (realizując wytyczne Kremla i Wschodniego Berlina) wyprawę do Tangalandu, gdzie zaprowadził komunizm. Działo się to w 1987 roku. W tym samym roku, dzięki inteligencji Richarda Korma oraz sprytowi niemieckiego policjanta Rosnicka, van Hongen-Grahl został zdemaskowany [- Patrz *Valdemar Baldhead* (W. Łysiak), „Konkwista”]. Jego majątek zarekwirowano, ale on był już nieformalnym władcą Tangalandu i miał to gdzieś.

Prawdziwe kłopoty spadły na niego dopiero wtedy, gdy Webster i Fosterman postanowili odkomunizować Tangę. Uciekł do stolicy Angoli, Luandy, a gdy próba odbicia Tangalandu przez Kubańczyków zawiodła, został w Luandzie jako wiceambasador. Nie chciał uciekać do Europy, gdyż bał się agentów służb specjalnych Republiki Południowoafrykańskiej. Zresztą Europa była chwilowo trefna także z innej przyczyny: jego zwierzchnik i opiekun, były szef enerdowskiego wywiadu, Markus Wolt, rozpoczął akurat wojnę ze swoim zwierzchnikiem, szefem enerdowskiego „Bezpieczeństwa”, Erichem Mielke, oraz ze zwierzchnikiem zwierzchników, szefem państwa, Eńchem Honeckerem. Postanowił przeczekać to wszystko. Wobec tego Pretoria postanowiła wykończyć go „*in situ*” [- na miejscu.] - rękami jego czarnych angolańskich gospodarzy. W

pewną sierpniową noc A. D. 1988 niezidentyfikowany samolot zrzucił nad Luandą tysiące ulotek ze zdjęciem van Hongena-Grahla i z pośmiertnym zdjęciem córki prezydenta Nyakobo, którą van Hongen zamordował, a następnie kazał ją sobie wypchać „na pamiątkę”, tak jak wypycha się zwierzęta ustrzelone przez myśliwych (tę kukłę ludzką „koevoetmeni” znaleźli po zdobyciu enerdowskiej ambasady w Matabele). Między zdjęciami był tekst mówiący o tym, jak sadysta van Hongen traktuje Murzynów, ale był to tekst zupełnie zbędny - za wszystko starczyło zdjęcie nagiej, rozkraczonej, wypchanej Neliny Nyakobo. Luandczycy dostali szału, a van Hongena uratował znowu jego radziecki śmigłowiec.

Lecąc wzdłuż wybrzeża atlantyckiego van Hongen pragnął dofrunąć do Kabindy (Kongo Brazaville), co mogłoby mu się udać, gdyż port Kabinda leży 300 kilometrów od portu Luanda, ale nie udało mu się, gdyż jedyną zaletą, której brak śmigłowcom radzieckim, jest niezawodność. Z trudem wylądował koło Boina na zairskim brzegu, stamtąd przez Mbanza-Ngungu dotarł do Kinszaszy i przypuszczając, że po znalezieniu helikoptera mogą go już szukać w tym państwie, zadekował się na rzeczonym statku „Major Mudimbi”. Rozumował prawidłowo. Zair, rządzony przez Sese Seko Mobutu („Zawsze-zwycięzający-wojownik-który-kroczy-od-zwycięstwa-do-zwycięstwa”), znajdował się w orbicie wpływów zachodnich i Pretoria, dzięki pośrednictwu CIA, spowodowała rozesłanie listów gończych za van Hongenem.

„Major Mudimbi” to czteropokładowy spalinowiec, który kursuje wahadłowo rzeką Zair (dawna Kongo), między Kisangani a Kinszasą (1600 km.). Podróż tym właśnie nurtem Conrad opisał w „Jądrze ciemności”, nadając jej metaforyczny, uniwersalny charakter wędrówki do piekła, pełnej „*obrzydliwego przerażenia i obrzydliwego dosytu*”. Jeśli nawet świat zmienił się od czasów Conrada, to rzeka Kongo zmieniła się w stopniu niewielkim, a podróż „Majorom



Mudimbi" odpowiadała Conradowskiej metaforze w stopniu absolutnym. Jako skrzyżowanie supermarketu z dyskoteką i rzeźni z burdelem oraz kasynem - „Major Mudimbi” był miejscem, w którym piekło miało swoją wzorcową filię na planecie Ziemia. Trzy tysiące permanentnie pijanych lub znarkotyzowanych pasażerów dzień i noc zalewało górne pokłady każdą ludzką wydzieliną, tak iż statek cuchnął jak... trudno tu znaleźć właściwe określenie - jak wszystko, co może cuchnąć, jak latryna pełna multifizjologicznego szamba w jego najwyższym koktajlowym stężeniu. Dolny pokład był jeszcze wstrętniejszy, gdyż tam szlachtowano zwierzęta, które na postojach myśliwi dostarczali kupcom podróżującym „Majorem”. Dostarczali je żywe, związane (małpy wiązano w pęczki ogonami), by mięso jak najdłużej zachowało świeżość, i dopiero na statku podrzynano zwierzątom gardziele, przez co za statkiem ciągnęła się wielka plama juchy, a dno statku było jeziorem krwi, której duszno-słodkawy opar jak niewidoczna mgła otulał jednostkę. Całe to piekło van Hongen uważał za piekło, ale nie widział lepszego azylu - było to ostatnie miejsce w Zairze, w którym chcianoby go szukać. Toteż nie został znaleziony. Został sprzedany. Sprzedał go człowiek, który go ukrywał, oficer bezpieczeństwa i kwarantanny na statku. Ów „*officier de quarantaine*” był to dziwny typ. Zaświadczenia o szczepieniu przeciw tropikalnym chorobom sprzedawał po tej samej cenie, co krem firmy „Dear Heart” do rozjaśniania murzyńskiej skóry, a papierosy palił na spółkę z szympanśką, którą trzymał w klatce przy swoim łóżku. Kiedy ogłoszono cenę za van Hongena, sprzedał go bez żadnych skrupułów żandarmerii - jak tubkę kremu wybielającego.

W areście czarni strażnicy podziękowali van Hongenowi za to, że z czarnej kobiety zrobił sobie wypchaną lalkę. Ale przesadzili (połamali mu żebra, zmiążdżyli nos, złamali rękę itd.), więc trzeba go było poskładać, żeby potem nie mówiono, iż zairsy oficerowie

śledczy łamiał prawa człowieka metodą łamania gnatów. Van Hon-  
gen powędrował w gips, a CIA nie zostało zawiadomione, że już go  
aresztowano - oficjalne aresztowanie i przekazanie miało się odbyć  
w końcu września 1988 roku.

\*\*\*

Gdyby nie istniała metoda perswazji zwana szantażem, to służby  
wywiadowcze miałyby bardzo kiepskie wyniki. W dzisiejszej pracy  
wywiadu tylko pieniądze, komputery i satelity dorównują technice  
szantażu, a w pewnych przypadkach wyłącznie ona skutkuje. Szan-  
taż można oczywiście zablokować kontrszantażem (tak jak to zrobił  
Fosterman, gdy KGB próbowało nacisnąć Biały Dom przed „szczy-  
tem” w Reykjavíku), ale żeby się to udało, trzeba mieć atut równy lub  
silniejszy od karty, którą wymachuje szantażysta. W przeciwnym  
razie trzeba być grzecznym czyli posłusznym.

9 września roku 1988 w Karl Marx Stadt aresztowano pewnego  
Żyda, zawiązano mu oczy, wsadzono do samochodu, a po kwadran-  
sie jazdy wyprowadzono z samochodu i zaprowadzono do jakiegoś  
pomieszczenia, gdzie odzyskał wzrok. Ujrzał luksusowy gabinet i  
siedzącego za biurkiem mężczyznę, też Żyda, legendarnego dyrek-  
tora HVA (wywiadu NRD), generała tajnej policji STASI  
(Staatssicherheit), Markusa Wolfa, który pozwolił mu usiąść i  
przedstawił się w bardzo otwarty sposób:

- Panie Aaroneh, jestem Wolf, były szef Wydziału Operacji Za-  
granicznych Ministerstwa Bezpieczeństwa Państwowego. Od nie-  
dawna nie pełnię już tej funkcji, pełnię inną funkcję, mniej ekspoz-  
nowaną, lecz równie istotną. Zaprosiłem pana do siebie w celu...

- Nie nazywam się Aaroneh! - krzyknął zatrzymany. - Nazywam się  
Drecker, jestem Szwajcarem, i nie wiem dlaczego mnie  
aresztowano! Jestem turystą, czy turystyka jest u was zabroniona?!

- Ależ skąd, jest mile widziana. Jako turyście polecam panu Galerię

Drezdeńską i pałac Sans-Souci, to najciekawsze obiekty w naszym kraju, a pan jak dotąd jeszcze ich nie zwiedzał, mimo że już tyle czasu pan u nas wojażuje.

- Dzięki za radę, skorzystam przy okazji.

- To znaczy wtedy, gdy śledzony przez pana Samir Najmadeen, człowiek Abu Nidala w naszym pięknym kraju, zamieszka w Galerii Drezdeńskiej albo w Sans-Souci?

- Powtarzam: jestem turystą!

- A czy ja mówię, że pan jest „katsa”? Albo że pan jest „kadon”? Czy jakimkolwiek innym pracownikiem „Instytutu”?<sup>9</sup> Pan jest turystą. Dbamy o turystów, pragniemy, by ich doznania wizualne w naszym kraju były możliwie bogate, dlatego puszczyć panu pewien film. Nie będzie nudny, bez obaw. Proszę popatrzeć - rzekł Wolf

Przycisnął guzik magnetowidu i na ekranie telewizora ukazał się basen filmowany z lotu ptaka, z niskiego lotu, dziesięć metrów nad ziemią, w nocy. Teren wokół basenu oświetlała wystarczająca liczba lamp, żeby można było dostrzec, jak zaciekle grupa nagich kobiet i dziewcząt oraz nagich mężczyzn w różnym wieku uprawia seks nie mający z tak zwanym seksem biblijnym wiele wspólnego, raczej nietypowy, a można nawet powiedzieć, że czasami zwariowany.

- Mówią, iż rosyjskie oraz rumuńskie gimnastyczki są najlepsze - uśmiechnął się generał. - Izraelskie też nie są złe, co? Gdyby te sekretarki wysłać na mistrzostwa świata, to myślę, że zajęłyby całe podium.

Aresztowany milczał. Znał ów basen - był to basen Midrashy (centrum szkoleniowego Mossadu w Tel Awiwie). Milczał i nie wierzył własnym oczom. To, na co patrzył (a patrzył na orgię bossów

---

<sup>9</sup>„Katsa” - oficer operacyjny Mossadu (służb specjalnych Izraela); „kadon” (bagnet) - kryptonim zespołu zabójców pracujących dla Mossadu; „Instytut” - Mossad (pełna nazwa: Ha Mossad, le Modiyin ve le Tafkaidim Maynhadim - Instytut Wywiadu i Operacji Specjalnych).

„Instytutu” z sekretareczkami) wprawilo go w stan załamania, lecz czymś o wiele bardziej załamującym był fakt, że patrzył na to w tym gabinecie! Przestał milczeć pod koniec seansu:

- Kto to nakręcił, panie Wolf?

- Wasz kadet, z okna ubikacji na drugim piętrze, dwa lata temu. Nie nakręcił wszystkiego, taśma się skończyła.

„Katsa” opuścił głowę i przez dłuższy czas pracowicie studiował krój swoich butów, oddychając ciężko, a Wolf nie przeszkadzał mu ani w jednym, ani w drugim. Potem z ust agenta Mossadu padło jakieś żydowskie słowo, bardziej wyplute niż wypowiedziane.

- Przepraszam, że co?... - spytał eks-szef HVA.

- Nic takiego... Ten świat jest kompletnie pojebany! - westchnął Yehuda Aaroneh.

- Zgadzam się, Herr Aaroneh, to właściwe określenie, jest kompletnie pojebany - przytaknął Wolf. - Z każdym rokiem coraz bardziej, ciekawe dokąd to wszystko zmierza? Nasi sąsiedzi hodują kwiaty z plastiku, nasze dzieci noszą w piórnikach prezerwatywy, nasze kobiety traktują swoje usta jako swój główny organ płciowy i otwarcie ścigają się między sobą w wymyślaniu lub akceptowaniu najdzikszych bezwstydów, a mężczyźni próbują dorównać kobietom w tępcie absolutnej. Masowy eksodus, ekshibicjonizm, perwersjonizm, terroryzm, dyletantyzm, despotyzm, rasizm, upadek rodziny, głód, fanatyzm religijny, klęski ekologiczne, AIDS et consortes - oto obraz naszego stulecia. Nie istnieje już żadna świętość, w niczym nie mamy umiaru, dlatego właśnie jestem ciekaw, czym się ten leseferyzm skończy, nowym purytywizmem, poszukiwaniem umiaru jako kamienia filozoficznego, czy też...

„Katsa” nie był zainteresowany tą filozofią; przerwał mu w pół zdania:

- Czego chcecie?!

- Chcemy uniknąć okropnego skandalu. Gdyby świat zobaczył jak

mossadowska hierarchia zabawia się ze swym żeńskim personelem, to Tel Awiw by się rozchorował. Nie wiem, czy ze złości, czy ze śmiechu, ale wiem, że...

- Czego chcecie, do cholery?!!

- Chcemy uwolnić naszego agenta, który siedzi, a właściwie leży w stolicy Zairu. Niech Mossad zrobi to dla nas.

- Dlaczego właśnie Mossad?

- Dlatego, że Mossad szkoli ochroniarzy i inne służby specjalne prezydenta Mobutu w swojej bazie Kfar Sirkin. I dlatego, że Mossad dozbraja pana Mobutu. I dlatego, że Mossad ma różne wspólne interesy z panem Mobutu!

- To nie będzie łatwa sprawa... - rzekł Aaroneh.

- To nie jest zwyczajny agent - odparł Wolf

- Każdego agenta można zastąpić.

- Tego nie można. Nie można zastąpić faceta, dla którego, po jednym spojrzeniu, każda baba zupełnie traci głowę. Tu nie chodzi o to, że jest taki przystojny albo taki jurny - przystojnych i jurnych jest na świecie jak psów. On ma w sobie coś takiego, co ma jeden facet na milion, a może tylko jeden na miliard! Czy mam panu tłumaczyć jaką rolę odgrywają kobiety w akcjach wywiadu? Bez tych trzech użytych kobiet nie moglibyście nawet marzyć o waszym największym sukcesie, o operacjach „Sfinks” i „Babilon”<sup>10</sup>. Panie Aaroneh, nie traćmy czasu. Daję panu tę taśmę, a pańskiej firmie siedem dni. Jeśli za tydzień nie wyjmiecie z Kinszasy Friedricha van Hongena i nie dostarczycie do Trypolisu, to od Tokio, przez Madryt, aż do Los Angeles, na rogu każdej ulicy będzie można kupić ten film za dolara! Żle powiedziałem - za pięćdziesiąt centów!

„Katsa” podniósł się, wziął film i pokiwał głową.

---

<sup>10</sup>W efekcie wywiadowczej operacji „Sfinks” (na terenie Francji) Izraelczykom udało się przeprowadzić operację „Babilon” czyli całkowicie zniszczyć w 1981 roku iracki kompleks jądrowy Osirak.

- Myślę, że ten van jak mu tam...

- Van Hongen!

- Że ten van Hongen, oprócz super-magnetyzmu erotycznego, ma w sobie jeszcze inny skarb, może znajomość jakiejś tajemnicy, a panu zależy, żeby jej nie wydał Jankesom. Lub pańskim byłym kolegom! Lecz to nie moja sprawa.

- Tak, to nie wasza sprawa. Dlatego nie próbujcie go męczyć, bo jeśli się od niego dowiem, że wypytywaliście go o coś, to rozpocznę dystrybucję filmu!

- Szkoda, że jesteśmy po dwóch stronach barykady - rzekł Aaroneh.

- Taki człowiek, jak pan, panie Wolf, powinien pracować dla...

- Dla Erec Izrael [- Kraina ludu izraelskiego (biblijna).], tak? „Żydzi wszystkich krajów łączcie się!” Znam teorię inną: że powinniśmy być po każdej stronie każdej barykady, bo wtedy zawsze będziemy po właściwej stronie barykady, tak jak to jest choćby u Polaków, gdzie teraz grają swój mecz szare eminencje obu stron, debel G-M przeciw deblowi G-U. Ale ta teoria kiepsko się sprawdza na waszym domowym korcie, bo u Asada, Husajna czy Arafata nie widzę nikogo...

Człowiek Mossadu jeszcze raz wykazał brak zainteresowania teoriami; poruszył realną kwestię:

- A propos Polaków. Dwa tygodnie temu warszawskie politbiuro zdecydowało się wyciągnąć rękę do Wałęsy, o czym pan zapewne wie, panie Wolf?

- Wiem. Po cichu rozmawiają z Wałęsą już od dawna, a plenarna decyzja sprzed dwóch tygodni to tylko zaklepanie stanu istniejącego. Wolałbym, żeby pan mi sprzedał jakieś inne „jumbo”<sup>11</sup>, panie Aaroneh.

- Dobra - zgodził się Yehuda Aaroneh. - To „jumbo” brzmi: metryka

---

<sup>11</sup>„jumbo” - w slangu wywiadu izraelskiego bardzo ważna informacja otrzymana od pracownika innego wywiadu

zgonu pańskiego świata została wypisana na Kremlu mimowolnie, a właściwie omyłkowo, przez konowala, który sądził, że wypisuje recepty. Ale grabarz mieszka w Gdańsku i działa z premedytacją!

- To też dla mnie nie nowina - odpowiedział Wolf. - Szkoda, że nie ma pan na składzie bardziej ekskluzywnych towarów.

\*\*\*

Dyrektor kliniki i ośrodka rehabilitacyjnego, w którym Anna Jaskólska odzyskiwała sprawność ruchową, doktor Michael de Valery-Segonzac, miał lat 45, był arystokratą w dwudziestym pokoleniu i wyglądał jak reklama Szwajcarii płynącej mlekiem, miodem, zdrowiem i platyną najdroższych zegarków świata. Gdy Ludwik zapytał go, kiedy będzie mógł wziąć Annę do kraju, de Valery odparł:

- Może ją pan zabrać w każdej chwili, lecz moim zdaniem byłby to błąd. Potrzebuję jeszcze około pół roku, żeby dać panu definitywną odpowiedź, czy zdołam przywrócić Annie stuprocentową sprawność. Wierzę, że mi się to uda, ten casus stał się dla mnie ambicjonalnym.

- Dlaczego? - zdziwił się Drozd.

- Dlatego, że chcę na niej wypróbować moją nową metodę - rehabilitację przy pomocy intensywnego pływania i nurkowania. Jest to eksperyment terapeutyczny, z wymyślonym przeze mnie zestawem wodnych ćwiczeń, jakich nikt dotąd nie stosował. A ponieważ jest to eksperyment, w którym Anna będzie królikiem doświadczalnym, to wszelkie koszty ponosi odtąd nasza klinika, pan już nie ponosi żadnych kosztów.

- Ależ... - próbował oponować Ludwik.

- Pół roku! - przerwał mu dyrektor. - Proszę mi dać te sześć miesięcy, monsieur Droz! Pan ma nazwisko czysto szwajcarskie, tak się nazywała rodzina wielkich szwajcarskich mechaników w

osiemnastym stuleciu, czy pan wie o tym?...

Wracając do Warszawy Drozd czuł smak jej warg na swoich wargach, słyszał jej miłosny szept w swoich uszach i postanowił, że musi zerwać z panią redaktor, bo kontynuowanie tego romansu jest najzwyczajszym zdradzaniem kobiety, którą miał zamiar uwielbiać po grób. Wylądował na Okęciu o siódmej rano. W domu umył się, przebrał, zjadł śniadanie i o dziewiątej stanął w drzwiach mieszkania swej metresy, trzymając bukiet pożegnalnych kwiatów.

- Chyba nie chcesz mi się oświadczyć, Ludwiku! - pisnęła uradowana.

- Nie.

- Jakie śliczne kwiaty! Widzę, że stęskniłeś się za mną!

- Nie.

- Kłamca! Ja też mam coś dla ciebie, bilety na „Wieczór trzech króli”, idziemy w sobotę do „Powszechnego”.

- Nie. Ze mną nikt nie może iść na „Wieczór trzech króli”.

- Czemu?

- Bo gdybym ja poszedł, to byłby „Wieczór czterech króli” - odparł król warszawskiego podziemia.

- Tak, jesteś królem megalomanów!

- Nie, królem mechaników.

- A gdzie cię szukać w encyklopedii, pod D czy pod L? Ludwik Wielki jest już zajęte, Ludwik Święty, Młodszy, Gruby, Gnuśny, Zamorski, Kłótlivy i Jąkała też, a numery są obstawione aż do Ludwika XVIII!

Wytrzeszczył wzrok, zapominając po co tu przybył.

- Wkuwasz encyklopedię, bo chcesz stać się najmądrzejszą kobietą globu, czy prowadzisz teleturniej o Ludwikach?

- Nie, ale przejrzałam Ludwików w encyklopedii. Zresztą przy okazji, bo szukałam czegoś innego. Czegoś bardzo ciekawego i bardzo dziwnego. Powiedz, czy to nie zadziwiające, że wszyscy naj-



więksi Polacy w naszym stuleciu mają w nazwisku literę ł? Skłodowska. Piłsudski, Gomułka, Hłasko, Miłosz, Wojtyła, Wałęsa...

- To rzeczywiście zadziwiające. Sama na to wpadłaś? - spytał Drozd.

- Tak!... Naprawdę sama, jak widzisz kobiety też myślą, mój drogi!

- A jak na to wpadłaś?

- Gdy w naszej redakcji teleturniejów przygotowywano propozycje nowych tematów. Ewa, no wiesz, zastępca naczelnego, spostrzegła, że wszyscy sławni ludzie w historii mają literę ł w nazwisku lub imieniu.

- Rzeczywiście?

- Tak. Poczekaj, przepisałam to!

Zaczęła szukać wśród skotłowanych teczek, świstków i dokumentów, a on czekał. Czekając myślał sobie, iż żadna kobieta nie Jest intelektualnie aż tak bardzo kobieca, żeby nie mogła być jeszcze bardziej kobieca gdy wpadnie na jakiś genialny pomysł. W końcu znalazła i odczytała mu:

- Leonardo, Michelangelo, Rafael, Napoleon, Balzac, Flaubert, Franklin, Lenin, Stalin, Hitler, Ludwik XIV, Aleksander Wielki, Churchill, Delacroix, Hannibal, Mussolini, Faulkner, Molier, Karol Wielki, Wellington, Dalton, Nelson, Velazquez, Botticelli, Abelard, Villon, Murillo, Magellan, Marco Polo, Leonidas, Fellini, Bunuel, Kolumb, Ptolemeusz, Galileusz, nawet Elvis Presley! I wtedy zastanowiłam się nad Polakami.

- Tymi w naszym stuleciu, co mają literę ł?

- Tak. I wiesz, zmaistrowałam nawet własną teorię na ten temat. Zwróć uwagę, że litera ł jest polską odmianą litery l i że nie występuje w żadnym innym języku. I właśnie ona staje się tym mistycznym wyznacznikiem wielkości Polaków od Skłodowskiej i Piłsudskiego począwszy, co powiesz na to?

- Że to genialne! Nigdy się nie zastanawiałem nad tym...

- A widzisz!

- ...mimo, że w szkole uczyłem się historii i znałem te nazwiska, i te światowe z l, i te polskie z ł. To genialne! Teraz rozumiem, dlaczego nie grozi mi wielkość, z tą moją feralną literą r w nazwisku.

- Zaczynasz kpić!...

- Ależ skąd! To naprawdę kapitalne odkrycie, to mnie podnieca! Nie mam żadnych pretensji do sławy, wcale nie jestem królem megalomanów, więc nie duszę w sobie kompleksów, po prostu ci gratuluje.

- Mówisz serio, Ludwiku?

- Jak najbardziej. Ja też uwielbiam Łeymonta, Żelomskiego, Gombłowicza i Młożka, a myślę, że gdybym postuchał Padelewskiego, to zakochałbym się i w nim.

Pani redaktor zbladła, jakby ją klepnął po buzi dłonią wcale nie pieśczośliwą, a on kontynuował z miną wiejskiego idioty, któremu „miastowe” pokazały samochód czyli coś, co jeździ, mimo że nie ma dyszla i konia:

- Ta twoja zastępczyni naczelnego, która odkryła, że sławę światową warunkuje litera l, to też łebska dama! Powinnyście urządzić kilka biograficznych teleturniejów pod hasłem: „l czyli być albo nie być”. Szekspil, Mozalt, Celvantes, Gutenbelg, Cezal, Lubens, Lemblandt, Bylon, Atatułk, Kopelnik, Dalwin, Kaltezzusz, Coltez, Pizallo, Maiks, Fleud, Belgman i Elazm z Lotteldamu... Albo falaon Lamzes!

Podciął skrzydła orlicy. Nie dlatego, że ośmieszył jej „teorię”, ale dlatego, że w tym akurat przypadku nie mogła zrobić czegoś, co zawsze robią kobiety złapane na głupocie lub kłamstwach: nie mogła się uprzeć przy swoim, broniąc błędu bądź grzechu kaskadą wściekłych słów rozstrzeliwujących prawdę. Tutaj było to nie do wykonania, zaś arsenał kobiecych reakcji skurczył się do ewentualnego rzutu w mężczyznę ciężkim przedmiotem, lecz jeśli nie zrobi

się tego od razu, to spowodowana przez bezsilność furia gaśnie i albo zamienia się w obrażone milczenie, albo w chęć do ugody.

Spytała:

- Jesteś po śniadaniu?

- Tak, dziękuję. My już chyba nigdy nie zjemy razem śniadania, bo... bo widzisz...

- Więc po co przyszedłeś? Myślałam, że przyszedłeś, bo poczułeś głód.

- Przyszedłem, aby powiedzieć, że przestaję być głodny!

- Znalazłeś sobie inną?

Przyszedł, żeby powiedzieć prawdę, lecz skłamał:

- Nie, to nie o to chodzi...

- A o co? O to, że panu tak zwyczajnie wychłódło? Już cię nie podniecam. Ludwiku? No powiedz, znudziłam ci się i czas na nowe łowy?... Cóż, jeśli już ci się nie podobam, to nie będę...

- Nie podoba mi się twój zawód! Zmień zawód, jeśli chcesz, żebym ja zmienił zdanie, moja droga! - zełgał brawurowo.

- Co ci się nie podoba w mojej profesji? Przecież ja nie uprawiam propagandy, nie łżę w „Dzienniku”, nie wychwalam sojuszy, nie opluwam „Solidarności”...

- Nie podoba mi się w twojej profesji tylko jedna rzecz. Mikrofon!

- Mikrofon?!

- Kobieta z mikrofonem w rękę i to przystawionym do warg, budzi skojarzenia tak nieskromne, że trudno o bardziej nieskromne! Telewizję oglądają miliony! Jest dla mnie hańbą, że moja kobieta robi nieskromne gesty przed tak wielką widownią, nie zniosę tej hańby dłużej! Albo mikrofon, albo ja!

- Zwariowałaś!... - wyszeptła, sądząc, że istotnie wirus obłądu padł mu na mózg.

- Albo mikrofon, albo ja! - powtórzył.

Miał cyniczną świadomość, że dla kobiety taka alternatywa nie

istnieje, to znaczy, że wybór jest z góry przesądzony, gdyż zdobyć miejsce w sercu lub łóżku jakiegoś faceta można bez trudu, zaś zdobyć estradę i widownię to rzecz wyjątkowa, a nadto bardziej podniecająca od seksu z jakimkolwiek samcem. Ale miał nie tylko tę świadomość. Wiedział, że udawanie kretyna w celu zerwania z kobietą jest dla mężczyzny przepustką do świata gnojków, lecz w trakcie rozmowy podjął taką właśnie decyzję: lepiej się wstydzić przed samym sobą, a przed nią kompromitować postawą gówniarza, niż zadać tej kobiecie ból powiedzeniem prawdy. Była w tym i filantropia, i kara, którą wyznaczył sam sobie.

\*\*\*

Markus „Misza” („Mischa”) Wolf, legendarny szef eneradowskiego wywiadu, miał w świecie renomę szpiega urodzonego czyli genialnego. Dostałby Nobla, gdyby za szpiegostwo dawano Nobla. Jak każdy z czerwonych oberszpiegów był podwykonawcą KGB, ale dla żadnego eksperta z branży wywiadowczej nie ulegało wątpliwości, że bez Markusa Wolfa KGB dorachowałby się 50 procent swoich triumfów, optymistycznie licząc. Jego najgłośniejszym sukcesem było zniszczenie zachodnioniemieckiego kanclerza Brandta (sekretarz Brandta okazał się agentem Wolfa); sukcesem numer dwa - zwerbowanie szefa zachodnioniemieckiego kontrwywiadu, pana Tiedke; sukcesem numer trzy - skaptowanie pani Lorensen, sekretarki w brukselskim Biurze Planowania Nuklearnego NATO. Lecz wszystkie te zwycięstwa były triumfami, które nabrały rozgłosu, bo akurat ci agenci Wolfa wpadli. Wpadli dlatego, że Wolfowi i Kremlowi było to potrzebne. Ogromna większość nie wpadała. Gdyby Zachód dowiedział się, w jakich centralach, sztabach i gabinetach na Zachodzie Wolf ma swoich ludzi, to Zachód poszedłby z butelką w najciemniejszy kąt, strzeliłby sobie ostatni łyk ginu lub burbona, a potem wsadziłby lufę w swoje głuche

ucho lub ślepe oko i nacisnąłby tak zwany cyngiel. Chyba, że przedtem umarłby ze wstydu.

Przydomek „Misza” („Mischa”) dostał Wolf jako dziecko, gdy żył w Rosji. Jego ojciec, lekarz i dramaturg Friedrich Wolf, był komunistą i w 1941 roku zameldował się wraz z dwoma synami, Markusem oraz Konradem (późniejszym głośnym reżyserem enerdowskim) w „*Die grosse Vaterland aller Kommunisten*”<sup>12</sup>. Takich czerwonych zbiegów z Niemiec, Polski, Francji, Rumunii, Węgier i całej Europy, Stalin rozwaliał masowo. Wolfowie mieli trochę szczęścia - przeżyli, by w 1945 roku wrócić do Niemiec, a konkretnie do sowieckiej strefy okupacyjnej w Niemczech. Wrócili, żeby budować tam czerwony ustrój. Tych pięciu lat w Rosji Markus nigdy nie zapomniał. Czasami, gdy gasił światło, a sen nie chciał nadejść - słyszał głosy z lat chłopięcych i widział twarze mówiące po rosyjsku, żydowsku i niemiecku. W otaczającej go ciszy te głosy zlewały się, wytwarzając kakaфонiczny chór, a twarze fosforyzowały w ciemnościach upiornym blaskiem widm i wtedy zdawało mu się, że leży na marach i że oni przyszli, by wziąć go ze sobą. Zapalał lampę i tym wyganiał ich z pokoju.

Prawie całe swoje życie zawodowe spędził w jednym z najgroźniejszych miejsc na wschód od Łaby - w wielkim kompleksie gmachów Ministerstwa Bezpieczeństwa Państwowego przy Normannenstrasse we Wschodnim Berlinie - jako szef HVA (Głównego Zarządu Wywiadu). Podglądając, podsłuchując, prowokując i osłabiając materialnie wrogów sierpa i młota, ergo walcząc o wszechświatowe zwycięstwo komunizmu, dość długo uważał, iż gra na scenie wielkiej tragedii. Lecz z biegiem lat, gdy starzał się i mądrzał, dostrzegał z coraz większą jasnością, iż jest aktorem w komedii, bo cały świat jest komedią i cały człowiek jest komedią marnego gatunku. To dało mu luz psychiczny; pozwoliło

---

12 W „Wielkiej ojczyźnie wszystkich komunistów” (w ZSRR).

traktować siebie i innych mniej serio „*und pfeifen auf die ganze Welt*” [... i gwizdać na cały świat.] , to jest kpić z każdego i ze wszystkiego, z sojuszników i przeciwników, z panteonu bogów obojętnych na los człowieka, a nawet z własnego czasu, z tego dumnego XX wieku, który - „*Mischa*” w to nie wątpił - hoduje już bakterie wielkich, krwawych wojen kolejnego stulecia, wojen o żywność i o H<sub>2</sub>O na przeludnionym globie.

Suma doświadczeń i obserwacji życiowych nauczyła Wolfa braku szacunku dla prawie każdego bliźniego oraz podszytej śmiechem wzdryki dla prawie wszystkich wielkich figur współczesnych mu, gdyż prawie każda zasługiwała na miano durnia, pajaca, złodzieja lub „*Wendehalse*”<sup>13</sup>. Gardził kobietami, które upodabniały swoje ciała do publicznych klozetów, i mężczyznami, którzy uważali kobiety za stado kurew, charakterologicznie niczym się od nich nie różniąc. Gardził despotami skorumpowanymi władzą lub już obłąkanymi władzą, i buntownikami tak łatwo kaptowanymi przez służby specjalne despotów. Sobą też gardził. Ale wśród tych, którymi gardził, było bardzo niewiele takich, których nienawidził, gdyż uprawiał pogardę raczej kpiarską niż wściekłą. To był właśnie ten luz.

Mocniej (lecz tylko trochę mocniej) gardził czerwoną elitą, której służył - tymi kapitanami polityki i gospodarki komunistycznej, bezradnymi sierotami po Marksach, Engelsach i Leninach - gdyż głupawa buta ich rządów nie zasługiwała na nic lepszego. Jeśli chodzi o Marksa, to wszyscy oni pasowali do dwóch jego dzieł - przez swą zachłanność do „*Kapitału*” (w potocznym rozumieniu tego słowa) i przez swe nieuctwo do „*Tez o Feuerbachu*” (zwłaszcza do tej o „*wychowawcy, który sam powinien być wychowywany*”). Choć każdy z nich miał gębę pełną Marksa, Wolf nie przypuszczał, by któryś go czytał lub by w ogóle cokolwiek czytał prócz raportów, panegiryków i donosów; nie czytawali nawet romansów Dumasa, a

---

13 Ludzie-chorągiewki (dosłownie: krętołowi).]

powinni byli to robić. Przedwojenny włoski komunista, „ojciec WŁPK”, Antonio Gramsci, studiował Dumasa bardzo pilnie, gdyż pragnął zrozumieć, dlaczego właśnie Dumasowski styl ma taką urzekającą moc dla wszystkich warstw, również warstw niższych, o które komunizm zabiegał.

Identyczną pogardę „Mischa” czuł do rządowych oraz intelektualnych elit Zachodu, do tych pawianów o eleganckich pyskach, garniturach i manierach, do tych niewydarzonych sierot po Voltairze, Tocqueville'u, Smithcie, Joyce i Freudzie - gdy patrzył, jak „*le mirage russe*” [- sowieckie złudzenie, omamienie przez Rosjan (dosłownie: miraż rosyjski. ), miast zacząć tylko sfrustrowanych studentów, gangrenuje „*wielkie umysły*”, i potem jak jest im głupio, kiedy Chruszczow i Sołżenicyn pokazują im wnętrze czerwonego ołtarza, i teraz znowu, bo te same stare sztuczki propagandowe dały efekt w postaci kolejnej fali zachodniego rusofilstwa - „*Gorbomanii*”.

Jednym z niewielu polityków, dla których czuł szacunek, był Reagan. Nie tylko dlatego, że ten sędziwy aktor, drzemający na posiedzeniach gabinetu i mylący nazwiska lub funkcje amerykańskich VIP-ów, realizował świetną politykę wewnętrzną, co wzmocniło gospodarkę USA, i jeszcze lepszą zagraniczną, co wykończyło ZSRR, ale dlatego, że ten amerykański twardziel sprawił cud: utrzymał stanowisko, mimo że aferę Iran-Contras dzielił włos od stania się drugą Watergate. Trzeba było być dzieckiem albo idiotą, by uwierzyć, że ludzie prezydenta USA robią brzydkie numery międzynarodowe bez jego wiedzy i zgody, a jednak Reagan sprawił, że Amerykanie uwierzyli w to lub udali, że wierzą w to. Jako doświadczony mistrz sekretnych gier, Wolf musiał zdjąć przed takim trikiem kapelusz

Jako doświadczony mistrz sekretnych gier zdjął również mundur wysokiego oficera STASI - poprosił o dymisję w 1986 roku. Miał do tego prawo, osiągnął wiek emerytalny. Ale jego zwierzchnik, szef

STASI, generał armii Erich Mielke, w 1987 roku skończył osiemdziesiąt lat i gdy wręczano mu „rocznicowy” Order Karola Marksa zapewnił, że pozostanie w służbie „do ostatniego tchu”. Na ten ostatni dech Mielkiego Wolf czekał od dawna, gdyż pragnął zająć pierwszy fotel w ministerstwie. Brat powiedział mu przed śmiercią, w 1982 roku:

- Wiesz, kiedy nauczysz się wygrywać? Wtedy, kiedy zrozumiesz, że drugie i trzecie miejsca nie istnieją.

Rozumiał to dobrze, ale Mielke był uparty i nie chciał przejść w stan spoczynku. Wolf, co prawda, mógłby go przenieść w stan najgłębszego spoczynku, lecz do tego musiałby mieć zgodę Kremla, a nie uzyskał takiej zgody, Kremlowi bowiem bardzo odpowiadała wzajemna nienawiść między szefem ministerstwa i szefem wywiadu. Działo to obustronnie. Mielke miał w ręku szefa państwa, pierwszego sekretarza SED, Ericha Honeckera, gdyż posiadał papiery Gestapo bezspornie dowodzące, iż Honecker był konfidentem Gestapo i wydawał swoich towarzyszy. Ale gdy Mielke żądał (kilkakrotnie) od Honeckera, by ten zdymisjonował Wolfa - każdorazowo Kreml stawiał veto takiemu zamierzeniu.

Gorbaczowowska „pieriostrojka” zmieniła to wszystko. Kreml nakazał Honeckerowi kopiować „pieriostrojkę”, argumentując, że bez reform system się nie utrzyma. Honecker po raz pierwszy w swym życiu sprzeciwił się Kremlowi, argumentując, że poluzowanie systemu rozłoży system. Miał rację, choć nie czytał Tocqueville’a, który objaśnił ten mechanizm już w XIX wieku. Wobec tego szefostwo KGB zaleciło Wolfowi, by wziął dymisję i przygotowywał się do roli Dantona, czyli do wejścia na rewolucyjną trybunę, gdy tylko społeczeństwo podniesie otwarty bunt.

Kiedy ostatni raz wychodził ze swego gabinetu przy Normannenstrasse, sekretarka, piękna Lotta Klaus, popłakała się rzewnymi łzami. Objął ją i szepnął jej do ucha:



- Nie płacz, dziecinko. W twoim życiu nic się nie zmieni, będziesz donosiła Mielkemu na mojego następcę [- Tym następcą był Wemer Grossman.], tak jak donosiłaś na mnie, to jest ta sama robota. Mogłem cię wyrzucić, a nie zrobiłem tego. Mogłem cię nie kochać, a tyle godzin spędziłem z tobą w łóżku. *Mein Liebchen, was wilst du noch mehr?* [- Kochanie, czego więcej chcesz?].

W roku 1988 nie był już szefem enerdowskiego wywiadu. Co nie znaczy, że przestał być szefem wywiadu - z tej roboty nie mógłby zrezygnować, bo jeśli raz się jej posmakowało, już nic innego nie mogło wywołać w człowieku większego przyływu adrenaliny. Był teraz szefem tajnej enerdowskiej filii KGB, działającej obok formalnych struktur, i dalej dozorował swoją sieć kontaktów i agentów na całej kuli ziemskiej. Jednym z tych agentów - jednym z małej grupy faworytów Wolfa - był Friedrich van Hongen (eks Grahl, eks Tutzdorf). Nie widzieli się przez półtora roku, od wiosny 1987. Jesienią A. D. 1988 Wolf postanowił zobaczyć nową twarz swego agenta. Musiał więc odbyć wycieczkę do pewnego niezwykłego klasztoru w Neapolu...

\*\*\*

Wiedeński rezydent CIA przekazał Kormowi następujący rozkaz Webstera:

- Chwilowo nie pokazuj się w Langley. Wróć, zamelinuj się u rodziny i czekaj aż cię wezwą.

Wezwali go podczas weekendu. Z lotniska Du Page na przedmieściu Chicago wystartował niewielki sportowy samolot typu „Piper Cherokee” i przewiózł Korma do prywatnej rezydencji Webstera, ale nie była to rezydencja służąca celom rekreacyjnym - był to roboczy „bunkier” szefa CIA, z wyselekcjonowanym personelem dla spraw bardziej tajnych niż zwykła tajność wywiadu i kontrwywiadu. Rick nigdy tu jeszcze nie był, nawet nie wiedział, że istnieje taki dom.

Oczekiwali go Webster i Fosterman. Gdy wszedł do gabinetu, niosąc małego Petera pod pachą - zerwali się z krzesel, jakby wszedł trzymając na ręku prezydenta Stanów Zjednoczonych.

- Korm - rzekł dyrektor CIA - zrobiłeś z siebie pośmiewisko w Wiedniu, widziałem to w telewizji, ale czy musisz odwalać ten sam spektakl tutaj? To nie jest przedszkole, agencie Korm!

- I know it, sir! - odparł Rick. - Tylko, że on beze mnie dostaje złego humoru, więc... On nie będzie nam przeszkadzał, słowo! Czy mój raport?...

- Dostałem twój raport. Przeczytaliśmy go i... i nie mamy zastrzeżeń. To świetny raport, i tam, w Matabele, to też była świetna robota, a gdyby nie błędne informacje o sile Kubańczyków...

- To nie byłoby całej tej afery z ONZ, panie dyrektorze. Ktoś kiedyś powinien beknąć za wszystkie te informacje, które można potłuc o kant dupy, ale w tym przypadku ja nie żałuję, bo polubiłem tego krasnoludka, sir.

- Czy jest coś, co chciałbyś dodać do raportu? Może jest coś takiego, czego wolałeś nie pisać?

- Jest kilka takich rzeczy. Te spisałem również, ale nie w oficjalnym raporcie, tylko w tym, który przyniosłem dzisiaj do pańskiego użytku prywatnego.

- To bardzo inteligentnie z twojej strony... Korm, wezwaliśmy cię w sprawie bardzo delikatnej... Gdyby Senat lub Kongres wszczęły śledztwo i chciały urządzić jakieś przesłuchania na temat tej operacji, i gdybyś musiał odpowiadać na pytania tych mędrków...

- To powiem im całą prawdę - rzekł Korm.

- Powiesz im prawdę?!

- Jestem człowiekiem prawdomównym, sir. Prawda jest taka, że w Matabele byłem z własnej inicjatywy, a pan o niczym nie wiedział. Ale jak mnie wsadzają...

- To co wówczas?! - spytał przerażony Webster.

- To będzie mi pan musiał załatwić możliwość kiblowania razem z nim - rzekł Korm, wskazując na Petera, który pracowicie obrywał listki z rośliny doniczkowej będącej ozdobą gabinetu. - Poza tym mam jeszcze trzy inne prośby.

- Mów.

- Chciałbym dostać urlop, bo muszę znaleźć małemu jakąś opiekunkę, do której on się przyzwyczai, inaczej nie będę mógł pracować.

- Już jesteś na urlopie i to daleko stąd, tu masz powrotny bilet Chicago-Honolulu.

- Druga prośba dotyczy trudnej sprawy. Chodzi o adopcję Petera. Czy może mi pan pomóc w tej sprawie?

- Załatwię to. A trzecia prośba?

- Chciałbym, żeby nasz ambasador w Czechosłowacji zdobył dla mnie jak najwięcej taśm wideo z filmami o takim małym czeskim kreciku.

- O kim?!

- To są kreskówki, taki czeski Disney, szefie, no...

- Jesus Christ!... Help me. Lord! [ - Boże, pomóż mi! (bo nie wytrzymam!).] - jęknął dyrektor Centralnej Agencji Wywiadowczej i spojrział z rozpaczą na Fostermana.

- Ja to załatwię - uspokoił go Fosterman. - A tobie. Bill, załatwię jakąś roślinę do gabinetu, bo ten mały chyba nie będzie ogrodnikiem.

Wszyscy trzej spojrzeli w stronę małego. Pierwsza roślina była już goła jak striptizerka w finale seansu, a Peter brał się właśnie do rozbierania drugiej, trochę mniejszej, aczkolwiek również sympatycznej rośliny.

- Nigdy nie lubiłem tych chwastów, moja żona je tu wepchnęła, bo chce, żebyśmy rzucił cygara, mówi, że tu mi nie wolno, gdyż dym roślinom szkodzi - rzekł Webster, wysypując do kosza popielniczkę

pełną niedopalków. - Ale jak ten mały wandal zacznie mi zrywać tapety, to wyhamuj go, Korm, bo dam mu w skórę! Masz jeszcze coś na dzisiaj?

- Chciałbym spytać o kogoś.

- To wal szybko i płyn, bo ten gangster zrujnuje mi cały pokój!

- Co z van Hongenem?

- Wyrolowali nas.

- Jak to wyrolowali? - zdziwił się Korm. - Przecież Zairczycy mieli go już i obiecali, że go nam dadzą!

- Pokazali nam jakiegoś innego faceta, a gdy stwierdziliśmy, że to nie jest van Hongen, powiedzieli, że bardzo im przykro z powodu tej „omyłki”. Pieprzone czarnuchy! „*Black is beautiful*”

- Czy KGB ma aż tak mocną rezydenturę w Kinszasie? - spytał Rick.

- Znasz jakiś kraj, w którym ma słabą rezydenturę? - odpowiedział mu Fosterman.

Agent Korm przerwał „wandalowi” pracę nad drugą rośliną i pożegnał ich, a wówczas Fosterman rzekł do przyjaciela:

- Kiedy ty, Bill, będziesz odchodził z Langley, on będzie jeszcze trochę zbyt młody...

- To nic - mruknął Webster. - Za kilkanaście lub za dwadzieścia kilka lat na tym stołku też będzie potrzebny twardziel z dużą głową. I wówczas nie znajdą nikogo lepszego, James!

\*\*\*

Fosterman przesadził - na świecie jest sto kilkadziesiąt krajów i w niejednym z tych krajów KGB miał kiepską lub żadną rezydenturę. Ale w każdym z ważnych krajów miał silną. Im silniejszą, tym bardziej starał się przekonywać, że ma kiepską lub, że nie ma żadnej. Wywiad jest tą dziedziną ludzkiej aktywności, w której sukces osiąga się przez zatajanie sukcesów.

Legenda o sile KGB zawsze była wyolbrzymiona. KGB, jak każdy

wywiad, miał swoje wzloty i upadki. W latach siedemdziesiątych przechodził okres upadku tak wielkiego, że Andropow musiał wyteńczyć wszystkie siły, by instytucja nie sięgnęła dna. Każda ucieczka lub zdrada oficera KGB podkopywała prestiż Komitetu. Ale dobrą stroną tego wszystkiego było to, że zaczęto wierzyć w słabość KGB. Tę wiarę należało podsycać.

Jesienią roku 1988 Władimir Kuziczkin, oficer KGB, który uciekł na Zachód, bo „wybrał wolność”, był w trakcie pisania książki demaskatorskiej. Książka ta ukazała się później z rekomendacją i wstępem samego Frederica Forsytha. Nosi tytuł: *„Inside the KGB. Myth and reality”* („KGB od wewnątrz. Mit i rzeczywistość”). Jest to wzruszająca do łez opowieść o wszechstronnej (tak w ZSRR, jak i na zewnątrz Kraju Rad), wieloletniej słabości KGB. O tym, jak oficerowie KGB trzęsą się ze strachu przed moskiewską milicją (zwłaszcza drogówką), która ich sekuje bez litości. O tym, jak muszą stać w kolejkach po słoik marmolady, a na zagraniczne placówki wyjeżdżają tylko wówczas, jeśli uda im się (dzięki łapówce dla kasjerki na dworcu lub dzięki prywatnym znajomościom) kupić kolejowy bilet. O tym, że gdy już jakimś cudem znajdują się za granicą w roli agentów KGB, to robią wszystko, by tej roli nie wypełniać (zwłaszcza w krajach zachodnich) - nie werbują informatorów i nie prowadzą działalności szpiegowskiej, gdyż nie chcą podpaść służbom kontrwywiadowczym, a nie chcą dlatego, że to mogłoby ich narazić na zdemaskowanie i wydalenie do ZSRR z krajów, w których żyje im się lepiej niż w ZSRR. I jeszcze o tym, że tak bardzo brzydzą się szantażem, iż w ogóle go nie stosują. I o tym, że wielu nie umie strzelać, bo nikt ich nie nauczył strzelać („Przez cały okres studiów w akademii KGB tylko raz. dostałem broń i wystrzeliłem z niej trzykrotnie”). I o tym, że podstawową cechą ludzi KGB jest (obok złodziejstwa i głupoty) nieudolność, a co za tym idzie - nieefektywność. Cała ta książka składa się z podobnych dowcipów, w które Forsyth uwierzył,

ale to nic dziwnego, bo Forsyth w niejednej własnej książce wykazał taką znajomość krajów komunistycznych i Kremla, że po lekturze tych powieści niejeden mieszkaniec owych krajów ciężko się rozchorował na skutek zbyt gwałtownego ataku śmiechu. Chociaż w dziedzinie łatwowierności każdy naród jest mistrzem (czego dowodzi wieczne powodzenie demagogów, proroków i obiecywaczy szczęścia), to jednak istnieją lokalne granice łatwowierności, które wyznacza znajomość własnego domu - na przykład Norwegom nie da się wmówić, że mają pochodzenie negroidalne, zaś Australijczykom, że kangury żyją tylko w Holandii. A granica uniwersalna, wyznaczana przez fakty plus logikę czyli przez rzeczywistość plus rozum? Jeśli wiadomo, jak wielu już nie tylko pracowników, ale i szefów służb specjalnych na Zachodzie pracowało dla KGB (a przecież wiadomo tylko o tych, którzy zostali zdemaskowani), jeśli wiadomo, że KGB zdobywało plany wszystkich najtajniejszych urzędzeń militarnych USA i NATO, jeśli przez kilkadziesiąt lat w tyłu krajach wybuchały sterowane przez KGB „rewolucje”, albo dokonywały się prokomunistyczne zmiany rządów - to wiara Forsytha w głupoty wypisywane przez Kuziczkina jest wiarą w czerwone bezpieczeństwa krasnoludki.

Mimo tego (a może właśnie dlatego) Markus Wolf lubił książki Forsytha. Jedną z nich - „Czwarty protokół” - wziął ze sobą do Moskwy jako lekturę podróżną. Zdążył przeczytać połowę nim wyładował na wojskowym lotnisku. Do centralnego gmachu KGB wszedł wejściem numer 1 (od Placu Dzierżyńskiego) - wejściem dygnitarzy. Winda szefa szefów zawiozła go na czwarte piętro, gdzie przewodniczący KGB miał swój gabinet. U wejścia Wolf został jeszcze raz obszukany i w chwilę później generał Władimir Kriuczukow ścisnął mu dłoń.

Kriuczukow był wychowankiem i pupilem Andropowa. Zaczynał w Budapeszcie, w roku 1956, to jest wówczas, gdy Andropow pełnił tam

podwójną rolę ambasadora i szefa rezydentury KGB. Młody oficer spodobał się Andropowowi, bo się różnił od innych młodych oficerów z moskiewskiej wylęgami kadr: miał bystrzejszą głowę i mniej przypominał zupaka wojskowego, który zawsze stoi i siedzi w postawie na baczność, więc chyba i sypia w tej samej postawie. Szlifowanie owego diamentu zabrało Andropowowi kilka lat. Potem przez wiele lat (gdy szefami KGB byli Andropow i Czebrikow), Kriuczkwow jako szef PGU (Pierwszego Zarządu Głównego KGB), kierował wszystkimi operacjami sowieckiego wywiadu na globie ziemskim. Robił to doskonale. Uchodził też za specjalistę od interwencji w państwach satelitarnych - grą węgierską zaczynał (przywiózł Kadara do Budapesztu), a grę polską reżyserował już nieomal samodzielnie, ustawiając Jaruzelskiego i Kiszczaka, z którymi odbył kilka tajnych konferencji w Magdalence pod Warszawą (A. D. 1980-81). Od Andropowa przejął elegancję i zamiłowanie do sznytu cudzoziemskiego (pił tylko whisky marki Chivas Regal), chociaż nigdy nie wyzbył się upodobań o bardziej swojskim brzmieniu - przepadał za melodiami cygańskimi. Generalnie Wolf lubił go, a nie lubił go jedynie dlatego, że nie lubił zagadek, których nie umiał rozwikłać - wciąż nie wiedział, czy Kriuczkwow trzyma z Gorbaczowem, czy czeka, by Gorbaczowowi dosunąć.

Głównym tematem dialogu był kraj, który leżał między ich krajami - Polska.

- Tam nie da się już zatrzymać tego, Markus - powiedział szef KGB.

„A gdzie się da?” - pomyślał Wolf. Żaden sprzedawca kalendarzy nie przewidział daty upadku komunizmu, lecz że komunizm musi upaść, prędzej czy później, rozumiało wielu ludzi i Wolf do nich należał. Pojedynek między Wschodem a Zachodem był równy tylko w grze wywiadów obu stron. Autorytarny i konspiratorski charakter życia politycznego w krajach „*socialistycznych*” kontra demokratyczny i w zbyt wielu aspektach jawny system Zachodu - zderzenie obu tych

wartości ułatwiała robotę KGB, GRU, STASI i pozostałym czerwonym wywiadom. Ale w każdej innej dziedzinie bitwa była nierówna. Z jednej strony obłąkany kult fałszywego mesjanizmu, cynizm, despotyzm, bezprawie i centralne planowanie będące źródłem niedostatku permanentnego. Z drugiej - zamożna cywilizacja, oparta na kodeksie napoleońskim, demokracji wielopartyjnej, własności prywatnej i sieci sprawnych banków. Lecz zrozumiał to do końca nie wtedy, gdy zrozumiał, że słabość ekonomiczna komunizmu plus siła przyciągania wartości burżuazyjno-demokratycznych Zachodu równa się: upadek systemu leninowsko-stalinowskiego w bliższej lub dalszej przyszłości. Zrozumiał to pewnego niedzielnego wieczoru w Barcelonie, gdy zobaczył jak kilka tysięcy szczęśliwych zachodnich ludzi tańczy „sardane” przed katedrą: bez nakazu i bez żadnej rocznicy - z samej radości życia! Było to tak piękne, że aż przerażające. Wtedy pojął, że nie tylko prawda, lecz i siła jest po stronie Zachodu. Odpowiedział Kriuczkowowi:

- Jeśli w Polsce nie da się tego wyhamować, to nie da się tego wyhamować nigdzie, zadziała domino.

- Co? - zdziwił się przewodniczący KGB.

- „Efekt domina”, runą kolejno wszystkie klocki.

- Nasz nie runie, towarzyszu Wolf!

- Mówię o małych klockach. Ale każdą porażkę można zamienić w triumf...

- Jak?

- Trzeba swoją słabość uczynić swoją siłą, to stara recepta, towarzyszu przewodniczący.

Ten dialog dwóch generałów toczył się jeszcze przez godzinę. Później Wolf zjadł obiad i wsiadł w rejsowy samolot do Neapolu. Podróż dała mu czas na przeczytanie drugiej połowy książki Forsytha.



\*\*\*

W pierwszej ćwierci XIII wieku syn bogatego handlarza z Asyżu ogłosił ludziom zalety ubóstwa totalnego. Gdy tę ideę wcielała w życie władza - ludzie się buntowali lub przynajmniej zżymali na okrucieństwo reżimu. Inaczej rzecz się miała z ubóstwem dobrowolnym. Po zgonie św. Franciszka próby kultuwowania jego nauk w sposób ekstremalny lub wprost fanatyczny zmartwychwstawały często (katarzy, biczownicy, zwolennicy Joachima z Fiore itd.). Kościół potępił ideę absolutnego ubóstwa (sobór wiedeński w roku 1311, papież Jan XXII). Lecz idea ta nigdy nie utraciła zwolenników, zwłaszcza wśród franciszkanów. W latach siedemdziesiątych naszego stulecia odrodziła się za sprawą grupy mnichów pragnących „wrócić do źródeł ubóstwa”, a zwących siebie „braciami mniejszymi odnowionymi”. Wśród założycieli czołową rolę grał franciszkanin z Turynu, noszący dźwięczny przydomek: „Brat karabin maszynowy”, gdyż podejrzewano go o udział w terrorystycznych zamachach. Ale nigdy niczego nie udowodniono temu bratu.

W roku 1988 „bracia mniejsi odnowieni” mieli już sześć wspólnot - dwie sycylijskie (Palermo i Corleone), dwie na włoskim bucie (Neapol i Ugento w Puglii), jedną w Ameryce Południowej (Oporapa w Kolumbii) i jedną w Afryce (Iringa w Tanzanii). Gnieździł się - zgodnie z tezą „powrotu do źródeł” - w najbardziej prymitywnych warunkach: w starych szopach, barakach lub zardzewiałych autobusach, prowadząc działalność misyjną, kontemplacyjną albo jeszcze bardziej nieokreśloną. Watykan z trudem ich tolerował, gdyż było między nimi wielu nieco podejrzanych braciszków z kręgów ekologicznych, pacyfistycznych i głoszących tzw. teologię wyzwolenia, trochę zalatującą marksizmem.

Wspólnota neapolitańska urządziła sobie gniazdo w peryferyjnej dzielnicy Piscinoli - w pięciu starych wagonach oddanych przez

kolej mnichom. Szorstki habit na gołe ciało, bose stopy, przedział wagonu jako cela, naga ława lub podłoga jako łożo, żadnego ogrzewania, żadnej telewizji, radia czy innych światowych wygód, a do jedzenia to, co przyniosą ludzie - jeśli nic nie przyniosą, nie ma posiłków, zostaje tylko woda.

Każdy dzień neapolitańskich „*odnowionych*” regulowany był przez rygorystyczną ascezę duchową i materialną. Nocna modlitwa od pierwszej do wpół do trzeciej w kaplicy (w aluminiowym baraku z plastikowym dachem), pobudka przed szustą na dźwięk dzwonu, lodowaty prysznic dla zahartowania się, znowu modlitwa, medytacja, msza święta, odrobina hedonizmu (kromka suchego chleba z gorzką kawą), dalej praca apostołska lub nauka, godzinna sjeść, obiad równie wystawny jak śniadanie, medytacja, modlitwa, kolacja, modlitwa i kilka godzin snu. Dowodził wspólnotą najstarszy z braci, brat Carlo, zwany „*kierownikiem pociągu*”, a najmłodszym we wspólnocie był trzydziestoletni brat Jacques, francuski teolog, który przybył tu z Lille w roku 1985.

Brat Jacques wstąpił najpierw do zakonu benedyktyńskiego. Miał wówczas lat osiemnaście. Wstąpił, bo pragnął się zakotwiczyć w coś trwałym, nie poddającym się zmiennej fali przyływów, odpornym na wszelkie burze i będącym fortecą, która nie dopuszcza diabła. Prawie każdy człowiek czuje taką potrzebę; jest to chęć zakorzenienia swego losu w porządku stałym - w układzie niepodważalnym. Zawsze tak było - ludzka tęsknota za światem odlanym z jednego stopu jest wieczna. I wiecznie (mimo tylu prób - mimo wszelkich izmów - scholastycyzmów, absolutyzmów, republikanizmów et consortes) jednostka ludzka znajduje się w pustce pozbawionej drogowskazów mówiących dokąd zmierza i po co, a każdy klecony przez nią obraz świata jest ze wszystkich stron kwestionowany. Ze wszystkich stron mózgu, gdyż ten stan zagubienia boli tylko jednostkę wrażliwą i samodzielnie myślącą.

Taką jednostką był Jacques, nerwicowiec leczony przez neurologów i psychiatrów od dziesiątego roku życia, wciąż targany napadami zwątpień, lęków i czarnych myśli. Był typowym człowiekiem pokolenia cierpiącego na totalną wolność - pierwszego takiego pokolenia w dziejach gatunku. Cała ta wielokierunkowa wolność, wywalczona dopiero w naszym stuleciu, dla wielu okazała się wilczym dołem najeżonym alienacjami, nieszczęściami i depresjami, bestią pożerającą samą siebie. U jednych obudziło to tęsknoty za „*starym dobrym światem*” (który wcale nie był dobry, lecz odległość i czas idealizują), za epoką, w której człowiek żył w patriarchalnych i obyczajowych karbach; inni nurzają się w spirytyzmach, okultyzmach, marsjanizmach, parapsychologii et consortes; wreszcie u trzecich, młodszych, ta nadmierna wolność czyli alienacja spowodowała pęd ku podkulturom, jakimś klanom, grupom, komunom i sektom religijnym, często gnostycznym lub egzotycznym (bliskowschodnim, hinduistycznym i tym podobnym). Jacques wybrał schronienie staroświeckie. Kościół Rzymu, a dokładniej klasztor, wydał mu się jedynym niewzruszonym Camelotem [- Camelot - zamek króla Artura i rycerzy Okrągłego Stołu.] i dlatego poszukał azylu właśnie tam. Lecz wbrew oczekiwaniom wilgotne mury klasztoru nie ostudziły jego mózgu. Wciąż myślał i przez to wciąż cierpiał.

Człowiek, który nie zawraca sobie zbytnio głowy myśleniem, ma jakby lżej. Nie dręczą go pytania prowadzące w głąb ślepych ulic. Nie zastanawia się choćby nad tym, dlaczego u praktykujących chrześcijan szczęście i wszelkie powodzenie w życiu jest zupełnie niezależne od stopnia prawości, stopnia szacunku dla boskich przykazań, jak również od liczby godzin spędzanych na modlitwie czy od pilności w regularnym uczęszczaniu na mszę świętą. Taka myśl u zakonnika to pierwszy krok ku herezji lub ku szaleństwu. Jacques w napadzie szaleństwa wykastrował się. Leczono go bardzo

długo. Opuścił jednak zakład psychiatryczny, gdyż studiował tam teologię i zdał egzamin, co uznano za powrót do zdrowia. Mógł znowu zostać benedyktynem, ale został franciszkaninem, na skutek rozmów z „bratem mniejszym”, który opiekował się zwariowaną społecznością. Ów brat rzekł:

- W Kościele istnieją dwie odmienne duchowości, parmenidejska i heraklitejska. Pierwsza jest duchowością benedyktynów, ideą trwania niezmiennego, druga to duchowość franciszkańska, mobilna, uświęcająca ideę marszu, ruchu... Nie w sensie dosłownym, franciszkanie to nie Cyganie. Wędrowni jako postawa, jako otwarcie się do ludzi...

I Jacques otwarł się do ludzi. Może nawet do zbyt wielu ludzi, również do takich, o których chyba nie chodziło świętemu Franciszkowi z Asyżu, a już franciszkanom z pewnością nie. Jako „brat mniejszy odnowiony” wylądował w „pociągu” brata Carla i pod koniec września roku 1988, na neapolitańskim nadbrzeżu, odebrał (niczym przesyłkę pocztową) człowieka zawiniętego w gips. Odebrał go z libijskiego statku. Ów ciężko pobity i posklejany człowiek nie wiedział, gdzie się znalazł.

- Gdzie jestem? - zapytał.

- W Neapolu - odparł brat Jacques.

- Zobaczyc Neapol i umrzeć?...

- Nie po to zostałeś tu przywieziony. Franciszkanie nie lubią zabójstw i zabójców.

- A co lubią?

- Lubią zmieniać „*homo homini lupus est*” na „*homo homini homo est*” [- „człowiek człowiekowi wilkiem” na „człowiek człowiekowi człowiekiem”.]. Czyli pomagać człowiekowi w odmianie jego duszy. A ja dodatkowo umiem pomóc człowiekowi zmienić twarz.

Jacques istotnie umiał w tym pomóc. Nie był chirurgiem plastycznym, był łącznikiem - znał najlepszego chirurga w Italii. Ów

chirurg odmienił van Hongenowi twarz przy pomocy techniki laserowej, dzięki której blizny goją się bardzo szybko. W końcu października 1988 roku można już było zdejmować bandaż, lecz nie było można, gdyż Wolf pragnął asystować przy tym. Zjawił się w Neapolu w drugim tygodniu listopada i udał się do dzielnicy Piscinoli, skąd brat Jacques towarzyszył mu do willi podmiejskiej, gdzie odsłonięto nową twarz van Hongena.

- Zasłużył pan na swoje honorarium. Może nie jest bardziej przystojny, ale nie jest mniej przystojny. Jest przystojny inaczej - pochwalił chirurga Wolf. - Teraz niech pan zapomni jego twarz.

- Czyją twarz? - spytał chirurg, który życie kochał jak pieniądze, więc pamięć miał równie krótką jak język.

Gdy Fryc i Markus zostali sam na sam, Wolf rzekł:

- Ty też zapomnij o czymś, przyjacielu. O swoim nazwisku, pochodzeniu, o wszystkim, co **było**. O wszystkim, prócz mnie!

- A o pańskim przełożonym?

- O wszystkim i o każdym, prócz Markusa Wolfa! O Erichu Mielke zapomnij bardzo dokładnie, ten pętał nie jest szefem mojej organizacji, gram w wyższej organizacji! Nowe papiery dostaniesz jutro, trzeba tylko zrobić zdjęcia. Nowy życiorys masz wkuć tak, jak klecha „*Pater noster*”! Przyklej brodę i wąsy, załóż treskę, zmień styl ubierania. Wyjedziesz do Oporapy w Kolumbii, gdzie jest filia tego zakonu i gdzie czeka brat Emesto. On da ci kontakt z doktorem Garvezem, który ma kontakt z biznesem kokainowym.

- Kartel z Medellin?

- Tak. Będziesz organizował przerzut towaru na stary kontynent.

- To wszystko?

- Nie wszystko. W Iquitos, w Peru, niedaleko granicy kolumbijsko-peruwiańskiej, nad brzegiem Amazonki stoi knajpa „Maloca”, prowadzona przez Rosjanę Liubę Triskową. Knajpa należy do Stana Tymińskiego. To Kanadyjczyk, a właściwie Polak, który robi

różne interesy i który oprócz tej knajpy ma w Peru barkę. Ta barka kursuje Amazonką między Kolumbią a Peru. Gdybyś potrzebował przedostać się z Kolumbii do Peru, w „Maloca” dadzą ci „rozkład jazdy”.

- A będę potrzebował?

- Być może.

- Ile czasu spędzę wśród tych Inków, handlując koką?

- Rok, dwa, albo tylko kilka miesięcy... Nie bój się, nie będziesz dożywno handlarzem. Gdy przygotuję tu jakiś wielki numer w stylu „Czarnego tanga”, wezwę cię do domu.

Wolf czuł się wygłodzony. Rutynowe gry nudziły go. Marzył mu się „wielki numer” - taki, który można byłoby zakończyć cytując ostatnie zdanie z książki Forsytha, jaką właśnie przeczytał (z „Czwartego protokołu”): „Było to genialne posunięcie mistrza”.

\*\*\*

Turystyczny rejs Wolfa nie skończył się w Neapolu. Przed powrotem do Berlina Markus odwiedził Warszawę. W samolocie czytał gazety pełne informacji o amerykańskich wyborach. Z każdej tytułowej strony patrzył mu w twarz nowy prezydent Stanów, George Bush. „Przychodzisz na gotowe, chłopie! - odezwał się do niego w myśli Wolf. - Reagan zaorał, zasiał i podlał, a ty zbierzesz plony...”.

Na warszawskim lotnisku oczekiwano go. Czekał służbowy samochód, służbowy kierowca i stary kumpel Wolfa, pułkownik Heldbaum z SB. Znali się już ćwierć wieku, a ich znajomość, choć nigdy nie zmieniła się w przyjaźń (w tym zawodzie jest to raczej trudne), była bliska tego jak mało która znajomość. Heldbaum lubił Wolfa, gdyż Markus był człowiekiem wysokiej inteligencji, ale mniej czytany, miał dużo gorszą wiedzę humanistyczną, co pozwalało Heldbaumowi górować olimpijskim duchem. Wolf zaś lubił Heldbauma dlatego, że obaj „nadawali” na tych samych falach cy-

nizmu, luzu i kpiarskiego stosunku do wszystkiego, co ich otaczało, do świata, życia, do własnego zawodu i do samych siebie. Gdyby tylko nie ten sposób mówienia Heldbauma! Polak mówił manierą włoską - nie potrafił rozmawiać bez wprawienia wszystkich swoich członków w ruch. Mówił równocześnie językiem i całym swoim ciałem. Szczególną rolę odgrywały tu ręce - ramiona, dłonie, palce i nadgarstki - falujące miękko i gwałtownie na przemian, w rytm melodii wypowiedzanych słów. Im bardziej podnosił głos, tym wyżej machał rękami, i odwrotnie. Wolfa to drażniło. Gdyby codziennie się widywali, pewnie przyzwyczailiby się do tego „*body language*”. Widywali się raz w roku.

Listopadowa Warszawa zawsze jest szara, brudna, błotnista - okropna. Lecz w listopadzie roku 1988, po kilku latach zaniedbań spowodowanych kryzysem ekonomicznym, była brzydka szczególnie. Cały kraj był taki - ponury, obdrapany i zanieczyszczony jak Śląsk.

- Co wyście zrobili z tym krajem! - rzekł Wolf, patrząc przez szybę samochodu. - Żaden turysta tu nie przyjedzie!

- Przyjedzie! - zapewnił go Heldbaum. - Tu się nie przyjeżdża oglądać wieży Eiffla, Partenonu i rzeźbionej Kamasutry, od tego są Francja, Grecja i Indie. Tu się przyjeżdża na polowanko, na słowiańskie safari, a do tych rzeczy mamy, co trzeba - czyste leśniczówki, czyste dziwki i czystą wódkę czterdziestopięcioprocentową. Wy, dzięki „*wszechstronnie zwycięskiej teorii*”, która was zakonserwowała na poziomie przedpotopowych sił wytwórczych z dynamicznym udziałem pracy ręcznej, macie taką samą ruinę w waszym kraju

- Mniejszą!

- Większą! Produkujemy samochody, a wy tekturowe mydelniczki na kołach!

- Wyprodukuje sobie jeszcze atomowe kajaki i będziecie mieli

nowoczesną flotę wojenną na miarę dumy mocarstwowej! - prychnął Wolf.

- Zapewniam cię, że byłyby szybsze od kartonowych trabantów! - rzekł gospodarz.

I porwał ich dziki rechot. Śmiali się jak uczniacy, tak głośno, że kierowca o mało nie przegapił czerwonego światła na skrzyżowaniu. Zawiózł ich do willi leżącej w obrębie starej Saskiej Kępy (dzielnicy ludzi dysponujących dużą gotówką).

- Zmieniłeś mieszkanie na pałac - zauważył Niemiec.

- Coś trzeba zrobić z tą górą banknotów od was i od waszych Bundessaśiadów...

- Najważniejsze, że jeszcze umiesz się śmiać! - rzekł Wolf.

- Ale przychodzi mi to z coraz większym trudem... Umiem się śmiać, lecz nie umiem się już cieszyć. No... chyba, że trafiam jakiś dobry obraz, jakieś cacko...

- Obraz? - zdziwił się Wolf.

Heldbaum wskazał mu ściany pełne starych malowideł:

- To są Holendrzy z XVII wieku, mój jedyny seks, Wolf. Nie patrz tak, to prawda! Autentyczne kolekcjonerstwo ma charakter erotyczny, nawet lubieżny, występuje tu ten sam cykl zjawisk i objawów, co w miłości i seksie: najpierw zauważasz, spostrzegasz obiekt, który ci się podoba, później jest zauroczenie, chęć zdobycia, zdobywanie i wreszcie zdobycie czyli skonsumowanie. Cały ów cykl jest sterowany namiętnością i chęcią posiadania. Przez tę chęć wielu określa pasję kolekcjonerską jako materializm, to jest to - stereotypowo naganne - przywiązywanie się do przedmiotów, lokowanie uczuć w przedmiotach. Ale ci, co tak twierdzą, zapominają o jednym - że te „przedmioty”, nie dość, że są piękne, że budzą piękno, rozsiewają piękno, uczą piękna, to jeszcze nie zdradzają nas, nie sprzeniewierzają się nam, są cudownie lojalne. Tej lojalności, tej wierności, brakuje ludziom, nawet



najbliższym. Zdradzi cię żona, kochanka, przyjaciel, sojusznik, współpracownik i twoje własne dziecko, Wolf, czyż nie obserwujemy tego codziennie w naszym fachu? A te piękne „przedmioty” są zawsze wierne. Otaczanie się nimi, to otaczanie się przyjaciółmi, którzy nie wbiją ci w plechy noża i nigdy nie zawiodą! Kolekcjonerstwo jest poszukiwaniem ideału, swoistego „absolutu”, będącego, rzecz prosta, ersatzem, miłością zastępczą, wiem o tym. Ale ja wolę lokować uczucia w pięknej i całkowicie pewnej materii, niż w jakimkolwiek człowieku, Wolf.

Wolf, słuchając tego, przez chwilę sądził, że to zgryw, a gdy zrozumiał, że to spowiedź, poczuł się lekko speszony jej otwartością, i gdy Heldbaum zamknął usta, rzekł:

- Mam ten sam stosunek do ludzi. Czasami się zastanawiam, czy nie jest to skrzywienie profesjonalne...

- Według Biblii to jest gorsza choroba, Wolf, będąca grzechem cięższym niż kurewstwo. Ale nie przejmuj się. Prawdziwe kurewstwo polega na nieskrępowanym miłowaniu bliźnich swoich, z czego wynika, że my obaj nie mamy kurewskiego charakteru. To pocieszające, prawda? A teraz mów, co cię sprowadziło.

- Ciekawość waszej gry. Co gracie, Heldbaum?

- Gramy nową grę. Władzę ideową utracimy, ale zachowamy realną. Władzę ma ten, kto ma pieniądze, banki, środki produkcji, handel, całą ekonomię. Zatrzymamy to w taki sposób, że nie będą nam mogli tego odebrać. Już anektujemy przedsiębiorstwa na prywatny użytek, metodą „spółdzielczą”. Spółki z ograniczoną odpowiedzialnością, z naszymi zarządami, z przejętym za frajer majątkiem fabrycznym ruchomym i nieruchomym...

- Bravo! To jest to, co powiedziałem u Kriuczkowa: „Zamienić słabość w siłę!”. Ale sama ekonomia nie wystarczy...

- I właśnie to cię tu sprowadziło?

- Właśnie to.

- Więc mów.
  - Masz kabel u boku elektryka?
  - Mam.
  - Kobiętę?
  - Dwóch mężczyzn. Jednego u boku, drugiego blisko boku.
  - Szkoda, że nie babę.
  - Mogę mieć i babę. Trzymam ją w Gdańsku od dawna. Mogę ją przenieść do samego boku Wałęsy.
  - Do łóżka Wałęsy?!
  - To raczej nie. Ale do jego zespołu.
  - Stara czy młoda?
  - Dwa lata temu ukończyła czterdzieści lat, ale jak każda kobieta, która ukończyła czterdzieści lat, ma wygląd młodszej.
  - Nadaje się do gry?
  - Do jakiej gry?
  - Sam jeszcze nie wiem, Heldbaum. Pytam tylko, czy to ktoś, kto się w ogóle do gry nadaje, bo z reguły wasze baby nadają się do dupy i do niczego innego! Przypomnij sobie jak szkoliliście grupę damskich komandosów i jaki był wynik tego szkolenia!
- Heldbaum przypomniał sobie, rzecz zdarzyła się niedawno. Miał to być pierwszy w Polsce żeński oddział antyterrorystyczny. Wybrano do szkolenia baby twarde jak stal. Lecz eksperyment się nie powiódł, gdyż w trakcie szkolenia wszystkie kandydatki zaszły w ciążę. Mruknął:
- Rambo z niej nie zrobisz, ale poza tym ona zrobi wszystko, co każe jej pułkownik Heldbaum. Tego możesz być pewien.
- Wolf uśmiechnął się, zdjął okulary, chuchnął na szkła, po czym przetarł je rękawkiem chustki i rzekł:
- Daj odrobinę alkoholu, byle dobrego.

Na Hawajach Rick Korm spędził dwa miesiące. Były to bardzo przyjemne miesiące, mieć nieudany urlop na Hawajach jest trudniej niż włączyć na szczyty Himalajów. Poznał tam jedną turystkę z Danii i jedną kelnerkę z dyskoteki, i obie były bardzo zadowolone, że trafił im się ten doskonale zbudowany samotny tatuś o kondycji wyczynowego sportowca. Małego też bardzo lubiły; kelnerka nazywała go „tick” (kleszcz), bo dopóki wieczorem nie zasnął - w żaden sposób nie można go było odciągnąć od „papy”.

Po dwóch miesiącach takiego rajy Webster wezwał Korma do Langley.

- Korm - powiedział - niebezpieczeństwo minęło. Nie będzie żadnych przesłuchań w żadnej z izb, prasa też już zapomniała o tangalandzkim mordobiciu...

- To dzięki wyborom, panie dyrektorze.

- Nie tylko, panie wicedyrektorze.

- Zostałem zastępcą pana dyrektora? - spytał bezczelnie Rick.

- Nie, gabinet mojego zastępcy sąsiaduje z moim i jest tam dużo kwiatów, które twój syn oblupałby doszczętnie! Zostałeś zastępcą szefa Departamentu Tajnych Operacji w Dyrektońacie Planowania, Korm. Twoim bezpośrednim szefem jest od dziś Clair St. George.

- Dziękuję, panie dyrektorze. Mówi pan, że to już mój syn?

- Tak. Masz tu papiery adopcyjne. Te dwa mi podpisz i zostaw.

Rick podpisał dokumenty, a Webster wskazał na walizkę leżącą w kącie gabinetu:

- I weź te taśmy z tym czeskim kurdupelkiem, Korm. Bardzo sympatyczny film, przekopowałem je dla mojego wnuka.

- Dziękuję bardzo!

- Fostermanowi dziękuj, on je załatwił, i to nie w naszej praskiej ambasadzie, tylko w czeskiej.

- Jak to w czeskiej?

- Polazł na chama do czeskiej ambasady w Waszyngtonie i cztery

doby później otrzymał specjalną przesyłkę z Pragi!

- Peter, nie rusz! - krzyknął Korm, widząc, że mały zabiera się do rozmontowania przenośnego telewizorka metodą ściągania na ziemię sznurem wyjętym z kontaktu.

- Znalazłeś mu już opiekunkę, Korm?

- Zgłosiłem to w agencji, która wypożycza gosposie, służące i takie różne dziewczyny do pomocy w domu. Jutro mają mi kogoś przysłać.

- Odwołaj zamówienie, my ci kogoś przyślemy. Wysoki funkcjonariusz DDT nie może mieć gosposi z naboru publicznego.

Inicjały, których użył Webster, wywodziły się nie od formalnej, lecz od potocznej, żartobliwo-złośliwej nazwy pionu. Formalna nazwa brzmiała: Department of Covert Activities (Departament Działalności Tajnej; albo: Departament Tajnych Operacji). „Gwarowa” (w wewnętrznym slangu CIA) nawiązywała inicjałami do znanego środka owadobójczego DDT: Department of Dirty Tricks (Departament Brudnych Sztuczek). Dział ów został powołany dla wykonywania najtrudniejszych zadań sabotażowych i destrukcyjnych, m.in. dla zamachów i dla „fizycznego likwidowania” takich osób niewygodnych (zdrajców i wrogów), których inaczej zneutralizować się nie dawało. Nazwa środka przeciw szkodliwym insektom pasowała tu idealnie.

- Zrób to zaraz! - rzekł Webster, wskazując aparat telefoniczny.

Rick zadzwonił do agencji wynajmu i odwołał swą prośbę o pomoc domową.

- A teraz spójrz na te zdjęcia.

Rick kątem oka dostrzegł, że Peter dalej usiłuje sprawdzić zasadność przymiotnika w nazwie „przenośny telewizor”, więc wziął małego na kolana i dopiero mógł przyjrzeć się zdjęciom, które leżały na biurku. Ujrzał dziewięć kobiecych twarzy.

- Co to za panie? - spytał.

- Wybierz sobie którąś jako opiekunkę małego. To dziewczyny z różnych naszych pomocniczych służb.

- Ja szukam opiekunki całodobowej!

- One o tym wiedzą... Tak, Korn, żadna nie dostała rozkazu, każda chciała sama.

- Sama? - zdziwił się Korn.

- Aż dziewięć bab z CIA?

- Więcej niż dziewięć. Te dziewięć to wynik selekcji. Jak się jest gwiazdorem telewizyjnym, Korn, to człowiek ma powodzenie u bab. Każda z nich oglądała twój występ na wiedeńskim lotnisku. I z każdą możesz porozmawiać zanim się zdecydujesz. Ale najpierw przypatrz się im, bo może któraś fizjonomia nie będzie ci odpowiadała, artysto...

Rick zastanawiał się tylko kilka sekund. Potem wziął wszystkie dziewięć fotografii, rozsunał je w wachlarz i trzymając jak karty przy grze, wsadził pod nos małemu.

- Peter, którą chcesz na mamę, wybieraj!

Chłopczyk, usłyszawszy słowo „mama”, przeleciał wzrokiem po zdjęciach i paluszkami wskazał jedno.

- Dzięki, staruszkule! - rzekł Korn, bo kobieta, którą wskazał Peter, miała urodę niezłej klasy.

- To Jadwiga Tchinsky - wyjaśnił Webster. - Jej ojciec był naszym „czarnym” u Sowietów. KGB rozwaliło go, a jej matka popełniła samobójstwo dwa dni później. Córka uciekła do nas.

- Rosjanka?

- Polka. Jej ojciec pracował w Moskwie jako urzędnik polskiej ambasady. Miałaś same Polki na tych zdjęciach, Korn.

- Dlaczego, panie dyrektorze?

- Bo masz polski rodowód, bo już tam byłeś, bo znasz język polski...

- Nie znam!

- Nie znasz?!

- Nie. W Camp Peary nauczono mnie rosyjskiego.

- Więc dlaczego wysłano cię do Warszawy?

- To było za dykcji Millberga. Pułkownik Hill, któremu odbiłem dziewczynę, miał w Langley kumpla, Crivellego, a ten miał kumpla w Warszawie, więc wysłał mnie do Warszawy, żeby mnie tam zgnojono. No i zgnojono. Dopiero gdy przyszedł Fosterman wydobyłem się z tego gnoju.

- Co za burdel panował tu kiedyś! - krzyknął Webster. Taka...

Przerwał mu wicedyrektor Agencji, Robert Gates, wkraczając do gabinetu. Ujrzawszy Korma zrobił dziwną minę:

- Prosiłeś, Bill, żebym natychmiast... ale może wobec tego...

- Mów przy nim. No i jak?...

- Fenomenalna zabawka, lecz...

- Co lecz?

- Mają pięć prototypów, lecz żadnego nie chcą dać, sukinsyny!

- Nie chcą?!

- Nie chcą. Mówią, że prototypów się nie używa, każą czekać na seryjną produkcję.

Twarz Webstera przybrała bolszewicki kolor:

- „Wally” musi mieć dwa jeszcze w tym tygodniu! I gównie mnie obchodzi czy to będą prototypy, czy seryjna produkcja! Albo-albo! Albo dwa „Super-Condory” znajdą się zaraz w Warszawie, albo cała góra Dyrektoriatu Technicznego i cała góra Departamentu Elektronicznego znajdzie się na bruku! Powiedz im, że to nie żart, że zwolnię ich bez litości!

Gates wyszedł, a Korm spytał:

- Co to jest „Super-Condor”? Nowy rodzaj „pcheł”?

- Tak. Nie do wykrycia dla Sowieców. Żadna aparatura „oczyszczająca” nie bierze tego.

- A „Wally”?

- Nasz agent w Warszawie, „Wallenrod”. Być może będziesz z nim

współpracował, więc dobrze by było, żebyś znał język swoich przodków. Masz podobno talent lingwistyczny, czy tak?

- Na „*Farmie*” mówiono, że tak.

- To ucz się polskiego, Jadwiga ci w tym pomoże. Za pół roku masz dobrze znać ten język!

- Kurs przyspieszony w „*Isolation*” trwa pół roku! Tutaj nie dam rady przez pół roku, pracując jednocześnie w DDT!

- No to rok.

- Ale nie muszę się żenić?

- Dlaczego o to pytasz?

- Bo kiedyś dano mi termin ożenku, grożąc, że inaczej nie wyjadę na placówkę dyplomatyczną.

- Zapomnij o tym. Ja cię do tego namawiać nie będę.

- Dziękuję Bogu! - westchnął Korzn. - Bo już myślałem, że pomyliłem adresy...

- Jakie adresy?

- Siedzibę Centralnej Agencji Wywiadowczej z siedzibą biura matrymonialnego!

\*\*\*

Są piękne kobiety, które nie nadają się do prawdziwej miłości, niczym te piękne nowele, co nie nadają się do filmowania. Ale mężczyźni próbują, tak jak próbowano z opowiadaniem Hemingwaya o starym człowieku, który złowił wielką rybę...

Niektórzy faceci robią jednak głupie błędy. Kobiętę od lat tęskniącą do pełnego zdrowia i już bardzo tego zdrowia bliską, więc tym bardziej głodną potwierdzenia swej kobiecości przy pomocy seksu - nie można (siedząc na brzegu łóżka, w którym ona leży) jedynie przytulić, pocałować i pożegnać. Zresztą nie wolno tak obrażać żadnej kobiety leżącej i czekającej. W grze z kobietą nie ma poprawkowego egzaminu. Zwłaszcza, gdy codziennie czuwa nad

zdrowiem i uśmiechem tej kobiety markiz Michael de Valery-Segonzac.

List przyszedł wiosną roku 1989. Był to pierwszy list od Anny nie kreślony jej drobnym charakterem pisma, tylko wystukany czcionkami maszyny, w której brakowało liter: ć, ś, ó, ł, ę, ą, ń, ź i ż:

„Drogi Ludwiku.

*Jest mi bardzo trudno pisać do Ciebie ten list, ale zwykła ludzka uczciwość wymaga tego. Wiem jak dużo Ci zawdzięczam. Wiem ile serca włożyłeś przez te wszystkie lata w trudny proces przywracania mi zdrowia. Całym sercem Ci za to dziękuję i nigdy tego nie zapomnę. Cóż jednak mogę poradzić na to, że zakochałam się w doktorze de Valery? Sama nie wiem jak to się stało. Ja i Michael bierzemy ślub już w tym tygodniu, bo za sześć miesięcy urodzi się nasze dziecko. Myślę, że mnie zrozumiesz i że mi wybaczysz, i mam nadzieję, że zachowasz dla mnie przyjaźń, tak jak ja dla Ciebie.*

Twoja oddana Ci  
Anna J.

P. S. Michael prosi, żebyś podał konto, na które prześle Ci zwrot kosztów mojego leczenia. Sumę i numer konta wyślij mu na adres kliniki".

Śledząc staccato tych czcionek nie słyszał jej głosu, tylko widział ogorzałą, męską („alpinistyczną”) twarz doktora i jego piękny jak w reklamie telewizyjnej garnitur zębów, spomiędzy których wyływał ciepły, melodyjny tenor artysty z Hamein: „Potrzebuję jeszcze około sześciu miesięcy, żeby dać panu definitywną odpowiedź, czy zdołam przywrócić Annie stuprocentową sprawność. Wierzę, że mi się to uda, ten casus stał się dla mnie ambicjonalnym... Pół roku! Proszę mi dać te sześć miesięcy, monsieur Droz!...".



Twarz doktora zbliżała się do niego i robiła coraz większa, wypełniając całe pomieszczenie.

- Przywróciłeś jej stuprocentową sprawność, cwaniaczku!... - rzekł Ludwik.

- Miłości nie buduje się na wdzięczności, frajerku - odparł lekarz.

- Jasne - zgodził się Drozd.

Włożył list do koperty, pocałował ją zapalniczką i tym papierowym łuczycywem przypalił sobie camela. Następnie wyszedł z domu. Idąc obserwował ludzi, psy, samochody i wystawy. Wszystko było identyczne jak zawsze, nic się nie zmieniło. Ludzie, psy, samochody, domy, witryny, chodniki, trawniki, jezdnie i drzewa, dosłownie wszystko. Zmienił się tylko on jeden. Miał dziwnego kaca - jakby życie niosło go dotąd po łagodnej trajektorii, bez uskoków, kłopotów czy problemów, bez żadnych szarpiących nerwy załamania i wpadek, i jakby dopiero teraz przeżywał kryzysowy debiut. Cholernie bolało. Kopał do przodu puszkę od konserw, co wślazła mu pod nogi, i zazdrościł tym plemnikom, które nie wylosowały życia.

W podobnych chwilach ludzie nienawidzą. Budzą w sobie atawizm odwetu. Przeklinają, złorzeczą osobnikom, którzy sprawili im ból, modlą się o cierpienie za cierpienie. Podpisałiby cyrograf, żeby tylko ziściła się ich chęć zemsty. Drozd nie pragnął żadnej zemsty i niczego takiego nie czuł. Co do cierpienia, to brakuje nam dwóch zalet - szacunku dla obcego bólu i godności w znoszeniu własnego. Jedna przypadkowa puszka, toczona tak, jak dziecko kopie przedmioty leżące na chodniku, małpując futbolową grę - to zbyt mało, aby zarzucić mu brak godności w znoszeniu własnego bólu. „Bankier” był pięknym okazem samca.

Myśląc o tym, że nigdy dotąd nie czuł prawdziwego bólu, przypomniał sobie wiersz Audena „Musee des Beaux Arts” („Muzeum Sztuk Pięknych”). Sam początek:

*„About suffering they were never wrong,  
The Old Master s: how well they understood  
Its human position: how it takes place  
While someone else is eating or opening  
a window or just walking dully along...”<sup>14</sup>*

A potem zrobił coś, żeby zabić swój ból. Coś, co w takiej chwili mógł wymyślić jako lekarstwo tylko matematyk z wykształcenia - człowiek, który wie, że jedne wartości są niższe od innych, i że te drugie dominują w równaniu. Kopnął puszkę na bok, sprawdził, czy ma przy sobie portfel, wziął taksówkę i kazał się zawieźć do dziecięcego szpitala, gdzie wszedł na oddział onkologiczny, to jest między dzieci umierające z powodu raka, to jest w miejsce, w którym dwie rzeczy nie mają żadnego sensu: wiara w Boga lub każda próba usprawiedliwiania Boga jest tam czymś żalnym, a nawet podłym, zaś każde serce złamane przez kobietę lub mężczyznę jest tam czymś śmiesznym i nie wartym chwili bólu. Drozd, patrząc na te maleńkie zbieleiałe twarze, zaczął płakać. Zza pleców usłyszał głos pielęgniarki:

- Które jest pańskie dziecko?
- Wszystkie są moje! - odparł ku jej zdumieniu.

I wybiegł jak szalony.

W domu urządził się dokumentnie, a rano, skacowany tak samo dokumentnie, zadzwonił do Pawła Rzęczka (pseudonim: „Rzeźączka”) i kazał mu natychmiast przyjść.

Paweł Rzęczek, chociaż miał wykształcenie bardzo podstawowe,

---

14.,O cierpieniu wiedzieli wszyscy, co wiedzieć trzeba

Owi dawni Mistrzowie; bezbłędnie poznali

*Jego miejsce w świecie człowieka: że staje się*

Kiedy ktoś zajada, otwiera okno, albo idzie sobie spokojnie przed siebie...”

Tłum. Pawła Mayewskiego.

był wybitnym znawcą Bacha, Chopina i Mozarta. Niektóre ich kawałki znał na pamięć i nie mylił się nawet co do jednego dźwięku, gdyż wiele lat pracował w firmie pogrzebowej, asystując przy ceremoniach funeralnych. Później się przebrażnowił, bo zapachniało mu cinkciarstwo, wszedł w układ na Różycu, awansował, i tak, krok po kroku, dobrnął do stanowiska wicekróla kryminalnej czyli podziemnej Warszawy. Wszystko dlatego, że miał twardą czaszkę, bandycką charyzmę i wrodzoną inteligencję, a fart kleił mu się do rąk. Jako zastępca „Bankiera” dyrygował półświatkiem stołecznym w bezwzględny (czasami okrutny) sposób, co dawało Drozdowi komfort nie babrania się w chamskiej lub mokrej robocie - Drozd tylko zbierał raporty, podsumowywał miesięczne bilanse wpływów, ustalał „działki”, rozprawdzał „kontyngenty”, ferował wyroki w spornych kwestiach i opierniczał Rzęczka, gdy coś nie było w porządku. „Rzeźączka” miał jeszcze jedną cechę, która go czyniła niezastąpionym - lojalność. Zgodnie ze starą tradycją szanującą się „ferajny” - prędzej pozwoliłby się ukrzyżować niż złamałby słowo dane „chłopakom” lub szefom, a kapowanie i oszukiwanie swoich uważał za śmiertelny grzech (to jest taki, za który jedyną karą może być grób). Gdy przyszedł do Drozda, spytał krótko:

- Co jest, szefuniu?

- Posłuchaj - rzekł Drozd. - Zamierzam przeznaczyć trochę forsy na dzieci chore, kalekie i osierocone.

- To bardzo ładnie, szefuniu. Ile na tym zarobimy?

- Nic. Chcę to dać tym dzieciom.

- Rozumiem. Jaka suma...

- Niech cię o to łeb nie boli. Forsy i tak mamy za dużo. Ile jeszcze możesz sobie kupić domów, samochodów i damskich cycków, kiedy wszystkiego masz już po kilka par, ile jeszcze?

- Jasna sprawa, cel charytatywny, ja to w pełni popieram, szefuniu! Sam daję mojej matce tych kilkadziesiąt tysiaków co tydzień, żeby

miała na tacy podczas mszy.

- Mógłbym tę forszę przekazać Ministerstwu Zdrowia, ale tam są sami złodzieje jak wszędzie, więc chcę, żebyś zrobił coś takiego: zorganizuj mi spis wszystkich sierocińców, przytułków i szpitali dziecięcych, i dowiedz się, jaki sprzęt, jakie lekarstwa i jaka michtajest im najbardziej potrzebna.

- Wszystkich w Warszawie?

- Wszystkich w kraju!

- Matko Boska, szefuniu, to chyba będzie...

- Przestań filozofować, głowa mnie boli, wypilem wczoraj za dużo!

- Widzę, szefuniu...

- Mam teraz pytanie. Gdybym postanowił wycofać się z interesu i...

- Co?!

- Milcz i słuchaj! Gdybym to zrobił, to pułkownik szukałby kogoś na moje miejsce...

- Taaak... - zaczął rozumieć wicekról podziemnej Warszawy.

- ... a ja mógłbym mu pomóc, wskazując kogoś najbardziej odpowiedniego.

- Milion dolarów - zaproponował Rzeczek.

- Płacisz jedną bankę za pełną samowolę w dysponowaniu forszą ze wszystkich biznesów tego miasta?

- Dwie banki.

- Ile?

- Pięć baniek.

- Dziesięć baniek! To i tak tanio!

- Tyle nie mam, szefuniu.

- Sprzedaj kilka chałup, weź od rodziny, rób, co chcesz. Dycha!

- Z zaliczką?

- Bez. Po nominacji. Bo może pułkownik zechce kogoś innego.

- Gra! - odpowiedział Paweł Rzeczek i podał szefowi dłoń.

\*\*\*

W fundamentalnym dziele pt. „Religion and the Decline of Magic” („Religia i zmierzch magii”) autor, Keith Thomas, przypomina jak osiemnastowieczni mędracy radzili bronić się przed dżumą: *„Każdy zaczynał od namawiania swych czytelników do czynienia pokuty, lecz większość kończyła na doradzaniu ściślejszej higieny i właściwych leków, a jeśli i to zawodziło - radzili salwować się ucieczką”.*

Polska była zadżumiona w latach 1939-1989, dokładnie przez pięćdziesiąt lat. Przez te pięćdziesiąt lat realizowano w Polsce wszystkie wynalazki totalitaryzmu - od mydła z ludzi, do ludzi z mydła. Dlatego wielu Polaków żegnało ojczyznę, preferując emigrację. W późnych latach siedemdziesiątych i w latach osiemdziesiątych ten eksodus przybrał gigantyczne rozmiary; była to już wędrówka ludu polskiego i w kilku zachodnich państwach trzeba było utworzyć dla Polaków obozy przejściowe, gdzie czekali na azyl lub na wizę do odległych rajów, takich jak USA, Kanada, Australia i Republika Południowej Afryki. Gros uciekinierów stanowiła młodzież, a każdy z uciekinierów jako przyczynę deklarował ucisk polityczny, chociaż większość zwała marząc nie o wolności, tylko o zamożności.

Jadwiga Czyńska zrobiła to dla usamodzielnienia się. Kiedy jej ojciec zginął w wypadku samochodowym, a matka popełniła samobójstwo, Jadwiga miała szesnaście lat. Z Moskwy odesłano ją do kraju. Zamieszkała u brata swego ojca. Stryjostwo traktowali ją źle. Po zrobieniu matury usłyszała, że do Austrii można wyjeżdżać bez wiz. Wyjechała nad Dunaj i znalazła się w wielkim obozie przejściowym Treiskirchen. Każdy z wegetujących tam rodaków klął komunizm i chwalił „Solidarność”, ażeby zdobyć status politycznego azylanta. To w dzień. Wieczorami lały się strugi alkoholu i uprawiany był seks, pojedynczo lub grupowo. Ona tego robić nie chciała, więc któreś nocy grupa młodych patriotów zgwałciła Jadwigę w

damskiej łaźni. Nie jest to najlepsze miejsce i najlepszy sposób dla inicjacji seksualnej dziewcząt. Po niektórych to splywa, a u innych kaleczy psychikę. Ona należała do tych drugich.

W Treiskirchen zwęszył ją pracownik wywiadu amerykańskiego. Od tego człowieka dowiedziała się, że jej ojciec był agentem CIA i że jego fiat został „zreperowany” przez kagiebowców. Na pytanie: czy chciałaby go pomścić pracując dla CIA, odparła, że chciałaby studiować w Stanach. Zaproponował jej „deal”: dostanie wizę amerykańską, kartę stałego pobytu oraz mieszkanie i pracę w Chicago, dzięki czemu w ciągu kilku lat uzbiera sobie na studia. Mieszkanie było pokoikiem w centrum polskiej dzielnicy w Chicago (przy rogu Karlov i Milwaukee), a praca była etatem kelnerki w polskiej knajpie, gdzie Jadwiga miała słuchać rozmów polskich emigrantów. Oczywiście Langley nie liczyło na to, że agenci KGB i SB będą się sobie zwierzać przy stolikach owej knajpy - Jadwiga miała być tylko jednym z wielu trybików maszyny kontrolującej emigrację polską.

Jej praca była wredna, nudna, męcząca i słabo użyteczna. Męcząca była głównie z tego powodu, że ładną kelnerkę nieustannie podrywano. I być może dałaby się poderwać jakiemuś fajnemu chłopakowi, gdyby nie to, że kilku fajnych chłopaków z Treiskirchen wykastrowało ją psychicznie w brutalny sposób. Klienci mówili na nią: „niedotykańska”. Zwierzchnicy też nie byli zadowoleni z jej prowadzenia się - w łóżku mogłaby zdobywać dużo lepsze informacje. A i ona sama uważała swą pracę za bezużyteczną, bo przebywając wyłącznie w środowisku polskim, nie szlifowała języka, zaś bez idealnej znajomości języka studia stawały się nierealne.

Gdy Webster szukał opiekunki dla „wandala”, którego przywiózł Korm, wyświetlono jej film z powitaniem na wiedeńskim lotnisku. Ujrzała malucha, którego twarz była samą rozpaczą, trzymającego się za główkę i mówiącego: „Yooooooooo!...”, oraz klęczącego

mężczyznę, który też trzymał się za głowę i odpowiadał: „*Yooooooooo!..*”, a później wyciągnął do dziecka rękę, podbiegł, podniósł i przytulił do piersi. Wyraziła zgodę, znalazła się na liście dziewięciu chętnych pań, została wskazana przez to dziecko i zaakceptowana przez tego mężczyznę, który był bardzo przystojny i chyba bardzo dobry, sądząc po treści filmu. Miał jej płacić wysoką gażę, więc obliczyła sobie, że za trzy lata uzbiera na każde studia.

- Spędzaj z nim jak najwięcej czasu, musi się do ciebie przyzwyczaić - rzekł Korm.

- Dobrze.

- Będziesz spała razem z nim, w jego pokoju.

- Dobrze.

- Umiesz gotować?

- Tak.

- Ostatnia sprawa. Ja się uczę polskiego, ty angielskiego. Będziemy sobie wzajemnie pomagali. W parzyste dni rozmawiamy tylko po polsku, a w nieparzyste po angielsku, okey?

- Okey.

I tak było. Najpierw rozmawiali o błahostkach, o miastach, w których oboje postawili nogę (Chicago, Wiedeń, Warszawa), o przedmiotach, zwierzętach, czynnościach itp., ćwicząc swą znajomość rzeczowników, czasowników i przymiotników. Z wolna operowali coraz lepszą składnią i przechodzili do trudniejszych tematów. Rick tłumaczył jej dlaczego bomba atomowa to wspólne dziecko teorii względności i fizyki kwantowej, a ona tłumaczyła mu kim jest dla Polaków „*Wanda, co nie chciała Niemca*”. Gdy waszyngtońską ulicą, pod oknami jego domu, przeszli czarni uczniowie niosący transparenty z niezrozumiałym dla niej hasłem: „*Down with DWEMs!!!*” („*Precz z DWEMsami!!!*”), objaśniał jej to:

- DWEM znaczy: Dead White European Men.

- Martwi Biali Europejscy Mężczyźni?

- Ummm. Platon, Arystoteles, Kartezjusz, Kant, Hegel, Marks, Freud, Leonardo, Szekspir i spółka.

- Czemu przeciwko nim demonstrują?

- Demonstrują przeciwko filarom i źródłom kultury oraz nauk Zachodu, przeciw zaborczej cywilizacji białego człowieka. Nasi kolorowi i nasi wieczni kontestatorzy chcą, żeby tych panów wyrzucić ze szkół, a popiera tę myśl Trzeci i Czwarty Świat.

- I kim ich zastąpią?

- Bezimiennym Murzynem, który wynalazł bambus.

- To szaleństwo! - krzyknęła.

- To Ameryka, dziewczyno. Musisz się przyzwyczać.

Sam nie mógł się przyzwyczać do tego, że się pomylił. Był pewien, że będzie chciała uprawiać z nim miłość. Szybko zrozumiał, że ona ani myśli o tym. Gdyby prowadziła typową kobiecą grę na przetrzymanie samca, wyczułby to, odczytałby w jej wzroku, nie był debutantem. Ale ona naprawdę nie chciała. Jej obojętność była policzkiem dla jego płciowej dumy (istnieje taka, rozum nie ma na nią żadnego wpływu). Ten stan rzeczy uwierał go, później denerwował, w końcu zaś wściekał, lecz nigdy nie popchnął do próby skruszenia muru - Rick czuł, że to jakiś dziwny mur, którego nie da się skruszyć.

Aż nadszedł czas, że Peter złapał anginę i zachorował ciężko. Przez dwie noce Jadwiga nie zmrużyła oka, warując przy dziecięcym łóżku. Trzeciej nocy Rick zastał ją śpiącą na dywanie. Podniósł, zaniósł do swojego łóżka, przykrył, delikatnie ucałował w policzek i chciał odejść, gdy nagle rozwarła powieki i szepnęła:

- Nikt nie całował mnie już tak długo... ostatni raz mama, byłam wtedy dzieckiem...

Zawstydzony (bo przyłapany) Korm zdziwił się w teatralny i trochę głupi sposób:

- Od tamtej pory nikt cię nie całował?... Chyba nie jesteś dziewczyną?



- Jestem. Nie miałam żadnego mężczyzny... Zgwałcono mnie w obozie Treiskirchen, dwa lata temu.

Wszystko stało się jasne. Pocałował ją w usta, ale tak, jak się całuje dłoń, i rzekł:

- Śpij teraz. Ja posiedzę przy nim.

Gdy był już w progu, dogoniło go pytanie:

- Dlaczego twoje małżeństwo się rozpadło?

- Bo żona ode mnie uciekła.

- Dlaczego?

- Bo za często ją lałem.

- To głupi żart.

- To nie żart. Lałem ją i to wcale nie jest moja wina. Peđał też nie jest winien, że się peđałem urodził. Ja się urodziłem z chętką do lania bab, nic na to nie poradzę. Zaśnij już, bo spuszcze ci manto!

\*\*\*

O roku ów!

Tym rokiem był w istocie 1980 rok, a sierpniowy strajk w stoczni gdańskiej był pierwszym kamieniem lawiny. Lecz do historii przejdzie następny rok - w roku 1989 partia polskich komunistów (PZPR) oddała władzę antykomunistom, co było wypadkiem tak bardzo bez precedensu, że najstarsi górale nie pamiętali czegoś podobnego.

4 czerwca, w niedzielę, wstrząsnęły Polską wybory do sejmu i senatu. Pezetpeerowcom te wybory zabrały ostatnie złudzenia, a Drozd uznał, że to jest okazja dla niego i zadzwonił do pułkownika Heldbauma z prośbą o spotkanie w poniedziałkowy wieczór. Prezent miał już od dawna przygotowany, lecz w drodze pomyślał, że wypadaloby też kupić butelkę koniaku, dlatego zamiast we Francuską, skręcił z Ronda Waszyngtona ku Międzynarodowej. Pod sklepem „Pewexu” był ścisk, lecz jakiś polonez właśnie zjeżdżał z

chodnika. Drozd się cofnął i czekał aż polonez odjedzie. Gdy już mógł wjechać na chodnik, obok śmignął „maluch” i ukradł mu miejsce do parkowania. Z „malucha” wyskoczył młody bysio w tajlandzkiej koszulce nadmuchanej bicepsami. Drozd odkręcił szybę i zapytał pełen gniewu:

- Nie widział pan, że czekałem na to miejsce?!

Bysio bezczelnie się uśmiechnął nim odparł:

- Trzeba być młodym i sprytnym!

Drozd cofnął swego mercedesa o kilka metrów, wbił gaz i ze straszliwym impetem rąbnął „malucha” w dupę. Pancerny zderzak na specjalnej ramie usztywniającej zadrapał się tylko. Przytulony do latami „maluch” wyglądał jak harmonia. „Bankier” obdarzył zrozpaczonego kulturystę klawiaturą swoich uśmiechniętych zębów i rzekł:

- Trzeba być jeszcze bogatym!

Po czym odjechał.

Heldbaum przyjął go w szlafroku, mówiąc:

- Źle wyglądasz, „Bankier”!

- Pan, szefie, też nie wygląda kwitnąco...

- Cóż chcesz, im człowiek starszy, tym bardziej parszy. Ale ty jesteś młodzieź nieomal.

- Mimo to chciałbym prosić o wcześniejszą emeryturę, a lapówkę załączoną do podania mam tu.

Rozpakował ją. Była to siedemnastowieczna, malowana na drewnie scena rodzajowa pod tytułem „Zjadacze ostryg”. Gruba rzeźbiona rama z epoki również była arcydziełem. Heldbaumowi oczy zabłysły:

- Drozd!... Czy to Brouwer?

- Nie, to Jan Miense Molenaer.

- Więc być może pół-Brouwer! Brouwerowskie szkice, „en grisaille”, Molenaer domalowywał!

- Jest sygnowany.
  - Gdzie?
  - Tu, na nodze od stołu.
  - Rzeczywiście!... „Bankier”, przesadzasz! Dostałem już w, tym roku od ciebie Kupetzky'ego...
  - Drobiazg, szefie.
  - Ładny mi drobiazg! W Sotheby czy Christie's Molenaer ma średnią pięćdziesiąt tysięcy dolarów i tendencję zwyżkującą. Czy musisz się tak wykosztowywać na prezenty dla mnie?
  - Tyle zarabiam w zły miesiąc, dzięki panu. Ale już nie chcę więcej zarabiać.
  - I przyszedłeś właśnie z tym?
  - Z tym. Wycofuję się.
  - Usiądź!... Koniak?
  - Może być koniak.
- Heldbaum przyniósł kieliszki, nalał, zapalił i rzekł:
- Drozd. Gdybym ci powiedział, że jedna trzecia tych podziemnych figur, które walczyły przeciwko komunistom, to były esbeckie figury, co byś na to powiedział?
  - Że to kłamstwo, szefie.
  - I miałbyś rację, było ich więcej niż trzydziestu trzech na stu. A kontrolowaliśmy prawie każdego. Druga sprawa: gdybym ci powiedział, że dogadaliśmy się z nimi co do podziału władzy...
  - O tym wie każde dziecko, które umie czytać. Dogadaliście się przy okrągłym stole. Sześćdziesiąt pięć procent miejsc w sejmie dla komuny, reszta dla „Solidarności”.
  - Bzdura! Dogadaliśmy się **pod** okrągłym stołem i w zupełnie inny sposób.
  - W jaki?
  - W taki, że powiedzieliśmy im: chcecie rządzić, panowie? Tres bien, my mamy już dość rządu w tym zaszranym kraju, w którym

od tysiąca lat nikomu nie udało się normalnie rządzić, bo ten naród jest niezadowolony zawsze i ze wszystkiego. My chcemy tylko dużej forsy. Więc oddamy wam władzę, a wy nam za to cały majątek tego kraju po zniżkowej cenie, dobra?

- Nie powiedzieliście im takich rzeczy i w ten sposób!

- Jasne. Przedstawiliśmy to w inny sposób, ale oni nas dobrze zrozumieli. Trzecia sprawa, Drozd: po każdej rewolucji nowy wywiad i nowa policja musi się oprzeć na starym aparacie, bo nie ma własnego. Cze-Ka prawie w całości przejęła kadry Trzeciego Zarządu Żandarmerii czyli carskiej Ochrony. Nasze UB nie ujawniło siatki konfidentów Gestapo, bo ją przejęło. Policja i wywiad Chomeiniego oparły się na Savaku szacha. A oni będą musieli się oprzeć na nas, Drozd. Dla zachowania pozorów wyrzucą nie więcej jak dziesięć procent esbeków, milicjantów, sędziów, prokuratorów i kacyków prowincjonalnych, co oznacza, że policja, służby specjalne, sądy, prokuratury, biurokracja i Polska powiatowa dalej będą nasze, chociaż pod inną flagą. Gdy do tego dodasz banki, fabryki i spółki znajdujące się w naszym ręku...

- Dlaczego pan mi to wszystko opowiada? - przerwał „Bankier”.

- Dlatego, że wczorajsze wybory napędziły ci takiego cykora, iż zapragnąłeś dymisji, idioto, ja zaś...

- Ależ szefie! Pan się my...

- ...ja zaś twierdzę, że tu niewiele się zmieni. Zmieni się rząd, orzeł dostanie koronę, a za to samo, za co władza dotąd karała, to jest za unikanie roboty, teraz władza będzie płaciła, bo powstanie kosmiczne bezrobocie. I to jest wszystko, co się zmieni. Wreszcie czwarta sprawa: otóż...

- Szefie, słowo daję, ja nie dlatego...

- Pozwól mi skończyć! Czwarta sprawa: Drozd, zdarzają się piękne rewolucje. Ale nawet one przestają być piękne, gdy wygrają. Nasi kontrpartnerzy tęsknią do kapitalizmu. Tylko nie wiedzą, że na to,

by wyhodować prawdziwy, sensowny kapitalizm, potrzeba kilkunastu lat zmagania się z nędzą i wyzyskiem o wiele gorszymi niż za komuchów. Ten naród nie ma tyle cierpliwości, by wytrzymać kilkadziesiąt lat, chce mieć raj dziś lub jutro. Po kilku latach dostanie szafu, i co wtedy zrobi? Zateśkni za komuną! Zapomni jak było za komuny i zateśkni za komuną! Tak! Przez te kilka wiosen my też nie będziemy siedzieć z założonymi rękami, podgrzejemy frustrację narodu. Efekt? Jest taka możliwość, że naród przywróci nas do władzy. Drozd. Nie warto się wycofywać.

- Ja nie dlatego wycofuję się z interesu. Nie miałbym już siły walczyć, niech pan spojrzy na to, co się dzieje w Warszawie. Powstają nowe gangi, których nie sposób kontrolować, wdzierają się Rosjanie i rżną, a to dopiero są płatki z Sojuza. Kiedy tu wejdzie mafia z Odessy, to zaczniesz się taki bać, że... Tu trzeba kogoś cholernie twardego. Rzeczek lepiej sobie poradzi niż ja, panie pułkowniku.

- Dobra, Rzeczek i tak kręci Warszawą, niech kręci dalej. Ale to w końcu nie wszystko. Czy nasze interesy ze Szwabami też cię przestały interesować? Zostań choćby przy „pannie A.”, przy szmuglu samochodów, przy „importach” odpadów...

- Nie, to jest wysiadka definitywna, w tej nowej rzeczywistości politycznej i układowej byłbym kaleką.

- Drozd, przestań mi pieprzyć, tu chodzi o jakąś inną sprawę, którą ukrywasz!

- To jest moja sprawa.

- Nie tylko twoja, zbyt długo siedzisz przy stoliku gry i zbyt dużo wiesz! Nie dam ci się wycofać, gwiżdżę na to, że masz jakieś humory, miesięczkę czy coś podobnego!

- Proszę mnie nie straszyć, szefie, mnie już zastraszyć nie można. Tak jak w tym dowcipie czeskim: „*Ja se ne boim, ja mam rakowinu!*”. Jestem nosicielem wimsa HIV, szefie - skłamał Drozd.

Heldbauma trudno było przyprawić o jakikolwiek rodzaj szoku; umiał odegrać szok, gdyż potrafił zagrać wszystko, ale w istocie nie można było wstrząsnąć nim do głębi. Przynajmniej tak o sobie myślał. Teraz zauważył, że się mylił, i nie wiedział, co odpowiedzieć. Spytał:

- Gdzie cię badano?

- W Szwajcarii, panie pułkowniku.

Heldbaum nalał sobie pełen kieliszek (rozlewając koniak na blat) i wlał w gardło jak wodę przy popijaniu aspiryny.

- Leczysz się?

- Zaczynam. I czekam. To może potrwać kilka lat, lub rok, lub pół roku. Moją forszę daruję zakładom pediatrycznym, tyle po mnie zostanie, dobre i to. Czy mogę od jutra zacząć przekazywać firmę Rzeczkwowi?

- Możesz - wykrztusił Heldbaum. - Jak... jak to złapałeś, Drozd?

- Chyba od dziwki w Hamburgu, ale to teraz bez znaczenia od kogo. Na mnie czas...

Gdy wysiadał pod swoim domem, z mroku wyłoniło się trzech cywilów. Ujrzał wśród nich byczycha, któremu zgniótł auto, więc sądził, że będą bić. Lecz najstarszy okazał mu legitymację i powiedział:

- Jest pan aresztowany, panie Drozd. Sprawdźcie go i do wozu!

\*\*\*

W Paryżu istnieje dużo miejsc, których nie wolno ominąć kiedy się przebywa w Paryżu (Dôme des Invalides, Luwr, kawiarnia „Flore”, Sacré-Coeur, Folies Bergères, etc.), a które Zenon Tolik ominął. Wśród tych świątyń znajduje się jedna z ważniejszych instytucji nocnego życia nad Sekwaną - lokal „Crazy Horse”. Jako że bilet wstępu do niego kosztował 200-560 franków, Tolik i tam nie postawiłby kończyny dolnej, ale zrobiono mu prezent: finał kursu w

obozie szkoleniowym wywiadu francuskiego przełożeni uczcili francuską modą - zorganizowali grupie najlepszych elewów nocną bibkę w najmodniejszym lokalu. Zenek nie zaliczał się do tych wybitnych. Ani do dobrych. Ani nawet do średnich. Ale był jedynym Sarmatą w owej szkółce, a przyjaźń francusko-polska z czasów napoleońskich jeszcze nie umarła - w końcu, Nom de Dieu!, cesarz miał bachora z Polką, a cesarz dobrze wiedział z kim warto robić komitywę, n'est ce pas? I tak „Zeno” trafił do ekskluzywnych podziemi przy avenue George V.

Na scenie tańczyło siedemnaście półnagich dam, które co pewien czas przestawały być półnagie za sprawą strip-teasu indywidualnego lub zbiorowego. Ich choreograf musiał mieć sado-mediewalną wyobraźnię z domieszką wpływów militarystycznych, gdyż rozpoczęły od „parady wojsk”, potem zasunęły „więzienny strip”, następnie „taniec śmierci wokół trumny” itp. Atmosferę uplastyczniała scenografia w typie nordycko-lasvegasowskim, muzyka w typie diabolicznym i gra reflektorów o zimnych kolorach, które nadawały pływającym dziewczętom wygląd stada lalek z zielonkawobłękitnego plastiku. Organizator „zajęć szkolnych w terenie”, przyjaciel właściciela lokalu, Alaina Bemardina, kapitan Paul Gache, gwiazdor RG (Renseignements Généraux — służba wywiadowcza Ministerstwa Spraw Wewnętrznych), wskazywał dziewczyny debiutantom:

- To jest Nouka Bazooka, to jest Bulba Butterfly, to jest Cristy Balalayka, to Akki Masterpiece, to Miss Fortunia, to Rita CadiUac, to Fila Volcano...

- Czy to są ich prawdziwe nazwiska, kapitanie? - spytał Tolik.

- Tylko Alain zna ich prawdziwe nazwiska - odparł Gache. - To tak jak w wywiadzie, przyjacielu...

- I tylko Alain zna ich prawdziwe, te ukryte parametry! - dodał porucznik Levecque, wywołując ogólną wesołość.

- Na te ukryte to jest już chyba trochę za spierniczały, ale... diabli

wiedzą, jak facet robi sobie „*face-lifting*”, to może jeszcze być na chodzie... - zastanowił się Gache. - Tu decydują zewnętrzne parametry, które określa geometria anatomiczna ustalona przez szefa lokalu. Wzrost sto sześćdziesiąt osiem do stu siedemdziesięciu pięciu centymetrów, bo on jest mały i lokal jest mały, a Bemardin dba o proporcje, bardzo wysokich dziewczyn tutaj nie przyjmują. Piersiątko idealnie w tym układzie jego ręki... - Gache rozstawił palec wskazujący i kciuk w literę L. - Owłosienie łonowe w równobocznym trójkącie dwanaście na dwanaście centymetrów, jak u dziewczyn Modiglianiego. Pośladki muszą tworzyć idealną ósemkę z dwóch idealnych półkul. Jeśli któraś o centymetr wypada z tych parametrów, wypada ze sceny. Rzadko która pracuje dłużej niż trzy do czterech lat, kilkaset dziewczyn tańczyło już w „Grazy Horse”, ale właśnie dzięki tej rotacji on zgarnia rocznie kilkadziesiąt milionów.

- Psiakrew! - westchnął elew Jomard. - Przerznąć kilkaset takich dziewczyn i mieć jeszcze za to rokrocznie tyle balonów, o mamó!

- Jedną poślubił, Lovę Moore - rzekł Gache.

- Zakochał się w niej?

- Nie wiem, może się i chwilowo zakochał. Ale nawet jeśli się zakochał, to nie zgłupiał jak jego konkurent.

- A co zrobił jego konkurent?

- Opowiem wam to podczas przerwy, chłopcy...

Podczas przerwy opowiedział im historię, którą oficerowie znali już, lecz elewami ta historia wstrząsnęła:

- Bemardin otworzył „Crazy Horse” w 1951, jako konkurencję dla „Crazy Woman” Luca Teroneaux. Wydawało się, że jest bez szans, bo „Crazy Woman” istniał już przed wojną i Teroneaux miał większe doświadczenie oraz więcej gotówki, zaś Bemardin startował za pożyczoną forszę. Ich programy różniły się w niewielkim stopniu, tylko że dziewczyny Luca miały większy wzrost. Luc też wymieniał je



na młodsze co cztery, najwyżej co pięć lat. Prócz jednej, w której zakochał się jak Romeo i nie miał serca zdjąć jej z estrady. Ile razy o tym myślał, tyle razy ona błagała, żeby tego nie robił, więc jej nie zdejmował, bo nie chciał sprawić bólu ukochanej. Tańczyła przez czterdzieści lat, możecie to sobie wyobrazić? W końcu była już tak stara, wszystko tak jej obwisło, że policja zamknęła lokal z powodu zgorszenia, przy którym „live-show” jest drobiazgiem. Ale nawet gdyby nie zamknęła, to i tak Teroneaux musiałby sam to zrobić, bo prawie nikt już nie przychodził do niego, obrzydzenie wyganiało klientów. Biedak stał się bankrutem.

Gache skończył i zapadła posępna cisza, którą przerwać elew Morland:

- Taka miłość do jednej kobiety... Jak w bajce, co?

Porucznik Levecque siorbnał nosem i wyszeptał:

- Cholera, beczeć mi się chce, kiedy myślę o takiej miłości... Masz rację, Morland, taka miłość to jest coś bajkowego, coś... no... sacrebleu!

Wszystkim elewom wzrok powilgotniał, ale któryś z oficerów nie wytrzymał dłużej, ryknął śmiechem i w tej samej sekundzie wszyscy oficerowie zaczęli się tarzać ze śmiechu. Dopiero gdy umilkli, Gache wyjaśnił nabranym elewom:

- Nigdy nie było żadnego „Crazy Woman”. Tę historyjkę opracował świętej pamięci pułkownik Saboul, po pijaku. Ja sam dałem się nabrać wtedy; każdy, kto słyszy to pierwszy raz, daje się zrobić w idiotę.

- Panie kapitanie - spytał Jomard - a co do tego „live-show”, o którym pan napomknął, to czy tutaj...

- Nie, synku! Tutaj nie zobaczysz ani „porno-live”, ani „hard-core”, ani niczego podobnego, bo tutaj króluje prawdziwy erotyzm, a prawdziwy erotyzm to coś, w czym wyobraźnia jest ważniejsza od wzroku. Bemardin o tym wie, dlatego tu nie ma i nigdy nie było

żadnych chamskich ciupciań, zaś elegancki numer z kobitą możesz sobie wyobrazić przy oglądaniu stripu. „Soft-porno” to pobudzanie twojej wyobraźni erotycznej, Jomard.

- A jak ktoś nie ma wyobraźni? - wtrącił się Tolik.

- To niech wejdzie z powrotem na drzewo - odparł Gache. - Czyżbyś ty nie miał wyobraźni?

- Ja mam. Mnie się podoba ta... o!... ta po lewej.

- Ta ruda?

- Rude wredne są. Ta czarna!

- Aaaa!... To King Size Noemi, z Tel Awiwu. Kiedyś Niemki, Francuzki, Angielki i Włoszki stanowiły tu większość, lecz teraz najwięcej jest dziewczyn spoza Europy, Polek, Rosjanek, Czeszek i Węgierek, a Noemi aż z Izraela. Lubisz Żydóweczki, Zeno, przyznaj się!

- Gdzie tam lubię! - zaprzeczył Tolik. - Ale w łóżku Żydówka to nie Żydówka, tylko baba, nie ma gołych Żydówek, są fajne lub marne dupy w łóżku.

- Brawo, Polak, pięknieś to ujął! - wyraził mu uznanie Gache. - Prawda, chłopaki?

Chłopaki zgodziły się z kapitanem. Lecz kiedy poprosili go o to, żeby ich wziął za kulisy lokalu swego przyjaciela, Gache wylał wiadro wody na kilkanaście rozpalonych głów:

- Impossible, monsieurs! Pod tym względem Bemardin jest niewzruszony. Regulamin „Crazy Horse” zabrania tancerkom rozmawiać z gośćmi nie tylko w samym lokalu, ale nawet w pobliżu lokalu!

Dzień później, daleko od lokalu, Gache wręczył Tolikowi karteczkę zawierającą kilka cyfr.

- Co to jest, kapitanie? - zapytał Zenon.

- A jak myślisz, koguciku?

- No... nie wiem, jakaś zaszyfrowana wiadomość, hasło lub numer

tajnych akt...

- Zgadłeś. To jest numer telefonu Noemi. Będziesz z nią mógł przeciwżyć figury antysemitki.

- Nie jestem antysemitą! - obruszył się Tolik. - Tylko nie lubię Żydów.

- To całkiem tak jak ja. Dlatego daję ci ten numer, Zeno.

- Merci bien, mon capitaine!

- Podziękujesz, gdy wrócisz do domu. Raportami z Gdańska! A teraz idź i zadzwoń, bo dziewczyna wystygnie, czeka już pół godziny.

\*\*\*

Waloryzować oprawców na bardziej złych i mniej złych to tak, jak mówić, że pirania może być mniej lub bardziej krwiożercza. Ludzie wszakże kochają „*bon-moty*” i według jednego z takich powiedzonek: szczególnie źli oprawcy to ci, którzy najpierw biją, a dopiero później pytają lub sprawdzają. Owszem, są tacy, którzy robią właśnie w ten sposób, lecz nie są oni szczególnie źli, tylko szczególnie głupi. Zawsze bowiem trzeba najpierw sprawdzić kogo się katuje. W przeciwnym razie bijących może spotkać bardzo przykra niespodzianka. Właśnie taka, jaka spotkała trzech esbeków, którzy z „*Bankiera*” zrobili sobie worek treningowy.

Byczek, któremu Drozd przemodelował auto, zapamiętał numer luksusowego taranu. Ustalić nazwisko i adres właściciela było drobiazgiem. „*Aresztowali*” go, wywieźli do podmiejskiego ustronia i wzięli pod buty. Dopiero później obejrzelik jego portfel i znaleźli legitymację esbecką. Drozd esbekiem nie był (legitymację dał mu Heldbaum dla zamykania gęby celnikom lub milicjantom z drogówki), lecz gdy zobaczył osłupiałe mordy tych trzech i gdy jeden spytał go o dokładną przynależność, „*Bankier*” wycharczał przez krew lejącą mu się z ust:

- Wiesz co to jest KGB? Ty już jesteś trupem, pułkownik Heldbaum zajmie się wami jutro.

- O rany!... Proszę pana, to pomyłka! - jęknął szef tercetu. - Rany boskie, myśmy nie chcieli, to...

- Odwieźcie mnie...

Chciał powiedzieć: „do szpitala MSW”, ale w porę sobie uświadomił, że tam mogliby mu zbadać krew i Heldbaum by się dowiedział, iż AIDS to kłamstwo.

- ... do domu!

W domu zadzwonił po znajomego lekarza, a rano zawiadomił Heldbauma o całej aferze. Kwadrans później do gabinetu pułkownika Heldbauma wszedł generał Krystyn Korecki.

Generał Korecki był antysemitą z urodzenia. Jego tatuś zajmował się podczas okupacji niemieckiej szmalcownictwem - łapał ukrywanych lub zbiegłych Żydów, wyłudzał od nich gotówkę i biżuterię, a następnie przemeldowywał ich do getta, które było przymusowym biurem podróży i zapewniało takim kurortom jak Treblinka czy Auschwitz permanentny sezon. Nastoletni Krystek pomagał tatusiowi w tej zbożnej robocie. Mieli mnóstwo dubeltowego szczęścia, bo zdobyli dużo złota i nie stracili życia, chociaż AK-owski sąd skazał obydwu na śmierć i strzelano do nich dwukrotnie. Po „wyzwoleniu” obaj zostali zatrudnieni przez Urząd Bezpieczeństwa Publicznego, ale czuli się tam kiepsko, gdyż większość pracowników tego resortu to byli ludzie, których Stalin oddelegował nad Wisłę dla uporządkowania Polski. Stary Korecki i Korecki-junior nie mieli nic przeciwko planom Stalina, chodziło jedynie o to, że wśród tych delegatów gros stanowią „gudłaje” i że to oni w podziemiach UB katują tysiące Polaków, których mogliby równie dobrze zmiękczać sami Koreccy oraz inni prawdziwi patrioci czyli Polacy koreckopodobni.

Jesienią roku 1956 zaczęła się era Gomułkowska, a drogi ojca i syna

rozeszły się w złym i dobrym kierunku. Ojciec zmarł, mimo że nie chorował (zmarł prowadząc samochód w stanie upojenia alkoholowego), a syn uzyskał magisterium wyższej uczelni, mimo że nawet nie wiedział gdzie się ona znajduje. Ponadto dostał order i krzyż, plus kolejno stopień porucznika, kapitana i majora. Najpiękniejszym rokiem w jego życiu był rok 1968, w którym generał Moczar przy pomocy moczaropodobnych urządził wielkie polowanie na Żydów. Żydów masowo wypędzano z PRL-u, a Krystyn Korecki miał orgazm, bo za zasługi w antyżydowskiej nagonce otrzymał dwa stopnie wynoszące go do elity: stopień pułkownika MSW i stopień doktora nauk humanistycznych Uniwersytetu Warszawskiego. Nie pisał owego doktoratu, lecz trzeba przyznać, że go czytał i stwierdził, że napisane zostało to, co rozkazał (chodziło o destrukcyjny wpływ agentury żydowskiej na kulturę wczesnopiastowską).

Lata siedemdziesiąte Krystyn Korecki poświęcił rozszerzaniu swych horyzontów geograficznych - zwiedzał świat jako attache PRL-u w Pekinie, Trypolisie, Bagdadzie, Hanoi, Damaszku i innych czerwonych stolicach. Gdy w roku 1983 sławny terrorysta Abu Nidal przeniósł się z Iraku do Warszawy, generał Korecki i jego prawa ręka, Andrzej Marchewka, pomogli mu założyć nad Wisłą firmę SAS Trade and Investment, wynajęli mieszkanie, zorganizowali ochronę, ułatwili kontakty z polskimi centralami handlu zagranicznego itd. Krach nastąpił w roku 1985, gdy w hotelu „Victoria” dokonano na Abu Nidala zamachu. Chociaż był to nieudany zamach, Korecki (odpowiedzialny za bezpieczeństwo terrorysty) podpadł i jego esbecka kariera została złamana. Dalej pracował w MSW, ale miał wpływy niewielkie - wyleciał poza orbitę decyzyjną.

Heldbaum czekał na to przez wiele lat, marzył o tym, Korecki był jego wrogiem numer jeden wewnątrz resortu. W 1968 antysemitcka czystka, w której Korecki grał ważne skrzypce, wyrzuciła

Heldbauma daleko od stolicy, „tam, gdzie diabeł mówi dobranoc”. Zemścił się po kilku latach ujawnieniem, że to ludzie Koreckiego sfabrykowali „dokumenty”, według których Szymon Wiesenthal był agentem Gestapo. Później, nie mogąc niczego innego zrobić Koreckiemu, czekał, jak ów filozof czekający na brzegu rzeki aż spłyną trupy jego wrogów. I doczekał się. Teraz on był duży, a Korecki był mały.

Korecki wszedł do gabinetu z miną cierpiętniczą:

- Towarzyszu pułkowniku, właśnie się dowiedziałem, że moi ludzie pobili pańskiego człowieka. Nie znajduję stów oburzenia na ten bezprzykładny akt bandytyzmu. Wszczęłem już śledztwo i obiecuję panu, że wszyscy oni zostaną surowo ukarani przeze mnie!

- Nie widzę takiej potrzeby, towarzyszu generale - odburknął Heldbaum, wertując kupkę jakichś papierów i nie prosząc Koreckiego, by usiadł. - Mój człowiek na to zasłużył, gdyż zniszczył pańskiemu człowiekowi auto.

- Mimo wszystko, towarzyszu pułkowniku...

- Uważam incydent za niebyły, towarzyszu generale.

- Wobec tego... cóż... bardzo przepraszam i obiecuję, że to się nigdy więcej nie powtórzy, towarzyszu pułkowniku.

- Dobrze - mruknął Heldbaum, kończąc tym stwierdzeniem dialog.

W ciągu następnego tygodnia każdy z trzech funkcjonariuszy, przez których Drozd wylądował w łóżku - też wylądował w łóżku, ale reanimacyjnym, gdyż ich anatomię nie tyle potłuczono, co zdemolowano. Winni byli temu ludzie Rzęczka. Natomiast Korecki, w przeciwieństwie do swych okupacyjnych przygód, miał tu pecha podwójnego: raz, że Heldbaum wyjawiał Drozdowi, iż pan generał za młodu był szmalcownikiem, a dwa, że telewizja emitowała akurat serial amerykański „Wojna i pamięć”. „Bankier” oglądał ów film, w którym technologia Holocaustu została zrekonstruowana z tak makabryczną precyzją, iż ludzie o silnych nerwach dostawali

drgawek na widok rutynowego cyklu: aresztowanie-transport-rozbieranie-duszenie w komorach gazowych. Po emisji „gazowego” odcinka źle spał - wirowały mu przed oczami twarze nagich mężczyzn, kobiet i dzieci stłoczonych niczym bydło i nie pojmujących, co robi aktualnie Pan Bóg. Jak każdy - znał tę historię, i jak każdy - musiał to zobaczyć, by zrozumieć, gdyż wyobraźnia jest słabsza od wzroku, nawet u ludzi z wyobraźnią. Wezwał Rzeczkę i rozkazał:

- Generał Krystyn Korecki. Chcę wiedzieć wszystko, kapujesz? Wszystko, chcę znać numer jego butów, jego konto, jego dziwki, jego myśli, absolutnie wszystko! Spuść najlepsze psy, jakie masz, niuchaczy, kurwy, adwokatów, kogo tylko możesz! I radzę ci, nie przeocz niczego!

„Rzeźączka” nie przeoczył niczego, chociaż zadanie było trudne, wymagało ciężkich łapówek i dwóch miesięcy ciężkiej pracy wielu ludzi. Ale efekt tej pracy był bulwersujący bardzo. Drozd przyjechał do Heldbauma i rzekł:

- Minęło czterdzieści pięć lat, a on wciąż zarabia na Oświęcimiu!

- Na ziemi pożydowskiej - przytaknął pułkownik. - Na działkach i parcelach Żydów zamordowanych w Oświęcimiu. Anin, Otwock, Miedzeszyn, Falenica, ale nie tylko pod Warszawą...

- Pan wiedział o tym?!

- Wiedziałem.

- I wie pan jak?

- Wiem. Sprawdzenie, czy cała rodzina zginęła w Oświęcimiu, podrobienie sygnatur na antydatowanej umowie kupna i sprzedaży, wpis do księgi wieczystej w hipotecę dzięki zblatowanym urzędnikom, i sprawa załatwiona. Setki parcel przejęto w ten sposób i dalej się to robi.

- A pan nic w tej sprawie nie robi?... Pan jest Żydem i dygnitarzem SB!

- Ale nie jestem samobójcą. Korecki jest chwilowo słaby w MSW,

lecz ma inny układ w „Białym domu”. To jest partyjno-finansowy układ, którego lepiej nie dotykać. Drozd, bo można się cholernie oparzyć!

- Ja się go nie boję!

- Ty masz swojego syfa, więc niczego się nie boisz, ale ja mam swoje zadania, nie wolno mi się wpieprzać w tamto!

- Chcę się wpieprzyć tylko w Koreckiego, chcę mieć mój pożegnany numer, panie pułkowniku!

- Nie!

- Jego córka bierze w grudniu ślub. Chciałbym być gościem weselnym...

Powiedział Heldbaumowi, co zamierza. Heldbaum wysłuchał go i rzekł:

- Dobra. Zrób to!

\*\*\*

Gdy 20 grudnia lądował w Warszawie, Europa wschodnia i środkowa były już prawie wolne od czerwonej flagi. Za Polską, z kilkumiesięcznym opóźnieniem, ruszyły: Węgry, Czechosłowacja, NRD i Bułgaria, a w Rumunii padły pierwsze strzały kończące erę Ceausescu.

21 grudnia, po kilku latach nieobecności, ujrzał swój rodzinny Gdańsk, przesycony bałtyckim powietrzem jak nektarem. Żadne inne miasto nie pachniało w tak boski sposób. Z dworca kazał się zawieźć na ulicę Polanki 54, gdzie Wałęsa miał domek. Domek znajdował się już pod opieką państwową należną czołówce dostojników - dwaj BOR-owcy sprawdzili przybysza. Wszedł. Żona Wałęsy kazała mu poczekać w salonie i spytała, czy jest głodny. Był głodny, dostał parówkę z chlebem, musztardą i herbatą. Jadł podsłuchując kłótnię, która miała miejsce w sąsiednim pokoju. Przez cienkie drzwi dobiegał rozwścieczony głos jakiegoś faceta i temperujący głos



gospodarza. Facet był w furii:

- To jest najlepszy czarny humor, jaki znam: ten człowiek jako autor książki o dziejach honoru, kapitalne! I do tego pisał ją spokojnie w celi więzienia, gdy zapuszkowanym KPN-owcom i innym polityczniakom odbierano najmniejszy skrawek papieru, strzęp gazety, cokolwiek, na czym mogliby skreślić choć słowo! Jemu klawisze nie przeszkadzali, papieru miał ile chciał!

- Co mi wciskasz, psiakrew?! Że Adaś to nie nasz człowiek, co?! Zabraniam ci mówić o nim w ten sposób! Jestem ojcem chrzestnym jego dziecka...

- A „*Ojca chrzestnego*” widziałeś?

- Przestań mi pieprzyć takie głupoty!

- Lechu! Dałeś mu największą „*solidarnościową*” gazetę i tym założyłeś sobie pętlę na własny kark! Nie chcę cię straszyć, ale przekonasz się niedługo!

- Mówisz tak, jakby Adaś mnie nienawidził. Za co miałby mnie nienawidzić?

- Choćby za to, że był podwładnym elektryka!

- Człowieku! Jeśli szef lubi podwładnego, który jest od niego inteligentniejszy, to albo ten szef jest takim idiotą, że tego nie zauważa, albo zauważa i wówczas jest to bardzo dobry szef. Adaś może mi być tylko wdzięczny.

- Wkrótce poczujesz jak ta wdzięczność zaciska ci się wdkół szyi, Lechu!...

Skończył jeść i dalej słuchał. Potem facet wyszedł, a Wałęsa stanął w drzwiach i krzyknął:

- Witam, panie Zenonie! Kopę lat!

- Witam, panie przewodniczący.

- Co tam w Paryżu?

- W Paryżu jak w Paryżu.

Usiedli i Wałęsa rzekł:

- Odwalałeś dla mnie dobrą robotę, Zenon.
- Odwalałem, co miałem odwalać, panie przewodniczący, łaski panu nie robiłem.
- Szkolili cię we francuskim wywiadzie, jak się dostałeś na ten kurs?
- Za obietnicę, że będę pana szpiegował i kablował im.
- Znaczący zrobili z ciebie swojego agenta u boku Wałęsy?
- Tak im się wydaje, żabojadom, francuska ich mać!
- Niech im się dalej wydaje. Będziesz im posyłał raporty, przechytrzymy cwaniaczków! - mruknął Wałęsa, klepiąc się dłonią w kolano. - A co oni tam gadają o mnie?
- Kto?
- No, ten ich wywiad.
- Że Mazowiecki, Geremek i Michnik chcą pana odsunąć na boczny tor. I że dostali szafę, jak pan swoim przemówieniem w Kongresie rzucił Amerykę na kolana.
- To wiem.
- I o tym, że nasza esbecja pali swoją tajną dokumentację.
- O tym też wiem.
- Najwięcej teraz gadają o Czechosłowacji i Rumunii.
- Co gadają?
- Że u Rumunów to wcale nie bunt społeczny, tylko gra.
- Jaka gra?
- Securitate [- Bezpieka rumuńska.] dogadało się z KGB i z CIA, żeby załatwić Ceausescu.
- KGB i CIA w spółce?! Co ty gadasz, Tolik!
- Panie Wałęsa, oni mi się tam nie zwieriali na ucho, ale i tak zorientowałem się, że zachodnie służby specjalne i czerwone specjalne służby od lat współpracują w wielu sprawach jak para małżonków. Mają różne wspólne interesy, handel bronią, przerzut złota, biznesy diamentowe i narkotykowe, mają nawet taki bank, w

którym gotówkę trzymają Żydzi i Palestyńczycy, CIA i Noriega, jedni i drudzy, z obu stron. Pierdolca można dostać, jak się o tym wszystkim myśli, bo na zdrowy rozum to niepojęte!

- Jeśli to prawda, co mówisz, Zenon, to rzeczywiście niepojęte. A co mówią o Czechosłowacji?

- To samo. Że cała ta ich praska „aksamitna rewolucja” była sterowana przez KGB i STB [- STB - czechosłowacka Państwowa Służba Bezpieczeństwa.]. I że w ogóle cała czeska opozycja już od lat siedemdziesiątych była agenturą. Według nich wśród członków „Karty 77” było aż czterdzieści procent agenciaków.

- Czy o nas mówią to samo?

- O nas mówią, że procent był mniejszy.

- Musiał być mniejszy, bo nasza esbecja to paczka kretynów. Gdybym ci powiedział, jakie błędy robili przy aresztowaniach 13 grudnia osiemdziesiątego pierwszego...

- Coś o tym słyszałem. W Warszawie z łóżka podziemnego asiora wyjęli kochanka jego żony.

- W Gdańsku zrobili lepszy numer. Na liście przeznaczonych do internowania umieścili braci Kaczyńskich, bliźniaków. Ale ci, którzy dokonywali aresztowań, pomyśleli, że to jakiś błąd, no bo nazwisko to samo, imię ojca to samo, zawód ten sam: prawnik, data urodzenia ta sama, więc Jarosława skreślili, zwinęli tylko Leszka! Albo telefony. Odcięli telefony wszystkim, ludziom, zakładom i agencjom, a Reuter nadawał bez przeszkód, bo nie potrafili znaleźć i odciąć reuterowskiego kabla. Zawodowcy, psiakrew!... A propos zawodowstwa, Zenon. Potrzebuję zawodowców. Ciebie chyba dobrze wyszkolono w tej Francji?

- Myślę, że nieźle, proszę pana.

- Ile znasz języków?

- Z polskim to cztery.

- Ho, ho! Mógłbyś być tłumaczem!

- Wolę być gorylem.
- Obstawę już mam, nawet dwie, jedną z Biura Ochrony Rządu. Ci sami, którzy mnie kiedyś ganiłi, teraz mnie chronią. Mam też drugą, „solidarnościową” obstawę, dowodzi nią Rafał Zarewski, znasz go?
- Nie znam.
- To go poznasz. Swój chłop, stoczniowiec.
- Będę pracował u niego?
- Nie, będziesz szefem innej komórki. Nie mam wywiadu, to znaczy mam w Warszawie, mam tam swojego esbeka...
- Dlaczego esbecji jeszcze nie rozwiązano?
- Bo pan premier jest ślimak i żółw. Posłuchaj! Nie mam wywiadu na terenie Trójmiasta, co ty na to, chłopcze?
- Jak na lato, panie przewodniczący! - odparł Zenon.
- Kiedy tylko będziesz mógł, zacznij organizować, a w razie kłopotów wal jak w dym do mnie.
- Of course, sir!
- Rzeczywiście, mówisz po francusku - stwierdził Wałęsa.

\*\*\*

Elvis Presley w przejmujący sposób śpiewał swoim cudownym głosem piękną kolędę „Blue Christmas” („Smutne Boże Narodzenie”), zaczynającą się od słów: „I’ll have blue Christmas without You”. Wigilia spędzana w samotności jest ciężkim testem nawet dla ludzi nie stroniących od samotności. Zwłaszcza gdy ci ludzie myślą o kimś, kto akurat znajduje się gdzie indziej, chociaż powinien znajdować się obok. Clint Farloon i Miriam Morrison dowiedzieli się czegoś na ten temat w wigilię 1989 roku.

Ona była dziewiętnastoletnią sierotą, kiedy latem A. D. 1987 poznała „Chrisa”, Wojciecha Krzysztofeczkę, imigranta z Polski, który pracował jako „bramkarz” w kombinacie rozrywkowym „Elephant-

World" koło Waltham Abbey pod Londynem, a we wrześniu wyjechał do Afryki i tam zginął [- Patrz „Konkwista”]. Zdażyła pójść z nim do łóżka raz, gdy ją żegnał. Skasowała wówczas swoje dziewictwo, zaszła w ciążę i usłyszała, że wezmą ślub jak tylko on wróci. Lecz nie wrócił. Została sama, najpierw ze swoją ciążą, później (od maja 1988 roku) z małym Beniaminem. I mijał czas, a czas to świnia, która zżera wszystko bez różnicy. Twarz Krzysztofeczki robiła się coraz bledsza, coraz bardziej ze starego snu, nawet Benny nie przypominał go Miriam swoją buzią. „Chris” stawał się zapomnianym przechodniem.

Każdy jest tylko przechodniem. Nawet jeśli zdarzy się kobieta, która jest wierna mężowi lub amantowi, bo go kocha i podziwia (jak pisał jeden z mędrców: *„Ta, która kocha, ale nie podziwia, wcale nie kocha”*) - nawet taka kobieta, gdy jej facet spocznie na cmentarzu, prędzej czy później znajdzie sobie drugiego, a pamięć o tamtym usycha w niej niczym nie podlewana winorośl, robi się coraz bardziej wyblakła, staje czymś obcym. Był tylko przechodniem. Z mężczyznami jest tak samo - była tylko przechodniem.

Kiedy ojciec Miriam zginął, matka zamykała się w szafie, wśród jego ubrań nasyconych odorem papierosów i płynu po goleniu, przykrywała oczy i wówczas był z nią, chociaż nie ocierał jej łez. A potem, ni stąd ni zowąd, zaczęła przymierzać te garnitury jakiemuś facetowi, który wyciskał z jej ciała kaskady chichotów. Miriam i „Chris” całowali się przez półtora miesiąca; w łóżku spędziła z nim tylko dwie godziny. Był absolutnym przechodniem.

Wiadomość o śmierci „Chrisa” przyniósł jego kumpel z afrykańskiej wyprawy, Jankes Clint Farloon. Nie zauważył czteromiesięcznego brzucha Miriam. Spotkała go ponownie, gdy już Beniamin napelniał wrzaskiem jej dom. Zaczęli się widywać, ale nigdy nie zaprosiła go do tego domu - nie chciała, by zobaczył dziecko Krzysztofeczki. Powiedziała Clintowi, że Wigilię spędza zawsze ze

starą ciotką i że spotkają się dopiero przed Sylwestrem.

Clint, odkąd zamieszkał u „Angolów”, pod jednym względem zmienił się w sposób diametralny - przestał się w ogóle uśmiechać. Mieszkanie i posadę znalazł przypadkowo. Trafił do „Elephant-World”, do właścicielki, pani Downbridge, której mąż, porucznik Harvey Downbridge „Beatles”, zginął nad Ugandą w samolocie wysadzonym przez van Hongena. Clint opowiedział jej o operacji „Czarne tango” i o mężu. Spodobał się pani Downbridge (jako człowiek i jako kawał chłopa, ale nie chłopa do łóżka), więc dała mu robotę w „Elephant-Disco”: został szefem dyskotekowej ochrony. Mieszkał w służbowym pokoju hotelu „Elephant”.

Nie miał przyjaciół, lecz szybko znalazł wrogów, o to jest zawsze łatwiej. Jego wrogami była banda punków, którą wyrzucił z „Elephant-Disco” i odtąd nie wpuszczał nigdy. Ich herszt powiedział mu:

- Tu jesteś wielkim białym wodzem, bo masz swoich bramkarzy, ale kiedyś dopadniemy cię samego! Albo przyjdź do naszej tawerny, bobasku, do „Punk-Rock-Inn”, przyjmujemy cię tam bardzo gościnnie!

„Punk-Rock-Inn” był jedynym lokalem między St. Albans a Waltham Abbey, do którego Clint Farloon nie mógł wejść, chyba że chciałby wejść po kalectwo. Upolowali go tylko raz, nad rzeczką Colne, w ośmiu. Czterech rozłożył, ośmiu to było trochę dużo. Byliby go zatłukli, lecz po kolejnym uderzeniu runął w wodę, a im nie chciało się moczyć - zbyt byli przywiązani do swego brudu i do pióropuszy malowanych feerią barw. Gdy to towarzystwo zniknęło, zjawił się sędziwy rybak, podał Clintowi dłoń i pomógł mu wyjść na stromy brzeg.

- Co, nie dałeś rady sile zła? - spytał, krzywiąc usta w ciepłym uśmiechu. - Masz dużo krzepy, ale inteligencji jakby mniej...

- Nobody's perfect - odburknął Clint.

- Zamiast się stawiać, trzeba było od razu uciekać.
- Nie mogłem uciekać - rzekł Clint, wylewając wodę z butów.
- Dlaczego?
- Nogi mnie bolały, zmęczyłem się chodzeniem.

Starzec pokiwał głową:

- Młodzieńcze, jesteś głupi, to widać, za dobrze ci patrzy z oczu. Jak najprędzej pozbądź się odwagi, prawdy, szczerych uczuć i wstrętu do wszystkiego, co nikczemne, inaczej będziesz zgorzkniały, nieszczęśliwy i zmarnujesz cały swój żywot.

- Nie mam chęci na dyskusje religijne, proszę pana - rzekł Farloon i oddalił się w stronę Waltham Abbey.

Spotkał Miriam pod koniec lutego 1989, robiła zakupy w pasażu „Elephant-World”. Z trudem dała się namówić na kawę. Z trudem dawała się namówić na wszystko, na co ją namawiał, ale to przelamywanie jej oporów sprawiało mu przyjemność. Toczyła się między nimi osobliwa gra, zabawa w zimne ognie, miłosny pojedynek bez gorących uczuć, i jemu przez dłuższy czas wydawało się, że to dlatego, iż cień Krzysztofeczki stoi, siedzi lub leży między jego ciałem a nią. Ten jej chłód w zbliżeniach był tak dziwny, że aż perwersyjny, podniecał go i z biegiem czasu wciągał niczym narkotyk. Jakby było im dobrze ze sobą dlatego, że było tak ulotnie - że wciąż mieli do siebie dystans dwojga obcych, którzy spotykają się tylko raz, by popełnić błyskawiczną zdradę na podróznym szlaku i rozejść się w dwie strony globu nawet nie znając swoich nazwisk oraz celów podróży. Rajcowało go to do momentu, kiedy się dowiedział, że spędzi samotnie wigilię. Nastawił longplay Presleya „Elyis’ Christmas Album”, usłyszał: „*I’ll have blue Christmas without You...*” i zrobiło mu się piekielnie smutno.

\*\*\*

Panna Korecka najpierw zaliczyła archeologię, później poczuła się

znudzona (lub zmęczona) ciągłą wymianą ogierów, i w końcu wzięła ślub z pisarzem bardzo awangardowym, pochodzącym ze stadniny czołowego krytyka i czołowego periodyku literackiego, który to krytyk i który to periodyk lansowali „nową prozę”, nadającą się do studiowania tylko po ciemku i po arabsku czyli wspak. Wesele otwarto późnym popołudniem w drugim dniu świąt (26. XII. 1989). Piękna, świeżo wzniesioną willę (styl postmodernistyczno-badyłowy) w Miedzeszynie wypełniła gęsta śmietana stołecznego grodu: znani aktorzy i plastycy, gwiazdy TVP i gazet, asiory biznesu i MSW. „Czarodziejski flet” i „Adagio” z koncertu na klarnet Mozarta przeplatały się z lambadą i Madonną, a toasty i umizgi ze strip-teasem i tenorem opery warszawskiej. Głos ów ciągnął właśnie arię Cavaradossiego z trzeciego aktu „Toski” (przy tej arii każdy czuje się muzykalnym intelektualistą), gdy przerwał mu inny głos. Był to głos szybkostrzelnego automatu HK (Hackler & Koch), który sieknął kulami po suficie, tak iż tynk sfrunął jak śnieg na głowy elitarnego grona. Trzeci głos - głos człowieka, który miał fizjonomię schowaną w czarnej kominiarce terrorystów - brzmiał trochę ciszej, ale każdy z siedzących przy stołach usłyszał go jakby to był dzwon kościelny:

- Spokój! Nie wstawać z miejsc! Jeśli ktoś ma broń przy sobie, to niech zapomni o tym, bo inaczej ludzie go zapomną!

Korecki zerwał się z miejsca i szeroko otworzył dziób:

- Jakim prawem?! Co to ma...

Jeden z kilkunastu „kominiarzy” trzasnął go w kark, a to spowodowało, że generał padł na klepkę dębową. Został uniesiony, wylano mu na twarz coś mokrego i przywrócono jego ciało do pozycji siedzącej.

- Korecki - powiedział wódz napastników. - Twoja drużyna gorylowa przed chwilą skapcała, twoje telefony przed chwilą się popsuły, a twoje życie przed chwilą zaczęło się wahać czy cię opu-



ścić, i ta kwestia nie jest jeszcze rozstrzygnięta definitywnie, więc się zachowuj! Teraz ci wyjawię, po co tu przyszliśmy. Przyszliśmy tu po to, żeby twoi goście dowiedzieli się, iż od pół wieku zarabiasz na Żydach gazowanych w Oświęcimiu i w Treblince! Dziś zarabiasz fałszując dokumenty. Dzięki tym fałszerstwom przejmujesz parcele po tych samych Żydach, których w czasie okupacji wysyłałeś do gazu. Ten dom stoi na takiej właśnie parceli i został wybudowany za takie właśnie pieniądze! Powiedz twoim gościom, ilu ludzi wysyłałeś do gazu jako szmalcownik?...

Generał zwiesił łeb. Cisza, która zapadła, była tak zwaną koszmarem ciszą. Urwał ją huk serii z automatu: stojący przed generałem tort rozprysnął się na wszystkie strony, paskudząc gościom kreacje wyjściowe.

- Mów ilu!

- To nie był gaz, tylko getto... - wykrztusił generał.

- Ilu?!!

- Spytaj Żydów ilu swoich oni sami wylapali i wydali Niemcom! Najwięcej uciekinierów z getta, których ukrywali Polacy, wylapała specjalna agentura żydowska do chwytania Żydów po aryjskiej stronie! Pracowała dla Gestapo! Przez nich został zwinięty Wilner<sup>15</sup> i...

- Ja cię pytam o twoje konto! Ilu?!

- Cholera!...

- Ilu?!

- Nie pamiętam ilu! - krzyknął Korecki.

- Masz rację, to bez znaczenia ilu - zgodził się człowiek trzymający instrument firmy HK. - Nawet jeden to o cały świat za dużo. Przypomnę ci tylko tego jednego. Korecki. Bierz!

---

15 Arie Wilner (1917-1943), jeden z czołowych przywódców ŻOB (Żydowska Organizacja Bojowa), wyśledzony przez żydowskiego „łowcę Żydów”, który pracował dla niemieckiej policji.]

Wyjął z za pazuchy i podał Koreckiemu książkę wspomnieniową więźnia Oświęcimia, Wiesława Kielara, pt. „Anus mundi” (Odbyt-nica świata).

- Strona dziewięćdziesiąt siedem. Czytaj od słów: „**Byli to sami Żydzi**”. Postawiłem tam ptaszka. Czytaj głośno!

Korecki stał z brody dużą grudkę kremu tortowego i otworzył książkę.

- Czytaj!

Korecki zaczął:

- „Byli to... sami... Żydzi...”.

- Płynnie czytaj, i głośno, albo wpakuję ci kulę w łeb, skurwysynu!

- „Byli to sami Żydzi. Na specjalny rozkaz lagerführera wszyscy mieli tu być wykończeni. Esesmani i kapowie z SK zabrali się ochoczo do dzieła. Po dwóch dniach pozostały tylko niedobitki...”.

- Czytaj dalej!

- „Jeden z Żydów, atletycznej budowy i potwornie gruby, trzymał się jeszcze, mimo że to on właśnie był głównym obiektem znęcania się kapów i esesmanów. Pracował zawzięcie, starając się nie dać powodu do bicia, jakby jeszcze wierzył w napis znajdujący się nad bramą obozu, o parę kroków od miejsca jego pracy: «Arbeit macht frei». Popychał więc ciężkie taczki, zawsze kopiało naładowane, biegnąc przepychał się przez szpaler utworzony przez bandziorów tłukących go drągami gdzie tylko popadło, wysypywał żwir we wskazanym miejscu, po czym już z pustymi taczkami odbywał tę samą drogę z powrotem, wciąż popychany, bity, kopany. Za wszelką cenę starał się jak najszybciej mijać pułapkę nań zastawioną. Była to deska przerzucona w poprzek głębokiego wykopu. Wiedział, że w tym miejscu wykończono większość jego rodaków. Kto nie utrzymał na desce równowagi, ten staczał się wraz z taczkami do jamy, skąd już nie było powrotu. Tam najokrutniejsi z kapów dobijali pałkami swe ofiary. Nawet, jeśli znalazł się jeszcze ktoś mający dosyć sił, by wspiąć się na usypujący się stok, i już, zdawało się, wydostał się z matni, stojący na górze esesman jednym dobrze

wymierzonym kopnięciem odrzucił go w dół z powrotem. Żyd atleta jeszcze się jakoś trzymał, ale coraz bardziej słabł...”

- Dalej!

- „...ale coraz bardziej słabł i widać już było, że goni resztkami sił. Pewnie zdawał już sobie sprawę z faktu, że jest osaczony i że stąd już nie wyjdzie. Jednak walczył o życie do końca. Usiłował jeszcze pracować, lecz ruchy jego stawały się powolne, nieskoordynowane. Jak ślepiec macał wkoło rękami, szukając tacek, które leżały wywrócone tuż pod jego nogami. Być może faktycznie niewiele już widział. Kręcąc się bezradnie w kółko zawadzał nogami o nierówności terenu, a kiedy padał, natychmiast doskakiwali doń kapowie, rzucając się jak wygłodniałe wilki na swoją ofiarę...”

Korecki, czytający nerwowo, chropawo, połykający sylaby i powtarzający słowa, które stawiały mu opór, nie wytrzymał, urwał.

- Czytaj dalej!

- Nie! - ryknął.

Seria z automatu poszła tuż nad jego barkiem, rozbijając w drza zgi górną część oparcia.

- Czytaj, szmalcowniku, bo będziesz zimny!

Korecki wstał.

- Zabij mnie, pieprzony Mošku... no!

- Tak się składa, że nie jestem Żydem - odparł „kominiarz” - ale mogę twoją prośbę spełnić, sam chciałeś, szmalcowniku!

Lufa drgnęła lekko, a Korecki pospiesznie usiadł, zasłaniając oczy i krzycząc:

- Niiieee!...

- To czytaj, tylko już nie przerywaj aż skończysz, gnoju!

Korecki odetchnął głęboko, charknął i powrócił do lektury:

- „W miejscu, gdzie poprzednio stał jeden esesman, teraz było już ich kilku. Znalazły się i wyższe szarże. Nie lada gratka była to dla nich. Trzy dni zabijać jednego więźnia? Mogła to być nieudolność oprawców lub ten Żyd był wyjątkowym okazem! Warto było popatrzeć! Żyd leżał już od

dłuższego czasu w dole, utyłany w kurzu, zlany potem, okrwawiony. Widząc, że nie daje znaku żyda, jeden z esesmanów krzyknął donośnie w kierunku bramy: - Lageraltester!... Nach vorne!... Okazało się, że przedwcześnie. Zmasakrowany Żyd jakimś nadludzkim wysiłkiem jeszcze nie poddał się śmierci. Usiłował teraz wyjść z dołu, wspinał się pod górę, ale piasek ciągle usuwał mu się spod nóg, więc staczał się ponownie na dno jamy, by po chwili z tym samym uporem i wytrwałością podejść pod górę, daremnie, bo znowu ześlizgiwał się w miejsce, skąd starał się wydostać. Esesmani mieli cudowne widowisko... Lagerarzt, który też się tu znalazł, obojętnie wycierał chusteczką spotniatę szklą okularów. Fritsch, zwrócony teraz do gromadki widzów, mówił coś podniesionym głosem. Odnosiło się to widać do kapów, bo nie czekając, aż skończy, dwóch z nich skoczyło do dołu. Dały się słyszeć głuche uderzenia pałek i rozdzierający jęk katowanego. Żyd padł na kolana i zgiąwszy się wpół starał się chronić głowę, nadstawiając mimo woli plecy, na które spadały teraz wszystkie uderzenia. Kapowie wiedzieli, gdzie należy bić. Tłukli po nerkach, fachowo! Maltretowany podniósł się jeszcze raz, ryknął nieludzko, aż oprawiający go kapo znieruchomieli, po czym zwałił się na wznak. Koniec! Wtem jeden z kapów nachylił się nad nim.

- On jeszcze żyje!... - stwierdził z nieukrywanym zdziwieniem, zwracając się do przypatrujących, jakby z usprawiedliwieniem.

- Was?! - wrzasnęła lagerfuhrer, wprost pieniąc się z wściekłości. To wystarczyło. Kapo położył drąg na potężnej szyi konającego, pohuścił się na nim przez chwilę, aż coś chrupnęło. Tym razem nie ulegało wątpliwości, że to koniec...".

Był to również koniec zaznaczonego tekstu, a cisza, która teraz panowała, była ciszą śmiertelną jak sama śmierć.

- Wyrwij strony, które czytałeś, szmalcowniku! - rozkazał „kominiarz”.

Generał wyrwał dwie kartki.

- Żryj!

Korecki przedarł je, przegryzł i przełknął, płucząc gardło czystą wódką „z gwinta”.

- Żegnamy i życzymy państwu smacznego! - powiedział wódz napastników, kierując się do drzwi. - Proszę jeść bez obaw, reszta jedzenia nie jest koszerna, meine Damen und Herren.

\*\*\*

Peerelowska Służba Bezpieczeństwa była zeuropeizowana na tyle, że stosowała system dziesiętny. Zgodnie z zarządzeniem ministra MSW każdy oficer SB musiał zwerbować dziesięciu swoich rodaków jako agentów TW (Tajny Współpracownik) i KO (Kontakt Operacyjny). To dziesiątkowanie społeczeństwa, opierające się, tak jak ekonomia komunistyczna, na scentralizowanym planowaniu, podobnie jak ona zakładało przekraczanie planów produkcyjnych - ten, kto je przekraczał, stawał się przodownikiem pracy esbeckiej i zbierał zasłużone premie, nagrody oraz awanse. Toteż gdy w 1989 roku zaczęto palić akta funkcjonariuszy i konfidentów - było co palić. Palono nawet w noc sylwestrową. I palono w 1990 roku. Przez cały ten czas palenia Polska miała już rząd antykomunistyczny, który wcale się nie palił do tego, by zostać strażakiem.

W owym wielkim „*auto-da-fe*” [- „Auto-da-fe” - stos inkwizycyjny (m.in. do palenia ksiąg).] spłonęły miliony dokumentów (akta personalne, akta spraw, kamyki gigantycznej mozaiki, elementy monstrualnej maszyny do szmacenia, krzywdzenia i wyniszczania narodu polskiego), lecz to, co uleciało z dymem - to był tylko balast, grożący kompromitacją, a właścicielom niepotrzebny To zaś, co było potrzebne na przyszłość - listy z nazwiskami, świadectwa niezbędne do trzymania sznurków, etc. - to zostało zachowane. W kraju, i w Moskwie, gdzie leżą tony mikrofilmów. Wszystkie oryginały, które pochłonął ogień nad Wisłą, są do odtworzenia z tych klisz. I tylko morze łez i krwi jest nie do wywabienia z tych sumień...

## Część VI

### 1990 – 1991

#### OPERACJA „ZIELONE JABŁKO”

Trzy najślawniejsze jabłka w dziejach gatunku ludzkiego należą do sfery mitologicznej, a każde z nich stanowi atrybut i narzędzie szatana. Ale ponieważ istotą bajek jest optymistyczne zakończenie - siłę szatańską można przemóc. Jabłko, które okrutnik umieścił na głowie niewinnego dziecka - Wilhelm Tell rozbił celną strzałą z boskiej kuszy. Jabłko, które zła królowa-czarownica ofiarowała niewinnej królownie Śnieżce - straciło swą trucicielską moc za sprawą jednego pocałunku czyli boskiej siły miłosego uczucia. Wreszcie jabłko, którym wąż-szatan skusił Ewę, by zepsuć dzieło Przedwiecznego - neutralizuje siła odkupienia: Boskiej męki i ludzkiej skruchy. Pesymizm tkwi tylko w piosence „Jabłuszko”, która narodziła się wraz z bolszewizmem, w dobie „Wielkiej Rewolucji Proletariatu”, i którą śpiewali więźniowie po łagrach i tiumach Kraju Rad:

*„Hej, jabłuszko niedojrzałe  
I dlatego wisi całe.*

*Hej, jabłuszko, serce boli,  
Od niewoli do niedoli.*

*Hej, jabłuszko, ty ze złota,  
A czerwoni to hołota.*

*Hej, jabłuszko, jakie cudne,  
A to życie takie trudne.*

*Hej, hej, jabłuszko  
Potoczyło się!  
W Czerezwyczejce  
Zagubiło się!"<sup>16</sup>*

Przez osiemset lat Polską rządili ludzie z herbów. Przez sto pięćdziesiąt lat ludzie z knutów. Przez dwadzieścia lat ludzie z Legionów. Przez pięć lat nadludzie z Hakenkreutzów. A potem „ludzie z marmuru”, który był gipsem ulepionym w sierp i młot. Gdy ten gips się rozsypał, władzę przejęli ludzie, którzy w sierpniu roku 1980, podczas strajku w stoczni gdańskiej, spali na płytach ze styropianu, bo w stoczni nie było łóżek ani materacy. Te białe noce związały ich braterstwo jak najmocniejsza przysięga, a ten strajk rozwalił komunizm nad Wisłą i nad Europą, więc kiedy formowano w Polsce nową władzę - ludzie ze styropianu nie mieli konkurencji w wyścigu do rządowych posiad.

Personalne decyzje znajdowały się w ręku demiurga odzyskanej wolności, Lecha Wałęsy. Urząd premiera Wałęsa dał Tadeuszowi Mazowieckiemu. Centralną gazetę „solidarnościową” Adamowi Michnikowi. Sam nie wziął żadnego warszawskiego fotela, usunął się na bok i mieszkał w Gdańsku jako robotniczy lider. Rządzący w Warszawie ludzie ze styropianu mieli pewność, że tym elektrykiem nie trzeba się już przejmować, gdyż jego czas to czas przeszły

---

<sup>16</sup> patrz Sergiusz Piaseczki: Jabłuszko; Spojrzę ja w okno; Nikt nie da nam zbawienia

dokonany.

Rządy ludzi ze styropianu zaczęły się 12 września A. D. 1989. Rządzili w asyście czerwonego sejmu (65 procent krzeseł mieli tam komuniści na skutek konszachtu „okrągło stołowego”) i czerwonego prezydenta, który był ostatnim polskim Quislingiem. Rządzili - licząc do wyborów prezydenckich A. D. 1990 - przez z górą rok. Cenzurę komunistyczną udało im się zlikwidować dopiero w drugiej połowie owego roku rządzenia. Natomiast w całym owym roku udało im się spowodować i tolerować taką liczbę mega-afery gospodarczych, że winno to zostać wpisane do „Księgi Rekordów Guinnessa” (nie żartuję!), gdyż Historia nie znała dotąd podobnego nagromadzenia w tak krótkim przedziale czasu kryminalnej działalności na skalę tak gigantyczną. Wśród tych afer największymi wykrytymi (głównie przez dziennikarzy i niezależnych publicystów) były: afera alkoholowa („*Schnapsgate*”), afera papierosowa („*Cigaretsgate*”), afera z kontami dewizowymi „S”, afera z markami wschodniemieckimi, afera z rublami transferowymi, afera z kasynami i kantorami, afera z oprocentowaniem kont w PKO, liczne afery z cłami (m.in. benzynowa, elektroniczna itp.), afera z tajnym wykupowaniem długu polskiego na tzw. rynku wtórnym („*FOZZgate*”).

W wyniku tych (i innych) afer Rzeczpospolita Polska utraciła biliony, biliony złotych (sumy nieprzeliczalne wprost), a tymczasem jej przemysł, szkolnictwo i szpitalnictwo, jak również kultura i nauka, popadły w kompletną ruinę, gdyż rząd odwrócił się od nich plecami z braku pieniędzy!

W wyniku tych (i innych) afer nie ukarano ani jednego kryminalisty. **Ani jednego!**

To ostatnie było przejawem stałości w polityce rządowej, albowiem rząd ów z premedytacją i z nieugiętą konsekwencją mordował w ciągu tamtego roku sprawiedliwość i propagował nieuczciwość.



Obie te krucjaty, dowodzone przez ludzi ze styropianu, całkowicie się powiodły.

Komuniści władali Polską niespełna pół wieku. Swoją władzę opierali na prawie, które sami dla siebie stworzyli, a stworzyli to prawo (będące najczystszy bezprawiem) mając w pełnej pogardzie społeczeństwo, czyli swych poddanych. „Majestat” owego bezprawia zwanego prawem usprawiedliwiał każde popełnione przez nich oszustwo, każdy rabunek i gwałt, każdy łajdacki trik i każdy zimny mord. Nie ma się więc co dziwić, że opozycja antykomunistyczna (a najgłośniej późniejsi ludzie ze styropianu) określała ten stan jako krańcowo niemoralny, praworządność komunistyczną jako niesprawiedliwość, a komunistów jako przestępców.

Lecz kiedy ludzie ze styropianu zdobyli władzę - zmienili poglądy: uznali komunistyczne „prawo” za prawo, wołając o przestrzeganie tego „prawa”. Prym w owym wołaniu wiódł czołowy herold styropianowych ludzi, Adam Michnik; kiedy w maju roku 1990 jeden z posłów sejmowych zażądał odebrania komunistom łupów, które grabili przez czterdzieści pięć lat, Adam M. na oczach milionów widzów zgromił takie żądania jako godzące w praworządność i nazwał je erupcją nienawiści. Polacy ujrzeli drugiego Rejtana - Rejtana „à rebours” - broniącego krzykiem prawa złodziei do kradzionych walorów.

Równie ciekawym aspektem nagłego umiłowania praw komunistycznych przez ludzi ze styropianu była niepisana amnestia, którą wcielili w życie. Dała ona te same prawa kryminalistom, co jako wodzowie, dziennikarze, gliniarze, biurokraci, aparatczycy, prawnicy, wojskowi i bezpieczniacy przez kilkadziesiąt lat byli agenturą obcego mocarstwa i dla dobra tegoż mocarstwa terroryzowali polski naród - oraz szeregowym antykomunistom, co się temu wszystkiemu sprzeciwiali, walcząc o niepodległość dla kraju. Tych, którym się ta urawniłowka nie spodobała, nazwano bestiami żądającymi

ohydnej zemsty czyli krwi. W ten sposób po raz drugi zabito w „niepodległej” Polsce sprawiedliwość, stanowiąc, iż przestępstwo (w tym i zbrodnia) winno być bezkarne.

Najgorzej wyszły na tej manipulacji wspomniane szeregi szarych antykomunistów - wyszły na frajerów. Ci ludzie, będący ogromną mniejszością społeczeństwa, przez całe lata nadstawiali łeb, walcząc z komunizmem w imieniu reszty - biernej, pokornej lub skurwionej. Płacili za to karierami, etatami, chorobami, szczęściem rodzinnym, siniakami od pałek, kratami i poniewierką. Gdy w końcu wygrali - okazało się, że przegrali. Że ludzie ze styropianu odtrącają ich, a hołubią komunistów, którzy - w przeciwieństwie do frajera, co walczył o zwycięstwo wolności i demokracji - są „przy gotówce” (tej zagrabionej), więc startują ku nowym horyzontom z pozycji nieporównanie lepszej. Frajer ujrzał jak przestępcom umożliwia się gremialne zawłaszczanie narodowego majątku (plus środków masowej komunikacji), a jemu pozostaje bida.

Wszystko to, co wymieniłem: afery dodatkowo zubożające kraj, który komuniści przekazali antykomunistom w stanie ruiny; odwołanie zarekwirowania majątku PZPR (tak by jak najmniej było w końcu do zarekwirowania); uznanie bezprawia stalinowskiego za obowiązujące prawo; zrównanie renegatów i patriotów w prawach obywatelskich; umożliwienie nomenklaturowym baronom rozdrapywania majątku narodowego; zohydowanie ludzi upominających się o karę dla morderców; spowalnianie (wręcz hamowanie) reform odkomunizowujących i odbudowujących kraj - wszystko to będzie piętnem niezmywalnym (a więc historycznym) na koncie pierwszego antykomunistycznego („antykomunistycznego”) polskiego rządu po II wojnie światowej. Lecz na tym koncie zostanie również krew antykomunistów rozlewana przy pomocy styropianowych ludzi. Kiedyś krytykowali zbrodnie komunistycznych junt, masakrujących własne niegrzeczne

społeczeństwa. Gdy sami dorwali się do władzy - bez żenady poczęli zaopatrywać birmańską czerwoną juntę w ciężką broń. Przy pomocy polskiego uzbrojenia, dostarczanego przez polskich antykomunistów, komuniści birmańscy masowo rozwalają birmańskich antykomunistów, pacyfikując antykomunistyczny bunt tego narodu. To już nie tylko bezwstyd ludzi ze styropianu - to coś gorszego. **Zbrodnia jakby Kainowa.**

Wśród wszystkich łotrów popełnionych przez „solidarnościowych” magnatów ze styropianu - najgorszym było zmarnowanie czasu, który już nie wróci. Gdyż ten pierwszy rok po obaleniu terroru komunistycznego - rok, kiedy rządził styropian - był wyjątkowym rokiem. W polityce zagranicznej był on rokiem wyjątkowym, bo Wielki Wschodni Niedźwiedź ciężko chorował i można było bardzo wiele na nim wymóc. Wszystkie państwa Układu Warszawskiego chwyciły w lot tę okazję, podpisując z ZSRR umowy o odejściu wojsk sowieckich do domu. Wszystkie - prócz Polski. Potem Niedźwiedź znowu zhardział i na taki układ było już za późno. A wewnątrz był to dlatego rok wyjątkowy, że był on czymś w rodzaju miodowego miesiąca. Polacy, ucieszeni klęską komunizmu, dawali nowej władzy na wszystko zgodę i wierząc w styropianowe obietnice wykazywali nadludzką cierpliwość. Był to fenomenalny kredyt zaufania ludzi rządzonych do ludzi rządzących - ci pierwsi gotowi byli ponieść wszelką ofiarę, aby ci drudzy mogli działać skutecznie dla wspólnego dobra. W tym pierwszym roku można było dokonać cudu. Zamiast tego - zmarnowano ów rok.

W 1941, gdy Hitler deptał Rosję, przygnębiony Stalin zdobył się na szczerość: **„Lenin stworzył nasze państwo, a myśmy je przesrali”**. Baronowie ze styropianu już w połowie roku 1990 mieli prawo trawestować te słowa tak: - **„Solidarność” wyzwoliła Polskę i dała nam szansę ją umocnić, a myśmy tę szansę przesrali!**

Rzeczywiście - przesrali ją.

Ludzie, widząc jak głupio i jak parszywie postępuje nowa władza we wszystkich prawie dziedzinach swej działalności, zaczęli... kłać „Solidarność”. Zrazu cicho, w duchu, potem coraz głośniejsze. Jedni krzykali: „**Gdzie jest ta sprawiedliwość?!**”, inni domagali się czynszów niższych od miesięcznych poborów (co było doprawdy nieprzyzwoitością, której ów rząd nie mógł zrozumieć nijak), jeszcze inni rozpętali strajki. Na murach pojawiły się modlitwy, które pół roku wcześniej uznano za przejaw choroby umysłowej: „**Komuno wróć!**”...

Lech Wałęsa umiał czytać takie graffiti o wiele lepiej niż styropianowa Warszawa, pogrążona w swym elitarnym zaćmieniu. Bez niego żaden ze styropianowych ludzi nie zostałby księciem. Wiedzieli o tym i to ich gniewało. Przy wszystkich pozorach szacunku - chcieli, aby się więcej nie wtrącał. Miał być prowincjonalnym murzynem, który już odwalił swoje i teraz winien dożywotnio wdychać jod na gdańskich deptakach, a Polskę mieli zajmować się oni. Lecz jemu nie o taką Polskę chodziło. Gdy miarka ich faryzeizmu i nieudolności się przebrała - wypowiedział im wojnę. Próbowano rozszarpać go według wzoru trzy razy „A” (jako autokratę, antysemitę i analfabetę) na łamach lewicowych i lewicujących gadzinówek, kierowanych przez ludzi, z których jeden był karykaturą Goebbelsa, a drugi bękartem Żdanowa. Nie pomogło - nie można już było wstrzymać Lecha Wałęsy. Zaczęła się wielka gra - wyścig do fotela prezydenckiego. Gorące jesienne dni 1990 roku.

\*\*\*

Niespełna pół wieku wcześniej, 1 lipca roku 1942, z tego samego powodu odebrał sobie życie najświetniejszy kawalerzysta Polski piłsudczykowskiej, generał (i dwudniowy prezydent RP), Bolesław Wieniawa Długoszowski. Z tego samego powodu - z powodu nienawiści między Polakami walczącymi o wolną Polskę i udzielający-

mi różnych odpowiedzi na pytanie: „jaka?”. Długoszowski był żołnierzem oraz poetą. Spłodził wierszyk „Ułańska jesień”; miał w nim wizję swego ostatniego marszu:

*„A potem mnie wysoko złożą na lawecie.  
Za trumną stanie biedny sierota - mój koń.  
I wy mnie, sz.wolez.ery, do grobu zniesiecie,  
A piechota w paradzie sprezentuje broń”.*

Żeby to się spełniło, czekał czterdzieści osiem lat na nowojorskim cmentarzu. Dopiero we wrześniu roku 1990 jego prochy zostały sprowadzone do Krakowa.

Olgierd Drozd znał Wieniawę, gdyż jego stary przyjaźnił się z królem polskich kawalerzystów; Olo, jako młodzik, widywał generała na przyjęciach w rodzinnym domu i na podmiejskich piknikach. A. D. 1990 był już niedołącznym starcem - wiadomość o sprowadzeniu prochów Wieniawy usłyszał siedząc w inwalidzkim wózku. Wezwał bratanka. Gdy Ludwik zjawił się, Olo wyłuszczył swą prośbę tonem rozkazującym:

- Zawieź mnie do Krakowa, chcę być na pogrzebie Wieniawy, synku!

- Stryju, przecież nie byłeś legionistą - zauważył „Bankier”.

- Ale kochałem generała. Kochałem tylko trzech mężczyzn: mego ojca a twojego dziadka, „Barry’ego” i Długoszowskiego.

- Myślałem, że i mnie!...- zażartował Ludwik.

- Ciebie inaczej kocham.

- A za co Wieniawę kochasz?

- Za to, że był najpiękniej polski wśród Polaków. Miał wszystko. Wszystko, co cudowne, i wszystko, co śmieszne, a nie miał w sobie krztyny lajdactwa.

Merc (z Olem na tylnym siedzeniu i ze złożonym wózkiem w

bagażniku) pofrunął gdy szarzała ciemność nocy i grzał stosiedemdziesiątką, asfaltem wolnym jeszcze od mandatów, pijanych chłopów i kur. Stryj drzemał. Potem się zbudził i zapytał o coś, o co pytał Ludwika ciągle:

- Kiedy się żenisz, synku?

- Z kim?

- Z kobietą!

- Nie mam żadnej kandydatki, stryju.

- Czemu?

- Bo mam ciężką chorobę.

- Ciężką chorobę?!... Jaką?

- To się nazywa: mizoginizm lub mizoginia i polega na przekonaniu, że mężczyźni są dla kobiet mniej więcej tym, czym zwierzęta dla człowieka - czymś malowniczym, interesującym, a nawet pożywnym, stryju!

- Więc w twoim życiu nic się nie zmieniło!... K.... m...!!

Znowu zapadło milczenie. Olo przymknął powieki - być może spał, a może przymknęła mu je złość. Za szybami świstały nudne krajobrazy ojczystego niżu - chałupy, pola i drzewa, czasami las lub ogród. Słońce walczyło z mgłą, a wycieraczki z robactwem. „*Nieprawda!* - pomyślał Ludwik. - *Wszystko zmieniło się w moim życiu!*”. Rzeczywiście - pierwszy raz w swym życiu usłyszał jak stryju rzuca soczystą „*laciną*” i pierwszy raz w swym życiu jechał do Krakowa nie po to, by ubić jakiś interes. Nie był już królem warszawskiego podziemia, nie brał udziału w kongresie mafii europejskich, który odbył się w Polsce zeszłego roku, nie musiał się martwić tym, że w czerwcu na szosie Warszawa-Katowice (koło Siestrzenia) sowiecki gang kropnął dwóch polskich cinkciarzy i że w sierpniu na Dworcu Centralnym w Warszawie kieszonkowcy wygrali bitwę z policją. To były sprawy Heldbauma i Rzęczka, który przestawał panować nad warszawskim „*Dziedzińcem Cudów*”. On, Ludwik Drozd, miał to już z

głowy.

Dojechał z dużym wyprzedzeniem. Wrzucili coś na ząb u Wierzyńka, obejrzeni witryny antykwaariatów i Ludwik wepchnął wózek do Bazyliki Mariackiej, gdzie odprawiano mszę za Długoszowskiego. A potem wszystko było już tak, jak Wieniawa wymarzył sobie w „Ułańskiej jesieni”: kondukt otwierała kawaleria (ułani Pułku Szwoleżerów), trumna spoczywała na armatniej lawecie, był spowity kirem koń, były srebrne głowy towarzyszy broni, pochylone orły na sztandarach, werble i czas cofnięty o pół wieku. Tysiące ludzi maszerowały za trumną, a wózek stryja Olgierda nie był jedynym inwalidzkim wózkiem w tej procesji. Przez ulice wawelskiego grodu kondukt dotarł na Rakowicki cmentarz, do kwatery legionistów marszałka Piłsudskiego, którego adiutantem i pupilem był Wieniawa.

Ceremonie oraz przemówienia trwały kilka godzin. Gdy przyszedł czas na powrót do domu i Ludwik wykręcił wózek, prawe koło zakleszczyło się między dwiema płytami chodnikowymi. Jakiś mężczyzna, chudy niczym derwisz, z postrzępioną czupryną i z lekko demonicznym wzrokiem, pomógł mu uwolnić wehikuł. Ludwik natychmiast go rozpoznał, telewizja od kilku dni reklamowała i przepytywała tego mężczyznę - Jerzego Kosińskiego, amerykańskiego pisarza o żydowskim rodowodzie i polskim pochodzeniu.

- Dziękuję, to bardzo miło z pańskiej strony, panie Kosiński - rzekł Drozd.

- I bardzo miło z pańskiej strony, że pan przyszedł ukłonić się generałowi Długoszowskiemu - dodał Olo.

- Przyszedłem ukłonić się wspomniałemu człowiekowi - rzekł pisarz.

- Koledze Tuwima, Słonimskiego i innych Polaków-Żydów. Wie pan, co generał Długoszowski odpowiedział zięciowi Mussoliniego, gdy ten tłumaczył kłeskę Rzeczypospolitej w trzydziestym dziewiątym roku zbyt wielką liczbą Żydów mieszkających w Polsce? Powiedział

mu: „Jest pan gorszy od Hitlera, bo jednym zdaniem wymordował pan dziewięć milionów moich rodaków!”.

- Myślę, że Wieniawie mniej by się spodobał pański „Malowany ptak”, niż panu ta odpowiedź Wieniawy - zauważył stryj Olo.

Kosiński przestał się uśmiechać:

- Pan też?

- Co ja też? - spytał Olo.

- Pan też uważa, tak jak wszyscy ci Żydożercy, że moja powieść jest antypolska, panie?...

- Drozd.

- Panie Drozd?...

- Nie. Mam jej do zarzucenia cztery grzechy inne - że jest słaba, że jest przereklamowana, że epatuje porno-sadyzmem w dość niestrawnym gatunku i że najlepsze jej fragmenty zerznął pan z etnograficznych dzieł Biegeleisena, to wszystko. Myślę, że teraz spokojnie zaliczy mnie pan do antysemitów.

- A nie jest pan antysemitą? - spytał Kosiński.

- Nie, panie Kosiński, nie jestem, brzydzi mnie każda forma rasizmu.

- Rozumiem. Pan jest tym nowoczesnym antysemitą, co to odżegnuje się od rasizmu jak diabeł od święconej wody. Model: „Nie mam nic przeciwko Żydom, ale nie odpowiada mi doktryna, według której mniejszość narodowa może, w imię tolerancji, narzucać większości swoją politykę”, ergo: „Żydzi za bardzo mieszają w moim kraju”. Czy tak?

- Rzeczywiście, uważam taką doktrynę za niewłaściwą, jestem zwolennikiem rządów większości. Oraz przeciwnikiem wmawiania antysemityzmu wszystkim Polakom, tak w jego wykładni szerokiej, rzekomo biologicznej, jak i wąskiej, czyli mentalnej. Wewnątrz tej wąskiej wykładni zmieściłby się nawet Isaac Bashevis Singer, bo w noweli „The Mentor” powiedział: „Żyd współczesny nie może żyć bez antysemityzmu. Jeśli antysemityzm gdzieś nie istnieje, on go stworzy”. Co



prawda w tej noweli mówi to żydowska intelektualistka, ale to jego myśl. A propos żydowskich intelektualistek - czy Hannah Arendt jest według pana antysemitką, bo na temat Holocaustu głosiła to, co głosiła, panie Kosiński?

Kosiński zbladł i zanim odszedł, burknął:

- Arendt bez cytatu, panie Drozd?... Dziwne, Singera cytuje pan z pamięci jak ze ściągawki. Życzę szczęśliwego wkuwania bon-motów. Szalom! [- Pokój (Pokój z tobą) - izraelskie powitanie lub pożegnanie.]

I odwrócił się, aby odejść, lecz stryj widocznie źle usłyszał, bo wyraził wątpliwość:

- Pańskie „Szalom” zabrzmiało jak „Szeol” [ - „Szeol” jest równoznaczny ze śmiercią w znaczeniu moralnym, ze stanem kary za złe życie. ], panie Kosiński.

- Powiedziałem: Szalom! - rzekł pisarz. - Pokój z panem.

- I z panem. Niech Bóg prowadzi. Mówię to z serca.

Kosiński znowu się uśmiechnął i odszedł, stawiając mocne kroki, niczym kroki paradujących gwardzistów.

Przez całą drogę do Warszawy wewnątrz samochodu królowała absolutna cisza, gdyż silniki firmy Daimler-Benz mają w zwyczaju funkcjonować bezszmerowo. Mrok powoli otulał ziemię, jak całun.

Światło lamp wyznaczało kres widoczności.

\*\*\*

Mur Berliński padł 9 listopada 1989 roku. W roku 1990 Niemcy były już całe zjednoczone i całe zachodnie, i w takich Niemczech nie było miejsca dla Markusa Wolfa. Przez chwilę sądził, że może jednak współobywatele mu wybaczą, bo przyłączył się do reformatorów, grał wśród nich czołową rolę i najgłośniej kłął STASI, w której pracował tyle lat. Sztuczka miała niewiele szans na sukces i nie dała efektów. Uciekł do Moskwy, rozpuszczając pogłoskę, że uciekł do

Hawany.

Już drugi raz uciekał do „Ojczyzny wszystkich komunistów”. Za pierwszym razem, gdy Hitler wskoczył na niemiecki tron, ojciec Markusa prysnął z synami do Szwajcarii (1933), potem do Francji, i wreszcie wylądował w Rosji, gdzie „Misza” ukończył, w miejscowości Kuznarenkowo, najtajniejszą szkołę średnią Komintemu, zakamuflowaną jako „Liceum Rolnicze nr 101”. Po powrocie do Niemiec wziął etat we wschodniobrzezińskim radiu (Berliner Rundfunk), później pracował w moskiewskiej ambasadzie NRD, wyszkolono go na super-szpiega i w roku 1958 zrobiono szefem enerdowskiego wywiadu. Uczynił z tego wywiadu aparat mistrzowski, między innymi dzięki temu, że kochał płec piękną. Żenił się trzykrotnie, miał kochanek bez liku, a seks traktował jako nerw szpiegostwa - utrzymywał dużą stajnię ogierów, którzy rozkochiwali niedopieczzone sekretarki zachodnich ministerstw i NATO. Te dziewczyny wykradały tony dokumentów, ale nie mogły ukraść Zachodowi zwycięstwa nad komunizmem. Dlatego Markus Wolf musiał po raz drugi uciekać do kraju, który stworzył Markusa Wolfa i którym Markus Wolf gardził, więcej, brzydził się, gdyż ten kraj był krajem barbarzyńców.

Zastał Rosję głodną, jęczącą, w stanie totalnego rozprzężenia. Gorbaczow, dopiero co uwielbiany guru, teraz był przeklinany, a najpopularniejszy moskiewski dowcip brzmiał tak: „**Gorbaczow stoi przed swoim portretem i pyta: «Czy wkrótce zdejmą nas obu?».** «**Nie - odpowiada portret. - Mnie zdejmą, a ciebie powieszę**»”. Kiedyś za klepanie takich dowcipów miało się w Rosji duże kłopoty. Teraz wolno było dowcipkować bez najmniejszego strachu, głośno i publicznie. Ale poza tym Gorbaczow nie zreformował niczego, reszta mu się nie udała. „Gdyby dowcipami można było zapchać zotądkę - mruknął Wolf, gapiąc się w twarz Gorbaczowa, który patrzył nań z telewizyjnego ekranu - wówczas uratowałbyś wszystko, swój komunizm,

*swoją partię i swoją charyzmę".*

Schizofreniczność Gorbaczowowskiej reformy, zwanej „*pieriestrojka*”, była dla Wolfa oczywista, i to od samego początku. „*Pieriestrojka*” nie stanowiła aktu dobrej woli, chociaż gromady głupich zachodnich polityków i całe zachodnie społeczeństwa za taki akt wzięły ją - została wymuszona krachem ekonomicznym idei totalitarno-komunistycznej. Gorbaczow, będący produktem i zakładnikiem systemu, wierzył w swej naiwności, że można przeprowadzić reformę kosmetyczną, która poprawi system, ale nie rozłoży go. Chciał to wykonać po kawałeczku, jak chłop, który oczyszcza główkę kapusty zrywając zewnętrzne, zgniłe liście - gdy zerwał, okazało się, że środek jest również przegniły i że cała kapusta rozsypuje się jak próchno. Wtedy począł się szamotać między liberalizmem a zamordyzmem, między wieńcem laurowym otrzymanym od Zachodu a „*azjatyckim remedium*” (dekapitacją lub detronizacją cara), którym zagrozili mu stalinowcy armijni i policyjni. Schizofreniczność „*pieriestrojki*” polegała na tym, że demokratyzujący państwo Gorbaczow chciał uczynić z Wielkiej Rosji kobietę, która jest tylko trochę w ciąży. Ale ciąża i demokracja mają to do siebie, że albo są stuprocentowe, albo wcale ich nie ma. I obie w swych wczesnych etapach mogą ulec krwawemu wyskrobaniu.

Wolf myślał o tym jeżdżąc po całej Moskwie i próbując kupić bukiet kwiatów dla żony dygnitarza, do którego zaproszono go na kieliszek wódki. W sześciu kolejnych kwiaciarniach mieli tylko kwiaty z plastiku. Gdy wyszedł z siódmej (w której też były tylko sztuczne kwiaty), wściekł się na cały głos:

- Szlag by trafił to wszystko, psiakrew! Stolica imperium, a nie można kupić jednego kwiatka!

Przydzielony mu szofer wzruszył ramionami i spytał filozoficznie:

- Tawariszcz gienierał, a na ch... nam cwiety?

To też była „*pieriestrojka*” - Wolf zrozumiał jeszcze więcej niż rozumiał dotąd.

Następnego dnia generał Kriuczkwow wezwał go do siebie i powiedział:

- Misza, trzeba było zadzwonić do mnie, a ja bym ci podesłał trochę kwiatów.

- Nie wiedziałem, że KGB hoduje kwiaty - rzekł cierpko Markus.

- KGB hoduje wszystko i wszystkich, dobrze o tym wiesz. Wezwałem cię w sprawie polskiego ogródka... Gdy już mówię o polskim ogródku... Bez dawania kwiatów można żyć, ale czy można żyć bez wysyłania listów? A nie można wysłać listów bez znaczków pocztowych, prawda? Mój warszawski ambasador doniósł mi, że w całej Polsce, rozumiesz, w całej Polsce nie można kupić znaczków, czasami tylko na pocztę są. Dawniej były w każdym kiosku z gazetami, na każdej ulicy, ale dzisiaj kioskarze nie chcą już nimi handlować. A wiesz dlaczego? Dlatego, że wprowadzono nowe podatki, antykomunistyczne. Marża od znaczka wynosi dwa procent jego wartości, a podatek od sprzedania tego znaczka pięć procent, więc na każdym znaczku kioskarz traci, bo do każdego musi dopłacać trzy procent wartości znaczka. No to on ma w dupie taki interes, nie chce brać do ręki znaczków, jest trochę inteligentniejszy od ministra, który ustala siatkę podatkową. To nie jest tylko przykład z inteligencji i z matematyki, lecz także z funkcjonowania rynku kapitalistycznego, z kapitalizmu... Ale wracając do ciebie. Jesteś bezrobotny, może chcesz się zabawić w Polsce, to lepsze niż beczynność.

- W co zabawić?

- W tak zwaną spiskową teorię dziejów, a dokładnie w przekucie owej teorii na rzeczywistość czyli praktykę. Mamy tam wielu naszych ludzi, funkcjonariuszy i konfidentów.

- Jak w Polsce ujawnią listę konfidentów... - rzekł Wolf.

- Nie ujawnią. Wiesz kto był pierwszym cudzoziemskim dygnitarzem, z którym spotkał się pierwszy niekomunistyczny premier w powojennej Polsce, gaspadin Tadeusz Mazowiecki? Spotkał się ze mną. W sześć par oczu, bo razem z nami był minister bezpieczeństwa polskiej, generał Kiszczak. Mazowiecki miał pretensje, że Kiszczak pali tony esbeckich dokumentów. Wówczas powiedzieliśmy panu premierowi, że polska antykomunistyczna opozycja winna całować nam za to ręce, bo palimy księgę hańby tysięcy jej członków. Nasza działalność jest oczywista, ujawnienie tych papierów nam by nie zaszkodziło. Ale im...

- Towarzyszu przewodniczący, myślę o listach tych konfidentów, którzy mają pracować dla nas dalej. Gdyby to zostało...

- Paczemu ty biezpokoiszsa?... Tam jest dużo wpływowych samarytańskich dusz, które nie dopuszczą do ujawnień. Takich dusz, jak choćby Adam Michnik...

- Ja mu się nie dziwię... - mruknął Markus. - Słucham, towarzyszu przewodniczący, w czym dielo?

\*\*\*

Zadzwoiła służąca, którą Ludwik wynajął do opieki nad stryjem.

- Proszę pana, pan Olgierd jest w szpitalu.

- Dlaczego?

- Serce mu zachorowało. Jak tylko wróciliście z Krakowa.

- I pani dzwoni dopiero dziś?!

- Nie mogłam znaleźć pańskiego telefonu...

Pojechał do szpitala nawet się nie goląc. Stryj wyglądał źle, był błękitny na twarzy.

- Przepraszam, stryju, dopiero się dowiedziałem!

- Wszystko gra, bez paniki, synku. Weź ten taboret i usiądź.

- Zawał i wszystko gra?

- Pierwszy zawał to żaden zawał.

- Nie chrzań, stryju! Chcę porozmawiać z lekarzem...

- Są teraz na bloku operacyjnym. Później z nimi pogadasz, pogadaj ze mną. Co słysząc w nieszpitalnym świecie?

- Słysząc, że jeden debil wziął swego stryja do Krakowa, na cmentarz, aby go tam wykończyć w celu szybszego przysypania ojczystą glebą na warszawskim cmentarzu!

- Ludwiku, to była dla mnie wielka przyjemność...

- Stryju, załatwiła cię rozmowa z Kosińskim. Nie wiem dlaczego aż tak mocno to przeżyłeś, ale to fakt. Myślałem o tym w ciągu tych dwóch dni, bo kilku rzeczy nie zrozumiałem. I ciebie też nie rozumiem. Mogłeś chyba powiedzieć temu człowiekowi, kogo dziadek ukrywał w służbówce za szafą. Ty i mój stary każdego dnia nosiliście tym ludziom jedzenie, wiedząc, że Szwaby całą naszą rodzinę postawią pod mur jeśli to się wyda.

- Nie mogłem. Byłoby mi wstyd.

- Wstyd?!

- Takie rzeczy należy robić, synku, ale nie można się nimi chwalić, bo wówczas przekreślasz czyn autokremlą. Twój dziadek wstałby z grobu i dałby mi w mordę. Kosiński zresztą doskonale wie ilu Polaków ukrywało Żydów i jaka była za to kara. A ja doskonale wiem, co by mi na to odpowiedział, gdybym się jednak wygłupił i pochwalił. Mówiłby o „Hassliebe” [- niemieckie słowo, oznaczające jednoczesną miłość i nienawiść.], o tym, że Polak nawet ratując Żyda pozostaje antysemitą... Dialog bez sensu! Może miałem jeszcze wyjąć szklane oko i powiedzieć, kto mi wybił prawdziwe, i przekonywać, że jak ubecy mnie tłukli, to byli dla mnie tylko skurwysynami, że widziałem w nich jedynie ubeków, a nie Żydów? Daruj, ale...

Weszła pielęgniarka, by zrobić Olgierdowi zastrzyk. Była wysoka, ładna jak marzenie, i miała fartuch opięty z tyłu jak następne marzenie.

- Niech pan się odwróci - powiedziała do Ludwika, a do Olgierda: - Proszę na brzuch i gacie niżej.

- Odwróć się, kiedy pani będzie brała zastrzyk - rzekł młodszy Drozd.

Spojrzała nań zdumiona, jakby się urwał z choinki:

- Więc pan zawsze postępuje inaczej niż akurat trzeba?...

I uśmiechnęła się prowokująco. Kiedy wyszła, wrócili do rozmowy:

- Kolnąłeś go, stryju, przypominając mu Hannah Arendt. O co tu chodzi, co ona takiego pisała o zagładzie Żydów?

- Że bez współpracy europejskich Żydów Niemcy absolutnie nie mogliby przeprowadzić „ostatecznego rozwiązania”. Najostrzej pisała o tym w „**Eichmann in Jerusalem**”. Chcieli ją ukrzyżować za to.

- A on ci odwinął Singerem, że cytujesz z pamięci...

- Singer to mój ukochany pisarz. Każdą jego rzecz czytałem kilkakrotnie, mógłbym więcej zacytować Kosińskiemu. Choćby z „The Mentor”, gdzie rzekł: „**Współcześni Żydzi podobni są do kobiet - pragną tajnej władzy**”. W innej noweli tak przyłożył pobratymcom, jak niewielu antysemitów, i zakończył zgryźliwie: „**Jeżeli Mesjasz ma przyjść, będzie musiał przyjść do nich, bo nie ma innych**”... Ale to też bez sensu, takie cytowanie, jak każde wrywanie zdań. Antysemitom przykładał częściej i mocniej, i miał całkowitą słuszość. Znasz choć jedną rzecz Singera?

- Nic.

- Weź ode mnie z domu. Jest cudowny, a każda jego kolejna książka jest lepsza, on starzeje się i mądrzeje, i tworzy coraz bardziej genialnie. Szkoda, że jest już tak stary i umrze niedługo, powinien żyć tysiąc lat! Nikt tak jak on nie umie pisać o życiu, o wszystkim, także o tym, dlaczego ty się nie ożeniłeś.

- To znaczy o czym?

- O kobietach. Ale też nikt nie umie tak pięknie jak on pisać o miłości. O wszystkim, co jest w człowieku i w jego wędrowaniu do

nikąd. Los nie dał mi syna, lecz biologicznie wprost czuję się ojcem ilekroć czytam jego nowelę zatytułowaną „Syn”, o tym jak witał swego syna w Nowym Jorku, syna, którego nie widział dwadzieścia lat. Powinieneś przeczytać to wszystko. Zacznij od „Szabasu w Portugalii”, to taka mała nowela...

- Dlaczego od niej mam zacząć?

- Dlatego, że chcę, aby Singer znokautował cię już podczas pierwszej rundy.

Wychodząc Ludwik zapytał:

- Co mogę dla ciebie zrobić, stryju?

- Namów tę pielęgniarkę, żeby odtńczyła tu strip-tease, to wszystko.

Ludwik znalazł ją w pokoju pielęgniarek.

- Przepraszam, czy mogę zamienić z panią kilka słów?

- Tylko kilka?...

- O stryju tylko kilka.

- Czy on się skarżył na coś?

- Na panią. Że pani ubiera się zbyt szczelnie. Nie lubi kobiet tekstylnych.

- A to rodzinne u Drozdów?

- A chcesz się przekonać?

- Kiedy?

Umówił się z nią; gdyby tego nie zrobił, jego zbyt długo już głodzona anatomia podniosłaby wrzask i wypowiedziałaby mu otwartą wojnę.

Z domu stryja wziął dwie książki Singera. Zaczął od noweli, od której stryj kazał mu zacząć. Nie było to klasyczne opowiadanie, raczej wspominek pisarza z Lizbony. Obcy mężczyzna (znajomy znajomego) zaprosił Singera na kolację do swego domu. W rysach podstarzałej już pani domu Singer ujrzał swą młodzieńczą miłość, Esterę, rozstrzelaną przez nazistów w 1943. Zakończenie wykonało



ów nokaut, o którym mówił stryj Olgierd:

„Pokój był peten cieni. Przepęlniła mnie tęsknota szabasowego zmierzchu i przypomniała mi się modlitwa matki «Boże Abrahama».

*Przez dłuższy czas milczeliśmy. W półcieniu kobieta wydawała się młodsza i jeszcze bardziej przypominała Esterę. Jej czarne oczy wpatrywały się w moje badawczo i z zakłopotaniem, jak gdyby ona również rozpoznawała we mnie kogoś z przeszłości. Mój Boże, to była Estera - ta sama figura, włosy, czoło, nos, szyja. Zadrzałem. Obudziła się moja dawna miłość. Estera wróciła!...*

*Siedziałem porażony i pełen pokory, jak człowiek, któremu opatrność okazuje specjalne względy. Z trudem powstrzymywałem się, żeby nie podbiec do niej, nie paść na kolana i nie pokryć jej pocałunkami. Uświadomiłem sobie, że prawie nie słyszałem jej głosu. W tym momencie odezwała się i był to głos Estery. Zadała mi pytanie po portugalsku, ale brzmiał w nim ton i brzmienie jidysz Estery. Wydawało mi się, że rozumiałem jej słowa zanim mi je przetłumaczono:*

*- Czy wierzysz w zmartwychwstanie zmartwych? Ustyszatam swoją wiosną odpowiedź:*

*- Oni nigdy nie umarli".*

Tłum. Elżbieta Petrajtis-O'Neill.

\*\*\*

Pod koniec września, w budynku warszawskiej centrali KGB (dom przy ulicy Belwederskiej) zebrało się dwudziestu oficerów MSW - wyselekcjonowana grupa esbeków, dla których zawsze (a tym bardziej obecnie) pierwszą władzą była Moskwa i dopiero drugą Warszawa. Wezwanie dostali w trybie alarmowym. Nie mieli pojęcia czemu ma służyć ten spęd i to budziło ich niepokój.

Generał Mironienko przyjął ich w salce, w której był duży stół i krzesło dla każdego, kazał siadać i czekać, po czym zniknął i już nie wrócił, co wzmoгло niepokój. Czekali kilka minut, pałac nerwowo

papierosy i prawie się do siebie nie odzywając, bo w takim miejscu milczenie jest bardziej złotem niż gdzie indziej. Gdy wreszcie do sali wkroczył Wolf, napięcie spadło o kilka punktów. Miał pod pachą aktówkę, którą rzucił na blat i nim usiadł, przywitał grono:

- Zdrastwujcie, młodycy!

Odmruknęli mu to powitanie. Każdy go znał, ale wizyta była i niespodziewana i trochę śmierdząca, więc do wzajemnych czułości brakowało klimatu.

- Czy to pogrzeb? - spytał Wolf. - Macie takie miny, jak wasza inteligencja artystyczna, która ku swojemu zdumieniu czuje się w antykomunizmie gorzej niż w komunizmie. Teraz dopiero widzą jakim komfortem było mieć jednego oswojonego wroga, z którym współżyło się po ludzku, którego nienawidziło się po bratersku, którego wykpiwało się przy piwku i kieliszku, i z którym też za wsze można było się napić, a potem go kłąć i wyzywać, rzeźbiąc sobie tym autoportret patrioty niezłomnego. Budzą się z rączką w nocniku!... Ale przejdźmy do naszych spraw. W Moskwie otrzymałem misję specjalną. Mam ją zacząć od rozmowy z wami i jeszcze nie zacząłem tej rozmowy, a już widzę, że pękacie ze strachu, panowie!

- Czego niby mielibyśmy się bać? - spytał najmłodszy w towarzystwie, major Laguna.

- Choćby tego, że zacytuję Talmud, który mówi: „*Tow szebagojim harog*” czyli: „*Zabij najlepszego z gojów*”.

Rzucając te słowa poraził ich tak, jak Mesmer wstrząsał ludźmi za pomocą magnetyzmu zwierzęcego - prąd przeszedł ciało każdego z siedzących przy stole. Heldbaum, już uprzednio wkurzony raportowym wezwaniem i nerwowym oczekiwaniem na nieznanego wodzireja, krzyknął:

- Kanoniczny Talmud nic podobnego nie mówi, mówi to traktat Soferim 15, który jest apokryfem! Do tego pełny cytat brzmi: „*Najlepszego z gojów czasu wojny zabij!*”

- A nie toczymy wojny, pułkowniku? - spytał Wolf.

Heldbaum prychnął jak wściekły kocur i zripostował tak gwałtownie, że na blat poczęły padać krople jego śliny:

- Szymonowi ben Jochajowi, który powiedział te słowa, chodziło o wojnę z faraonem! Ten wyrwany z kontekstu cytat to jedna z podstawowych sztuczek wojujących antysemitów! Jeśli chcecie nas namówić do kolejnego zamachu na papieża, to ja od razu wysiadam z tego pociągu, bo to zbyt niebezpieczne i grozi zbyt dużą kompromitacją. Chcecie, to bawcie się w to sami, bez nas!

Dostał brawa od kolegów i zobaczył u Wolfa makijaż pt. zdumiona niewinność; Wolf rozłożył ręce:

- A czy ja mówię o zamachu na papieża? Ja tylko powiedziałem, że macie miny tak wystraszone, jakbyście się bali, że ktoś wam poleci to zrobić. Propozycja jest inna: zróbcie prezydentem najlepszego z kandydatów.

Znowu ich osłupił, jak magik, który posiada kapelusz pełen osłupień.

- To znaczy kogo? - zapytał Heldbaum.

- Powiedziałem: najlepszego.

- Cimoszewicza?!...

- Kandydat leninowskiej partii chwilowo nie ma u was szans - wyjaśnił im Wolf to, co każdy z nich wiedział bez żadnych wyjaśnień.

- Nikt nie ma szans - mruknął jeden z oficerów. - Ani Bartoszcze, ani Moczulski, chyba nawet Mazowiecki nie da rady. Wałęsa wygra bez trudu.

- Będzie startował jeszcze jeden facet - zakomunikował im Wolf. - Nazywa się Stanisław Tymiński.

- Nie będzie - rzekł pułkownik Rut. - Aby zostać kandydatem w wyborach, trzeba zebrać sto tysięcy podpisów, taki jest wymóg ordynacji. Sto tysięcy ludzi musi poprzeć kandydaturę!

- Nie, drogi kolego, wystarczy, że kilku ludzi poprze tę kandydaturę. Ci ludzie już ją poparli i przysłali mnie tu, żebym was zawiadomił jaka jest decyzja i jaka jest robota do wykonania. Najpierw te sto tysięcy podpisów. Cóż to jest sto tysięcy podpisów? To chyba żaden problem?

- Właściwie tak, tylko po co? W wyborach ten facet się ośmieszy, nikt go tu nie zna, jego elektorat nie istnieje, po co inwestować w takie nic? Żeby zebrał pół procenta głosów i zobaczył swoje zdjęcie na plakatach?

- Chodzi o to, żeby ten facet wygrał wybory - rzekł Wolf.

Heldbaum spojrział na niego rozszerzonym wzrokiem. Jeśli idiotyzmy mówi kretyn, to wszystko jest w porządku. Jeśli czub w Tworkach uważa się za Jezusa Chrystusa lub za Napoleona Bonaparte, to też wszystko jest w porządku (zwłaszcza, że wybrał sobie dobre wcielenia). Ale jeśli ktoś inteligentny twierdzi, że prezydentem Polaków może zostać kosmita z Marsa, bo Polacy go wybiorą, to ten twierdzący musi mieć coś na opak we łbie. Chyba że to coś jest szaleństwem typu Einsteinowskiego, lecz w cuda Heldbaum już od dawna nie wierzył.

- Widziałem faceta jakiś miesiąc temu - powiedział. - Był tu w sprawie swojej książki, której tytułu nie pamiętam, pamiętam jedynie, że ten tytuł miał coś kynologicznego, i pamiętam jego gębę. To gość o elektronicznym wzroku zawodowego ewangelisty i o aparycji notarialnego urzędnika, a mówi tak, jakby mełł w zębach kluchy, Wałęsa jest przy nim polonistą! W sumie tandeta i to tandeta nikomu nie znana. W grach wyborczych zdarzają się różne cuda, ale nawet cuda mają swoje granice!

- Zaraz przypomnę wam ostatni cud wyborczy - rzekł Wolf. - Najpierw jednak kilka informacji o tym cwaniaku, bo pewnie nie wszyscy z was go znają. To biznesman. Polskę opuścił jako gówniarz, dorobił się w Peru i w Kanadzie, obraca milionami. W

maju został przywódcą śmiesznej kanadyjskiej partyjki LPC [-Libertarian Party of Canada.]. Już w zeszłym roku interesował go fotel senatora...

- W Kanadzie?

- W Polsce. Interesował się waszymi wyborami do senatu, prowadził w tej sprawie korespondencję z waszym konsulem generalnym w Toronto. A teraz cud. W Peru dopiero co wybrano prezydenta. Kogo wybrali Peruwiańczycy? Japończyka, który pojawił się ni stąd ni zowąd w ostatnim momencie, i wbrew wszystkim sondażom przedwyborczym pobił na łeb faworytów! Cały świat uznał to za cudowne, a Tymiański był wtedy w Peru i widział to. I uwierzył, że ma taką samą szansę u Polaków, jak Fujimori u Peruwiańczyków, a nawet większą, bo nie jest skośnooki, jest Polakiem! Któryś z was powiedział, że on nie ma żadnego elektoratu. Ma, i to ogromny, tylko na razie milczący, więc źle dostrzegalny. Polska to nie tylko paczka komunistów i paczka antykomunistów. Pośrodku jest horda tych, co komunizm i antykomunizm mają w nosie, pragną jedynie trzech rzeczy: dostatku, dostatku i jeszcze raz dostatku. Forsy i michy! I to szybko! Już! I on im to obieca!

- Co obieca? Że jak wygra, to nazajutrz wszyscy staną się bogaczami? - spytał pułkownik Krzonek.

- Dokładnie tak. Eldorado, Sezam, złoto Inków w trybie natchmiastowym. Sztuka uwodzenia polega na sztuce kłamania i obiecywania, kto bezczelniej bajeruje, ten zbiera słodkie owoce. Mamy za sobą kilka tysięcy lat uprawiania polityki, a ta prastara zasada wciąż jest najmodniejsza, bo niezawodna.

- Ilu znajdzie takich przygłupów, którzy... - zaczął Krzonek.

- Każde społeczeństwo składa się w dużej mierze z zupełnych kretynów - przerwał mu Wolf. - Ale nie tylko z kretynów. Także z ludzi rozczarowanych - biednych, głodnych, nieszczęśliwych, sfrustrowanych, poszkodowanych, liczących na cud i na nic więcej. I

tacy ludzie głosują na cudotwórców czyli szarlatanów. To są jego klienci polityczni, którym on sprzeda rzecz dla nich bezcenną - nadzieję. Ci ludzie tak jej potrzebują, że usłyszawszy od niego to, co chcą usłyszeć, oddadzą się mu jak wygłodzone kobiety. To jest jego elektorat! Elektorat, który czeka na niego. I kogo ten elektorat zobaczy? Mesjasza, na którego czeka. Świętego Mikołaja. Samotnego, tajemniczego kowboja, który utopię zamieni w rzeczywistość. To zobaczą najgłupszy. Ale i ci rozsądniej się zobaczą kogoś, kogo polubią. Zobaczą człowieka sukcesu, który własnymi rękami oraz własnymi sztuczkami zdobył duży majątek. Co to oznacza? Że ten człowiek umie robić pieniądze, prosi panów, a więc jest bardziej wiarygodny od tych, co potrafią robić tylko polityczny wrzask. Ludzie mają tego wrzasku dość, wrzasku komunistów i wrzasku „solidarnościowców”. A ten „self-made man”, milioner, zbawca obiecujący natychmiastowy raj dla każdego, nie jest związany z żadnym starym układem, z żadną polityczną przepychanką, jest absolutnie niezależny, czyściuteńki, to też jego atut. Że z trudem się wyraża? Panowie! Do ludzi prostych trzeba mówić językiem prostym. Takim mówi Wałęsa, ale on mówi językiem fabryki i ulicy, a Tymiński będzie czarował językiem „mydlanych oper”, językiem dla gospodyń domowych, prostaków i ćwierćinteligentów, których w Polsce, jak wszędzie, jest dużo większa liczba niż ludzi, którzy myślą. On ma tylko jeden prawdziwy minus - nie ma zaplecza, nie ma aparatu, sztabu, nie ma ludzi do odwalania roboty propagandowej i technicznej. Bez tego nie będzie miał szans. Więc dajmy mu to, do cholery! Was zweryfikowano pozytywnie w MSW, ale wielu waszych kolegów wyrzucono, na prowincji i w Warszawie, dajcie ich Tymińskiemu, niech robią dla niego to, co trzeba!

Dyskutowali jeszcze przez godzinę. Potem Wolf napił się kwasu chlebowego i rzekł:

- Gaspada ofiцieri! Za dwa miesiące pierwsza tura wyborów. Te

dwa miesiące to pierwsza część naszej operacji, którą oznaczymy kryptonimem...

Spojrzał na plecioną tackę z owocami, leżącą pośrodku stołu, sięgnął do niej i uniósł zielone jabłko.

- „Zielone jabłko”!

Wszyscy wybuchnęli śmiechem, prócz Wolfa i Heldbauma. Gdy się rozeszli, Wolf konferował jeszcze z Mironienką, a później Heldbaum wziął go do swego domu. Po drodze spytał:

- Czy ten gość ma uczynić Polskę punktem przerzutowym dla narkotyków z Kolumbii i Peru do Rosji?

Teraz roześmiał się Wolf

- A więc o to mnie podejrzewasz, stary lisie!

- Nie ciebie, tylko Kriuczkowa.

- Błąd, nic z tych rzeczy. Ten facet ma zostać waszym prezydentem, ot i wszystko.

- Nie przejdzie nawet pierwszej tury.

- Założysz się?

- O mój dom i o całą zawartość tego domu.

- Miałbym potem wyrzuty sumienia! Grajmy o...

- O co?

- ... o twojego agenta numer jeden. Jeśli przegrasz, oddasz mi smycz.

- A jeśli ty przegrasz, Wolf?

- Smycz za smycz. Dostaniesz agenta, którego mam w Warszawie.

- Kelnera czy fryzjera?

- Nie bądź taki dowcipny. Wiceministra!

\*\*\*

Wszystko można przedstawić uczenie, zamiast po prostu. No więc uczenie brzmiałoby to tak:

Rysem charakterystycznym dzisiejszych czasów jest sakralizacja

jednostki i degradacja więzi społecznej. Zalety więzi społecznej, nawet tak ważnej jak komórka rodzinna, poniosły w XX wieku klęskę w meczu z prawami jednostki, które to prawa są realizowane kosztem owych więzi.

Bardziej po prostu można to tak ująć:

Współcześni rodzice zajmują się wszystkim, tylko nie tym, co najważniejsze: wychowywaniem własnych dzieci na ludzi. Czułość, cierpliwość i odpowiedzialność zastąpiło trajlowanie o potrzebie własnego szczęścia i samorealizacji w życiu. Oznacza to uganianie się za prestiżem, forszą i romansami, a dzieciom kupuje się prezenty na Gwiazdkę i niech się same o siebie martwią, ja nie mam czasu! Co druga rodzina zostaje przez to rozbita lub nie zostaje rozbita, ale jest martwa.

Odkąd rodzina Barbary Brodziuch (de domo Zarębskiej) uległa zdemontowaniu, Barbara chciała być jeszcze lepszą matką; było to efektem wyrzutów sumienia i w praktyce oznaczało, że Barbara cały swój wolny czas poświęci synowi. Miała z nim kontakt przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, gdyż była nauczycielką, a Piotruś uczęszczał do tej samej gdańskiej szkoły, w której „*panią od angielskiego*” była jego mama. Mężczyźni - istoty wrogie, producenci wszystkich nieszczęść Barbary Brodziuch - przestali ją interesować; patrzeć mogła tylko na brata, Rafała Zarębskiego. A gdy spojrzała w końcu na swego kolegę, wicedyrektora szkoły, i gdy zastąpiła nim swój elektryczny aparacik do masażu, on (pan wicedyrektor szkoły) potraktował ją jak elektryczny otwór do masażu i gdy mu się znudziła, rzucił dla kobiety młodszej i ładniejszej. Od tej pory czuła do dużych mężczyzn jeszcze większą wrogość. Przysięgła sobie, że koniec z romansami. Ale i tu została oszukana - przez czas i przez własne ciało. Czas bowiem sprawił, że Piotr wyrósł na zdrowego „*teenagera*” i wzorem współczesnych „*teenagerów*” częściej niż w domu bywał poza domem. A ciało (ledwie czterdziestoletnie) wyło z



wściekłości, że jego właścicielka żyje z maszynką elektryczną. Puste popołudnia też były, nie zadawałając się kinem lub telewizorem czyli bezruchem. I wtedy „zapoznała” Juliana Liszcza, aktora gdańskiego teatru. Wzięła rozwód z maszynką, bo popołudnia pulsowały jej odtąd w rytmach latynoskich.

Pan Julian był człowiekiem o trochę podejrzanym umysłowym wyposażeniu, lecz inne fragmenty wyposażenia miał na dobrym poziomie, z pewnością lepszym niż jego trzeciorzędne aktorstwo. Jako podwójny rozwodnik i facet nie umiejący przyszyć sobie guzika bądź usmażyć jajka, szukał kobiety, która umie przyszyć i usmażyć. Nim został aktorem, był (w młodości) rockmanem, to znaczy solistą w zespole rockowym, i od tego czasu została mu kolekcja taśm z nagraniami rytmicznych dźwięków. Tylko że to nie były dźwięki muzyczne. Jego big-beatowa grupa dawała w całym kraju koncerty. Wojażowała własnym autokarem, do którego po koncercie wskakiwały tak zwane fanki, żeby uzyskać od swych idoli autografy kreślone męskim długopisem na materacach, na siedzeniach lub na stojąco. Jęklive echa podpisów zespół rejestrował mikrofonami i głowicami magnetofonów, i później przestuchiwał sobie podczas libacji albo orgii. Pan Julian lubił wracać do tych taśm wypełnionych kocim spazmem - przypominały mu młodość. Któregoś dnia Barbara nakryła go w trakcie wspomnieniowej sesji i myśląc, że to jej melodia płynie z głośnika, rozwalila magnetofon, zabrała taśmę i ponownie obraziła się na chłopów.

Z wyjątkiem jednego - z wyjątkiem człowieka, który kiedyś symbolizował dla niej szatana. Ten człowiek, pułkownik Heldbaum, miał ją w rękę i mógł z nią zrobić wszystko. Była pewna, że przeniósł ją na Wybrzeże, aby szpiegowała swego brata, który pracował u boku Wałęsy. Lecz mijał rok za rokiem, a pułkownik nie wydał jej ani jednego polecenia, nie zażądał ani jednego meldunku, nie pchnął do żadnej prowokacji. Zjawiał się raz na kwartał, z koniakiem, z

bombonierką i z gotówką („premią służbową”, której zainkasowanie trzeba było pokwitować mu), pytał o zdrowie Piotra, o jej zdrowie, o to jak jej idzie w pracy, rzucał jakiś dowcip, opowiadał jakąś warszawską plotkę, i zawsze nim wyszedł pytał, czy może jej w czymś pomóc. Bardzo długo odpowiadała przeczeniem, ale w 1986 miała kłopoty z pralką i nie odpowiedziała przeczeniem. Nazajutrz w jej mieszkaniu zjawiała się nowa pralka. Przy kolejnej wizycie wspomniała, że Piotr nie dostał się na harcerski wakacyjny rejs „Zawiszą”, gdyż było zbyt wielu chętnych. W ciągu dwudziestu czterech godzin Piotr Brodziuch został dokooptowany do załogi żaglowca. Od tej pory pułkownik spełnił kilkanaście jej próśb. Załatwił nawet telefon dla sąsiadki chorej na cukrzycę. I dalej nie żądał niczego. Przestała myśleć o nim jak o śmiertelnym wrogu. A potem zaczęła go na swój sposób lubić. Nie była to sympatia, lecz przyzwyczajenie wynikające z oswojenia.

W 1989 roku, w którym mijało siedem lat od chwili, gdy stała się jego służką, Heldbaum kazał jej zmienić pracę:

- Ten rok szkolny to pani ostatni rok szkolny. Przejdzie pani do „Akwenu”. Będzie pani bliżej brata. Proszę mu powiedzieć cokolwiek, że ma pani dość uczniów lub złośliwych kolegów, że chce pani pracować dla „Solidarności”, i tak dalej, niech brat wstawi się za panią.

- A jeśli mu się nie uda?

- Rafałowi Zarębskiemu? Pani żartuje! Jego siostrę przyjmą z pocałowaniem dłoni. Będzie pani miała więcej orędowników niż się pani wydaje, nie tylko brata...

Na początku września A. D. 1989 pracowała już w biurówcu NSZZ „Solidarność”, przy Wałach Piastowskich 24, jako jedna z wielu sekretarek. Rafał był tam szychą. Nie tak wielką jak sekretarz Wałęsy, Krzysztof Pusz, czy słynny szofer „Złotowa”, ale szychą. Wśród szych był także człowiek, od którego zaczęły się wszystkie jej

nieszczęścia, Tolik! Gdy zobaczyła go na korytarzu, zrobiło się jej słabo. W pierwszym odruchu chciała krzyknąć, że to esbek, gdy nagle dotarło do niej, że ona również jest esbeczką, więc pomyślała: „*Ilu tu może być esbeków?!*”. Wzajemnie udawali, że się nie znają. Zostali sobie przedstawieni. O Toliku powiedziano jej, że to bohater i że stał się wielką figurą, gdy wrócił z Zachodu, gdzie pracował dla Lecha. Rafał uwielbiał go. Mówił o nim: „*To przyszły minister, zobaczysz Basiu!*”. Na imieninach brata siedziała między Tolikiem a bratową, odzywała się doń per „*pan*” i błagała wszystkich bogów, żeby jego wódka zamieniła się w cyjanek. A Zenon - im więcej chlał, tym lepiej się czuł. Co zaś do bogów, to wszystkie baby patrzyły na niego jak na boga. Był przystojny, światowy i miał przed sobą dużą karierę.

We wrześniu A. D. 1990 mijał rok odkąd zaczęła pracować w gmachu „*Solidarności*”. Przychodząc tu była pewna, że teraz Heldbaum zmusi ją do składania meldunków. Albo do wykradania dokumentów. Albo do podrzucania fałszywych druków. Nic takiego się nie stało. Kampania przedwyborcza wkraczała w decydującą fazę, a pułkownik niczego nie żądał, jakby niczego nie chciał. To było zbyt piękne i budziło niepokój. Kobięcy rozum podpowiadał Barbarze, iż do tych wszystkich rzeczy Heldbaum wykorzystuje innych konfidentów, a jeśli tak, to znaczy, że ją wykorzysta do czegoś gorszego. Miała dość Heldbaumów, Wałęsów, Tolików i całej tej okrutnej rzeczywistości. Uwolnić się od nich mogła tylko samobójstwem lub ucieczką na koniec świata. Do Australii! Z Robinem! Z Robinem Clarkiem, australijskim przemysłowcem, którego musiała jej zesłać chyba sama Matka Boska, bo jak inaczej mogła Barbara wytłumaczyć jego zainteresowanie się czterdziestoczteroletnią polską męczennicą, raczej nie podobną do Miss Universum?

- Kurwa nędza, panowie, cisza ma być! Jesteście szefami regionalnych biur wspomaganie jego kampanii przedwyborczej, a zachowujecie się jak stado bab na pikniku wiejskim, spokój!...

- Kapitan Szelek ma rację i nie ma się co kłócić. Nikt nie dostanie więcej forsy niż to wychodzi z rozdzielnika!

- To znaczy co, duże miasta odpuszczamy?

- Nie odpuszczamy, ale wiadomo, że ich nie zdobędziemy, więc nie ma co topić w nich za dużo szmalu. Prowincja, nawet odrzucając miasta średniej wielkości, a obstawiając wieś i małe, to dużo więcej niż wielkie miasta. Tą drobną prowincją można zwyciężyć.

- Wałęsa też kombinuje to samo, panie generale.

- Wałęsa obstawia wszystko i wszystkich, chce zbajerować każdego jednego, i wierzy, że mu się to uda, że zgarnie inteligentowi robotów...

- A co, może nie? Z taką gadaną...

- To fakt, ma dużo lepszą gadanę niż nasz chłopczyk, ale właśnie na tej gadaninie Wałęsa może się przejechać! On mówi ludziom: „*Bierzcie władzę we własne ręce, sam, bez was, nie zrobię nic!*” i tak dalej. I trzeba go podpuszczać, żeby jak najczęściej tak gadał w trakcie swoich wieców. Jemu się wydaje, że taką gadaną on kupuje sobie ludzi. Jest dokładnie na odwrót, panowie! Ludzie nie chcą, żeby ktoś ich namawiał do tego, aby sami rządili, sami się użerali, sami budowali. Chcą, żeby ktoś to zrobił za nich, żeby za nich i dla nich zbawiał świat i poprawiał im byt, a nie pieprzył, że muszą to zrobić własnym wysiłkiem. Motłoch nie chce demokracji i samorządności, chce cara. Chce mistyki i silnej władzy. Chce, żeby nim rządzono, a nie dzielono się z nim władzą. Wałęsa robi błąd, który my wsączyliśmy mu do ucha, a że ma przy sobie frajerów, co nie potrafią wyperswadować mu tego, to już tylko nasz zysk. Zresztą, o czym gadamy! Wałęsa w pierwszej turze zwycięży mimo wszystko, walczyć z nim na serio będziemy dopiero w drugiej turze. Teraz

chodzi o to, żeby nasz zawodnik przeszedł do drugiej tury!... Odtąd będziecie notować, podam i skomentuję wykaz elementów, któremu nasi eksperci dali tytuł: „*Nieodzwonne reguły rynkowej promocji kandydata*”. Gotowi?... No więc, po pierwsze: nasz zawodnik musi mieć jedno trafne hasło-slogan, którym się będzie posługiwał w co drugim zdaniu i z którym będzie się kojarzył ludziom. To jest sprawa ważniejsza niż się wam wydaje. Spójrzmy, co zrobili ludzie Mazowieckiego. Zrobili nam ogromną przysługę, wybierając fatalne hasło dla pana premiera. Właściwie zerznęli je od Francuzów, bo kiedyś Mitterranda reklamowano hasłem „*La force tranquille*” czyli „*Spokojna siła*”. Mazowieccy przerobili to na: „*Siła spokoju*”. Kompletnie do dupy, bo społeczeństwo sfrustrowane wyrzeczeniami, inflacją i pauperyzacją odczyta to jako: Siła zastoju, albo nawet: Siła regresu. Nasz zawodnik ma już hasło: „*Hasłem naszym zgoda będzie i ojczyzna nasza*”. Nie jest złe, ale jeśli któryś z panów znajdzie lepsze, to podmienimy. Winno być również w staropolskim, romantycznym stylu. Najlepiej byłoby znaleźć coś u tego rudego litewskiego Żyda...

- U kogo, panie generale?...

- U Mickiewicza! Albo u Słowackiego... No dobra, teraz drugi punkt. Kandydat musi się kojarzyć z jakimś wizualnym symbolem. Najlepszym jest dziecko, bo dziecko symbolizuje... co symbolizuje dziecko?

- Niewinność, panie generale!

- O kurwa!... Czy wyście zwariowali?! Czy to ma być konkurs chrystusików, czy polityków?!... Dziecko symbolizuje przyszłość! Przyszłość! A wyborców interesuje tylko przyszłość, wyłącznie przyszłość, przeszłość mają gdzieś! Dlatego nie należy gadać o przeszłości, robić bilansów, rozliczeń, komunę wyklinać, nic! Moczulski postawi na tego konia, na porachunek z komunizmem, i spieprzy się z tego konia na zbity dziób, wyborcy go oleją, bo nikt w

tym kraju na Moskwę nie chce iść. Trzeba wyłącznie obiecywać lepszą przyszłość! Podczas wieców wtykać naszemu zawodnikowi bachory do łap, jak najmniejszych gnojów, oseski, zapamiętajcie to sobie!... Trzecia sprawa. Żadnych logicznych argumentów, konkretów i cyfr, bo tu się można zawsze potknąć, a zresztą wyborcę to nudzi. Trzeba okrągłymi frazesami karmić ich marzenia.

- No, ale jakiś program trzeba podać gazetom, panie generale!

- Poda się w ostatnim dniu kampanii, żeby przeciwnicy nie mogli już zaatakować go.

- A jak w czasie wieców ktoś zapyta o program, panie generale?

- To nasz zawodnik odpowie, że jego programem jest program króla Kazimierza Wielkiego. Albo coś w tym stylu. Czwarta sprawa. Nasz zawodnik może atakować kontrkandydatów, ale nie za często, i jeśli już, to tylko w problemach gospodarczych lub politycznych, nigdy prywatnych! Wyborcom to się nie spodoba. Wiem, że chciał krzyczeć, iż Wałęsa siedział w poprawczaku za kradzież opon z POM, i że miał sprawę sądową o pobicie żony. Wyperswadowaliśmy mu, a gdyby znowu przyszła mu chętka, wy macie nie dopuścić do tego!... Teraz powiem jak go ustawiać przed kontaktem z ludźmi, przed wiecem, jak tresować. Jest to generalnie problem robienia dobrego wrażenia. Niech będzie poważny - ale nie nadęty, a już broń Boże arogancki. Szczery, ale nie naiwny. Stanowczy - ale nie zawzięty. Bojowy - ale nie bezwzględny, raczej skłonny do kompromisu. Rzeczowy - ale nie nudny. Mądry - ale nie przemądrzały. Rozmowny - ale nie gadatliwy. Elegancki - ale nie za bardzo.

- Z gęsi zrobić orła...

- Spokój!... Szczegółowe instrukcje dostaniecie na piśmie. Dostaniecie też jego życiorys. Ojciec siedział w lagrze, w hitlerowskim, rzecz jasna. Matka chodziła do szkoły razem z córkami Piłsudskiego. Z nędzy do pieniędzy wyniósł się własnym trudem. Kocha wolność.

Pomaga naszym biednym emigrantom w Kanadzie. Zna Zachód i wie jak zrobić z Polski taki Zachód, żeby każdy miał dobrobyt. I tak dalej, pierdoły w tym stylu, robimy z niego ludowego bohatera, Robin Hooda. Co do ulotek i plakatów, to mogę już panów poinformować jak będzie brzmiało hasło nad lub pod jego zdjęciem i nazwiskiem: „*Kandydat niezależny na prezydenta*”. I tę jego **niezależność** trzeba uwypuklać, proszę panów. Ani komuch, ani „*solidarnościowiec*”, tylko niezależny od nikogo!

- Ha, ha, ha, ha, ha, ha, ha, ha, ha, ha, ha, ha, ha, ha, ha, ha, ha, ha, ha!!!...

- Spokój!... Śmiać się będziemy, jak wygramy, bo ten się śmieje, kto się ostatni śmieje. Macie przystąpić do tego zadania z całą powagą! Jeszcze nie wiadomo, czy z nas się nie będą śmiać... Majorze Cubała, jak idzie sprzedaż jego książki?

- W porządku, panie generale.

- Ale ile mamy już podpisów?

- Nie mamy jeszcze czterdziestu tysięcy, panie generale.

- Przyspieszyć! Co jest ostatnio największym hitem w kinach?

- No... chyba „Emanuelle”.

- Wykupcie jak najwięcej biletów i za podpis dawajcie podpisującemu bilet w nagrodę.

- Tak jest!

Raptownie wszyscy poczuli woń gazu gorszego od bojowego - któryś z nich puścił bezszelestnie bąka-olbrzyma. Żaden nie chciał zamykać demonstracyjnie nozdrzy (gdyż autorem tego cichego pierdu mógł być sam generał), więc starali się wstrzymywać oddechy, patrzyli tępo w blat lub na wprost, i zapanowała głęboka cisza, a nad stołem wisiał ciężki smród, bo wszystkie okna były zamknięte.

Poznała go w sierpniu. Przypadek. Czekala na autobus; obok kra-  
wężnika stanął audi z zachodnią rejestracją i kierowca wychylił się,  
żeby zapytać o coś Polaków. Nie był przystojny - był więcej niż  
przystojny, był bajecznie piękny. Miał prezencję filmowego aktora. I  
cudowny wzrok - lewe oko było seledynowe, prawe oko intensywnie  
błękitne, zaś oba były cholernie butne, ów człowiek wiedział, że  
kobiety mdleją pod spojrzeniem takich szlachetnych kamieni,  
przećwiczył to nie raz. Jeden z tych, którzy uważają się za wiśnię na  
czubku tortu czekoladowego, a gdy mówią, że lubią szybkie  
samochody i eleganckie kobiety, to nie kłamią, chociaż woła  
odwrotnie. Spytał po angielsku gdzie jest najbliższy bank lub kantor.  
Nikt go nie zrozumiał, tylko ona. Podeszła do samochodu, żeby  
wyjaśnić drogę, lecz mężczyźnie o oczach z jubilerskiej witryny  
myliły się ulice i kolejność skrętów w prawo lub w lewo, więc  
zapropomował:

- Niech pani pojedzie ze mną i pokaże mi, a ja odwozę panią do  
domu, w banku zabawię tylko minutę.

Wsiadła bez wahania. Nim ruszyli, dobiegło ją przekleństwo sę-  
dziwej damy stojącej na przystanku:

- Kurwiszon!

Miała to gdzieś, zapach skórzanej tapicerki był tak boski, że chciało  
się przymknąć wzrok i marzyć o dalekim raj. Przeniosła się w inny  
świat, który jest światem wszystkich kobiet, ale tylko mizerna  
mniejszość uważa go za środowisko naturalne, bo żyje w nim.

Kiedyś można było zranić ją słowem: „kurwa”, „dziwka”, „lafirynda”  
itp. Ale to było bardzo dawno kiedyś. Zmądrzała od tamtego czasu.  
To takie proste powiedzieć komuś: „Ty dziwko!”. Lecz kto tak  
naprawdę jest dziwką? Pewnego razu przegadała z koleżanką całą  
noc na ten temat, przy jednym kieliszku, z którego pociągały sobie  
agrestowe wino babcinej roboty. Próbowaly ustalić kto to jest  
dziwka. prostytutka? Nie, to jest zawód, krzyknąć prostytutce: „Ty



*dziwko!*”, to tak jak krzyknąć fryzjerce: „*Ty fryzjerko!*”, a ekspedientce: „*Ty ekspedientko!*”. Żona, która zdradziła? Bez powodu by nie zdradziła, nie cudzołoży się bez powodu. Kobieta o gorącym temperamentie? Też nie, w końcu to jej ciało zmusza ją do wzmożonej chłopomanii, to nie jej wina. Ta, która zakochuje się zbyt często? Przecież serca sobie nie wybierała, jest niewolnicą swojej romantycznej krwi. Ta, która nie umie nie ulegać prośbom lub namowom facetów? To choroba o podłożu miłosiernym, zwana nimfomanią czy jakoś tak, a przecież nawet chorych morderców nie karze się za zbrodnie. Więc kto? Roztrząsały szereg możliwości i każdą odrzucały, gdyż nie wytrzymywała ciężaru racjonalnych argumentów. Wreszcie, przed samym świtem, gdy były już zmęczone, a karafka ukazała im dno z osadem nalewki, koleżanka doznała olśnienia:

- Słuchaj, wiem już! Wiem!... Dziwka to ta, co sypia z moim chłopakiem, Basiu!

Tak dociera się do prawdy. A potem umiera ojciec, czuwa się obok niego, słyszy się jego końcowe tchnienie, zamyka się mu powieki opuszkami palców, zapada się w bolesną drętwotę, gdy wtem, po kilku minutach, on otwiera te powieki, ma dziwny wzrok, jakby wrócił z podróży na drugi kraniec Kosmosu, i szepcze:

- Basińko!...

- Słucham cię, tатku.

- Boga nie ma.

I dopiero wtedy odchodzi na zawsze, i żadna prawda nie jest już potrzebna w życiu, i dyskutować też nie ma o czym.

Blisko banku była kawiarnia. A wieczorem teatr i kolacja w restauracji jego hotelu. Nazywał się Robin Clark, był australijskim menedżerem, jednym z wielu biznesmenów zachodnich, którzy A. D. 1990 spadli na Polskę jak dywizja komandosów kapitalistycznego wojska, żeby ją uzdrowić gospodarczo metodą napychania własnych

kieszeni. W Gdańsku kręciły się roje podobnych do niego rekinków. Gadał, palił i pił, namawiał ją do picia, prosił do tańca, zaglądał w oczy i dowcipkował coraz śmieiej. Wiedziała, o co mu biega. Nie o to, żeby zaoszczędzić na „mewce”, stać go było na najdroższą. Raczej bał się prostytutek, gdyż bał się „adidasy”, no i przelecieć nie zawodową to coś bardziej rajcującego, nawet jeśli technicznie w gorszym gatunku.

Czas przy stoliku i na parkiecie dłużył się niczym noc za kołem podbiegunowym. „Czy będziemy tu siedzieć do rana? - myślała, słuchając go z uśmiechem przylepionym jak kropka na czole kobiety hinduskiej. - O Boże, Robin, wystękał już, po co te ceregiele, ten teatr, całe to świergotanie, od którego mdło się robi, zrób to jak najprędzej, zrób to! Weź mnie tam na górę i zerznij w jaki chcesz sposób, ile razy chcesz, zgnieć mi piersi i brzuch, przekręć na każdy bok, wyrwij ze mnie flaki, wypompuj duszę, zrób to zaraz, bo dłużej nie wytrzymam, pije mnie biustonosz, krępują mnie figi, cisną mnie buty, pali mnie całe ciało, chcę być naga jak ropucha, chcę czuć, chcę gryźć, chcę słyszeć twój oddech i zgrzyt twoich zębów w moim uchu, chcę ci wbić paznokcie w plecy, chcę się udławić twoją spermą, o Boże, daj mi go, tylko mi go daj, na co jeszcze czekasz, cholerny durniu, czy mam to sobie zrobić ręką tu, przy ludziach, zrób to, no już, zrób tooo!!...”.

Zrobił to w końcu. Miała czas, Piotruś pływał na „Zawiszy”. Robin też miał czas - do pierwszej po południu. Była pewna, że będzie z nim tylko przez tę noc - że jest lalką na jedno śniadanie. Tego chciała i nie miałyby pretensji. Lecz Robin zaskoczył ją - pragnął to kontynuować. Kontynuowali bardzo intensywnie, a on robił się coraz cieplejszy, coraz bardziej pluszowy, owijał słodkim bandażem już nie tylko ciało, lecz i serce. Ten niezemiński Australijczyk zakochał się w niej, w Basi Brodziuch! Zaczął napomykać o wspólnym wyjeździe do Nowej Południowej Walii! Przypomniała sobie wówczas dwa filmy. Jeden, pod tytułem „Żona dla

Australijczyka”, widziała w kinie mnóstwo lat temu; była wtedy smarkułą, a film był o Polce, dla której stracił szare komórki (oraz ciężko nabitą kieszeń) milioner z kraju kangurów i misiów koala. Drugi film, „Powrót do Edenu”, był telewizyjny i cztery lata wcześniej wszystkie Polki zakochały się w telewizorach do szaleństwa, bo po szkole biegała typowa australijska pani domu, której główną czynnością fizjologiczną jest zmienianie co kwadrans ubioru klasy Dior lub Yves Saint Laurent, więc taka kobieta zupełnie nie ma czasu na leniuchowanie, jak również ubrudzić sobie ręk nie ma kiedy.

Gdyby zabrał ją z tego nadwiślańskiego bagna do australijskiego Edenu, byłoby to dla niej tym samym, czym jest zabranie dewota prosto do Raju przez skrzydlatego emisariusza biblijnej Opatrzności. Nie zapomniała o Piotrze. Piotr wyjechał do Warszawy, studiował tam na Uniwersytecie i mieszkał w akademiku. Gdyby została panią Clark, mogłaby zza oceanu pomagać synowi dużą australijską gotówką. Na razie zaś Robin, po wyjeździe Piotra, przeniósł się z hotelu do niej. Cudowny był ten październik A. D. 1990 - liście leciały w dół, a marzenia szybowały wysoko jak kolorowe latawce z długimi welonami, które cesał wiatr od morza.

\*\*\*

- Mam dać panu lekcję zachowywania się przed kamerą telewizyjną. Inaczej mówiąc: mam pana nauczyć telewizji.

- Mnie chce pan uczyć telewizji? Mnie? Ja posiadam własną stację telewizyjną w Peru!

- Właściciel teatru nie musi być aktorem, a właściciel piekarni piekarzem. Czy pan zna książkę Harveya Thomasa „Making the Impact”?

- Znam, czytałem ją.

- To świetnie. Ale ponieważ jest to kilkusetstronicowa praca, przypomniemy sobie tylko kilka jej głównych punktów, które trzeba znać na pamięć jak swoje nazwisko. Właśnie taką lapidarną syntezę mam panu wbić do głowy nim kamery dobiorą się do pana.

- W porządku. Może pan zacząć.

- Zaczniemy od kamery telewizyjnej. Główną jej cechą jest to, że kamera jest okrutna i bezlitosna, nic nie ujdzie jej spojrzeniu, co w praktyce oznacza, że nie należy grać, nie należy uprawiać aktorstwa przed kamerą, aktorstwo jest dobre dla aktorów, a nie dla polityków, panie Tymiński. Nie chodzi tu o gesty czy o mimikę, to można wystudiować i prezentować, chodzi mi o granie kogoś, kim się nie jest. Gdy na przykład nie jest się intelektualistą, nie wolno grać intelektualisty, to znaczy trzeba unikać wysoce intelektualnych rozważań...

- Według pana ja nie jestem człowiekiem inteligentnym?

- Intelektualista a człowiek inteligentny to są dwa różne pojęcia w naszym języku...

- Dobrze. Więc nie jestem intelektualistą?

- Według mnie jest pan biznesmanem i politykiem, i tym ma pan być przed kamerami. Będzie się tam liczyło mnóstwo spraw, ale trzy są najważniejsze: gestykulacja, wygląd i treść przekazu. Najmniej ważna jest w tym tercecie treść przekazu, co nie znaczy, że w ogóle nieważna. Ale zaczniemy od rzeczy najważniejszych. Gestykulacja, mimika i sylwetka to czołowy problem. Istotą jest tu **naturalność**. Powtarzam - to absolutnie pierwszoplanowe przed kamerami telewizji. Trzeba siedzieć lub stać prosto, ale nie sztywno. Nie należy przechylać głowy do tyłu, raczej lekko pochylić się do przodu, ale też nie za bardzo, bo wówczas sprawia to wrażenie postawy agresywnej. Nie krzyżować rąk, bo to z kolei postawa obronna. Patrzeć trzeba na swego rozmówcę, a nie do kamery. Kamery nie ma! Milionowej widowni też nie ma, nie należy o niej myśleć czyli nie należy

**przemawiać** do niej, należy mówić do tych, którzy są w studio. W studio jest kilka osób i przed telewizorem też siedzi kilka osób. Kontakt wzrokowy z rozmówcą utrzymywać należy, ale mniej więcej przez połowę czasu spotkania. Gdy robi pan to rzadziej, to tak wygląda, jakby się pan bał jego wzroku. Gdy pan oczu z niego nie spuszcza - to wygląda równie fatalnie. Trzeba cały czas kontrolować sytuację i swoje gesty, aby nie popaść w sztuczność - naturalność jest, powtarzam, warunkiem zwycięstwa przed kamerą. Jeśli musi pan odkaslnąć, wytrzeć nos, podrapać się w głowę - proszę to zrobić bez wahania, lekko odsuwając się od mikrofonu, a przy głośniejszym chrząknięciu proszę powiedzieć przepraszam. Jeśli chce pan zajrzeć do notatek, proszę to zrobić, to żaden wstyd. Ale nigdy kątem oka, bo kamera wychwyci to, mówiłem panu. Jeśli chce pan się zastanowić nad odpowiedzią, proszę bardzo, ale nie patrząc w sufit, raczej w dół, taka przerwa to rzecz naturalna. Jeśli padło pytanie szczególnie drastyczne, żadnej przerwy robić nie wolno, musi pan natychmiast udzielić odpowiedzi, bo inaczej będzie pan wyglądał na zapędzonego w kozi róg, na faceta, któremu odebrało mowę lub który szuka sprytnej wymówki bądź kłamstwa. Czy wszystko jest dotąd jasne?

- Absolutnie tak.

- Więc przejdźmy do wyglądu. Jest on również ważniejszy niż to, co pan mówi, gdyż więcej widzów zapamięta pański strój niż pańskie słowa. Należy prezentować elegancję, ale wykluczyć strojność. Bez wymyślnych krojów, żabotów czy przesadnych chusteczek w butonierce. Bez ostrych zestawień kolorów. Należy pamiętać, że paski, kratki i kropki blikują w kamerze, lepiej ich unikać. Tym bardziej unikać biżuterii, sygnetów na palcu, łańcuszków i temu podobnych głupot. Marynarkę w studio trzeba obciągnąć, żeby równo leżała, fałdy i wszelka niechlujność rozpraszają uwagę widza. Nie należy do studia ubierać się zbyt

ciepło, temperatura tam przypomina hutę, a kropelki lub strugi potu psują wygląd twarzy. Zęby, włosy, paznokcie, buty, wszystko musi być wymyte i wypieszczone...

- Pan mnie uważa za brudasa, co?!

- Nie, ja tylko wymieniam wszystkie reguły, panie Tymiński. Przejdźmy do trzeciej - do słów. Jest to problem najmniej ważny, ale bardzo ważny, o tym nie można zapominać. W telewizji nie ma czasu na gędzenie, mówi się krótko. A więc synteza, oszczędzanie słów. Zacząć wypowiedź trzeba od zwięzłego hasła-sloganu, swego rodzaju tytułu, który streszcza wszystko, co pan później przedstawi. Inaczej mówiąc: najpierw musi pan pokazać kierunek i dopiero zając się drogą. Większość ludzi i tak nie zapamięta tego, co pan gadał, ale może zapamiętają przynajmniej ów nagłówek. Apelowanie do serca i do emocji jest ważniejsze od apelowania do rozumu. Kolejność winna być taka: chwytów emocjonalnych, rzeczowych argumentów, i dopiero na końcu mogą przyjść informacje, którymi nie wolno szafować, by odbiorców nie zanudzić. W sumie treść jest mało ważna, ale należy pamiętać też i o tym, że jeśli nie ma się niczego istotnego do powiedzenia ludziom, to lepiej zostać w domu.

- Ja mam ludziom do powiedzenia bardzo wiele bardzo ważnych rzeczy!

- To świetnie. Trzeba je tylko mówić w odpowiedni sposób i nigdy nie utracić kontroli nad sobą. Cały czas zimna krew, żadnych nerwów, gwałtownych ruchów czy unoszenia się. Bez względu na sytuację trzeba być do końca sympatycznym. Kurtuazja i uśmiech, złości nigdy nie należy okazywać. Argumentować lub prostować cudzą wypowiedź trzeba jakby po koleżeńsku, a jeśli facet nie chce pana dopuścić do słowa, to niech gada aż się zmęczy. Wówczas musi zrobić przerwę dla nabrania głębszego oddechu i w tę przerwę trzeba mu wskoczyć celną, skondensowaną frazę, która odbierze mu głos. Należy unikać odpowiedzi typu: tak, nie, nie wiem, nie

mam na ten temat nic do powiedzenia lub podobnych.

- Czego jeszcze trzeba unikać?

- Alkoholu przed programem. Kawa, herbata, zimne napoje, lecz nie za zimne - tak. Alkohol dodaje wigoru i odpręża, ale to pozorne i równie niebezpieczne jak za kierownicą. Dużo lepszy od tego jest seks przed pójściem do telewizji. Relaks i naturalność to główny klucz...

- Chciałbym zapytać o coś...

- Po to tu jestem, panie Tymiński.

- Czy moja żona...

- Tak, tak, i jeszcze raz tak! Ma pan żonę bardzo atrakcyjną, trzeba się z nią pokazywać wszędzie. Ale jej nie wolno zabierać głosu. Winna siedzieć obok pana i milczeć ja posąg idealnej małżonki. Aha, coś mi się przypomniało. W rozmowie z kimś pan wyjawiał, że pańska żona ma żydowskie pochodzenie...

- Owszem, po matce jest Żydówką i nosiła imię Mesia czyli Mesjasz. Ale jest fundamentalną katoliczką.

- To ostatnie należy eksponować, panie Tymiński, to pierwsze przemilczać. Lepiej, żeby pan był Mesjaszem dla swoich wyborców. W ogóle radziłbym panu unikać problemu semickiego i anty-semickiego w jakimkolwiek kontekście.

- To znaczy, że mam nie mówić prawdy? Tragiczna sytuacja Polaków jest zawiniona przez Żydów, przez polskich Żydów i przez międzynarodową finansjerę żydowską! Polacy winni dowiedzieć się o tym, najwyższy czas, żeby zrobili z Żydami porządek!

- Porządek z Żydami robił już jeden facet, nazywał się Hitler. A jeśli pan, panie Tymiński, wejdzie w propagandę antyżydowską, to będzie pan skończony jako kandydat na prezydenta!

- Bzdury! Zrobię to, co uważam...

- Nie! - warknął nauczyciel. - Zrobisz to, co masz robić, chłopczyku, to od czego jesteś, albo damy ci takiego klapsa, przy którym kop w

jądro jest niczym!

I uśmiechnął się, przechodząc znowu na pełne szacunku „pan”:

- Czy to prawda, że pańska żona była wcześniej żoną szamana peruwiańskiego, u którego pan się leczył?

- Tak, to prawda... - odparł Tymiński zgaszonym głosem.

- Proszę nie eksponować tego. Jedynym szamanem-uzdrowicielem na tym wyborczym ringu ma być pan. W Polsce jest wielu socjalnie i ekonomicznie chorych, którym oficjalna medycyna czyli władza nic nie pomoże, i oni liczą tylko na szamanów...

\*\*\*

Pani Danuta Wałęsowa skończyła właśnie rozdawać prezenty i uśmiechy w Domu Dziecka, i wychodziła z niego. Na korytarzu sterczał młodzieniec, którego ochroniarze brali za członka personelu, a personel za członka świty. Młodzieniec podszedł do pani Wałęsowej i wręczył jej płaskie pudełko, mówiąc:

- To jest wideotaśma.

- Dziękuję panu. Czy to film z tymi maleństwami?

- Nie, to jest porno z kimś, kogo pani dobrze zna, pani Danuto.

- Z kimś, kogo dobrze znam?!

- Tak.

Poczuła, że oblewa ją zimny wrzątek lub coś równie dziwnego, ale starała się zachować spokój:

- Chyba nie z...

- Nie, nie z pani mężem.

Młodzian uklonił się i ulotnił, a ona wzięła taśmę do domu, wsadziła do odtwarzacza i wcisnęła klawisz, który należało przycisnąć.

Danuta Wałęsowa widziała w swoim życiu wiele dziwnych rzeczy. Widziała jak chłopak, który kupił u niej kwiaty kiedy była kwiaciarką, stał się najślawniejszym człowiekiem w Polsce i drugim (obok papieża) najślawniejszym Polakiem w świecie. Widziała ame-



rykański Kongres w tak euforycznej „stojącej owacji” na cześć tego chłopaka, jakiej tam nigdy nie urządzono żadnemu innemu z cudzoziemców. Widziała prezydentów, premierów i ministrów, którzy tego chłopaka okrzykiwali herosem, wieszając się na nim, aby przez dotyk wyblyszczyc swoje spłowiałe imiona. Widziała siebie samą odbierającą nagrodę Nobla w Norwegii. Widziała cud upadku stalinowskiego imperium zła. Ale nigdy nie widziała filmu porno.

Film był poświęcony ewolucjom Zenona Tolika z trzema damami i różnił się od tego samego przy pokerowej zabawie. Gdy Lech Wałęsa zobaczył wzmiankowany utwór, wezwał „Górala”, wyświetlił mu dzieło i rzekł:

- Ja nikomu w gacie nie zaglądam, niech każdy to robi tak jak lubi i z kim lubi. I ja się swojej żony słucham tylko w sprawach domu; co do innych spraw, to sam rządzę. Ale tym razem, kiedy powiedziała, że mam cię wywalić, to ja jej posłucham. Przesoliłeś, chłopie, zwłaszcza jeśli wiedziałeś, że cię filmują i była na to twoja zgoda, bo to znaczy, że pracowałeś w burdelu.

- Gówno było, nie zgoda! - rzekł Tolik. - Nie było zgody, nie było kamery, nie było tych dup i mnie tam też nie było! Nie wiem jak zmajstrowano ten numer, ale ja z tym szajsem nic wspólnego nie mam! Ktoś mi świnię podłożył i się udało. I okey. Nie muszę pracować u pana, panie Lechu. Do widzenia. Ukłony dla małżonki.

Odwrócił się na pięcie i wyszedł. Wałęsa dogonił go przed furtką.

- Czekaj, Zenek, ja muszę prawdę znać! Nie lubię jak się ze mnie wała robi. I nieważne kto robi, ty, czy ten, kto podrzucił tę taśmę...

- Panie przewodniczący...

- Czekaj, nie będziemy rozmawiać tu, ludzie z ulicy patrzą.

Wziął Tolika do malowniczej altanki w ogrodzie i tam zasiedli.

- Przecież na filmie ty jesteś, a nie pies Pluto! - rzekł Wałęsa.

- Dwa razy zobaczyłem swoją gębę na zbliżeniu, a cały czas facet od dołu albo od tyłu jest filmowany. Nigdy nie widziałem tych bab,

nigdy z nimi nie byłem, to jakaś cholerna machloja, z którą nie mam nic wspólnego, mówiłem panu! Panie przewodniczący, ja święty nie jestem, dupy lubię i lubię tę robotę, którą one robią. Jak byłem tam, na Zachodzie, wyrwałem kilka towarów. Ale baletów specjalnie nie lubię, to mi nie podchodzi. I powiem panu, że są nawet takie rzeczy, które mnie wkurzają.

- Na przykład?

- Na przykład cichodajki-małolaty, uczennice ze szkół. Co druga się w to bawi, u nas też. W ogóle wkurza mnie cichodajstwo, to jest syf, Sodoma-Gomora! Te żony, studentki, przyzwoite panie domu, które się puszczają za forszę, niektóre żeby dorobić na ciuch, ale większość dla samej frajdy bycia płatną kurwą, bo to je podnieca. W Polsce również mnóstwo bab to robi, mężowie i tatusiowie pojęcia nie mają, ale na Zachodzie to już jest masówka taka, że dęba staje mózg. W Brukseli jest specjalna ulica, gdzie robią to tylko takie, studentki, fryzjerki, sekretarki, adwokatkę, urzędniczki i domowe kurki, i mają cholerne powodzenie, bo prostytutki przejadły się facetom, każdy woli, żeby mu dała nie zawodowa. To samo w Londynie i w Paryżu. Na tej ulicy jest cholerny tłok, przyjeżdża też mnóstwo gapiów, żeby tylko pofilować, spotkać znajomą lub sąsiadkę, no i mężowie wypatrują tam żon, a przy okazji mogą zerznąć za gotówkę żonę szefa lub sąsiada. To jest dopiero burdel, panie Lechu! Mnie to wkurza, nie jestem taki świniowaty, jak się pańskiej małżonce wydaje. Ten film...

- Dobra, sprawdzę to.

- Co pan sprawdzi?

- Czy ten film to lipa, czy nie lipa. Czy kłamiesz, czy nie kłamiesz. A póki co, Danucie przed oczy się nie pakuj.

Był już listopad 1990. Wałęsa jeździł na wiece wyborcze do różnych miast i wsi; do Gdańska wracał tylko na wypoczynek. Strużyński

odwiedził go w Węsiarach (60 km od Gdańska), gdzie Wałęsa uprawiał rybołówstwo w towarzystwie starego „solidarnościowca”, Henryka Mazula.

- Już nie musisz się tak kryć jak dawniej! - powiedział Strużyńskiemu.

- Muszę. Wokół pana są BOR-owcy. Te same typki, które kiedyś pana ganiały, teraz się panem opiekują i grają z panem w ping-ponga!

- Oni się zmienili i nie zmienili, przyjacielu. Zmienili się w tym sensie, że mama-komuna im umarła, a nie zmienili się w tym, że robią to, co robić potrafią. Wiesz kto mnie wyćwiczył w singla i gdzie? Mój klawisz, jak byłem internowany przez „wronę” w osiemdziesiątym drugim.

- Mnie się to towarzystwo nie podoba. Pan jest za miękki dla tych sukinsynów, już dla Kiszczaka był pan za miękki i tym zraził pan sobie niejednego fajnego.

- Czym?!

- W lipcu zeszłego roku pchał pan Kiszczaka na prezydenta i od razu mówił pan do niego per „*panie prezydencie!*” Kiszczak się tym chwalił. To się nie podobało ludziom.

- Tobie też się nie podobało, pułkowniku?

- Mnie też!

- A że to jest gra, taktyka i strategia, nie przyszło ci do głowy?

- Można ze zbirami grać nie czuląc się do niego!

- Strużyński, przestań, bo mnie zdenerwujesz! Mów, co tam masz.

- Było jakieś posiedzenie naszych kagiebowców. Nie wiem kiedy. Może we wrześniu, może w październiku. Ja byłem wówczas na Litwie. Uradzili, że będą wspomagać kampanię wyborczą Tymińskiego. A właściwie nie uradzili, tylko Kreml im kazał.

- Tymińskiego?!... Myślałem, że Kreml postawi na Cimoszewicza...

- Tymińskiego!

- Takie buty!... Znasz tych kagiebowców?
- Znam czterech. Należałoby całą tę bandę rozszyfrować i wypieprzyć z UOP-u [- Służba Bezpieczeństwa (SB) została przemianowana na Urząd Ochrony Państwa (UOP) w maju 1990 roku ] i z MSW!
- A ty nie możesz tego zrobić?
- Czego zrobić? Wypieprzyć?
- Rozszyfrować!
- Na moim stanowisku? Przecież ja jestem pionkiem w wywiadzie, nawet nie w kontrwywiadzie!
- Kiedy zostanę prezydentem, to zmienisz stanowisko. I wówczas wyczyścisz mi ten burdel do dna!... A propos burdelu, chcę cię spytać o coś. Czy można zrobić fotomontaż na taśmie wideo tak, jak na zdjęciu normalnym?
- Nie wiem, musiałbym spytać techników.
- Spytaj. Henio skoczy do Gdańska, przywiezie ci jedną tasiemkę. Strużyński wziął taśmę ze sobą i kilka dni później zameldował:
- Wyszukali faceta podobnego od tyłu do Tolika, a w całość wmontowano dwukrotnie twarz Tolika. To mnie bardzo martwi.
- Co cię martwi?
- Ktoś wie, że Tolik jest szefem pańskiego prywatnego wywiadu. I ten ktoś chce Tolika usunąć. Dla mnie to jasne - szykują przeciw panu coś bardzo parszywego i cholernie się boją, że Tolik może im tę robotę popsuć. Niech pan uważa, a Tolik niech zdwoi czujność!
- Zanim Tolik wzmógł czujność, usłyszał od Wałęsy:
- Danuta prosi cię na kolację.
- Co się stało, panie Lechu?
- Taśma była zmontowana.
- To ja wiem, ja te dzidzie pierwszy raz zobaczyłem gapiąc się w ten film. Kto panu sprawdził to?
- Jeden pułkownik z MSW. Były esbek, pracuje dla mnie już od

dziesięciu lat.

- Esbek!

- Spokojnie, Zenon. Ten facet tysiąc razy mi pomógł, agenciaków mi wskazywał, cynki dawał, kiedyś nawet „erki” załatwił.

- Co załatwił?...

- Ciebie wówczas nie było w kraju, to nie wiesz, co to „erka”. Od 1983 były takie specjalne przepustki z literą „R”, tylko dla dygnitarzy i esbeków. Zwalniały od wszelkiej kontroli na szosie, glina jak zobaczyła „erkę”, nie dotykała wozu. Moi chłopcy jeżdżąc z tym mogli bez ryzyka przewozić wszystko.

- A co ten facet teraz robi?

- To samo, pracuje w wywiadzie.

- No to może mnie zdemaskować jako francuskiego agenta! Tylko że agenta do dupy! Ostatnio nie wiem już, co kablować żabojadom.

- Napisz im, że Tymińskiego sponsoruje Kreml.

- A to fakt?

- Fakt. Ten pułkownik mi doniósł.

\*\*\*

Major Paul Gache nie interesował się sprawami polskimi, miał co innego na głowie przy swoim biurku w siedzibie Renseignements Generaux Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. O najnowszym raporcie agenta „Z-P” („Zeno-Pologne”) dowiedział się przez przypadek; kolega mu doniósł, że ten fajny „Zeno”, z którym razem byli w „Crazy Horse”, pisze ciekawe rzeczy o niejakiem Tymińskim, kandydacie na polskiego prezydenta. Kolega śmiał się, że ten Tymiński to jakiś wariat z Peru. I wówczas w głowie majora Gache'a otworzyła się jedna z tych kłapek, których każdy człowiek ma w mózgu miliony, a każda klapka kryje jakąś szarą komórkę, a w każdej komórce śpi jakieś nazwisko, jakieś wydarzenie lub tytuł

jakiejś piosenki bądź wiersza, i dopóki klapka się nie otworzy, pamięć nie funkcjonuje. Klapki otwierają się pod wpływem zewnętrznych bodźców. Major Gache przypomniał sobie, że kiedyś słyszał już nazwisko Tymiński!...

Człowiekiem, od którego major Gache usłyszał niegdyś nazwisko: Tymiński, był teść Gache'a, Jean Decquerelle, były szef francuskiej rezydentury w Toronto. Gache sfrunął windą do samochodu i pognął w samo serce VII dzielnicy Paryża. Tam właśnie, niedaleko avenue de Tourville (dwa kroki od Pałacu Inwalidów), mieścił się podziemny bunkier, niegdyś wykorzystywany przez II Oddział Sztabu Generalnego, a obecnie mieszczący siedzibę najtajniejszej ze wszystkich tajnych służb Francji. Organ ów nosił eufemistyczną nazwę: Międzymiastowa Grupa Kontroli (GIC) i zajmował się legalnym oraz nielegalnym podsłuchem francuskich telefonów. Pracowało tam trzystu emerytowanych szpiegów, żandarmów i urzędników kontrwywiadu. Jednym z nich był Jean Decquerelle.

Następnego dnia wieczorem Gache odwiedził swego znajomego. Znajomy miał wysoką rangę w sekretariacie prezydenta Francji, Mitterranda. Gache powiedział znajomemu:

- Królestwo za bezpośrednie spotkanie z prezydentem!
- Stary, to jest bardzo trudna sprawa - padło w odpowiedzi. - Omijasz hierarchię służbową!
- Wiem, że omijam.
- Musiałbyś przedstawić niesłychanie ważny powód. Powód wagi państwowej.
- Mój jest ważniejszy, jest wagi osobistej dla prezydenta, ambicjonalnej, jeśli wolisz. Chodzi o „Żelazną damę” z Londynu.
- O Margaret Thatcher?!
- Innej żelaznej tam nie ma. Nasz prezydent marzy, aby w ogóle jej tam nie było. W rozmowie z kanclerzem Kohlem mruknął kilka tygodni temu, że ozłociłby człowieka, który ją udusi.

- A jak ty dosłyszałeś to mruknięcie?
- Pracuję w długim uchu, Gerard. Więc co?
- Bien, spróbuję to załatwić, Paul, ale nie wiem, czy...
- Zrób to szybko, bo za kilka dni sprawa będzie nieaktualna! A jest diabelnie ważna, znasz mnie, duperelami nie trułbym prezydenckiej głowy.

Prezydent Francois Mitterrand nigdy nie przepadał za Anglikami i za angielską babą, która rządziła Commonwealthem dłużej niż jakikolwiek mężczyzna w tym stuleciu, i która jako polityk przyćmiewała wodza Francuzów tak w Europie, jak i poza Europą. Lecz na dobre zaczął nie przepadać za Anglią, Anglikami i Małgosią Thatcher w roku 1986. Wybrał się wówczas na drugi brzeg Rękawa [- Kanału La Manche („la manche” znaczy: rękaw).], do Canterbury, aby zaszczycić swą obecnością wzniosły moment podpisania francusko-brytyjskiego układu o budowie Chunnelu (tunelu pod Kanałem). W Canterbury przywitano francuskiego prezydenta z gorącą wylewnością: jego samochód został obrzucony przez tłum jajami i zgniłą włoszczyzną, a chór powitalny na ulicy wył: „*Żabojad! Żabojad! Precz, z żabojadem! Wynocha!!*”. W listopadzie 1990 roku pani Thatcher, kobieta bardzo schludna, lecz zawsze cuchnąca starą wyspiarską ideą, której za królowej Wiktorii dano dumną nazwę „*splendid isolation*” [- Wspaniała izolacja (od kontynentu).], przypawiła o stres kilka najważniejszych europejskich stolic, blokując realizację ukochanej idei zachodnich Europejczyków o pełnej Wspólnocie Zachodnioeuropejskiej: Londyn odmówił współpracy w tworzeniu unii politycznej i walutowej. Architekt tego paneuropeizmu, spadkobierca Napoleona, Franek Mitterrand, dostał furii. I wtedy wprosił się do niego oficer RG, Paul Gache.

Gache zaproponował prezydentowi, by wyszli do ogrodów Pałacu Elizejskiego.

- Boi się pan podsłuchu w moim gabinecie?! - spytał Mitterrand.

- Wszędzie boję się podśluchu - odparł major.

- No to wyjdźmy.

Na zwirowej ścieżce Gache powiedział krótko:

- Panie prezydencie. W ciągu tygodnia mogę zdjąć panią premier Wielkiej Brytanii. Nie myślę o zabiciu. Myślę o zdymisjonowaniu, o posłaniu na zieloną trawkę. Nie wiem, czy mi się to uda. Ale jeśli mi się uda, chcę za to otrzymać szefostwo jednej ze służb specjalnych: RG, DGSE lub DST.

- W jaki sposób chce pan ją zdjąć?

- To moja sprawa.

- Nie tylko pańska, majorze. Nie wolno panu narazić na szwank honoru...

- To nam nie grozi, panie prezydencie, nikt tego nie będzie łączył z Francją. Tę babę załatwi Mossad, ale nawet o tym nikomu nie będzie wiadomo, formalnie będą to wewnętrzne rozgrywki Brytyjczyków. Chcę mieć pańską obietnicę co do awansu na... - Na wiceszefa!... I kolejny awans niedługo.

Gache zrozumiał, że nie należy przeciągać struny targami.

- Obiecuję mi pan to, panie prezydencie?

- Soit! [- Zgoda! (ulubione słowo potwierdzające cesarza Napoleona).]

Po popołudniu Gache zadzwonił do pracownika ambasady ZSRR, Siergieja Szuwarowa, i umówił się z nim przy Jardin des Plantes. Szuwarów, gdy go zobaczył, krzyknął radośnie:

- Cześć, Paul! A więc jednak! Zdecydowałeś się w końcu!

- Na ?

- Jak to na co? Na to, że zdradzisz swoich i będziesz zasuwał dla nas!

- Może od jutra, Siergiej. Dziś przychodzę z czymś innym.

- No cóż, trudno, poczekam, nie tracę nadziei, że kiedyś się doczekam. A co cię dzisiaj boli, kolego?

- Boli mnie, że chcecie wtrzytnąć Polsce prezydenta rodem z Peru.



- Nic o tym nie wiem. Serio mówisz?

- Powtórz serio generałowi Kriuczkowowi, że ten numer nie przejdzie, bo mamy kupkę nagrań i dokumentów, które załatwią Tymińskiego bez pudła. Przeczytaj sobie to...

Szuwarów wziął dokument, skupił się na czytaniu i po chwili rzekł:

- To jakieś brudy...

- Tak! Gdyby ogłoszono, że Tymiński jest wnukiem Andropowa lub bratem Kriuczkowa, to by mu nie zaszkodziło, bo dla wielu ciemnych Polaków sprawy agenturalne są nieistotne - rzekł major Gache. - Ale jeśli opublikujemy te, jak im tam?...

- Brudy.

- Właśnie, brudy... to wasz faworyt nie dostanie jednego głosu! Z tym, że nie musimy ich publikować...

- Słucham cię, Paul - rzekł Szuwarów, oddając dokument Francuzowi. - Słucham cię, kontynuuj.

- Jeśli Madame Thatcher w ciągu tygodnia utraci stanowisko, to te brudy nie wyjdą z mojej szuflady.

- Nie mamy takich możliwości, Paul.

- Wiem. Chcemy to załatwić w trójkącie, towarzyszu. Mossad ma takie możliwości. I Mossad tej kobiety nie lubi, chłopcy z Mossadu dali jej kryptonim „Kurwa”, bo według nich ona jest antysemitką. Ale ci „katsa” mają takie dziwne zboczenie, że za darmo nie podetrą sobie własnego tyłka, uwierzysz? Nawiasem mówiąc, ostatnio mają też zły czas, nie wyszło im kilka dużych numerów. Małe również im nie wychodzą, jak pech to pech. Lecz gdyby udało im się dorwać sławnego terrorystę Abu-Rashida, to odzyskaliby zaufanie swego rządu i swego narodu. A powiedz mi, kto z nas dwóch wie, gdzie można złowić tego bandziora? Czy ja to wiem, stary?...

- Sugerujesz, żebyśmy wystawili im go?

- Twoja domyślność jest zachwycająca, Siergiej! Wystawicie im go, ale dopiero wtedy, kiedy oni na waszą prośbę zdejmą „Kurwę” ze

stanowiska. Dostaną za to od was czempiona palestyńskiego terroryzmu, a my nie będziemy przeszkadzać facetowi z Peru. Tylko że dymisja pani Thatcher ma nastąpić do 22 listopada. Jeśli nie nastąpi, ogłaszamy te brudy, Siergiej!

- To cholerycznie mało czasu! Dlaczego?

- Bo 22 listopada jest czwartek, a w niedzielę 25 listopada w Polsce są wybory. Od 23 listopada nie wolno tam rozpowszechniać żadnych materiałów na temat kandydatów. Więc my te brudy musimy ogłosić najpóźniej 22 listopada rano, żeby polskie media zdążyły je zacytować. I zrobimy to, jeśli Thatcher zostanie na stanowisku. Porozum się z Moskwą jeszcze dzisiaj, a potem pertraktuj z Izraelem w tempie ekspresowym, i niech ci Karol Marx pomoże!

- Wiesz co, Paul? - spytał Rosjanin. - Czasami jak myślę o kulisach naszego fachu, to bardziej przypominają mi się bracia Marx niż Karol Marx.

Jeszcze we wtorek 20 listopada 1990 roku nikt na świecie, ani nikt w Anglii (prawie nikt) nie przypuszczał, że godziny wielkiej Maggie są już liczone. 22 listopada, o 7.20 rano, Margaret Thatcher podała się do dymisji. Prezydent Mitterrand usłyszał to z radia, przy goleniu, i syknął:

- Rien ne va plus, Madame, rien-ne-va-plus!... [- Koniec gry, madame! (formułka używana przy ruletce).]

\*\*\*

Ludzie ze styropianu nie wyczuli prawdziwego zagrożenia. Gdy 5 października A. D. 1990 ich szef, premier Tadeusz Mazowiecki, ogłosił, że kandyduje do fotela prezydenckiego, cały swój niszczycki wysiłek skupili na Lechu Wałęsie, sądząc, że to jedyny poważny przeciwnik. Mieli w ręku główne polskie media i koneksje w mediach Zachodu, mogli więc razić wewnątrz i z zewnątrz. Rozpętali bezwstydną nagonkę przeciwko nimbowi Wałęsy i przeciwko

Polsce Wałęsy. Cały glob dowiedział się od tych dobrych nadwiślańskich Europejczyków, że Polska to taki dziki kraj, w którym być Żydem to mniej więcej tak, jak być Żydem w środku obozu fedainów Arafata, i że Wałęsa jest tam antysemitą numer jeden. Natomiast polscy telewidzowie obejrżeli sobie program rozrywkowy, w którym Wałęsę porównano do Hitlera i Stalina. Rozrywkowy! I żeby wszystko było jasne, Adam Michnik oznajmił polskim fedainom, jak również dobrym Polakom jego pokroju, dlaczego na Wałęsę nie będzie głosował. **„Dlatego - rzekł - aby mieć pewność, że jak o piątę rano ktoś zapuka do drzwi, będzie to tylko mleczarz”**. Co znaczyło, że jak Wałęsa zostanie prezydentem, to jego zbiry będą po nocach wyciągały ludzi z łóżek w celu zapelnienia katowni Wałęsowskich. Pan Michnik nikomu nie życzył aż tak źle, więc nie radził głosować na oberkata.

Tymczasem zaczęło się dziać coś bardzo niemiłego i bardzo dziwnego dla ludzi ze styropianu. Oto im bliżej było do dnia wyborów, tym wyniki badania opinii publicznej były dla nich gorsze. Jesienią zeszłego roku ich wódz, premier Mazowiecki, cieszył się poparciem 90 procent społeczeństwa. Teraz już tylko 20 procent deklarowało sympatię do niego. Na tak gigantyczny, siedemdziesięcioprocentowy spadek popularności w ciągu jednego roku, trzeba ciężko pracować. I oni zapracowali na to, rządząc nieumiejętnie i postępując nikczemnie, ale do człowieka złego rzadko dociera, iż jest on człowiekiem złym, więc ta równia pochyła krzycząca z sondaży była jakimś dziwnym nieporozumieniem dla ludzi ze styropianu. Albo jakąś głupią pomyłką statystyczną!

W środę 21 listopada prasa przyniosła wyniki najnowszego sondażu: człowiek jeszcze miesiąc temu kompletnie Polakom nieznan, Stanisław Tymiński, wysunął się na drugie miejsce za Wałęsą, a popularność Mazowieckiego spadła poniżej 20 procent. Wtedy dopiero ludzie ze styropianu zrozumieli, kto im rzeczywiście zagraża.

W dniu następnym (czwartek) gazety ludzi ze styropianu poszły na całego: ogłosiły, że Tymiński jest upośledzony psychicznie, że jest hochsztaplerem i że do Polski przysłał go jeden z hersztów międzynarodowego terroryzmu, libijski pułkownik Muammar Kadafi. Najdokładniej wyluszczył to organ Adama Michnika. W jego „Gazecie Wyborczej” precyzyjnie podano ile razy (siedem razy), w jakich terminach (od dnia wjazdu do dnia wyjazdu) i z jakimi numerami paszportów (literowe oznaczenia serii i numery co do jednej cyfry) Tymiński w latach osiemdziesiątych przyjeżdżał do kraju, legitymując się wizami uzyskanymi w Trypolisie. Wszystko to (co do jednej daty, co do jednej litery i co do jednej cyfry) było kłamstwem wymyślonym przez ludzi ze styropianu w celu zniszczenia Tymińskiego. Trzy miesiące później styropianowy minister policji, Krzysztof Kozłowski, usprawiedliwił to kłamstwo... **siedmiokrotną omyłką komputera. Sic!** „Wstyd powiedzieć - rzekł ten pan - *ale siedem wydruków komputera dało fałszywe informacje...*”. Niektórym ludziom się zdawało, że nie można przeliczyć łgarstw gadzinówek hitlerowskich i stalinowskich. Adam Michnik, przy pomocy koleśków ze styropianu, udowodnił, jak bardzo ludzie się mylą.

To, co rzeczywiście można było Tymińskiemu zarzucić, to była duża liczba esbeków w jego sztabie i w jego machinie wyborczej. I to mu też zarzucono. Ale im więcej łobuzerii mu zarzucano, tym więcej ludzi decydowało się na niego głosować. Przez pół wieku to społeczeństwo było uczone, że jak władza kogoś opluwa, to znaczy, że ten ktoś jest w porządku. I nauczyło się cenić łżonych. Dlatego Wolf zakazał swoim ludziom odpowiadać na ataki przeciw Tymińskiemu; część tych ataków została zmajstrowana w gabinecie Wolfa. Małżeństwo Adama Michnika z „popsutym komputerem” wyniosło Tymińskiego, a Mazowieckiemu wbiło do trumny przysłowiowy gwóźdź. Jak to mówił Szekspir ustami Hamleta do królowej? **„Bo w tym zabawa, aby machinator od własnej zginął machiny”.**

25 listopada był dniem „*cudu*” - do drugiej tury wyborów przeszli: Lech Wałęsa i człowiek znikąd, a premier Mazowiecki poniósł hańbiącą klęskę. Naród wystawił ludziom ze styropianu rachunek za kilkanaście miesięcy fatalnego rządzenia. Dla całego globu był to większy szok niż raptowna dymisja Margaret Thatcher sprzed trzech dni. Ale największy szok przeżyli ludzie ze styropianu, ta inteligentka „*Warszawka*”, która trzęsła krajem i była pewna, że zwycięży. Od czasów starożytnych wciąż powtarza się to samo - elitom intelektualnym, zamkniętym we własnych kręgach, wydaje się, że lud (naród, społeczeństwo) myśli i odczuwa tak jak one. Wieczny błąd, wieczna głupota.

Rezultat pierwszej tury wyborów zdumiał nawet tych, którzy brali udział w operacji „*Zielone jabłko*”, pułkownika Heldbauma również. Gdy dwa miesiące wcześniej Wolf mu powiedział, że obstawia na torze wyborczym fuksa peruwiańskiego, dla Heldbauma był to surrealizm z domieszką kretynizmu. Teraz mógł tylko zdjąć kapelusz i pochylić głowę.

- Ale cud zdarza się raz - rzekł Wolfowi. - W drugiej turze, w pojedynku z samym Wałęsą, Tymiński ma szansę równe zero. Mogę się założyć po raz drugi, jeśli chcesz!

- Założyć? Zrób coś innego. Przypomnij sobie, co mówi wasza ordynacja wyborcza. Mówi ona, że jeśli przez te dwa tygodnie między pierwszą a drugą turą wyborów któryś z dwóch kandydatów umrze lub zachoruje ciężko, to jego przeciwnik automatycznie staje się prezydentem.

Heldbaum poczuł ciarki na rękach i na plecach. Milczał i wpatrywał się w tamtego, sapiąc jak po wyczerpującym biegu. Gdy wreszcie zapytał - zapytał o to samo, o co już zapytały jego oczy:

- Chcesz zlikwidować Wałęsę, Wolf?

- Zbyt szybko myślisz - odparł Wolf. - I przez takie szybkie myślenie wyciągasz zbyt proste wnioski, przyjacielu. To, co właśnie

zaczynamy, to druga faza operacji „Zielone jabłko”. Jest to bardziej skomplikowana gra niż ci się wydaje. Teraz na scenę wejdzie dwóch aktorów. Jednym będziesz ty, a drugim mój cudowny chłopak, który tak dobrze spisał się w Matabele, tylko że później szczęście go opuściło. Ma nową, chirurgiczną twarz, i już jest w Gdańsku. Posłuchaj...

Wolf zawiesił głos, a potem rzekł:

- Co do słuchania, to... Czy ktoś nas tutaj słyszy?

- Wszystko było sprawdzane, tu nie ma podsłuchów.

- Ale ulice, parki i ogrody są pewniejsze. Wyjdźmy na zewnątrz...

To jakaś mania! Co za czasy, żeby nie można było spokojnie porozmawiać w domu, prawie wszyscy moi bohaterowie wychodzą na zewnątrz! Przez tyle wieków wychodzono na zewnątrz za tak zwaną potrzebą, a gdy domowy klozet stał się wreszcie luksusem powszechnego użytku, elektronika wywołała inną potrzebę. Summa summarum niewiele się zmieniło, zgodnie z prawem, że w przyrodzie musi być utrzymana równowaga. Częste wychodzenie na zewnątrz dodaje człowiekowi tlenu, więc można powiedzieć, iż w końcu nie ma tego złego, co by nie wyszło na dobre.

\*\*\*

Jesienią 1990 roku prezydent Bush był całkowicie zaabsorbowany kryzysem kuwejckim. Przygotowywał się do wojny z Irakiem, montując bezprecedensową koalicję polityczną, obejmującą państwa komunistyczne i kapitalistyczne, chrześcijańskie i muzułmańskie, bogate i biedne - czegoś takiego świat dotychczas nie widział. Jednakże (jakby wbrew temu wysiłkowi) codzienny tryb życia prezydenta uległ bardzo niewielkim zmianom. Bush był przyzwyczajony do swego tradycyjnego rozkładu dnia, ustalonego tak szczegółowo i tak gęstego, jak zapis na papierze nutowym. I nie lubił zmieniać partytury; zbliżająca się wojna skróciła mu tylko sen o

godzinę.

Jego życie w Białym Domu toczyło się między sypialnią na drugim piętrze (gdzie stary budzik w starym radiu budził małżeństwo Bushów o szóstej rano, żeby mogli posłuchać country, przejrzeć gazety i zjeść śniadanie). Pokojem Owalnym (gdzie Bush pracował ze swoim sztabem zwanym „*kitchen cabinet*”, z członkami rządu lub Rady Bezpieczeństwa Narodowego), sąsiednim pokoikiem do pracy w samotności (tam Reagan robił sobie sjęstę na sofie, a Bush pisał na maszynie i bawił się tajemniczą kryształową kulą), barkiem w zachodnim skrzydle Białego Domu (gdzie zjadał hamburgera z frytkami i wytwarzał „klubową” atmosferę spotkań ze swym personelem), salą projekcyjną w podziemiach (gdzie oglądano „*movies*”) oraz salą sportową, urządzoną przez przyjaciela Busha, sympatycznego troglodytę Arnolda Schwarzeneggera.

Były kapitan drużyny baseballowej Uniwersytetu Yale, „*Puppy*” (studenckie przezwisko Busha) był zapalonym sportowcem. Uwielbiał rozegrać seta na kortach Children's Garden, pobiegać na trawniku bazy Fort Mc Nair lub zrobić na asfalcie dwumilowy jogging w 19 minut. Do Białego Domu odwożono go wówczas trzema pancernymi cadillacami. W jednym siedział on, a dwa służyły do kamuflażu antyzamachowego, przy czym ta limuzyna, w której siedział Bush, kilkakrotnie zmieniała miejsce w kolumnie. Dokładnie to samo robiono, gdy Bush podróżował helikopterem prezydenckim: „*Marine One*” leciał zawsze w otoczeniu innych śmigłowców, a wszystkie tasowały się dla zmylenia przeciwnika.

Do mylenia przeciwnika Georg Bush posiadał nie tylko strażników, szoferów i pilotów, lecz również tajnych agentów, których zawiadowcą był William Webster. Webster zaś miał przywilej, którym cieszyło się zaledwie kilku ludzi, takich jak John Sununu (szef personelu Białego Domu) czy sekretarz stanu James Baker - nielimitowany bezpośredni wstęp do wszelkich apartamentów pre-

zydenta.

25 listopada roku 1990 Webster zameldował się w Białym Domu wtedy, kiedy prezydent Bush kładł się pod kołdrę. Bush wstał z łóżka, zarzucił szlafrok na piżamę, przeszedł do saloniku obok sypialni i spytał Webstera:

- Coś z Irakiem, Bill?

- Z Polską.

- Polska to teraz rzecz mało ważna, znam już rezultat wyborów.

- KGB chce zamordować Lecha Wałęsę. Lub przyprawić go o ciężką dolegliwość. Nie mam tu pełnej jasności, ale wiem, że szykują taki numer. Gdyby się im udało, prezydentem zostanie Tymiński, człowiek Kremla. Organizuje to były szef wschodnioniemieckiego wywiadu, Markus Wolf. Kriuczkwow go wysłał do Warszawy. A egzekutor jest już w Gdańsku, panie prezydencie!

- Wiesz kim jest egzekutor?

- To Frederic van Hongen alias Friedrich Grahi.

- Ten „konkwistador z Tangalandu”?

- Ten sam, panie prezydencie. Jedna konkwista mu się udała, teraz realizuje drugą.

- Czy to jest pewna wiadomość, Bill?

- To jest wiadomość od „Wallenroda”, naszego agenta z kręgów byłej polskiej SB.

- Zawiadam Polaków, Bili...

- Czyli esbeków! Bo cała ich policyjna struktura - Ministerstwo Spraw Wewnętrznych, Urząd Ochrony Państwa, Biuro Ochrony Rządu, wszystko - jest całkowicie w rękach byłych funkcjonariuszy SB czyli KGB! Ich miałbym zawiadamiać? Jedyne, jak możemy zrobić, to zmusić Kreml, by wycofał się z realizacji tego planu! A to może zrobić tylko pan bezpośrednio rozmową z Gorbaczowem. Dlatego pozwoliłem sobie przyjść tu po nocy, musi pan zadzwonić natychmiast...



- Chwileczkę, Bill! Czy masz jakiś dowód?
- Nie mam konkretnego dowodu, ale mam pewność.
- Więc na co mam się powołać w rozmowie z Gorbaczowem? Na meldunek jakiegoś szpiega?
- Niech mu pan tylko zagrozi, panie prezydencie, że...
- Czym? A do tego teraz? Teraz, kiedy tak bardzo mi zależy, aby Gorbaczow poparł naszą wojnę z Irakiem i gdy to poparcie wisi na włosku, ja mam go straszyć kompromitacją, bo warszawski agent CIA złożył meldunek o zagrożeniu życia Wałęsy?!
- To znaczy, że co? Że zezwolimy im kropnąć Wałęsę?
- Ty jesteś od tego, by im przeszkodzić. Zrób, co tylko możesz i co tylko chcesz, ale nie każ mi dzwonić w tej sprawie do Gorbaczowa!

Kwadrans później Webster obudził dwóch facetów, a właściwie jednego obudził, bo drugi zamiast spać pracował w taki sposób, którego dzieciom i purytanom polecać nie wolno. Webster wybił mu to z mózgu, wzywając do siebie „*natychmiast!*”. A u siebie rzekł:

- Skurwysyn zmienił rysy twarzy, ale chyba nie zmienił sylwetki, włosów, tików, odruchów, blizn, sposobu łożenia, plucia, żarcia, strun głosowych i tak dalej! Być może rozpozna go ten nasz komandos, który zwiął z Bad Toelz, a później był w Tandze i przeżył. Gdzie on jest teraz?

- U Angolów.
- Znajdź go! Ja wykonam telefon do szefa MI 6, a ty pakuj się w najbliższy samolot! Możesz już chyba zostawić małego przy niej, nie będzie za tobą płakał?
- Jego już mogę zostawić - odpart Korm. - Tylko nie wiem, czy mogę ją zostawić...
- Jak będzie trzeba, to obetrę jej łzy własną chustką. A potem będę drużbą na twoim ślubie! Szoruj, Korm!

Rozmowa Webstera z Fostermanem była prawie identyczna:

- Jim, organizuję draft [- Draft - oddział wojskowy wydzielony do specjalnego zadania.], który za trzy doby musi wylądować w Gdańsku. Być może wyląduje za późno, ale próbować należy. Znajdź mi jakiegoś sensownego chłopaka z Gdańska, którego mamy pod ręką. To musi być gość, który z Gdańska wyfrunął nie tak dawno temu i jest dobrze obznajomiony z miastem. Masz do dyspozycji kartotekę FBI, kartotekę CIA oraz wszystkie kartoteki imigrantów. I półtorej doby na znalezienie tego faceta!

\*\*\*

W poniedziałek 26 listopada pułkownik Mieczysław Heldbaum spał bardzo nietypowo. Zazwyczaj kiedy spał, to leżał w łóżku, a teraz spał siedząc na tylnym siedzeniu opla vectry. Ale po nocy przegadanej z Wolfem musiał odespać ów dialog.

W Gdańsku się obudził. Kierowcy kazał czekać niedaleko postoju taksówek, a sam taksówką ruszył na drugi kraniec miasta. Tam z budki telefonicznej zadzwonił do Barbary Brodziuch.

Już osiem lat i kilka miesięcy Barbara Brodziuch była agentką pułkownika Heldbauma, chociaż jej się wydawało, że jest agentką Służby Bezpieczeństwa. Skąd mogła wiedzieć, że Heldbaum nie założył jej kartoteki E-14 dla TW (Tajnych Współpracowników), ani nawet nie uczynił z niej konfidenta OZ (Osoba Zaufana), którego się nie ewidencjonuje i tylko dwie osoby prócz „prowadzącego” znają tożsamość takiej Zaufanej Osoby? Była jego prywatną zdobyczą.

Urwała się z „Akwenu” pod pretekstem zakupów, co nad Wisłą robią wszyscy ludzie i dlatego wydajność polskiego pracownika jest równa wydajności lemura zwisającego głową do dołu. Pułkownik czekał w kinie, gdzie wyświetlano polski film, więc sala była pusta jak pustynia. Barbara usiadła obok niego, a on powiedział szeptem:

- Pani Basiu. Przez osiem lat nie dokuczałem pani. Teraz proszę tylko o jeden drobiazg i będziemy kwita, zwolnię panią.

Na ekranie ukazał się habilitowany docent, czołowy heros tego nurtu polskiej kinematografii, który polska krytyka uhonorowała wzniosłym tytułem: „*kino moralnego niepokoju*”. Moralny niepokój docenta był trójwymiarowy, to jest zdeterminowany triadą egzystencjonalną: nieśmiertelna dusza, niepełnosprawna żona i nieudana kariera na niwie scjentycznej oraz politycznej w ramach wypaczonego systemu. Docent starał się o wózek inwalidzki dla małżonki, którą połamał prowadząc samochód przy stężeniu alkoholowym przekraczającym normę dopuszczalną, a Heldbaum kontynuował szeptem:

- Tu ma pani fiołkę z płynem o lekkim zapachu mięty. Wałęsa codziennie pije herbatę miętową. Proszę mu wlać ten płyn do jego mięty, i to wszystko, pani Basiu.

Na ekranie kochanka docenta ukazała piersi klasy wysokogórskiej w tak zwanym kadrze amerykańskim. Później odsłoniła zad polski nizinny i dosiadła habilitowanego w rytm melodii reggae, a pani Basia jęknęła:

- Pan chce moimi dłońmi dokonać mordy!??? Za nic na świecie nie zgodzę się na to, za nic!!!

- Wobec tego pani syn, pani braciszek i pani przyjaciele dowiedzą się, że jest pani konfidentką od ośmiu lat, no i ujrzą bardzo nieprzyzwoite zdjęcia z panią w głównej roli!

- Przecież ma pan tam innych agentów! Choćby Tolika, niech on...

- On nie jest esbekiem. Wówczas musiałem panią oszukać, bo pragnąłem panią skaptować. Tolik to człowiek Wałęsy. To fanatyk, który siedział kilka lat za to, że ciężko zranił strażnika w więzieniu.

Na ekranie docent otworzył swoją zmaltretowaną duszę przed sędziwym mnichem spotkanym przypadkowo w Białowieskiej puszczy. Mnich mówił jak filozof:

- Wszyscy ludzie byliby lepsi, gdyby można było zgrzeszyć tylko raz. Ale to, co jest w grzechu najbardziej nikczemne, to nie jego

grzeszność i nie jego nikczemność, lecz to, że nie można zgrzeszyć tylko raz. Jeśli pójdziesz do łóżka nie ze swoją żoną, będziesz już cudzołożyl. Kobieta, która cię zdradzi, będzie już zdradzała. Ten, który ukradnie, będzie kradł, a ten, który wyda bliźniego swego, wyda wszystkich. Nie wiem, czy można nie popaść w grzech, ale wiem, że nie można się na tej drodze zatrzymać, gdy raz się zgrzeszyło. Piekło polega właśnie na tym. Tak toczy się świat, mój synu.

Barbara schowała twarz w dłoniach drżących jak liście na wietrze.

- Nie jestem morderczynią!

- Ale ja jestem mordercą - odparł Heldbaum. - Jeśli pani tego nie zrobi i jeśli pani komuś to wyjawí, zamordujemy młodego żeglarza!

- Pan jest potworem!! Nie ma pan litości dla nikogo! Ani dla kobiet, ani dla dzieci...

- Zwłaszcza dla kobiet, pani Basiu. Odkąd zrozumiałem to, co Freud i kilku mądrych ludzi musiało wiedzieć już dawno temu, a co dzisiaj, dzięki pomo-czasopismom i pomo-kasetom oraz dzięki spróchnieniu starych kościelnych i literackich masek, wie coraz więcej ludzi: że kobiety są bardziej poligamiczne, bardziej perwersyjne i bardziej okrutne od panów. Dlatego nie rozbraja mnie kobiecość. Jako stary esbek mam zresztą na temat kobiet wiedzę pełniejszą od Freuda i jego kumpli. Wiem, że kobiety uwielbiają oddawać się katu, oprawcy, ciemńezycielowi i tak dalej. Nie jakimuś katu, jakimuś oprawcy czy jakimuś ciemńezycielowi, lecz przede wszystkim katu, oprawcy i ciemńezycielowi własnego ciała, własnego narodu, własnego społeczeństwa, własnej komórki rodzinnej. Znajdują tu diabelską rozkosz. Psychologia zajmuje się tym tematem w sposób nazbyt ogólny, w zbyt szerokim zakresie, badając uczuciowe związki między oprawcą a ofarą; problem kobiecej perwersji, którą wyzwala kat, jest wciąż nie dostrzegany.

Na ekranie kochanka i żona docenta wymierzały sprawiedliwość

habilitowanemu, uprawiając ze sobą lesbijski seks w każdej chwili wolnej od rozterek wewnętrznych i od kontaktów z docentem.

- Bóg pana skarże za to wszystko! - powiedziała Barbara Brodziuch.

- Droga pani Basiu - westchnął pułkownik. - Tak naprawdę, Bóg istnieje tylko w sztuce.

- Chciałby pan! Bóg istnieje i nigdy tego wszystkiego panu nie wybaczy!

- To nielogiczne, pani Basiu. Jeśli Bóg istnieje, musi mi wybaczyć, przecież wybaczenie to jedyny sens Jego istnienia. Niebo jest pełne skurwysynów, którym wybaczone.

Na ekranie docent wpatrywał się w marność egzystencji czyli w bezsens bytu, stojąc przy balkonowej balustradzie pierwszego piętra. Za sobą miał spółdzielczy lokal M-3 i swoje zmarnowane życie, przed sobą widok osiedla mieszkaniowego, w sobie smutek, że balkon wisi zbyt nisko nad czernią asfaltu. Heldbaum włożył fiolkę do torebki Barbary Brodziuch i powiedział:

- Ma pani dziesięć dni, ani minuty więcej!

I wyszedł z kina, nie dowiedziawszy się, czy docentowi błysnęła myśl, że zawsze można wejść na dach swego domu.

\*\*\*

Clint Farloon zerwał z Ameryką. Już trzy lata mieszkał w Wielkiej Brytanii i przez te trzy lata tylko jeden człowiek „stamtąd” złożył mu wizytę. Był to jego szkolny kumpel, Lowa Abelman.

Lowa odmienił się tak, że poznać go było trudno. Przestał być tłuściochem, a stał się „yuppie”. „Yuppie” („Young Urban Professional” - Młody Wielkomiejski Zawodowiec) to osobnik robiący szybko karierę w jakiejś branży i kultywujący pewien styl eleganckich manier, gustu i dobrobytu (styl „yuppie”), będący kapitalistyczną wersją tego, co kiedyś uprawiała oświecona burżuazja próbująca

dogonić arystokrację. „Yuppie” jest zainteresowany tylko prezencją, gotówką, sławą, władzą lub pozycją, bądź jakąkolwiek kombinacją tych elementów. „Yuppie”, aby osiągnąć sukces, haruje niczym pociągowy wałach, natomiast wszystko inne robi z gracją konia wyścigowego. Absolutny profesjonalizm i charakterystyczny wdzięk typu „yuppie” (od swoistych ubiorów do swoistych dodatków, od wystroju mieszkania do specyficznego jedzenia, itd.) to jego cechy rozpoznawcze. „Yuppie”, z braku czasu i z poczucia, że seks w skali ważności rzeczy ważnych jest mało ważny, wykazuje daleko posuniętą aseksualność, a wolną energię spala grając w squasha lub w hokeja na koniach czyli w polo. Dla szpanu hoduje „fikus benjamins”, jada „brunch” (wytworną mieszaninę śniadania z obiadem - „breakfast” + „lunch”) i jeździ samochodami półmilionerów.

Takim właśnie facetem stał się Lowa Abelman i dlatego Clint Farloon zupełnie nie mógł odnaleźć z nim wspólnego języka. Lowa przybył do Londynu w sprawach bankowych i skorzystał z okazji, by odwiedzić kumpla szkolnego, lecz i on szybko pojął, że przeszłość daje się wskrzeszać równie łatwo jak duchy przodków. Gdy następnym razem zawitał do Londynu, nie skręcił już ku Waltham Abbey. Zrobił to inny facet, którego Clint nigdy przedtem w swoim życiu nie widział. Facet miał sympatyczny głos i mówił po polsku:

- Dzień dobry, jestem Rick Korm z CIA.
- Z polskiego CIA? - zapytał Clint.
- Nie, z amerykańskiego. Odezwałem się po polsku, bo znam ten język i wiem, że pan też go zna. Nauczono pana w Bad Toelz.

Farloon rozumiał, że wysłali agenta po przestępcę z Bad Toelz. Zdecydował się uderzyć nogą w brzuch, lecz zatrzymał go ten sam głos, już mniej sympatyczny:

- Nie radzę!... W Camp Peary dostałem takie samo wykszolenie jak ty w Bad Toelz, a może nawet lepsze od twojego, więc nie próbuj! Ty byłeś w Matabele, i ja byłem w Matabele, a kiedy ja tam byłem, dwa

lata temu, to było tam gorsze piekło niż podczas „Czarnego tanga”. A w ogóle to niepotrzebnie się boisz, bo nie przyjechałem cię aresztować, Farloon!

- Więc po co?

- Odbyć dialog w sprawie jednego faceta, którego obaj znamy.

Clint zastanowił się. A potem zaproponował:

- Dialog o suchym pysku to kiepski dialog. Chodźmy się czegoś napić, znam tu taką sympatyczną tawemę...

I poprowadził Ricka do tawemy „Punk-Rock-Inn”, o wejściu do której marzył już dwa lata.

To, co Korm ujrzał we wnętrzu tawemy, przeraziło go. Tłum „Irokezów”, las barwnych pióropuszy, zwyrodniałe mordy, półnagie torsy, metalowy złom na skąpych ubraniach i muzyka dla mamutów, którym zatkano organy słuchowe. Lecz stali bywalcy tego wnętrza doznali większego szoku na widok dwóch „fajerów”, którzy ośmielili się wkroczyć tu zupełnie tak, jakby rabin wkroczył do meczetu Czarnego Kamienia w Mekce. I jeden z tych „fajerów” był śmiertelnym wrogiem punków! Wszystkie oczy spoczęły na, intruzach, a kilku byczków zablokowało wyjście, żeby zwierzyna nie mogła umknąć.

Farloon podszedł do baru, wziął kufel z ciężkiego szkła i tym kuflem trzasnął barmana-punka w łeb, odbierając mu zmysły.

- Co ty wyprawiasz?! - krzyknął Korm.

- Reguluję rachunek - odparł Farloon. - Oni mnie tu bardzo nie lubią i kiedyś skopali mnie w kilkunastu, więc...

- Ale co ja...

- Podobno byłeś w Matabele i podobno jesteś dobrze wyszkolony. Sprawdzimy to.

Wokół nich stał już pierścień byków z łańcuchami w rękach.

- Nie mamy szans, kretynie! - powiedział Rick. - Oni nas wykończą!

- Ale zanim to zrobią, rozpieprzymy killkanaście ryjów w drobny

mak!

Korm sięgnął po spluwę, strzelił do góry i ruszył ku wyjściu, ciągnąc Farloona za sobą. Drugim strzałem rozpedził blokujących drogę. Na zewnątrz odetchnął jak topielec wyłowiony z oceanu.

- Bez gnata pękasz, amigo? - spytał Clint.

- Nie pękam, tylko że bez gnata w najlepszym razie wyszlibyśmy stamtąd ciężko potłuczeni, a ciężko potłuczeni nie moglibyśmy udawać biznesmenów tam, gdzie nas wysyłają.

- Nas? - zdziwił się Farloon.

- Mam cię wziąć do Warszawy...

- Tej pod Waszyngtonem? - zadrwił Clint.

- Nie! Do Warszawy, a z niej do Gdańska, żebyś zidentyfikował van Hongena, Farloon! Jeśli wyrazisz zgodę, CIA załatwi ci odpuszczenie grzechów z Bad Toelz i będziesz mógł spokojnie wrócić do domu, będziesz amnestionowany!

Opowiedział Clintowi w czym rzecz, a później pokazał mu zdjęcie wypchanej Neliny Nyakobo.

- Jesus Christ! - jęknął Farloon. - Jesus Christ!... Kiedyś powiedziałem Krzysztofeczce, że dla mnie i dla tej kreatury Ziemia jest za ciasna. Ale potem mi przeszło. Ale teraz mi wróciło!... Rozpoznam skurwiela, on ma takie oczy, jakich nie ma nikt inny, i zmienić ich nie mógł! Jestem gotów, panie Korm!

- Musisz być gotów natychmiast. Jutro wyfruwamy do Polski.

- Jestem gotów! Pójdę się tylko spakować, to mi zabierze godzinę.

Spakował się, poprosił panią Downbridge o urlop i zadzwonił do Miriam:

- Muszę na jakiś czas wyjechać z Anglii, dziewczyno.

- Na jaki czas?

- Nie wiem.

Miriam Morrison przypomniała sobie, że „Chris” zegnał ją w identyczny sposób.



- Wrócisz? - zapytała identycznie jak wtedy.
  - Mam nadzieję, że tak - padła identyczna odpowiedź.
- Przez chwilę w słuchawce było cicho, a potem dobiegł go szept:
- Wróć...

\*\*\*

Gdańszczanina, którego kazał mu znaleźć Webster, Fosterman znalazł w kompleksie przysadzistych, szarych budynków, usytuowanych w wiejskim pejzażu w południowych rejonach stanu Illinois. Te budynki nazywały się Marion - więzienie Marion. Marion odziedziczyło sławę Yumy (przełom XIX i XX stulecia) i Alcatraz (kilkadziesiąt lat XX wieku) - sławę najpotworniejszego „*pierdla*” w całych Stanach Zjednoczonych, a nawet w całej północnej Ameryce. Amerykańskie „*pułta*” dzielą się bowiem na: więzienia zwykłe, więzienia o rygorze zaostrzonym i jeden zakład o rygorze szczególnie zaostrzonym, zwany „*brzuchem bestii*”, czyli Marion. A w Marion jest jeszcze żołądek „*brzucha bestii*”: Oddział pod Specjalnym Nadzorem, dla największych, niepoprawnych zatwardziałców. I tam Fosterman znalazł Bartka Morelowskiego.

Bartek do połowy lat osiemdziesiątych pracował jako ochroniarz tajnego kasyna w Sopocie. Kiedy szef kazał mu ciężko pobić dłużnika, Bartek odmówił, gdyż ten niesumienny hazardzista był człowiekiem starym i kaleką. Za odmowę wykonania rozkazu w wojsku grozi degradacja lub kula, a w gangu dymisja, kula lub nóż. Bartek znalazł się na bruku i to z „*wilczym biletem*”, co oznaczało, że jest „*spalony*” w całym półświatku Trójmiasta. Wyjechał więc do Szwecji, stamtąd zaś do Ameryki, gdzie podjął pracę „*na czarno*”. Ale wiodło mu się źle. Nie mogąc wynająć lokum, mieszkał w „*stolicy bezdomnych*” - w przepastnych zakamarkach dworca nowojorskiego (Grand Central Terminal). Było to miejsce wstrętne, lecz wesołe (zawsze grało tam kilka kapel bluesowych), należało jednak unikać

szczurów i omijać ubikację dworcową, w której przy pisuarach wciąż stał równy szereg onanizujących się pederastów. Kimać można było za darmo, ale nie można było za darmo jeść. Bartek próbował zostać pucybutem dworcowym. Boss gangu czarnych pucybutów, okupujących chodniki przed budynkiem dworca, skoczył na białego z mordą, później z „kosą”, i nóż zbyt głęboko wbił się w podbrzusze. Było to podbrzusze właściciela noża, za co Bartek otrzymał łóżko na dziewięć lat w stanowym więzieniu.

W więzieniu jak to w więzieniu - nowy musi się „wkupić”, a jak nie chce, to trzeba go „ustawić” czyli „wyprostować”. „Prostowanie” skończyło się masakrą, dzięki której jeden z „prostujących” opuścił zakład w „garniturze z desek”, a „prostowany” w kajdankach i trafił do bloku o rygorze zaostrzonym. Tam jakiś łobuz chciał go uczynić „parową”, co się skończyło dla obydwu bardzo źle - pedał utracił członka, a Bartek został przeniesiony do Marion, czyli do dołu, do którego penitencjarny system USA wrzucał najtrudniejszych i najniebezpieczniejszych przestępców ze wszystkich więzień stanowych i federalnych.

W Marion takie rzeczy jak człowieczeństwo czy reedukacja nie istniały ani w praktyce, ani w słowniku. Cała filozofia tego „pudła” sprowadzała się do psychicznego i fizycznego gnojenia więźniów, aby odebrać im ostatnią kropelkę męskiej zuchwałości i upodobnić do szmat. Żadnych wspólnych posiłków i wspólnych cel, żadnych spacerów, żadnych ułatwień, widzeń i innych brewerii rodem z więzienia normalnego. Kto się stawiał, ten miał jeszcze gorzej, bo wędrował na Oddział Specjalny, gdzie prycza, umywalka i sracz były z czystego betonu. Kto i tam się stawiał, wędrował do karceru więzienia Marion. W porównaniu z tym karcerem karcery innych zakładów przypominały becik.

Morelowski często trafiał do karceru, więc w końcu przyzwyczaił się do niego. Przyzwyczaić się można do wszystkiego, a w Marion,

jak w każdym „*pudle*”, wynalazczość więźniów łagodziła rygory. Nie brakowało tam nawet więziarskiego „*telefonu*”, który znakomicie funkcjonował. Na klozetowej muszli kładło się materac i skakało się na nim, by wypchnąć wodę z rur (tak jak hydraulik przepycha rury gruszką hydrauliczną), po czym włożywszy głowę w muszlę można było rozmawiać z celami na drugim krańcu bloku. Bartek mocno się zdziwił, gdy 27 listopada roku 1990 zaprowadzono go do gabinetu dyrektora więzienia, aby mógł porozmawiać z kimś obcym i to nie wsadzając głowy w klozet.

Pierwsze pytanie Fostermana było pytaniem idioty, o czym Fosterman wiedział:

- Chcesz wyjść na wolność?  
- Każdy tutaj chce wyjść na wolność - odparł Bartek.  
- Ale nie każdy ma fart. Twój fart leży w tym, że jeszcze pamiętasz o Gdańsku. Pamiętasz o Gdańsku?

- Pamiętam, sir.
- I znasz tam każdy kąt?
- Każdy, sir.
- Mamy dla ciebie robotę w Gdańsku.
- Mamy?...
- Centralna Agencja Wywiadowcza.
- Nie jestem mordercą.

Fosterman wybuchnął śmiechem.

- A za co kiblujesz, nożowniku?  
- Za to, że nie pozwoliłem się maltretować. To wszystko było w obronie własnej, ja nie atakowałem tych ludzi.

- Dobra, jesteś cierpiąca niewinność! My mamy to w dupie, chcemy faceta, który z zamkniętymi oczami łązi po Gdańsku. Nie bój się, nie będziesz nikogo zabijał. Będziesz tylko towarzyszył dwóm naszym chłopakom, znającym polski, ale ty lepiej od nich znasz ten język. Będziesz ich przewodnikiem i pomagierem, to wszystko.

- A co oni będą robić w Gdańsku?
- Muszą znaleźć sowieckiego agenta, który ma kropnąć Lecha Wałęsę.
- Jeśli tak, to może pan na mnie liczyć. I już nie wrócę tu?
- Nie wrócisz, darujemy ci wszystko, co ci zostało do odsiedzenia. Ale jeśli im zwiejesz, to cię znajdziemy, misiu...

\*\*\*

28 listopada odbyli naradę pożegnalną. Prócz Webstera, Fostermana, Gatesa i St. George'a oraz tria wysłanników, wziął w niej udział Vincent Cannistraro, do września kierownik Działu Operacji i Analiz w Counter-Terrorism Center CIA, obecnie zaś dyrektor badań w National Infonnation Center w Waszyngtonie. Cannistraro powiedział im:

- Zwyczajny mord, snajperów, rewolwerowców czy coś w tym duchu, raczej wykluczam, chociaż nieobliczalność Rosjan jest... jest nieobliczalna. Ale mimo wszystko grzmot byłby zbyt wielki... Wiem, co ja bym zrobił na ich miejscu, gdybym chciał załatwić Wałęsę.

- Co byś zrobił? - spytał Forsterman.

- Spowodowałbym śmierć rzekomo naturalną. Według informacji od „Wallenroda”, KBG pragnie, aby nie doszło do drugiej tury wyborów. Tymiński ma zostać prezydentem na skutek zgonu Wałęsy. Jeśli będzie to krwawy zgon, wybuchnie wielka draka i nic z tego. Jeśli zgon będzie naturalny, wówczas jest to możliwe.

- Gadaj, co byś zrobił!

- Wszedłbym do jego biura lub do jego domu jako... no, na przykład jako reporter, żeby zrobić wywiad. Miałbym ze sobą fiolkę „anthraxu”. „Anthrax” to niezwykle toksyczna bakteria, jej wdychanie powoduje nieodwołalny zgon w ciągu czterdziestu ośmiu godzin. Ja byłbym zaszczepiony przeciwko niej. Trzymałbym tę fiolkę otwartą, w kieszeni lub we wnętrzu mikrofonu...

- Musiałbyś z nim rozmawiać sam na sam - powiedział Webster. - A przy nim zawsze jest kilku sztabowców, tłumacz, goryl i Bóg wie kto. Oni też by umarli po czterdziestu ośmiu godzinach i wybuchłby identyczny skandal jak w efekcie krwawego zamachu.

- No dobra. A otrucie Wałęsy przez kogoś, kto ma do niego stały dostęp? - spytał Clair St. George, szef Działu Tajnych Operacji. - Wałęsa cierpi na otyłość, to grubas, zawał serca nie jest u takiego człowieka czymś dziwnym. Są takie specyfiki, które powodują zawał i nie zostawiają śladów. Wytłumaczyłoby się to przetłuszczeniem, zmęczeniem, stresem wyborczym, nerwową atmosferą panującą w sztabie...

- Mimo wszystko nie można odrzucić krwawego ciosu - rzekł Fosterman. - Zaowocowałoby to chaosem, ale prezydentem zostałby Tymiński. Wiemy jedno, tę grę organizuje ów niemiecki cwaniak, którego trzeba dopaść, i to jest wszystko, co możemy zrobić, panowie. Korm, niech ci sprzyja Bóg!

- Pan z Nim to uzgadniał, sir? - spytał Korm.

- Cholernie dowcipne! - warknął Fosterman. - Nie ma to jak poczucie humoru!... Uzgadniałem, ale z Wałęsą. Był u niego sekretarz naszej ambasady i zawiadomił go o twoim przyjeździe, a Wałęsa stwierdził, że będziecie współpracować z facetem o nazwisku... (Fosterman wziął do ręki notes)... Tolik, Zenon Tolik.

- Co to za gość?

- To szef wywiadu-kontrwywiadu Wałęsy, takiego prywatnego CIA, duża figura! W „Solidarności” uważają go za postać legendarną, za herosa walki z komunizmem. „Wallenrod” da wam samochód, a Tolik będzie czekał na was w Gdańsku pod kościołem Mariackim, przy lewej ścianie od wejścia, z „Newsweekiem” w prawej ręce, „Newsweek” będzie złamany wzdłuż. Hasło: „Przepraszam, gdzie tu można kupić «Newsweeka»”. Odzew: „Tylko u mnie”.

- Po polsku czy po naszymu?

- Po polsku.

29 listopada rano Pan-Am przywiózł ich do Warszawy. Korm i Farloon spotkali się z „Wallenrodem” na Powązkach. Rozmawiali wędrując boczną alejką, wzdłuż starych, wykruszonych grobów. Było zimno, dmuchał silny wiatr, ostatnie spadające liście policzkowoły twarze.

- Pierwszy wasz „Super-Condor” zepsuł się natychmiast - rzekł „Wally”. - Być może ja popełniłem błąd przy montażu, a być może mamy tu do czynienia z wadą produkcyjną. Drugi udało mi się zainstalować dużo później i przez to wiem dużo mniej. Lecz jest facet, który wie wszystko, tylko że jego nie można ruszyć.

- Kto to jest? - spytał Korm.

- Pułkownik Heldbaum. Wolf kontaktuje się z nim. Ale żeby wymusić spowiedź od Heldbauma, należałoby porwać go. Żeby go porwać, trzeba byłoby rąbnąć jego szofera lub jego ochroniarza. I wówczas rozpętałoby się piekło do kwadratu. To samo z Wolfem. Zresztą Wolf a już dość długo tu nie było. Wpada jak duch i znika jak duch.

- Czyli pozostaje jego gdański agenciak - rzeki Clint. - Musimy go rąbnąć.

Droga do Gdańska zabrała im kilka godzin. Milczeli w samochodzie, tylko Bartek spytał Konna:

- Dlaczego ty jesteś Rick? Przecież zdrobnienie od Richard to Dick.

- Widocznie mój stary nie lubił białych wielorybów - odparł Korm, i po chwili dodał: - Tak naprawdę to dlatego, że mój dziadek był Polakiem...

- No to „welcome home” - krzyknął Morelowski.

Clint się roześmiał i zanucił pod nosem:

- „It's good to touch the green, green grass of home!...” [- „Jak to fajnie móc stąpać po zielonej trawie rodzinnego domu!...” (końcowe słowa

refrenu znanej piosenki o powrocie do rodzinnych stron)].

- Byłem tu już - powiedział Rick.

- I co?

- I skończyło się źle.

- Teraz skończy się dobrze. Rąbniemy sukinsyna! - pocieszył go Farloon.

Tak jak się umówili - „Góral” czekał z amerykańską gazetą. Zawiózł ich do hotelu, lecz zabronił rozmawiać w hotelu:

- W każdym hotelu były kiedyś podsłuchy, mogą być i teraz!

Rozmawiali w samochodzie. Prowadził Morelowski, obok niego siedział Farloon, z tyłu Tolik i Korm.

- Facet ma oczy jak kamienie do pierścionków - rzekł Clint. - Jedno niebieskie, drugie zielone, łatwo rozpoznać.

Rick podał Zenonowi kopertę.

- Tu masz jego zdjęcia i opis sylwetki. A w tym pudełku aparaty wykrywające metal, daj to swoim ludziom, niech sprawdzają każdego, kto zbliża się do Wałęsy. Zwłaszcza cudzoziemców.

- Cholernie dużo jest tych cudzoziemców. Fotoreporterzy, dyplomaci, biznesmeni, prasa, radio, telewizja... - mruknął Tolik.

- Ale są chyba jakieś terminy z góry zafiksowane?

- No tak.

- Clint będzie oglądał każdego umówionego. A poza tym my we trzech będziemy sprawdzać hotele, firmy, przedstawicielstwa handlowe, wszystko, co ma związek z cudzoziemcami, tylko przydałby się spis wszystkich takich punktów w Gdańsku.

- Zrobiłem go dla was.

- I jakiś papier, który...

- Mam dla was upoważnienia „in blanco” z SANEPID-u, naszej centrali sanitarnej, i trzy legitymacje kontrolerów SANEPID-u, dajcie mi tylko swoje zdjęcia. I mam papier, że jesteście ekspertami Wałęsy, podpisany przez niego, a taki papier z jego podpisem to te-

raz najlepszy wytrych do każdego zamka w tym kraju.

Farloon odwrócił się i spojrział na Korma, a Korm na niego, i obaj powiedzieli sobie oczami: „*He is the rightest man in the right place!*” [- To najwłaściwszy facet na właściwym miejscu (stanowisku).].

Kiedy wracali do hotelu, już bez Tolika, powiedzieli sobie to samo używając słów, a wówczas wtrącił się Bartek:

- Ja go znam!

- Co??! - wrzasnęli równocześnie Rick i Clint.

- Pamiętam go z Sopotu. Robiłem za goryla przy szefie gangu kasynowego w Sopocie. Widziałem tego faceta kilka razy. On wtedy należał do półświatka, ale nie pamiętam kim był, cinkciarzem, dolinierzem, przemytnikiem, paserem, czy inną cholera, nie mogę sobie przypomnieć, za dużo widziałem takich facetów.

Przez chwilę panowała cisza. Potem Clint wzruszył ramionami i rzekł:

- Ciekawy jest ten kraj twoich dziadków, Korm, gangsterzy wyrastają tu na bohaterów ludowych, to mi się podoba! Ale w końcu ja jestem dezserterem ściganym przez wojskowe prawo, ty agenciakiem CIA, a „*Barty*” jeszcze kilka dni temu kiblował w Marion za morderstwa, więc nie wiem kto tu na kogo powinien pluć...

\*\*\*

Jedni trenują hantlami swoją klatkę piersiową, a drudzy trenują cudzą klatkę piersiową za pomocą własnej klatki piersiowej, i kobiety zdecydowanie wolą tych drugich. Gdy jeszcze taki drugi ma szmalu jak lodu, urodę amanta filmowego, samochód z lakierem metalic i z rozsuwanym dachem oraz głęboki wzrok, to to jest facet ze snów każdej kobiety przy zdrowych zmysłach. A dodać do tego inteligencję, czułość i wyrozumiałość - i będzie coś na kształt cudu, coś jedyne w swoim rodzaju. Tak, Robin Clark był Marsjaninem, przy nim Robin Hood to musiał być gówniarz.



Szczęście Barbary Brodziuch byłoby niewyobrażalnie doskonałe, gdyby nie stresy. Najpierw miała taki stres: jak zachowywać się przy nim, kiedy się jest na golasa? Zgrywać w łóżku kurtyzanę czy dziewicę? Dawać z siebie dużo, średnio czy mało? Każdy z tych wariantów bywa łatwy do zagrania, tylko trzeba wiedzieć, co facet woli. A to czasami trudno wyczuć; tak samo jest z charakterem - trudno od razu wyczuć jaki ktoś ma charakter. Jedni pragną, żeby dama była niezeepsuta lub wprost niewinna - to są faceci o naturze pedagogów. Taki chce być psujem, bo to mu podnosi męskość. I takiemu można sprzedać wszystko, nawet dziewictwo po czterech skrobankach, są na to sposoby, a chłopcy są głupie jak dzieci, co ułatwia sprawę. Inni wolą damę doświadczoną czyli biegłą - to są perfekjoniści nie lubiący tracić czasu na ciosanie surowego drewna. Wybór między jedną opcją a drugą nie jest problemem, gdy kobieta nie wiąże z amantem planów dalekosiężnych, taka sytuacja daje luz. I Barbara pozwoliła sobie na ten luz pierwszej nocy. Ale gdy spostrzegła, że Robin jest nią zainteresowany głębiej, zrobiło się jej trochę łyso. Jego zainteresowanie mogło bowiem wynikać z satysfakcji, którą czerpał dzięki temu, że pani Basta dała popis sztuki afrodyzjakalnej, tylko że ten typ zainteresowania wygasa dość szybko, bo każda rutyna nuży. Wobec tego Barbara pokazała, iż „*donna e mobile*” [- kobieta zmienną jest.], zastępując wirtuozerię cielesną wzmożoną dawką ciepła romantycznego (więcej przytulaniek, szepcików i komplementów lehcących męską próżność niż gimnastycznych wygibasów). Nie była wszakże pewna, czy ten ruch damy bijącej konia jest posunięciem arcy mistrzowskim i to ją stresowało.

Cały ów stres przestał się liczyć, gdy Heldbaum włożył jej do torebki szklaną fiolkę. Silny ból eliminuje słabszy ból, zaś duży stres kasuje stres podrzędnego gatunku. Przez kilka dni chodziła jak ogluszona, pracowała jak nieobecna, kochała jak manekin z wysta-

wy. Jej zadanie było łatwe; mogła, używając jakiegokolwiek pretekstu, wstąpić do pokoju koleżanki, która parzyła Wałęsie, herbatę miętową. Mogła tam czymkolwiek odwrócić jej uwagę i wlać do herbaty trochę tego płynu. Ale na samą myśl o tym robiło się Barbarze słabo. „*Nie, ja tego nie zrobię!*” - krzyczało jej w duszy. „*To zamordujemy młodego żeglarza!...*” - dudniło jej w uchu.

Którejś nocy Robin obudził się, słysząc (lub czując przez drganie poduszki) jej cichy płacz.

- Co ci jest? - szepnęła.

- Nic mi nie jest!

- Od kilku dni cierpisz. Bardzo się tym martwię, bo nie wiem, czy to z mojego powodu...

- To nie z twojego powodu!

- A więc jest ktoś inny...

- Nie mam nikogo innego!

- Więc dlaczego płaczesz, kochanie?

- Nie mogę ci powiedzieć, Robin, nie pytaj!

- To znaczy, że nie masz do mnie zaufania, darling. A bez wzajemnego zaufania nasz związek nie ma sensu. Jeśli dwoje ludzi nie ma do siebie zaufania...

I tak dalej. To idzie łatwo, zwłaszcza gdy kobieta cierpi i gdy musi się do kogoś odwołać ze swoim bólem, bo inaczej grozi jej utracenie zmysłów. Łóżko, noc, nagość ciał i głaskanie po włosach czuła, jakby matczyną dłonią, wzmagają siłę wymowy.

Opowiedziała mu wszystko od samego początku. I pokazała mu fiolkę. Był przerażony, długo siedział na brzegu łóżka i milczał.

- Nienawidzisz mnie? - spytała Barbara Brodziuch.

- Kocham cię - odpań Robin Ciark i przytulił ją do piersi. - Gdybym mógł, to już zabrałbym cię stąd, ale nie mogę tego zrobić przed szesnastym grudnia, bo muszę ukończyć pertraktacje z polską firmą. Daj mi tę fiolkę. Jutro jadę do Warszawy i pokażę ją mojemu

koledze, sekretarzowi ambasadora. To chłopak z australijskiego wywiadu.

Odjechał rano. Wrócił następnego dnia i rzekł:

- W mojej ambasadzie nie ma laboratorium, więc skontaktowali się z ambasadą USA. Tamtejsza placówka CIA bada to świństwo. Ciebie zabieram pojutrze do naszej ambasady, gdzie ten oficer nie ma wstępu.

- Ale Piotr!

- Pomyśleliśmy i o tym, kochanie. Weźmiesz go ze sobą, w Australii są lepsze uczelnie niż tutaj. Jest tylko jeden kłopot, darling...

- Co takiego?

- CIA wiedziała już, że Rosjanie chcą zamordować Wałęsę, aby prezydentem został Tymiński. Nie wiedziała tylko w jaki sposób. Sądziła, że to będzie strzał. Gdy się dowiedzieli, że to trucizna, chcieli od razu zawiadomić Wałęsę, ale po namyśle zrezygnowali z tego.

- Czemu zrezygnowali? - spytała Barbara.

- Bo to by nic nie dało. Typowa akcja KGB jest dla większej pewności zawsze dublowana, co oznacza, że nie tylko ty dostałaś misję trucicielską. Ten drugi morderca to nawet nie musi być ktoś ze sztabu Wałęsy. Może to być reporter, biznesman lub dyplomata, którykolwiek z tych szczęśliwców, co ściskają Wałęsie dłoń. Trucizna z dłoni mordercy lub z wręzonego Wałęsie prezentu - notesu, długopisu czy innego gadżetu - przenosi się na dłoń Wałęsy i po dwóch dniach Wałęsa umiera, są takie chemiczne substancje. Może to zresztą być i inny sposób, sposobów jest dużo. I na to jest tylko jedna rada. Antidotum, uniwersalne antidotum! Środek uodparniający czyli broniący przed otruciem, zarażeniem, zakażeniem, przed każdą trucizną. Amerykanie mają taki specyfik. Dali mi fiolkę, prosząc, żebyś zrobiła to samo, co kazał ci zrobić ten drań. Wlej to Wałęsie do herbaty i wówczas nikt nie będzie mógł go

otruć!

Spojrzała na kochanka półprzytomnym wzrokiem.

- Robin, ale...

- Wiem, co myślisz. Dlaczego sami mu nie dadzą tego antidotum? Przyczyna jest prosta. Jeśliby mu to dali, wówczas ochroniarze twojego szefa wykażą nieufność, taki jest ich obowiązek. A nuż to trucizna podsunięta przez kagiebowskie „krety” pracujące u Jankesów? Ochroniarze będą chcieli to najpierw sprawdzić. A gdzie mogą to sprawdzić? W laboratorium. A polskie laboratoria są do niczego i żadne polskie laboratorium nie ma takich odczynników, żeby dokładnie ów specyfik przebadać. Sprawa będzie się ciągnęła dzień za dniem, a w tym czasie Lech Wałęsa zostanie wykończony! Ja natomiast mogę ci to sprawdzić od razu, bo jutro rano musisz włączyć to do jego mięty, i módlmy się, żeby nie było już za późno! Przynieś mi szklanek lub kieliszek.

Dała mu kieliszek do wina. Wypełnił go płynem z fiolki i jednym haustem opróżnił. A potem wręczył jej fiolkę.

- Teraz mi wierzysz? Nie jestem samobójcą, mam fajną dziewczynę i chcę ją dłuuuuuugo kochać!

Przytuliła się do niego, zawstydzona, iż przez kilka sekund targają ją wątpliwości.

- Teraz muszę wyjść, mam spotkanie - powiedział. - Wrócę wieczorem, przygotuj mi coś dobrego na gorąco.

Uśmiechnął się dwoma rzędami swoich cudownych zębów, a ona spojrzała mu w oczy i zgłupiała:

- Robin, co... coś ty zrobił??!

- Co takiego?

- Masz oczy brązowe!

- Mam przyciemniające kontaktowe szkła, darling, które noszę od czasu do czasu, bo moje własne gałki oczne szybko się męczą. Nie lubię tych szkieł, ale mój okulista na mnie krzyczy. A teraz moja

żona na mnie krzyczy!... Zdejmę jak wrócę. Do wieczora, darling!

\*\*\*

3 grudnia są imieniny Ksawerych i Franciszków. Dlatego Ksawery Franciszek Gol zawsze twierdził, że imieniny ma podwójne. A jak podwójne, to i huczne. Zaprosił na wieczór tych, których Amerykanie zwą „old boys network” - starą kumpelską sitwą czyli ferajną znajdującą się od lat i wspierającą w każdy możliwy (i niemożliwy) sposób. Wszyscy oni mieli epolety: na jednym ramieniu epos, a na drugim etos działalności „solidarnościowej” w stoczni im. Lenina; ich żony również były dziewczynami z Gdańska i „Solidarność” to była ich miniona młodość. Nie brakowało przy stole gwiazdorów z otoczenia samego Lecha. Przyszedł Rafał Zarębski, przyszedł Zenon Tolik, a z Tolikiem przyszedł klawy Amerykaniec Farloon. Było wesoło.

Clint pragnął odpocząć w wesołym towarzystwie. Przez cztery dni harował jak wół, wraz z Kormmem i z Morelowskim, zaglądając w gęby setkom cudzoziemców. Wszystko na próżno, van Hongen był niczym przysłowiowa igła w sianie, chociaż Clint przez skórę czuł, że facet jest w Gdańsku, jest tuż obok, na wyciągnięcie palca! Czuł - i wściekał się, że nie może tego palca kaliber 9 mm wyciągnąć. Teraz odpoczywał, ucząc się polskich toastów, których nie uczono na kursie języka polskiego w Bad Toelz. „No to cyk!”, „Jan Sebastian Bach!”, „Nasze kawalerskie!”, „Zdrowie dam!”, „Po maluchu!”, „Oby nam się!”, „Chluśniem, bo usńniem!” (przy wymawianiu tego toastu język wkręcał mu się w zęby), ale najczęściej padał toast, który padał tylko w tym domu: „Strzelim gola za zdrowie Gola!”.

Strzelano również gole za „Solidarność”, za stare przewagi nad „komuchem” i za stare klęski - łapanki, „koty”, „areszty”, „internaty”, rewizje i więzienia - czego Farloon słuchał jak bajek o piratach i o rycerzach sprzed wieków, takie to było egzotyczne. Najgłośniej

fetowano herosa, który najzacieklej z komuną walczył i najdłużej siedział w „pierdlu” - Zenona Tolika. Tolik musiał opowiadać o Belkowie i o Sztumie, i „na życzenie publiczności” koszulę rozpiął, żeby pokazać więzienny tatuaż. Była to gałązka wiśni zdobiąca lewą pierś - godło więźniów Sztumu. Panie milczały zachwycone, a panów ogarnęła zazdrość.

W pół do ósmej solenizant włączył telewizor, bo rozpoczynały się „Wiadomości”. Pierwsza wiadomość brzmiała, że u Arabów jest już trzysta pięćdziesiąt tysięcy żołnierzy amerykańskich na wojnę z Irakiem, lecz to nikogo z biesiadników nie obeszło - nie po to przylepili się wzrokiem do szklanego ekranu. Za kilka dni miało się rozstrzygnąć: Tymiński czy Wałęsa? Dla nich było oczywiste, że „Lechu”. Ale to samo było dla nich oczywiste przed 25 listopada, a tymczasem „Lechu” nie zdobył bezwzględnej większości nie zdobył nawet 40 procent głosów, zaś magik z Peru i z Kanady zdobył aż dwadzieścia kilka procent! Jeśli wówczas taki cud mógł się zdarzyć, to... Nie dopuszczali tej myśli do siebie, lecz w każdym sercu tkwił niepokój.

Poprzedniego dnia już im się wydawało, że Tymiński jest skończony - ukatrupiony przez telewizję. Telewizja nadała reportaż zza oceanu: sąsiedzi Tymińskiego opowiadali jak tłucze on swoją żonę, jak fatalnie traktuje swe potomstwo et cetera. Było oczywiste, że dzięki tej audycji „pan Stasio” utracił cały żeński elektorat, że ani jedna baba nie zagłosuje na niego. Przeprowadzono sondę wśród Polek. Wynik był znowu szokujący - część odpowiedzi brzmiała:

„A niech bije, byle mi się żyło tak jak jej!”, „Wolę być bita i żyć tak jak ona!”, „To kłamstwa, szkalują go przed dniem wyborów!” itp.

Kiedyś Sacha Guitry ostrzegał: „Nie bij kobiety, bo już się jej nie pozbędziesz!”, ale któżby brał takie dowcipy na serio? Wiadomo - kobiety nie lubią być bite. Znowu coś „oczywistego” skichało się ku zdumieniu logicznie myślących.

Lepiej było nie myśleć o tych wszystkich cudach i dziwach - lepiej było głośno gadać, żeby zagłuszyć uczucie strachu. Poczęli wieszać psy na „peruwiańskim” elektoracie, a gdy już o babach była mowa, solenizant rzekł do Zarębskiego:

- Jakbyś siostrę przyprowadził, to Zenek albo pan Amerykan miałby towarzystwo, no nie? Czemuś jej nie wziął, Rafalku?

- Baśka ma swoje towarzystwo - odpowiedział Rafał Zarębski. - Cholera wie, czy też nie amerykańskie.

- Jak to amerykańskie?

- Ma jakiegoś cudzoziemca. Widziałem ich kilka dini temu. Jechałem autobusem, a oni wsiadali do wozu na zachodniej rejestracji. Później spytałem ją o niego, ale skłamała, że mi się przewidziało, że musiałem ją z kimś pomylić, no to już nie pytałem więcej, bo co się będę wtrącał? Niósł jej zakupy, a przystojny facet, że jak z filmu!

Clint spojrzął na Tolika; Tolik odpowiedział mu identycznym wzrokiem. Farloon wstał wolno. Ten sam ruch wykonał Tolik.

- Co jest? - zapytał solenizant.

- Przepraszamy, dziękujemy, ale musimy wracać do kolegów! - rzekł Tolik.

- Już? Panowie!...

- Niestety, obowiązki! Uszanowanie panom i paniom! Kwadrans później byli w hotelu.

- Cudzoziemiec, przystojniak, a ona pracuje obok Wałęsy, ma codzienny dostęp! - krzyknął Clint. - To może być on, cholera!

- Lub każdy z cudzoziemców, których jeszcze nie sprawdziliśmy - rzekł Korm. - Szansa jedna na tyle, ilu jest takich cudzoziemców.

- Idziemy tam?

- Idziemy, tylko z jakim pretekstem? Przydałby się ten brat na „dobry wieczór pani!”.

- Ja go wyjmę - rzekł Zenon.

Udali się pod dom solenizanta i „Góral” wyciągnął Zarębskiego,

tłumacząc mu:

- Wiesz, że sprawdzamy wszystkich inostrańców, chłopie! Tego również musimy. A z tobą to będzie większa kultura niż jak sami obcy wchrzanią się jej na próg.

Była 21.02 gdy stanęli przed tym progiem. Usłyszawszy głos brata, Barbara otworzyła drzwi.

- Kim są ci panowie? - spytała.

- Wejdzmy do domu - rzekł Zarębski. - Nie będziemy rozmawiać na klatce, przyszedł brat, a nie listonosz! W mieszkaniu on zapytał:

- Czy jest ten typ, z którym cię widziałem, ten, z którym chodzisz, Basiu?

- Jakim prawem się wtrą...

- Odpowiadaj, jest czy nie ma?!

- A co cię to obchodzi?!

- Basiu, to poważna sprawa, musimy wiedzieć!

- On tu nie mieszka, wynoście się stąd!

- A gdzie mieszka?

- Nie twój interes!

- Basiu...

- Nie wiem gdzie mieszka!

Korm wyszedł z sąsiedniego pokoju, mówiąc:

- Tam są męskie ciuchy.

- Na wieszaku też są - zauważył „Góral”. - Same zagraniczne męskie ciuchy!

Barbara chciała krzyknąć, że wezwie policjantów, lecz stanął przed nią Korm i rzekł:

- Proszę pani. Czy pani wstydzi się tego człowieka? A może pani się boi tego człowieka?... Nas nie interesują pani sprawy łóżkowe, i pani dobrze wie, że, nie jesteśmy inkwizycją obyczajową, że o coś innego tu chodzi. Jeśli pani to coś ukrywa przed bratem, to znaczy, że jest co ukrywać... Albo nam pani powie wszystko o tym człowieku, albo



od tej chwili jeden z nas zamieszka tutaj razem z panią, a inni będą panią śledzić poza domem. Proszę wybierać!

- To jest biznesman z Australii!

- Skąd pani wie, że z Australii?

- Bo... bo tak mi powiedział!

- Bo tak pani powiedział?...!

- On jest naprawdę z Australii! Wczoraj był w ambasadzie australijskiej! I kontaktował się z ambasadą amerykańską!

- Jak się nazywa ten Australijczyk?

- Robin. Robin Clark.

Korm podszedł do telefonu i wykręcił numer warszawskiej ambasady. Z Warszawą było automatyczne połączenie, ale łączy były do kitu, więc kręcił przez kwadrans. W końcu dodzwonił się i spytał znajomego:

- Hub, sprawdź, czy znany jest wam facet o nazwisku Robin Clark, biznesman z Australii. Robin Ciark! C-L-A-R-K! I spytaj o to samo u „kangurów”. Czekaam przy telefonie.

W tej samej chwili usłyszeli zgrzyt klucza w zamku, drzwi się otwały i do mieszkania wszedł Robin Clark. Stał w progu, zdziwiony jak człowiek, który pomylił numery apartamentów hotelowych i chce się cofnąć. Ale „Góral” już stał obok niego i zastąpił mu drogę do tyłu. Nie mogąc się ruszyć do tyłu, Clark ruszył do przodu i chciał spytać kochankę, co ci panowie tu robią, lecz gdy zobaczył Farloona, zrezygnował, bojąc się, że głos go zdradzi. Ukłonił się w milczeniu, a oni odklonili się w milczeniu.

- To jest mój brat i jego przyjaciele - powiedziała Barbara. - Wejdz, oni już wychodzą.

Farloon spojrział mu w oczy; ujrzał nie te, których szukał, więc dał Kormowi znak, że to nie van Hongen, i mruknął:

- Do widzenia pani, serdecznie dziękuję za gościnę i za miłą rozmowę. I proszę darować, że...

Korm sięgnął po broń, rzucając słuchawkę na widelki telefonu. Ale Clark był szybszy. Przyciągnął Barbarę, zasłonił się żywą tarczą i włożył jej lufę pistoletu do ucha.

- Ile chcecie trupów?

Farloon wyszeptał zdziwiony:

- Przecież on ma ślepie brązowe!

- On ma brązowe szkła - rzekł Korm, rzucając rewolwer i podnosząc ręce do góry. - U Australijczyków nikt nie słyszał o nim. Clint, podnieś ręce, chcesz, żeby cię kropnął? „Zeno”, złaż mu z drogi, niech idzie do diabła! A ty, van Hongen, nie naciskaj spustu, to przeżyjesz...

- Jeśli któryś z was się ruszy póki ja nie odjadę z nią, lub jeśli ktoś będzie moim tropem jechał, to zakopiecie tę damę na cmentarzu! - ostrzegł Fntz.

- Dobra - zgodził się Korm. - Będziemy tu grzeczni, a ty bądź grzeczny wobec niej i wypuść dziewczynę kiedy już będziesz mógł.

Van Hongen przesunął się do korytarza, otworzył drzwi i nim je zamknął, powiedział:

- Jeśli lubicie sztywne dziewczyny, to zróbcie coś, cokolwiek!

Gdy zniknął - nasłuchiwali w korytarzu. A gdy usłyszeli klekot windy, Korm rzucił się do okna, otworzył je i machnął ręką. „Barty”, czekający na dole, też machnął ręką.

Fritz van Hongen-Grahl podchodząc do swego wozu rozglądał się jak wilk. Wokół panowała mroczna pustka. Jedyne światło świeciło daleko stąd i było tak ciemno, że samochody nie miały różnych kolorów. Najpierw odemknął tylne drzwi i kazał kobiecie położyć się na siedzeniu, ale już nie zdążył tych drzwi zamknąć, bo umarł. Morelowski wbił mu nóż w szyję.

Rano wyłowiono z zatoki ciało nieznanego człowieka, być może marynarza któregoś ze statków. Nożownicze porachunki są na okrętach rzeczą zwyczajną.

Od śmierci van Hongena-Graha (3 .XII. 1990) do dnia, w którym Polacy mieli wybrać najlepszego spośród siebie, aby zamieszkał w komnatach Belwederu jako pierwszy niekomunistyczny prezydent czasów powojennych, zostało sześć dób. Ten ostatni tydzień Farloon i Morelowski spędzili w Gdańsku, pilnując Wałęsy razem z Tolikiem i z regularną ochroną. Tymczasem Rick ruszył w świat.

Najpierw udał się do Warszawy, gdyż potrzebne mu było współdziałanie „Wallenroda”. Od „Wallenroda” trafił do człowieka świetnie w pewnych sprawach zorientowanego. Później był w Otwocku. 6 grudnia wyjechał do Niemiec, już zjednoczonych na mocy traktatu z 31 sierpnia. W piątek 7 grudnia dotarł do małej heskiej miejscowości, zwanej za czasów rzymskich Civitas Mattiacorum lub (przez wzgląd na lecznicze źródła) Aquae Mattiacae. Teraz zaś ów nadreński port zwał się Wiesbaden i od 1951 roku był siedzibą BKA (Bundeskriminalamt) - Federalnego Urzędu Kryminalnej Policji. BKA zajmował się wszelką działalnością przestępczą i terrorystyczną.

Po minięciu dzielnicy willowej, pełnej pastelowych domków tonących w kwiatach i w krzewach, trafił do niesympatycznego zespołu kilkupiętrowych gmazysk (biurowce plus supermarket i restauracja „Perła”), otoczonych solidnym, podwójnym parkanem i strzeżonych przez telewizyjne kamery oraz przez umundurowanych ludzi z bronią. To właśnie był BKA. Samo wejście na jego teren zabrało Kormowi kilkadziesiąt minut. Musiał wypełnić specjalny formularz (tożsamość, adres, czas wizyty, cel wizyty, itd.), oddać paszport, złożyć pistolet do depozytu i przejść rewizję osobistą. Dziennikarz czy agent CIA - strażnikom nie robiło to różnicy; tak samo dokładnie sprawdzali każdego, kto nie był pracownikiem BKA.

Celem wizyty Korma w BKA były dwa genialne wynalazki niemieckie. Bóg wprawdzie stworzył wszystkich ludzi jednakowych, ale Niemcom dał lepszą dokładność, wynikającą z przekonania, że

„*Ordnung muss sein*”, czyli że porządek winien być panem wszechrzeczy, jeśli nie na całym tym bałaganiarskim świecie, to przynajmniej u Niemców. Jest notorycznym faktem, że na kuli ziemskiej wszyscy wszystko gubią, płaczą, mieszają lub zapominają, a Niemcy tego nie robią. Pomaga im utrzymać ten super-porządek właśnie owo genetyczne zamięrowanie do porządku. A jego podstawą są dwa wynalazki: istniejący od 1972 roku system INPOL (Informationssystem der Polizei), który zawiera dane osób poszukiwanych i karanych, numery paszportów, banknotów, pojazdów, kont, spluw itd., oraz dwa lata młodszy rejestr PIOS (skrót od: osoby, instytucje, przedmioty, rzeczy), który obejmuje także dane z donosów i dane na temat ludzi nie karanych i nie poszukiwanych, ale zakodowanych jako BEFA (osoba podejrzana) lub PIP (osoba interesująca dla policji). Centralą obu tych komputerowych systemów jest BKA w Wiesbaden.

Z Warszawy do Wiesbaden Rick jechał przez Kutno. Tam pewien człowiek pożyczył mu arkusik brudnego papieru, który Korm włożył do plastikowej torebki, a w Wiesbaden wyjął z torebki i spytał niemieckich policjantów czy mogą mu ową kartkę zbadać. Zabrało im to kilka minut (wrzucili kartkę do specjalnej aparatury, przycisnęli dwa klawisze i odczytali wynik na ekranie monitora komputerowego).

Wracając przekroczył granicę w Zgorzelcu. Nie było jeszcze późno, lecz był już grudzień i mrok zapadał w godzinach wczesnych. Kilka mil od granicy Rick stanął na parkingu pod oberżą turystyczną (którą zachwalał mu celnik), aby coś zjeść. Gdy wrócił do wozu, nie mógł go uruchomić - rozrusznik w ogóle nie reagował. Miejscowy szofer znał drogę do warsztatu i wziął wóz Ricka na hol. Zajechali pod ceglana rudere, która nie wyglądała jak stacja obsługi samochodów, lecz w Polsce wiele rzeczy nie wygląda tak, jak brzmi ich nazwa, więc Rick się nie zdziwił.

Wewnątrz rudery panował półmrok rozrzedzany światłem dwóch żarówek. Korm ujrzał sylwetkę człowieka znanego mu i usłyszał znajomy głos:

- Gonisz mnie, więc postanowiłem przyspieszyć moment naszego spotkania.

Wyciągnął broń tak szybko, że na szkoleniu w Camp Peary dostałby za to maksymalną liczbę punktów. Ale tamten wcale się tym nie przejął, nie wykonał żadnego ruchu, nie odskoczył i miał puste ręce. Zapytał Ricka:

- Jak się nazywa to żelazo? Piękny!

- Nazywa się Glock.

- Niemiecki?

- Austriacki. Półautomatyczny, dziewięć milimetrów. Siedemnaście pestek.

- Ile to kosztuje u was?

- Drogo. Pół tysiąca dolarów. Ale warto dać.

- Jestem aresztowany, Korm?

- Jesteś aresztowany lub martwy.

- A dlaczego, przyjacielu?

- Dlatego, że jesteś „kretem”, draniu!

- A możesz to udowodnić, Korm?

- Tak. Kiedyś byłeś przestępcą, kontrabandzistą, szmuglowałeś towar via Cieszyn, bo miałeś układ z grupą tamtejszych celników. W 1987 dwóch spośród tych celników zamordowano, a dyrektor Urzędu Celnego w Cieszynie zwił do Niemiec zachodnich. W Wiesbaden mają jego zeznania. Jest tego dużo. O Cieszynie, o tobie, o...

Z zewnątrz dobiegł ich warkot ruszającego samochodu. Korm ustawił się tak, żeby mieć pod ostrzałem drzwi i mówił dalej:

- Byłaś więźniem Sztumu...

- Nie tylko.

- Tak, do Belkowa zaraz przejdziemy. W Sztumie siedziałeś jako

„polityczniak”. Ale tatuaż, który ci tam zrobiono, to herb zwykłych kryminalistów, tej gałązki nie dają politycznym, to inna branża. Natomiast w Bolkowie zostałeś rąbnięty przez strażników...

- Przez dyrektora!

- Wszystko jedno. Ważne, że mocno krwawiłeś. Twoja krew zalała podłogę celi. Jeden z więźniów umaczał w owej krwi kartkę, to miała być pamiątka po bohaterskim Zenku, i dzisiaj tę kartkę zbadano. Rzeczywiście, została umaczana we krwi, tylko że w tak zwanej krwi filmowców, to była farba!... Kto upichcił tę komedię, aby wypromować „Górala” na herosa związku „Solidarność”? No jak, starczy?

- Starczy - rzekł „Góral”.

- Jednego tylko nie rozumiem. Przecież ty mogłeś Wałęsę otruć... Po co wam była ta gra z dziewczyną?

- Korm, chyba mi nie uwierzysz, ale ja nie miałem pojęcia, że chcą Wałęsę otruć. W ogóle nie wiedziałem, że chcą go kropnąć, przysięgam ci! To jakaś gra mojego szefa lub szefa mojego szefa. Mnie osobiście zależy na tym, żeby Wałęsa był prezydentem, bo wówczas ja będę wielkie panisko, a bez niego stanę się jednym z małych piesków.

- Nieprawda, u Tymińskiego też byś zrobił karierę. Twój szef z pewnością przemyślał każdy szczegół. No to kładź się, „Góral”, muszę ci związać ręczki.

- Tu jest brudno!

- Jazda!

Tolik sięgnął za pazuchę, a Korm pociągnął za spust. Dwanaście razy z rzędu. Lecz na Toliku nie robiło to wrażenia; powoli wyjął swój pistolet, odbezpieczył i zadrwił:

- Jak się komuś oddaje broń, przyjacielu... Jak się oddaje broń, to się ją potem sprawdza! Oddałeś do depozytu w Wiesbaden, później zwrócono ci gnata tego samego, ale pestki były już zupełnie inne.

Kupa ślepaków!

- To i tam macie swoich ludzi? - spytał Korm, wiedząc, że to są jego pożegnalne słowa i dziwić się w duchu, że ostatnie słowa człowieka mogą być takie głupie.

- Jak widzisz - odpowiedział „Góral”, i teraz on nacisnął spust.

Rick poczuł ogień w głowie, ale ten ból szybko ustąpił i zaczęło się z nim dziać coś bardzo dziwnego. Orbitował w jakiejś mrocznej, a zarazem euforycznej przestrzeni o kształcie koła i o sennym ciężarze błogostanu. Widział swoje nieruchome, skrwawione ciało, leżące twarzą do góry, widział Tolika pochylającego się nad tym ciałem i drugiego faceta, który wbiegł z zewnątrz, gdy rozległ się huk. W bocznej ścianie ujrzał małe światełko. Popłynął tam i znalazł się w czymś, co wyglądało na wielką rurę albo lufę, ze światłem u wylotu. Im dalej przenikał w głąb, tym światełko stawało się większe, a na tle jego kręgu pojawiła się drobna sylwetka. Czuł się coraz słabszy, lecz pragnął się dowiedzieć kto to, więc zrobił ostatni wysiłek. Zobaczył małego chłopczyka z dłońmi koło uszu. We wnętrzu tuby rozległo się cichutkie: „Yooooooooo!...”. Rick wyciągnął do niego ramiona, ale było już coraz ciemniej, krąg światła gasł i ten dźwięk zanikał w ogromie niezmierzonej przestrzeni...

\*\*\*

9 grudnia Lech Wałęsa został prezydentem. Zaczęło się formowanie nowego rządu. Było trudne i trwało kilka tygodni.

16 grudnia zmarł Olgierd Drozd. Po południu Ludwik był u niego w domu. Stryj nie czuł się dobrze, ale nic nie wskazywało, iż za kilka godzin będzie martwy. Powiedział:

- Doniesiono mi, że Wieniawa nie ma nagrobka, Ludwiku! Kopczyk zapadł się i cały jego grób to teraz kałuża z drewnianym krzyżem! Nikt nie ma forszy albo chęci, żeby zmienić to. Potworne, Ludwiku! Adiutant Komendanta, „*pierwszy ułan Drugiej Rzeczy*

*spolitej*", prezydent Polski, co prawda tylko dwudniowy, ale jednak, wspaniały facet - leży jak pies pod błotnistą breją!

- Nie wiedziałem o tym, stryju - rzekł Ludwik. - Załatwię, co trzeba.

- To znaczy co?

- Ten nagrobek.

- Ale ten nagrobek...

- Tak, stryju. To nie będzie byle jaki nagrobek. Będzie piękny.

- Dziękuję ci, chłopcze, zawsze byłeś... byłeś sobą. Tylko że...

- Tak?

- Tylko nie ożeniłeś się i nasz ród...

- Stryju, wiele rodów przestało istnieć, a świat się nie zawalił.

- No tak, lecz własna koszula bliższa ciału, więc mnie smutno...

- Daj spokój, stryju!

Chciał powiedzieć stryjowi, że zna drugiego Drozda, który się nie ożenił. Miał to już na języku, ale wstrzymał się. Stryj leżał i patrzył w sufit, gdy nagle coś go podnieciło:

- Może byś jeszcze znalazł jakąś babę?...

- Musiałaby być idealna, a idealnych nie ma.

- Chrzanisz!... Co ciebie zraża do kobiet. Ludwiku?

- Ta zadziwiająca okoliczność, iż żadna baba nie namalowała „*Mony Lizy*”, nie wynalazła teorii względności, nie ułożyła dobrej tragedii lub ody i nie została szefem CIA. Tylko to.

- Chrzanisz! Bez przerwy chrzanisz! Poczucie humoru to dobra rzecz, ale ono ci nie da małych Drozdów, bałwanie!

- Mniej będzie bałwanów.

- Chrzanisz!!...

W nocy stryj Olo umarł przez tak zwany zawał mięśnia sercowego. Dwa dni później odbył się pogrzeb na cmentarzu Bródnowskim. O czternastej Ludwik wrócił do domu, a o siedemnastej zadzwonił do niego pułkownik Heldbaum i zaprosił go do swojego domu, bo miał „*sprawę bardzo ważną*”. Natomiast minę miał bardzo pogodną, gdy



witał Drozda. Wskazał mu fotel. Kiedy Drozd usiadł w tym fotelu, obok pojawiło się dwóch ludzi i każdy z nich miał pistolet. Dlatego Drozd nie protestował przeciwko temu, co z nim robiono. Został przywiązany do fotela, otrzymał zastrzyk w ramię i usłyszał:

- Wybrałem ci łagodną śmierć, Wallenrodziku. Wallenrodem prawdziwym można być zajmując rządowe stanowisko. Niekoniecznie wielkiego mistrza, ale przynajmniej komtura! A ty co? Megalomania porwała cię przy wyborze pseudonimu. To już oni - Heldbaum wskazał na dwóch facetów, którzy zwiążali Drozda - mają większe prawo. Mogli zająć stołki ministrów w rządzie, który jest właśnie formowany, ale ponieważ ten rząd przetrwa tylko do wyborów parlamentarnych czyli bardzo krótko, więc teraz zajmą inne fotele, bardziej przyszłościowe. Pułkownik Strużyński w MSW, a pan Tolik w UOP-ie. Obaj ciężką pracą zdobyli zaufanie „solidarnościowych” bonzów, więc przed każdym z nich ogromna kariera. A twoja właśnie się kończy.

- Jak wpadłem? - spytał Drozd.

- Wpadłeś, gdyż śledziliśmy Korma odkąd pojawił się w Gdańsku. Miał fart, przez przypadek wyeliminował van Hongena z gry, ale ja nie płaczę, bo ta gra to była gra Wolfa i Kriuczkowa, i ona mi nie za bardzo odpowiadała. Odpowiada mi Wałęsa jako prezydent, z różnych powodów, między innymi dlatego, że moi chłopcy, Tolik, Strużyński i inni, znajdują się na szczycie. Korm, jadąc do BKA, był u Ludwika Drozda i wtedy zrozumiałem wszystko. To niezły pomysł, te „pchełki” z Langley w ramach obrazów. Ale ta w ramie do Kupetzky'ego była zepsuta, działała tylko ta w ramie do „Zjadaczy ostryg” Molenaera.

- Wiem - powiedział „Wallenrod”.

- Amerykańska technika schodzi na psy, jeśli co drugi produkt to bubel! - westchnął Heldbaum. - Kopiujemy właśnie te cacka, powinieneś otrzymać medal ze wstęgą jako dostawca najnow-

szej tajnej technologii Zachodu. Drozd, powiedz mi prawdę, dlaczego?

- Z nienawiści.

- Do mnie?

- Tak.

- Za co?

- Za dwie rzeczy. Za to, że chciałeś ze mnie zrobić współmordercę papieża...

- Bredzisz, Drozd!

- Nie, nie bredzę. Gdy w osiemdziesiątym trzecim wracałem ze Stanów, od tej chorej dziewczyny, wziąłem w Berlinie, z rąk Schaicka, walizczkę dla ciebie, gdyż prosiłeś mnie o to. Były w niej trzy świece, Heldbaum. Trzy świece faszerowane semtexem lub inną substancją wybuchową. Ale ja nie wiedziałem o tym. Dużo później dowiedziałem się, że chcieliście postawić je na jasnogórskim ołtarzu i zdetonować w trakcie mszy odprawianej przez papieża! Na szczęście to się wam nie udało!

- A wiesz dlaczego się nie udało, durniu? Bo ja, przy pomocy Strużyńskiego, storpedowałem ten numer! Uważałem, że to jest idiotyzm. Walizeczka była nie dla mnie, tylko... Zresztą, to teraz bez znaczenia. Jaki jest ten drugi powód, że mnie nienawidzisz?

- Ta moja druga nienawiść do ciebie to jest nienawiść do systemu, który zabił „Księcia”.

- Drozd, przecież ty jesteś człowiek mądry! Nie ma innych systemów!

- Wiem. Ale ja żyłem w tym.

- Kochałeś Karśnickiego?

- Kocham go od niedawna. Bo najpierw musiałem wydorosnąć, a wydorosłem kilka lat po jego śmierci i dopiero wtedy zrozumiałem, że to był prawdziwy książę, ten z bajek. Niewielu znałem prawdziwych facetów, takich jak on. Dzięki takim jak on warto żyć,

Heldbaum.

- I umierać też?

- I umierać, pułkowniku. Szkoda, że tak późno wydorostałem. I szkoda, że nie zdążyłem cię rąbnąć.

- Chciałeś mnie zabić?

- Tak.

- Jakim sposobem?

- Chciałem cię zrzucić z wysokiego dachu, tak jak ty zrzuciłeś „Księcia”.

- Sam skoczył!

- Ja teraz też sam skaczę. Wszyscy jesteśmy samobójcami, co do jednego...

Poczuł w głowie lekki szum; trucizna zaczynała funkcjonować. Heldbaum spojrział na zegarek.

- Jeszcze kilkanaście minut. Drozd. Już bliźutko. Gdybyś chciał plunąć mi w twarz jakiś epitet na pożegnanie, to czas ostatni.

- Żaden epitet by cię nie dotknął, jesteś ślinoodpomy, Heldbaum.

- Masz rację. To, czym najbardziej można dotknąć i obrazić człowieka, to nie są epitety, wyzwiska, paszkwile, kalumnie, niezasłużone obelgi i tym podobne, ale zwykła prawda. Nic nie obraża tak mocno jak prawda o człowieku rzucona mu w twarz. Pozwól, że ci powiem, iż jesteś osioł!

- A ty jesteś... sam wiesz, kim jesteś, nie trzeba ci tego rzucać w pysk. Powiedz mi, Heldbaum, czy w sądach kapturowych respektuje się ostatnie prośby skazańców?

- Proś o co chcesz.

- Chcę zostać sam. Nie chcę patrzeć na ciebie i nie chcę, żebyście wy na mnie patrzyli.

Gospodarz wstał, mówiąc:

- Uszanujmy wolę skazanego, chodźmy do dmgiego pokoju. Wyluzuj się, „Bankier”, już nas nie ma.

Zniknęli za drzwiami. Drozd czuł coraz większą senność. Starał się nie opuszczać powiek. Przed sobą miał ścianę pełną „Holendrów”; wśród nich był jego prezent dla Heldbauma. Przypomnił sobie swoje wędrówki po muzeach wielkich stolic. Paryż, Amsterdam, Londyn, Waszyngton, jak taśma gigantycznego filmu, którego sąsiadujące klatki były całkowicie różne. Pomyślał, iż winien być wdzięczny losowi, że mógł się z nimi zetknąć. Przejmująca wielkość tych obrazów, ich tajemnicza siła, majestatyczna i intymna równocześnie, nieodparcie wchłaniająca ciało i umysł, niczym sen, była mocnym dowodem na istnienie duszy ludzkiej i godziła z czymś wiecznie deprawującym i przeklinanym - z życiem. Pejzaże Lorraina godzące z samotnością przy pomocy boskiej nostalgii, wnętrza Vermeera godzące z kobietą przy pomocy tych oczu i tych listów w dłoniach, oraz „**Śmierć Prokris**” Piera di Cosimo godząca ze śmiercią przy pomocy idealnej symetrii i tej ciszy w rajskim krajobrazie.

Gdzieś tam, wśród namalowanych wnętrz i krajobrazów, musiała mieszkać jedyna kobieta, której szukał przez całe życie i nie znalazł. Zamknął oczy, zbyt silna była już senność. Ale krajobraz, który ujrzał w tym momencie, nie był sielski. Były to rdzawe wzgórza, pokryte kamieniami i ruinami antycznych domów. Wokół bieleły kości dawno umarłych zwierząt. Słońce paliło ziemię. Rozwarła się przed nim wielka dziura w ścianie wąwozu, będąca wejściem do pieczary. Wszedł i ogarnęła go ciemność. Lecz im dalej się posuwał, tym bardziej ciemność jaśniała, gdyż ze skał emanowały promienie o kolorach psychodelicznych. Panowała głęboka cisza, a on miał przedsmak czegoś nieziemskiego i czuł się jednym z bogów. Skronie pulsowały mu wielobarwnym światłem, własny oddech chłodził mu twarz. W dalekiej perspektywie skalnego tunelu ujrzał sylwetkę, wysmukłą i błyszczącą niczym oksydowane posągi. Zbliżał się ku niej nie używając ani jednego mięśnia; coś łagodnie pchało go lub

niosło, jakby miał pod stopami ruchomy chodnik lub fabryczną taśmę. Płec rozpoznął z odległości stu metrów. Później rozpoznął rysy jej oblicza i już nic nie było tajemnicą - znalazł tę, której szukał od tysięcy lat na drogach całej Ziemi. W jej oczach i w kącikach ust drgało coś podobnego do uśmiechu. Miała przeźroczysty peniuar, a gdy Ludwik go dotknął - peniuar zsunął się z jej ramion jak cienki śnieg z wypolerowanej skały. Musnęła opuszkami palców brodę Ludwika i przylgnęła doń całym ciałem. Jej wargi zamknęły się na jego wargach, a jej ręce owiły mu kark i poczuł, że on również ma nagie ciało. Jego dłonie zjechały w dół jej pośladków, uniósł ją i wbił na rozpalony pręt. Za plecami miała schody o kilkudziesięciu stopniach, prowadzące wzwyż. Zgiął lewą nogę, ustawił na pierwszym stopniu i podciągnął ciało. Później na drugim, i na trzecim, i tak dźwigał ją ku górze, wolno, poruszając tylko nogami, w rytm jej przyspieszonego oddechu, który ścigał się z jego oddechem na skórze obmywanej strużkami potu, aż jej krzyk i gwałtowny spazm jej bioder oznajmił, że schody się kończą, i uderzyło go w twarz słońce, jakby ktoś przestrzelił jego mózg strugą laserowego światła. Postawił ją i rozwarł oczy. Wokół była łąka, dalej pasmo krzewów, w górze białe chmurki na błękitnym niebie, a oni byli fragmentem tego obrazka, pocztówkową parą kochanków, których nagość nie jest bezwstydną, gdyż ma sielski urok porcelanowych malunków z Filemonem i Baucis.

Zasypiał leżąc w trawie obok niej. Na rozległym, płaskim pustkowiu ślizgały się cienie ptaków szybujących nisko. Hen, daleko, ciemna linia lasu wyznaczała kres widoczności...

\*\*\*

14 grudnia Clint wrócił do domu w Calais i święta spędził z rodziną. Potem długo się zastanawiał jak ułożyć sobie życie. Webster ciągnął go do Camp Peary, ojciec ciągnął go do wyższej uczelni, zaś

jego samego ciągnęło do Miriam Morrison, lecz hamował się ze strachu. Miriam miała wszystko, co lubi każdy mężczyzna - była ładna, troskliwa, zaradna i spokojna (tylko w okresie miesiączki przejawiała agresję), a do tego „Chris”, gdy umierał, kazał Clintowi zająć się nią. Ale Clint, ku swemu zdumieniu, zadurzył się w niej, i to budziło jego strach.

Decyzję podjął latem 1991 roku. Nie uprzedził dziewczyny, chociaż mógł wysłać list albo wykonać telefon. Z lotniska Heathrow autobus British Airways zawiózł go do centrum Londynu, a z centrum Londynu taksówka do podmiejskiego St. Albans. Przez te samą, starą, skrzypiącą furtkę wszedł do ogrodu. Widział go tylko raz (w 1987, gdy przyszedł powiedzieć, że „Chrisa” zabiło „Czarne tango”), lecz pamiętał dobrze. Te same dzikie krzewy i te same klomby, ten sam sznur na bieliznę rozwieszony między drzewami i ten sam hamak. Zmienił się tylko jeden szczegół - wówczas nie było tu piaskownicy. A teraz była i kopał w niej trzyletni brzdąc. Clint zdziwił się na jego widok i pomyślał, że może w tym domu mieszkają już inni ludzie. Malec również się zdziwił. Wytrzeszczył błękitne oczy i zapytał cichutko:

- Kim ty jesteś?

Clint przykucnął obok niego; potem przez chwilę się zastanawiał, jakiej udzielić odpowiedzi, sobie i temu małemu.

- Nie wiem - powiedział.

Żwirową ścieżką dotarł na werandę, a gdy Miriam otwarła, rzekł po prostu:

- Wcześniej nie dało rady, przepraszam.

Rzuciła mu się na szyję.

- Tęskniłam za tobą!

- A ja za tobą - rzekł Farloon.

- Nawet nie wiesz, jak bardzo tęskniłam, Clint!

- Już wiem.

- Chodź do środka!
- Ten mały to twoje potomstwo?
- Moje... i „Chrisa”, Clint...

Jej ciało zrobiło się sztywne, a jej wzrok zawisł na jego twarzy niczym modlitwa ciężko chorego dziecka, które chciałoby ozdrowieć i żyć tak jak inne dzieci. Ledwo usłyszał jej szept, gdy zapytała:

- Wejdiesz do domu?...
- Jedną chwilę, darling. Mam komuś coś do powiedzenia, zaraz wrócę.

Wyswobodził się z jej ramion i ruszył ścieżką ku piaskownicy. Idąc myślał: „*Cholera, a przysięgałem sobie, że to jedyna rzecz, której na pewno nie zrobię w moim życiu!*”. Podszedł do małego i pogładził go po włosach. Maluch uniósł główkę zdziwiony.

- Już wiem kim jestem - rzekł Farloon. - Jestem twoim tatą.

Wziął dziecko „*na barana*” i pomaszerował przez ogród w stronę czekającej kobiety. Nim doszedł, maluch zawołał:

- Siusiu!

Clint zdjął go z karku, rozpiął mu spodenki i maluch zrobił siusiu na klomb. Gdy skończył, poinformował Farloona, że teraz chce zrobić kupkę.

- No to dawaj! - zgodził się Clint.
- Tu?
- Nie, tu to by było za blisko od ścieżki. Szoruj w kwiaty.

I wtedy usłyszeli z tyłu gniewny głos Miriam:

- Czy nikt was jeszcze nie nauczył, że nie robi się tego wśród kwiatków?!

Clint wziął małego pod pachę i nie zwracając uwagi na babsztyła ruszył do domu, nucąc: „***We don't need no education!...***”.

KONIEC





## POSŁOWIE

Dekada, która zaczęła się w 1980 roku narodzinami NSZZ „Solidarność” i zakończyła w roku 1991 rozpadem sowieckiego imperium, należy do komedii, tak jak wszystko, co zna Historia. Każda wzniosłość, każda podłość, każda krew i każdy ból - należą do komedii. Tragedia jest tylko jej tłem i nawozem. Komedia jest istotą. Życie jest tragifarsą.

Czyż nie jest komiczne, że ludzie, którzy mają najmniej honoru, mają najwięcej o honorze do powiedzenia? Czyż nie jest komiczne, gdy Wilhelm Tell przechodzi z Gessler'em na „ty” i razem piją wino? Czyż nie jest komiczne, że obaleni kaci w generalskich mundurach otrzymują bająnskie renty i emerytury, a ich wyzwolone ofiary przymierają z głodu? Kupa śmiechu!

Co zresztą jest bez znaczenia, tak jak wszystko w Historii. Kupa śmiechu i kupa bólu waży tyle samo w kalendarzu, bo równie szybko przesypuje się w klepsydrze. Mówi o tym najmądrzejsza wschodnia bajka. *Pewien duchowy mistrz, joga, czując pragnienie, poprosił swego ucznia, by ten mu przyniósł kubek źródlanej wody. Nad strumieniem uczeń spotkał dziewczynę tak piękną, że zapomniał o swym mistrzu. Poślubił ją i był szczęśliwy. Mijały lata. Pewnego dnia ogień zniszczył dom małżonków. Uczeń stracił żonę, dzieci i cały dobytek. Wtedy przypomniał sobie o nauczycielu i zaniósł mu kubek wody, a mistrz napił się jak gdyby nic się nie stało. Albowiem nic się nie stało. Te lata, które minęły, były jak mgnienie powieki Boga, jak pstryknięcie palcami, jak oddech nieistotny w skali tajemniczego snu, którym jest wieczność.*

Nasze zmarnowane życia będą za ileś tam lat równie nieważne jak zmarnowane życia naszych ojców, naszych dziadów i naszych

starożytnych. Będą takimi już jutro. Są już dzisiaj. Bułat Okudźawa na pytanie czym jest dla niego przeszłość, odpowiedział dziennikarzowi: „*Bólem. Przez całe życie ciągle traciłem coś. Ciągle więcej. Tak jak wszyscy. Nieme kino*”.

Nieme kino, kupa śmiechu i królowa Biologia. Tylko w jakimś wierszu, w jakiejś bajce, w jakiejś melodii i w jakimś słodkim kłamstwie pary kochanków jest to, dla czego w ogóle warto żyć przez ten ułamek ułamka czasu dany nam do zapomnienia.

Warszawa, grudzień 1990 - październik 1991.

Ze wstępu:

Mam tylko jedną prośbę do Czytelników: nie czytajcie „Najlepszego” zanim nie poznacie „Dobrego”, „Lepszego” i „Konkwisty”. Jeśli ktoś zacznie od „Najlepszego”, to lektura tamtych książek (zwłaszcza „Dobrego” i „Konkwisty”) będzie bez sensu, gdyż ich niespodziewane zakończenia będą już znane Czytelnikowi. A więc najpierw „Dobry” (akcja kończy się w 1981 roku), potem „Konkwista” (akcja toczy się w 1987 roku), „Lepszy” i wreszcie „Najlepszy” — oto właściwa kolejność.



„Najlepszy” to trzecia i ostatnia część  
trylogii Waldemara Łysiaka  
„Dobry” „Konkwista”  
„Najlepszy” !!!

**KONKWISTA 2**